



NETFLIX

TERAZ SERIAL
ORYGINALNY
NETFLIX

GRACE I GRACE

MARGARET
ATWOOD

Prószyński i S-ka

MARGARET
ATWOOD

GRACE I GRACE

Przełożyła
Aldona Moźdzynska

Prószyński i S-ka

Dla Graeme i Jess

Cokolwiek się zdarzyło przez te lata,
Bóg wie, że mówię prawdę, twierdząc, że kłamiesz.
William Morris

Obrona Ginewry

Ja nie mam żadnego Trybunału.
Emily Dickinson

Listy

Nie mogę wam powiedzieć, czym jest światło, ale mogę powiedzieć, czym nie
jest... Co jest motywem światła? Czym jest światło?
Eugene Marais

Dusza termita

I

Wyszczerbione ostrze

Kiedy odwiedziłam więzienie okręgowe, przebywało tam tylko czterdzieści kobiet. To bez wątpienia świadczy o lepszej kondycji moralnej płci słabej. Głównym celem mojej wizyty na ich oddziale było spotkanie ze znaną morderczynią, Grace Marks, o której wiele się dowiedziałam – nie tylko z gazet, ale również od dżentelmena, który bronił jej na rozprawie i którego zgrabna mowa uchroniła ją przed szafotem, gdzie jej nieszczęsny współnik zakończył swą grzeszną karierę.

Susanna Moodie

Life in the Clearings, 1853

Chodź, zobacz
prawdziwe kwiaty
tego cierpiącego świata.
Basho

Ze zwiru wyrastają peonie. Wydostają się spomiędzy rzadkich szarych kamyków, ich pąki badają powietrze niczym oczy ślimaka, potem puchną i się otwierają; ogromne ciemnoczerwone kwiaty są lśniące i połyskliwe jak satyna. Następnie wybuchają i opadają na ziemię.

Tuż przed rozwinięciem przypominają peonie w ogródku pana Kinneara, owego pierwszego dnia, tylko że tamte były białe. Nancy je ścinała. Miała na sobie jasną sukienkę w pączki róż, ze spódnicą z potrójną falbaną, i słomkowy kapelusz, skrywający twarz. Niosła płaski kosz, do którego wkładała kwiaty. Zginała się w biodrach niczym dama i schylała z wyprostowanym stanem. Kiedy nas usłyszała i się odwróciła, przyłożyła dłoń do gardła, jakby się złąła.

Idziemy cicho parami, z głowami wciśniętymi w ramiona, ze spuszczonej oczami, przez plac zamknięty wysokimi kamiennymi murami. Ręce trzymam splecione przed sobą, skóra na nich jest spękana, a kostki czerwone. Odkąd pamiętam, zawsze takie były. Niebiesko-białe noski moich butów wyglądają spod rąbka sukienki i znowu się chowają, chrzęszcząc na ścieżce. Te buty są wygodniejsze niż wszystkie, jakie do tej pory miałam.

Jest rok 1851. Niedługo kończę dwadzieścia cztery lata. Siedzę tu zamknięta od szesnastego roku życia. Jestem wzorową więźniarką, nie sprawiam żadnych kłopotów. Tak mówi żona komendanta, podsłuchałam ją. Jestem dobra w podsłuchiowaniu. Jeżeli będę grzeczna i spokojna, może w końcu mnie wypuszczą, ale niełatwo być grzeczną i spokojną: zupełnie jakby się wisiało nad krawędzią mostu już po wypadnięciu. Nie poruszasz się, tylko wisisz w powietrzu, a jednak odbiera ci to wszystkie siły.

Kącikiem oka obserwuję peonie. Wiem, że nie powinno ich tu być. Jest kwiecień, a one nie kwitną w kwietniu. Teraz przybyły jeszcze trzy, wyrosły tuż przede mną, wprost na ścieżce. Ukradkiem wyciągam rękę i dotykam jednej. Jest sucha i uświadamiam sobie, że jest zrobiona z materiału.

Nagle widzę przed sobą klęczącą Nancy. Włosy ma rozsypane, a krew zalewa jej oczy. Biała bawełniana chusteczka w niebieskie kwiatki, jaskry, którą zawiązała na szyi, jest moja. Nancy podnosi głowę, wyciąga do mnie ręce w błagalnym geście. W uszach ma maleńkie złote kolczyki, których jej kiedyś zazdrościłam. Może je sobie zatrzymać, bo tym razem wszystko będzie inaczej, tym razem pobiegnę jej na pomoc, podniosę ją i otę krew własną sukienką, zrobię bandaż z kawałka halki i nie wydarzy się nic złego. Po południu pan Kinneear wróci do domu, wjedzie na podjazd, McDermott zajmie się koniem, pan Kinneear pójdzie do salonu, ja zaparzę kawę, Nancy zanieś mu ją na tacy, on powie: „Jaka dobra kawa”, a w nocy w sadzie pokażą się świetliki i przy świetle lamp rozbrzmiewać będzie muzyka. Jamie Walsh. Chłopiec z fujarką.

Jestem tuż koło Nancy, blisko miejsca, gdzie klęczy. Nie przyśpieszam jednak kroku, nie biegnę, dalej idę razem z innymi i wtedy Nancy się uśmiecha, ale tylko samymi ustami, oczy ma wciąż zalane krwią i zakryte włosami, i nagle rozmywa się w kolorowe

plamy, staje się połączeniem materiału w czerwone pąki, rozpostartego na kamieniach.

Zakrywam dłońmi oczy, bo nagle robi się ciemno i pojawia się mężczyzna ze świecą blokujący dostęp do schodów, które prowadzą do góry, a mnie otaczają ściany piwnicy i wiem, że nigdy się stąd nie wydostanę.

Oto co powiedziałam doktorowi Jordanowi, kiedy doszliśmy do tej części historii.

II

Wyboista droga

We wtorek, dziesięć minut po dwunastej, w nowym więzieniu w tym mieście na Jamesie McDermocie, zabójcy pana Kinneara, został wykonany surowy wyrok. Zgromadził się ogromny tłum mężczyzn, kobiet i dzieci, niespokojnie oczekujący na ostatnią walkę tej grzesznej istoty. Nie sposób się domyślić, jakie uczucia powodują kobietami, które przez błoto i deszcz, z bliska i daleka, ściągnęły tu, by stać się świadkami tego straszliwego widowiska. Ośmielamy się stwierdzić, że nie były one zbyt delikatne ani wyrefinowane. Okrutny zbrodniarz w tej przerażającej chwili wykazał się podobnym chłodem i brakiem strachu, jakie cechowały jego zachowanie od momentu aresztowania.

TORONTO MIRROR

23 listopada 1843

Przewinienie

Kara

Śmiech lub rozmowy

6 uderzeń batem dziewięciorzemiennym

Rozmowy w umywalni

6 uderzeń batem rzemiennym

Groźenie śmiercią innemu więźniowi

24 uderzenia batem dziewięciorzemiennym

Rozmowy z opiekunami na tematy niezwiązane z ich pracą

6 uderzeń batem dziewięciorzemiennym

Narzekanie na jedzenie, kiedy strażnicy każą siadać

6 uderzeń batem rzemiennym; chleb i woda

Rozglądanie się i brak uwagi przy śniadaniu

chleb i woda

Porzucenie pracy i udanie się w miejsce ustronne, gdzie przebywa inny więzień

36 godzin w ciemnej celi; chleb i woda

KSIĘGA KAR

Więzienie okręgowe w Kingston, 1843



Grace Marks alias Mary Whitney James McDermott

Tak wyglądali w sądzie. Oskarżeni o zabójstwo pana Thomasa Kinneara i Nancy Montgomery. *Trial of James McDermott and Grace Marks... for the murder of Thomas Kinnear...* Toronto, 1834 (Courtesy, Metropolitan Toronto Reference Library).

ZBRODNIA DOKONANA NA THOMASIE KINNEARZE, ESQ. I JEGO
GOSPODYNI NANCY MONTGOMERY W RICHMOND HILL I PROCES GRACE
MARKS I JAMESA MCDERMOTTA ORAZ POWIESZENIE JAMESA
MCDERMOTTA W NOWYM WIĘZIENIU W TORONTO, 21 LISTOPADA 1843
ROKU.

Panna służąca Grace Marks

Szesnaście wiosen skończyła,

McDermott zaś stajennym był

U imćpana Kinneara.

Pan Thomas Kinnear, dżentelmen,

Wygodne życie wiódł,

I gospodynię, Nancy Montgomery,

Ukochał, istny cud.

O droga Nancy, nie rozpaczaj,

Do Toronto jechać czas,

Pieniądzy przywiozę ci wnet

Z torontońskich banków kas.

Z Nancy żadna wielka dama,

I żadna z niej królowa,
Lecz w jedwabie stroi się,
Jak każe miejska moda.

Z Nancy żadna wielka dama,
A wciąż pomiata mną,
Przez dzień cały mnie pogania,
Aż mnie zapędzi w grób.

Grace dobrego kochała Kinneara,
McDermott ukochał swą Grace,
I powiadam, to właśnie miłość
Przyniosła nieszczęścia te.

O Grace, bądź ukochaną mą,
Och nie, to nie może być,
Wpierw żeby dowieść miłość swą,
Zabijesz Nancy Montgomery.

Więc siekierą ostrą trach
Pięknej Nancy rozbił głowę,

Zawłókł do piwnicy drzwi
I zrzucił w dół po schodach.

O, daruj mi życie, McDermott,
O, błagam, daruj mi,
O, daruj mi życie, Grace Marks,
A dam ci suknie trzy.

Nie proszę dla siebie, nie dla dzieciątka,
Które w sobie wciąż noszę,
Dla mego lubego chcę dożyć dnia,
O to was tylko proszę.

McDermott za włosy chwycił ją,
A Grace chwyciła za głowę,
I straszni ci zbrodźcy dwaj
Zadusili na śmierć niebogę.

Cóż ja zrobiłem, jestem zgubiony,
I o swe życie drzę,
By się ocalić, pana Kinneara
Skazać musimy na śmierć.

Och nie, och nie, ja błagam cię,
Ocal go, daruj mu życie!
On musi umrzeć, przyrzekłaś mi,
Że będziesz moją o świcie.

Pan Kinneer do domu wrócił
I koło kuchennych drzwi
McDermott wystrzelił w serce mu
I pławił się w jego krwi.

Przyszedł wędrowny kramarczyk,
Czy kupisz ode mnie coś?
Idź precz, panie kramarzu,
Ja sukni mam już dość.

A potem nadszedł rzeźnik,
Co tydzień przynosił coś,
Idź precz, panie rzeźniku,
My mięsa mamy dość!

Kinnearowi zgrabili srebra,
I złota moc zabrali,
Ukradli konia, powóz też
I do Toronto odjechali.

Więc w samym środku nocy
Do Toronto umykają,
I przez Jezioro do Ameryki Stanów
Od kary słusznej czmychają.

McDermotta ujęła za rękę,
Tak śmiało, jak zdołała,
I jako Mary Whitney
W gospodzie Lewiston się zatrzymała.

Trupy znaleźli w piwnicy,
Nancy twarz czarną miała,
Kinnear na plecach skonał,
A ona pod balią leżała.

Szeryf Kingsmill, ścigając ich,
Wskoczył u brzegu na prom,

Którym czym prędeż popłynął
Przez Jezioro do Lewiston.

Nawet sześciu godzin nie spali,
Nie utuliły ich jeszcze sny,
Kiedy przyjechał, odnalazł ich,
Zastukał do gospody drzwi.

Kto tam? – pyta piękna Grace,
Po co pan puka do drzwi?
Zabiliście pana Thomasa
I Nancy Montgomery.

Grace Marks stanęła przed sądem,
Wszystkiego się wyparła.
Nie widziała, jak pan upadał,
Nie wie, jak Nancy umarła.

Zmusił mnie, bym mu pomogła,
I ostrzegł, że gdybym „nie” rzekła,
Weźmie jedną ze swoich strzelb

I wyśle mnie prosto do P...ła.

McDermott stanął przed sądem,

Nie zrobiłem tego sam,

To urok nadobnej Grace Marks

Do zbrodni przywiódł mnie bram.

Młody Jamie Walsh przed sądem

Całą prawdę przysiągł rzec,

Grace ma na sobie suknię Nancy

I Nancy czepeczek też!

McDermott dostał stryczek,

Na szubienicy zawisł wysokiej,

A Grace do więzienia wtrącili,

Gdzie wciąż to płacze i szlocha.

McDermott wisiał godziny dwie

Aż wreszcie trupa zdjęli,

Na uniwersytet zawieźli go

I tam na kawałki pocięli.

Na grobie Nancy wyrosła róża,
A nad Kinnearem winne pędy
Wysoko się wzbiły i splotły,
I tak kochanków złączyły więzy.

A nieszczęsną Grace Marks,
Za grzechy i zbrodnię tą
Na resztę życia wtrącili ją
Do celi więziennej w Kingston.

Lecz jeśli skrucę poczuje,
Za grzechy żałować zacznie,
To kiedy umrze, powstanie znów,
Przy tronie Odkupiciela spocznie.

Przy tronie Odkupiciela spocznie,
Zmyty będzie z niej grzech,
Jej dłonie z krwi się obmyją
I będzie czysta jak śnieg.

Czysta będzie jak śnieg,

W niebiańskim znajdzie się gaju,

W Domu Pańskim zamieszka,

Odpocznie wreszcie w Raju1.

1 przeł. Krzysztof Zabłocki.

III

Gra w cztery kąty

To kobieta średniego wzrostu, o lekkiej, wdzięcznej sylwetce. Na jej twarzy maluje się melancholia, której widok jest przejmująco bolesny. Ma jasną cerę, która – zanim odbarwił ją beznadziejny smutek – musiała być świetlista. Jej oczy są jaskrawoniebieskie, a twarz byłaby nawet przystojna, gdyby nie podłużny, wygięty do góry podbródek, nadający jej – jak to zwykle bywa u ludzi dotkniętych tym defektem – wyraz przebiegłości i okrucieństwa.

Grace Marks spogląda z ukosa, ukradkiem. Nigdy nie patrzy nikomu prosto w oczy, a gdy już obrzuci kogoś niechętnym spojrzeniem, potem nieodmiennie wbija wzrok w ziemię. Raczej nie sprawia wrażenia osoby tak niskiego stanu...

Susanna Moodie

Life in the Clearings, 1853

Pojmana uniosła twarz; tak błoga była, tak łagodna,
Jak z marmuru rzeźba święta, jak dziecina piersi głodna.
Tak czuła była i słodka, tak jasna i świetlista,
Od śladu bólu wolna, od cienia żalu czysta!

Pojmana dłoń uniosła, przywarła ją do skroni:
„Cierpię – rzekła – bom raniona od waszej broni.
Lecz na nic zdadzą się rygle i żelazne sztaby,
Choćby w stali wykute, uwolnię się od nich niebawem”.

Emily Brontë

Uwięziona, 1845

1859

Siedzę na fioletowej aksamitnej sofie w salonie komendanta, w salonie żony komendanta. Zawsze był salonem żony komendanta, chociaż nie zawsze była to ta sama żona, gdyż zmieniają się one razem z polityką. Ręce, jak nakazuje zwyczaj, złożyłam na podółku, ale nie mam rękawiczek. Rękawiczki, jakie chciałabym nosić, powinny być gładkie, białe i idealnie dopasowane.

Często bywam w tym salonie, zbieram naczynia po herbacie, odkurzam stoliki, podłużne lustro w ramie rzeźbionej w winogrona i liście, fortepian i wysoki zegar z Europy z pomarańczowo-niebieskim słońcem i srebrnym księżycem, które w zależności od pory dnia i tygodnia w miesiącu chowają się lub pokazują. Ze wszystkich mebli w salonie najbardziej podoba mi się ten zegar, chociaż mierzy czas, a tego mam zbyt wiele przed sobą.

Jednak nigdy przedtem nie siedziałam na tej sofie, jest przeznaczona dla gości. Pani Aldermanowa Parkinson kiedyś powiedziała, że dama nie powinna siadać na krześle, które przed chwilą zwolnił dżentelmen, ale nie wyjaśniła dlaczego. Mary Whitney powiedziała mi później: „Dlatego, ty głupia gąsko, że krzesło jest jeszcze ciepłe od jego tyłka”, co zabrzmiało bardzo ordynarnie. Nie mogę więc powstrzymać się od myślenia o damskich tyłkach, które do tej pory siedziały na tej właśnie sofie, a wszystkie takie delikatne i białe niczym galaretowate jajka na miękko.

Panie są w popołudniowych sukniach, z rzędami guzików z przodu i sztywnymi krynolinami na drucianych obręczach pod spodem. Ciekawe, że w ogóle mogą w tym siadać i że kiedy chodzą, pod falującymi spódnicami oprócz halek i pończoch nic nie dotyka ich nóg. Wyglądają jak łabędzie, sunąc tak na niewidzialnych nogach, albo jak meduzy, które unosiły się na wodzie w skalistej przystani koło naszego domu, kiedy byłam mała, jeszcze zanim udałam się w tę długą, smutną podróż przez ocean. Meduzy były w kształcie dzwonek i falowały wdzięcznie i pięknie pod wodą, lecz kiedy fale wyrzuciły je na brzeg i kiedy wyschły na słońcu, nic z nich nie zostawało. I takie właśnie są te damy: zrobione głównie z wody.

Nie było krynolin na obręczach, kiedy mnie tu przywieziono po raz pierwszy. Robiono je z końskiego włosia, jako że drucianych jeszcze nikt nie wymyślił. Oglądam je wiszące w szafach, kiedy przychodzę sprzątnąć brudną wodę po toalecie. Przypominają klatki dla ptaków, ale co jest w nich uwięzione? Nogi, nogi dam, nogi tak zamknięte, by nie mogły się wydostać i ocierać o spodnie dżentelmenów. Żona komendanta nigdy nie wymawia słowa „nogi”, chociaż użyły go gazety, pisząc o Nancy, której martwe nogi wystawały spod balii.

Przychodzą nie tylko meduzowate damy. We wtorki mamy Kwestię Kobiet i emancypację oraz reformatorów obu płci, a we czwartki – kółko spirytystyczne, którego

członkowie przychodzą na herbatkę i żeby porozmawiać ze zmarłymi, co jest wielką pociechą dla żony komendanta, ponieważ zmarło jej dziecko. Siedzą, popijając z cienkich filiżanek, a żona komendanta dzwoni maleńkim dzwoneczkiem z porcelany. Nie podoba jej się to, że jest panią komendantową, wolałaby, żeby jej mąż był komendantem czegoś innego niż więzienie. Komendant miał wystarczająco dużo przyjaciół, by zostać komendantem, ale nie przydali mu się już do niczego innego.

No więc pani komendantowa tkwi tu, musi jak najlepiej wykorzystać swą pozycję społeczną i osiągnąć jak najwięcej, a ja – choć przedmiot lęku, jak pająk, ale również obiekt dobroczynności – jestem jednym z jej osiągnięć. Wchodzę do pokoju, dygam i zaczynam się krzątać z zaciśniętymi ustami i schyloną głową, zbieram filiżanki albo je ustawiam – to zależy – a damy ukradkiem przyglądają mi się spod swych kapeluszy.

Chciały mnie zobaczyć, bo jestem uznaną morderczynią. To znaczy tak o mnie napisano. Kiedy przeczytałam to pierwszy raz, byłam zdziwiona, bo przecież mówi się „uznany śpiewak” i „uznana poetka”, „uznane medium” i „uznana aktorka”, ale jakie uznanie można mieć dla morderstwa? Tak czy inaczej, „morderczyni” to mocne słowo. Ma też swój zapach – piżmowy i ciężki, jak zwiędłe kwiaty w wazonie. Niekiedy w nocy szepczą je: „morderczyni”, „morderczyni”. Szeleści jak spódnica z tafty na podłodze.

Słowo „morderca” jest po prostu brutalne. Brzmi jak uderzenie młotka albo kawałka metalu. Już wolę być morderczynią niż mordercą, skoro tylko taki mam wybór.

Czasami, kiedy odkurzam lustro z winogronami, patrzę na swoje odbicie, chociaż wiem, że to próżność. W popołudniowym świetle salonu moja skóra jest blada jak wyblakły siniak, a zęby mają zielonkawy odcień. Myślę o wszystkich tych rzeczach, które o mnie napisano – że jestem nieludzkim potworem w skórze kobiety, że jestem niewinną ofiarą łajdaka, który pozbawił mnie własnej woli i groził mi śmiercią, że byłam zbyt nieświadoma, żeby wiedzieć, jak mam postąpić, i że powieszenie mnie byłoby przestępstwem popełnionym w majestacie prawa, że lubię zwierzęta, że jestem bardzo przystojna i mam świetlistą cerę, że mam niebieskie oczy, że mam zielone oczy, że mam kasztanowate, a także brązowe włosy, że jestem wysoka, ale również średniego wzrostu, że jestem dobrze i porządnie ubrana, że obrabowałam w tym celu zamordowaną kobietę, że sprawnie wykonuję swoją pracę, że mam kapryśne i kłótlive usposobienie, że raczej sprawiam wrażenie osoby wyższego stanu, że jestem dobrą dziewczyną o ustępliwej naturze i że nie można mi nic zarzucić, że jestem podstępna i kłamliwa, że mam nie po kolei w głowie i że jestem niewiele mądrzejsza od idioty. Ciekawe, jak można mówić o mnie tyle różnych rzeczy?

To mój własny obrońca, pan Kenneth MacKenzie, Esq., powiedział im, że brakuje mi piątej klepki. Byłam na niego o to zła, ale wyjaśnił, że to moja ostatnia szansa i że nie powinnam wyglądać na zbyt inteligentną. Powiedział, że zrobi, co w jego mocy, bo w końcu byłam wtedy jeszcze dzieckiem. Okazał się miłym dżentelmenem i chociaż nie rozumiałam ani słowa z tego, co mówił, to na pewno jego mowa obrończa była wyśmienita. Gazety pisały, że heroicznie odpierał wszelkie przytłaczające zarzuty. Nie wiem jednak, dlaczego nazywa się to „mowa obrończa”, skoro wcale nie usiłował mnie bronić, tylko starał się pokazać, że wszyscy świadkowie byli niemoralni, złośliwi albo się mylili.

Ciekawe, czy w ogóle uwierzył choć w jedno moje słowo.

Kiedy wychodzę z salonu, panie zaglądną do albumu żony komendanta. „Och, wyobrażam sobie, aż mi się robi słabo” – mówią. „Pozwalasz tej kobiecie chodzić po swoim domu? Musisz mieć nerwy ze stali, ja bym tego nie wytrzymała”. „Och, w naszej sytuacji trzeba się przyzwyczajać do takich rzeczy, wiesz, właściwie to sami jesteśmy więźniami, no i trzeba mieć litość dla tych biednych, ciemnych istot, a poza tym ona się uczyła na służącą, to świetna krawcowa, całkiem zręczna i zwinna, jest doskonałą pomocą, zwłaszcza przy sukniach dziewcząt, ma oko do ozdabiania i w szczęśliwszych okolicznościach może zostałaby pomocnicą modystki.

Oczywiście może tu przebywać w ciągu dnia, ale wolałabym jej nie zatrzymywać na noc. Cały czas pamiętam o tym, że była w domu dla obłąkanych w Toronto, siedem czy osiem lat temu, i chociaż wygląda na to, że już całkiem doszła do siebie, to przecież nigdy nie wiadomo, czy jej znowu coś nie napadnie – czasami mówi do siebie i śpiewa głośno w bardzo dziwaczny sposób. Nie można ryzykować. Wieczorem strażnicy odprowadzają ją i zamykają w celi, inaczej nie zmrużyłabym oka”. „Och, niczego ci nie zarzucam. Są przecież granice chrześcijańskiego miłosierdzia. Lampart nie zmienia swoich cętek i nikt nie może powiedzieć, że nie spełniłaś swojego obowiązku i nie okazałaś serca”.

Żona komendanta trzyma swój album na okrągłym stoliku przykrytym jedwabnym szalem, na którym są splecione gałęzie podobne do winorośli, kwiaty, czerwone owoce i niebieskie ptaki – jedno wielkie drzewo – i jeżeli patrzy się na nie wystarczająco długo, winorośl zaczyna falować, jakby w podmuchach wiatru. Ten szal przysłała jej z Indii najstarsza córka, która jest żoną misjonarza, co jest dla mnie nie do pomyślenia. Na pewno umarłabym młodo: jeśli nie w zamieszkach, takich jak te w Cawnpore, gdzie dopuszczono się straszliwych czynów na osobach szanowanych dam, i całe szczęście, że je wszystkie potem zabito i położono kres ich cierpieniom, bo wstyd byłby niewyobrażalny, to na malarię, od której zupełnie się żółknie i kona w potwornych mękach. W każdym razie, zanim bym się obejrzała, już bym leżała pogrzebana pod jakąś palmą, w obcym kraju. Widziałam takie zdjęcia w książce ze wschodnimi sztychami, którą żona komendanta wyjmuje, kiedy ma ochotę uronić parę łez.

Na tym samym okrągłym stoliku leży sterta magazynów „Godey’s Ladies’ Book” z fasonami prosto ze Stanów, a także albumy Keepsake należące do dwóch młodszych córek. Panienska Lydia twierdzi, że jestem postacią romantyczną, ale w końcu obie córki są jeszcze tak młode, że nie wiedzą, co mówią. Czasami próbują mnie wybać i drażnią się ze mną: „Grace, dlaczego ty się nigdy nie uśmiechasz i nie śmiejesz?”, a ja na to: „Chyba zapomniałam, jak się to robi, twarz już mi się nie chce układać w ten sposób”. Gdybym się raz roześmiała, pewnie już bym nie mogła przestać, poza tym to by zniszczyło ich romantyczne wyobrażenie o mnie. Romantyczni ludzie nie powinni się śmiać, wiem to ze zdjęć.

Córki wklejają rozmaite rzeczy do swoich albumów: kawałeczki materiału z sukni, strzępki wstążek, zdjęcia wycięte z magazynów – ruiny starożytnego Rzymu, malownicze

klasztory we francuskich Alpach, stary most Londyński, wodospad Niagara latem i zimą, który bardzo chciałabym zobaczyć, bo podobno robi ogromne wrażenie, oraz zdjęcia Lady Takiej-to-a-takiej i Lorda Owakiego z Anglii. A ich przyjaciółki wpisują im się swym czarującym charakterem pisma: *Najdroższej Lydii od przyjaciółki na wieki, Clary Richards; Najdroższej Marianne na pamiątkę naszego cudownego pikniku nad Jeziorem Błękitnym w Ontario*. I wiersze:

Jak dzikie wino, co krzepki dąb
Oplata w swoich zwojach,
Tak ja najszczerzej przyrzekam Ci,
Na zawsze będę Twoja.
– Oddana ci Laura.

Albo:

Choć odejdę w ciemną dal,
Nie trap się, kochana.
Więź, co łączy dusze dwie,
Nie może być zerwana.
– Twoja Lucy.

Ta młoda dama niedługo potem utonęła w Jeziorze, kiedy jej statek poszedł na dno podczas sztormu, i nie znaleziono po niej nic oprócz pudełka z inicjałami zrobionymi ze srebrnych gwoździków. Było zamknięte, więc chociaż przemokło, nic z niego nie wypadło i panienka Lydia dostała szarfę na pamiątkę.

Kiedy umrę, kiedy zginę,
Kiedy już nie będzie mnie,
Wtedy karty te rozwinięsz
I przypomnisz sobie mnie.

Ten wiersz jest podpisany: *Zawsze będę duchem z Tobą, Twoja kochająca „Nancy”*, Hannah Edmonds, i muszę przyznać, że kiedy go zobaczyłam po raz pierwszy, aż mnie ciarki przeszły, chociaż oczywiście chodziło o inną Nancy. Gdy ją znaleźli, całą twarz miała czarną i pewnie musiała strasznie cuchnąć. Wtedy było gorąco, lipiec, ale i tak zgnęła zdumiewająco szybko. W pamiętniku przetrwałaby dłużej, tam jest zwykle dość chłodno. Cieszę się, że mnie tam nie było, bo na pewno okropnie bym się

zdenerwowała.

Nie mam pojęcia, dlaczego wszystkim tak bardzo zależy, żeby o nich pamiętano. Co im z tego przyjdzie? Są rzeczy, o których wszyscy powinni zapomnieć i nigdy więcej o nich nie wspominać.

Album żony komendanta jest zupełnie inny. Oczywiście to dorosła kobieta, a nie dziewczynka, więc chociaż i ona bardzo lubi wspominać, najchętniej wspomina co innego niż pikniki. Żadnych tam „najdroższa”, „kochana” i „piękna”, żadnych „Twoja na wieki”, nic z tych rzeczy. Żona komendanta w swoim pamiętniku trzyma wycinki o słynnych przestępcach – tych, których powieszono albo osadzono tutaj, w więzieniu, bo to właśnie jest więzienie albo zakład poprawczy, i trzeba się w nim poprawić, i lepiej zrobisz, mówiąc, że tak się stało, bez względu na to, czy rzeczywiście wymagasz poprawy.

Żona komendanta wycina z gazet te historie i wkleja je do albumu, a nawet wysyła listy z prośbą o stare gazety opisujące zbrodnie, które zostały popełnione, zanim została żoną komendanta. To jej kolekcja. Pani komendantowa jest damą, a one wszystkie teraz coś kolekcjonują, więc i ona musi. Woli to od rozsadzania paproci czy suszenia kwiatków, a już na pewno lubi przerażać swoje znajome.

Przeczytałam więc, co napisali o mnie. Sama mi pokazała ten album, pewnie chciała się przekonać, co zrobię, ale ja się nauczyłam w każdej sytuacji zachowywać kamienną twarz. Wybałuszyłam oczy jak sowa porażona światłem latarni i powiedziałam, że gorzko żałuję i że teraz jestem inną osobą i czy życzy sobie, żebym już pozbiierała filiżanki. Od tamtej pory wiele razy, ilekroć tylko zostawałam sama w salonie, zaglądałam do albumu.

W ogromnej części to same kłamstwa. W gazecie napisali, że jestem analfabatką, a przecież już wtedy umiałam trochę czytać. Matka wcześniej zaczęła mnie uczyć, zanim za bardzo się tym zmęczyła. Resztkami nici wyszywałam litery: A jak azalia, B jak byk. Niekiedy też u pani Aldermanowej przy cerowaniu czytała ze mną Mary Whitney. Od tamtej pory zrobiłam duże postępy, bo w więzieniu celowo nas uczą. Chcą, żebyśmy potrafiły czytać Biblię i traktaty, gdyż religia i porządne lanie to jedyne lekarstwo na zepsuty charakter, a o nasze nieśmiertelne dusze trzeba dbać. Niesamowite, ile zbrodni jest w Biblii. Żona komendanta powinna wyciąć je wszystkie i wkleić do swojego albumu.

Ale powiedzieli też trochę prawdy. Napisali, że mam dobry charakter – i to się zgadza, bo nikt jeszcze mnie nie wykorzystał, chociaż wielu próbowało. A jednak nazwali Jamesa McDermotta moim kochankiem. Dokładnie tak napisali w gazecie. Uważam, że to niesmaczne, wypisywać takie rzeczy.

To właśnie interesuje ich najbardziej – te sprawy między panami i paniami. Nic ich nie obchodzi, czy kogoś zabiłam, mogłabym poderżnąć z dziesięć gardel – to podziwiają tylko u żołnierzy, a jeśli chodzi o mnie, nawet by im powieka nie drgnęła. Nie, ich interesuje to, czy rzeczywiście miałam kochanka, a nawet sami nie wiedzą, jaką odpowiedź by woleli.

Teraz nie zaglądam do albumu, bo w każdej chwili mogą wejść. Siadam, składając na podolku swe szorstkie dłonie, spuszczam oczy i wbijam wzrok w kwiaty na tureckim dywanie. A może tylko to miały być kwiaty. Mają pąki w kształcie karo na kartach, takich jak te, które pan Kinnear wczoraj wieczorem, po wyjściu gości, rozkładał na stole. Twarde i kanciaste. Ale czerwone, głęboko, soczyście czerwone. Czerwone języki wystające z ust uduszonych ludzi.

Dzisiaj żona komendanta spodziewa się nie pań, lecz lekarza. On pisze książkę. Żona komendanta lubi ludzi, którzy piszą książki, książki postępowe. To oznacza, że jest liberalnie myślącą osobą o postępowych poglądach: nauka tak idzie do przodu, a te nowoczesne wynalazki i Pałac Kryształowy, i cała światowa wiedza, kto wie, do czego dojdziemy za sto lat.

Pojawienie się lekarza zawsze źle wróży. Nawet jeżeli sami nie zabijają, to ich przybycie zawsze oznacza rychłą śmierć, przez co przypominają kruki i wrony. Ale żona komendanta obiecała mi, że ten lekarz mnie nie skrzywdzi. Chce tylko zmierzyć mi głowę. Mierzy głowy wszystkich przestępców w więzieniu, żeby zobaczyć, czy na podstawie wypukłości na ich czaszkach da się stwierdzić, jacy to przestępcy: kieszonkowcy, oszuści, malwersanci, krwiożerczy szaleńcy czy mordercy – nie dodała: „Jak ty, Grace”. Potem można by zamykać tych ludzi, zanim zdążą popełnić jakieś przestępstwo. Pomyśleć tylko, jak to by ulepszyło świat.

Po powieszeniu Jamesa McDermotta zrobiono gipsowy odlew jego głowy. To też wyczytałam w albumie. Pewnie do tego właśnie był im potrzebny – żeby ulepszyć świat.

A jego ciało poddano sekcji. Kiedy to przeczytałam, nie wiedziałam, co znaczy „sekcja”, ale wkrótce odkryłam. Zrobili ją lekarze. Pocięli go na kawałki jak świnię, którą trzeba nasolić. Dla nich równie dobrze mógłby być kawałkiem boczku. Pamiętam jego oddychające ciało i bijące serce i kiedy pomyślę, jak kroi je nóż, nie mogę tego znieść.

Ciekawe, co zrobili z jego koszulą. Czy to była jedna z tych czterech, które mu sprzedał domokrażca Jeremiasz? Powinien był ich kupić trzy albo pięć, bo nieparzyste liczby zawsze przynoszą szczęście. Jeremiasz zawsze mi życzył szczęścia, ale Jamesowi nigdy.

Nie widziałam egzekucji. Powiesili go przed więzieniem w Toronto. „Powinnaś tam być, Grace – mówią dozorczy – miałabyś niezłą nauczkę”. Wiele razy to sobie wyobrażałam. Biedny James stoi ze związanymi rękoma i obnażoną szyją, a kat zakłada mu kaptur na szyję, jakby James był kociakiem, którego trzeba utopić. Przynajmniej miał przy sobie księdza, nie był taki samotny. „Gdyby nie Grace Marks – powiedział – nigdy by się to nie stało”.

Padął deszcz i wielki tłum stał w błocie, niektórzy przyjechali z bardzo daleka. Gdyby mój wyrok śmierci nie został w ostatniej chwili zmieniony, z taką samą łapczywą radością przyszliby pod moją szubienicę. Było tam wiele kobiet i dam. Wszyscy chcieli popatrzeć, wszyscy chcieli wchłaniać zapach śmierci niczym woń wykwintnych perfum, a kiedy o tym czytałam, pomyślałam sobie: „Jeżeli to ma być dla mnie nauczka, to czego mam się tu nauczyć?”.

Słyszę już ich kroki, więc wstaję szybko i wyglądam fartuszek. Słyszę jakiś obcy męski głos: „To niezwykle uprzejmie z pani strony”, a żona komendanta odpowiada: „Tak

się cieszę, że mogę pomóc”, a on powtarza: „Niezwykle uprzejmie”.

Potem wchodzi. Ma wielkie brzuszysko, czarny płaszcz, ciasną kamizelkę, srebrne guziki, starannie zawiązany szeroki krawat. Nie podnoszę wzroku nad jego brodę.

– To nie potrwa długo, proszę pani – mówi – ale byłbym niezmiernie wdzięczny, gdyby została pani w pokoju. Trzeba nie tylko być cnotliwym, ale również zachowywać pozory cnoty.

Śmieje się, jakby opowiedział dowcip, a ja słyszę, że się mnie boi. Kobieta taka jak ja zawsze stanowi pokusę, zwłaszcza na osobności; cokolwiek bym potem o tym powiedziała i tak nikt by mi nie uwierzył.

I wtedy widzę, jak jego ręka, przypominająca rękawiczkę wypchaną surowym mięsem, nurkuje w otwarte usta skórzanej torby. Wynurza się z niej z czymś lśniącym i w tym momencie przypomina mi się, że już ją kiedyś widziałam. Podnoszę głowę i spoglądam mu prosto w oczy, i wtedy serce mi się ściska boleśnie, i zaczynam krzyżeć.

Bo to ten sam lekarz, dokładnie ten sam, ten sam lekarz w czarnym płaszczu, z torbą pełną lśniących noży.

Chluśnięto mi w twarz szklanką zimnej wody, ale ja wrzeszczałam dalej, chociaż lekarz już sobie poszedł. Przytrzymały mnie więc dwie pomoce kuchenne i chłopak ogrodnika, który usiadł mi na nogach. Żona komendanta posłała po nadzorczynię z więzienia, która przybyła z dwoma strażnikami. Wymierzyła mi siarczysty policzek, co natychmiast zamknęło mi usta. W każdym razie nie był to ten sam lekarz, tylko wyglądał tak jak on. Był tak samo lodowaty i chciwy i pełen nienawiści.

– Z histeryczkami można tylko w ten sposób, proszę pani – powiedziała nadzorczyńni. – Jesteśmy dobrze obeznane z takimi atakami, a ta więźniarka jest na nie szczególnie podatna. Nigdy jednak jej nie pobłażaliśmy, ciężko nad nią pracowaliśmy i już nam się zdawało, że dała z tym spokój. To pewnie nawrót jej starej choroby, bo pomimo tego, co mówią o niej w Toronto, siedem lat temu była bardzo agresywną wariatką i ma pani szczęście, że nie miała teraz pod ręką nożyczek czy innych ostrych narzędzi.

Potem strażnicy niemalże zawlekli mnie do głównego budynku więzienia i zamknęli w celi, dopóki – jak powiedzieli – nie dojdę do siebie, chociaż powtarzałam, że już mi lepiej, teraz, kiedy nie ma w pobliżu tego lekarza z nożami. Powiedziałam, że boję się lekarzy, i to wszystko, że tak jak inni boją się węży, tak ja się boję, że mogliby mnie rozkroić, ale oni na to:

– Dosyć tych sztuczek, Grace, po prostu chciałaś zwrócić na siebie uwagę. On wcale nie chciał cię rozkroić, w ogóle nie miał ze sobą noży, tylko cyrkiel, żeby zmierzyć ci głowę. Okropnie przestraszyłaś żonę komendanta, ale dobrze jej tak, za bardzo cię psuła, zrobiła z ciebie swojego pieska pokojowego, czyż nie tak, i nasze towarzystwo już ci nie odpowiada. Tym gorzej dla ciebie, będziesz musiała je znosić, bo teraz przez jakiś czas inaczej będziemy cię traktować. Dopóki się nie postanowi, co z tobą zrobić.

W tej celi jest tylko jedno małe, zakratowane od wewnątrz okienko wysoko na ścianie i wypchany słomą siennik. Na blaszanym talerzu leży skórka od chleba, na podłodze stoi kamienny garnek z wodą, a w kącie – drewniany kubeł służący za nocnik. W takiej samej celi zamknięto mnie, zanim zostałam wysłana do domu dla obłąkanych. Mówiłam im, że nie jestem szalona, że to nie ja, ale oni nie chcieli mnie słuchać.

Zresztą i tak nie rozpoznałyby wariata, nawet gdyby go zobaczyli, bo spora część kobiet w domu dla obłąkanych była nie bardziej szalona niż królowa Anglii. Wiele z nich zachowywało się normalnie po trzeźwemu, a ich szaleństwo wyłaziło z butelki, o czym sama dobrze wiem. Jedna znalazła się tam dlatego, że chciała uciec od męża, który bił ją na kwaśne jabłko. To on był wariatem, a jednak nikt go nie zamknął. Inna twierdziła, że traci zmysły jesienią, bo nie ma wtedy gdzie mieszkać, a w domu dla obłąkanych jest ciepło, i gdyby nie udawała wariatki, zamarzłaby na śmierć. Wiosną nagle odzyskiwała rozum, bo na dworze robiło się ładnie, więc mogła znowu zacząć się włóczyć po lasach

i łowić ryby, a jako półkrwi Indianka była w tym dobra. Sama bym tak chciała, gdybym wiedziała, jak to się robi, i gdybym nie bała się niedźwiedzi.

Niektóre jednak nie udawały. Jednej biednej Irlandce wymarła cała rodzina. Połowa umarła podczas wielkiej klęski głodu, a drugą połowę wytrzebiła cholera, która wybuchła na statku. Ta Irlandka chodziła potem, wołając ich. Cieszę się, że wyjechałam z Irlandii jeszcze przed tym głodem, bo cierpienia, o jakich mi opowiadała, musiały być straszliwe. Wszędzie leżały ciała, których nie miał kto pogrzebać. Inna kobieta zabiła własne dziecko, które potem wszędzie za nią chodziło, czepiając się jej spódnicy. Niekiedy brała je na ręce i całowała, a kiedy indziej wrzeszczała na nie i tłukła je pięściami. Jej się bałam.

Jeszcze inna była bardzo religijna. Ciągłe się modliła i śpiewała, a kiedy się dowiedziała, co o mnie mówiono, zaczęła mnie prześladować. „Na kolana! – krzyczała. – Nie zabijaj! Ale Bóg jest łaskawy dla grzeszników. Żałuj za grzechy, żałuj, póki jeszcze czas, bo inaczej czeka cię potępienie”. Mówiła zupełnie jak ksiądz w kościele, a raz nawet próbowała mnie ochrzcić zupą, cienką zupą z kapustą. Wylała mi na głowę całą łyżkę. Kiedy się poskarżyłam przełożonej, ta zacisnęła usta, spojrzała na mnie lodowato i powiedziała:

– No cóż, Grace, może powinnaś jej posłuchać, nigdy nie słyszałam, żebyś szczerze żałowała swego postępku, chociaż potrzebuje tego twoje zatwardziałe serce.

Wtedy nagle strasznie się zdenerwowałam i krzyknęłam:

– Ja niczego nie zrobiłam! Niczego nie zrobiłam! To ona, to jej wina!

– O kim ty mówisz, Grace? – spytała. – Uspokój się albo czeka cię zimna kąpiel i kaftan bezpieczeństwa. – Po czym rzuciła spojrzenie innej opiekunce: – A nie mówiłam? Wściekła jak osa.

Wszystkie opiekunki w domu dla obłąkanych były grube i silne, miały potężne ręce, podbródki, które im spływały wprost na szyję, i sztywne białe kołnierze, a ich włosy były zwinięte w węzeł niczym wyblakły zwój sznura. Potrzeba siły, żeby być opiekunką w tym domu, na wypadek gdyby któraś z wariatek skoczyła ci na plecy i zaczęła wyrwać włosy. Niekiedy nas prowokowały, zwłaszcza przed wizytacją. Chciały wizytatorom pokazać, jakie jesteśmy niebezpieczne, a także, jak świetnie dają sobie z nami radę. Dzięki temu robiły wrażenie bardziej przydatnych i zdolnych.

Więc przestałam im cokolwiek mówić. Zwłaszcza doktorowi Bannerlingowi, który przychodził do mojego pokoju, kiedy leżałam w ciemnościach ze związanymi rękami: „Leż spokojnie, chcę cię zbadać, nie ma sensu kłamać”. Także innym lekarzom, którzy mnie tam odwiedzali. „Och, doprawdy, co za fantastyczny przypadek” – zupełnie jakbym była cielęciem o dwóch głowach. W końcu w ogóle przestałam mówić, poza: „Tak, psze pani”, „Nie, psze pani”, „Tak, psze pana”, „Nie, psze pana”. I wtedy mnie odesłano do więzienia. Przedtem wszyscy spotkali się, ubrani w czarne marynarki. „Hm, aha, ehe, moim zdaniem, mój szanowny kolega wybaczy, ale śmiem się nie zgadzać”. Oczywiście wcale się nie przyznali na przykład do tego, że popełnili błąd, wsadzając mnie najpierw do domu dla obłąkanych.

Ludzie ubrani w pewien szczególny sposób nigdy się nie mylą. A także nigdy nie puszczają bąka. Jak mawiała Mary Whitney:

– Jeżeli w pokoju, w którym się znajdują, ktoś puścił bąka, mozesz być pewna, że

zrobiłaś to ty. A nawet jeżeli tego nie zrobiłaś, lepiej tego nie mów, bo usłyszysz: „Co za tupet!”, dostaniesz kopa w tyłek i wylecisz na ulicę.

Często mówiła takim prostym językiem. Mówiła „proszę panią” zamiast „proszę pani”. Nikt jej nigdy nie poprawiał. Ja sama kiedyś tak mówiłam, ale w więzieniu nauczyłam się lepszych manier.

Siadam na słomianym sienniku. Wydaje z siebie taki odgłos, jakby mnie uciszał. Jak woda na brzegu. Przesuwam się z jednej strony na drugą, wsłuchując się weń. Mogłabym zamknąć oczy i wyobrazić sobie, że jestem nad morzem w suchy, bezwietrzny dzień. W oddali, za oknem, ktoś rąbie drewno. Siekiera opada na dół, pojawia się niewidoczny błysk, a potem rozlega tępy dźwięk, ale skąd mam wiedzieć, czy to w ogóle jest drewno?

W celi jest chłodno. Nie mam szala, więc przytulam się sama do siebie, bo kto ma to zrobić? Kiedy byłam młodsza, wierzyłam, że jeżeli obejmę się ramionami wystarczająco mocno, zmniejszę się, bo dla mnie nigdy nie wystarczało miejsca – w domu czy gdziekolwiek indziej. Gdybym była mniejsza, tobym się zmieściła.

Włosy wymykają mi się spod czepka. Rude włosy wilkołaka. Dzikiej bestii, jak pisały gazety. Potwora. Kiedy przyjdą z kolacją, włożę sobie na głowę wiadro na odchody, schowam się za drzwiami i ich przestraszę. Skoro tak bardzo chcą potwora, to go będą mieli.

Nigdy jednak nie robię takich rzeczy. Tylko je sobie wyobrażam. Gdybym tak zrobiła, nabrałoby pewności, że znowu zwariowałam. Mówią: „zwariowała”, a czasami: „odchodzi od zmysłów”, jakby zmysły były jakimś kierunkiem, domem, z którego można wyjść, albo obcym krajem, do którego się wyjeżdża. Ale kiedy się wariuje, wcale nie zmienia się miejsca, zostaje się tu, gdzie się jest. A wchodzi ktoś inny.

Nie chcę siedzieć sama w tej celi. Ściany są zbyt puste, nie ma na nich ani obrazów, ani zasłon na małych, wysoko umieszczonych oknach, nie ma na co patrzeć, więc patrzę na ścianę, a po jakimś czasie pojawiają się na niej obrazy i wyrastają czerwone kwiaty.

Chyba zasnęłam.

Jest rano, ale którego dnia? Drugiego albo trzeciego. Za oknem jest jasno i to mnie obudziło. Z wysiłkiem się podnoszę, szczypię się w policzki i mrugam oczami i wreszcie cała zeszywniała wstaję z szeleszczącego siennika. Potem śpiewam piosenkę, tylko po to, żeby usłyszeć własny głos i dotrzymać sobie towarzystwa:

Święty, święty, święty, wszechmogący Pan,
Każdy w rannej pieśni słać Ciebie chce.
Święty, święty, święty, ofiarowan nam,
Trójca przenajświętsza, Bóg w osobach trzech.

Nie mogą powiedzieć, że to nie hymn. Hymn na cześć poranka. Zawsze lubiłam

wschód słońca.

Potem wypijam resztkę wody. Potem chodzę po pokoju, potem podnoszę halki i sikam do kubła. Jeszcze parę godzin i zaczną przeciekać jak szambo.

Spanie w ubraniu jest męczące. Gniece się ubranie, a także ciało pod nim. Mam wrażenie, jakbym była zwinięta w tobołek i rzucona na podłogę.

Szkoda, że nie mam czystego fartuszka.

Nikt nie przychodzi. Pozostawiono mnie samej sobie, żebym porozmyślała o swoich grzechach i złym sprawowaniu, a to najlepiej wychodzi w samotności, w każdym razie „taka jest nasza fachowa – i to dobrze przemyślana – opinia, Grace, a my mamy duże doświadczenie w tych sprawach”. W odosobnieniu, a niekiedy i w ciemnościach. Są więzienia, w których całymi latami trzymają człowieka w takich pomieszczeniach, gdzie nie widzi się ani kawałka drzewa, konia czy ludzkiej twarzy. Niektórzy twierdzą, że to poprawia charakter.

Już wcześniej mnie tak zamykano. „Niepoprawna – uznał doktor Bannerling – przebiegła kłamczucha. Cicho bądź. Chcę zbadać budowę twojego mózgu, a najpierw zmierzę ci puls i ciśnienie”. Ja jednak wiedziałam, do czego on zmierza. „Zabieraj rękę z mojego cycka, ty wszawy draniu” – powiedziałyby Mary Whitney, ale ja zdołałam wydusić z siebie tylko: „Och, nie, nie”. Tak mnie skrępowali, że nie mogłam się ruszyć. Przytoczyli mnie do krzesła, z rękawami skrzyżowanymi na przodzie i związanymi z tyłu. Mogłam więc tylko zatopić zęby w jego palcach, a wtedy przewróciliśmy się na podłogę, skowycząc jak dwa kocięta w koszyku. Lekarz miał smak surowej kiełbasy i wilgotnej wełnianej bielizny. Powinien ją najpierw porządnie wyparzyć, a potem wybielić na słońcu.

Zeszłego wieczora i jeszcze poprzedniego nie dostałam kolacji, nic oprócz tego chleba ani odrobiny kapusty. No, należało się tego spodziewać. Głód wpływa uspokajająco na nerwy. Dzisiaj przyniosą mi jeszcze chleba i wody, gdyż mięso zbyt podnieca przestępców i szaleńców. Wdychają jego zapach zupełnie jak wilki i wtedy należy winić już tylko samego siebie. Wczorajszej wody już nie ma i bardzo chce mi się pić, umieram z pragnienia, moje usta są wyschnięte, język spuchł. Tak się dzieje z rozbitkami, czytałam o tym. Piją nawzajem swoją krew. Ciągną słomki, kto będzie pierwszy. Historie o kanibalach wklejone do albumu. Jestem pewna, że nigdy bym nie zrobiła czegoś takiego, choćbym była nie wiem jak głodna.

Czy oni zapomnieli, że ja tu jestem? Będą musieli mi przynieść trochę jedzenia albo przynajmniej wody, bo inaczej umrę z głodu, skurczę się, skóra mi wyschnie i cała żółknę jak stara cytryna. Zostanie ze mnie sam szkielet, znajdą mnie po miesiącach, latach czy stuleciach i powiedzą: „Kto to jest? Chyba o niej zapomnieliśmy. No dobra, zmiećcie te kości i śmieci do kąta, ale zostawcie guziki, szkoda, żeby się zmarnowały, jej i tak się już nie pomoże”.

Im tylko o to chodzi, żebyś zaczął się nad sobą użalać. Wtedy posyłają po kapelana.

Och, pójdź w me ramiona, biedna, zbłąkana duszyczko. Radujemy się w niebie, witając jedną zagubioną owieczkę. Ukój swoją skołataną głowę. Klęknij u mych stóp. Załam swe udręczone ręce. Opowiedz, jak sumienie torturuje cię dzień i noc, jak oczy twej ofiary śledzą cię, płonąc jak rozpalony do czerwoności węgiel. Uroń łzy żalu.

Wyspowiadaj się, wyspowiadaj. Ja ci wybaczę i dam rozgrzeszenie. Pozwól mi się za tobą wstawić. Powiedz mi wszystko.

A co zrobił potem? Och, to straszne. A co potem?

Lewą ręką czy prawą?

Jak wysoko?

Pokaż mi, gdzie.

Chyba słyszę czyjś szept. A teraz pojawia się oko, które mi się przygląda przez szparę wyciętą w drzwiach. Nie widzę go, ale wiem, że tam jest. Potem rozlega się pukanie.

Kto to może być? – zastanawiam się. Nadzorczyńni? Strażnik, który przyszedł mnie skarcić? Nie może to być żadne z nich, bo nikt tutaj nie zadaje sobie trudu, żeby zapukać, patrzą na ciebie przez małe wycięcie w drzwiach i po prostu wchodzą. „Najpierw zawsze zapukaj – mawiała Mary Whitney. – Potem poczekaj, aż pozwolą ci wejść. Nigdy nie wiadomo, co tam wyprawiają, a przeważnie są to rzeczy, których nie powinnaś widzieć: może akurat dłubią palcem w nosie? Nawet dżentelmen musi czasami podrapać się, gdzie go swędzi, a jeżeli zauważysz buty wystające spod łóżka, najlepiej udawaj, że ich nie widziałas. W dzień są niewinni jak baranki, ale w nocy to istne wilki”.

Mary miała demokratyczne poglądy.

Znowu pukanie. Jakbym miała jakiś wybór.

Wtykam włosy pod czepek, podnoszę się ze słomianego siennika, wyglądam sukienkę i fartuszek, a potem mówię stanowczym głosem, bo zawsze warto zachować godność, jeżeli to w ogóle możliwe:

– Proszę wejść.

Drzwi się otwierają i wchodzi jakiś mężczyzna. Jest młody, w moim wieku, albo trochę starszy, czyli młody jak na mężczyznę, ale nie jak na kobietę, bo kobieta w moim wieku jest starą panną, a mężczyzna staje się starym kawalerem, dopiero jak ma pięćdziesiąt lat, a i wtedy jeszcze jest coś wart, jak mawiała Mary Whitney. Jest wysoki, ma długie nogi i ręce, ale córki komendanta nie nazwałyby go przystojnym. One wolą te romantyczne typy z magazynów, elegancików, którym nawet masło nie topi się w ustach, z wąskimi stopami w butach o ostrych noskach. Mężczyzna ten ma w sobie pewną dziarskość, która nie jest w modzie, a także dość duże stopy – chociaż jest dżentelmenem albo niewiele mu do tego brakuje.

Ma brązowe i naturalnie kręcone włosy – niesforne, można by powiedzieć, jakby nie mógł ich ujarzmić szczotką. Jego płaszcz jest elegancki, dobrze skrojony, ale niezbyt nowy, nieco wyświecony na łokciach. Ma na sobie kamizelkę w szkocką kratę. Szkocka krata jest popularna, odkąd królowa zajęła Szkocję i wybudowała tam zamek, podobno pełen jelenich głów. Widać jednak, że to nie jest oryginalna szkocka krata, tylko zwykła kratka. Żółto-brązowa. Ma też zegarek ze złotą dewizką, więc mimo że rozczochrany i zaniedbany, nie jest ubogi.

Nie ma bokobrodów, chociaż wszyscy zaczęli je teraz zapuszczać. Zresztą nie bardzo mi się podobają, niech będą wąsy albo broda, albo w ogóle nic. James McDermott i pan Kinnear byli gładko ogoleni i Jamie Walsh także, chociaż akurat on niewiele miał do golenia. Pan Kinnear miał tylko wąsy. Kiedy rano myłam jego miednicę, nabierałam w dłoń nieco mokrego mydła – używał dobrego mydła, z Londynu – wcierałam je sobie w skórę na przegubach rąk i potem jego zapach chodził za mną przez cały dzień, a przynajmniej dopóki nie trzeba było się wziąć do szorowania podłóg.

Młody mężczyzna zamyka za sobą drzwi. Nie zamyka ich na klucz, ale robi to ktoś z zewnątrz. Oboje jesteśmy zamknięci w tym pokoju.

– Dzień dobry, Grace – mówi. – Wiem, że boisz się lekarzy. Muszę cię uprzedzić, że ja też nim jestem. Nazywam się Jordan, doktor Simon Jordan.

Szybko spoglądam na niego, po czym spuszczam wzrok.

– Czy ten drugi lekarz też przyjdzie? – pytam.

– Ten, który cię tak przestraszył? Nie, nie przyjdzie.

– W takim razie przyszedł pan, żeby mi zmierzyć głowę – mówię.

– Nawet o tym nie pomyślałem – zaprzecza, uśmiechając się, ale i tak obrzuca moją głowę uważnym spojrzeniem. Ja jednak mam czepek, więc nic nie zobaczy. Teraz, kiedy się odezwał, domyślam się, że jest Amerykaninem. Ma białe zęby i żadnego mu nie brakuje – przynajmniej na przodzie – a jego twarz jest dość podłużna i koścista. Podoba mi się jego uśmiech, chociaż z jednej strony kącik ust podnosi mu się wyżej niż z drugiej, dzięki czemu wygląda, jakby żartował.

Spoglądam na jego ręce. Są puste. Nic w nich nie ma. Na palcach nie nosi żadnych pierścionków.

– Ma pan torbę z nożami? – pytam. – Skórzaną teczkę?

– Nie – mówi. – Nie jestem zwyczajnym lekarzem. Nie kroję ludzi. Boisz się mnie, Grace?

Jeszcze nie wiem, czy się go boję. Jeszcze na to za wcześnie, za wcześnie, żeby się zorientować, czego on chce. Ludzie przychodzą do mnie tylko wtedy, kiedy czegoś chcą.

Chciałabym, żeby wyjaśnił, jakim jest lekarzem, skoro nie zwyczajnym, ale zamiast tego mówi:

– Jestem z Massachusetts. A raczej tam się urodziłem. Od tamtej pory sporo podróżowałem. Przemierzałem ziemię i wędrowałem po niej. – I patrzy na mnie, żeby zobaczyć, czy rozumiem.

Wiem, że to z Księgi Hioba, zanim Hiob pokrył się wrzodami i ropiejącymi ranami, i przed trąbą powietrzną. Tak Szatan powiedział Bogu. Ten lekarz pewnie chce mi zasugerować, że przyszedł poddać mnie próbie, ale na to już za późno, bo Bóg poddał mnie już wielu ciężkim próbom i chyba powinien być tym zmęczony.

Ale nie mówię tego. Patrzę na niego z głupią miną. Wyćwiczyłam ją sobie.

– Był pan we Francji? – pytam. – To stolica mody.

Widzę, że go rozczarowałam.

– Tak – mówi. – I w Anglii, a także we Włoszech, w Niemczech i Szwajcarii.

To dziwne uczucie tak stać w zamkniętej celi w więzieniu i rozmawiać z nieznanym o Francji, Włoszech i Niemczech. Z podróżnikiem. Pewnie jest wędrowcem, jak domokrażca Jeremiasz. Ale Jeremiasz wędrował, żeby zarobić na chleb, a ludzie tacy jak ten lekarz są już wystarczająco bogaci. Udają się w podróż, bo są ciekawi świata. Włóczą się po świecie i oglądają różne rzeczy, żeglują po oceanach, jakby nie mieli nic lepszego do roboty, a jeżeli znudzi im się w jednym miejscu, po prostu się pakują i przenoszą gdzie indziej.

Ale teraz moja kolej, żeby coś powiedzieć.

– Nie mam pojęcia, jak pan sobie radzi wśród wszystkich tych obcokrajowców – mówię. – Nigdy nie wiadomo, co mówią. Kiedy te biedaczyska tu przyjeżdżają, gęgają jak gęsi, chociaż ich dzieci całkiem szybko uczą się mówić po naszemu.

– To prawda, dzieci uczą się bardzo szybko.

Uśmiecha się, po czym robi coś dziwnego. Wkłada lewą rękę do kieszeni i wyjmuje jabłko. Powoli podchodzi do mnie, trzymając przed sobą jabłko, jak ktoś, kto chce dać kość złemu psu, żeby zdobyć jego sympatię.

– To dla ciebie – mówi.

Tak mi się chce pić, że jabłko wygląda jak wielka, okrągła kropla wody, chłodna i czerwona. Mogłabym je wypić jednym haustem. Waham się, ale w końcu myślę sobie: „Nie ma w tym nic złego”, i je biorę. Już od dawna nie jadłam jabłek. To musi być z zeszłej jesieni, pewnie je trzymano w beczce w piwnicy, ale i tak wygląda bardzo świeżo.

– Nie jestem psem – mówię.

Większość ludzi spytałaby, co przez to rozumiem, ale on się śmieje. Wydaje przy tym tylko jeden dźwięk: „Ha”, jakby znalazł zgubę.

– Nie, Grace – mówi. – Widzę, że nie jesteś psem.

Co on sobie myśli? Stoję, trzymając oburącz jabłko. Wydaje mi się niezwykle cenne, jak jakiś skarb. Podnoszę je i wącham. Tak pachnie powietrzem, że aż chce mi się płakać.

– Nie zjesz go? – pyta.

– Nie, jeszcze nie.

– Dlaczego?

– Bo wtedy już by go nie było.

A prawda jest taka, że nie chcę, żeby patrzył, jak jem. Nie chcę, żeby zobaczył mój głód. Jeżeli czegoś potrzebujesz, a oni to odkrywają, wykorzystają to przeciwko tobie. Najlepiej przestać chcieć czegokolwiek.

Znowu wydaje z siebie to pojedyncze „Ha”.

– Czy możesz mi powiedzieć, co to jest? – pyta.

Spoglądam na niego, po czym odwracam wzrok.

– Jabłko – mówię. Pewnie myśli, że jestem głupia, a może to jakaś sztuczka, albo to on jest szalony i dlatego zamknęli drzwi na klucz – zamknęli mnie w tym pokoju z szaleńcem. Ale ludzie, którzy się tak ubierają, nie mogą być szaleni, zwłaszcza jeżeli mają zegarek ze złotą dewizką – krewni albo strażnicy natychmiast by mu go odebrali.

Uśmiecha się tym swoim krzywym uśmiechem.

– Z czym ci się kojarzy jabłko? – pyta.

– Słucham, proszę pana? – mówię. – Nie rozumiem.

To pewnie jakaś zagadka. Przypomina mi się Mary Whitney i skórki od jabłka, które tamtej nocy rzucałyśmy za siebie, żeby zobaczyć, za kogo wyjdziemy za mąż. Ale tego mu nie powiem.

– Myślę, że doskonale mnie rozumiesz – mówi.

– Z moim elementarzem.

Teraz z kolei on nie rozumie.

– Z czym?

– Z elementarzem, który sobie robiłam w dzieciństwie – mówię. – „J” jak jabłko.

– Ach, tak. Ale z czym jeszcze?

Robię głupią minę.

– Z szarlotką.

– Aha. Z czymś do jedzenia.

– No chyba, proszę pana. Do tego jest szarlotka.

– A czy jest takie jabłko, którego nie wolno zjeść?

– Pewnie zgniłe – mówię.

Bawi się ze mną w kotka i myszkę, jak doktor Bannerling w domu dla obłąkanych. Zawsze jest jakaś prawidłowa odpowiedź, która jest prawidłowa dlatego, że oni jej oczekują, i po ich twarzach można zgadnąć, czy się dobrze odpowiedziało, chociaż dla doktora Bannerlinga wszystkie odpowiedzi były nieprawidłowe. A może to doktor teologii, oni mają skłonność do zadawania takich pytań. Dostatecznie długo już ich słuchałam, wystarczy mi na jakiś czas.

On ma na myśli jabłko z drzewa poznania dobra i zła. Dziecko by odgadło. Ale ja nie zamierzam mu sprawić przyjemności.

Znowu robię swoją głupią minę.

– Czy pan jest kaznodzieją? – pytam.

– Nie – mówi. – Nie jestem kaznodzieją. Jestem lekarzem, który zajmuje się nie ciałem, lecz umysłem. Chorobami umysłu, mózgu i nerwów.

Chowam jabłko za plecami. Wcale mu nie wierzę.

– Nie – mówię. – Nie wrócę tam. Do domu dla obłąkanych. Moje ciało i krew tego nie zniosą.

– Nie bój się. Nie jesteś obłąkana, prawda, Grace?

– Nie, proszę pana, nie jestem.

– W takim razie nie ma potrzeby, żebyś tam wracała, prawda?

– Oni tam nie słuchają głosu rozsądku, proszę pana.

– Jestem tu właśnie po to – mówi. – Przyszedłem, żeby wysłuchać głosu rozsądku.

Ale jeżeli mam cię wysłuchać, musisz ze mną rozmawiać.

Wiem, o co mu chodzi. To kolekcjoner. Wydaje mu się, że wystarczy dać mi jabłko, a wtedy będzie mógł mnie włączyć do swojej kolekcji. Może jest z gazety. Albo to podróżnik będący w drodze. Przyjeżdżają i się gapią, a kiedy patrzą na ciebie, czujesz się mały jak mrówka. Wtedy biorą cię w dwa palce i obracają na wszystkie strony. Wreszcie odkładają cię i wyjeżdżają.

– Nie uwierzy mi pan – mówię. – W każdym razie wszystko już zostało postanowione, od procesu minęło dużo czasu i to, co powiem, niczego nie zmieni. Powinien pan spytać prawników, sędziów i reporterów; wygląda na to, że znają moją historię lepiej ode mnie. Zresztą nic nie pamiętam. Pamiętam wszystko inne, ale tę część pamięci utraciłam całkowicie. Na pewno uprzedzili pana o tym.

– Chciałbym ci pomóc, Grace.

To jest metoda wkładania stopy między drzwi. Oferują ci pomoc, ale żądają w zamian wdzięczności, a potem tarzają się w niej niczym kociak w koszyku. On chciałby wrócić do domu i powiedzieć sobie: „Dałem dziesiątkę, a dostałem dolara. Dobry ze mnie chłopak”. Ale ja nie będę niczym dolarem. Nic nie powiem.

– Jeżeli spróbujesz ze mną porozmawiać – ciągnie – ja postaram się cię wysłuchać. Interesuję się tobą w sensie czysto naukowym. Powinno nas obchodzić nie tylko samo morderstwo – mówi miłym głosem: miłym na powierzchni, pod którą jednak kryją się inne pragnienia.

– Mogę pana okłamać – mówię.

On nie mówi: „Grace, co za brzydkie myśli, masz chorą wyobraźnię”. Mówi natomiast:

– Może i tak. Może okłamięś mnie niechcący, a może rozmyślnie. Może jesteś oszustką.

Spoglądam na niego.

– Niektórzy tak twierdzą – mówię.

– Musimy skorzystać z szansy.

Spuszczam wzrok na podłogę.

– Zabiorą mnie z powrotem do domu dla obłąkanych? – pytam. – A może wsadzą do izolatki, gdzie dają do jedzenia sam chleb?

– Daję ci słowo, że dopóki będziesz ze mną rozmawiać, nie stracisz panowania nad sobą i nie zaczniesz być agresywna, pozostaniesz tu, gdzie jesteś. Obiecał mi to komendant.

Znowu spoglądam na niego. Potem odwracam wzrok. I znowu na niego patrzę. Oburącz trzymam jabłko. On czeka.

Wreszcie podnoszę jabłko i przyciskam je do czoła.

2 Księga Hioba, 2, 1. Ten i inne cytaty według: Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu, Wydawnictwo Pallotinum, Poznań – Warszawa 1990 (przyp. tłum.).

IV

Kaprys młodego mężczyzny

Pośród tych rozwścieczonych szaleńców rozpoznałam twarz Grace Marks – już nie smutną i zrozpaczoną, lecz rozjaśnioną płomieniem szaleństwa i promieniejącą odrażającą, szatańską radością. Spostrzegłszy, że obserwują ją nieznajomi, uciekła do jednego z pokoi, skrzeczając niczym strzyga. Zdaje się, że nawet w najdzikszych atakach choroby nadal ją prześladowają straszliwe wspomnienia. Nieszczęsna dziewczyna! Kiedy skończą się męki jej kary i pokuty? Kiedy zasiądzie u stóp Jezusa, odziana w niepokalaną szatę jego sprawiedliwości, kiedy krwawa plama zostanie zmyta z jej dłoni, a grzechy odkupione i odpuszczone...?

Miejmy nadzieję, że całą jej winę można przypisać początkom tej potwornej choroby.

Susanna Moodie

Life in the Clearings, 1853

Z największym żalem stwierdzamy, że nie posiadamy wiedzy niezbędnej do tego, by wyleczyć dotkniętych tą straszliwą chorobą. Chirurg potrafi otworzyć brzuch pacjenta i obejrzeć wątrobę. Mięśnie można wyciąć i pokazać studentom. Ludzkiej psychiki nie da się zoperować, a pracy mózgu nie można poprawić na stole operacyjnym.

Jako dziecko bawiłem się w ciuciubabkę z przepaską na oczach, która uniemożliwiała mi widzenie. Teraz jestem jak to dziecko. Na oślepie usiłuję znaleźć drogę, nie wiedząc, dokąd idę i czy podążam we właściwym kierunku. Któregoś dnia ktoś zdejmie tę przepaskę.

Doktor Joseph Workman

Dyrektor szpitala dla obłąkanych w Toronto

(z listu do „Henry’ego”,

młodego i zatroskanego badacza, 1866)

Nie trzeba być Komnatą – aby w nas straszło –

Lub nawiedzonym Domem –

Nie ma Wnętrz straszniejszych niż Mózg

Korytarze kryjome –

(...)

Własne Ja – gdy się zaczai

Za Samym Sobą

Przerazi bardziej niż Morderca

W pokoju obok³.

Emily Dickinson, ok. 1863

3 tłum. Stanisław Barańczak, Emily Dickinson. *100 wierszy*, Arka, Kraków 1990.

6

Do doktora Simona Jordana, Lauburn House, Loomisville,

Massachusetts, Stany Zjednoczone;

od doktora Josepha Workmana, dyrektora szpitala dla obłąkanych

w Toronto, Kanada Zachodnia.

15 kwietnia 1859

Szanowny doktorze Jordan!

Potwierdzam otrzymanie Pańskiego listu z 2 kwietnia i chciałbym podziękować Panu za list polecający od mojego szanownego kolegi, doktora Binswagera ze Szwajcarii; powstawanie jego nowej kliniki obserwowałem z ogromnym zainteresowaniem. Niech wolno mi będzie powiedzieć, że jako znajomego dr. Binswagera z wielką radością powitałbym Pana na inspekcji Instytucji, której jestem dyrektorem. Byłbym wielce rad osobiście oprowadzić Pana po jej terenie i objaśnić nasze metody.

Jako że zamierza Pan sam ustanowić własną instytucję, chciałbym podkreślić, iż higiena i sprawnie działająca kanalizacja mają kapitalne znaczenie, gdyż na nic się zda leczenie chorego umysłu, gdy ciało jest zaatakowane przez infekcję. Ta strona problemu zbyt często jest zaniedbywana. Kiedy obejmowałem tu kierownictwo, mieliśmy wiele przypadków cholery, czerwonki, niemożliwej do opanowania biegunki i śmiertelnego tyfusu, który szalał w naszym szpitalu. W trakcie poszukiwania ich źródeł odkryłem pod piwnicami ogromne i nader szkodliwe szambo, w niektórych miejscach o konsystencji mocnego naparu z czarnej herbaty, a gdzie indziej gęste niczym płynne mydło, które było nieosuszone, gdyż budowniczy nie połączyli rur kanalizacyjnych z głównym ściekiem. Ponadto wodę przeznaczoną do picia i toalety czerpano z jeziora w cuchnącej zatoce przez rurę znajdującą się nieopodal ujścia głównego ścieku z nieczystościami. Nic dziwnego, że pensjonariusze często skarżyli się, że ich woda pitna smakuje substancją, za której spożyciem bardzo niewielu spośród nich zdarzyło się kiedykolwiek tęsknić!

Tutejsi pensjonariusze dzielą się niemal równo po połowie na obie płci. Co zaś się tyczy objawów, to jest ich tu ogromna różnorodność. Okazuje się, że fanatyzm religijny jest źródłem szaleństwa równie płodnym, co pijaństwo – ja jednak jestem skłonny wierzyć, że ani religia, ani pijaństwo nie wywoła szaleństwa w prawdziwie zdrowej duszy. Uważam, że zawsze istnieje pewna predyspozycja, która czyni człowieka

podatnym na taką czy inną chorobę, gdy zostanie on wystawiony na jakiś podrażniający czynnik – czy to psychiczny, czy fizyczny.

Wracając do kwestii interesującej Pana najbardziej, z żalem stwierdzam, że musi Pan szukać gdzie indziej. Pensjonariuszka Grace Marks, skazana za morderstwo, wróciła do więzienia w Kingston w sierpniu 1853 roku, po piętnastomiesięcznym pobycie tutaj. Jako że sam objąłem stanowisko dyrektora zaledwie trzy tygodnie przed jej wyjazdem, niewiele miałem czasu na przestudiowanie jej przypadku. Dlatego też przekazałem Pański list doktorowi Samuelowi Bannerlingowi, który zajmował się nią przed moim przyjazdem. Co zaś się tyczy rozmiarów szaleństwa, którym została dotknięta, trudno jest mi je określić. Odniosłem wrażenie, że przez znaczny okres wykazywała wystarczającą przytomność umysłu, by dać podstawy do usunięcia jej z domu dla obłąkanych. W postępowaniu z nią zaleciłem łagodne traktowanie i, o ile wiem, obecnie codziennie spędza parę godzin u rodziny komendanta więzienia. Pod koniec swego pobytu zachowywała się bardzo poprawnie, a dzięki swej pracowitości i uprzejmości wobec pacjentów zaskarbiła sobie opinię bardzo pomocnej i użytecznej pensjonariuszki. Niekiedy cierpi na nerwowe podniecenie i bolesny częstoskurcz serca.

Jednym z głównych problemów, którym musi stawić czoło dyrektor publicznej instytucji takiej jak ta, jest skłonność władz więzienia do odsyłania do nas wielu kryminalistów stwarzających problemy, wśród nich okrutnych morderców, włamywaczy i złodziei, których miejsce przecież nie jest między niewinnymi i nieskażonymi zbrodnią obłąkanymi. Budynek wzniesiony z myślą o wygodzie i rekonwalescencji obłąkanych nie może być miejscem odosobnienia dla opętanych szaleństwem zbrodniarzy, a tym bardziej dla kryminalistów, którzy symulują chorobę. Jestem skłonny podejrzewać, że ta ostatnia grupa jest o wiele liczniejsza, niż się powszechnie przypuszcza. Poza fatalnymi, a nieuchronnymi konsekwencjami łączenia niewinnych pacjentów z przestępcami istnieje zrozumiała obawa, że przestępcy będą wywierać deprawujący wpływ na zachowanie i zwyczaje opiekunów i urzędników domu dla obłąkanych, co wyklucza ludzkie i odpowiednie traktowanie pacjentów.

Ale skoro proponuje Pan stworzenie instytucji prywatnej, ufam, że napotka Pan mniej trudności tej natury i mniej ucierpi z powodu ingerencji politycznej, która często uniemożliwia ich usunięcie. Zarówno w tej sprawie, jak i w bardziej ogólnych kwestiach życzę sukcesów w Pańskich wysiłkach. W dzisiejszych czasach niestety istnieje ogromne zapotrzebowanie na takie przedsięwzięcia – zarówno w Pańskim, jak i w naszym kraju – albowiem w związku z rosnącymi lękami, jakie niesie współczesne życie, i wynikającą z nich presją na nerwy liczba budowanych instytucji tego typu ledwo nadąza za liczbą pacjentów. Z radością będę Panu służyć pomocą, na jaką tylko będzie mnie stać.

Z poważaniem

dr Joseph Workman

Od pani Williamowej P. Jordan, Laburnum House,

Loomisville, Massachusetts, Stany Zjednoczone;

do doktora Simona Jordana,

zamieszkałego u majora C.D. Humphreya,

Lower Union Street, Kingston, Kanada Zachodnia.

29 kwietnia 1859

Najdroższy Synu!

Dzisiaj przyszedł długo przeze mnie oczekiwany list z Twoim obecnym adresem i instrukcjami dotyczącymi maści na reumatyzm. Z wielką radością ujrzałam znowu Twoje pismo, choć było go tak mało. Cieszy mnie Twoje zainteresowanie pogarszającym się stanem zdrowia Twojej biednej matki.

Korzystam z okazji, żeby napisać parę słów, i dołączam list, który przyszedł do Ciebie dzień po Twoim wyjeździe. Twoja ostatnia wizyta u nas była zbyt krótka – kiedy znowu możemy się Ciebie spodziewać wśród Twojej rodziny i przyjaciół? Tak częste podróże nie mogą być zbawienne – ani dla spokoju ducha, ani dla zdrowia. Tęsknię za dniem, kiedy wreszcie postanowisz zostać z nami i się usatkwować.

Nie uszło mej uwadze, że załączony list jest z domu dla obłąkanych w Toronto. Spodziewam się, że zechcesz go odwiedzić, choć z pewnością widziałeś już wiele takich instytucji i odwiedzenie jeszcze jednej nie będzie dla Ciebie niczym nowym. Twoje opisy szpitali we Francji i Anglii, a nawet tego w Szwajcarii, w którym jest o wiele czystiej, przepełniły mnie przerażeniem. Powinniśmy się modlić o to, by pozostać przy zdrowych zmysłach, mam jednak poważne wątpliwości dotyczące Twoich perspektyw, jeżeli nadal będziesz podążał wytyczoną przez siebie drogą. Wybacz mi, Synu, ale muszę się przyznać, że nigdy nie potrafiłam zrozumieć twojego zainteresowania tymi sprawami. Do tej pory nikt w rodzinie nie zaprzętał sobie głowy szaleńcami, choć Twój dziadek był duchownym kwakrów. To chwalebne, że pragniesz ulżyć ludzkiemu cierpieniu, ale obłąkani, podobnie jak idioci i kaleki, z pewnością zawdzięczają swój stan Opatrzności i nie powinno się próbować zmieniać takich wyroków, które niewątpliwie są sprawiedliwe, choć dla nas niezłębione.

Ponadto nie mogę uwierzyć, że prywatny dom dla obłąkanych może być rentowny, jako że krewni obłąkanych notorycznie zaniedbują swych nieszczęsnych chorych i nie chcą ani o nich słyszeć, ani ich widzieć. To zaniedbanie zaś przenosi się również na ich wywiązywanie się z płatności. Poza tym są koszty jedzenia i opału oraz opłacania opiekunów. Stwarza to wiele problemów, a i codzienne obcowanie z obłąkanymi

z pewnością nie należy do uspokajających zajęć. Musisz też pomyśleć o swojej przyszłej żonie i dzieciach, które nie powinny mieszkać w tak małej odległości od zgrai niebezpiecznych szaleńców.

Wiem, że nie do mnie należy wyznaczanie Twojej drogi życiowej, ale uważam, że właściwsze byłoby założenie jakiejś niewielkiej fabryczki i chociaż zakłady tekstylne nie są już tym, co kiedyś – z powodu złych polityków, którzy bezlitośnie nadużywają zaufania społeczeństwa i z roku na rok stają się coraz gorsi – to istnieje przecież mnóstwo innych możliwości, z których wiele osób skwapliwie skorzystało; niewątpliwie słyszysz, że codziennie powstają nowe fortuny? Jestem przekonana, że masz równie dużo energii i rozumu co inni. Ostatnio mówi się o nowej maszynie do szycia do użytku domowego, która zrobiłaby furorę, gdyby można ją było tanio produkować, gdyż każda kobieta pragnęłaby posiadać takie urządzenie, które zaoszczędziłoby jej wiele godzin monotonnej i niekończącej się pracy, a także stanowiłoby wielką pomoc dla ubogich szwaczek. Czy nie mógłbyś zainwestować pieniędzy, które zostały Ci po sprzedaży firmy Twojego biednego ojca, w tak wspaniałe, a zarazem pewne przedsięwzięcie? Jestem przekonana, że maszyna do szycia ulżyłaby ludzkim cierpieniom tak samo jak sto domów dla obłąkanych, a może nawet bardziej.

Oczywiście zawsze byłeś idealistą snującym optymistyczne plany, ale rzeczywistość niekiedy musi wziąć górę, a Ty przecież kończysz już trzydzieści lat.

Mówię to wszystko nie dlatego, żebym chciała ingerować w Twoje sprawy, ale z matczynej troski o przyszłość jedyne go i ukochanego Syna. Mam szczerą nadzieję, że jeszcze przed śmiercią ujrzę Cię w dostatku – takie również byłoby życzenie Twojego drogiego Ojca – wiesz, że żyję tylko myślą o Twoim szczęściu.

Po Twoim wyjeździe podupałam na zdrowiu – Twoja obecność zawsze podnosiła mnie na duchu. Wczoraj tak bardzo kasłałam, że moja wierna Maureen ledwo zdołała wprowadzić mnie po schodach – jest niemal tak stara i słaba jak ja, więc pewnie wyglądałyśmy niczym dwie czarownice wdrapujące się na wzgórze. Pomimo rozmaitych mikstur, którymi wiele razy dziennie karmi mnie moja dobra Samantha – smakujących tak paskudnie, jak na lekarstwo przystało, i które, jak się zaklina Samantha, wyleczyły jej własną matkę – mój stan się nie poprawia, chociaż dzisiaj czułam się na tyle dobrze, by jak zwykle przyjmować w salonie. Miałam kilku gości, którzy słyszeli o mojej niedyspozycji – wśród nich panią Henry'ową Cartwright. Kobieta ma dobre serce, choć nie zawsze najlepsze maniery, co często się zdarza u tych osób, których fortuny są dość świeżej daty; to jednak na pewno przyjdzie z czasem. Towarzyszyła jej córka Faith, którą możesz pamiętać jako niezdarną trzynastolatkę, a która teraz jest już dorosłą panną. Niedawno wróciła z Bostonu, gdzie przebywała u ciotki, by poszerzyć swoją edukację. Wyrosła na czarującą młodą kobietę, o wdzięku i manierach, które wielu mogłoby podziwiać i które są o tylekroć cenniejsze od pysznej urody. Panie przyniosły ze sobą kosz smakołyków – droga pani Cartwright psuje mnie straszliwie – za które byłam im niezwykle wdzięczna, choć ledwo tknęłam cokolwiek, gdyż ostatnio zupełnie straciłam apetyt.

To smutne być inwalidą. Co noc modłę się, by Ci został oszczędzony ten los i byś się nie nadwreżał nadmiernymi studiami i napięciem nerwowym oraz całonocnym

siedzeniem przy lampie, co rujnuje Ci wzrok i zupełnie miesza w głowie, a także byś nosił ciepłą bieliznę, dopóki na dobre się nie ociepli. Pojawiła się już pierwsza sałata, a jabłonie całe są w pąkach. Przypuszczam, że tam, gdzie jesteś, wciąż jeszcze okrywa je śnieg. Wydaje mi się, że powietrze w Kingston, które jest tak daleko wysunięte na północ i leży nad jeziorem, nie może być dobre dla płuc, gdyż z pewnością jest bardzo chłodne i wilgotne. Czy Twój pokój jest dobrze ogrzewany? Mam nadzieję, że się zdrowo odżywasz i że macie tam dobrego rzeźnika.

Pozdrawiam Cię bardzo serdecznie, drogi Synu, a Maureen i Samantha pragną się Tobie przypomnieć. Wszyscy tu czekamy, mamy nadzieję, na rychłą wiadomość o Twoim przyjeździe, na który czekam z utęsknieniem.

Twoja kochająca matka

Od doktora Simona Jordana,

zamieszkałego u majora C.D. Humphreya,

Lower Union Street Kingston, Kanada Zachodnia;

do doktora Edwarda Murchiego, Dorchester,

Massachusetts, Stany Zjednoczone Ameryki.

1 maja 1859

Mój drogi Edwardzie!

Przykro mi, że nie mogłem odwiedzić Cię w Dorchester, by zobaczyć, jak Ci się powodzi, odkąd wywiesiłeś na swoich drzwiach szyld i zacząłeś leczyć miejscowych chorych i ślepych, podczas gdy ja włóczyłem się po Europie, wyganiając demony, których tajemnicy, tak między nami, jeszcze do końca nie zgłębiłem – ale, jak pewnie przypuszczasz, czas między moim przyjazdem do Loomisville i wyjazdem wypełniły mi przygotowania, a popołudnia poświęcałem matce. Ale po powrocie musimy się umówić na spotkanie i wychylić kieliszek albo dwa i porozmawiać o starych czasach i obecnych planach.

Po umiarkowanie spokojnej podróży przez Jezioro bezpiecznie dotarłem do miejsca mojego przeznaczenia. Jeszcze nie spotkałem się ze swoim korespondentem, i poniekąd pracodawcą, wielbny Verringerem, jako że bawi on z wizytą w Toronto, tak więc nadal mam tę przyjemność przed sobą. Jeżeli jego listy do mnie mogą być jakkolwiek

wskazówką, to cierpi on – jak wielu innych duchownych – na brak rozumu oraz chęć traktowania nas jak zbłąkane owieczki, których ma być pasterzem. Jednakże to właśnie dzięki niemu, a także dobremu doktorowi Binswangerowi, który mnie jemu zaprotegował jako najlepszego człowieka do tych celów na zachodnim wybrzeżu Atlantyku – za niezbyt wysoką płacę, ponieważ metodyści są z natury oszczędni – zawdzięczam tę niezwykłą okazję, okazję, którą, mam nadzieję, zdołam wykorzystać w interesie rozwoju nauki, umysłu i jego pracy, które, pomimo widocznego postępu, są nadal *terra incognita*.

Co się zaś tyczy mojej sytuacji – Kingston to nie nazbyt sympatyczne miasto, które jakieś dwie dekady temu było doszczętnie spalone i zostało odbudowane bez jakiegokolwiek wdzięku. Nowe budynki są z kamienia bądź cegły, co, miejmy nadzieję, czyni je mniej podatnymi na zajęcie się ogniem. Sam dom dla obłąkanych wzniesiono w stylu greckiej świątyni, a tutejsi mieszkańcy są z niego bardzo dumni. Muszę jednak jeszcze odkryć, jaki to pogański bożek ma tam być czczony.

Zajmuję pokoje w rezydencji majora C.D. Humphreya, które, choć nie luksusowe, w zupełności nadają się do moich celów. Obawiam się wszakże, że mój gospodarz to alkoholik. Dwukrotnie, kiedy go spotkałem, miał problemy z nałożeniem rękawiczek lub z ich zdjęciem – trudno było określić, co zamierza zrobić – przy której to okazji obrzucił mnie wściekłym spojrzeniem, jak gdyby żądał wyjaśnienia, co, u diabła, robię w jego domu. Przewiduję, iż skończy on jako pensjonariusz domu dla obłąkanych, który właśnie planuję założyć, choć niewątpliwie powinienem ukrócić swą skłonność do postrzegania każdego nowo poznanego człowieka jako przyszłego pacjenta. To zdumiewające, jak często wojskowi, którzy przechodzą w stan spoczynku, schodzą na złą drogę – zupełnie jakby przywykli do mocnych wrażeń i silnych emocji, musieli powieleć je w życiu cywilnym. W każdym razie wszelkie formalności załatwiłem nie z majorem, który niewątpliwie nie potrafiłby ich sobie przypomnieć – lecz z jego wiecznie cierpiącą żoną.

Posiłki – z wyjątkiem śniadań, które okazały się jeszcze bardziej godne ubolewania niż te, które jako studenci medycyny jadaliśmy w Londynie – jadam w nędznej miejscowej gospodzie, gdzie każde danie podają przypalone, zawsze z dodatkiem odrobiny kurzu i tłuszczu oraz przyprawione owadami. Ufam, że to, iż pozostaję tu, pomimo tych wynaturzeń sztuki kulinarnej, uznasz za akt szczerego oddania dziełu nauki.

Co się tyczy ludności, muszę przyznać, że tak jak gdzie indziej, i tu są ładne dziewczęta, choć noszą się zgodnie z paryską modą sprzed trzech lat – to znaczy dwóch, licząc według nowojorskiego czasu. Pomimo reformatorskich zapędów obecnego rządu tego kraju, miasto obfituje zarówno w zręczliwych konserwatystów, jak i w prowincjonalnych snobów, więc spodziewam się, iż na Twojego nieokrzesanego i niedbale ubranego – a co ważniejsze – jankeskiego przyjaciela demokratę tutejsi mieszkańcy spoglądać będą z pewną nieufnością.

Niemniej jednak komendant – przypuszczam, iż na gorącą prośbę wielebnego Verringera – porzucił swe zasady i zarządził, by Grace Marks była do mojej dyspozycji przez kilka godzin każdego popołudnia. Zdaje się, że pracuje ona w jego domu w charakterze nieopłacanej służącej, choć muszę się jeszcze upewnić, czy to dla niej nagroda czy też pokuta. Z pewnością nie będzie to łatwe zadanie, jako że czcigodna Grace, zahartowana w boju od jakichś piętnastu lat, może się okazać twardym orzechem

do zgryzienia. Wywiady takie jak moje są nieskuteczne, jeżeli nie zdobędzie się zaufania pacjenta, ale znając instytucje karne, podejrzewam, że Grace od bardzo dawna ma niewielkie powody ku temu, by ufać komukolwiek.

Do tej pory miałem tylko jedną okazję do spotkania z przedmiotem moich dociekań i jeszcze za wcześnie na to, bym mógł podzielić się spostrzeżeniami. Powiem tylko, że mam nadzieję i – jako że tak uprzejmie wyraziłeś chęć śledzenia postępu moich badań – dołożę starań i będę Cię o nich informował, tymczasem zaś pozostaję, mój drogi Edwardzie,

Twoim starym przyjacielem i ongisiejszym towarzyszem
Simon

Simon siedzi przy biurku, gryząc koniec pióra i wyglądając przez okno na szare i wzburzone wody jeziora Ontario. Po drugiej stronie zatoki jest Wolfe Island, nazwana tak na cześć słynnego generała poety. Nie podziwia wprawdzie tego widoku – jest tak niezmiennie horyzontalny – ale wizualna monotonia niekiedy potrafi być stymulująca dla myśli.

Deszcz bębni o szyby, postrzępione chmury suną nad jeziorem. Samo jezioro faluje i się kołysze, fale uderzają o brzeg, cofają się i uderzają znowu, a wierzby pod oknem machają gałęziami niczym długimi zielonymi włosami, wyginają się i grzmocą nimi o ziemię. Coś białego przelatuje w powietrzu: wygląda jak biała apaszka lub szal, lecz potem okazuje się, że to tylko mewa zmagająca się z wiatrem. „Bezrozumny chaos natury” – myśli Simon. Zęby i pazury Tennysona.

Nie czuje nic z tej rażnej nadziei, której dopiero co dał wyraz. Jest natomiast niespokojny i bardziej niż zniechęcony. Powody przebywania tutaj wydają mu się niedorzeczne, ale w tej chwili to jego największa szansa. Kiedy rozpoczął studia medyczne, kierowała nim młodzieńcza przekora. Jego ojciec był wówczas bogatym właścicielem fabryki tekstylnej i oczekiwał, że Simon w odpowiednim czasie przejmie po nim interes, a i sam Simon się tego spodziewał. Najpierw jednak chciał się trochę pobuntować: będzie tropił ślady, podróżował, studiował, sprawdzał się w świecie, również w świecie nauki i medycyny, która zawsze do niego przemawiała. Potem wróci do domu z jakąś pasją i wygodnym przekonaniem, że nie musi się jej poświęcać dla pieniędzy. Wie, że większość najlepszych naukowców ma prywatne dochody, które pozwalają im na prowadzenie nieopłacalnych badań.

Nie spodziewał się upadku ojca, a także jego fabryki tekstylnej – nigdy nie był pewien, co przyszło pierwsze. Zamiast zabawnej wywrotki w spokojnym strumieniu przeżył katastrofę na pełnym morzu i musiał kurczowo ucześć się złamanego masztu. Innymi słowy, odtąd zdany był na własne zasoby, czego – jak twierdził podczas młodzieńczych kłótni z ojcem – pragnął najbardziej.

Fabryka została sprzedana, a także imponujący dom jego dzieciństwa wraz z liczną służbą – pokojówkami, kucharkami, służącymi, tym wiecznie zmieniającym się chórem uśmiechniętych dziewcząt lub kobiet o imionach takich jak Alice i Effie, które rozpieszczały go w dzieciństwie i młodości. Pachniały truskawkami i solą, miały długie, falujące włosy, a może tylko jedna z nich takie miała – chyba Effie. Co się zaś tyczy jego spadku, to jest on o wiele mniejszy, niż myśli jego matka, a większość dochodów z niego trafia do jej kieszeni. Matka widzi siebie jako żyjącą w ograniczonych warunkach, co jest prawdą, biorąc pod uwagę sytuację wyjściową. Wierzy, że poświęca się dla Simona, a on nie chce jej wyprowadzać z błędu. Jego ojciec sam dorobił się fortuny, lecz matkę zbudowali inni, a takie budowle zawsze są kruche.

Tak więc prywatny szpital dla obłąkanych jest teraz poza jego zasięgiem. Aby zdobyć nań pieniądze, musiałby zaproponować coś nowego, jakieś odkrycie czy nowe

lekarstwo, w dziedzinie, która już jest zatłoczona. Być może kiedy już wyrobi sobie nazwisko, będzie mógł czerpać z niego korzyści. Ale bez tracenia kontroli: musi swobodnie, absolutnie swobodnie stosować własne metody, teraz gdy już je dokładnie obmyślił. Stworzy projekt: ogromne, pogodne pokoje, odpowiednia klimatyzacja i kanalizacja, dużo terenów przyległych oraz rzeka, gdyż szum wody działa kojąco na nerwy. Wykreśli jednak wszelkie maszyny i urządzenia: żadnych urządzeń elektrycznych, żadnych magnesów. To prawda, że społeczeństwo amerykańskie niesłusznie jest pod ich wrażeniem – preferuje takie metody leczenia, które można uzyskać, pociągając za dźwignię lub przyciskając guzik – ale Simon nie wierzy w ich skuteczność. Pomimo pokusy jego uczciwość nie może pójść na kompromis.

Ale na razie to jeszcze zamki na piasku. Musi jednak mieć jakiś projekt, którym będzie mógł pomachać matce przed nosem. Ona musi wierzyć, że jej syn pracuje w takim czy innym celu, choć może go nie pochwalać. Oczywiście zawsze mógłby się ożenić z jakąś fortuną, tak jak zrobiła ona. Sprzedała swoje nazwisko rodowe i powiązania za stertę monet prosto z mennicy, a teraz jest bardziej niż skłonna zaaranżować coś podobnego dla niego: koński targ, który robi się coraz bardziej powszechny wśród zubożałych Europejczyków i amerykańskich parweniuszy, nieobcy także, choć na dużo mniejszą skalę, mieszkańcom Loomisville w stanie Massachusetts. Simon myśli o wystających przednich zębach i gęsiej szyi panny Faith Cartwright i się wzdryga.

Spogląda na zegarek: śniadanie znowu się spóźnia. Simon zawsze jada śniadanie w swoim pokoju, dokąd na drewnianej tacy przynosi mu je Dora, służąca do wszystkiego jego gospodyni. Z hukiem i grzechotem stawia tacę na stoliczku w drugim końcu pokoju, gdzie po jej wyjściu Simon zasiada, by je pożreć, a przynajmniej te jego części, które uważa za jadalne. Nabrał zwyczaju pisania przed śniadaniem przy drugim, większym stole – tak by móc się pochylić nad pracą i nie musieć patrzeć na dziewczynę.

Dora jest postawna i pucołowata, ma usta o opuszczonych kącikach, jak u zawiedzionego dziecka. Jej krzaczaste czarne brwi zrastają się, co sprawia, że ma wiecznie nachmurzoną minę, wyrażającą pełen potępienia gniew. To oczywiste, że nie cierpi swojej pracy jako dziewczyna do wszystkiego. Simon zastanawia się, czy istnieje coś, co bardziej by jej odpowiadało. Usiłował wyobrazić ją sobie jako prostytutkę – często angażuje się w tego rodzaju grę, w której bohaterkami są różne znajome mu kobiety – ale nie może sobie wyobrazić mężczyzny, który płaciłby za jej usługi. Przypominałoby to raczej płacenie za to, że się zostało przejechanym przez pociąg i, podobnie jak to doświadczenie, byłoby zagrożeniem dla zdrowia. Dora to muskularne stworzenie, mogłaby złamać kark mężczyźnie między swymi udami, które Simon wyobraża sobie jako szarawe, niczym gotowane kielbasy, szczeciniaste jak osmalony indyk i ogromne – każde jak prosiak.

Dora rewanżuje mu się brakiem szacunku. Pewnie uważa, że Simon wynajął te pokoje jedynie po to, by jej sprawić kłopot. Przypala żelazkiem jego chusteczki, rozciąga koszule i gubi guziki, które niewątpliwie rozmyślnie urywa. Simon podejrzewa nawet, że Dora celowo przypala mu grzanki, a jajka na miękko gotuje na twardo. Grzmotnąwszy

tacą, ryczy: „Jedzenie!” – zupełnie jakby wołała wieprza. Potem z hukiem wychodzi, zatrzasnąjąc za sobą drzwi.

Simon jest rozpieszczony przez europejskich służących, którzy rodząc się, znają swoje miejsce. Jeszcze nie przyzwyczał się do pełnych urazy demonstracji równości, tak częstych po tej stronie oceanu. Oczywiście poza Południem, ale tam nie jeździ.

W Kingston są lepsze pokoje do wynajęcia, lecz on nie chce za nie płacić. Te są wystarczająco dobre na ten krótki czas, jaki zamierza tu spędzić. Poza tym nie ma tu innych lokatorów, a on ceni sobie prywatność i ciszę, w której może się oddać rozmyśleniom. Dom jest zbudowany z kamienia, chłodnego i wilgotnego; ale z natury – musi mieć w sobie coś z mieszkańca Nowej Anglii – Simon czuje pewną niechęć do materialnego zbytku, a jako student medycyny przyzwyczał się do klasztornej prostoty i do całonocnej pracy w trudnych warunkach.

Wraca do biurka. *Najdroższa Mamo! – zaczyna. – Dziękuję za długie i pełne informacji list. Czuję się doskonale i robię spore postępy w badaniach nad chorobami nerwowymi i mózgowymi wśród elementu przestępczego, które – jeżeli znajdzie się do nich klucz – wkrótce przyniosą owoce...*

Nie może pisać dalej; czuje się podle tak kłamiąc. Ale przecież musi coś napisać – inaczej matka uzna, że utonął albo że go strawiły suchoty lub zamordowali przydrożni rabusie. Pogoda zawsze jest dobrym tematem, ale nie może pisać o pogodzie z pustym żołądkiem.

Z szuflady w biurku wyjmuje broszurkę wydaną w czasie, kiedy zostały popełnione morderstwa, którą przysłał mu wielbny Verringer. Zawiera ona zeznania Grace Marks i Jamesa McDermotta, a także skrócony stenogram z procesu. Na okładce znajduje się portret Grace, która śmiało mogłaby uchodzić za bohaterkę jakiejś sentymentalnej powieści. Miała wtedy szesnaście lat, ale kobieta na portrecie wygląda na co najmniej pięć lat starszą. Ramiona ma okryte pelerynką, a rondo kapelusza otacza jej głowę niczym ciemna aureola. Nos Grace jest prosty, usta delikatne, a ogólny wyraz twarzy pełen uczucia. Ma w sobie ckliwą melancholię Magdaleny, a jej ogromne oczy patrzą w pustkę.

Obok narysowano Jamesa McDermotta w ogromnym kołnierzu, jaki się w tamtych czasach nosiło, i z włosami zaczesanymi do przodu na podobieństwo Napoleona. Jest zachmurzony niczym Byron; autor portretu musiał go bardzo podziwiać.

Pod tym podwójnym portretem wykaligrafowano: *Grace Marks alias Mary Whitney; James McDermott. Tak wyglądali w sądzie. Oskarżeni o zabójstwo pana Thos. Kinneara i Nancy Montgomery.* Całość niepokojąco przypomina zaproszenie na ślub – a raczej przypominałaby, gdyby nie portrety.

Przygotowując się do pierwszej rozmowy z Grace, Simon w ogóle nie brał pod

uwagę tego portretu. Myślał, że teraz na pewno jest inna, bardziej rozluźniona, mniej zamknięta w sobie, najprawdopodobniej szalona. Do jej tymczasowej celi zaprowadził go strażnik, który zamknął ich razem, ostrzegłszy, że Grace jest silniejsza, niż się zdaje, i że kąsa jak wściekły pies, i doradziwszy mu, by wzywał pomocy, gdyby zrobiła się agresywna.

Kiedy tylko ją zobaczył, zrozumiał, że to się nie stanie. Poranne światło wpadało ukośnie przez małe okienko wysoko na ścianie, oświetlając kąt, w którym stała. Widok był niemalże gotycki w swych prostych liniach i ostrej wyrazistości: zakonnica w klasztorze, dziewczyna w warownej wieży czekająca na spalenie na stosie albo też na rycerza, który ją w ostatniej chwili ocali. Kobieta w kącie. Więzienna suknia opada prosto w dół, skrywając stopy, które są z pewnością bose. Nieśmiało przygarbione ramiona. Ręce ciasno oplatające szczupłe ciało, długie pasma orzechowych włosów wymykające się spod nakrycia głowy, które w pierwszej chwili przypomina wianek z białych kwiatów – i oczy, ogromne w bladej twarzy, zamglone strachem lub niemym błaganiem – wszystko było takie, jakie być powinno. Widział wielu historyków w Salpêtrière w Paryżu, którzy wyglądali bardzo podobnie.

Zbliżył się do niej spokojnie i z uśmiechem, demonstrując dobrą wolę – co zresztą było szczere, gdyż ją rzeczywiście czuł. Ważne było, by przekonać takiego pacjenta, że przynajmniej ty nie wierzysz w jego szaleństwo, gdyż on sam nigdy w to nie wierzy.

Potem jednak Grace zrobiła krok do przodu, wyszła ze światła i kobieta, którą widział jeszcze przed chwilą, zniknęła. Zastąpiła ją inna – postawniejsza, wyższa, bardziej opanowana, w skromnej więziennej sukni z prążkowaną, niebiesko-białą spódnicą, spod której wystawały stopy bynajmniej nie bose, lecz obute w zwykłe trzewiki. Nawet mniej kosmyków wymykało się spod nakrycia głowy, niż mu się wydawało: większość była schowana pod białym czepeczkiem.

Jej oczy były nienormalnie ogromne – to prawda – lecz daleko im było do szaleństwa. Natomiast bacznie mu się przyglądały – zupełnie jakby obserwowała przedmiot jakiegoś niezrozumiałego eksperymentu, jakby to on, a nie ona, był poddany badaniu.

Przypominając sobie teraz tę scenę, Simon mruga oczami. „Pobłążam sobie – myśli. – Wszystko to wyobraźnia i kaprys. Muszę się trzymać ścisłej obserwacji, muszę postępować ostrożnie. Eksperyment musi mieć możliwe do zweryfikowania rezultaty. Muszę się oprzeć temu melodramatowi i rozpalonemu umysłowi”.

Za drzwiami słychać jakieś szuranie, a potem łupnięcie. To pewnie śniadanie. Simon odwraca się i czuje, jak szyja zapada mu się pod kołnierz niczym żółw w swą skorupę.

– Proszę – mówi i drzwi się otwierają.

– Jedzenie! – drze się Dora. Taca z hukiem opada na stolik. Dora wymaszerowuje i z trzaskiem zamyka za sobą drzwi. Simonowi staje przed oczami scena, w której Dora wisi za nogi w witrynie u rzeźnika, nadziana goździkami i skórkami owoców niczym cukrzona szynka. Simon myśli, że skojarzenia są wielce znaczące, gdy się prześledzi ich

tok we własnej głowie. Na przykład Dora – świnia – szynka. Aby przejść od pierwszego określenia do trzeciego, niezbędne jest drugie, choć między pierwszym a drugim i drugim a trzecim nie ma aż tak ogromnej przepaści.

Musi to zapamiętać: „Zasadnicze środkowe określenie”. Być może szaleniec to po prostu osoba, dla której te skojarzeniowe sztuczki mózgu przekraczają linię oddzielającą to, co dosłowne, od tego, co jedynie zmyślone – tak jak może się to zdarzać pod wpływem gorączki, transu somnambulicznego lub pewnych lekarstw. Ale jaki jest tego mechanizm? Bo jakiś musi być. Czy klucza należy szukać w nerwach czy w samym mózgu? Co i jak musi najpierw zostać zniszczone, aby powstało szaleństwo?

Śniadanie już pewnie stygnie, jeżeli Dora wcześniej celowo go nie ochłodziła. Simon podnosi się z krzesła, rozplątuje swe długie nogi, przeciąga się, ziewa i wreszcie podchodzi do drugiego stołu – tego, na którym stoi taca. Wczorajsze jajka smakowały jak guma. Wspomniał o tym swojej gospodyni, mizernej pani Humphrey, która musiała upomnieć Dorę, bo dzisiaj jajko jest tak niedogotowane, że białko, ledwo ścięte, przybrało niebieskawy odcień, niczym gałka oczna.

„Niech ją wszyscy diabli – myśli sobie. – Co za nadęta, prostacka, złośliwa osoba. Umysł, który działa na poziomie subracjonalnym, a jednak zdolny jest do oszustwa i uników. Nie ma jak jej zapędzić w kozi róg. To tłusta, oślizła świnia”.

Grzanka chrzęści między jego zębami niczym dachówka. *Najdroższa Mamo – układa w głowie list. – Mamy tu piękną pogodę. Śnieg już prawie stopniał, w powietrzu czuć wiosnę, słońce ogrzewa wody Jeziora i już się pojawiają pełne życia zielone pąki...*

Czego? Nigdy nie znał się na kwiatach.

Siedzę w szwalni, u szczytu schodów w domu żony komendanta, na tym samym krześle i przy tym samym stole co zwykle, trzymając te same przybory do szycia, oprócz nożyczek, w tym samym koszyku. Nalegano, żeby usunąć je z mojego zasięgu, więc kiedy chcę przeciąć nitkę albo przyciąć szew, muszę prosić doktora Jordana, który je wówczas wyjmuje z kieszeni w kamizelce, i oddawać mu je zaraz potem. Doktor mówi, że jego zdaniem taki rygor nie jest konieczny, gdyż sądzi, że jestem całkowicie nieszkodliwa i że panuję nad sobą. Chyba jest łatwo-wierny.

Czasami po prostu przegryzam nitkę.

Doktor Jordan powiedział im, że chciałby stworzyć wokół mnie atmosferę spokoju i rozluźnienia, że jest ona niezbędna dla jego celów – jakiegokolwiek by one były – i dlatego też zaleca, bym, o ile to tylko możliwe, prowadziła normalne życie. Nadal sypiam w przydzielonej mi celi, noszę to samo ubranie i jem to samo na śniadanie, co pozostałych czterdzieści kobiet, z których większość trafiła tu za ni mniej, ni więcej, tylko kradzież. Żują chleb z otwartymi ustami i głośno siorbią herbatę, żeby chociaż trochę pohłasować, skoro nie mogą rozmawiać, przy wtórze ustępów odczytywanych z Biblii.

Słyszysz się wtedy własne myśli, ale jeżeli się roześmiesz, musisz udać, że kaszlesz albo się dławisz. Dławienie się jest lepsze – jeżeli się dławisz, uderzają cię w plecy, a jeżeli kaszlesz, wzywają lekarza. Kromka chleba, kubek słabej herbaty, odrobina mięsa na kolację, niewiele, bo przejadanie się tego rodzaju potrawami pobudza przestępcze sfery mózgu – przynajmniej tak twierdzą lekarze, a strażnicy i wychowawcy powtarzają nam to samo. W takim razie dlaczego ich przestępcze sfery nie są bardziej pobudzone, skoro wszyscy jedzą mięso, kurczaki, jajka na bekonie i ser, i to ile wlezie? Dlatego są tacy tłuści. Podejrzewam, że niekiedy zabierają to, co jest przeznaczone dla nas, co by mnie wcale nie zdziwiło, gdyż wszyscy się tu żrą jak psy, a oni to istne brytany.

Jak zwykle po śniadaniu do rezydencji komendanta prowadzą mnie dwaj strażnicy, którzy są mężczyznami i którzy nie omieszkają sobie pożartować, wyrwawszy się spod kurateli zwierzchników.

– No, Grace – mówi jeden – podobno masz nowego narzeczonego, tego doktora? Padł już przed tobą na kolana, a może ty rozłożyłaś swoje przed nim? Lepiej, żeby miał na ciebie oko, bo jeszcze wyląduje na obu łopatkach.

– Tak – dodaje drugi. – I z kulą w sercu.

Śmieją się. Uważają, że to bardzo komiczne.

Próbuję sobie wyobrazić, co by powiedziała Mary Whitney, i niekiedy to mówię.

– Jeżeli naprawdę tak o mnie myślicie, to powinniście trzymać swoje brudne jęzory za zębami, bo którejś ciemnej nocy wyrwę je wam z korzeniami i nie będę potrzebowała żadnego noża. Złapię je zębami i wyciągnę.

– W ogóle nie masz poczucia humoru – mówi ten pierwszy.

– Ja na twoim miejscu bym się cieszył. Jesteśmy jedynymi mężczyznami, którzy do końca twojego życia cię tkną. Jesteś tu zamknięta jak zakonnica. No, daj spokój,

przyznaj się, że marzysz o tym, żeby sobie trochę pobaraszkować. Figlowałaś z tym knypkiem, Jamesem McDermottem, zanim wyprostowali mu ten krzywy kark, wszawemu mordercy.

– Tak jest, Grace – mówi drugi. – Dumna i blada jak nietknięta dziewica, żaden na ciebie nie wlaźł, jesteś czysta jak anioł, nie? Jakbyś w życiu nie widziała męskiej sypialni w gospodzie w Lewiston. Słyszeliśmy o tym. Zakładałaś gorset i pończochy, kiedy cię aresztowali. Ale cieszę się, że zostało w tobie jeszcze trochę ognia, nie do końca go tutaj zgasili. Lubię ostre kobitki.

– Jak dżin – mówi pierwszy. – Gdy dżin uderzy do głowy, człek do figli gotowy, pobłogosław go, Panie, nie ma to jak odrobina paliwa dla ognia.

– Im bardziej człowiek wypity, tym mu lepiej. A najlepiej całkiem się urznąć – mówi drugi. – Nie musisz wtedy ich słuchać. Nie ma nic gorszego niż wrzeszcząca kurwa.

– A ty robiłaś hałas, Grace? – pyta pierwszy. – Piszczalaś i jęczałaś, wiałaś się jak jakiś parszywy szczur? – Patrzy na mnie, czekając, co powiem. Czasami mówię, że nie lubię takiego gadania, i wtedy śmieją się jak głupki, ale zwykle nie mówię nic.

I tak spędzamy czas w drodze do więziennej bramy.

– Kto idzie? Och, to tylko ty, Grace, dzień dobry. Przyprowadziłaś ze sobą tych dwóch młodzieńców, przywiązanych do troczków od fartuszka?

Mrugnięcie i kiwnięcie głową, a potem wychodzimy na ulicę. Obaj trzymają mnie mocno pod ręce. Nie muszą tego robić, ale lubią. Przysuwają się do mnie coraz bliżej i bliżej, aż w końcu jestem ściśnięta między nimi i idziemy tak przez błoto, kałuże, między stertami końskiego łajna, mijamy kwitnące drzewa na ogrodzonych podwórkach. Ich liście, kwiaty przypominają blade, wiszące żółtozielone gąsienice. Mijamy szczekające psy i przejeżdżające powozy, które rozpryskują wodę na drodze, ludzi, którzy się na nas gapią, bo to oczywiste, skąd idziemy, łatwo to poznać po moim ubraniu, aż wreszcie wchodzimy na długi podjazd obrośnięty trawą i kierujemy się do wejścia dla służby.

– No, jest wreszcie, cała i zdrowa. Próbowowałaś uciec, co, Grace? Próbowowałaś nas oszukać? To niezła szelma mimo tych wielkich niebieskich oczu. No, życzę więcej szczęścia następnym razem, moja droga. Powinnaś była wyżej podkasać halkę i pokazać parę czystych obcasów i kawałek łydki – mówi jeden.

– O nie, jeszcze wyżej – mówi drugi. – Trzeba ją było zadrzeć aż po szyję. Powinnaś była odpłynąć jak statek, co nabrał wiatru w żagle, polecieć z wiatrem. Poraziłby nas twój oślepiający blask, dostalibyśmy obuchem w głowę jak owieczki w rzeźni, piorun by w nas strzelił, a ty byś zwała. – Szczerczą do siebie zęby i się śmieją, popisują się. Przez cały ten czas rozmawiali ze sobą, nie ze mną.

To niższa klasa ludzi.

Nie prowadzę już domu jak przedtem. Żona komendanta jeszcze się mnie boi. Boi się, że znowu będę miała jakiś atak, a nie chce stracić swoich najlepszych filiżanek do herbaty. Można by pomyśleć, że jeszcze nigdy nie słyszała, by ktoś tak krzyczał. Więc nie odkurzam i nie przynoszę herbaty, nie opróżniam nocników i nie ścielę łóżek. Zamiast

tego odesłano mnie do kuchni na tyłach, gdzie szoruję garnki i patelnie, oraz do pralni. Nie narzekam zbyt, gdyż zawsze lubiłam pracować. To ciężka praca, która niszczy dłonie, ale lubię, jak potem pachną czystością.

Pomagam stałej pracownicy, Clarrie, która jest starą Mulatką, a kiedyś była niewolnicą, zanim z tym tutaj skończyli. Nie boi się mnie, nie przeszkadzam jej i nie obchodzi jej, co zrobiłam – nawet gdybym zabiła dżentelmena. Nic, tylko kiwa głową, jakby chciała powiedzieć: „O jednego mniej”. Mówi, że jestem pracowita, że robię, co do mnie należy, nie marnuję mydła, wiem, jak się obchodzić z bielizną, a także umiem pozbywać się plam, nawet z białej koronki, którą trudno wyczyścić, doskonale krochmalę i nie przypalam ubrań żelazkiem – a to jej wystarczy.

W południe idziemy do kuchni i kucharka daje nam resztki ze spiżarni, przynajmniej trochę chleba, sera i rosółu na mięsie, ale przeważnie dostajemy coś więcej, bo Clarrie to jej ulubienica, a poza tym znana jest z tego, że wpada we wściekłość, jeżeli ktoś jej nadejmuje na odcisk. Żona komendanta przepada za nią, a zwłaszcza za jej koronkami i żabotami, i twierdzi, że to prawdziwy skarb, który nie ma równego sobie, i że za nic nie chciałaby jej stracić. Tak więc nie żałują jej niczego, a ponieważ jestem jej pomocnicą, nie skąpią i mnie.

Jedzenie jest tu lepsze niż to, które dostawałam za murami. Wczoraj miałyśmy kurczaka z dodatkami. Potem usiadłyśmy za stołem jak dwa lisy w kurniku i zabrałyśmy się do ogryzania kości. Tyle jest hałasu o nożyczkę na górze, a cała kuchnia jest najeżona nożami i różnymi szpikulcami jak jakiś jeżozwierz. Mogłabym jeden z łatwością wsunąć do kieszeni fartuszka, ale oczywiście im to nawet do głowy nie przyjdzie. Ich motto brzmi: „Co z oczu, to z myśli”, a dla nich to, co pod schodami, jest zupełnie jak pod ziemią. Nawet się nie domyślają, że służący przez kuchenne drzwi potrafi wynieść więcej na łyżeczce niż jego pan wniesie frontowymi na łopacie. Cała sztuka polega na tym, żeby brać po troszeczkę na raz. Zniknięcia małego nożyka nikt nie zauważy, a najlepiej go schować we włosach, pod czepkiem – tylko trzeba go dobrze przymocować, bo byłoby niezbyt miło, gdyby nagle wypadł.

Pokroiłyśmy kurczaka jednym z tych noży, a Clarrie zjadła dwie małe ostrygi ze środka, można by powiedzieć – z żołądka. Lubi je wyjadać, jeżeli zostają, a ponieważ jest moim zwierzchnikiem, ma pierwszeństwo. Nie mówiłyśmy zbyt wiele, ale szczerzyłyśmy zęby w uśmiechu, bo ten kurczak był taki dobry. Zjadłam tłuszcz z pod skóry, wysłałam żeberka, po czym oblizałam palce jak kot. Kiedy skończyłyśmy, Clarrie szybko wypaliła fajkę i wróciłyśmy do pracy. Panna Lydia i panna Marianne oddają strasznie dużo rzeczy do prania, chociaż wcale nie są brudne. Pewnie rano przymierzają coś, rozmyślają się, zdejmują to i niedbale rzucają na podłogę, a potem wszystko idzie do prania.

Po paru godzinach, kiedy słońce na zegarze przesuwają się w okolice środka popołudnia, przyjeżdża doktor Jordan. Nasłuchuję pukania, dzwonka i odgłosu kroków służącej, a potem przychodzą po mnie i prowadzą na górę tylnymi schodami. Od szarego mydła ręce mam białe jak śnieg, a palce całe pomarszczone od gorącej wody – zupełnie jak u topielca, ale jednocześnie czerwone i spierzchnięte. Czas na sycie.

Doktor Jordan siada na krześle przede mną. Wyjmuje notes i kładzie go na stole.

Zawsze coś przynosi ze sobą. Za pierwszym razem był to jakiś zasuszony niebieski kwiat, drugiego dnia – zimowa gruszka, a trzeciego – cebula. Nigdy nie wiadomo, co przyniesie, chociaż ma upodobanie do owoców i warzyw. Na początku każdej rozmowy pyta mnie, co myślę o tym, co przyniósł, ja coś mówię tylko po to, żeby mu sprawić przyjemność, a on to zapisuje. Przez cały czas drzwi muszą być otwarte, bo nie może powstać choćby cień podejrzenia o nieprzyzwoitość za zamkniętymi drzwiami. Śmieszne. Gdyby tylko wiedzieli, co się dzieje za każdym razem, kiedy mnie tu prowadzą... Panna Lydia i panna Marianne przechodzą i zerkają do środka. Chcą zobaczyć mojego lekarza, są ciekawskie jak ptaszki. „Och, chyba tu zostawiłam tamborek. Dzień dobry, Grace, mam nadzieję, że już czujesz się dobrze. Proszę nam wybaczyć, doktorze Jordan, nie chciałyśmy panu przeszkadzać”. Uśmiechają się do niego czarująco. Rozeszła się wiadomość, że jest kawalerem i ma własne pieniądze. Nie wydaje mi się jednak, żeby któraś z nich zgodziła się wyjść za jankeskiego lekarza, gdyby trafiło jej się coś lepszego. W każdym razie lubią ćwiczyć na nim swoje wdzięki i powaby. Doktor uśmiecha się do nich tym swoim krzywym uśmieszkiem, ale zaraz potem marszczy brwi. Nie zwraca na nie zbytnej uwagi, to tylko niemądre dziewczęta, a on nie przychodzi tu bynajmniej z ich powodu.

Ja jestem tym powodem. Dlatego nie chce, by nam przeszkadzano w rozmowie.

Przez pierwsze dwa dni nie bardzo było w czym przeszkadzać. Głowę miałam spuszczoną, nie patrzyłam na niego. Szyłam kołdrę dla żony komendanta. Zostało mi jeszcze tylko pięć kwadratów. Patrzyłam uważnie, jak igła znika pod materiałem i potem znowu się pojawia, chociaż pewnie mogłabym szyć przez sen. Robię to od czwartego roku życia. Mój ścieg jest drobnutki, jakby go myszka robiła. Trzeba zaczynać bardzo wcześnie, żeby się w tym wprawić – inaczej nigdy się nie złapie smykałki. Główne kolory tej kołdry to dwa odcienie różu – na ciemnoróżowym tle nadrukowana jest jaśniejsza gałązka z kwiatem – oraz indygo z białymi gołębicami i winogronami.

Kiedy na chwilę przerywałam szycie, spoglądałam na ścianę za głową doktora Jordana. Wisi tam obraz w ramie: kwiaty w wazonie i owoce w misce. Wyszyła go ściegiem krzyżykowym żona komendanta – dosyć niezdarnie, bo jabłka i gruszki są zbyt kanciaste, zupełnie jakby były wyciosane w drewnie. Nie przyłożyła się do niego zbyt mocno i pewnie dlatego powiesiła go właśnie tutaj, a nie w jednym z pokoiów gościnnych. Już lepiej siedzieć z zamkniętymi oczami.

Trudno mi było zacząć mówić. Przez ostatnich piętnaście lat nie rozmawiałam zbyt wiele – w każdym razie nie w taki sposób jak kiedyś z Mary Whitney, z domokrażcą Jeremiaszem i z Jamiem Walshem, zanim okazał się taki nielojalny wobec mnie. W pewnym sensie zapomniałam już, jak się to robi. Powiedziałam doktorowi Jordanowi, że nie wiem, co chciałby ode mnie usłyszeć. Odparł, że bym mówiła nie to, co on chce usłyszeć, tylko to, co sama chcę powiedzieć, że to go najbardziej interesuje. Powiedziałam, że nie mam żadnych takich zachcianek, bo nie powinnam.

– No, Grace – on na to. – Musisz się bardziej postarać. Przecież się umówiliśmy.

– Tak, proszę pana, ale nic mi nie przychodzi do głowy.

– W takim razie porozmawiajmy o pogodzie. Na pewno masz zdanie na ten temat.

Od tego zaczyna się każda rozmowa.

Uśmiechnęłam się na te słowa, ale nic a nic mi to nie pomog-ło. Nie przywykłam do tego, by mnie pytano o zdanie – nawet na temat pogody – do tego jeszcze, żeby moim rozmówcą był mężczyzna z notatnikiem. Jedynymi mężczyznami, z którymi się dotąd zetknęłam, był prawnik pan Kenneth MacKenzie, Esq., którego się bałam, no i ci na sali sądowej podczas procesu i w więzieniu, którzy byli z gazet i naopowiadali o mnie mnóstwo kłamstw.

Ponieważ z początku nie mogłam rozmawiać, doktor Jordan mówił sam. Opowiedział mi, że teraz wszędzie budują kolej żelazną, jak się kładzie tory i jak pracują lokomotywy na parę. To mnie nieco uspokoiło i powiedziałam, że chciałabym się kiedyś przejechać takim pociągiem. On na to, że pewnie któregoś dnia się przejadę. Zaprzeczyłam, bo przecież mam dożywocie, chociaż nigdy nic nie wiadomo.

Potem mi opowiedział o mieście w Stanach Zjednoczonych, w którym mieszka i które się nazywa Loomisville, i że to miasto fabryczne, chociaż teraz tak dobrze nie prosperuje, bo zaczyna się sprowadzać tanie materiały z Indii. Jego ojciec kiedyś miał fabrykę włókienniczą. Dziewczyny, które tam pracowały, pochodziły ze wsi; były bardzo schludne i mieszkały na stacji u porządnym i szanowanym pań, gdzie nie pozwalano na żaden alkohol, a czasem w salonie było nawet pianino. Pracowały tylko dwanaście godzin na dobę, a w niedzielę rano chodziły do kościoła. Mówił o tym z zamglonymi oczami i wcale bym się nie zdziwiła, gdyby się okazało, że jedna z nich była jego ukochaną.

Potem powiedział, że te dziewczęta uczyły się czytać i wydawały własną gazetkę, w której drukowały swoje utwory literackie. Kiedy spytałam, co to znaczy, odparł, że pisały opowiadania i wiersze, a ja spytałam, czy pod własnym nazwiskiem. Przytaknął. Uznałam, że to bardzo odważne z ich strony, i zdziwiłam się, że to nie odstraszało młodych mężczyzn, bo który chciałby mieć taką żonę, której utwory każdy może sobie przeczytać. Ja bym się na to nie zdobyła. Uśmiechnął się i powiedział, że to najwyraźniej nie zniechęcało mężczyzn, bo dziewczęta w ten sposób zbierały pieniądze na posag. Zauważyłam, że przynajmniej po ślubie, z powodu dzieci, były zbyt zajęte, żeby pisać.

I wtedy posmutniałam, bo przypomniałam sobie, że ja nigdy nie wyjdę za mąż i nigdy nie urodzę dziecka, chociaż nie chciałabym mieć dziewięciu czy dziesięciu i umrzeć przy którymś porodzie, jak się to zdarza wielu kobietom. Ale i tak żal.

Kiedy jest się smutnym, najlepiej zmienić temat. Spytałam, czy jego matka żyje, a on przytaknął. Okazało się, że jest dosyć chorowita, a ja odparłam, że zazdroszczę mu tego, że ma matkę. I znowu zmieniłam temat. Powiedziałam, że bardzo lubię konie, a on mi opowiedział o swojej klaczy Bess, którą miał w dzieciństwie. Po jakimś czasie, nawet nie wiem kiedy, kroczek po kroczeniu, zaczęłam rozmawiać z nim coraz swobodniej i już mi nie brakowało tematów do rozmowy.

No i tak sobie rozmawiamy. On zadaje pytanie, ja odpowiadam, a on zapisuje moje słowa. Na sali sądowej każde wypowiedziane przeze mnie słowo było jak gdyby

wypalone w papierze, na którym spisywano moje zeznania, i kiedy już raz coś powiedziałam, nie mogłam tego cofnąć. Z tym że słowa te były niewłaściwe, bo cokolwiek bym powiedziała, wszystko przekręcali, nawet jeżeli mówiłam szczerą prawdę. Tak samo było z doktorem Bannerlingiem w domu dla obłąkanych. Teraz jednak czuję, że wszystko, co mówię, jest takie, jakie być powinno. Dopóki mówię, doktor Jordan się uśmiecha i pisze, ciągle powtarzając, że świetnie sobie radzę.

Kiedy tak pisze, mam wrażenie, jakby mnie rysował. Może nawet nie mnie, lecz na mnie – na mojej skórze – i nie ołówkiem, którego używa, tylko staroświeckim gęsim piórem, nie dutką, lecz opierzonym końcem. Czuję się zupełnie tak, jakby setki motylków obsiadło mi twarz i delikatnie muskało ją skrzydełkami.

Pod tym uczuciem kryje się jednak inne, uczucie szeroko otwartych oczu i bacznej uwagi. Tak jakbym nagle obudziła się w środku nocy, czując na twarzy czyjąś dłoń, usiadła szybko z mocno bijącym sercem i zobaczyła, że nikogo nie ma w pokoju. A pod spodem jest jeszcze coś innego: wrażenie, że coś mnie rozrywa: nie moje ciało, bo nie jest to tak bolesne, lecz tak, jakbym była brzozkwinią. I nawet nie jest to uczucie, jakbym była rozdierana, lecz już tak dojrzała, że otwieram się sama.

A wewnątrz brzozkwini jest kamień.

Od doktora Samuela Bannerlinga,

The Maples, Front Street, Toronto, Kanada Zachodnia;

do doktora Simona Jordana, zamieszkałego u pani Williamowej

P. Jordan, Laburnum House, Loomisville, Massachusetts,

Stany Zjednoczone Ameryki.

Zwrot od majora C.D. Humphreya, Lower Union Street,

Kingston, Kanada Zachodnia.

20 kwietnia 1859

Szanowny doktorze Jordan!

Jestem w posiadaniu Pańskiej prośby do doktora Workmana z 2 kwietnia, dotyczącej skazanej Grace Marks, oraz listu od niego, w którym dr Workman prosi mnie, bym udzielił Panu wszelkich informacji.

Przede wszystkim muszę Pana poinformować, że doktor Workman i ja nie zawsze się ze sobą zgadzaliśmy. W mojej ocenie – a pracowałem w domu dla obłąkanych dłużej niż on – jego polityka wyrozumiałości wobec pensjonariuszy doprowadziła do tego, że popełnił fatalny błąd, a mianowicie przemienił wilki w owieczki. Większości tych, którzy cierpią na poważne zaburzenia nerwowe i mózgowo, nie da się wyleczyć, a jedynie można ich kontrolować, co wystarczająco wiarygodnie udowodniły w minionych latach takie metody, jak ograniczenie swobody ruchów i karanie, ostra dieta oraz stawianie baniek i upuszczanie krwi w celu zredukowania agresji. Chociaż dr Workman twierdzi, iż w wielu przypadkach do tej pory uznawanych za beznadziejne, uzyskał pozytywne rezultaty, jego metody wkrótce niewątpliwie okażą się powierzchowne i tymczasowe. Szaleństwo jest we krwi i nie można go usunąć odrobiną mydła i miękką szmatką.

Doktor Workman miał możliwość badania Grace Marks zaledwie przez kilka tygodni, podczas gdy ja miałem ją pod swoją opieką przez ponad rok i dlatego też jego zdanie na temat jej charakteru nie może przedstawiać większej wartości. Był jednakże na tyle przenikliwy, by odkryć jedną trafną rzecz – a mianowicie to, że Grace Marks jedynie

symulowała obłąd – do czego sam doszedłem wcześniej, choć ówczesne władze odmówiły stosownego postępowania. Nieustanna obserwacja Grace Marks i jej sztuczek doprowadziła mnie do konkluzji, iż wspomniana pensjonariuszka nie jest w istocie obłąkana, jak to usiłowała nam wmówić, lecz w wystudiowany i skandaliczny sposób usiłowała zamydlić mi oczy. Mówiąc wprost, jej szaleństwo było oszustwem i szarlatanerią, dzięki którym mogła pobłażać sobie i zmuszać innych do pobłażania jej, jako że ostra dyscyplina więzienia, gdzie została umieszczona za swą potworną zbrodnię, nie przypadła jej do gustu.

To utalentowana aktorka i wprawna oszustka. Przebywając u nas, urozmaicała sobie czas symulowaniem ataków, halucynacji, drgawek i tym podobnych i do upodobnienia się do Ofelii brakowało jej tylko dzikich kwiatów wpiętych we włosy. Wszakże świetnie dawała sobie radę i bez nich, gdyż zdołała omamić nie tylko szacowną panią Moodie – która, jak wiele podobnych jej szlachetnych niewiast, skłonna jest uwierzyć w byle błazenadę, pod warunkiem iż jest ona wystarczająco patetyczna, i której nieścisty i histeryczny opis całej tej smutnej historii niewątpliwie pan czytał – lecz również wielu moich kolegów, co dobrze ilustruje starą zasadę kciuka głoszącą, że gdy na salę sądową wchodzi przystojna kobieta, słuszny wyrok wylatuje przez okno.

Jeżeli mimo to postanowi Pan zbadać Grace Marks w jej obecnym miejscu przebywania, proszę pamiętać, że Pana ostrzegalem. Wiele starszych i mądrzejszych umysłów dało się omamić jej sztuczkami i postąpiłby Pan rozsądnie, napychając sobie wosku do uszu, jak to uczynił Ulisses, by nie dać się oczarować syrenom. Grace Marks jest pozbawiona zarówno moralności, jak i wszelkich skrupułów i wykorzysta każde narzędzie, jakie jej się nawinie pod rękę.

Powiniennem Pana ostrzec również przed tym, że gdy raz zaangażuje się Pan w jej sprawę, zostanie Pan obłożony przez tłum poczciwych, lecz ograniczonych osób obojga płci, a także duchownych, którzy zaprzętą sobie nią głowę. Nękać rząd petycjami o jej uwolnienie i w imię miłosierdzia będą usiłowali się na Pana zasadzić i przeciągnąć na swoją stronę. Niejednokroć byłem zmuszony przepędzać ich spod swoich drzwi i informować, że Grace Marks została uwięziona z bardzo uzasadnionego powodu, a mianowicie z powodu potwornej zbrodni, którą popełniła i do której popchnął ją jej zdegenerowany charakter oraz chora wyobraźnia. Wypuścić ją i pozwolić wmieszać się w nic niepodejrzewające społeczeństwo byłoby nieodpowiedzialnością najwyższego stopnia, gdyż to jedynie dałoby jej możliwość zaspokożenia swych morderczych żądy.

Ufam, iż jeżeli postanowi Pan dalej badać tę sprawę, dojdzie Pan do tych samych wniosków, co Pański

Wierny sługa,

(Dr) Samuel Bannerling

Tego ranka Simon ma się spotkać z wielbnym Verringerem. Nie cieszy się na to spotkanie: wielbny studiował w Anglii i na pewno będzie zadzierał nosa. Nie ma większego głupca od głupca wyedukowanego i Simon będzie musiał popisać się swoimi listami uwierzytelniającymi z Europy i erudycją. Zanosi się na trudną rozmowę i Simona będzie kusić, żeby zacząć mówić „Ja se myślę” i zaprezentować brytyjską wersję nieokrzesanego Jankesa – po to tylko, by zirytować wielbnego. Musi się jednak pohamować: zbyt wiele zależy od jego dobrego zachowania. Ciągle zapomina, że już nie jest bogaty, a zatem nie jest tak do końca panem samego siebie.

Stoi przed lustrem, usiłując zawiązać krawat. Nie cierpi wszelkich krawatów i fularów, ogólnie – sztywnych i oficjalnych strojów. Dlaczego cywilizowany człowiek uważa za stosowne torturować swe ciało, wciskając je w ten kaftan bezpieczeństwa, jakim jest ubiór dżentelmena? Może to umartwianie ciała, jak noszenie włosiennicy? Ludzie powinni się rodzić w wełnianych ubrankach, które rosłyby wraz z nimi, unikając w ten sposób całego tego kramu z krawcami i ich wiecznymi fochami i snobizmem.

Przynajmniej nie jest kobietą i nie musi nosić gorsetów oraz deformować się ciasnymi tasiemkami. Nie żywi nic oprócz pogardy dla szeroko rozpowszechnionego poglądu, że kobiety mają słaby kręgosłup, z natury są miękkie i opadłyby na podłogę niczym roztopiony ser, gdyby ich nie podtrzymywały te wszystkie sznurki. Kiedy jeszcze był studentem medycyny, robił często sekcję zwłok zmarłych kobiet – naturalnie z klas pracujących – i ich kręgosłupy i mięśnie na ogół nie były słabsze od męskich, choć wiele z nich powykręcał reumatyzm.

Wreszcie z ogromnym wysiłkiem nadał krawatowi w miarę przyzwoity kształt. Jest nieco przekrzywiony, ale lepiej nie da się go zawiązać, a Simona już nie stać na lokaja. Szczesuje na czoło niesforne włosy, które natychmiast wracają na poprzednie miejsce. Bierze płaszcz i po namyśle – parasol. Nieśmiałe promienie słońca przebijają się przez szyby, ale lepiej nie mieć nadziei, że nie będzie padać. W Kingston wiosną jest dosyć wilgotno.

Ukradkiem, ale niewystarczająco cicho, schodzi frontowymi schodami: jego gospodyni zaczęła się na niego w jakiejś trywialnej sprawie i teraz wyślizguje się z salonu w swym wyblakłym czarnym kołnierzu z jedwabiu i koronki, ściskając nieodłączną chusteczkę w chudej dłoni, jakby w każdej chwili gotowa była się rozpłakać. Widać jeszcze ślady jej całkiem niedawnej urody i nadal mogłaby uchodzić za piękność, gdyby zadała sobie trochę trudu i gdyby przedziałek w jej włosach nie był tak surowy. Jej twarz jest w kształcie serca, skóra ma mleczny odcień, a ogromne oczy spoglądają zniewalająco, lecz chociaż talię ma szczupłą, jest w niej coś sztywnego, jak gdyby zamiast gorsetu używała krótkich metalowych rurek. Na jej twarzy maluje się notoryczny niepokój. Pachnie fiołkami, a także kamforą – niewątpliwie często miewa bóle głowy – oraz czymś, czego Simon nie potrafi zidentyfikować. To jakiś duszny, suchy zapach. Prasowane płótno?

Simon z zasady unika tego rodzaju wiecznie osłabionych i roztargnionych kobiet, choć lekarze przyciągają je jak magnes. Mimo wszystko jest w niej pewna surowa elegancja – jak w domu spotkań kwaków – która robi wrażenie, wrażenie czegoś ascetycznego. Nie uprawia się miłości z pomniejszą świątynią.

– Doktorze Jordan – mówi. – Chciałam pana spytać... – Przez chwilę się waha. Simon uśmiecha się zachęcająco. – Czy jajka dziś rano smakowały panu? Tym razem ugotowałam je sama.

– Dziękuję, były wyśmienite – kłamie Simon, gdyż inaczej musiałby się zachować niewybaczalnie arogancko. W rzeczywistości jajka miały konsystencję guza, który kiedyś kolega ze studiów medycznych dla kawału wsunął mu do kieszeni – były jednocześnie twarde i gąbczaste. Trzeba mieć duży talent, żeby tak doszczętnie zniszczyć jajka.

– Tak się cieszę – mówi gospodyni. – Teraz tak trudno o dobrą służącą. Wychodzi pan?

Ten fakt jest tak oczywisty, że Simon jedynie kiwa głową.

– Jest dla pana jeszcze jeden list. Służąca gdzieś go zapodziała, ale go znalazłam. Leży na stole w hallu. – Mówi to drżącym głosem, jak gdyby każdy list do Simona musiał mieć tragiczną treść. Jej usta są pełne, lecz delikatne, niczym róża mająca za chwilę zwiędnąć.

Simon jej dziękuje, żegna się, bierze list – jest od matki – i wychodzi. Nie chce zachęcać pani Humphrey do dłuższej rozmowy. Jest samotna, a samotność u kobiety to jak głód u psa. Simon nie zamierza wysłuchiwać popołudniowych zwierzeń w salonie za zaciągniętymi zasłonami.

Niemniej to interesujący przypadek. Na przykład jej pojęcie o samej sobie jest o wiele bardziej wygórowane, niż to usprawiedliwia jej obecna sytuacja. W dzieciństwie niewątpliwie miała guwernantkę: wskazuje na to ułożenie ramion. Tak wymagająca i surowa była, gdy rozmawiali o wynajęciu pokoju, że wstydził się spytać, czy w cenę wliczony jest opierunek. Z jej zachowania wynikało, że nie ma ona w zwyczaju omawiać spraw związanych z rzeczami osobistymi mężczyzny, pozostawiając ten bolesny temat służbie.

Jasno, choć nie bezpośrednio, dała mu do zrozumienia, że wbrew własnej woli została zmuszona do przyjmowania lokatorów. Teraz robi to po raz pierwszy, a powodem jest trudna sytuacja finansowa, która z pewnością okaże się przejściowa. Ponadto bardzo konkretnie określiła swoje wymagania w ogłoszeniu: *Spokojny dżentelmen, skłonny jadać poza domem*. Kiedy, po obejrzeniu pokoi, Simon powiedział, że się na nie decyduje, zawahała się, po czym poprosiła o czynsz za dwa miesiące z góry.

Simon obejrzał przedtem inne kwatery z ogłoszenia, które okazywały się albo zbyt drogie dla niego, albo zbyt brudne, więc się zgodził. Miał przy sobie żadaną sumę w gotówce. Z zainteresowaniem odnotował połączenie niechęci z entuzjazmem, gdy przyjmowała pieniądze, oraz nerwowy rumieniec, jaki ten konflikt sprowadził na jej twarz. Cała ta sprawa była dla niej niesmaczna, niemalże nieprzyzwoita. Nie chciała dotknąć jego pieniędzy, więc musiał włożyć je do koperty, lecz jednocześnie musiała się powstrzymać, by ich mu nie wyrwać.

Ta sama postawa – niechęć wobec transakcji finansowej, udawanie, że w ogóle nie

ma ona miejsca, a pod tym wszystkim chciwość – charakteryzuje lepszą klasę francuskich kurew, choć one zachowują się przy tym mniej niezręcznie. Simon nie uważa się za autorytet w tej dziedzinie, lecz zaniedbałby obowiązki związane ze swym powołaniem, gdyby nie wykorzystał możliwości, jakie mu stwarzała Europa – możliwości, które w Nowej Anglii nie były ani tak dostępne, ani tak urozmaicone. Aby uleczyć ludzkość, należy ją poznać, a nie można jej poznać na odległość. Trzeba sobie urobić ręce aż po łokcie. Simon uważa, że obowiązkiem ludzi jego profesji jest dotrzeć do największych głębin życia, i chociaż on sam jeszcze tam nie dotarł, ma poczucie, że przynajmniej zrobił pierwszy krok. Oczywiście przedsięwziął odpowiednie środki, by się zabezpieczyć przed chorobą.

Pod domem spotyka majora, który spogląda na niego jakby przez gęstą mgłę. Oczy ma czerwone, krawat przekrzywiony i brakuje mu jednej rękawiczki. Simon usiłuje sobie wyobrazić, gdzie major tak zaszalał i jak długo to trwało. Niewątpliwie to, że się nie ma dobrego imienia, które można by stracić, daje pewną wolność. Simon kłania się i unosi kapelusz. Major wygląda na urażonego.

Simon rusza w stronę rezydencji wielbnego Verringera, która znajduje się na Sydenham Street. Nie wziął powozu ani nawet konia, wydatek ten byłby bowiem nieuzasadniony, jako że Kingston nie jest duże. Na ulicach pełno błota i końskiego łajna, ale on ma dobre buty.

Drzwi do imponującej plebanii wielbnego Verringera otwiera starsza kobieta o twarzy jak sosnowa deska. Wielbny nie jest żonaty i potrzebuje niepociągającej gospodyni. Kobieta wprowadza Simona do biblioteki. Jest urządzona z taką ostentacją, że Simona nachodzi ochota, żeby ją podpalić.

Wielbny Verringer podnosi się ze skórzanego fotela i podaje dłoń Simonowi. Chociaż jego włosy i skóra są cienkie i wyblakłe, to ucisk jego ręki jest zaskakująco silny, a pomimo niefortunnie małych i wydętych ust – zupełnie jak u kijanki, myśli Simon – rzymski nos wskazuje na silny charakter, wysoko sklepione czoło na duży intelekt, zaś nieco wyłupiaste oczy są jasne i serdeczne. Musi mieć nie więcej niż trzydzieści pięć lat i z pewnością jest nieźle ustosunkowany – myśli Simon – skoro tak szybko awansował wśród establishmentu metodystów i stworzył tak zasobną kongregację. Sądząc po książkach, musi mieć własne pieniądze. Ojciec Simona lubił takie książki.

– Cieszę się, że mógł pan przyjść, doktorze Jordan – mówi. Jego głos jest mniej afektowany, niż się tego obawiał Simon. – To bardzo uprzejmie z pańskiej strony, że wyświadczył nam pan tę grzeczność. Pański czas niewątpliwie jest bardzo cenny.

Siadają i chwilę później pojawia się kawa, którą na skromnej, niemniej srebrnej tacy przynosi gospodyni o drewnianej twarzy. To metodystyczna taca: nie nazbyt ozdobna, lecz wyraźnie mówiąca o swej wartości.

– Ta sprawa żywo mnie interesuje – stwierdza Simon. – Nieczęsto spotyka się przypadek o tak wielu zastanawiających cechach. – Mówi, jakby osobiście leczył setki rozmaitych przypadków. Ważne jest, by okazać zainteresowanie, ale nie nadmierny entuzjizm, jak gdyby wyświadczano mu przysługę. Ma nadzieję, że się nie rumieni.

– Pański raport ogromnie pomógłby naszej komisji – mówi wielebny – gdyby potwierdzał niewinność Grace. Dołączylibyśmy go do petycji. Ostatnio rząd jest o wiele bardziej skłonny brać pod uwagę opinię ekspertów. Oczywiście – dodaje, spoglądając na niego bystro – bez względu na wnioski otrzyma pan ustaloną kwotę.

– Doskonale rozumiem – odpowiada Simon z uśmiechem, który jego zdaniem jest wielkoświatowy. – Studiował pan w Anglii, czyż nie tak?

– Wstąpiłem na drogę powołania jako członek Kościoła anglikańskiego, ale potem miałem kryzys wiary. Z pewnością światło Słowa Bożego i Bożej łaski jest dostępne dla tych spoza Kościoła Anglii i w sposób bardziej bezpośredni niż poprzez liturgię.

– Niewątpliwie – grzecznie przytakuje Simon.

– Wybitny wielebny Egerton Ryerson z Toronto poszedł tą samą drogą. Jest przywódcą krucjaty o bezpłatną edukację oraz o zakaz sprzedaży napojów alkoholowych. Oczywiście słyszał pan o nim?

Simon nie słyszał, ale wydaje z siebie niejasne „hm”, które, jak ma nadzieję, zostanie zrozumiane jako przytaknięcie.

– A pan jest...?

– Rodzina mojego ojca związana jest z tradycją kwakrów – odpowiada wymijająco Simon. – Od lat. Matka jest unitarianką.

– Ach, tak. W Stanach Zjednoczonych oczywiście wszystko jest tak inne. – Następuje pauza, podczas której obaj przemyślują te słowa. – Ale wierzy pan w nieśmiertelność duszy?

To podchwytliwe pytanie, pułapka, która może zwiększyć jego szanse.

– O tak, oczywiście. Co do tego nie mam żadnych wątpliwości.

Verringerowi najwyraźniej ulżyło.

– W dzisiejszych czasach tak wielu naukowców ma wątpliwości. Ja zawsze powtarzam: zostawcie ciało lekarzom, a duszę Bogu. Oddajcie cesarzowi, co cesarskie, można by powiedzieć.

– Naturalnie, naturalnie.

– Doktor Binswanger wyraża się o panu z dużym uznaniem. Miałem przyjemność go poznać w czasie podróży na kontynent – Szwajcaria z powodów historycznych bardzo mnie interesuje – i rozmawiać z nim o jego pracy, dlatego też, szukając autorytetu po tej stronie Atlantyku, odruchowo zwróciłem się do niego. Autorytetu – waha się – który byłby na naszą kieszeń. Powiedział, że doskonale zna się pan na chorobach mózgowych i nerwowych i że w kwestiach dotyczących amnezji jest pan na najlepszej drodze do zostania czołowym ekspertem. Twierdzi, że jest pan niezwykle rzutkim człowiekiem.

– To bardzo uprzejmie z jego strony – mruczy Simon. – Dziedzina ta jest niezwykle skomplikowana, ale udało mi się opublikować dwie czy trzy niewielkie prace.

– Miejmy nadzieję, że po zakończeniu badań będzie pan mógł dodać do nich kolejną i rzucić światło na ten zagadkowy problem, a jestem przekonany, że społeczeństwo doceni pańskie wysiłki. Zwłaszcza jeśli chodzi o tak słynny przypadek.

Simon odnotowuje w pamięci, że wielebny Verringer, choć kijankousty, bynajmniej nie jest głupcem. Z pewnością wyczuwa, jakie w ludziach drzemią ambicje. Byłoby to możliwe, że jego przejście z Kościoła anglikańskiego do metodystów zbiegło

się z upadkiem politycznej gwiazdy tego pierwszego, a wzejściem drugiego?

– Przeczytał pan raporty, które panu posłałem?

Simon kiwa głową.

– Rozumiem pański dylemat – mówi. – Nie wiadomo, w co wierzyć. Grace najwyraźniej przedstawiła jedną wersję wypadków podczas przesłuchania, inną na rozprawie, a jeszcze inną po ogłoszeniu jej wyroku śmierci. Jednakże we wszystkich trzech stanowczo stwierdziła, że nawet palcem nie tknęła Nancy Montgomery. Później jednak, po kilku latach, otrzymujemy zeznanie pani Moodie pokrywające się z zeznaniem Grace, w którym przyznaje się ona do popełnienia zbrodni, a wersja ta zgadza się z ostatnimi słowami Jamesa McDermotta, które wypowiedział tuż przed egzekucją. Pan jednak mówi, że od powrotu z domu dla obłąkanych Grace wszystkiego się wypiera.

Wielebny Verringer sący kawę.

– Wypiera się wspomnień – mówi.

– Tak, wspomnień – przytakuje Simon. – To ważna różnica.

– Równie dobrze inni mogli ją przekonać, że popełniła coś, czemu nie jest winna.

Takie rzeczy zdarzały się wcześniej. Tak zwana spowiedź w więzieniu, którą pani Moodie tak barwnie opisała, miała miejsce kilka lat po uwięzieniu i podczas długiego reżimu strażnika Smitha. Człowiek ten był do cna zepsuty i zupełnie nie nadawał się na swoje stanowisko. Oskarżono go o skandaliczne i brutalne zachowanie. Na przykład jego synowi wolno było mierzyć do więźniów z procy i raz któremuś wybił oko. Chodziły również słuchy, że molestował więźniarki – wyobraża pan sobie, w jaki sposób – i obawiam się, że co do tego nie ma żadnych wątpliwości. Przeprowadzono w tej sprawie pełne dochodzenie. To jego złemu traktowaniu Grace Marks przypisuję epizody jej szaleństwa.

– Są tacy, którzy zaprzeczają, jakoby była obłąkana.

Wielebny Verringer się uśmiecha.

– Przypuszczam, że usłyszał pan to od doktora Bannerlinga. Od samego początku był przeciwko niej. Nasza komisja apelowała do niego – jego przychylny raport byłby nieoceniony dla naszej sprawy – on jednak jest nieprzejednany. To czystej wody torys. Wszystkich szaleńców najchętniej przytroczyłby łańcuchami do ściany i powywieszał tych o rozbieganym spojrzeniu. Z przykrością muszę powiedzieć, że uważam, iż należy on do tego samego skorumpowanego systemu, który był odpowiedzialny za zatrudnienie tak prymitywnego i wykołajonego człowieka jak Smith. Słyszałem, że w samym domu dla obłąkanych również istniały pewne nieprawidłowości – do tego stopnia, że Grace Marks po powrocie stamtąd była podejrzana o to, że jest w stanie delikatnym. Na szczęście plotki te okazały się nieprawdą, lecz jakaż to podłość – jakie grubiaństwo! – usiłować wykorzystać tych, którzy nie panują nad sobą! Spędziłem dużo czasu na modlitwach z Grace Marks, próbując uleczyć rany zadane jej przez tych niewiernych i godnych potępienia zdrajców społecznego zaufania.

– To doprawdy godne ubolewania – mówi Simon. Wypytywanie o dalsze szczegóły mogłoby się wydawać lubieżne.

Doznaje nagłego olśnienia – wielebny Verringer jest zakochany w Grace Marks! Stąd jego oburzenie, żarliwość, zaangażowanie, pracochlonne petycje i komisje, a nade

wszystko – pragnienie uznania ją za niewinną. Czyżby chciał wyostać ją z więzienia, a potem poślubić? To wciąż przystojna kobieta, a niewątpliwie byłaby wzruszająco wdzięczna swemu wybawcy. Nikczemnie wdzięczna, a wdzięczność żony niewątpliwie jest dla Verringera podstawowym towarem w duchowej wymianie.

– Na szczęście nastąpiła zmiana w rządzie – mówi wielebny. – Ale mimo to nie zamierzamy iść dalej z naszą petycją, dopóki nie przekonamy się, że jesteśmy na absolutnie pewnym gruncie. I z tego właśnie powodu powzięliśmy decyzję wezwania pana. Przyznam szczerze, że nie wszyscy członkowie naszej komisji byli za tym, ale udało mi się przekonać ich do potrzeby pozyskania fachowego i obiektywnego punktu widzenia. Jednakże należy trzymać się diagnozy utajonego szaleństwa w chwili popełnienia zbrodni. Wciąż istnieje dużo niechęci wobec Grace Marks. Torysi najwyraźniej namieszali Grace w głowie kwestią irlandzką, chociaż jest protestantką, i uznają zbrodnię popełnioną na jednym torysowskim dżentelmenie – choćby nie wiadomo jak mało szacownym – za zmartwychwstanie całej rasy.

– Każdy kraj jest skażony frakcyjnością – zauważa taktownie Simon.

– Nawet pomijając to, jesteśmy zakleszczeni między pojęciem kobiety być może niewinnej, którą wielu uważa za winną, a pojęciem kobiety być może winnej, którą niewielu uważa za niewinną. Nie chcielibyśmy, by przeciwnicy reformy dostali szansę zatriumfowania nad nami. Ale, jak mówi nasz Pan: „Prawda was wyzwoli”⁴.

– Prawda może się okazać dziwniejsza, niż nam się zdaje – mówi Simon. – Może się okazać, że ogromna część tego, co zwykliśmy określać jako zło, i to zło popełnione z własnej woli, jest w istocie chorobą spowodowaną pewnym uszkodzeniem systemu nerwowego i że Szatan to po prostu wadliwa budowa mózgu.

– Och, wątpię, czy możemy się posunąć aż tak daleko. – Wielebny się uśmiecha. – Niezależnie od tego, do czego może kiedyś dojść nauka, Szatan zawsze będzie na wolności. Zdaje się, że został pan zaproszony na niedzielne popołudnie do domu komendanta?

– Miałem ten zaszczyt – mówi grzecznie Simon. Zamierzał się wymówić od tej wizyty.

– Spodziewam się tam pana. Sam załatwiłem dla pana to zaproszenie. Szanowna żona komendanta jest nieocenioną członkinią naszej komisji.

4 Ewangelia wg św. Jana, 8, 32.

W rezydencji komendanta prowadzą Simona do salonu, który jest tak ogromny, że mógłby służyć za bawialnię. Wszystkie powierzchnie są obite materiałem o barwach przypominających wnętrzości: kasztan nerek, czerwonawy fiolet serca, przejrzysty błękit żył, biel zębów i kości. Simon wyobraża sobie, jaką wywołałby konsternację, gdyby głośno wyraził taką opinię.

Wita go żona komendanta. To przystojna kobieta około czterdziestego piątego roku życia, najwyraźniej z wyższych sfer, lecz ubrana zgodnie z krzykliwą modą rodem z prowincji, gdzie damy najwyraźniej uważają, że skoro jeden rząd koronki i krezy wygląda ładnie, to trzy będą wyglądać jeszcze ładniej. Niespokojne spojrzenie jej nieco wyłupiastych oczu sygnalizuje, że pani komendantowa ma albo nerwową konstytucję, albo nadczynność tarczycy.

– Tak się cieszę, że nas pan zaszczyił swoim przybyciem – mówi. Tłumaczy, że komendant niestety musiał wyjechać w sprawach służbowych, ale ona sama żywo interesuje się pracą Simona. Ma wielki szacunek dla współczesnej nauki, a zwłaszcza dla nowoczesnej medycyny. Dokonał się na tym polu tak wielki postęp. Szczególnie eter, który potrafi zaoszczędzić tak wielu zmartwień. Wbija w Simona głębokie i znaczące spojrzenie i Simon wzdycha w duchu. Nieobcy mu jest ten wyraz twarzy: pani komendantowa za chwilę z pewnością zaleje go opowieścią o swych chorobach.

Kiedy otrzymał dyplom lekarski, nie zdawał sobie sprawy, jak wielki będzie miał on wpływ na kobiety: kobiety z wyższych klas, a zwłaszcza mężatki o nienagannej reputacji. Ciągnęły do niego, jak gdyby posiadał jakiś bezcenny, choć piekielny skarb. Ich zainteresowanie było niewinne – nie miały zamiaru poświęcać swej cnoty – lecz pragnęły zwabić go w jakiś zacieniony kącik, gdzie mogłyby porozmawiać przyciszonym głosem, zwierzyć mu się, nieśmiało, z dreszczykiem, jako że wzbudzał również strach. Jaki był sekret jego powabu? Nie mogła nim być twarz – ani szpetna, ani przystojna – którą widywał w lustrze.

Po jakimś czasie wydawało mu się, że wreszcie to zrozumiał. Kobiety te pożądały wiedzy, choć nie mogły się do tego przyznać, gdyż była to wiedza zakazana – wiedza o posmaku sensacji, wiedza, jaką się zdobywa, zstępując na samo dno. Był tam, dokąd one nigdy nie mogły dotrzeć, widział to, czego one nie mogły zobaczyć; otwierał ciała kobiet i zaglądał do środka. W tej ręce, która dopiero co uniosła ich dłoń i przycisnęła ją do ust, niegdyś trzymał bijące kobiece serce.

Tak więc współtworzy mroczne trio – lekarz, sędzia, kat – i dzieli się z nimi potęgą życia i śmierci. Utracić przytomność, leżeć nago, bez wstydu, być zdaną na łaskę i niełaskę innych, być dotykana, ciętą, zgłębianą i zaszywaną – o tym właśnie myślą, patrząc na niego szeroko otwartymi oczami i z lekko rozchylonymi wargami.

– Strasznie cierpię – zaczyna żona komendanta. Nieśmiało, jak gdyby odsłaniała kostkę u nogi, wymienia swoje objawy – przyśpieszony oddech, ucisk w okolicy żeber – dając do zrozumienia, że to dopiero początek czegoś o wiele bardziej interesującego. Miewa również bóle – wolałaby jednak nie mówić gdzie. Jaka może być tego przyczyna?

Simon się uśmiecha i wyjaśnia, że już nie zajmuje się interną.

Żona komendanta przez chwilę marszczy brwi, potem również się uśmiecha i mówi, że chciałaby, aby poznał panią Quennell, wybitną spirytystkę, orędowniczkę sprawy kobiet oraz czołową postać wtorkowego kółka dyskusyjnego. To taka utalentowana osoba – tak światowa, bywała w Bostonie i w wielu innych miejscach. Pani Quennell, w swej ogromnej, podpartej krynoliną sukni, wygląda jak bawarski krem koloru lawendy. Jej głowa przypomina srebrnego miniaturowego pudełka. Przedstawia Simona doktorowi DuPont z Nowego Jorku, który właśnie bawi u niej z wizytą i który obiecał zademonstrować swe nadludzkie umiejętności. Jest znany w kręgach, wyjaśnia pani Quennell, i przebywał u rodziny królewskiej w Anglii. No, może niezupełnie u rodziny królewskiej, lecz u rodzin arystokratycznych.

– Nadludzkie umiejętności? – pyta uprzejmie Simon. Chciałby się dowiedzieć, cóż to takiego. Może człowiek ów twierdzi, że umie lewitować, może wciela się w zmarłego Indianina lub wywołuje niewytłumaczalne stukanie – jak słynne siostry Fox. Spirytyzm to najnowsza moda klas średnich, zwłaszcza wśród kobiet. Zbierają się one w zaciemnionych pokojach i bawią wirującymi stolikami, tak jak ich babki grały w wista, lub piszą w transie obszerne pisma pod dyktando Mozarta lub Szekspira. Simon myśli, że obcowanie ze zmarłymi ma zdumiewający wpływ na jakość prozy. Gdyby tym ludziom tak dobrze się nie powodziło, wkrótce skończyliby w domu dla obłąkanych. Co gorsza, zaludniają swe salony fakirami i znachorami, którzy przyodziejają się w szaty samozwańczej quasi-świętości, a zasady etykiety nakazują, by traktować ich uprzejmie.

Doktor Jerome DuPont ma głęboko osadzone, wodniste oczy i przenikliwe spojrzenie zawodowego szarlatana, lecz uśmiecha się ponuro i co jakiś czas lekceważąco wzrusza ramionami.

– To nic nadzwyczajnego – mówi. W jego głosie słychać obcy akcent. – To kwestia innego języka. Jeżeli się go zna, w takich rzeczach nie ma nic dziwnego. To inni uważają je za niezwykle.

– Rozmawia pan z umarłymi? – pyta Simon, krzywiąc usta.

Doktor DuPont się uśmiecha.

– Nie ja. Mnie można by nazwać praktykiem medycznym. Albo poszukującym naukowcem – takim jak pan. Jestem wyszkolonym neurohipnotyzerem ze szkoły Jamesa Braida.

– Słyszałem o nim – mówi Simon. – To Szkot, prawda? Uznany autorytet w kwestii stopy szpotawej i zeza zbieżnego. Ale z pewnością profesjonalna medycyna nie uznaje jego twierdzeń. Czyż neurohipnotyzm nie jest po prostu reanimowanym trupem zdyskredytowanego magnetyzmu zwierzęcego Mesmera?

– Mesmer zakładał istnienie magnetycznego fluidu otaczającego ciało, co niewątpliwie było błędne – mówi doktor DuPont. – Badania Braida dotyczą samego systemu nerwowego. Mógłbym dodać, że ci, którzy kwestionują jego metody, nie wypróbowali ich. Zyskały one większą akceptację we Francji, gdzie lekarze są mniej tchórzliwi. Metody te są bardziej pożyteczne w przypadkach hysterii niż w innych. W przypadku złamanej nogi ich przydatność jest niewielka. Ale przy amnezji... – uśmiecha się lekko – ...niejednokroć dały zdumiewające i, można by powiedzieć, bardzo szybkie rezultaty.

Simon czuje, że zaczyna przegrywać, i zmienia temat.

– DuPont... czy to francuskie nazwisko?

– Pochodzę z rodziny francuskich protestantów. Ale tylko ze strony ojca. Interesowałem się chemią. Ja sam jestem Amerykaninem. Oczywiście odwiedzałem Francję w celach zawodowych.

– Może doktor Jordan chciałby wziąć udział w jednym z naszych przyjęć – mówi pani Quennell. – W którymś z naszych spirytystycznych czwartków. Przynoszą taką ulgę naszej drogiej komendantowej. Może porozmawiać ze swoim dzieckiem, które teraz przebywa po drugiej stronie, i jest taka szczęśliwa. Z pewnością doktor Jordan jest sceptykiem, ale my zawsze gorąco witamy sceptyków! – Małeńkie jasne oczka pod wyfiokowaną fryzurą błyskają szelmowsko.

– Nie jestem sceptykiem – protestuje Simon – lecz doktorem medycyny. – Nie ma zamiaru dać się wciągnąć w jakieś nedorzeczne bajdurzenie. Zastanawia się, co skłoniło Verringera do przyjęcia takiej kobiety do komisji. Ale najwyraźniej jest bogata.

– Lekarzu, ulecz się sam – mówi doktor DuPont. Zdaje się, że miał to być dowcip.

– Jakie jest pańskie stanowisko w kwestii abolicjonizmu, panie doktorze? – pyta pani Quennell. Teraz kreuje się na intelektualistkę. Będzie nalegała na prowadzenie żąrzanej dyskusji o polityce i niewątpliwie rozkaże mu niezwłocznie znieść niewolnictwo na Południu. Dla Simona te ciągłe oskarżenia kierowane pod jego adresem są męczące – całe to obwinianie o grzechy jego kraju – zwłaszcza gdy padają z ust tych Brytyjczyków, którzy zdają się uważać, iż niedawno odkryte sumienie usprawiedliwia jego całkowity brak we wcześniejszym okresie. Na czymże innym wyrosło bowiem ich obecne bogactwo, jeśli nie na handlu niewolnikami, i gdzie byłyby ich wielkie miasta przemysłowe, gdyby nie bawełna z Południa?

– Mój dziadek był kwakrem – odpowiada. – Kiedy byłem jeszcze mały, uczono mnie, by nie otwierać drzwi do kredensu, gdyż mógłby się tam ukrywać jakiś nieszczęsny zbieg. Dziadek zawsze uważał, że narażanie własnego bezpieczeństwa jest dużo więcej warte niż szczekanie na innych zza płotu.

– Nie kamienne mury stanowią więzienie – mówi wesoło pani Quennell.

– Ale naukowcy muszą mieć otwarty umysł – wtrąca doktor DuPont. Najwyraźniej zamierza wrócić do ich wcześniejszej rozmowy.

– Jestem pewna, że umysł doktora Jordana jest otwarty szeroko jak książka – mówi pani Quennell. – Podobno obserwuje pan naszą Grace. Z naukowego punktu widzenia.

Simon widzi, że gdyby miał wyjaśnić różnicę między duchem, w jej pojmowaniu tego słowa, a nieświadomym umysłem, tak jak on to rozumie, beznadziejnie by się zaplątał, więc jedynie uśmiecha się i kiwa głową.

– Jakie jest pańskie podejście? – pyta doktor DuPont. – Stara się pan przywrócić jej pamięć?

– Zacząłem od metody opartej na sugestii i skojarzeniach. Usiłuję, łagodnie i stopniowo, zrekonstruować jej łańcuch myślowy, zerwany prawdopodobnie za sprawą szoku wywołanego przerażającymi wydarzeniami, w które została wplątana.

– Ach! – wykrzykuje z uśmiechem wyższości doktor DuPont. – Powolutku, aż do skutku!

Simon miałby ochotę go kopnąć.

– Jesteśmy przekonani, że Grace jest niewinna – mówi pani Quennell. – Cała nasza komisja! Jesteśmy tego pewni! Wielebny Verringer przygotowuje petycję. To nie pierwsza petycja, ale mamy nadzieję, że ta przyniesie oczekiwane rezultaty. „Kropla draży skałę” – oto nasze motto. – Chichocze jak dziewczynka. – Proszę powiedzieć, że jest pan po naszej stronie!

– Jeżeli na początku się panu nie powiedzie – mówi poważnie doktor DuPont.

– Jeszcze nie wysnułem żadnych wniosków – stwierdza Simon. – W każdym razie mniej jestem zainteresowany jej winą czy też niewinnością niż...

– Niż działającymi tu mechanizmami – kończy DuPont.

– Nie ująłbym tego w ten sposób.

– Interesuje pana nie melodia grana przez pozytywkę, lecz wszystkie te kółka zębate, które ją tworzą.

– A pana? – pyta Simon, dla którego doktor DuPont staje się coraz bardziej godny zainteresowania.

– Chodzi mi nawet nie o pozytywkę tak przepięknie pomalowaną z wierzchu. Mnie obchodzi tylko muzyka. Muzyka, jaką wydaje z siebie przedmiot fizyczny, a jednak muzyka nie jest tym przedmiotem. Jak mówi Pismo Święte: „Wiatr wieje tam, gdzie chce”⁵.

– Święty Jan – mówi pani Quennell. – To, co się z Ducha narodziło, jest duchem.

– A to, co się z ciała narodziło, jest ciałem – dodaje DuPont.

Oboje spoglądają na niego z łagodnym, lecz niezbitym triumfem i Simona ogarnia wrażenie, że ktoś go dusi materacem.

– Doktorze Jordan – odzywa się cichy głos koło jego łokcia. To panna Lydia, jedna z dwu córek żony komendanta. – Mama pyta, czy widział pan już jej album.

Simon w duchu błogosławi swą gospodynię i mówi, że jeszcze nie miał tej przyjemności. Perspektywa oglądania pociemniałych sztychów najpiękniejszych miejsc w Europie, ozdobionych na brzegach papierowymi listkami paproci, nie jawi mu się szczególnie zachęcająco, ale w tej chwili jest jedyną możliwością ucieczki. Uśmiecha się i kiwa głową.

Panna Lydia wskazuje mu miejsce na kanapie w kolorze języka i przynosi ciężką księgę ze stojącego obok stołu.

– Mama pomyślała, że to mogłoby pana zainteresować z powodu Grace.

– Tak?

– Ma tu wszystkie słynne morderstwa – tłumaczy panna Lydia. – Wycina je z gazet i wkleja tutaj. Są tu też powieszania.

– Naprawdę?

Ta kobieta jest nie tylko hipochondryczką, ale i wampirem.

– Dzięki temu może zdecydować, którym z przestępców należy pomóc. Oto Grace.

– Dziewczyna rozkłada album na kolanach i pochyla się do Simona. – Interesuje mnie. Ma niezwykle zdolności.

– Jak doktor DuPont?

– Och, nie. Ja się nie angażuję w takie rzeczy. Nigdy nie pozwoliłabym się

zahipnotyzować, to takie nieprzyzwoite! Chciałam powiedzieć, że Grace jest niezwykle utalentowana jako krawcowa.

Simon myśli sobie, że w pannie Lydii jest jakaś stłumiona brawura. Kiedy się uśmiecha, pokazuje nie tylko górne, ale i dolne zęby. Ale przynajmniej jest zdrowa na umyśle – nie tak jak jej matka. To zdrowe, młode zwierzę. Simon widzi jej białą szyję przewiazaną skromną wstążką przyozdobioną pączkiem róży – jak przystoi niezamężnej pannie. Jej ramię przyciska się do niego poprzez warstwy delikatnego materiału. Simon nie jest nieczuły jak skała i chociaż charakter panny Lydii – podobnie jak wszystkich takich dziewcząt – musi jeszcze być nieuformowany i dziecinny, to ma ona niesłychanie wąską talię. Emanuje jakiś delikatny zapach przypominający lilie, który otula go wonną siateczką.

Panna Lydia chyba jednak nie jest świadoma wrażenia, jakie na nim wywiera, gdyż z pewnością w ogóle nie zdaje sobie sprawy z natury takich wrażeń. Simon zakłada nogę na nogę.

– A to egzekucja – mówi panna Lydia – Jamesa McDermotta. Pokazano ją w wielu gazetach. Ten wycinek pochodzi z „The Examiner”.

Simon czyta:

„Cóż za niezdrowy apetyt na takie widowiska musi panować w społeczeństwie, skoro przy obecnym stanie dróg zgromadził się taki tłum, by obserwować śmierć tej nieszczęsnej, choć zbrodniczej istoty! Czyżby dzięki takim scenom poprawiało się morale społeczeństwa lub spadała tendencja do popełniania przestępstw?”.

– Jestem skłonny się z tym zgodzić – mówi Simon.

– Poszłabym tam, gdybym tam wtedy była. A pan?

Simon jest zaszokowany taką bezpośredniością. Nie pochwała publicznych egzekucji, ponieważ niezdrowo podniecają i wywołują krwiożercze fantazje u tej części ludności, która jest mniej rozwinięta umysłowo. Zna jednak samego siebie i gdyby trafiła mu się okazja, ciekawość niewątpliwie zatriumfowałaby nad skrupułami.

– Być może w celach zawodowych – mówi ostrożnie. – Ale nie pozwoliłbym pójść na egzekucję siostrze, gdybym ją miał.

– Ależ dlaczego? – pyta Lydia z szeroko rozwartymi oczami.

– Kobiety nie powinny uczestniczyć w tak straszliwych widowiskach. Ich delikatna natura jest wówczas wystawiona na niebezpieczeństwo. – Jest świadom tego, że wyraża się pompatycznie.

W trakcie swych podróży spotkał wiele kobiet, które trudno było posądzić o delikatną naturę. Widział obłąkane, które zdierały z siebie odzienie, ukazując nagie ciała. Widział prostytutki najgorszego sortu, które robiły to samo. Widział kobiety pijane i przeklinające, bijące się jak zapaśnicy, wrywające sobie nawzajem włosy. Na ulicach Paryża i Londynu aż się od nich roi. Wie, że takie kobiety pozbywają się swoich maleńkich dzieci i sprzedają dorastające córki bogatym mężczyznom, którzy mają

nadzieję, że gwałcąc dzieci, unikną choroby. Nie ma więc złudzeń co do wrodzonej delikatności kobiet, lecz tym bardziej pragnie chronić czystość tych, które czystymi jeszcze pozostały. W takim wypadku hipokryzja z pewnością jest usprawiedliwiona: należy przedstawiać rzeczywistość taką, jaką być powinna.

– Uważa pan, że ja mam delikatną naturę? – pyta Lydia.

– Jestem o tym przekonany. – Simon zastanawia się, czy to, co czuje na swojej nodze, to jej udo czy tylko sukienka.

– Niekiedy nie jestem tego taka pewna. Niektórzy ludzie mówią, że panna Florence Nightingale wcale nie ma delikatnej natury, gdyż inaczej nie mogłaby bez uszczerbku dla zdrowia patrzeć na takie zepsucie. Ale jest bohaterką.

– Bez wątpienia – przytakuje Simon.

Podejrzewa, że panna Lydia próbuje z nim flirtować. Nie jest to niemiłe, choć w jakiś przewrotny sposób przywodzi mu na myśl matkę. Ileż to już dziewcząt dyskretnie wodziła mu przed nosem, niczym opierzoną przynętę na ryby? Zawsze sadza je koło wazonu z białymi kwiatami. Ich moralność jest nienaganna, maniery są tak łagodne jak wiosenna woda, a ich umysły przedstawiono mu jako nieupieczone ciasto, które on sam mógłby ugnieść i uformować. Kiedy jednoroczny plon dziewcząt zaręcza się lub wychodzi za mąż, nowy, młodszy, pojawia się niczym tulipany w maju. Są teraz tak młode w porównaniu z Simonem, że trudno mu się z nimi rozmawia: czuje się, jakby mówił do koszyka pełnego kociąt.

Jego matka zawsze myliła młodość z elastycznością. Zawsze pragnęła synowej, którą mogłaby uformować – tak więc dziewczęta nadal przepływają koło niego, on wciąż obojętnie się od nich odwraca, a matka oskarża go o lenistwo i niewdzięczność. Simon ciągle strofuje się za to – jest uparty jak muł i zimny jak lód – i dziękuje matce za wysiłek i zapewnia ją: kiedyś w końcu się ożeni, ale jeszcze nie jest na to gotowy. Najpierw musi oddać się badaniom, osiągnąć coś cennego, dokonać jakiegoś wiekopomnego odkrycia, musi wyrobić sobie nazwisko.

„Już masz nazwisko” – matka wzdycha z wyrzutem. To doskonale nazwisko, które on najwyraźniej usiłuje wymazać, nie chcąc przedłużyć rodu. W tym momencie zawsze cicho kaszle, by zaznaczyć, że to był trudny poród, który jej omal nie zabił i który fatalnie osłabił jej płuca – chwyt, który w dzieciństwie zawsze go redukował do jednego wielkiego poczucia winy. Gdyby tylko dał syna – ciągnie matka – oczywiście z prawego łóża, wówczas mogłaby spokojnie umrzeć. Simon przekomarza się z nią, mówiąc, że w takim razie jego małżeństwo byłoby zbrodnią, gdyż oznaczałoby matkobójstwo, po czym dodaje – by złagodzić cierpkość – że lepiej mu bez żony niż bez matki, a zwłaszcza matki tak doskonałej jak ona. Wtedy ona posyła mu ostre spojrzenie, które mówi, że zna takie sztuczki i się na nie nie nabierze. Spryciarz z niego, ale niech mu się nie zdaje, że ją ugłaszczaje pochlebstwami. Mimo wszystko nieco się uspokaja.

Niekiedy kusi go, żeby ustąpić. Mógłby wybrać jedną z jej ulubienic – tę najbogatszą. Ustatkowałby się, śniadanie dałoby się zjeść, a dzieci wszyscy by poważali. Akt prokreacji przebiegłby niezauważenie, pruderyjnie okryty białą bawełną – ona posłuszna, choć, jak nakazuje zwyczaj, pełna odrazy, on egzekwujący swe prawa – lecz o potrzebach nigdy by się nie wspominało. W jego domu byłoby wygodnie i ciepło jak

w uchu. Można gorzej trafić.

– Uważa pan, że Grace ma delikatną naturę? – pyta panna Lydia. – Jestem pewna, że to nie ona popełniła te morderstwa. James McDermott chyba kłamał na jej temat. Mówią jednak, że była jego kochanką. Czy to prawda?

Simon czuje rumieniec na twarzy. Jeżeli panna Lydia flirtuje, to nieświadomie. Jest zbyt niewinna, by rozumieć swój brak niewinności.

– Trudno powiedzieć – mruczy.

– Może została uwiedziona – mówi rozmarzonym tonem panna Lydia. – W książkach kobiety zawsze są uwodzone. Ja jednak osobiście nie znam nikogo takiego. A pan?

Simon mówi, że również nie.

– Ucięli mu głowę. – Panna Lydia zniża głos. – Trzymają ją w butli na uniwersytecie w Toronto.

– Skąd! – oburza się Simon. – Można zachować czaszkę, ale z pewnością nie całą głowę!

– Zupełnie jak jakaś wielka marynata – mówi z satysfakcją panna Lydia. – Och, mama chce, żebym porozmawiała z wielebnym Verringerem. Wolę rozmawiać z panem – on zawsze tak poucza. Ale mama uważa, że dobrze działa na mój rozwój moralny.

Wielebny Verringer właśnie wszedł do pokoju i z irytującą życzliwością uśmiecha się do Simona, zupełnie jakby ten był jego protegowanym. A może uśmiecha się do Lydii.

Simon patrzy, jak Lydia prześlizguje się przez salon. Sunie tak gładko, jak należy. Pozostawiony sam na kanapie, zaczyna myśleć o Grace. Wszak widzi ją codziennie w szwalni. Na portrecie wygląda starzej. Teraz cerę ma bladą, skórę gładką, niepomarszczoną i nadzwyczaj delikatną – być może dlatego, że trzymają ją w zamknięciu, a może z powodu skromnej więziennej diety. Jest teraz szczuplejsza, mniej zaokrąglona na twarzy i podczas gdy na obrazku widniała ładna kobieta, teraz Grace jest więcej niż ładna. Albo raczej inaczej niż ładna. Zarys jej kości policzkowych jest marmurowo, klasycznie prosty. Patrząc na nią to uwierzyć, że cierpienie rzeczywiście oczyszcza.

Ale w zaciszu szwalni Simon może również czuć jej zapach. Usiłuje nie zwracać na to uwagi, lecz ten zapach go rozprasza. Grace pachnie dymem; dymem, szarym mydłem i solą, a także samą skórą wraz z jej wilgocią, jędrnością, dojrzałością – czego? Paproci i grzybów, owoców rozgniecionych i fermentujących. Simon jest ciekaw, jak często więźniarki mogą się kąpać. Chociaż jej włosy są splecione i wsunięte pod czepek, także one wydzielają pewną woń – intensywnie piżmową woń skóry na głowie. Simon znajduje się w obecności samicy, nieco lisiej i czujnej. Odczuwa tę czujność na własnej skórze, ma wrażenie, jakby mu stawały włoski na rękach. Niekiedy też wydaje mu się, że chodzi po lotnych piaskach.

Codziennie kładzie przed nią jakiś mały przedmiot i prosi, by mu powiedziała,

z czym on jej się kojarzy. Tym razem eksperymentował z różnymi korzeniami warzyw, spodziewając się skojarzenia, które prowadzić będzie pod ziemię: na przykład burak – piwnica – trupy; albo rzepa – podziemie – grób. Zgodnie z jego teoriami odpowiedni przedmiot powinien wywoływać u niej łańcuch niepokojących skojarzeń. Jednakże do tej pory traktowała jego podarunki wyłącznie dosłownie, a jemu udało się z niej wycisnąć jedynie serię sposobów gotowania.

W piątek spróbował bardziej bezpośredniego podejścia.

– Możesz być ze mną zupełnie szczerą, Grace – powiedział. – Nie musisz niczego ukrywać.

– Nie mam powodu nie być z panem szczerą – odparła. – Dama mogłaby dla ocalenia reputacji ukrywać pewne rzeczy, ale ja jestem ponad to.

– Co masz na myśli?

– Tylko to, że nigdy nie byłam damą, i jeżeli kiedykolwiek miałam jakąś reputację, to już ją straciłam. Mogę mówić, co mi się żywnie podoba, a jeżeli nie chcę, to mogę w ogóle nic nie mówić.

– Nie zależy ci na mojej opinii?

Posłała mu szybkie, ostre spojrzenie, po czym wróciła do szycia.

– Już zostałam osądzona, proszę pana. To, co pan myśli o mnie, niczego nie zmieni.

– Osądzona słusznie? – Nie mógł się powstrzymać od zadania tego pytania.

– Słusznie czy niesłusznie, to nie ma znaczenia. Ludzie chcą mieć winnego. Jeżeli popełniono zbrodnię, chcą wiedzieć, kto to zrobił. Nie lubią nie wiedzieć.

– W takim razie nie masz już nadziei?

– Nadziei na co, proszę pana? – spytała łagodnie.

Simonowi zrobiło się głupio, jakby popełnił gafę.

– No... na uwolnienie.

– A dlaczego mieliby to zrobić? Morderczynie to rzecz niecodzienna. Co się zaś tyczy moich nadziei, to zachowuję je dla mniejszych spraw. Żyję nadzieją, że jutro dostanę lepsze śniadanie niż to, które jadłam dzisiaj. – Uśmiechnęła się lekko. – Swego czasu powiedzieli, że mój przykład ma odstraszać innych. Dlatego najpierw dali wyrok śmierci, a potem dożywocie.

„Ale co w końcu daje przykład?” – pomyślał Simon. Jej historia już się skończyła. To znaczy główna część historii: to, co określiło Grace. Jak ma teraz wypełnić resztę swego życia?

– Uważasz, że zostałam potraktowana niesprawiedliwie?

– Nie wiem, o czym pan mówi – odparła, nawlekając igłę. Zwilżyła koniec nitki i ten gest wydał mu się jednocześnie zupełnie naturalny i nieznośnie intymny. Poczul się tak, jakby przez dziurkę w ścianie podglądał, jak się rozbiera. Zupełnie jakby myła się językiem – jak kot.

5 Ewangelia wg św. Jana, 3, 8.

V

Rozbite naczynia

Nazywam się Grace Marks. Jestem córką Johna Marksa, który mieszka w Toronto i jest z zawodu kamieniarzem. Przybyliśmy do tego kraju jakieś trzy lata temu z Irlandii Północnej. Mam cztery siostry i czterech braci; jedna siostra i jeden brat są starsi ode mnie. W lipcu tego roku skończyłam szesnaście lat. Podczas tych trzech lat, które spędziłam w Kanadzie, pracowałam w różnych miejscach jako służąca...

Dobrowolne zeznanie Grace Marks

złożone wobec pana George'a Waltona w więzieniu

17 listopada 1843 roku,

„Star and Transcript”, Toronto

Przez całe siedemnaście lat
Ani razu nie naszła mnie myśl,
Jak bardzo różni mnie los
Od wszystkich kobiet na świecie.
Bo ten mój los, krok po kroku,
Stawał się tak straszny i dziwny:
Tajemna niedola zakradła się na palcach
Do mego domu i życia.
Siadała tam, gdzie ja, kładła się przy moim boku,
Aż wreszcie oswoiła mnie z lękiem.
A kiedy przyjaciele przyszli, wzniesli pochodnię, wołając:
„Czemu to, Pompillo, w jaskini się kryjesz,
Ramieniem tuląc wilka?
A ta miękka lina długa, co oplotła
Ci się wokół nóg – toż to wąż jest!”.
I tak dalej.
Robert Browning

Pierścień i księga, 1869

6 przeł. Krzysztof Zabłocki.

Już dziewiąty dzień siedzę w tym pokoju z doktorem Jordanem. Nie jest to dziewiąty dzień z rzędu, gdyż po drodze były niedziele, a parę razy w ogóle nie przyszedł. Kiedyś liczyłam dni od swoich urodzin, potem od pierwszego dnia w tym kraju, od ostatniego dnia na ziemi Mary Whitney, od tego dnia w lipcu, kiedy się wydarzyły te okropne rzeczy, i wreszcie od mojego pierwszego dnia w więzieniu. Teraz jednak odmierzam czas od tego pierwszego dnia, który spędziłam w szwalni z doktorem Jordanem, gdyż nie można zawsze liczyć od tej samej chwili. Robi się wtedy nudno, a czas nieźnośnie się rozciąga.

Doktor Jordan siedzi naprzeciw mnie. Pachnie mydłem do golenia, angielskim, i skórą swych butów. To uspokajający zapach i zawsze czekam na niego niecierpliwie. Wolę mężczyzn, którzy się myją. Dziś położył na stole ziemniak, ale jeszcze mnie o niego nie spytał, więc tylko siedzimy po obu jego stronach. Nie wiem, co mam powiedzieć o tym ziemniaku – poza tym, że wiele się ich w życiu naobierałam i sporo też zjadłam. Młody ziemniak z solą, odrobiną masła i pietruszką, jeśli akurat jest, to wielki przysmak. Nawet te stare i duże dają się doskonale upiec. Ale jak długo można rozmawiać o ziemniakach? Niektóre przypominają dziecięce buzie albo pyszczki zwierząt, a raz widziałam takiego, co wyglądał zupełnie jak kot. Ten jednak to tylko ziemniak – ni mniej, ni więcej. Niekiedy wydaje mi się, że doktor Jordan ma trochę nie po kolei w głowie. Ale wolę już gadać z nim o ziemniakach, jeśli taką ma fantazję, niż w ogóle z nim nie rozmawiać.

Dziś założył inny krawat: czerwony w niebieskie kropki, a może niebieski w czerwone kropki, nieco zbyt krzykliwy jak na mój gust, ale nie mogę wystarczająco długo na niego patrzeć, żeby móc to określić. Potrzebuję nożyczek, więc proszę o nie, a potem on chce, żebym zaczęła mówić, więc zaczynam. Dziś skończę ostatni kwadrat na tę kołdrę, potem zszyję wszystkie i wypcham pierzem. Ta kołdra jest dla jednej z córek komendanta. To „Drewniana Chatka”.

„Drewniana Chatka” to kołdra, jaką przed ślubem powinna mieć każda młoda kobieta, gdyż oznacza ona dom. Pośrodku zawsze znajduje się czerwony kwadrat, który oznacza ognisko domowe. Tak mi powiedziała Mary Whitney. Ale nie mówię tego, wydaje mi się, że to go nie zainteresuje, bo jest za bardzo pospolite. Chociaż nie mniej pospolite niż ziemniak.

– Co potem będziesz szyła? – pyta.

– Nie wiem – mówię. – Pewnie coś mi dadzą. Ja nie wypcham kołder, tylko szyję kwadraty, bo to taka delikatna robota. Żona komendanta mówi, że marnuję się w więzieniu, szyjąc te mundurki i worki na listy. W każdym razie wypychanie kołdry odbywa się wieczorem i jest przy tym mnóstwo zabawy, ale mnie się nie zaprasza na zabawę.

– A gdybyś mogła zrobić kołdrę dla siebie, jaki wybrałabyś wzór?

No, co do tego nie mam żadnych wątpliwości. Byłaby to „Rajska Jabłoń” – taka jak

w komodzie u pani Aldermanowej Parkinson. Oglądałam ją czasami pod pretekstem, że chcę sprawdzić, czy nie trzeba jej naprawić. Była precudna, cała zrobiona z trójkątów: ciemnych zamiast liści i jasnych zamiast jabłek. Ścieg był tak drobnutki, że sama ledwo potrafiłabym go wykonać, tylko że ja inaczej obrębiłabym brzegi. Jej kołdra była obrębiona ściegiem „Daremny Trud”, ale ja bym ją obszyła podwójnym kolorem: jasnym i ciemnym. Taki ścieg nazywa się „Winorośl”, nitki splatają się w nim jak liście na lustrze w salonie. Strasznie dużo byłoby przy tym roboty i zajęłoby to mnóstwo czasu, ale kołdra byłaby tylko moja i uszyłabym ją z wielką chęcią.

Jemu jednak mówię co innego.

– Nie wiem, proszę pana. Może „Łzy Hioba” albo „Rajską Jabłoń” albo „Wężowy Płot”⁷, a może „Zagadkę Starej Panny”, bo ja jestem starą panną, prawda, proszę pana? – Nie daję mu prostej odpowiedzi, bo mówienie tego, co się naprawdę chce powiedzieć, przynosi pecha i potem już nigdy nie przydarzy ci się nic dobrego.

I tak się pewnie nie przydarzy, ale na wszelki wypadek trzeba uważać, co się mówi. Inaczej może cię za to spotkać kara. Tak jak to się przytrafiło Mary Whitney.

Doktor spisuje sobie nazwy kołder.

– „Rajskie jabłonie” czy „Jabłoń”? – pyta.

– „Jabłoń”, proszę pana. Można zrobić kołdrę, na której będzie kilka jabłoni. Widziałam nawet cztery złączone koronami na środku, ale i tak będzie się nazywała „Rajska Jabłoń”.

– Jak myślisz, dlaczego?

Czasami jest jak dziecko, ciągle pyta „dlaczego?”.

– Dlatego, że tak się nazywa ten wzór, proszę pana. Jest też „Drzewo Życia”, ale to zupełnie inny wzór. Można też uszyć „Drzewo Pokusy” i „Sosnę”. Również są bardzo ładne.

Zapisuje wszystko. Potem bierze do ręki ziemniak i patrzy na niego.

– Czyż to nie cudowne, że coś takiego rośnie pod ziemią? Można by powiedzieć, że rośnie we śnie, schowany w ciemności.

No a gdzie mają rosnać ziemniaki? Nie widziałam, żeby zwisały z krzaków. Nie mówię jednak nic.

– Co jeszcze jest pod ziemią, Grace?

– Buraki – mówię. – I marchewka, proszę pana. Już taka ich natura.

Wygląda na rozczarowanego tą odpowiedzią i nie zapisuje jej. Patrzy na mnie i duma.

– Miewasz jakieś marzenia, Grace? – pyta wreszcie.

– Co pan ma na myśli?

Pewnie jest ciekaw, czy marzę o przyszłości, czy planuję, co będę robiła w życiu, a ja myślę, że to okrutne pytanie. Będę tu aż do śmierci, więc nie mam żadnej przyszłości, o której mogłabym marzyć. A może zastanawia się, czy śnię na jawie, czy wyobrażam sobie mężczyzn, tak jak to robią młode dziewczęta, a to jest jeszcze okrutniejsze. Mówię więc, nieco zła i urażona:

– A cóż ja bym miała począć z marzeniami. To niezbyt miło z pana strony o to pytać.

– Nie, chyba mnie źle rozumiałaś – odpowiada. – Chciałem spytać, czy miewasz marzenia senne.

– Wszystkim coś się śni, proszę pana, a przynajmniej tak mi się wydaje – mówię nieco opryskliwie, bo to jeszcze większe bzdury.

– Tak, Grace, ale czy tobie coś się śni? – dopytuje się. Nie zauważył mojego tonu, albo raczej woli go nie słyszeć. Mogłabym mu powiedzieć wszystko, a on i tak nie byłby wstrząśnięty ani zaszokowany, czy choćby bardzo zdziwiony, tylko po prostu by to zapisał. Pewnie dlatego interesują go moje sny, że sen może coś oznaczać – tak stoi napisane w Biblii. Na przykład sen o faraonie, o tłustych krowach i chudych krowach, o Jakubie, który z aniołami wchodził po drabinie i schodził z niej. Jest taki wzór kołdry, nazywa się „Drabina Jakubowa”.

– Tak, proszę pana – odpowiadam.

– A co ci się śniło zeszłej nocy?

Śniło mi się, że stałam przy drzwiach kuchennych w domu pana Kinneara. Właśnie szorowałam podłogę – wiem, bo jeszcze miałam podciągniętą spódnicę i bose, mokre stopy i nie założyłam trepów. Na schodach stanął jakiś mężczyzna – pewnie domokrażca, jak Jeremiasz, od którego kiedyś kupiłam guziki do nowej sukienki, a McDermott cztery koszuły.

Ale to nie Jeremiasz, to jakiś inny mężczyzna. Otworzył swoją torbę i wszystko mu się z niej wysypało na ziemię: wstążki, guziki, grzebienie i kawałki materiału – bardzo jasne w tym śnie – jedwabie i kaszmirowe szale, i bawełniane perkalie połyskujące w słońcu, gdyż akurat był środek dnia i lato w pełni.

Miałam wrażenie, że go kiedyś znałam, ale on miał odwróconą twarz i nie mogłam go rozpoznać. Czulałam, że patrzy w dół, na moje nagie nogi, nagie aż po kolana i niezbyt czyste od szorowania podłogi, no ale noga to noga – brudna czy czysta – więc nie obciągnęłam spódnicy. Niech sobie biedak popatrzy – tam, skąd przyszedł, nie ma czegoś takiego. To pewnie obcokrajowiec, przeszedł kawał drogi i wyglądał na wygłodzonego – tak przynajmniej mi się wydawało w tym śnie.

Potem już jednak nie patrzył, próbował mi coś sprzedać. Miał coś mojego, co było mi potrzebne, ale nie miałam pieniędzy, więc nie mogłam tego odkupić.

– W takim razie będziemy się targować. No, co możesz mi dać? – pyta figlarnie.

Trzymał jedną z moich dłoni. Była biała i pokurczona, trzymał ją dwoma palcami za nadgarstek, jak rękawiczkę. Kiedy jednak spojrzałam na swoje ręce, zobaczyłam, że są obie, że jak zwykle wyłaniają się z mankietów, i domyśliłam się, że ta trzecia ręka musi należeć do jakiejś innej kobiety. Pewnie niedługo przyjdzie tu jej szukać, a gdybym ją teraz wzięła, powiedziałyby, że ją ukradłam. Ale ja jej nie chciałam, bo na pewno została odcięta. Ociekała krwią jak gęstym syropem, co mnie jednak wcale nie przerażało, choć na jawie boję się krwi. Zaciekawilo mnie natomiast coś innego. Za plecami usłyszałam fujarkę, co mnie bardzo zdenerwowało.

– Niech pan idzie – powiedziałam do domokrażcy. – Musi pan już iść. – On jednak odwrócił głowę w bok i nie ruszył się z miejsca. Pomyślałam, że chyba się ze mnie śmieje.

I pomyślałam też: usiądę na tej czystej podłodze.

– Nie pamiętam, proszę pana – mówię. – Nie pamiętam, co mi się śniło zeszłej nocy. To było jakieś poplątane.

A on to wszystko spisuje.

Mało mam swojego – żadnych osobistych przedmiotów, żadnej prywatności, a coś muszę zachować dla siebie. Zresztą do czego by mu się przydały moje sny?

– Cóż, kota można obedrzeć ze skóry na różne sposoby – mówi.

Te słowa wydają mi się dziwne, więc mówię:

– Ale ja nie jestem kotem, proszę pana.

– Och, pamiętam, nie jesteś też psem. – I uśmiecha się. – Grace, pytanie brzmi: czym jesteś? Rybą czy ciałem, a może wędzonym śledziem?

– Słucham?

Nie podoba mi się, że mnie porównują do ryby. Wyszłabym stąd, gdyby nie to, że nie śmiem.

– Zacznijmy od początku – proponuje.

– Od jakiego początku? – dziwię się.

– Od początku twojego życia.

– Urodziłam się jak każdy inny, proszę pana – mówię, wciąż jeszcze poirytowana.

– Mam tu twoje zeznanie. Przeczytam, co w nim powiedziałaś.

– Tak naprawdę to nie jest moje zeznanie – mówię. – Prawnik kazał mi to powiedzieć, wymyślili to ludzie z gazet. Kiedy pierwszy raz zobaczyłam dziennikarza, pomyślałam sobie: „Czy twoja matka wie, że jesteś poza domem?”. Był niemal tak młody jak ja i dopiero co zaczął się golić. Wszyscy byli tacy sami, mieli jeszcze mleko pod nosem i nie rozpoznaliby prawdy, nawet gdyby się o nią potknęli. Powiedzieli, że mam osiemnaście, dziewiętnaście lat, a już na pewno nie więcej niż dwadzieścia, chociaż dopiero co skończyłam szesnaście, i nawet nie potrafili prawidłowo napisać nazwisk. „Jamie Walsh” pisali na trzy różne sposoby: „Walsh”, „Welch”, „Walch”, to samo było z „McDermottem” – pisali „Mc” i „Mac”, z jednym t i z dwoma, a imię „Nancy” pisali jako „Ann”, chociaż nigdy w życiu nikt na nią tak nie mówił – więc jak można oczekiwać, że wszystko inne zrobią poprawnie? Wymyślali różne rzeczy, żeby pasowały do ich historyjki.

– Grace – pyta – kto to jest Mary Whitney?

Rzucam mu szybkie spojrzenie.

– Mary Whitney, proszę pana? Skąd pan ma to nazwisko?

– Jest napisane pod twoim portretem. Przed twoim zeznaniem. *Grace Marks alias Mary Whitney*.

– Ach, tak – mówię. – Nie jestem tam do siebie podobna?

– A Mary Whitney?

– Och, to takie nazwisko, które przybrałam w gospodzie w Lewiston, kiedy uciekaliśmy z Jamesem McDermottem. Powiedział, że nie powinnam się posługiwać swoim prawdziwym nazwiskiem, na wypadek gdyby nas szukali. Pamiętam, że wtedy

bardzo mocno ściskał mnie za rękę. Żeby się upewnić, że zrobię, co mi każe.

– I wybrałaś pierwsze lepsze, które przyszło ci do głowy?

– O nie, proszę pana. Mary Whitney była kiedyś moją przyjaciółką. W tym czasie już nie żyła i myślę, że nie miałyby nic przeciwko temu, że używam jej nazwiska. Czasami też pożyczała mi coś z ubrania.

Zatrzymuję się na chwilę, zastanawiając się, jak to wyjaśnić.

– Zawsze była dla mnie dobra. Bez niej wszystko potoczyłoby się zupełnie inaczej.

7 *Snake fence* (ang.) – ogrodzenie z kłoców ustawionych zygzakiem (przyp. tłum.).

Jest taki wierszyk, który pamiętam z dzieciństwa:

*Figle i psoty, figle i psoty
Mężczyzny ślub oznacza kłopoty.*

Nie mówi o tym, kiedy zaczynają się kłopoty kobiety. Moje zaczęły się może wtedy, kiedy się urodziłam. Jak to się mówi, rodziców się nie wybiera, a z własnej woli nie wybrałabym tych, których dał mi Bóg.

Początek mojego zeznania jest dosyć prawdziwy. Rzeczywiście pochodzę z Irlandii Północnej, chociaż uważałam, że to, co napisali, jest bardzo niesprawiedliwe: „oboje oskarżeni z własnej woli wyjechali z Irlandii”. Brzmi to tak, jakbyśmy popełnili przestępstwo, a nie wydaje mi się, by wyjazd z Irlandii był jakąś zbrodnią, chociaż często jest tak traktowany. Ale oczywiście moja rodzina to protestanci, więc to wszystko zmienia.

Pamiętam mały skalisty port nad morzem, ziemię zieloną i szarą, z rzadka porośniętą drzewami, i dlatego przestraszyłam się, kiedy zobaczyłam tutejsze wielkie drzewa – nie wyobrażałam sobie, że drzewa mogą być tak ogromne. Niezbyt dobrze przypominam sobie to miejsce, byłam dzieckiem, kiedy stamtąd wyjechaliśmy. Pamiętam tylko okruchy – jak rozbity talerz. Zawsze są takie kawałki, które można by dopasować do zupełnie innego talerza, ale są i puste miejsca, których niczym się nie da wypełnić.

Mieszkaliśmy w małym domku o przeciekającym dachu i z dwoma pokoiczkami, na skraju wioski nieopodal miasta, którego nazwy nie podałam do gazet, bo być może jeszcze żyje moja ciotka Pauline, a nie chciałabym jej zhańbić. Zawsze miała o mnie dobre zdanie, chociaż kiedyś słyszałam, jak mówiła mojej matce, że niewiele można się po mnie spodziewać – z tak marnymi perspektywami i ojcem takim jak mój. Uważała, że moja matka popełniła megalomanię, że to typowe dla naszej rodziny i że ja pewnie skończę tak samo. Mnie jednak powtarzała, że powinnam z tym walczyć, żądać za siebie wysokiej ceny i nie brać pierwszego lepszego, który się nadarzy, tak jak to zrobiła moja matka, nie sprawdzając jego rodziny ani przeszłości, i że powinnam się wystrzegać nieznajomych. Jako ośmiolatka nie bardzo rozumiałam, o czym mówi, choć z pewnością były to dobre rady. Matka mawiała, że ciotka Pauline ma jak najlepsze intencje, ale jej zasady są dobre dla tych, których na nie stać.

Ciotka Pauline i jej mąż, wujek Roy, przygarbiony i szczerzy człowiek, mieli sklep w pobliskim mieście. Oprócz artykułów podstawowych sprzedawali materiały na suknie i koronkę, a także płótno z Belfastu i powodziło im się nieźle. Moja matka była jej

młodsza siostrą, ładniejszą od ciotki Pauline, która miała cerę niczym papier ścierny i była koścista, a kostki u palców wystawały jej jak kurze kolana. Moja matka miała długie orzechowe włosy, które po niej odziedziczyłam, i okrągłe niebieskie oczy jak lalka. Przed ślubem mieszkała z ciotką Pauline i wujem Royem i pomagała im w sklepie.

Były córkami duchownego, metodysty. Mówiono, że zrobił coś dziwnego z kościelnymi pieniędzmi i potem nigdzie nie mógł dostać posady. Kiedy umarł, zostały bez grosza i musiały same zarabiać na siebie. Obie jednak były wykształcone: umiały haftować i grać na pianinie, więc ciotka Pauline czuła, że i ona popełniła megalomanię, gdyż prowadzenie sklepu to nie zajęcie dla damy. Wujek Roy, choć trochę nieokrzesany, był jednak dobrym człowiekiem i szanował ją, a to miało znaczenie. Za każdym razem, kiedy zaglądała do szafy na pościel albo przeliczała naczynia w swych dwóch zastawach – jednej na co dzień i drugiej z prawdziwej chińskiej porcelany na wielkie okazje – błogosławiła swą szczęśliwą gwiazdę i była wdzięczna, gdyż mogła trafić gorzej – to znaczy tak jak moja matka.

Myszę, że nie mówiła tego po to, żeby sprawić przykrość siostrze, choć zawsze na to wychodziło i matka potem płakała. Rozpoczęła życie pod pantoflem ciotki Pauline, a i potem było tak samo, z tym że był to już pantofel mojego ojca. Ciotka zawsze jej powtarzała, żeby nie dawała się zastraszyć mężowi, a ojciec mówił, żeby nie poddawała się ciotce i w rezultacie znalazła się między młotem a kowadłem. Była cichym stworzeniem, niezdecydowanym, słabym i delikatnym, co zawsze mnie gniewało. Chciałam, żeby była silniejsza, gdyż wówczas to ja nie musiałabym być silna.

Mój ojciec zaś nawet nie był Irlandczykiem. Był Anglikiem z północnej Anglii i właściwie nie wiadomo, dlaczego przyjechał do Irlandii, gdyż większość z tych, których ciągnęło do podróżowania, zdążyła w przeciwnym kierunku. Ciotka Pauline mówiła, że niechybnie napytał sobie w Anglii jakiejś biedy i musiał stamtąd uciekać. Twierdziła, że Marks to nawet nie jest jego prawdziwe nazwisko. Powinno brzmieć Mark – jak imię nieszczęsnego króla Kornwalii – takie miał mordercze spojrzenie. Ale to już powiedziała później, kiedy wszystko się poplątało.

Matka mówiła, że początkowo sprawiał wrażenie dość miłego i zrównoważonego młodego człowieka, i nawet ciotka musiała przyznać, że był przystojny – taki był wysoki, słomianowłosy i zachował większość zębów. Kiedy się pobrali, miał i pieniądze, i perspektywy, gdyż rzeczywiście, jak to napisali w gazetach, był kamieniarzem. Mimo to ciotka twierdziła, że matka by za niego nie wyszła, gdyby nie musiała. Nie mówiło się tego wprost, ale chodziło o moją starszą siostrę Marthę, która jak na siedmiomiesięcznego wcześniaka była bardzo duża. Matka była zbyt uległa, wiele młodych kobiet wpadało w ten sposób. Prosiła mnie tylko, żebym nie poszła w jej ślady. Ciotka twierdziła, że matka miała dużo szczęścia, że ojciec zgodził się z nią ożenić.

Tak więc moi rodzice czuli się uwięzieni przez siebie nawzajem.

Nie wydaje mi się, żeby mój ojciec był złym człowiekiem, po prostu łatwo zbaczał z drogi, a okoliczności nigdy mu nie sprzyjały. Jako Anglik niechętnie był widziany nawet wśród protestantów, którzy nie lubili obcych. Twierdził też, że zdaniem mojego wuja zrobił moją matkę w małżeństwo, licząc na łatwe życie i uszczknięcie nieco pieniędzy ze sklepu. Częściowo było to prawdą, gdyż ze względu na matkę i nas, dzieci, nie mogli

mu niczego odmówić.

Wszystkiego tego dowiedziałam się bardzo wcześnie. Drzwi w naszym domu nie były zbyt grube, a ja zawsze lubiłam podsłuchiwać, co zresztą nie było trudne, bo ojciec mówił głośno, kiedy był pijany. Jak już raz zaczął, nie baczył na to, że ktoś cicho jak myszka może stać tuż za rogiem albo za oknem.

Mówił, na przykład, że mają zbyt dużo dzieci – nawet jak na bogacza. Tak jak napisali w gazetach, było nas dziewięcioro, to znaczy żyjących. Nie doliczyli zmarłych, których było troje, a także dziecka, które umarło, jeszcze zanim się urodziło, i nawet nie dostało imienia. Matka i ciotka Pauline nazywały je utraconym dzieckiem i kiedy byłam mała, zastanawiałam się, jak je można było utracić, bo myślałam, że matka je straciła tak, jak można zgubić pensa, a skoro gdzieś się zgubiło, to być może kiedyś się odnajdzie.

Pozostałych troje pogrzebano na przykościelnym cmentarzu. Chociaż matka modliła się coraz więcej, coraz rzadziej chodziliśmy do kościoła, gdyż mówiła, że nie pozwoli, by jej biedne, obdarte dzieci paradowały boso przed wszystkimi jak jakieś strachy na wróble. Kościółek był niewielki, lecz pomimo swej łagodnej natury matka miała swoją dumę i jako córka duchownego wiedziała, co przystoi w kościele. Ale bardzo trudno być przyzwoitym, kiedy się nie ma całych ubrań.

Ja jednak chodziłam na cmentarz. Kościół był wielkości zaledwie obory, a cmentarz cały zarośnięty. Nasza wioska niegdyś była większa, ale wiele osób się wyprowadziło – do Belfastu do fabryk albo za ocean – i często nie miał kto pielęgnować rodzinnych grobów. Cmentarz był jednym z miejsc, gdzie zabierałam młodsze dzieci, kiedy matka kazała nam wynosić się z domu. Szliśmy więc popatrzeć na trójkę zmarłego rodzeństwa, a także na inne groby. Niektóre były bardzo stare i miały nagrobki z anielskimi głowami, które jednak bardziej przypominały płaskie ciastka z dwoma wyłupiastymi oczami i ze skrzydłami wychodzącymi z obu stron jak uszy. Nie rozumiałam, jak głowa może fruwać bez ciała, nie pojmowałam też, jak można jednocześnie być w niebie i na cmentarzu, no ale tak było.

Naszyc troje zmarłych rodzeństwa nie miało nagrobków, tylko drewniane krzyże. Teraz już pewnie są całe zarośnięte.

Kiedy skończyłam dziewięć lat, moja starsza siostra Martha poszła na służbę, więc cała robota, jaką do tej pory wykonywała w domu, spadła na moje barki. Dwa lata później mój brat Robert wypłynął na morze na statku handlowym i słuch po nim zaginął, ale wkrótce sami się przeprowadziliśmy i nawet gdyby przysłał jakąś wiadomość, nie dotarłaby do nas.

Tak więc w domu zostało pięcioro drobiazgu, ja i jeszcze jedno dziecko w drodze. Nie przypominam sobie, kiedy matka nie była w stanie, który się określa jako delikatny, chociaż z tego, co wiem, nie ma w nim nic delikatnego. Nazywają go również nieszczęśliwym stanem, co jest bliższe prawdy – nieszczęśliwy stan, po którym następuje szczęśliwe wydarzenie, choć nie zawsze jest ono takie szczęśliwe.

W tym czasie nasz ojciec miał już tego dosyć. „Po co rodzisz kolejnego dzieciaka? – mawiał. – Nie starczy ci? Ale nie, ty nie przestaniesz. Kolejna gęba do wykarmienia” – zupełnie jakby on sam nie miał z tym nic wspólnego. Kiedy byłam jeszcze mała, miałam sześć czy siedem lat, kładłam rękę na brzuchu matki, który był okrągły i napięty,

i pytałam: „Co tam jest? Kolejna gęba do wykarmienia?”, a matka odpowiadała: „Niestety, tak”. Wyobrażałam sobie wtedy ogromne usta w głowie takiej jak te z nagrobków, pożerające matkę od środka, i wybuchałam płaczem, bo myślałam, że to ją zabije.

Nasz ojciec wyjeżdżał, nawet do Belfastu, do pracy na budowach, a gdy robota się kończyła, wracał na parę dni do domu, po czym znowu zaczynał szukać pracy. Kiedy był w domu, chodził do gospody, żeby uciec od dziecięcych wrzasków. Mówił, że w tym hałasie człowiek nie słyszy własnych myśli i że przy tak ogromnej rodzinie musi dbać o siebie. Polegało to głównie na zaglądaniu do kieliszka, a zawsze znalazł się ktoś, kto mu w tym pomógł. Kiedy się upijał, wpadał w gniew i zaczynał przeklinać Irlandczyków, nazywając ich zgrają bezużytecznych, złodziejskich kundli, co zawsze prowadziło do bijatyki. Był krzepki i wkrótce pozostało mu niewiele znajomych, bo choć chętnie z nim pili, to jednak woleli, by ich nos nie spotkał się z jego pięścią. Tak więc pił w samotności, coraz więcej, a im silniejszy był trunk, tym dłuższe stawały się noce i niebawem przestał za dnia chodzić do pracy.

Zyskał reputację człowieka, na którym nie można polegać, i zaczął dostawać coraz mniej zleceń. Gorzej było, kiedy siedział w domu, niż wtedy, gdy wychodził, bo teraz nie ograniczał swej wściekłości do gospody. Mawiał, że nie ma pojęcia, dlaczego Bóg obarczył go takim pomiotem, że świat już nas nie potrzebuje, że powinno się nas potopić w worku jak kocięta. Młodsze dzieci bardzo się wtedy bały. Zabierałam więc czwórkę tych, które potrafiły chodzić, braliśmy się za ręce i szliśmy na cmentarz, żeby powyrywać chwasty, lub schodziliśmy do portu, gramoliliśmy się na skały i dźgaliśmy patykami meduzy albo przeszukiwaliśmy zalewiska po przyptywie.

Chodziliśmy też do małej przystani, gdzie stały łodzie na uwięzi. Nie wolno nam było tam chodzić, gdyż matka bała się, że moglibyśmy się ześlizgnąć z nabrzeża i utopić, ale ja i tak prowadziłam tam dzieciaki, bo rybacy czasami dawali nam ryby, jakiegoś ładnego śledzia czy makrelę, a u nas w domu się nie przelewało. Niekiedy nie wiedzieliśmy, co będziemy jeść następnego dnia. Matka zabraniała nam żebrać, więc tego nie robiliśmy, ale piątka obdartych maluchów o głodnych oczach to widok trudny do zniesienia – przynajmniej w naszej wiosce. Częściej więc wracaliśmy z rybami niż z pustymi rękami i obnosiliśmy je po domu z taką dumą, jakbyśmy to my sami je złowili.

Muszę się przyznać, że miewałam niekiedy nieczyste myśli, kiedy sadzałam dzieciaki na nabrzeżu, a bosa noga dyndała im w dole. Myślałam, żeby popchnąć jedno czy dwoje, i wtedy nie byłoby tak wiele gęb do wyżywienia ani tyle ubrań do prania. W tym czasie bowiem to ja musiałam robić pranie. Ale to były tylko myśli, które mi podsuwał do głowy niewątpliwie sam Szatan. Albo może raczej mój ojciec, gdyż w tym wieku wciąż usiłowałam mu się przypodobać.

Po jakimś czasie wdał się w podejrzaną towarzystwo i widywano go z Irlandczykami o fatalnej reputacji. Kiedyś spłonął dom pewnego protestanckiego dżentelmena, który przeszedł na stronę katolików, a innego znaleziono z roztrzaskaną głową. Pokłócili się o to z matką. Spytał, że niby jak inaczej miałby przynieść do domu

trochę grosza i że przynajmniej mogłaby to zachować w tajemnicy, chociaż kobietom i tak nie można ufać, od razu cię zdradzą i piekło to dla nich zbyt dobre miejsce. A kiedy spytałam matkę, co to za tajemnica, przyniosła Biblię i kazała mi na nią przysiąc, że i ja jej nie zdradzę, i ostrzegła, że Bóg mnie pokarze, jeżeli złamię taką świętą przysięgę. Strasznie się wtedy przeraziłam, bo przecież mogłam wygadać się nienaumyślnie, skoro nie miałam pojęcia, o co chodzi. A kara boska to musi być coś potwornego, bo Bóg jest o wiele większy od mojego ojca. Ale przecież ja zawsze dochowywałam tajemnic innych, choćby nie wiadomo jak strasznych.

Przez jakiś czas mieliśmy pieniądze, ale nic się nie poprawiło. Ojciec od słów przeszedł do rękoczynów, chociaż moja biedna matka wcale tego nie prowokowała. Kiedy przychodziła do nas z wizytą ciotka Pauline, matka szeptała jej coś do ucha, pokazywała siniaki na rękach i z płaczem mówiła: „On nie zawsze był taki”, na co ciotka odpowiadała: „Ale spójrz na niego teraz: jest jak butelka z dziurą w dnie – im więcej do niej wlewasz, tym więcej wycieka. Wstyd i hańba”.

Wujek Roy przyjeżdżał z nią jednokonną dwukółką i zawsze przynosił trochę jajek od własnych kur czy plaster bekonu, bo naszych kur i świń już dawno nie było. Siadali w pokoju frontowym, który był cały obwieszony schnącym praniem – bo jak tylko zrobiło się pranie i wywiesiło na słońcu, zawsze pojawiały się chmury i zaczynało kropić – i wujek Roy, który był człowiekiem szczerym aż do bólu, mówił, że nie zna człowieka, który szybciej niż mój ojciec potrafiłby przemienić pieniądze w końskie szczyny. Ciotka kazała mu przeprosić za język, chociaż matka słyszała o wiele gorsze wyrazy, bo kiedy ojciec był pijany, jego usta przypominały ciekący rynsztok.

Teraz ojciec już nie przynosił żadnych pieniędzy na życie. Matka musiała więc zająć się szyciem koszul, a ja i moja młodsza siostra Katey jej pomagałyśmy. To ciotka Pauline załatwiła jej tę robotę. Przywoziła materiał i odbierała gotowe koszule, co musiało ją sporo kosztować z powodu konia, czasu i fatygi. Ale zawsze przynosiła ze sobą coś do jedzenia, bo chociaż mieliśmy małe kartoflisko i własną kapustę, to nam absolutnie nie wystarczało. Przynosiła też resztki materiałów ze sklepu, z których matka szyła nam jakie takie odzienie.

Mój ojciec już nawet przestał pytać, skąd to wszystko jest. W tamtych czasach, proszę pana, utrzymywanie rodziny było dla mężczyzny sprawą honoru, a moja matka, choć tak słaba duchem, była zbyt mądra, by mu o tym mówić. Drugą osobą, która nic o tym nie wiedziała, był wujek Roy, chociaż musiał się czegoś domyślać. Widział przecież, że z jego domu znikają pewne przedmioty i pojawiają się w naszym. Ciotka Pauline była jednak stanowczą kobietą.

Urodziło się nowe dziecko, a mnie przybyło prania – jak zwykle, kiedy pojawiało się niemowlę. Tym razem matka słabowała dłużej niż zwykle. Musiałam gotować kolacje i śniadania. Nasz ojciec powiedział, że powinniśmy po prostu kopnąć dzieciaka w łeb i zakopać go pod kapustą. A potem stwierdził, że na jego widok chce mu się jeść, że wyglądałoby bardzo apetycznie na tacy, otoczone pieczonymi ziemniaczkami i z jabłkiem w buzi. Po czym spytał, dlaczego tak się na niego gapimy.

W tym czasie wydarzyło się coś zdumiewającego. Ciotka Pauline tak rozpaczała, że nie może mieć dzieci, że uznała nas niemal za swoje, ale teraz okazało się, że jest przy nadziei. Była z tego powodu bardzo szczęśliwa, a matka cieszyła się jej szczęściem. Jednak wujek Roy powiedział, że to musi się zmienić, że nie może już pomagać naszej rodzinie, musi pomyśleć o swojej i że trzeba wymyślić coś innego. Ciotka odparła, że nie można nas zostawić na pewną śmierć, choćby nie wiadomo jak zły był nasz ojciec, bo siostra to jej krew, a dzieci nie są niczemu winne. Wujek Roy powiedział, a kto tu mówi o głodowaniu, że miał na myśli emigrację. Wielu tak robiło, w Kanadzie można dostać ziemię za darmo, a nasz ojciec musi zacząć wszystko od nowa. Tam jest teraz wielki popyt na kamieniarzy, bo buduje się coraz więcej miast, a z dobrego źródła wie, że wkrótce zaczną stawiać nowe dworce kolejowe. Przedsiębiorczy człowiek mógłby tam zbić fortunę.

Ciotka powiedziała, że to wszystko ślicznie pięknie, ale kto zapłaci za podróż? Wujek odparł, że ma jakieś oszczędności i że to wystarczy nie tylko na cztery bilety, ale i na jedzenie podczas drogi. Ma na oku człowieka, który za drobną opłatą wszystkim się zajmie. Zaplanował to wszystko o wiele wcześniej. Wujek był człowiekiem, który lubił najpierw ustawić kaczki w rzędzie, a dopiero potem do nich strzelać.

Tak też zostało postanowione. Ciotka Pauline pomimo swego stanu przyjechała dwukółką, żeby powtórzyć wszystko matce, a matka powiedziała, że będzie musiała porozmawiać z ojcem, żeby dostać jego zgodę. Ale to wszystko było tylko na pokaz. Zebracy nie mają prawa wyboru i nie mają innego wyjścia. We wsi podobno pojawili się ludzie, którzy mówili, że spłonął jakiś dom i zginął człowiek, i zaczęli zadawać pytania. Tak więc ojciec musiał czym prędzej się zbierać i uciekać.

Powiedział, że rozpoczyna nowe życie i jak to hojnie ze strony wuja Roya, i że pieniądze na podróż uznaje za pożyczkę, którą spłaci, gdy tylko zacznie mu się powodzić. Wujek Roy udawał, że mu wierzy. Nie chciał go poniżyć, tylko wolał go już nigdy więcej nie widzieć. Co zaś się tyczy jego hojności, to chyba doszedł do wniosku, że lepiej jednorazowo wybulić mnóstwo pieniędzy, niż grosz za groszem wykrwawić się na śmierć. Ja na jego miejscu zrobiłabym to samo.

Sprawa ruszyła do przodu. Postanowiono, że wypłyniemy pod koniec kwietnia, gdyż w ten sposób dotrzemy do Kanady na początku lata i będziemy mieli dobrą pogodę, zanim jakoś się urządzimy. Matka i ciotka Pauline snuły mnóstwo planów i ciągle coś przebierały i pakowały. Usiłowały zachować pogodę ducha, lecz obie były bardzo przybite. W końcu były siostrami, wiele razem przeszły i wiedziały, że po naszym odjeździe może już nigdy w życiu się nie zobaczą.

Ciotka przyniosła ze sklepu porządne prześcieradło lniane, z małą tylko skazą, i gruby, ciepły szal, słyszała bowiem, że po drugiej stronie oceanu jest zimno. Dała nam też mały koszyk wiklinowy, a w środku – owinięty w słomę – porcelanowy imbryczek do herbaty, dwie filiżanki i sosjerki w różyczki. Matka serdecznie jej podziękowała i zapewniła ją, że tego imbryczka strzec będzie jak oka w głowie, gdyż zawsze będzie jej przypominał o siostrze.

A potem było dużo cichego płaczu.

Do Belfastu dojechaliśmy wozem wynajętym przez wuja. Podróż była długa i bardzo niewygodna, ale na szczęście nie padało zbyt wiele. Belfast ukazał mi się jako ogromne kamienne miasto, największe, w jakim byłam, głośnie od furgonów i powozów. Wiele tam było wspaniałych budowli, ale równie wielu biedaków, którzy dzień i noc pracowali w tkalniach. Wieczorem, gdy przyjechaliśmy, po raz pierwszy w życiu zobaczyłam zapalone lampy gazowe. Ich światło przypominało poświatę księżycową, choć nieco bardziej zielonkawą.

Na nocleg zatrzymaliśmy się w gospodzie, gdzie było tak gęsto od pcheł, że można by pomyśleć, że to psia buda. Wszystkie pakunki zabraliśmy ze sobą do pokoju, żeby nas nie obrabowano z naszych dóbr doczesnych. Nie zdążyłam nawet się dobrze rozejrzeć, bo rano musieliśmy od razu wsiąść na statek. Dzieci nie rozumiały, dokąd jedziemy, i prawdę mówiąc, proszę pana, nie wydaje mi się, by ktokolwiek z nas to rozumiał.

Statek stał bokiem do nabrzeża. Było to ciężkie, opasłe bydło z Liverpoolu, a później dowiedziałam się, że woziło kłody drewna z Kanady na wschód i emigrantów w odwrotną stronę, a obie te grupy traktowano jako ładunek. Ludzie już się pakowali na pokład ze swoim dobytkiem, a niektóre kobiety głośno zawodziły, ale nie ja. Nie widziałam w tym żadnego sensu. Mój ojciec spoglądał ponuro i najwyraźniej nie był w nastroju do rozmowy.

Statek kołysał się z jednej strony na drugą i w ogóle mu nie ufałam. Młodsze dzieci były podniecone, zwłaszcza chłopcy, ale we mnie serce zamierało, bo nigdy przedtem nie byłam na statku, nawet w małej rybackiej łodzi w naszej przystani, a wiedziałam, że mamy przepłynąć ocean, stracić ład z oczu, więc jeżeli statek pójdzie na dno albo wypadniemy za burtę, to się potopimy, bo żadne z nas nie umie pływać.

Zobaczyłam trzy wrony siedzące na belce poprzecznej masztu. Matka, która je też dostrzegła, powiedziała, że to zły znak, by trzy wrony w rzędzie oznaczają śmierć. Zdziwiłam się, bo nigdy nie była przesądna, ale złożyłam to na karb melancholii, bo, jak zauważyłam, osoby przygnębione wszędzie widzą złe znaki. Bardzo się jednak wystraszyłam, chociaż ze względu na dzieci nie dałam tego po sobie poznać: gdyby zobaczyły mój lęk, same by się przeraziły, a już i tak było wystarczająco dużo hałasu i tumultu.

Ojciec udawał chojraka i chodził po trapie, przenosząc największe sterty ubrań i pościeli, rozglądając się przy tym takim wzrokiem, jakby żeglarstwo miał w małym palcu i w ogóle niczego się nie bał. Matka podeszła do mnie bardzo smutna, otulona szalem, potajemnie roniąc łzy, załamała ręce i powiedziała: „Och, co nas do tego zmusiło?”. A kiedy weszliśmy na pokład, oznajmiła: „Moja stopa już nigdy nie dotknie ziemi”. „Mamo, co ty mówisz?” – odparłam, a ona odrzekła: „Czuję to w kościach”.

I tak też się stało.

Ojciec opłacił ludzi, którzy wnieśli na pokład nasze najcięższe bagaże. Wstyd było marnować pieniądze, ale nie miał innego wyjścia, bo sam by wszystkiego nie przeniósł,

a tragarze byli ordynarni i natarczywi i tylko by mu przeszkadzali. Pokład był bardzo zatłoczony i wszyscy krzyczeli, żebyśmy im zeszli z drogi. Skrzynie, których nie potrzebowaliśmy na pokładzie, zabrano do specjalnego pomieszczenia, które miało być zamknięte, żeby zapobiec kradzieży. Jedzenie, które wzięliśmy ze sobą, też miało osobne miejsce. Koce i prześcieradła poszły do łóżek, a matka bardzo nalegała, żeby zatrzymać przy sobie imbryczek od ciotki Pauline, nie chciała go spuścić z oka. Kawałkiem sznurka przywiązała więc wiklinowy koszyczek do belki nad łóżkiem.

Spać mieliśmy pod pokładem, w ładowni ciasno zapchanej łózkami, do której schodziło się po zatłuszczonej drabinie. Były to twarde, nieociosane drewniane prycze, byle jak zbite ze sobą gwoździami, długie i szerokie na sześć stóp. Na każdej spały dwie dorosłe osoby i troje do czworga dzieci. Zbudowano ich dwie warstwy, w tak małym odstępnie jedna nad drugą, że trudno było się zmieścić. Kiedy się leżało na dolnym łóżku, nie dało się usiąść prosto, bo jeżeli tego próbowałeś, głową waliłeś o górną pryczę; a jeśli miałaś pryczę górną, mogłeś się stoczyć i potłuc. Wszyscy upchnięci byli niczym sardynki w puszcze. Nie było żadnych okien ani przepływu powietrza poza lukami, które prowadziły w dół. Już na początku brakowało powietrza, ale to nic w porównaniu z tym, jak było później. Musieliśmy zaklepać sobie łóżka, szybko rzucając na nie swoje rzeczy – takie było zamieszanie i ścisk. Nie chciałam, by nas rozdzielono, nie chciałam, żeby dzieci znalazły się same w nocy w tak przerażającym miejscu.

Wyłynęliśmy w południe, kiedy już wszystko zostało zapakowane na pokład. Gdy podniesiono trap i nie było już drogi powrotnej na ląd, dzwonek wezwał nas do stawienia się przed kapitanem, który był gruboskórnym Szkotem z południa. Powiedział, że musimy przestrzegać zasad panujących na statku, że nie wolno gotować, gdyż nasze jedzenie przyrządzać będzie kucharz – jeśli tylko zdążymy je przynieść na dzwonek – że nie wolno palić fajek, zwłaszcza pod pokładem, bo to może spowodować pożar, a ci, którzy nie mogą wytrzymać bez tytoniu, zawsze mogą go żuć i potem wypluwać. I wolno pracować tylko w pogodne dni – a to już sam osądzi – gdyż przy wietrznej pogodzie nasze ubrania mogą wylądować za burtą, a jeżeli będzie padać, w nocy ładownia będzie zapchana mokrymi, parującymi szmatami, a dał nam słowo, że wcale by się nam to nie spodobało.

Nie wolno było również bez pozwolenia wietrzyć pościeli na pokładzie. Wszyscy mieli być posłuszni jego rozkazom, pierwszego oficera i wszystkich innych oficerów, gdyż od tego zależało bezpieczeństwo statku. Jeżeli ktoś złamie dyscyplinę, zostanie zamknięty w ciemnym pomieszczeniu, więc niech nikt nie próbuje nadużywać jego cierpliwości. Ponadto, powiedział, pijaństwo nie będzie tolerowane. Na ładzie możemy pić jak świnie, ale nie na jego statku. Dla własnego bezpieczeństwa nie wolno nam nocą wychodzić na pokład, bo wtedy można wypaść za burtę. Marynarzom nie wolno przeszkadzać w ich obowiązkach, nie wolno dawać im łapówek za drobne przysługi, a on ma oczy z tyłu głowy, więc natychmiast dowiedziałaby się o tym. Jak to mogą zaświadczyć jego ludzie, dyscyplina na jego statku jest ostra, a na otwartym morzu słowo kapitana to rozkaz.

W wypadku choroby na pokładzie jest lekarz, ale większość może się czuć nietęgo,

dopóki się nie pozbędzie choroby morskiej, więc lekarza nie należy nękać takimi błahostkami, jak niewielkie zawroty głowy. Jeżeli wszystko pójdzie dobrze, za jakieś sześć do ośmiu tygodni będziemy z powrotem na lądzie. Na zakończenie ostrzegł, że na każdym statku może się zdarzyć szczur, co zresztą jest dobrym znakiem, bo to właśnie szczury pierwsze wiedzą, kiedy statek ma zatonać, więc nie życzy sobie, by mu tym zwracano głowę. Wyraził przypuszczenie, że żadne z nas nigdy dotąd nie widziało szczura – na co rozległ się gromki śmiech – ale gdybyśmy byli ciekawi, to akurat ma jednego świeżo zabitego i niezwykle apetycznie wyglądającego, jeżeli ktoś z nas byłby głodny. Ludzie zaśmiali się jeszcze głośniejsz z tego żartu, który miał nas nieco rozluźnić.

Kiedy śmiech ustał, kapitan powiedział, że jego statek to nie żaden „Pałac Buckingham” ani „Królowa Francji”, no, ale jak to w życiu bywa, dostaje się to, za co się płaci. Życzył nam też przyjemnej podróży, po czym wycofał się do swojej kabiny, byśmy mogli się rozgościć. W głębi serca pewnie życzyłby nam śmierci na dnie morza, gdyby tylko mógł zatrzymać pieniądze za nasz transport. Ale przynajmniej wyglądał na zdecydowanego, więc trochę się uspokoiłam. Nie muszę chyba mówić, że wiele jego zakazów było łamanych, zwłaszcza tych dotyczących picia i palenia, ale ci, którzy sobie pobażali, musieli mocno się z tym ukrywać.

Początkowo nie było tak źle. Chmury nieco się rozrzedziły i zaczęło przebijać się słońce. Dopóki byliśmy w pobliżu lądu, kołysanie statku mi nie przeszkadzało, ale gdy tylko wypłynęliśmy na Morze Irlandzkie i dołączyliśmy do innych statków, zrobiło mi się niedobrze i zwróciłam śniadanie do luki odpływowej, trzymając za rękę malutką, która robiła to samo. Nie byłam w tym osamotniona, gdyż wielu stało przy burcie jak świnię przy korycie. Matka leżała jak kłoda, a ojciec czuł się jeszcze gorzej niż ja, więc nie byłoby z nich żadnego pożytku przy dzieciach. Całe szczęście, że nie jedliśmy kolacji, bo byłoby jeszcze gorzej. Marynarze byli na to przygotowani, więc przytaszczyli wiele kubłów ze słoną wodą, żeby to wszystko posprzątać.

Po jakimś czasie poczułam się lepiej. Może sprawiło to świeże powietrze, a może już zaczęłam się przyzwyczajać do kołysania statku, a poza tym – za przeproszeniem – nie miałam już co zwracać. Dopóki więc stałam na pokładzie, nie czułam się wcale tak źle. Nie było mowy o kolacji, gdyż cała nasza rodzina się pochorowała, ale jakiś marynarz powiedział mi, że jeżeli przełknjemy trochę wody i przekąsimy kawałek sucharka, to od razu nam się poprawi. Na szczęście wujek poradził nam, żebyśmy wzięli trochę sucharków.

Tak więc nie było tak źle aż do nocy, kiedy to musieliśmy zejść pod pokład, gdzie dopiero się zaczęło. Jak już powiedziałam, wszyscy pasażerowie byli stłoczeni do granic możliwości, większość z nich wymiotowała jak koty, a między pryzami nie było przegródek. Nie tylko więc słyhać było jęki sąsiadów, od których robiło się niedobrze, ale też nie było dopływu powietrza, więc w ładowni zaczęło się robić coraz duszniej i wkrótce odór stał się taki, że żołądki nam się wywracały.

Poza tym, jeśli mi wolno o tym wspomnieć, proszę pana, nie było tam jak się załatwić. Dostarczono nam wiadra, ale w ciemnościach nie było ich widać, więc wszyscy szukali ich po omacku przy wtórze przekleństw i łoskotu przewracanych niechcący pojemników, a nawet jeśli kubeł nie upadł, to to, co do niego nie trafiło, spływało na

podłogę. Szczęściem podłoga nie była zbyt solidna, więc przynajmniej część odchodów przesiąkała do ścieku na dnie statku. I tak sobie wtedy pomyślałam, że kobiety ze swymi spódnicami mają dużo lepiej od mężczyzn, bo przynajmniej noszą ze sobą coś w rodzaju naturalnego namiotu, zaś biedni mężczyźni musieli się męczyć ze spodniami przy kostkach. No, ale jak powiedziałam, światła było niewiele.

Przez całe to miotanie się i kołysanie statku, przez trzaski, jakie z siebie wydawał, i rozbijanie się fal o burty, przez ten okropny hałas i odór, szczury biegające tam i z powrotem, pewne siebie jak paniska, czułam się niczym dusza pokutująca w piekle. Przypomniał mi się Jonasz w brzuchu wieloryba, ale on przynajmniej musiał tam siedzieć tylko trzy dni, a my mieliśmy przed sobą jeszcze osiem tygodni. No i on był w brzuchu sam, więc nie musiał słuchać jęków i odgłosów wymiotowania innych.

Po kilku dniach rzeczywiście się poprawiło, gdyż wielu pasażerom choroba morska przeszła, lecz powietrze w nocy nadal było nie do wytrzymania i ciągle panował hałas. Ludzi nie nękały już nudności, ale głośniejsz kasłali i chrapali, ciągle też rozlegały się płacze i modlitwy, co w takich okolicznościach było zrozumiałe.

Nie chciałam urazić pańskiej wrażliwości, proszę pana. Statek był w końcu tylko czymś w rodzaju ruchomych slumsów, choć bez sklepów z dżinem. Podobno teraz budują lepsze statki.

Może życzyłby pan sobie otworzyć okno?

Cierpienie miało na wszystkich jeden dobry wpływ. Wśród pasażerów byli zarówno katolicy, jak i protestanci, a także trochę Anglików i Szkotów z Liverpoolu. Gdyby byli zdrowi, gryźliby się między sobą i awanturowali, bo nie bardzo się kochają. Nie ma to jednak jak choroba morska – usuwa wszelkie zwady i ci, którzy na lądzie z radością powyrzynałiby się nawzajem, tutaj często niczym troskliwe matki podtrzymywali głowy swoich wrogów. Zauważyłam to samo w więzieniu, gdyż w potrzebie ludzie w dziwny sposób się bratają. Być może podróż morska i więzienie to wskazówka od Boga, że wszyscy jesteśmy cieleśni, a ciało jest słabe. Przynajmniej wolę w to wierzyć.

Po kilku dniach stanęłam na nogi, więc mogłam wejść po drabinie na górę i doglądać posiłków. Każda rodzina miała własne jedzenie, które zanosila kucharzowi, a on z kolei wkładał je do siatkowej torby, umieszczał w kotle z wrzącą wodą i gotował razem z innymi. Kiedy więc jadło się własną kolację, czuło się też smak tego, co jedli inni. Mieliśmy soloną wieprzowinę i wołowinę, trochę cebuli i ziemniaków, ale niedużo ze względu na wagę, suszony groch i kapustę, która szybko poszła, gdyż uważałam, że powinniśmy ją zjeść, zanim zgnije. Owsianki nie mogliśmy ugotować w głównym kotle, ale wymieszaliśmy ją z gorącą wodą, żeby namiękła. Tak samo zrobiliśmy z herbatą. I, jak już powiedziałam, mieliśmy sucharki.

Ciotka Pauline dała matce trzy cytryny na wagę złota, gdyż, jak powiedziała, są doskonałe na skorbut. Przechowywałam je troskliwie na wszelki wypadek. Ogólnie rzecz biorąc, mieliśmy wystarczająco dużo żywności, by zachować siłę, i na pewno więcej niż ci, którzy wydali prawie wszystko na podróż. Mogliśmy się podzielić naszymi zapasami, bo nasi rodzice z powodu niedyspozycji nie mogli zjeść swojej części. Dałam więc parę sucharków sąsiadce, starszej kobiecie o nazwisku Phelan, która mi serdecznie

podziękowała i pobłogosławiła. Była katoliczką i podróżowała z dwojgiem dzieci swej córki, które zostały w Irlandii, kiedy cała rodzina wyemigrowała. Pani Phelan wiozła teraz dzieci do Montrealu, a podróż opłacił jej zięć. Pomagałam jej trochę przy dzieciach, z czego później byłam bardzo zadowolona. Chleb rzucony na wodę zwraca się dziesięciokroć, jak pan z pewnością słyszał.

Kiedy nam powiedziano, że możemy zrobić pranie, ponieważ pogoda była ładna i wiał lekki wiaterek – a z powodu choroby morskiej na pranie był już najwyższy czas – razem z naszymi rzeczami uprałam jej kołdrę. Nie było to prawdziwe pranie, bo dano nam tylko kilka wiader z morską wodą, ale przynajmniej zeskrobałam najgorszy brud. Potem wszystko pachniało solą.

Półtora tygodnia później złapała nas wściekła burza i statek szalał na wodzie jak korek wrzucony do wanny. Modły i krzyki jeszcze bardziej przybrały na sile. Nie było mowy o gotowaniu, a w nocy nie dało się spać, bo jeśli się nie trzymałeś, mogłeś spaść z pryczy. Kapitan wysłał pierwszego oficera, żeby nas uspokoił i zapewnił, że to tylko zwykły sztorm i że nie ma się co denerwować, a zresztą wiatr i tak nas pcha w odpowiednim kierunku. Woda jednak podchodziła do luków, więc je zamknięto i wszyscy siedzieliśmy w egipskich ciemnościach, powietrza było jeszcze mniej niż przedtem i już myślałam, że się podusimy. Kapitan musiał o tym wiedzieć, bo od czasu do czasu otwierał luki. Ludzie, którzy przy nich siedzieli, bardzo mokli, no ale taka była cena za większą ilość świeżego powietrza.

Sztorm ustał po dwóch dniach i wtedy dla protestantów odprawiono mszę dziękczynną; znalazł się także ksiądz, który odprawił mszę dla katolików. Z powodu ścisunku nie można było nie uczestniczyć w obu, ale nikomu to nie przeszkadzało, gdyż, jak już wspomniałam, oba te wyznania na morzu tolerowały się o wiele lepiej niż na lądzie. Ja sama bardzo się zaprzyjaźniłam ze starą panią Phelan; w tym czasie była ona już o wiele zwawsza od mojej matki, która wciąż słabowała.

Po sztormie zrobiło się zimniej. Zaczęły się pojawiać mgły, potem góry lodowe, które ze względu na porę roku były liczniejsze niż zwykle, i płynęliśmy wolniej z obawy, by na nie nie wpaść. Marynarze mówili, że w znacznej części są one ukryte pod wodą i niewidoczne, mieliśmy więc szczęście, że nie było silniejszego wiatru, bo inaczej moglibyśmy się o nie roztrzaskać. Ja jednak nie mogłam się na nie napatrzeć. To były wielkie lodowe góry, ze szczytami i wieżyczkami, białe i iskrzące się, gdy oświetlało je słońce, z niebieskimi światłkami w środku. Myślałam sobie, że tak muszą wyglądać mury rajy, tylko nie są takie zimne.

Właśnie wśród tych lodowców matka ciężko zachorowała. Z powodu choroby morskiej większość czasu spędzała w łóżku i nie jadła nic oprócz sucharków i wody, a także kleiku zrobionego z owsianki. Ojciec czuł się niewiele lepiej, a jeśli sądzić po głośności jego jęków, to nawet gorzej. Wszystko było w opłakanym stanie, gdyż podczas sztormu nie mogliśmy robić prania ani choćby wywietrzyć pościeli. Początkowo więc nawet nie zauważyłam, że matce się pogorszyło. Mówiła, że ma tak silny ból głowy, że ledwo widzi, więc kładłam jej na czoło mokre kompresy. Potem zaczęła się skarżyć na

bóle brzucha i wtedy coś tam wyczułam. Znalazłam jakąś twardą opuchliznę i pomyślałam, że to kolejna gęba do wyżywienia, choć nie wiedziałam, jak to się mogło stać tak szybko.

Opowiedziałam wszystko pani Phelan, która, jak się okazało, odebrała kilkoro dzieci i urodziła dziewięcioro własnych. Przyszła od razu. Wyczuła to coś, obmacując brzuch matki, która zaczęła krzyczeć. Wówczas pani Phelan orzekła, że trzeba posłać po okrętowego lekarza. Nie chciałam tego robić, bo kapitan ostrzegał, żeby nie zawracać lekarzowi głowy błahostkami, lecz pani Phelan powiedziała, że to nie błahostka, ale również nie dziecko.

Spytałam ojca, ale on krzyknął, żebym robiła, co mi się żywnie podoba, że jest zbyt chory, żeby się tym zająć, no i w końcu posłałam po lekarza. Nie przyszedł jednak, a moja biedna matka marniała z godziny na godzinę. Ledwo mogła mówić, a to, co mówiła, nie miało żadnego sensu.

Pani Phelan powiedziała, że to skandal, że lepiej traktuje się krowy i najlepiej ściągnąć lekarza, mówiąc, że to może być tyfus albo cholera, bo lekarze tego najbardziej się boją na pokładzie. Powiedziałam więc tak i lekarz od razu przyszedł.

Nie było jednak z niego większego pożytku, bo kiedy zmierzył mamie puls i dotknął czoła oraz zadał parę pytań, na które nie dostał odpowiedzi, potrafił powiedzieć tylko tyle, że to nie cholera, co już wiedziałam. Nie umiał zaś stwierdzić, co to takiego. Prawdopodobnie guz albo cysta albo pęknięty wyrostek robaczkowy. Dał jej tylko coś na złagodzenie bólu. Chyba laudanum, ogromną dawkę, bo matka wkrótce ucichła, co niewątpliwie było jego celem. Powiedział, że musimy mieć nadzieję, że matka przetrzyma kryzys, ale nie potrafił orzec, co to za choroba bez rozcinania jej, a to z pewnością by ją zabiło.

Spytałam, czy można ją wynieść na pokład, na świeże powietrze, ale zabronił ją ruszać. Po czym zaczął narzekać, że powietrze tu, na dole, jest tak paskudne, że jeszcze chwila i się udusi. A to już wiedziałam sama.

Matka umarła tej nocy. Chciałabym móc powiedzieć panu, że pod koniec ujrzała anioły i wygłosiła wspaniałą mowę przedśmiertną, jak to opisują w książkach, ale jeżeli miała jakiegokolwiek wizje, to zachowała je dla siebie, gdyż nie wypowiedziała ani słowa. Usnęłam, chociaż chciałam czuwać i pilnować jej, a kiedy obudziłam się rano, leżała martwa jak makrela, z oczami otwartymi i utkwionymi w sufit. Pani Phelan objęła mnie ramieniem, otuliła swoim szalem i dała się napić z butelki z alkoholem, którego zażywała dla zdrowia. Powiedziała, że dobrze będzie, jak się wypłaczę, i że przynajmniej ta biedaczka już nie cierpi i jest teraz w niebie ze świętymi – chociaż była protestantką.

Pani Phelan poradziła nam również, żeby zgodnie ze zwyczajem nie otwierać okna, bo wtedy dusza mogłaby przez nie wylecieć, ale w wypadku mojej biednej matki to się nie liczyło, bo na dnie statku nie było żadnych okien, więc nie było czego otwierać. A poza tym nigdy nie słyszałam o takim zwyczaju.

Nie płakałam. Miałam wrażenie, że to ja umarłam, a nie matka. Siedziałam jak sparaliżowana i nie wiedziałam, co dalej robić. Pani Phelan powiedziała, że nie możemy

jej tak zostawić, i spytała, czy mam białe prześcieradło, w którym można by ją pochować. I wtedy zaczęłam się strasznie martwić, bo mieliśmy wszystkiego trzy prześcieradła. Dwa były stare i zniszczone, a trzecie dała nam ciotka Pauline. Nie wiedziałam, które wykorzystać. Wzięcie jednego ze starych wydawało mi się niestosowne, ale gdybym zdecydowała się na nowe, poszłoby na marne – jeśli chodzi o żywych. Cały mój żal skupił się na tych prześcieradłach. Wreszcie spytałam samą siebie, które wolałaby moja matka, a ponieważ ona zawsze donaszała po nas ubrania, wzięłam stare. Przynajmniej było jako tako czyste.

Zawiadomiono kapitana i przyszło dwóch marynarzy, którzy zanieśli matkę na pokład. Razem z panią Phelan przygotowałyśmy mamę, zamknęłyśmy jej oczy i rozczesałyśmy jej ładne włosy, bo pani Phelan stwierdziła, że nieboszczki nie wolno chować ze splecionymi włosami. Zostawiłam na niej to samo ubranie, zdjęłam tylko buty. Zabrałam je razem z szalem, którego już przecież nie potrzebowała. Wyglądała blado i delikatnie, jak wiosenny kwiat. Dzieci stały wokół niej, płacząc. Kazałam im pocałować ją w czoło, czego bym nie zrobiła, gdyby było podejrzenie jakiejś zakaźnej choroby. Jeden z marynarzy, który był znawcą w takich sprawach, bardzo starannie owinął ją prześcieradłem i zaszył, a w stopach umieścił kawał żelaznego łańcucha, żeby ciało mogło zatonać. Zapomniałam uciąć na pamiątkę kosmyk jej włosów, ale byłam za bardzo przejęta, żeby o tym pamiętać.

Kiedy tylko zakryto jej twarz prześcieradłem, przyszło mi do głowy, że to wcale nie jest moja matka, tylko jakaś obca kobieta, albo że moja matka się zmieniła i gdybym teraz odsłoniła jej twarz, ujrzałabym kogoś zupełnie innego. To pewnie z szoku takie myśli przychodziły mi do głowy.

Na szczęście na pokładzie był duchowny, ten sam, który po sztormie odprawiał mszę dziękczynną. Przeczytał krótką modlitwę. Mój ojciec zdołał wdrapać się po drabinie na pokład i stanął z nami ze spuszczoną głową, cały wymięty i nieogolony, ale obecny. Później, pośród gór lodowych dryfujących wokół nas i w kłębiącej się mgłę, moja biedna matka została wrzucona do morza. Aż do tej chwili nie pomyślałam, co się z nią stanie. Było w tym coś przerażającego: jej ciało w białym prześcieradle unoszące się wśród gapiących się ryb. Było to gorsze niż pogrzebanie w ziemi, bo jeżeli chowasz kogoś pod ziemią, to przynajmniej wiesz, gdzie jest.

Bardzo szybko było po wszystkim, a następny dzień zaczął się jak zwykle – tylko bez mojej matki.

Tej nocy wzięłam jedną z cytryn, przekroiłam ją i kazałam dzieciakom zjeść po kawałku, sama też trochę zjadłam. Była tak kwaśna, że po prostu musiała być zdrowa. Tylko o tym mogłam myśleć, tylko to mogłam robić.

Chcę jeszcze tylko jedną rzecz powiedzieć panu o tej podróży. Kiedy wciąż było spokojnie i otaczała nas niezwykle gęsta mgła, wiklinowy koszyk z imbryczkiem od ciotki Pauline spadł na podłogę i imbryczek się potłukł. Koszyk ani drgnął przez cały sztorm, kiedy tak nami szarpało i rzucało; był przywiązany do poręczy łóżka.

Pani Phelan powiedziała, że na pewno się odwiązał, kiedy ktoś usiłował go ukraść i przerwał, bojąc się, że go przyłapią. Mnie jednak przyszło do głowy zupełnie co innego. Pomyślałam, że to duch matki, uwięziony pod pokładem, bo nie otworzyliśmy okna,

zdenerwował się na mnie za to stare prześcieradło. A teraz, kiedy została tu uwięziona na wieki, niczym ćma w butelce, będzie żeglować po tym strasznym, mrocznym oceanie, z emigrantami płynącymi w jedną stronę i kłodami drewna w drugą. Bardzo mnie to zasmuciło.

Widzi pan, jakie dziwne myśli przychodzą człowiekowi do głowy. Ale wtedy byłam tylko bardzo młodą i bardzo niewinną dziewczyną.

Na szczęście skończyła się cisza na morzu, gdyż inaczej zabrakłoby nam jedzenia i wody. Zerwał się wiatr i mgła się rozproszyła i podobno szczęśliwie minęliśmy Nową Fundlandię, chociaż ja nic nie widziałam i nawet nie byłam pewna, czy to miasto czy państwo. Wkrótce wpłynęliśmy na Rzekę św. Wawrzyńca, ale do lądu było jeszcze bardzo daleko. A kiedy go wreszcie ujrzeliśmy, za północną burtą, okazało się, że to same skały i drzewa. Wyglądał bardzo ponuro i odstraszająco, jakby ludzka noga tam nie stanęła. Chmary ptaków krzyczały jak potępione dusze. Miałam nadzieję, że nie będziemy musieli zamieszkać na takiej ziemi.

Ale po jakimś czasie pojawiły się farmy i domy na brzegu, ląd stał się bardziej równinny, czy też łagodniejszy. Musieliśmy zatrzymać się na wyspie i przejść badania na cholere, gdyż wielu z nas przywoziło ją do tego kraju, ale ponieważ zmarli na naszym statku chorowali na co innego – dwoje miało suchoty, jeden dostał apopleksji, a inny wyskoczył za burtę – pozwolono nam iść dalej. Miałam okazję porządnie wyszorować dzieciaki w wodzie z rzeki, choć była lodowata – przynajmniej twarze i ręce, które bardzo tego potrzebowały.

Następnego dnia zobaczyliśmy miasto Quebec na stromym klifie nad rzeką. Domy zbudowane były z kamienia, a po nabrzeżu kręcili się sprzedawcy i straganiarze zachwalający swe towary, kupiłam więc od jednego z nich trochę świeżej cebuli. Kobieta ta nie mówiła po francusku, ale przeprowadziłyśmy transakcję za pomocą palców. Podejrzewam, że nieco opuściła cenę z powodu dzieci i ich mizernych twarzyczek. Mieliśmy taką ochotę na te cebule, że zjedliśmy je na surowo jak jabłka, przez co potem mieliśmy wiatry, ale jeszcze nigdy cebula mi tak nie smakowała.

Niektórzy pasażerowie zsiadli ze statku w Quebecu, żeby tam spróbować szczęścia, lecz my podążyliśmy dalej.

Nie przychodzi mi już do głowy nic, co mogłabym powiedzieć o reszcie podróży. Po prostu podróżowaliśmy dalej w niewygodnych warunkach, niekiedy lądem, by uniknąć bystrzyn, innym razem statkiem na jeziorze Ontario, które bardziej przypominało morze. Oblegały nas hordy małych, kąsających muszek i komarów wielkich jak myszy. Dzieci o mało co nie zadrapały się na śmierć. Ojciec był w ponurym i melancholijnym nastroju i ciągle powtarzał, że nie ma pojęcia, jak da sobie radę bez matki. W takich chwilach najlepiej było milczeć.

Wreszcie dotarliśmy do Toronto, gdzie, jak głosiła wieść, czekała na nas wolna ziemia. Miasto nie robiło dobrego wrażenia. Tego dnia padało, na ulicach było wiele powozów i śpieszących się ludzi oraz mnóstwo błota – poza głównymi ulicami, które były wybrukowane. Deszcz był łagodny i ciepły, a powietrze, gęste i wilgotne, lgnęło do skóry jak olej. Później dowiedziałam się, że to typowe dla tej pory roku i że takie powietrze jest przyczyną gorączki i wielu letnich chorób. Było tu oświetlenie gazowe, choć nie tak

wspaniały jak w Belfaście.

Ludzie wyglądali na bardzo różnych; wśród nich było wielu Szkotów, trochę Irlandczyków, no i oczywiście Anglików, dużo Amerykanów i niewielu Francuzów, a także czerwonoskórych Indian – choć bez pióropuszy – i Niemców. Ich skóry miały wszelkie odcienie, co było dla mnie wielką nowością. Nigdy się nie wiedziało, jaki język się za chwilę usłyszy. Znajdowało się tam wiele szynków, więc pijaństwo kwitło, a ogólnie rzecz biorąc, wszystko to przypominało wieżę Babel.

Jednak pierwszego dnia nie zwiedzaliśmy miasta, bo przede wszystkim musieliśmy znaleźć dach nad głową będący na naszej kieszeń. Ojciec nawiązał na statku znajomość z człowiekiem, który mógł nam dostarczyć informacji. Zostawił nas z kubkiem jabłeczniaka, ściśniętych z naszymi pakami w jednym pokoju w gospodzie plugawszej od świńskiego chlewu, po czym wyruszył na dalsze poszukiwania.

Wrócił rano i powiedział, że znalazł nocleg, więc poszliśmy tam. Było to na wschód od portu, przy Lot Street, na tyłach domu, który znał lepsze czasy. Nasza gospodyni nazywała się pani Burt. Była to szacowna wdowa po marynarzu, a przynajmniej tak twierdziła, cokolwiek pulchna i czerwona na twarzy, pachnąca wędzonym węgorem i parę lat starsza od ojca. Mieszkała we frontowej części domu, który rozpaczliwie potrzebował świeżej warstwy farby, my zaś zajmowaliśmy dwa pokoje na tyłach, mieszczących się w czymś, co przypominało przybudówkę. Pod domem nie było piwnicy, a ja się cieszyłam, że to nie zima, bo silniejszy poryw wiatru zmiotłby nas z powierzchni ziemi. Podłoga zbita była z szerokich desek osadzonych zbyt blisko ziemi, więc żuki i różne inne małe stworzonka dostawały się do środka przez szpary – zwłaszcza po deszczu. Pewnego ranka znalazłam żywą dżdżownicę.

Pokoje były nieumeblowane, ale pani Burt powiedziała, że nam pożyczy dwa łóżka z materacami wypchanymi łuskami kukurydzy, dopóki ojciec nie podźwignie się na nogi po tym ciosie. Wodę musieliśmy pompować na podwórku, zaś do gotowania mieliśmy żelazny piec, który stał w przejściu między dwiema częściami domu. Nie była to prawdziwa kuchnia, lecz piec do ogrzewania, ale robiłam, co mogłam i po wielu próbach poznałam jego zwyczaje i nawet umiałam zagotować wodę. Był to pierwszy piec żelazny, z jakim miałam do czynienia, więc łatwo sobie wyobrazić, że zdarzały się chwile pełne napięcia, nie wspominając już o dymie. Paliwa jednak mieliśmy pod dostatkiem, gdyż cały kraj był porośnięty drzewami, a po domu wałały się kawałki desek; poza tym – za cenę uśmiechu i własnoręcznego dźwigania – można było wyzebrać trochę drewna od pracujących nieopodal robotników.

Ale prawdę powiedziawszy, proszę pana, niewiele gotowałam, gdyż ojciec uznał, że trzeba zostawić tych parę groszy, które nam zostały, żeby mógł jakoś wystartować, skoro ma taką szansę – początkowo więc żywiliśmy się głównie owsianką. Pani Burt w szopie na tyłach podwórka trzymała kozę i czasami dawała nam świeże mleko, a ponieważ akurat był koniec czerwca, za pielienie grządek dostawaliśmy cebulę z jej ogródka, a tej nigdy nie brakło. Kiedy piekła chleb, robiła dla nas dodatkowy bochenek.

Mówiła, że bardzo jej przykro, że nasza matka zmarła. Sama nie miała dzieci; jedyne zmarło na cholera w tym samym czasie, co jej ukochany mąż. Tęskniła więc za tupotem maleńkich stopek. Spoglądała na nas z zadumą i nazywała nas nieszczęsnymi

sierotkami lub aniołkami, choć byliśmy strasznie obdarci i niezbyt czyści. Myślę, że zastanawiała się nad mariażem z naszym ojcem, który dał jej się poznać od najlepszej strony, a taki mężczyzna – świeżo owdowiały i obdarzony pokazną gromadką dzieci – musiał być dla niej niczym dojrzały owoc, który lada chwila spadnie z drzewa.

Zapraszała go do swojej części domu, żeby go pocieszyć. Mawiała, że nikt lepiej nie zrozumie niż wdowa, którą wszak sama była, jakim nieszczęściem jest strata współmałżonka, i że taka osoba potrzebuje szczerego i współczującego przyjaciela, który podzieliłby jej smutki. Ciągnęła dalej, że ona najlepiej się do tego nadaje, i być może miała rację, gdyż nikt inny się do tego nie kwapił.

Ojciec zaś pojął w czym rzecz i wpadł w rolę. Chodził z miną na wpół ogłuszonego człowieka i z chusteczką zawsze na podorędziu. Mówił, że czuje się, jakby mu wyrwano serce, i nie wie, co pocnie bez swojej ukochanej, która teraz przebywa w niebie, bo była zbyt dobra, by pozostać na ziemi, no i te wszystkie niewiniątka, które musi nakarmić. Czasami podsłuchiwałam jego wizyty u pani Burt, gdyż ściany między obiema częściami domu nie były zbyt grube, a jeśli się przyłożyło kubek jedną stroną do ściany, a drugą do ucha, słyszać było jeszcze lepiej. Mieliśmy trzy kubki, które pożyczyła nam pani Burt. Wypróbowałam wszystkie po kolei i wkrótce wybrałam najlepszy do tego celu.

Ciężko mi było po śmierci matki, ale próbowałam jakoś się trzymać i wziąć się w garść, więc biadolenie ojca wystarczało, żeby wnętrzności mi się przewracały. Chyba właśnie wtedy zaczęłam go szczerze nienawidzić, zwłaszcza biorąc pod uwagę to, jak traktował matkę za życia – nie lepiej, niż gdyby była szmatą do czyszczenia jego butów. I wiedziałam – chociaż nie wiedziała tego pani Burt – że to wszystko tylko komedia, że ojciec gra na jej uczuciach, bo zalega z czynszem, przepuściwszy pieniądze w najbliższej gospodzie. Potem zaś sprzedał porcelanowe filiżanki w różyczki mojej matki i chociaż błagałam, żeby zostawił potłuczony imbryk, sprzedał i jego, twierdząc, że i tak nie da się go naprawić. Podobnie skończyły buty matki i nasze najlepsze prześcieradło. Mogłam pochować w nim matkę – tak byłoby najwłaściwiej.

Wychodził z domu dumny jak kogut, udając, że idzie na poszukiwanie pracy, ale wiedziałam, dokąd zmierza, domyślałam się po zapachu jego ubrania, kiedy wracał. Patrzyłam, jak idzie dróżką, zataczając się i wpychając chusteczkę z powrotem do kieszeni. Wkrótce pani Burt zarzuciła swój plan i skończyły się herbatki w salonie. Przestała też dawać nam mleko i chleb i zażądała zwrotu swoich kubków i zapłacenia czynszu, grożąc, że inaczej wyrzuci nas na bruk.

Wtedy to właśnie ojciec zaczął mówić, że jestem już prawie dorosła, że jestem darmozjadem, więc musiałam iść w świat, zarobić na własny chleb, jak to zrobiła przede mną moja starsza siostra, która nigdy nie wysłała nam ani grosza ze swoich zarobków, niewdzięczna dziwka. A kiedy spytałam, kto się zajmie dziećmi, powiedział, że moja młodsza siostra Katey. Miała dziewięć lat, dziewięć i pół. Zrozumiałam, że na nic moje gadanie.

Nie miałam pojęcia, jak zdobyć pracę, więc spytałam panią Burt, gdyż tylko ją jedną znałam w całym mieście. Chciała się nas pozbyć – za co zresztą nie można jej winić

– ale ujrzała we mnie nadzieję na spłatę czynszu. Miała przyjaciółkę, która знаła gospodynię w domu pani Aldermanowej Parkinson, i słyszała, że potrzebują tam posługaczki, kazała mi więc się umyć, pożyczyła mi własny czepek i zabrała mnie tam. Przedstawiła mnie gospodyni, powiedziała, że jestem bardzo chętna do roboty, mam dobry charakter i że ona za to ręczy. Potem dodała, że moja matka umarła na statku i została pogrzebana w morzu, a gospodyni przyznała, że to wielkie nieszczęście, i przyjrzała mi się baczniej. Zdążyłam już zauważyć, że śmierć najbardziej pomaga włożyć stopę między drzwi.

Gospodyni nazywała się Honey, chociaż słodkie miała tylko nazwisko⁸, i była zasuszoną kobietą o nosie spiczastym jak kapturek do gaszenia świec. Wyglądała, jakby żywiła się wyłącznie starymi okruchami chleba i skórkami sera, co chyba rzeczywiście ją spotkało, jako że była angielską damą w trudnej sytuacji, która po śmierci męża, znalazłszy się bez pieniędzy w obcym kraju, musiała zostać gospodynią. Pani Burt powiedziała, że mam trzynaście lat, a ja nie zaprzeczyłam – uprzedziła mnie wcześniej, że tak będzie najlepiej, bo to zwiększy moje szanse na zatrudnienie. Zresztą nie do końca skłamała, gdyż trzynaście lat miałam skończyć za miesiąc.

Pani Honey spojrzała na mnie ze ściągniętymi ustami i powiedziała, że jestem bardzo chuda i ma nadzieję, że nie jestem na nic chora, po czym spytała, na co umarła moja matka. Pani Burt odparła, że po prostu jestem drobna jak na swój wiek i że jeszcze rosnę, ale za to jestem bardzo żyłasta i widziała, jak nosiłam sterty drewna niczym mężczyzna.

Pani Honey prychnęła pogardliwie i spytała, czy jestem gwałtowna, bo tacy często są rudowłosi, ale pani Burt odpowiedziała, że jestem najłagodniejszą istotą na świecie i z chrześcijańską rezygnacją dźwigam swój krzyż jak jakaś święta. To przypomniało pani Honey, żeby spytać, czy jestem katoliczką, gdyż Irlandczycy przeważnie nimi są, a jeżeli tak, to nie chce mieć ze mną do czynienia, bo katolicy to zabobonni i buntowniczy papiści, którzy niszczą ten kraj; z ulgą jednak usłyszała zaprzeczenie. Spytała też, czy umiem szyć, na co pani Burt odparła, że szyję jak burza, pani Honey zaś spytała mnie bezpośrednio, czy to prawda. Odezwałam się więc, bardzo zdenerwowana, i powiedziałam, że od wczesnego dzieciństwa pomagałam matce szyć koszule i że najlepiej potrafię robić dziurki do guzików i cerować pończochy. Pamiętałam, żeby dodać „psze pani”.

Pani Honey się zawahała, jakby dodawała liczby w głowie, po czym zażądała, żebym jej pokazała ręce. Może chciała zobaczyć, czy są to ręce osoby, która ciężko pracuje, ale nie musiała sobie zawracać głowy, bo skóra na moich dłoniach była czerwona i szorstka jak trzeba, więc gospodyni wyglądała na zadowoloną. Można by pomyśleć, że kupuje konia. Dziwiłam się, że nie chciała obejrzeć moich zębów, no ale kto płaci, ten wymaga.

Rezultat był taki, że skonsultowała się z panią Parkinson i następnego dnia posłała po mnie. Miałam pracować za nocleg i dolara miesięcznie, ale pani Burt powiedziała, że dostanę więcej, jak się trochę poduczę i podrosnę. Wtedy za dolara można było kupić więcej niż teraz. Byłam zachwycona, że mogę zarabiać, i wydawało mi się, że ten dolar to fortuna.

Mój ojciec wpadł na pomysł, żebym wracała na noc do domu, jak nazywał nasze dwa rozklekotane pokoje, i dalej wstawiała pierwsza, rozpalala w piecu, wstawiała wodę, a pod koniec dnia sprzątała i robiła pranie, choć trudno to było nazwać praniem, bo nie mieliśmy kotła do gotowania bielizny, a ojca nawet nie było co prosić o pieniądze na choćby najgorsze mydło. Jednakże pani Parkinson zażyczyła sobie, żebym mieszkała u niej i przychodziła na początku tygodnia.

Chociaż żal mi było rozstawać się z rodzeństwem, cieszyłam się, że muszę opuścić dom, gdyż wkrótce między mną i ojcem doszłoby do rękoczynów. Im byłam starsza, tym mniej pragnęłam mu się przypodobać i coraz bardziej traciłam dziecięcą wiarę w rodzica, bo ojciec przepijał pieniądze na chleb dla własnych dzieci i niebawem zmusiłby nas do żebrania, kradzieży, albo i do czegoś gorszego. Wróciły też jego napady gniewu, jeszcze silniejsze niż przed śmiercią matki. Moje ręce już były całe posiniaczone, a którejś nocy rzucił mną o ścianę – jak to niekiedy robił z matką – wrzeszcząc, że jestem kurwą. Zemdlałam. Potem bałam się, że może mi kiedyś złamać kark i zrobić kalekę. Zawsze następnego dnia rano budził się i mówił, że nic nie pamięta, że nie był sobą i nie wie, co w niego wstąpiło.

Chociaż pod koniec dnia byłam sterana jak koń, nie mogłam usnąć i leżałam, rozmyślając o tym wszystkim. Nigdy nie było wiadomo, kiedy ojciec zacznie szaleć i grozić, że zabije tego czy tamtego, włączając w to własne dzieci, bez żadnego widocznego powodu – oprócz wódki.

Myślałam o żelaznym garze z naszego pieca, zastanawiając się, jak jest ciężki i czy gdybym walnęła nim ojca podczas snu, to roztrzaskałabym mu czaszkę i zabiła. Potem mogłabym twierdzić, że to był wypadek. Nie chciałam mieć na sumieniu takiego śmiertelnego grzechu, lecz bałam się, że ten wściekły gniew, które we mnie płonął, może mnie do tego doprowadzić.

Kiedy więc okazało się, że pójdę na służbę do pani Parkinson, dziękowałam Bogu za to, że zawrócił mnie ze ścieżki pokusy, i modliłam się, by trzymał mnie od niej z daleka.

Pani Burt pocałowała mnie na pożegnanie i życzyła wszystkiego najlepszego i pomimo jej tłustej, pożyłkowanej twarzy i zapachu wędzonej ryby ucieszyłam się z tego, bo w tym świecie trzeba korzystać z wszelkiej dobroci, jaką się napotka, bo nie rośnie ona na drzewie. Dzieci płakały, kiedy odchodziłam, niosąc malutki pakunek z szalem matki. Powiedziałam, że będę je odwiedzać. Wtedy w to wierzyłam.

Ojca nie było w domu. Dobrze się zresztą złożyło, gdyż – choć przykro mi o tym mówić – na pewno z obu stron padałyby przekleństwa, choć moje tylko w głowie. Błędem jest przeklinać głośno kogoś silniejszego – chyba że dzieli was płot.

8 *Honey* (ang.) – miód (przyp. tłum.).

16

Od doktora Simona Jordana,

zamieszkałego u majora C.D. Humphreya,

Lower Union Street, Kingston, Kanada Zachodnia;

do doktora Edwarda Murchiego, Dorchester,

Massachusetts, Stany Zjednoczone Ameryki.

15 maja 1859

Mój drogi Edwardzie!

Piszę ten list o północy przy świetle lampy naftowej, którą tak często razem paliliśmy, w tym diabelnie zimnym domu, który pod tym względem dorównuje naszym mieszkaniom w Londynie. Wkrótce jednak zrobi się zbyt gorąco i spadną na nas przejmujące wilgocią wyziewy i letnie choroby i wtedy z kolei na nie będę narzekał.

Dziękuję Ci za list i za tak przeze mnie oczekiwaną wiadomość. Tak więc oświadczyłeś się pięknej Cornelii i Twoje oświadczyzny przyjęto! Wybacz swemu staremu przyjacielowi, że nie okazuje wielkiego zdziwienia, lecz aż nadto wyraźnie dałeś to do zrozumienia między wierszami swego listu i czytelnik bez szczególnej wnikliwości łatwo mógł się wszystkiego domyślić. Przyjmij, proszę, moje najszczerze gratulacje. Z tego, co wiem o pannie Ruthford, masz ogromne szczęście. W takich chwilach zazdroszczę tym, którzy znaleźli spokojną przystań, gdzie mogą zakotwiczyć swoje serca, a może zazdroszczę, że w ogóle mają serce. Często wydaje mi się, że jestem go pozbawiony i zamiast niego mam w piersiach kawał kamienia. Jestem więc skazany na „jak chmura samotną włóczęgę” – jak to ujął Wordsworth.

Więść o Twoich zaręczynach niewątpliwie ożywi moją drogą matkę i zachęci ją do wzmożenia matrymonialnych zabiegów, jeśli chodzi o moją osobę. Jestem też przekonany, że Twój przykład zostanie wykorzystany przeciwko mnie, jako zapamiętałem samotnikowi, i przy każdej okazji używany jako kij do bicia mnie po grzbiecie. Cóż, zdaje się, że ma rację. Prędzej czy później będę musiał odłożyć na bok skrupuły i posłuchać nakazu Biblii, by być „płodnym i się rozmnażać”. Muszę oddać swe kamienne serce jakiejś dobrej pani, której nie będzie przeszkadzać, że nie jest to prawdziwe, żywe serce, i która będzie miała środki materialne, by o nie zadbać, jako że

serca z kamienia są bardziej wymagające niż inne.

Pomimo tej ułomności moja droga matka nadal snuje swe matrymonialne knowania. Obecnie wysławia wdzięki panny Faith Cartwright, którą zapewne pamiętasz z jednej ze swoich wizyt u nas. Podobno bardzo się rozwinęła dzięki pobytowi w Bostonie, co, o ile wiem – a także Ty, mój drogi, gdyż studiowałeś ze mną na Harvardzie – jeszcze nigdy nikogo nie rozwinęło, a sądząc po pieśniach pochwalnych, w których moja matka wychwala moralne zalety owej młodej damy, obawiam się, że jeśli chodzi o jej pozostałe wdzięki, usuwanie niedostatków nie znalazło się na liście owych ulepszeń. Zatem to niewiasta inna niż zacna i nieskalana Faith miałyby moc przemienienia Twego cynicznego starego przyjaciela w coś na podobieństwo kochanka.

Ale dość już tych narzekań i skarg. Z całego serca cieszę się, mój drogi towarzyszu, i z najlepszą wolą na świecie zatańczę na Twym weselu – pod warunkiem że znajdę się w pobliżu miejsca, gdy owe obrzędy będą się odbywać.

W samym środku całego tego zamieszania znalazłeś jeszcze chęć, by spytać mnie o moje postępy z Grace Marks. Jak dotąd niewiele mam do opowiedzenia, ponieważ jednak metody, które stosuję, nie od razu dają efekty, nie oczekuję szybkich wyników. Przedmiot mojego zainteresowania musi obudzić w sobie tę część umysłu, która pozostaje w uśpieniu, i odkryć wspomnienia, które zapewne są tam pogrzebane. Uważam jej umysł za zamknięte pudełko, do którego muszę znaleźć odpowiedni klucz, ale szczerze przyznaję, że jeszcze nie zaszedłem zbyt daleko.

Bardzo by mi pomogło, gdyby rzeczywiście była szalona, lub przynajmniej choć trochę bardziej szalona, niż na to wygląda, ona jednak okazuje zrównoważenie, jakiego nie powstydziałaby się księżna. Nigdy jeszcze nie spotkałem tak opanowanej kobiety. Poza incydentem, który wydarzył się w czasie mojego przyjazdu – i którego niestety nie mogłem być świadkiem – nie zaobserwowałem żadnych wybuchów. Jej głos jest niski i melodyjny, i bardziej wyrafinowany niż u zwykłej służącej – sztuczki tej zapewne nauczyła się w ciągu długich lat służby w domach swych chlebobawców. Pobrzmiewa w nim północnoirlandzki akcent, choć nie ma w tym nic dziwnego, jako że opuściła swój kraj jako dziecko i spędziła ponad połowę życia na tym kontynencie.

„Siedzi sobie na poduszeczce i szyje”, spokojna i z buzią w ciup jak u guwernantki, ja zaś z łokciami opartymi na stole łamię sobie nad nią głowę, na próżno usiłując otworzyć ją jak ostrygę. Chociaż rozmawia ze mną na pozór szczerze, udaje jej się powiedzieć tak mało, jak to tylko możliwe – w każdym razie takich rzeczy, jakie mnie interesują. Zdołałem sporo się dowiedzieć o jej sytuacji rodzinnej w dzieciństwie i o podróży przez Atlantyk, lecz nic tu nie odbiega od normy – bieda, zmartwienia itd. Tych, którzy wierzą w dziedziczenie chorób psychicznych, ucieszyłby fakt, że jej ojciec był opojem, a prawdopodobnie także podpalaczem, ale pomimo rozlicznych teorii daleko mi do przekonania, że skłonności takie rzeczywiście się dziedziczy.

Co zaś się tyczy mojej osoby, to gdyby nie fascynacja jej przypadkiem, sam bym zwariował – z czystej nudy – tak niewiele jest tu towarzystwa, nie mówiąc już o osobach, które dzieliłyby moje poglądy i zainteresowania, z wyjątkiem może niejakiego doktora DuPonta, który, podobnie jak ja, jest tu gościem. Ten jednak jest zwolennikiem teorii tego Szkota, Braida, i takim samym jak on szaleńcem. Jeśli chodzi o rozrywki i rekreację, to

jest ich tu niewiele. Postanowiłem poprosić moją gospodynię, by pozwoliła mi skopać ogródek na tyłach domu i posadzić tam kilka kapust i tak dalej – ot, dla ruchu i zabicia czasu. Sam widzisz, do czego doszedłem – ja, który ledwo wiem, jak wygląda łopata!

Ale jest już po północy i muszę kończyć ten list do Ciebie i wracać do swego zimnego i pustego łóżka. Ślę ci najserdeczniejsze pozdrowienia i ufam, że żyje Ci się dostatniej i spokojniej niż

Twojemu staremu przyjacielowi

Simonowi

VI

Tajemna szuflada

Histeria – Atakom tym ulegają w większości młode, nerwowe, niezamężne kobiety... Kobiety te skłonne są uważać, że cierpią na „wszelkie choroby, na jakie zapadać może ciało”, a fałszywe objawy choroby tak bardzo przypominają prawdziwe, iż często trudno jest dostrzec różnicę. Sam atak poprzedza ogromne przygnębienie na duchu, zalewanie się łzami, nudności, palpacje serca itd... Następnie pacjentka traci zmysły i mdleje. Ciało jest targane na wszystkie strony, z ust cieknie piana, kobieta wypowiada niezrozumiałe słowa, śmieje się, płacze lub krzyczy. Kiedy atak ustępuje, pacjentka przeważnie gorzko płacze; niekiedy pamięta wszystko, a kiedy indziej nic z tego, co zaszło.

Isabela Beeton

Wielka księga gospodarstwa domowego, 1859–1861

Me serce posłyszysz ją i ożyje,
Choćbym już w ziemi je złożył;
Mój proch posłyszysz ją i ożyje,
Choćbym od wieku już nie żył;
Zadrży i pod jej stopami się wzburzy,
Rozkwitnie szkarłatem róży⁹.
Lord Alfred Tennyson

Maud, 1855

9 tłum. Krzysztof Zabłocki.

Simonowi śni się korytarz. To przejście na poddaszu w jego domu, domu jego dzieciństwa – tym dużym domu, w którym mieszkali przed bankructwem i śmiercią ojca. Na górze spały służące. Był to tajemniczy świat, taki, jakiego mały chłopiec nie powinien oglądać, a jednak robił to, zakradając się niczym szpieg po cichu, w samych tylko pończochach. Nasłuchiwał pod uchylonymi drzwiami. O czym rozmawiały, myśląc, że nikt ich nie słyszy?

Kiedy czuł szczególną odwagę, wchodził do ich pokojów, wiedząc, że są na dole. Z dreszczykiem emocji oglądał ich rzeczy, rzeczy zakazane: wysuwał szuflady, dotykał drewnianego grzebienia z dwoma wyłamanymi zębami, starannie zwiniętych wstążek, szperał po kątach, za drzwiami. Zmięta halka, bawełniana pończocha, tylko jedna. Dotknął jej, była ciepła.

We śnie korytarz jest taki sam, tylko większy. Ściany są wyższe i bardziej żółte, połyskliwe, jakby przeświecało przez nie słońce. Drzwi jednak są zamknięte na klucz. Próbuje je otworzyć, unosząc zatrząsk, ale ten nie ustępuje. W środku są ludzie, wyczuwa ich. Kobiety, służące. Siedzą na skraju swych wąskich łóżek, w białych bawełnianych koszulach, z rozpuszczonymi włosami, rozchyłonymi ustami i błyszczącymi oczami. Czekają na niego.

Drzwi wreszcie się otwierają. Za nimi jest morze. Zanim udaje mu się zatrzymać, wpada do wody, która zamyka się nad jego głową. Z ust wydobywa mu się strumień srebrnych bąbelków. W uszach rozbrzmiewa dźwięczny, cichy i drżący śmiech, a potem czuje dotyk wielu dłoni. To służące, tylko że one umieją pływać. Nagle go zostawiają. Woła je: „Pomóżcie mi!”, ale ich już nie ma.

Chwyta się czegoś: to połamane krzesło. Fale wznoszą się i opadają. Woda jest wzburzona, choć nie ma wiatru i powietrze jest rażąco przejrzyste. Wokół niego, w zasięgu jego ręki, unoszą się różne przedmioty: srebrna taca, dwa świeczniki, lusterko, grawerowana tabakierka, złoty zegarek, który cyka jak świerszcz. Rzeczy te należały kiedyś do jego ojca, lecz zostały sprzedane po jego śmierci. Wydobywają się z głębin jak bąbelki, jest ich coraz więcej. Kiedy docierają do powierzchni, powoli przekręcają się na drugą stronę, niczym śnięta ryba. Nie są twarde jak metal, lecz miękkie i pokryte łuskowatą skórą jak u węgorza. Przygląda się im z przerażeniem, bo teraz łączą się, spletają, zmieniają kształt. Wyrastają im macki. Martwa ręka. Jego ojciec w grzesznym procesie powrotu do życia. Simona ogarnia przytłaczające uczucie przekraczania granicy.

Budzi się; serce wali mu mocno. Prześcieradła i kołdra kłębią się wokół niego, poduszki leżą na podłodze. Jest cały mokry od potu. Przez jakiś czas leży cicho, myśli, że rozumie ciąg skojarzeń, które wywołały ten sen. To historia Grace, przejście przez Atlantyk, pogrzeb na morzu i oczywiście apodyktyczny ojciec. Jeden ojciec prowadzi do drugiego.

Sprawdza godzinę na kieszonkowym zegarku, który leży na nocnym stoliku: chociaż raz zaspał. Na szczęście śniadanie się spóźnia, ale Dora z pewnością wkrótce się pojawi, a on nie chce, by go zaskoczyła w łóżku. Narzuca na siebie szlafrok i siada szybko przy stole, plecami odwrócony do drzwi.

Zapisze ten sen w dzienniku, który prowadzi w takich celach. Pewna szkoła francuskich *aliénistes* zaleca zapisywanie snów jako narzędzie diagnostyczne. Jej wyznawcy zapisują swoje sny, a także sny swoich pacjentów w celach porównawczych. Uważają sny – podobnie jak somnambulizm – za przejaw zwierzęcego życia, które istnieje poza świadomością, poza zasięgiem wzroku, poza zasięgiem woli. Być może haczyki – czy złącza – w łańcuchu pamięciowych skojarzeń są ulokowane właśnie we śnie?

Musi ponownie przeczytać pracę Thomasa Browna na temat skojarzeń i sugestii oraz teorię Herberta o progu świadomości – granicy oddzielającej idee zrozumiałe w świetle dnia od tych, które czają się zapomniane w mrokach podświadomości. Moreau de Tours uważa, że sen jest kluczem do wiedzy o chorobach umysłowych, zaś Maine de Biran twierdzi, że życie świadome to jedynie coś w rodzaju wyspy unoszącej się na o wiele obszerniejszej podświadomości i łowiącej w niej myśli niczym ryby. To, co postrzega jako znane, jest zaledwie częścią zawartości owego mrocznego magazynu. Utracone wspomnienia leżą tam jak zatopiony skarb i można je wydobyć jedynie w fragmentach, jeśli w ogóle, zaś amnezja może być w rezultacie czymś w rodzaju wstecznego śnienia, nurkowania pod powierzchnię...

Za jego plecami otwierają się drzwi: pojawia się śniadanie. Simon czeka na łoskot tacy, uderzenie drewna o drewno, ale nic nie słyszy.

– Proszę postawić na stole, dobrze? – mówi, nie odwracając się.

Rozlega się taki dźwięk, jakby z jakiegoś małego miecha wypuszczono powietrze, po czym następuje trzask. Pierwszą myślą Simona jest, że Dora rzuciła w niego tacą – w jego umyśle zawsze kojarzyła się z ledwo tłumioną i potencjalnie przestępczą przemocą. Odruchowo krzyczy, podrywa się i odwraca na pięcie. Na podłodze leży rozciągnięta jego gospodyni, pani Humphrey, wśród potłuczonych naczyń i rozgniecionego jedzenia.

Biegnie do niej, klęka i sprawdza puls. Na szczęście jeszcze żyje. Podnosi jej powiekę i widzi nieprzezroczyste białko. Szybko rozwiązuje niezbyt czysty fartuszek, w którym rozpoznaje jeden z przydzwieków niechlujnej Dory, po czym rozpina suknię, zauważając przy tym brak jednego guzika i sterczące w jego miejscu nitki. Męczy się z bielizną i wreszcie przecina scyzorykiem tasiemki, uwalniając zapach wody fiołkowej, jesiennych liści i wilgotne ciało. Jest go więcej, niżby się spodziewał, choć jeszcze jej daleko do otyłości.

Niesie ją do swojej sypialni – kanapa w salonie jest zbyt mała – i kładzie na łóżku, umieszczając pod stopami poduszkę, by krew napłynęła do głowy. Zastanawia się, czy zdjąć jej buty, których dzisiaj jeszcze nie wyczyściła, ale dochodzi do wniosku, że byłaby to niczym nieuzasadniona poufałość.

Pani Humphrey ma zgrabne kostki, od których Simon odwraca wzrok. Włosy leżą

rozpuszczone na poduszce. Wygląda teraz o wiele młodziej i bez wyrazu niepokoju nigdy nieopuszczającego jej twarzy, który teraz zmyła nieświadomość, daleko atrakcyjniej. Simon przykłada ucho do jej piersi, nasłuchuje: rytm serca jest regularny. W takim razie to zwykły przypadek omdlenia. Wodą z dzbanka moczy ręcznik i przykłada do jej twarzy i szyi. Zaczynają jej drżeć powieki.

Simon nalewa pół szklanki wody z butelki na nocnym stoliku, dodaje dwadzieścia kropel lekarstwa – zawsze nosi je ze sobą na popołudniowe spotkania, na wypadek podobnego zasłabnięcia Grace Marks, która podobno ma skłonności do omdleń – i podtrzymując jedną ręką panią Humphrey, przytyka jej szklankę do ust.

– Proszę to wypić.

Kobieta siorbie niezgrabnie, po czym unosi rękę do czoła. Simon dostrzega na jej policzku czerwony ślad. Może ten kundel, jej mąż, jest nie tylko opojem, ale i brutalem. Ślad ten jednak bardziej przypomina mocny policzek, a taki mężczyzna jak major z pewnością posłużyłby się raczej zaciśniętą pięścią. Simon czuje falę opiekuńczego współczucia, na które nie może sobie pozwolić. Ta kobieta jest tylko jego gospodynią, a poza tym osobą dla niego zupełnie obcą. Simon nie ma zamiaru zmieniać tej sytuacji, chociaż w jego umyśle pojawia się obraz – niewątpliwie wywołany widokiem bezbronnej kobiety leżącej na jego zmiętej pościeli – pani Humphrey, na wpół przytomnej, z rękami bezradnie uniesionymi w powietrze, z rozdartą sukienką i spazmatycznie kopiącymi stopami – co dziwne, jeszcze obutymi – wydającej z siebie słabe, miauczące dźwięki, i napastującą ją zwałistą postać, która wcale nie jest do niego podobna, choć z góry i z tyłu, to znaczy z jego punktu widzenia podczas tej plugawej sceny, pikowany szlafrok wygląda identycznie.

Zawsze go ciekawiły te obrazy, które wytwarzał w swej wyobraźni. Skąd się biorą? Jeżeli pojawiają się u niego, to muszą się pojawiać również u większości mężczyzn. Jest zdrowy na umyśle i normalny, racjonalne myślenie rozwinął w wysokim stopniu, a jednak nie zawsze może kontrolować takie wizje. Być może różnica między cywilizowanym człowiekiem a dzikusiem – powiedzmy, szaleńcem – leży w cienkiej warstewce świadomego panowania nad samym sobą.

– Jest pani bezpieczna – mówi do niej łagodnie. – Przewróciła się pani. Powinna pani trochę odpocząć.

– Ale... ja leżę na łóżku. – Kobieta się rozgląda.

– To moje łóżko, pani Humphrey. Byłem zmuszony zanieść tu panią z braku innego miejsca.

Skóra na jej twarzy pokrywa się rumieńcem. Zauważyła jego szlafrok.

– Muszę natychmiast stąd wyjść.

– Proszę pamiętać, że jestem lekarzem, a teraz pani jest moją pacjentką. Jeżeli spróbuje pani wstać, może nastąpić nawrót.

– Nawrót?

– Upadła pani, niosąc... – musi być niedelikatny – tacę z moim śniadaniem. Czy wolno mi spytać, co się stało z Dorą?

Ku jego konsternacji, lecz nie zdziwieniu, pani Humphrey zaczyna płakać.

– Nie mogłam jej zapłacić. Byłam jej winna za trzy miesiące. Udało mi się sprzedać

parę... parę osobistych rzeczy, ale mąż dwa dni temu zabrał mi pieniądze. Do tej pory nie wrócił. Nie wiem, gdzie jest. – Z widocznym wysiłkiem usiłuje zapanować nad łzami.

– A dziś rano...?

– Miałyśmy... wymianę zdań. Nalegała, żebym jej zapłaciła. Powiedziałam, że nie mogę, że to niemożliwe. Powiedziała, że w takim razie zapłaci sobie sama. Zaczęła przeszukiwać moje szuflady. Nie znalazłszy żadnej biżuterii, powiedziała, że weźmie moją obrączkę. Była złota, ale bardzo skromna. Próbowałam jej bronić. Dora powiedziała, że jestem nieuczciwa. Uderzyła mnie... Potem ją zabrała, mówiąc, że nie będzie już dłużej moją darmową niewolnicą, i wyszła. Sama przygotowałam śniadanie i zaniósłam je na górę. Cóż miałam robić?

W takim razie to nie jej mąż, myśli Simon. To ta suka, Dora. Pani Humphrey znowu zaczyna płakać, łagodnie, bez wysiłku, jak gdyby to łkanie było ptasim śpiewem.

– Na pewno ma pani jakąś przyjaciółkę, do której mogłaby pani pójść. A może ktoś przyjdzie do pani? – Simon rozpaczliwie pragnie przekazać panią Humphrey z własnych ramion w inne. Kobiety pomagają sobie nawzajem; opiekuńczość jest zakodowana w ich naturze. Gotują bulion i galaretki. Robią na drutach niosące pocieszenie szale. Klepią się po ramieniu i koją smutki.

– Nie mam tu żadnych przyjaciół. Dopiero co przyjechaliśmy do tego miasta. W poprzednim miejscu mieliśmy pewne trudności finansowe. Mój mąż nie zapraszał do domu gości i nie chciał, żebym ja wychodziła z domu.

Simonowi przychodzi do głowy pożyteczna myśl.

– Musi pani coś zjeść. Nabierze pani sił.

Na te słowa pani Humphrey uśmiecha się mizernie.

– W domu nie ma nic do jedzenia, panie doktorze. Wystarczyło tylko na pańskie śniadanie. Nie jadłam od dwóch dni – odkąd opuścił mnie mąż. Wszystko, co było, zjadła Dora. Ja tylko wypiałam trochę wody.

Tak więc Simon znajduje się na targu, gdzie za własne pieniądze kupuje żywność dla podtrzymania czynności fizycznych swojej gospodyni. Pomógł jej zejść na dół. Nalegała na to, mówiąc, że nie może sobie pozwolić na to, by mąż, gdyby przypadkiem wrócił, znalazł ją w sypialni lokatora. Bez zdziwienia zobaczył, że jej część domu jest niemalże całkowicie pozbawiona mebli: w salonie został tylko stół i dwa krzesła. W sypialni jednak było jeszcze łóżko i na nim to umieścił panią Humphrey w stanie wyczerpania nerwowego. A także wygłodzenia: nic dziwnego, że była taka koścista. Oderwał myśli od łóżka i od scen pełnych małżeńskiej niedoli, które musiały mieć na nim miejsce.

Potem wrócił na górę do swego pokoju z ciekącym wiadrem, które udało mu się znaleźć. W kuchni panował istny śmietnik. Posprzątał śniadanie i potłuczone naczynia z podłogi, zauważając, że tym razem jajko zostało ugotowane idealnie.

Pewnie będzie musiał wymówić pani Humphrey i zmienić miejsce zamieszkania, co będzie bardzo kłopotliwe, choć niewątpliwie zapobiegnie dezintegracji jego życia i pracy, która nastąpiłaby, gdyby miał tu zostać. Nieład, chaos, komornicy wynoszący

meble z jego pokoju... Jeżeli jednak odejdzie, co się stanie z tą nieszczęsną kobietą? Nie chce mieć jej na sumieniu, a z pewnością tak będzie, jeżeli ona umrze z głodu gdzieś na ulicy.

W jednym ze straganów kupuje parę jajek, trochę bekonu, sera i podejrzenie wyglądającego masła od starej chłopki, a w sklepie nieco herbaty zawiniętej w papier. Szuka też chleba, ale nigdzie go nie widać. Naprawdę nie wie, jak sobie z tym wszystkim poradzić. Przedtem był parę razy na targu, ale tylko przelotnie, by kupić warzywa, którymi miał nadzieję pobudzić pamięć Grace. Teraz jest tu w zupełnie innym charakterze. Gdzie może kupić mleko? Dlaczego nie ma jabłek? To świat, którego nigdy przedtem nie badał. Dopóki miał co jeść, nie obchodziło go, skąd się bierze jedzenie. Pozostali klienci na targu to służące z koszykami swych pań na ramieniu lub kobiety z biedniejszych klas, w rozciągniętych czepkach i zszarganych szalach. Czuje, że śmieją się z niego za jego plecami.

Kiedy wraca, pani Humphrey już nie leży. Otuliła się kołdrą, uczesała i usiadła przy piecu, w którym na szczęście jest napalone – on nie wiedziałby, jak go uruchomić – zacierając ręce i drżąc. Udało mu się zaparzyć herbatę, usmażyć jajka z bekonem i zrobić grzanki z czerstwej bułki, którą w końcu znalazł na targu. Jedzą razem przy jedynym stole, jaki pozostał. Simon żałuje, że nie ma marmolady.

– Jaki pan dobry, panie doktorze.

– Proszę tak nie mówić. Nie mogłem pozwolić, żeby umarła pani z głodu. – Zabrzmiało to bardziej serdecznie, niż Simon zamierzał; to głos wesołkowatego, nieszczerego wujka, który nie może się doczekać, kiedy wreszcie obdaruje ćwierćdolarówką swą unurzaną w błocie siostrzenicę, uszczypnie ją w policzek i umknie do opery. Simon zastanawia się, co teraz robi zły major Humphrey, przeklina go po cichu i zazdrości mu. Cokolwiek porabia, na pewno jest to o wiele weselsze.

Pani Humphrey wzdycha.

– Obawiałam się, że do tego dojdzie. Skończyły się moje zasoby. – Jest już zupełnie spokojna i obiektywnie patrzy na swoją sytuację. – Trzeba zapłacić czynsz za dom, a nie ma pieniędzy. Wkrótce przyjdą jak hieny po kości i wyrzucą mnie na bruk. Może mnie aresztują za długi. Już wolałabym umrzeć.

– Na pewno jest jakieś wyjście – mówi Simon. – Jakiś sposób zarobienia na życie.

Pani Humphrey usiłuje zachować resztki godności, a on ją za to podziwia.

Spogląda na niego. Jej oczy w tym świetle przybierają dziwny odcień morskiej zieleni.

– Co pan proponuje, doktorze? Haftowanie? Kobiety takie jak ja mają niewiele umiejętności, które mogłyby sprzedać. – W jej głosie pobrzmiewa złośliwa ironia. Ciekawe, czy wie, o czym myślał, kiedy leżała nieprzytomna na jego nieposłanym łóżku.

– Zapłacę pani za dwa miesiące z góry – słyszy swój głos. Jakiż z niego głupiec, głupiec o miękkim sercu. Gdyby miał choć odrobinę rozsądku, uciekałby stąd, jakby go gonił sam diabeł. – To powinno na jakiś czas wystarczyć, przynajmniej dopóki nie wymyśli pani czegoś.

Jej oczy wypełniają się łzami. Bez słowa bierze jego rękę i delikatnie przyciska ją do ust, które zostawiają po sobie wilgotny ślad masła.

Dzisiaj doktor Jordan wygląda na bardziej roztargnionego niż zwykle – jakby miał myśli zaprzątnięte czymś innym. Chyba nie wie, jak zacząć. Szyję więc dalej, dając mu czas na wzięcie się w garść. Wreszcie się odzywa:

– To nowa kołdra, Grace?

– Tak, proszę pana – mówię – to „Puszka Pandory” dla panienki Lydii.

To go wprawia w nauczycielski nastrój i widzę, że zamierza mnie czegoś nauczyć, co dżentelmeni lubią robić. Pan Kinnear też taki był.

– A wiesz, kim była Pandora, Grace? – pyta.

– Tak – odpowiadam. – To była Greczynka w dawnych czasach. Zajrzała do pudełka, do którego jej nie było wolno zaglądać, i wyszło z niego mnóstwo chorób, wojny i inne nieszczęścia. Dowiedziałam się tego dawno temu, u pani Parkinson. Mary Whitney miała złe zdanie o tej historii. Spytała, dlaczego zostawili to pudełko pod ręką, skoro nie chcieli, żeby je otwierano.

Doktor wygląda na zdziwionego moją odpowiedzią i pyta:

– Ale czy wiesz, co było na samym dnie pudełka?

– Tak, proszę pana, nadzieja. Można z tego zrobić dowcip i powiedzieć, że po wyskrobaniu beczki na dnie znajduje się nadzieję – jak ci, którzy w końcu muszą się ożenić z desperacji. W każdym razie to tylko bajka, a poza tym ładny wzór na kołdrę.

– Cóż, wydaje mi się, że czasami potrzebujemy trochę nadziei – mówi doktor.

Mam już na końcu języka, że przez jakiś czas dawałam sobie bez niej radę, ale się powstrzymuję. Mówię natomiast:

– Nie wygląda pan dziś dobrze. Mam nadzieję, że nie jest pan chory.

A on się uśmiecha tym swoim krzywym uśmieszkiem i mówi, że nie jest chory, tylko bardzo zapracowany, ale jeżeli będę ciągnęła swoją opowieść, to pomoże mu oderwać się od zmartwień. Nie wyjaśnia jednak, jakie to zmartwienia.

Tak więc opowiadałam dalej.

Teraz, proszę pana, przejdę do weselszej części mojej historii i opowiem panu o Mary Whitney. Zrozumie pan, dlaczego pożyczyłam sobie jej nazwisko, kiedy tego potrzebowałam. Ona nigdy nie odmawiała przyjacielowi w potrzebie i mam nadzieję, że i ja jej nie zawiodłam, kiedy przyszła moja kolej.

Dom mojego nowego pracodawcy był wspaniały i należał do najpiękniejszych domów w Toronto. Stał na Front Street, nad Jeziorem, koło innych dużych domów. Na frontowej ścianie był rzeźbiony portyk z białymi kolumnami. Jadalnia miała owalny kształt – tak samo jak salon – i była prześliczna, choć chłodna. Znajdowała się tam też biblioteka wielka jak sala balowa, z półkami sięgającymi sufitu i zapchana książkami oprawionymi w skórę, gdzie było więcej słów, niż kiedykolwiek da się przeczytać. A w sypialniach były wysokie łóżka z baldachimem i moskitierą przeciw muchom

w lecie, toaletki z lustrem, mahoniowe komody i bieliźniarki. Moi państwo należeli do Kościoła anglikańskiego, jak wszystkie wyższe klasy w tamtych czasach, a także ci, którzy chcieli być najlepsi.

Rodzina składała się przede wszystkim z pana Aldermana Parkinsona, który bardzo był zaangażowany w interesy i politykę. Przypominał kształtem jabłko, z dwoma patykami wetkniętymi w miejscu nóg. Miał tak dużo złotych zegarków na dewizce, złotych szpilek, tabakierek i innych błyskotek, że gdyby to wszystko stopić, można by zrobić pięć naszyjników z kolczykami do pary. Potem była pani Aldermanowa Parkinson, o której Mary Whitney mawiała, że powinna być samym Aldermanem, gdyż lepszy byłby z niej mężczyzna. Miała imponującą postawę i zupełnie inną sylwetkę bez gorsetu niż w gorscie. Kiedy jednak była porządnie zasznurowana, jej biust wystawał jak półka, tak że mogłaby na nim nosić cały serwis do herbaty, nie uroniwszy choćby kropli. Pochodziła ze Stanów Zjednoczonych Ameryki i była zamożną wdową, zanim – jak to ujmowała – zwałił ją z nóg pan Alderman Parkinson, co musiało być niezwykłym widokiem. Mary Whitney zawsze się dziwiła, że pan Parkinson uszedł wtedy z życiem.

Miała dwóch dorosłych synów, którzy byli w college'u w Stanach, a także spaniela imieniem Bevelina, którego zaliczam do rodziny, gdyż był traktowany jak jej członek. Z zasady lubię zwierzęta, ale w tym wypadku miałam pewne problemy.

Potem była liczna służba. Podczas mojego pobytu tam niektórzy odeszli, a na ich miejsce przyszli inni, więc nie będę wyliczała wszystkich. Była więc przede wszystkim pokojówka pani Parkinson, która twierdziła, że jest Francuzką, choć wszyscy w to wątpiliśmy, następnie gospodyni, pani Honey, która miała całkiem spory pokój na tyłach parteru, gdzie mieszkał również kamerdyner. Kucharz i praczka mieszkali koło kuchni. Ogrodnik i stajenni zajmowali budynki na zewnątrz, a dwie pomoce kuchenne mieszkaly koło stajni, gdzie trzymano konie i trzy krowy i dokąd czasami chodziłam, żeby pomóc w dojeniu.

Mnie umieszczono na poddaszu, na samej górze. Łóżko dzieliłam z Mary Whitney, która pomagała przy praniu. Nasz pokój nie był duży, w lecie panował w nim upał, a zimą mróz, gdyż znajdował się tuż pod dachem i nie było w nim ani kominka, ani pieca. Na łóżku leżał siennik wypchany słomą, obok stała mała komoda, stojak z poobijaną miednicą i nocnik, a także krzesło z prostym oparciem, pomalowane na jasnozielony kolor, na którym przed snem wieszaliśmy ubrania.

W drugim końcu korytarza mieszkaly Agnes i Effie, które były pokojówkami. Agnes była bardzo religijna, dobra i uczynna. W młodości próbowała środka, który miał usunąć żółty nalot z jej zębów, ale przy okazji usunął także biel i pewnie dlatego potem tak rzadko się uśmiechała i przeważnie miała zamknięte usta. Mary Whitney mówiła, że Agnes tak dużo się modli, bo chce uprosić Boga, by przywrócił jej biel zębów. Effie wpadła w melancholię, kiedy jej ukochanego wywieziono do Australii za udział w powstaniu, które wybuchło trzy lata wcześniej. Kiedy dostała list z wiadomością, że tam umarł, próbowała się powiesić na tasiemkach od fartucha, ale pękły i znaleziono ją na podłodze na wpół uduszoną i bez zmysłów.

Nie wiedziałam nic o powstaniu, gdyż w tym czasie nie było mnie jeszcze w Kanadzie, więc Mary Whitney wszystko mi opowiedziała. Było to powstanie

przeciwko szlachcie, która wszystkie pieniądze i ziemię zabierała dla siebie. Na jego czele stanął pan William Lyon Mackenzie, który był radykałem, i kiedy powstanie upadło, w kobiecym przebraniu uciekł przez Jezioro, po lodzie i śniegu, do Stanów. Wielu mogło go zdradzić, ale nikt tego nie zrobił, bo był on dobrym człowiekiem, który zawsze trzymał stronę zwykłych chłopów. Złapano jednak wielu radykałów, których potem wywieziono lub powieszono i którzy utracili cały majątek. Inni poszli na południe, a ci, którzy zostali, byli w większości torysami, a przynajmniej tak utrzymywali. Lepiej więc było nie mówić o polityce, chyba że z przyjaciółmi.

Powiedziałam, że w ogóle nie rozumiem polityki, więc do głowy by mi nie przyszło, żeby na ten temat rozmawiać, i spytałam Mary, czy jest radykałem. Poprosiła, żebym nie powtarzała tego Parkinsonom, którzy słyszeli od niej inną wersję, ale jej własny ojciec w ten właśnie sposób utracił swoje gospodarstwo, stworzone z wielkim wysiłkiem. Spalili jego drewniany dom, który zbudował własnymi rękami, walcząc jednocześnie z niedźwiedziami i innymi dzikimi zwierzętami. Potem stracił też życie – przez chorobę wywołaną ukrywaniem się zimą w lesie, a jej matka umarła z żalu. Ale ich czas nadejdzie, zostaną pomszczeni. Wyglądała na wściekłą, mówiąc to.

Lubiłam przebywać z Mary Whitney, od razu poczułam do niej sympatię. Była po mnie najmłodsza wśród służby, miała wówczas szesnaście lat. Była to ładna i pogodna dziewczyna o zgrabnej sylwetce, ciemnych włosach, błyszczących czarnych oczach i zaróżowionych policzkach z dołeczkami. Pachniała gałką muskatołową i goździkami. Wypytywała mnie o wszystko, więc opowiedziałam jej o podróży statkiem, o śmierci matki i jej pogrzebie na morzu wśród gór lodowych. Mary powiedziała, że to bardzo smutne. Potem opowiedziałam jej o ojcu, lecz zachowałam dla siebie najgorsze rzeczy, bo nie wolno mówić źle o rodzicach. Przyznałam się, jak bardzo się boję, że będzie mi zabierał wszystkie zarobki, a ona odparła, że nie powinnam mu oddawać pieniędzy, bo ich nie zarobił, i że to dla dobra mojego rodzeństwa, gdyż on na pewno by je wydał tylko na siebie, a przede wszystkim na alkohol. Powiedziałam, że się go boję, a ona na to, że tutaj mnie nie dopadnie, a jeżeli będzie próbował, to ona porozmawia z Jimem ze stajni, który jest krzepkim mężczyzną i ma dużo przyjaciół. Poczułam się lepiej.

Mary powiedziała, że może i jestem jeszcze bardzo młoda i całkiem zielona, ale za to bystra, a różnica między głupotą a ignorancją jest taka, że ignorant może się czegoś nauczyć. Dodała też, że wyglądam na dobrą pracownicę i że na pewno świetnie się dogadamy. Przedtem pracowała w dwóch innych miejscach i stwierdziła, że u Parkinsonów jest nie gorzej niż u innych, a poza tym oni nie skąpią na jedzeniu. Było to zgodne z prawdą, gdyż wkrótce zaczęłam się zaokrąglać i rosnąć. Jedzenie z pewnością było tu łatwiej zdobyć niż po drugiej stronie oceanu i nawet służący jedli posiłki codziennie, choćby tylko soloną wieprzowinę lub bekon. Mieli tu też dobry chleb, pszeny, a także z indiańskiej kukurydzy. W gospodarstwie były trzy krowy, kuchenny ogród, drzewa owocowe, truskawki, porzeczki, winogrona i rabaty kwiatowe.

Mary Whitney lubiła się bawić, a kiedy byłyśmy same, wyrażała się bardzo odważnie i złośliwie, choć wobec starszych i lepszych zachowywała szacunek i powagę, i dlatego, a także dzięki swojej sprawności w pracy, była ogólnie lubiana. Jednakże za ich plecami żartowała sobie z nich i naśladowała ich miny i sposób chodzenia. Często

zdumiewały mnie słowa, które wychodziły z jej ust, gdyż wiele z nich było dość ordynarnych. Nie żebym nigdy przedtem nie słyszała takiego języka, bo kiedy mój ojciec upijał się, w domu miałam go pod dostatkiem, a poza tym oswoiłam się z nim na statku i w porcie koło tawern i knajp, ale nie spodziewałam się go u dziewczyny, do tego takiej młodej, ładnej i tak czysto i schludnie ubranej. Wkrótce jednak do niego przywykłam i składałam go na karb jej kanadyjskiego pochodzenia. Czasami, kiedy byłam szczególnie zaszokowana, mówiła, że niedługo zacznę jak Agnes śpiewać żałobne hymny i chodzić z zaciśniętymi ustami jak jakaś stara panna. Wtedy protestowałam i wszystko kończyło się na śmiechu.

Gniewało ją, że niektórzy mają tak dużo, a inni tak mało, i nie widziała w tym żadnego boskiego planu. Twierdziła, że jej babka była Indianką, i to po niej ma takie czarne włosy, i że gdyby miała sposobność, uciekłyby do lasu, chodziła z łukiem i strzałami i nie musiała upinać włosów ani nosić gorsetu. Ja zaś mogłabym uciec razem z nią. I wtedy zaczynałyśmy planować, jak byśmy się ukrywały w lesie, napadały na podróżnych i skalpowały ich, o czym czytała w książkach. Mówiła, że chciałyby oskalpować panią Parkinson, chociaż szkoda zachodu, bo ona nosi sztuczne włosy. Widziała ich kępkę w ubieralni, a kiedyś zobaczyła, jak je czesała francuska pokojówka. Myślała wtedy, że to spaniel. Ale to było tylko takie nasze nieszkodliwe gadanie.

Mary od samego początku wzięła mnie pod swoje skrzydła. Wkrótce domyśliła się, że jestem młodsza, niż twierdziłam, ale przysięgła, że nikomu nie powie. Przejrzała moje ubrania i oceniła, że w większości są na mnie za małe i nadają się tylko na torbę na ścinki i że nie przetrzymam zimy z samym tylko szalem matki, gdyż wiatr przejdzie przez niego jak przez sito. Powiedziała, że pomoże mi zdobyć ubrania, bo pani Honey wyraziła się o mnie, że wyglądam jak obszarpaniec, więc trzeba coś ze mną zrobić, gdyż pani Parkinson dba o swoje dobre imię. Najpierw jednak powinno się mnie oskrobać jak ziemniak – taka byłam brudna.

Powiedziała, że pożyczę od pani Honey balie. Przeraziłam się, bo nigdy przedtem nie kąpałam się w wannie, a poza tym bałam się pani Honey, lecz Mary stwierdziła, że ta więcej szczeka niż gryzie, a zresztą usłyszymy, jak będzie nadchodzić, bo pękiem kluczy, które zawsze przy sobie nosi, grzechocze jak wagon pełen starych czajników. Jeżeli jednak dojdzie do kłótni, Mary zagrozi, że wykąpie mnie nagusienką na podwórzu, pod pompą. Byłam tym zszokowana i powiedziałam, że się na to nie zgodzę, a ona odparła, że oczywiście nie zrobiłaby czegoś takiego, ale sama wzmianka o tym zapewniłaby zgodę pani Honey.

Ta wkrótce się pojawiła i powiedziała, że możemy sobie do woli trzymać balie, jeżeli tylko potem porządnie ją umyjemy. Zabrałyśmy ją do pralni, napompowałyśmy wody, którą podgrzałam na piecu, i wlałyśmy ją do balii. Poprosiłam Mary, żeby stanęła przy drzwiach, na wypadek gdyby ktoś chciał wejść, oraz żeby się odwróciła, gdyż nikt nigdy mnie nie widział bez ubrania. Woda nie była zbyt ciepła i zanim skończyłam, trzęsłam się z zimna. Dobrze, że było lato, bo zamarzałabym na śmierć. Mary kazała mi też umyć włosy. Chociaż wiedziała, że zbyt częste mycie włosów całkiem wyciąga siły

z człowieka, i знаła dziewczynę, która od tego zemdląa i umarła, to jednak orzekła, że trzeba je myć co jakieś trzy–cztery miesiące. Obejrzała mi głowę i powiedziała, że przynajmniej nie mam wszy, bo gdyby jakaś się pojawiła, trzeba by głowę natrzeć siarką i terpentyną. Kiedyś musiała to zrobić i śmierdziała potem zgniłymi jajkami.

Pożyczyła mi koszulę nocną, którą mogłam zatrzymać, dopóki moja nie wyschnie, bo Mary uprała mi wszystkie ubrania. Owinęła mnie w prześcieradło, żebym mogła wyjść z pralni i pójść na górę. Powiedziała, że wyglądam komicznie, jak jakaś obłąkana.

Mary poprosiła panią Honey o zaliczkę dla mnie, żebym mogła sobie kupić porządną sukienkę, i następnego dnia poszłyśmy do miasta. Przedtem pani Honey wygłosiła kazanie, przykazała nam zachowywać się przyzwoicie, wracać prosto do domu i nie rozmawiać z nieznajomymi, zwłaszcza z mężczyznami. Obiecałyśmy jej to.

Mimo to poszłyśmy okrężną drogą i oglądałyśmy kwiaty w otoczonych płotami ogrodach pobliskich domów i sklepy – nie tak liczne i wspaniałe jak te, które widziałam przelotem w Belfaście. Potem Mary powiedziała, że chciałaby, żebym zobaczyła ulicę, gdzie mieszkają kurwy. Bałam się, ale zapewniła, że nie grozi nam żadne niebezpieczeństwo. Ciekawa byłam tych kobiet, które żyły z handlowania swoim ciałem, bo pomyślałam sobie, że jeżeli kiedykolwiek będę przymierać głodem, to zawsze jeszcze zostanie mi coś do sprzedania. Chciałam zobaczyć, jak wyglądają. Poszłyśmy więc na Lombard Street, ale ponieważ było jeszcze wcześniej, niewiele zobaczyłyśmy. Mary powiedziała, że jest tam dużo burdeli, które trudno rozpoznać z zewnątrz, w środku jednak podobno są bardzo fikuśne. Mają tam tureckie dywany, kryształowe żyrandole i aksamitne zasłony, każda kurwa ma swoją sypialnię i pokojówkę, która przynosi jej śniadanie, sprząta, ściele łóżko i wynosi nieczystości, a ona musi tylko ubierać się, a potem rozbierać i rozkładać nogi, co z pewnością jest lżejszą pracą niż harówka w kopalni czy fabryce.

Te w domach to lepsza klasa prostytutek, są droższe i przychodzą do nich dzentelmeni, a przynajmniej klienci, którzy więcej płacą. Dziwki gorszego sortu muszą chodzić po ulicach i korzystać z pokojów na godziny. Wiele z nich łapie choroby i starzeje się jeszcze przed dwudziestką. Muszą sobie malować twarze, żeby oszukać biednych, pijanych marynarzy. Chociaż z daleka wyglądają bardzo elegancko, całe w piórach i jedwabiach, to z bliska widać, że ich sukienki są brudne i źle dopasowane, ze szwami rozłazącymi się na plecach. To, co zarobią, ledwo starczy im na chleb. Życie, jakie wiodą, jest ponure i Mary zastanawiała się, dlaczego nie rzucają się do Jeziora, co zresztą niektóre z nich robią. Często znajdowano ich ciała unoszące się na wodzie w porcie.

Dziwiło mnie, skąd Mary tyle o nich wie. Ona jednak tylko się roześmiała i powiedziała, że i ja wiele się dowiem, jeżeli tylko będę miała oczy i uszy otwarte – zwłaszcza w kuchni. Poza tym pewna dziewczyna, którą znała ze wsi, chodziła z mężczyznami do łóżka i Mary często spotykała ją na ulicy, nie wie jednak, co się z nią stało, a obawia się, że nic dobrego.

Potem poszłyśmy na King Street, do sklepów, gdzie belę materiału można było

kupić za bezcen. Były tam jedwabie, bawełny, popeliny i flanele, satyny i tartany – wszystko, czego dusza zapagnie, ale musiałyśmy się zastanowić nad ceną i przydatnością. W końcu wzięłyśmy praktyczną biało-niebieską wełnę. Mary obiecała, że mi pomoże skroić suknię. Kiedy jednak przyszedł na to czas, była zdziwiona, że potrafię tak dobrze szyć drobnym ścięciem, i orzekła, że marnuję się jako służąca i że powinnam iść na krawcową.

Od domokrażcy, który przyszedł następnego dnia i którego tu wszyscy dobrze znali, kupiłyśmy nici i guziki. Był on wielkim ulubieńcem kucharki, która zrobiła mu filiżankę herbaty i ukroiła kawałek ciasta, podczas gdy on rozwinął tobolek i wyłożył swoje towary. Miał na imię Jeremiasz. Kiedy podszedł do tylnych drzwi, podążała za nim banda pięciu czy sześciu obdartych uliczników. Jeden z nich bębnił łyżką o garnek, a reszta śpiewała:

Jeremiaszu, roznieć ogień
Puf, puf, puf.
Najpierw dmuchnij lekko,
Potem dmuchnij znów!

Harmider przyciągnął nas wszystkich do okna. Kiedy podeszli pod tylne drzwi, Jeremiasz dał im pensa i uciekli. Kucharka spytała go, o co w tym wszystkim chodzi, a on powiedział, że woli ich mieć pod swoją komendą, niż żeby go obrzucali błotem i końskim łajnem, co często przydarzało się domokrażcom, którzy, obładowani pakunkami, nie mogli ich przegonić, bo gdyby zostawili swoje rzeczy, szybko zrabowaliby je ulicznicy. Jeremiasz wybrał więc mądrzejszy sposób, oswoił ich i nauczył swojej ulubionej piosenki.

Jeremiasz był zręcznym i zwinnym mężczyzną o długim nosie, skórze brązowej od słońca i kręconej czarnej brodzie i Mary mówiła, że chociaż wygląda na Żyda albo Cygana – podobnie jak wielu domokrażców – to jest Jankesem, którego ojciec, rodem z Włoch, przybył do Massachusetts, żeby pracować w fabryce. Jego nazwisko brzmiało Pontelli. Mimo pochodzenia wszyscy go lubili. Dobrze mówił po angielsku, choć został mu obcy akcent. Miał czarne oczy o przenikliwym spojrzeniu i szeroki, ładny uśmiech, którym bezwstydnie czarował kobiety.

Miał wiele rzeczy, które chciałam kupić, na które jednak nie było mnie stać, chociaż powiedział, że weźmie tylko połowę pieniędzy, a po resztę przyjdzie następnym razem. Nie chciałam zaciągać długów. Miał wstążki i koronki, a także nici i guziki – metalowe, perłowe, drewniane i kościane, i te ostatnie właśnie wybrałam. Miał też białe bawełniane pończochy, kołnierzyki i mankiety, apaszki i chusteczki, kilka halek, dwa gorsety – używane, lecz uprane i prawie jak nowe – letnie rękawiczki w jasnych kolorach, prawie wszystkie przepięknie zrobione. I kolczyki w kolorze srebrnym lub złotym, chociaż Mary twierdziła, że kolor zejdzie, tabakierki z prawdziwego srebra i buteleczki z bardzo mocnym różanym zapachem. Kucharka kupiła kilka, choć Jeremiasz powiedział, że ich

nie potrzebuje, bo i tak pachnie jak księżniczka. Kucharka zaczerwieniła się i zachichotała, chociaż miała prawie pięćdziesiąt lat i nie mogła się pochwalić wdzięczną figurką. „Już bardziej pachnę cebulą” – odparła, a on na to, że pachnie tak smacznie, że chciałoby się ją zjeść, a przecież droga do serca mężczyzny prowadzi przez żołądek. Uśmiechnął się, ukazując duże białe zęby, które dzięki czarnej brodzie wyglądały na jeszcze większe i bielsze, i posłał kucharce głodne spojrzenie, oblizując usta, jakby ona sama była pysznym ciastkiem, które chciałby spałaszować, na co kucharka spłonęła jeszcze większym rumieńcem.

Spytał nas, czy mamy coś do sprzedania, a jak nam było wiadomo, płacił dużo. Agnes sprzedała swoje kolczyki z koralem, które dostała od ciotki i które uznawała za objaw próżności. Wiedziałyśmy, że potrzebuje pieniędzy dla siostry, która miała kłopoty. Ze stajni przyszedł Jim i powiedział, że może wymienić koszulę i wielką kolorową chustkę do nosa na ładniejszą koszulę, która mu się bardziej podobała, i dorzuciwszy jeszcze scyzoryk z drewnianą rękojeścią, dobił targu.

Kiedy Jeremiasz był w kuchni, czuliśmy się jak na zabawie, aż w końcu przysłała pani Honey, żeby sprawdzić, skąd ta wrzawa.

– Widzę, Jeremiaszu, że po staremu wykorzystujesz kobiety – powiedziała, uśmiechając się jednak, co było rzadkim widokiem. On zaś przytaknął i dodał, że jest wiele ładnych kobiet, którym nie może się oprzeć, lecz ona jest najładniejsza. Kupiła więc od niego dwie chusteczki, chociaż upomniwała go, żeby się zbytnio nie ociągał z wyjściem, bo dziewczęta muszą wracać do pracy. Po czym wyszła z kuchni, jak zwykle szcękając kluczami.

Niektóre chciały, żeby im powróżył z ręki, ale Agnes powiedziała, że to zadawanie się z Szatanem i że pani Parkinson nie chciałaby, żeby wszyscy gadali, że po jej kuchni kręci się jakiś Cygan. Więc zrezygnował. Jednak po wielu naleganiach zaczął naśladować dżentelmena, jego głos i sposób bycia, na co z uciechą zaczęłyśmy klaskać. Zza ucha kucharki wyjął srebrną monetę i pokazał, jak połyka widelec. Powiedział, że tych sztuczek nauczył się w czasach swej chmurnej młodości, kiedy był szalonym młodzieńcem i występował na jarmarkach, jeszcze zanim został uczciwym handlowcem o sercu pięćdziesiąt razy złamanym przez okrutne i ładne dziewczęta takie jak my. Wszystkie wybuchnęłyśmy śmiechem.

Potem z powrotem wszystko spakował, wypił swoją herbatę, zjadł kawałek ciasta i powiedział, że nikt nie robi tak pysznego ciasta jak nasza kucharka; gdy już miał wychodzić, zwrócił się do mnie i do czterech guzików, które od niego kupiłam, dodał piąty. Włożył mi go do ręki i zacisnął na nim moje palce – jego palce były twarde i suche jak piach – lecz najpierw szybko zerknął na moją dłoń.

– Pięć to szczęśliwa liczba – powiedział. – Ludzie uważają parzyste liczby za pechowe, a nieparzyste za przynoszące szczęście. – Posłał mi szybkie, bystre spojrzenie i dodał cicho, żeby pozostali nie mogli usłyszeć: – Przed tobą wyboista droga.

Zawsze jest taka, proszę pana, a z pewnością taką właśnie miałam już za sobą, mimo to jakoś ją przesłam, więc zbytnio się tym nie przejęłam.

Potem jednak powiedział coś przedziwnego:

– Jesteś jedną z nas.

Zarzucił sobie na ramię tobołek i wyszedł. Przez jakiś czas jeszcze się zastanawiałam, co miał na myśli. Wreszcie doszłam do wniosku, że chodziło mu o to, że i ja jestem bezdomna, jak wędrowiec, jak domokrażcy i ci, którzy pracują na jarmarkach, nie mogłam bowiem sobie wyobrazić, co innego mógł przez to rozumieć.

Kiedy poszedł, wszystkie poczułyśmy się, jakby z nas spuszczone powietrze, gdyż nieczęsto zdarzała się nam taka zabawa i nieczęsto mogłyśmy się napatrzeć na takie ładne rzeczy i pośmiać w środku dnia.

Moja sukienka wyszła bardzo dobrze, a ponieważ miałam pięć guzików, a nie cztery, trzy przyszyłam przy szyi, a dwa na mankietach. Nawet pani Honey zauważyła różnicę w moim wyglądzie i powiedziała, że teraz wyglądam bardzo przyzwoicie.

Mój ojciec przyszedł pod koniec pierwszego miesiąca i kazał mi oddać wszystkie zarobki, ale mogłam mu dać tylko ćwierć dolara, gdyż resztę zdążyłam wydać. Zaczął mnie wyzywać i przeklinać i chwycił mnie za ramię, ale Mary zawołała stajennego. Wrócił pod koniec drugiego miesiąca i znowu dałam mu tylko ćwiartkę dolara, a Mary powiedziała, że ma tu już nie wracać. Wyzwał ją, a ona obrzuciła go jeszcze gorszymi przekleństwami i zawołała mężczyzn, którzy go przepędzili. Miałam mieszane uczucia, gdyż chciałam pomóc rodzeństwu i próbowałam im potem wysłać pieniądze przez panią Burt, ale myślę, że ich nie dostali.

Początkowo pracowałam jako pomywaczka, szorowałam patelnie i garnki, ale wkrótce zauważono, że żelazne kotły są dla mnie za ciężkie. Potem nasza praczka dostała pracę gdzie indziej i przysłała inną, niezbyt bystrą, więc pani Honey kazała mi pomagać Mary przy płukaniu i wyżymaniu, wieszaniu i składaniu, maglowaniu i cerowaniu, z czego obie byłyśmy bardzo zadowolone. Mary obiecała, że nauczy mnie wszystkiego, co powinnam wiedzieć, a ponieważ byłam dość pojętna, wkrótce się tego nauczyłam.

Kiedy popełniałam jakiś błąd i się tym martwiłam, Mary mnie pocieszała, mówiąc, że nie powinnam brać wszystkiego tak poważnie i że kto nie popełnia błędów, ten się nigdy niczego nie nauczy. Kiedy zdarzało się, że pani Honey ostro się do mnie odezwała i byłam na granicy łez, Mary mawiała, że nie powinnam zwracać na nią uwagi, bo taka już jest, a jest taka dlatego, że kiedyś wypła butelkę octu, który został jej na języku. Powinnam też pamiętać, że nie jesteśmy niewolnicami i że nie urodziłyśmy się po to, by być służącymi – to po prostu nasza praca. Powiedziała, że w tym kraju jest taki zwyczaj, że młode dziewczęta wynajmują się do pracy, by zarobić na swój posag, potem zaś wychodzą za mąż i jeżeli mąż jest wystarczająco bogaty, wkrótce same zatrudniają służbę. Któregoś dnia, mówiła, zostanę panią w ładnym, niezależnym gospodarstwie i będę uważać swoją poniewierkę i pomiatanie przez panią Honey za niezły dowcip. Po tej stronie oceanu ludzie dochodzą do czegoś przez ciężką pracę, a nie dzięki temu, kim był ich dziadek. I tak powinno być.

Powiedziała, że bycie służącą jest równie dobre, jak wszystko inne, że dzięki temu mogę się nauczyć rzeczy, których nie nauczyłabym się gdzie indziej. Na przykład zawsze kazano nam trzymać się na tyłach domu, żebyśmy nie wchodzili w drogę rodzinie, ale naprawdę to było całkiem na odwrót: frontowe schody były po to, żeby rodzina nam nie przeszkadzała. Mogli się kręcić w przedniej części domu w tych swoich wymyślnych ubraniach, a za ich plecami odbywała się prawdziwa praca i nie potrzebowaliśmy, żeby nam przeszkadzali i wtrącali się we wszystko. Były to słabe i głupie, choć bogate stworzenia i większość z nich nie umiałyby rozpalić ognia, nawet gdyby im stopy marzły na kość, nie wiedzieli bowiem, jak to zrobić. Aż dziw, że potrafili wydmuchać nos czy podetrzeć sobie tyłek. Byli bezużyteczni jak kutas u księdza – pan wybaczy, ale Mary tak to właśnie ujęła – i gdyby stracili wszystkie swoje pieniądze i znaleźli się na ulicy, nie potrafiliby zarobić na życie jak uczciwa kurwa, bo nawet nie wiedzieliby, co się do czego

wkłada, i skończyliby – nie wymówię tego słowa – w rynsztoku. Większość z nich nie odróżniała własnej dupy od dziury w ziemi. Powiedziała też coś o kobietach, ale było to tak ordynarne, że nie śmiem powtórzyć, proszę pana, chociaż bardzo się z tego śmiałyśmy.

Powiedziała, że cała sztuka polega na tym, żeby wykonać swoją pracę tak, żeby nie było widać, że została zrobiona, a jeżeli ktoś cię przy tym zaskoczy, trzeba się po prostu usunąć. W końcu – mówiła – mamy nad nimi przewagę, bo pierzemy ich brudną bieliznę i dlatego dużo o nich wiemy, a oni nie piorą naszej, więc nie wiedzą o nas nic. Niewiele mogą ukryć przed służbą. Jeżeli kiedykolwiek miałabym zostać pokojówką, powiedziała, nauczyłabym się nosić kubły z ich nieczystościami, jakby to były bukiety róż, gdyż ci ludzie najbardziej nie cierpią, kiedy się im przypomina, że i oni mają ciała, a ich gówno cuchnie tak samo jak gówno innych, jeśli nie gorzej. A potem powiedziała wierszyk: „Gdzie był high life i bon ton, gdy Adam z Ewą robił rzecz złą?”.

Jak już mówiłam, proszę pana, Mary była szczerą młodą kobietą i nie przebierała w słowach. Miała też bardzo demokratyczne poglądy, do których przyzwyczaiałam się dopiero po jakimś czasie.

Na samej górze domu znajdował się wielki, podzielony na części strych. Trzeba było wejść na górę, przejść koło naszych pokojów i zejść innymi schodami, żeby trafić do suszarni. Cała obwieszona była linkami i miała kilka małych okien, które się otwierały pod okapem. Zimą i kiedy padał deszcz, suszyło się w niej pranie.

Z zasady nie prałyśmy, jeśli pogoda była brzydka, zwłaszcza latem: dzień mógł zacząć się ładnie, a potem niebo nagle się chmurzyło i zaczynało grzmieć i padać. Burze były bardzo gwałtowne, z głośnymi piorunami i wściekłymi błyskawicami, aż człowiekowi się wydawało, że nadchodzi koniec świata. Za pierwszym razem tak się przeraziłam, że wlałam pod stół i zaczęłam płakać, ale Mary powiedziała, że to nic takiego, zwykła burza. Potem jednak opowiedziała kilka historii o ludziach, którzy podczas burzy byli na polu albo w stodole i poraził ich piorun, a także o krowie, która stała pod drzewem.

Jeżeli wywiesiłyśmy pranie, a zaczynało kropić, pędziłyśmy co tchu z powrotem i czym prędzej zbierałyśmy pranie do koszy, a potem gnałyśmy po schodach i rozwieszałyśmy je w suszarni, gdyż z powodu wilgoci nie mogło zbyt długo leżeć w koszu. Uwielbiałam zapach prania suszącego się na świeżym powietrzu, był to piękny, świeży zapach. Suknie i koszule powiewające w słoneczny dzień na wietrze przypominały mi wielkie białe ptaki albo anioły radujące się, choć bez głów.

Kiedy jednak wieszałyśmy te same rzeczy w domu, w szarym półmroku suszarni, wyglądały zupełnie inaczej, jak blade duchy samych siebie, falujące i iskrzące się w ciemnościach. Ich widok, takich cichych i bezkształtnych, przyprawiał mnie o dreszcze. Mary, która była bardzo bystra w takich sprawach, szybko to zauważyła i zaczęła się chować za prześcieradłami, napierając na nie tak mocno, że po drugiej stronie pojawiały się rysy jej twarzy, i wydawać z siebie przeciągłe zawodzenie. Albo stawała za koszulą nocną i poruszała rękawami. Próbowwała mnie przestraszyć, co jej się zresztą

udawało, bo zawsze wtedy wrzeszczałam. Potem się ganiałyśmy między rzędami rozwieszonego prania, śmiejąc się i piszcząc, ale starając się nie robić tego zbyt głośno, a jeżeli ją złapałam, łaskotałam ją, bo zawsze była wrażliwa na łaskotki. Czasami przymierzałyśmy na ubranie gorsety pani Parkinson i przechadzałyśmy się z wypiętą piersią i zadartym nosem. Tak nas to wycieńczało, że w końcu upadałyśmy na plecy w kosze pełne bielizny i leżałyśmy tam, dysząc jak ryby, dopóki nie doszłyśmy do siebie.

Były to porywy młodości, które nie zawsze przybierały zbyt wyszukaną formę, jak z pewnością pan zauważył.

Pani Aldermanowa Parkinson miała więcej kołder, niż widziałam w życiu, gdyż po drugiej stronie oceanu nie cieszyły się popularnością, a drukowane bawełny nie były takie tanie i dostępne. Mary powiedziała, że dziewczyna nie uważa się za gotową do małżeństwa, jeżeli nie ma trzech kołder zrobionych własnymi rękami. Najwymyślniejsze z nich to były kołdry ślubne, na przykład „Rajska Jabłoń” i „Kosz Kwiatów”. Inne, na przykład „Daremny Trud” i „Puszka Pandory”, uszyte są z wielu kawałków i wymagają dużych umiejętności, a takie jak „Drewniana Chatka” i „Dziewięć Łat” są przeznaczone na co dzień i łatwo je zrobić. Mary nie zaczęła jeszcze robić swojej ślubnej kołdry, bo jako służąca nie miała czasu, ale skończyła już „Dziewięć Łat”.

Pewnego pięknego dnia w połowie września pani Honey powiedziała, że czas wyjąć zimowe kołdry i koce i przewietrzyć je, przygotowując na zimne dni, oraz naprawić rozdarcia. Powierzyła to zadanie mnie i Mary. Kołdry przechowywano na strychu, z dala od suszarni, żeby nie zawilgotniały, w cedrowej komodzie. Przełożone były muślinem i wystarczająco dużą ilością kamfory, by zabić kota, aż od tego zapachu kręciło mi się w głowie. Miałyśmy znieść je na dół, rozwiesić na sznurkach, wyszczotkować i sprawdzić, czy nie załęgły się w nich mole, gdyż niekiedy, pomimo cedrowego drewna i kamfory, mole się załęgają i kołdry miały w środku strzępki wełny zamiast bawełny.

Zimowe kołdry miały soczystsze kolory niż letnie, czerwień, oranż, błękit i fiolet, a na niektórych ponaszywano kawałki jed-wabiu, aksamitu i brokatu. Podczas tych lat spędzonych w więzieniu, ilekroć byłam sama, a zdarzało się to często, zamykałam oczy, zwracałam twarz ku słońcu i widziałam czerwienie i oranże tak kolorowe jak te kołdry. Kiedy wieszaliśmy je na sznurze, wyglądały jak flagi wywieszane przez armię, która idzie na wojnę.

Od tamtego czasu się zastanawiam, dlaczego kobiety szyją takie flagi i potem kładą je na łózkach. Dzięki nim łóżko jest pierwszą rzeczą, którą się spostrzega w pokoju. A potem mi przyszło do głowy, że to ostrzeżenie. Bo pan może sobie myśleć, że łóżko to takie spokojne miejsce, które dla pana oznacza odpoczynek i twardy sen. Ale nie dla każdego jest takie. W łóżku może się dziać wiele złego. To tam przychodzimy na świat, co jest pierwszym niebezpieczeństwem w naszym życiu; i tam kobiety rodzą dzieci, często przy tym umierając. Tam odbywa się akt między mężczyzną a kobietą, chyba pan wie, co mam na myśli. Niektórzy nazywają to miłością, inni niedołą albo przynajmniej niewygoda, którą muszą ścierpieć. I wreszcie łóżko to miejsce, w którym śpimy, śnimy i często umieramy.

Ale te myśli o kołdrach przyszły mi do głowy dopiero w więzieniu. Tam ma się dużo czasu na myślenie, a nikomu nie można opowiedzieć swoich myśli, więc opowiada się je sobie.

W tym momencie doktor Jordan prosi, żebym przerwała, tak by mógł trochę podgonić z pisaniem. Mówi, że bardzo go zainteresowało to, co właśnie powiedziałam. Cieszę się z tego, bo lubię mówić o tamtych czasach i gdybym mogła mieć jedno życzenie, to chciałabym, żeby trwały zawsze. Czekam więc i obserwuję jego rękę przesuającą się po papierze, myśląc, jakie to musi być przyjemne umieć tak szybko pisać, a tego można się nauczyć jedynie przez ćwiczenie – tak jak gry na pianinie. Zastanawiam się też, czy doktor ma ładny głos i wieczorem śpiewa z młodymi damami, podczas gdy ja siedzę zamknięta w swojej celi. Pewnie ma, skoro jest taki przystojny, miły i wolnego stanu.

– Tak więc, Grace – mówi, podnosząc wzrok – uważasz, że łóżko to niebezpieczne miejsce?

W jego głosie pojawia się jakaś inna nuta. Może w duchu śmieje się ze mnie. Nie powinnam tak otwarcie z nim rozmawiać i postanawiam, że już więcej nie będę, jeżeli ma zamiar do mnie mówić takim tonem.

– No, oczywiście nie za każdym razem, kiedy człowiek się kładzie, proszę pana – mówię. – Tylko w takich chwilach, o których wspomniałam. – Milknę i wracam do szycia.

– Czy w jakiś sposób cię uraziłem? – pyta. – Nie chciałem.

Przez jakiś czas szyję w milczeniu. Potem mówię:

– Zaufam panu i będę trzymać pana za słowo. Mam nadzieję, że to mi się opłaci.

– Oczywiście, oczywiście – mówi ciepło. – Proszę, opowiadaj dalej. Nie powinienem był przerywać.

– Na pewno nudzą pana takie rzeczy jak codzienne życie.

– Chcę usłyszeć wszystko, co masz mi do powiedzenia. Za drobnymi szczegółami często kryją się ważne rzeczy.

Nie jestem pewna, co ma na myśli, ale mówię dalej.

W końcu zniosłyśmy wszystkie kołdry, wywiesiłyśmy je na słońcu i omiotłyśmy. Dwie zabrałyśmy z powrotem do środka, żeby zaszyć rozdarcia. Poszłyśmy do pralni, gdzie było chłodniej niż na strychu. Stał tam duży stół, na którym mogłyśmy je rozłożyć.

Jedna z nich wyglądała bardzo dziwnie. Były na niej cztery szare donice z zielonymi wierzbami i biały gołąbek w każdym rogu. Przynajmniej tak mi się wydaje, że to miały być gołębie, chociaż bardziej przypominały kurczaki. Na środku czarną nicią było wyhaftowane żeńskie imię: Flora. Mary powiedziała, że to kołdra pamiątkowa, którą pani Parkinson uszyła na cześć swej zmarłej przyjaciółki, a wzór ten szybko stał się modny.

Inna kołdra nazywała się „Okna Na Strychu”. Składała się z wielu małych

kawałków. Jeżeli patrzyło się na nią z jednej strony, widziało się otwarte pudełko, z drugiej zaś – zamknięte. Zdaje się, że to były okna – otwarte i zamknięte. Tak samo jest ze wszystkimi kołdrami: można je oglądać z różnych stron i widzieć różne rzeczy, patrząc tylko na jasne lub ciemne fragmenty. Kiedy Mary wymieniła jej nazwę, źle usłyszałam i zrozumiałam „Wdowy Na Strychu”¹⁰. Powiedziałam, że to bardzo dziwna nazwa jak na kołdrę. Mary mnie poprawiła i znowu dostałyśmy ataku śmiechu, bo wyobraziłyśmy sobie strych pełen wdów, a wszystkie w czarnych wdowich sukniach, załamujące ręce i robiące smutne miny, piszące listy na czarno obramowanym papierze i ocierające oczy swymi czarno obramowanymi chusteczkami. Mary powiedziała: „A wszystkie pudła i skrzynie na strychu wypchane byłyby po brzegi kosmykami włosów ich ukochanych zmarłych mężów”. Ja zaś dodałam: „A ukochani zmarli mężowie pewnie też byłiby w skrzyniach”.

Tego było za wiele. Nie mogłyśmy przestać się śmiać, nawet kiedy usłyszałyśmy szcęknięcie kluczy pani Honey. Schowałyśmy twarze w kołdry i zanim drzwi się otworzyły, Mary już zdążyła się opanować, lecz ja dalej cała trzęsłam się ze śmiechu. Pani Honey spytała: „Co się dzieje, dziewczęta?”, a Mary wstała i odpowiedziała: „Pani Honey, Grace płacze po swej zmarłej matce”, a pani Honey na to: „W takim razie weź ją do kuchni i zrób filiżankę herbaty, ale nie marudźcie zbyt długo”. Dodała też, że młode dziewczęta są skore do płaczu, ale Mary nie powinna mi pobłażać i dawać się ponieść emocjom. Kiedy wyszła, padłyśmy sobie w ramiona i znowu zaniósł nas śmiech.

Pewnie pan sobie pomyśli, że to głupota z naszej strony tak się naśmiewać z wdów i że mając taką rodzinę, jaką miałam, bez matki, powinnam wiedzieć, że nie ma się z czego śmiać. Gdyby w pobliżu była jakaś wdowa, na pewno byśmy się tak nie zachowały, bo nie wolno naigrawać się z czyjegoś cierpienia, ale żadna wdowa nie mogła nas słyszeć, a my byłyśmy tylko młodymi dziewczynami, a młode dziewczęta są często głupiotki. Lepiej zresztą się pośmiać, niż wybuchnąć.

Potem pomyślałam o wdowach – o ich smutku, sposobie chodzenia i o wdowim groszu z Biblii, który my, służące, nierzadko oddawałyśmy ubogim ze swych skromnych zarobków. Pomyślałam też o tym, jak mężczyźni puszczają do siebie oko i kiwają głowami, kiedy mowa o młodej, bogatej wdowie, i o tym, że wdowę szanuje się tylko wtedy, gdy jest stara i biedna, ale nie odwrotnie. Dziwne.

We wrześniu pogoda była piękna jak w lecie. W październiku wiele drzew zmieniło barwę na czerwoną, żółtą i pomarańczową, zupełnie jakby płonęły. Nie mogłam się na nie napatrzeć. Pewnego popołudnia, już pod wieczór, kiedy razem z Mary zbierałyśmy prześcieradła ze sznurków, usłyszałyśmy dźwięk, jakby krzyczało jednocześnie kilka ochrypłych głosów, i Mary powiedziała:

– Zobacz, dzikie gęsi odlatują na zimę na południe. Jutro myśliwi pójną na polowanie.

Smutno mi się zrobiło na myśl, że te dzikie stworzenia niedługo zostaną zastrzelone.

Pewnej nocy pod koniec października przydarzyło mi się coś strasznego. Nie

mówiłabym panu o tym, gdyby nie to, że jest pan lekarzem, a lekarze wiedzą o takich rzeczach, więc nie będzie pan zaszokowany. Musiałam skorzystać z nocnika, bo byłam już w nocnej koszuli i szykowałam się do spania, więc nie chciałam wychodzić po ciemku na zewnątrz. Kiedy spojrzałam w dół, zobaczyłam krew, również na koszuli. Krwawiłam między nogami. Pomyślałam, że umieram, i wybuchnęłam płaczem.

Kiedy Mary weszła do pokoju i znalazła mnie w takim stanie, spytała: „Co się stało?”, a ja odpowiedziałam, że jestem bardzo chora i z pewnością umrę. Bolał mnie też brzuch, co wcześniej zignorowałam, myśląc, że to od świeżego chleba, bo akurat był dzień pieczenia. Teraz jednak przypomniała mi się matka i bóle brzucha, które doprowadziły do jej śmierci, więc zaczęłam płakać jeszcze bardziej.

Mary obejrzała mnie i muszę jej oddać, że mnie nie wyśmiała, tylko wszystko wytłumaczyła. Pewnie pana dziwi moja nieświadomość, zważywszy, ile dzieci urodziła moja matka, ale faktem jest, że choć wiedziałam, jak dzieci przychodzą na świat, a nawet skąd się biorą, gdyż wiele razy widziałam psy parzące się na ulicy, o tym jednak nie miałam pojęcia. Nie miałam żadnych przyjaciółek w moim wieku, od których mogłabym się czegoś dowiedzieć.

Mary powiedziała: „Od teraz jesteś kobietą”, co znowu pobudziło mnie do płaczu. Objęła mnie i zaczęła pocieszać, lepiej niż moja własna matka, która zawsze była albo zmęczona, albo zbyt zajęta, albo chora. Potem pożyczyła mi swoją czerwoną flanelową halkę, dopóki nie kupię sobie własnej, i pokazała, jak składać i przypinać materiał. Dodała też, że niektórzy nazywają to przekleństwem Ewy, ona jednak uważa, że to głupie i że prawdziwym przekleństwem Ewy było to, że musiała wytrzymać z Adamem, który, gdy tylko pojawiły się kłopoty, zwałił całą winę na nią. Powiedziała, że jeżeli ból się nasili, da mi do żucia korę wierzy, która pomaga na takie rzeczy, i podgrzeje na piecu cegłę owiniętą w ręcznik. Poczulałam dla niej ogromną wdzięczność, gdyż doprawdy okazała się niezawodną przyjaciółką.

Potem posadziła mnie i uczesała, co było bardzo przyjemne, po czym powiedziała:

– Grace, będziesz prawdziwą pięknoscią. Wkrótce zaczniesz zawracać mężczyznom w głowie. Najgorsi są dżentelmeni, którzy uważają, że mają prawo do wszystkiego, czego tylko zapragną. Kiedy wychodzisz nocą do wygodki, czyhają na ciebie pijani i nie ma gadania. Wtedy, jeśli trzeba, powinnaś kopnąć ich między nogi. Poza tym zawsze lepiej zamykać drzwi na klucz i korzystać z nocnika. Każdy mężczyzna ma tylko jedno w głowie. Zaczynają od obietnic, mówią, że uczynią wszystko, co chcesz, ale musisz uważać, o co prosisz, i nigdy nie robić dla nich nic, dopóki nie spełnią swojej obietnicy. Najpierw ślub w kościele, potem uciech wiele.

Spytałam ją naiwnie, dlaczego tak jest, a ona odparła, że dlatego, że mężczyźni z natury są kłamcami i powiedzą wszystko, żeby tylko dostać od ciebie to, czego chcą, po czym przesiadają się na inną łódkę. Wtedy zrozumiałam, że jesteśmy bohaterkami takiej samej historii, jaką ciotka Paulina opowiadała o mojej matce, pokiwałam mądrze głową i powiedziałam, że ma rację, choć wciąż nie byłam pewna, co Mary ma na myśli. Znowu mnie przytuliła i powiedziała, że jestem dobrą dziewczynką.

Nocą 31 października, kiedy, jak pan wie, wypada wigilia Wszystkich Świętych i kiedy duchy zmarłych podobno przychodzą z grobów – chociaż moim zdaniem to tylko przesąd – tej to nocy Mary przysłała do naszego pokoju, chowając coś w fartuszk.

– Zobacz – powiedziała – przyniosłam cztery jabłka, wyżebrałam je u kucharki.

O tej porze roku jabłek było dostatek i w piwnicy stały już ich całe beczki.

– Och – powiedziałam – są dla nas?

A ona odparła:

– Zjemy je później, ale tej nocy możesz się dowiedzieć, kogo poślubisz.

Przyniosła cztery jabłka, więc każda z nas miała po dwie szanse.

Pokazała mi nożyk, który również dostała od kucharki, a przynajmniej tak twierdziła. Prawdą jest, że niekiedy brała rzeczy bez pytania, co mnie denerwowało. Twierdziła, że jeżeli potem odkłada się je na miejsce, nie jest to kradzież. Czasami jednak nie robiła i tego. Z biblioteki, gdzie było pięć egzemplarzy *Pani Jeziora* sir Waltera Scotta, wzięła jeden i czytała mi go na głos. Miała też całą kolekcję końcówek świec, które po jednej wynosiła z jadalni i trzymała ukryte pod obluzowaną deską w podłodze. Gdyby wzięła je za zgodą, nie chowałaby ich. Miałyśmy własną świecę, przy której rozbierałyśmy się przed nocą, ale pani Honey kazała nam używać jej oszczędnie. Jedna świeczka miała nam starczyć na tydzień, a to oznaczało mniej światła, niżby chciała Mary. Zdobyła też trochę zapalek, które również trzymała w ukryciu, kiedy więc dla oszczędności gasiłyśmy naszą oficjalną świecę, w każdej chwili mogła sobie zapalić inną. Zdążyła już wypalić dwa ogarki.

– Masz tu nóż i jabłko – powiedziała. – Musisz zdjąć z niego skórkę w jednym długim kawałku, a potem, nie oglądając się za siebie, rzucić przez lewe ramię. Ułoży się w pierwszą literę imienia mężczyzny, którego poślubisz, a dziś w nocy on ci się przyśni.

Byłam jeszcze za młoda, żeby myśleć o zamążpójściu, ale Mary mówiła o tym bez przerwy. Kiedy zaoszczędzi ze swoich zarobków wystarczająco dużo, zamierza wyjść za jakiegoś miłego farmera z porządnym gospodarstwem. Jeśli zaś takiego nie znajdzie, rozejrzy się za jakimś z drewnianym domem, a murowany zbudują później. Wiedziała nawet, jakie kury i krowę będą mieć – myślała o biało-czerwonych Leghornach i krowie rasy Jersey, żeby przerabiać mleko na śmietanę i ser, od których, jak twierdziła, nie ma nic smaczniejszego.

Wzięłam więc jabłko i obrałam je, zdejmując skórkę w jednym kawałku. Potem rzuciłam ją za siebie i spojrzaliśmy, gdzie upadła. Trudno było określić, gdzie jest góra, a gdzie dół, ale w końcu zdecydowałyśmy, że to „J”. Mary zaczęła się śmiać i wymieniać znajomych jej mężczyzn, których imiona zaczynały się na „J”. W końcu orzekła, że wyjdę za Jima ze stajni, który miał zeza i straszliwie śmierdział, albo za domokrażcę Jeremiasza, który wprawdzie był o wiele przystojniejszy, ale musiałabym z nim jeździć po całym kraju i nie miałabym domu, tylko cały dobytek nosiłabym na plecach jak ślimak. Powiedziała też, że trzy razy przekroczę wodę, zanim się to stanie, a ja odparłam, że to sobie wymyśliła. Uśmiechnęła się, bo zgadłam, że mnie nabiera.

Potem przysłała jej kolej i Mary zaczęła obierać jabłko. Jednak skórka na pierwszym jabłku przerwała się, na drugim także. Dałam jej to, które mi zostało, ale była tak zdenerwowana, że jak tylko zaczęła, przecięła je niemal na pół. Wtedy zaczęła się

śmiać i powiedziała, że to tylko głupie bajdy starych mężatek, i zjadła trzecie jabłko, zaś dwa pozostałe odłożyła na parapet na rano. Potem znowu zaczęliśmy się śmiać z gorsetów pani Parkinson, ale Mary mimo całego tego rozbawienia była w głębi zmartwiona.

Kiedy się położyliśmy, czułam, że Mary nie śpi, tylko leży koło mnie na plecach i patrzy w sufit, a gdy w końcu usnęłam, wcale nie przyśnił mi się żaden mąż. Śniłam natomiast o mojej matce owiniętej w prześcieradło i unoszącej się na zimnej niebieskozielonej wodzie. Prześcieradło zaczęło się rozchyłać i powiewać niczym na wietrze. Włosy matki rozsypały się na wodzie jak wodorosty. Zakrywały też jej twarz, więc jej nie widziałam i wtedy sobie uświadomiłam, że to wcale nie jest moja matka, tylko jakaś obca kobieta i że wcale nie jest ona martwa, lecz żywa.

Ze strachu obudziłam się z szybko bijącym sercem, cała pokryta potem. Mary spała, oddychając głęboko. Wstawał szaroróżowy świt. Koguty już zaczynały piąć i wszystko było jak zwykle. Poczułam się więc lepiej.

10 Gra słów: *windows* – okna, *widows* – wdowy (przyp. tłum.).

Tak zleciał listopad, kiedy to liście spadają z drzew i wcześniej robi się ciemno, jest ponuro i szaro i pada rześisty deszcz. Potem przyszedł grudzień, ziemia zamarzła na kamień i zaczęły się zamiecie. Na naszym poddaszu było teraz bardzo zimno, zwłaszcza rano, kiedy musiałyśmy wstawać po ciemku i stawiać bose stopy na lodowato zimne deski podłogi. Mary powiedziała, że jak będzie miała własny dom, koło każdego łóżka położy pleciony dywan i sprawi sobie parę ciepłych kapci. Brałyśmy ze sobą ubrania do łóżka, żeby je ogrzać przed włożeniem, i ubierałyśmy się pod kołdrą, a w nocy grzałyśmy cegły na piecu, owijałyśmy je we flanelę i kładłyśmy do łóżka, żeby nam palce u nóg nie zamarzły na kość. Woda w misce była tak zimna, że przy myciu rąk czuło się dotkliwy ból. Cieszyłam się, że śpimy we dwie.

Mary jednak mówiła, że to jeszcze nic, że prawdziwa zima jeszcze nie przyszła i że zrobi się o wiele zimniej. Jedyna dobra strona tego jest taka, że trzeba palić w kominku. Lepiej było być służącą, przynajmniej za dnia, bo zawsze mogłyśmy ogrzać się w kuchni, podczas gdy w bawialni wiatr hulał jak w stodole i nie można się było ogrzać od ognia na kominku, chyba że się stanęło tuż obok. Pani Parkinson, kiedy zostawała sama w tym pokoju, podnosiła spódnice przed kominkiem, żeby ogrzać sobie tyłek. Rok wcześniej w ten sposób podpałała sobie halkę. Pokojówka Agnes usłyszała jej krzyk i kiedy przybiegła, z przerażenia nieomal wpadła w histerię. Jim ze stajni zarzucił na panią Parkinson koc i potoczył ją po podłodze jak beczkę. Na szczęście się nie poparzyła, tylko trochę osmałała sobie włosy.

W połowie grudnia ojciec wysłał moją biedną siostrę Katey, żeby wyżebrała u mnie więcej pieniędzy. Sam wolał nie przychodzić. Było mi żal Katey, gdyż cały ciężar, który kiedyś ja dźwigałam, spadł teraz na nią. Wzięłam ją do kuchni, ogrzałam przy piecu i poprosiłam kucharkę o kawałek chleba, ale powiedziała, że nie zamierza karmić wszystkich głodujących sierot w mieście, jednak mi go dała. Katey rozplakała się i powiedziała, że chciałyby, żebym znowu była w domu. Dałam jej ćwierć dolara i przykazałam, żeby powiedziała ojcu, że miałam tylko tyle – co, muszę stwierdzić z przykrością, było kłamstwem – ale doszłam do wniosku, że nie winnam mu prawdy. Dałam jej dziesięć centów, żeby miała dla siebie, i kazałam trzymać je na czarną godzinę, chociaż ta już nadeszła. Oddałam jej też swoją halkę, z której zdążyłam wyrosnąć.

Powiedziała, że ojciec nie znalazł żadnej stałej pracy, tylko dorywcze zajęcia, ale miał w planach wyjechać tej zimy na północ na wyrąb drzew. Słyszał też o wolnej ziemi gdzieś na zachodzie i zamierzał pojechać tam wraz z nastaniem wiosny. Co zresztą zrobił – dość niespodzianie, gdyż pojawiła się u mnie pani Burt z wiadomością, że mój ojciec wyjechał, nie płacąc ani grosza za czynsz. Początkowo chciała, żebym ją pokryła ten dług, ale Mary jej powiedziała, że nie może mnie zmusić do spłacenia długu zaciągniętego przez dorosłego mężczyznę. Pani Burt nie była złą kobietą i w końcu przyznała, że to nie moja wina.

Nie wiem, co się stało z ojcem i rodzeństwem. Nigdy nie dostałam od nich listu,

nie miałam też żadnych wiadomości w czasie mojego procesu.

Kiedy zbliżały się święta Bożego Narodzenia, wszystkim zrobiło się różniej na duszy. Ogień na kominkach buchał silniej, a ze sklepu przychodziły kosze z jedzeniem: ogromne kawały wołowiny i wieprzowiny od rzeźnika, które miały być upieczone w całości. W kuchni trwały przygotowania. Mary i ja zostałyśmy wezwane z pralni do pomocy w kuchni, gdzie ciągle coś ucierałyśmy i mieszałyśmy, obierałyśmy i kroiliśmy jabłka, przebierałyśmy rodzyнки i porzeczki, siekałyśmy gałkę muszkatołową i ubijałyśmy jajka. Bardzo nam się to podobało, bo mogłyśmy wszystkiego spróbować i uszczknąć dla siebie nieco cukru. Kucharka niczego nie zauważała i nic nie mówiła, gdyż głowę miała zaprzątniętą czym innym.

To Mary i ja zrobiłyśmy kruche spody do wszystkich pasztecików z mięsem, lecz kucharka zrobiła górę, twierdząc, że jest to sztuka i my jesteśmy na to jeszcze za młode. Wycinała z nich gwiazdki i inne wymyślne kształty. Pozwoliła nam rozwinąć świąteczne ciasta z warstw muślinu, polać je brandy i whisky i potem zawinąć z powrotem. Ich zapach to jedna z najpiękniejszych rzeczy, jakie pamiętam.

Potrzeba było wiele placków i ciast, gdyż nadeszła pora wizyt, kolacji, przyjęć i balów. Dwóch synów państwa przyjechało na święta ze szkoły, z Harvardu w Bostonie. Nazywali się panicz George i panicz Richard i obaj byli dość wysocy i przyjemnie wyglądający. Nie zwracałam na nich zbyt uwagi, gdyż dla mnie oznaczali jedynie więcej prania, dużo więcej koszul do wykrochmalenia i uprasowania, ale Mary ciągle wyglądała przez okno na podwórze, żeby ich zobaczyć jeżdżących na koniach, albo podsłuchiwała w korytarzu, jak śpiewają w duecie z zaproszonymi damami. Lubiła zwłaszcza „Różę z Tralee”, bo padało tam jej imię: *Och, gdy prawdę dojrzał w jej jasnych oczętach, pokochałem Mary, Różę z Tralee*. Sama miała dobry głos i znała na pamięć wiele pieśni. Niekiedy panicze wpadali do kuchni i prosili, żeby im zaśpiewała. Nazywała ich małymi nicponiami, choć obaj byli o kilka lat starsi od niej.

W dzień Bożego Narodzenia Mary podarowała mi parę ciepłych mitenek, które sama zrobiła na drutach. Widziałam, jak je robiła, ale była bardzo przebiegła i mówiła, że są dla jednej z jej młodych przyjaciółek. Nigdy by mi nie przyszło do głowy, że tą przyjaciółką mogę być ja. Były w pięknym ciemnoniebieskim kolorze i miały wyhaftowane czerwone kwiaty. Ja natomiast dałam jej sakiewkę na igły, którą zrobiłam z pięciu kwadracików czerwonej flaneli, zszytych i zawiązywanych u góry na dwie wstążki. Mary podziękowała mi, przytuliła i pocałowała, mówiąc, że to najładniejsza sakiewka na igły na świecie, że nigdy nie znalazłaby czegoś takiego w sklepie i że strzec jej będzie jak oka w głowie.

Tego dnia padał gęsty śnieg i ludzie jeździli saniami ciągniętymi przez konie obwieszane dzwoneczkami, które bardzo ładnie dźwięczały. Kiedy rodzina zjadła swój świąteczny obiad, służba zjadła swój. Mieliśmy i indyka, i paszteciki z mięsem, zaśpiewaliśmy parę kolęd i bardzo się cieszyliśmy.

To były najszczęśliwsze święta Bożego Narodzenia, jakie kiedykolwiek miałam – wcześniej czy później.

Panicz Richard po świętach wrócił do szkoły, ale panicz George został w domu. Złapał przeziębienie, które przerzuciło mu się na płuca i bardzo kasłał. Państwo Parkinson chodzili z bardzo smutnymi minami. Wezwali lekarza, co mnie przestraszyło. Okazało się jednak, że panicz nie ma suchot, tylko poważne przeziębienie i lumbago i że powinien mieć dużo spokoju i pić gorące napoje. Nie zabrakło mu ani tego, ani tego, jako że był ulubieńcem służby. Mary rozgrzała na piecu żelazną gałkę, która miała być najlepszym lekarstwem na lumbago, jeśli się ją przyłożyło na bolące miejsce.

Zanim wydobrzeał, zrobiła się połowa lutego i stracił tak dużo zajęć, że postanowił zostać w domu do następnego semestru. Pani Parkinson się zgodziła i stwierdziła, że powinien się wzmocnić. Tak więc siedział w domu, kaprysząc z byle powodu, nie mając nic do roboty, co nie jest dobre dla młodego mężczyzny w pełni sił. Nie brakowało przyjęć i dziewcząt oraz ich matek, które bez jego wiedzy planowały ślub. Moim zdaniem za bardzo był rozpieszczany. Niestety, jeżeli świat traktuje cię dobrze, zacznasz wierzyć, że na to zasługujesz.

Mary powiedziała prawdę o zimie. Podczas świąt często padał śnieg, lecz był jak koc zrobiony z pierza, a kiedy spadł, powietrze wydawało się cieplejsze. Stajenni dla zabawy obrzucali się śnieżkami, ale były tak miękkie, że przy uderzeniu się rozpadały.

Wkrótce jednak zapanowała prawdziwa zima i śnieg zaczął walić grubymi płatami. Tym razem nie były miękkie, lecz twarde jak małe kulki lodu, i przywiewał je ostry wiatr. Bałam się, że nas pogrzebie żywcem. Na dachu rosły sople i przechodząc, należało uważać, bo były bardzo ostre i spiczaste. Mary słyszała o kobiecie, którą zabił taki sopel; przeszedł przez jej ciało jak szpikulec. Jednego dnia padał deszcz ze śniegiem, który pokrywał gałęzie drzew warstwą lodu, a następnego iskrzyły się w słońcu tysiącem diamencików. Drzewa były tak obciążone, że łamały się gałęzie. Cały świat był twardy i biały, a kiedy świeciło słońce, stawało się tak oślepiające, że trzeba było osłaniać oczy i nie dało się zbyt długo na nie patrzeć.

Jak najwięcej czasu starałyśmy się spędzać w domu, gdyż istniało niebezpieczeństwo odmrożenia, zwłaszcza palców u rąk i nóg. Ludzie chodzili z szalikami obwiązanymi wokół uszu i nosów, a z ich ust wydobywały się kłęby pary. Państwo wykładali sobie sanie futrami, okrywali pledami i jechali z wizytą, lecz my nie miałyśmy takich ciepłych ubrań. W nocy kładłyśmy na kołdrę szale, ale i tak nie było nam ciepło. Do rana ogień wygasał, nasze nagrzane cegły stygły i drżałyśmy z zimna jak króliki.

Ostatniego dnia lutego pogoda nieco się poprawiła, więc odważyłyśmy się wybrać po sprawunki, przedtem otuliwszy stopy flanelą, na którą włożyłyśmy wysokie buty, które wyzebrałyśmy od stajennych. Owinęłyśmy się tyłoma szalami, ile tylko udało się nam znaleźć lub pożyczyć i poszłyśmy aż do portu. Woda była całkiem zamrznięta, przy brzegu piętrzyły się ogromne bryły lodu, a na odśnieżonym poletku na łyżwach jeździli panowie i panie. Poruszali się z wielką gracją. Damy wyglądały, jakby jeździły na

kólkach ukrytych pod sukniami. Powiedziałam Mary, że to musi być cudowne uczucie. Był tam i panicz George. Ślizgał się po lodzie za rękę z jakąś młodą damą w futrzanej etoli. Kiedy nas dostrzegł, zamachał radośnie. Spytałam Mary, czy kiedykolwiek jeździła na łyżwach, a ona odparła, że nie.

Mniej więcej w tym czasie zaczęłam dostrzegać w Mary jakąś zmianę. Często późno przychodziła do łóżka, a kiedy już przyszła, nie chciała rozmawiać. Nie słyszała, co do niej mówię, wyglądała, jakby słuchała czegoś innego. Ciągle wyglądała na korytarz lub przez okno albo spoglądała mi przez ramię. Pewnej nocy, kiedy myślała, że śpię, zobaczyłam, że chowa coś w chusteczce pod oblużowaną deską, gdzie trzymała ogarki i zapalki. Następnego dnia tam zajrzałam i okazało się, że to złoty pierścionek. Moją pierwszą myślą było, że go ukradła, a nigdy przedtem nie kradła takich rzeczy. Kiepsko by z nią było, gdyby ją złapano, chociaż w domu nie mówiło się o żadnym zaginionym pierścionku.

Nie śmiała się i nie żartowała jak wcześniej, przestała się przykładać do pracy i zaczęłam się o nią martwić. Kiedy jednak ją wypytywałam, czy ma jakieś kłopoty, śmiała się, skąd mi coś takiego przyszło do głowy. Zmienił się nawet jej zapach – z gałki muszkatołowej na soloną rybę.

Śnieg i lód powoli topniały i wróciło trochę ptaków, które zaczynały śpiewać, wiedziałam więc, że wkrótce nastanie wiosna. Pewnego dnia pod koniec marca, kiedy wносиłyśmy po schodach czyste pranie, żeby powiesić je w suszarni, Mary powiedziała, że jest chora, i zbiegła na dół na tylne podwórko. Odstawiłam kosz i poszłam za nią – tak jak stałam, bez szala. Znalazłam ją klęczącą na mokrym śniegu koło wychodka, do którego nie zdążyła dobiec. Chwyciły ją gwałtowne mdłości.

Pomogłam jej wstać. Czoło miała wilgotne i zimne. Powiedziałam, że powinna się położyć, ale rozzłościła się i odparła, że na pewno coś z jedzenia jej zaszkodziło, pewnie wczorajszy gulasz jagnięcy. Obie jednak jadłyśmy to samo, a ja czułam się doskonale. Kazała mi przyrzec, że nikomu o tym nie powiem, kiedy jednak to samo zdarzyło się parę dni później, przestraszyłam się nie na żarty. Nieraz widziałam matkę w takim stanie i dobrze znałam ten mleczny zapach. Zrozumiałam, co dolega Mary.

Przemyślałam wszystko dokładnie i pod koniec kwietnia powiedziałam jej o tym, przyrzekając uroczyście, że jeśli mi się zwierzy, nikomu nie wygadam. Wierzyłam, że bardzo potrzebuje komuś się zwierzyć. W nocy spała niespokojnie, rano miała pod oczami ciemne kręgi i wyglądała na zmęczoną swoją tajemnicą. Wtedy załamała się, zaczęła płakać i powiedziała, że moje podejrzenia są słuszne, że ten mężczyzna obiecał, że się z nią ożeni, i nawet dał jej pierścionek. Uwierzyła mu i myślała, że nie jest taki jak inni mężczyźni, on jednak nie dotrzymał słowa i teraz nie chciał z nią rozmawiać. Była zrozpaczona i nie wiedziała, co robić.

Spytałam ją, kim jest ten mężczyzna, ale nie chciała mi zdradzić. Powiedziała, że gdy tylko się wyda, w jakie kłopoty się wpakowała, zostanie odprawiona, bo pani Parkinson ma bardzo surowe zasady. Co się wtedy z nią stanie? Inne dziewczyny na jej miejscu wróciłyby do swojej rodziny, ale ona jej nie miała. Żaden porządny mężczyzna

się teraz z nią nie ożeni, będzie musiała iść na ulicę i zostać marynarską dziwką, bo inaczej nie wykarmi siebie i dziecka. A takie życie oznacza rychły koniec.

Bardzo się o nią martwiłam, a także o siebie, gdyż była moją najszczerszą, a zarazem jedyną przyjaciółką, jaką kiedykolwiek miałam. Pocieszałam ją najlepiej, jak umiałam, ale nie wiedziałam, co powiedzieć.

Przez cały maj często rozmawialiśmy o tym, co Mary powinna zrobić. Powiedziałam, że musi być jakiś zakład, gdzie mogliby ją przyjąć, ale Mary odparła, że nie zna żadnego, a nawet jeśli, to młode dziewczęta zawsze umierają w takich miejscach, bo dostają gorączki zaraz po porodzie. Wierzyła też, że noworodki są tam potajemnie duszone, żeby nie musiały żyć na koszt społeczeństwa. Zastanawialiśmy się nad porodem w domu, w tajemnicy, i oddaniu dziecka jako sieroty, ale Mary powiedziała, że wkrótce jej stan będzie widoczny, a pani Honey ma przenikliwy wzrok i już zdążyła zauważyć, że Mary się zaokrągliła, nie ma więc szansy na długie ukrywanie ciąży.

Powiedziałam, że powinna przynajmniej spróbować porozmawiać z tamtym mężczyzną i odwołać się do jego dobroci. I zrobiła tak, lecz kiedy wróciła z rozmowy – która musiała się odbyć niedaleko, gdyż krótko była nieobecna – pałała jeszcze większą wściekłością niż przedtem. Powiedziała, że dał jej pięć dolarów, a kiedy go spytała, czy to dziecko jest dla niego warte tylko tyle, odparł, że nie złapie go w ten sposób i że wątpi, czy to w ogóle jego dziecko, bo skoro była tak powolna jemu, to podejrzewa, że ulegała i innym. Jeżeli zagrozi mu skandalem albo pójdzie do jego rodziny, on wszystkiego się wyprze i zrujnuje tę resztkę reputacji, jaka jej jeszcze została. Jeśli zaś pragnie szybko pozbyć się kłopotu, zawsze może się utopić.

Przyznała się, że kiedyś szczerze go kochała, ale już nie kocha. Rzuciła te pięć dolarów na podłogę i przez godzinę płakała rozdzierająco. Potem jednak zauważyłam, że pieczołowicie schowała pieniądze pod obłuzowaną deskę.

Następnej niedzieli oświadczyła, że nie pójdzie do kościoła, tylko na spacer. Po powrocie powiedziała, że poszła do portu z postanowieniem, żeby się rzucić do Jeziora i położyć kres swemu życiu. Ze łzami w oczach zaczęłam ją błagać, żeby nie robiła czegoś tak straszego.

Dwa dni później powiedziała, że była na Lombard Street i usłyszała tam o lekarzu, który mógłby jej pomóc. Był to lekarz, do którego chodziły kurwy, gdy tego potrzebowały. Kiedy spytałam ją, jak miałyby jej pomóc, odparła, że nie powinnam pytać. Nie wiedziałam dlaczego, gdyż nigdy przedtem nie słyszałam o takich lekarzach. Spytała, czy pożyczylabym jej swoje oszczędności, które w tamtym czasie wynosiły aż trzy dolary i które zamierzałam przeznaczyć na nową letnią sukienkę. Odparłam, że pożyczę jej z całego serca.

Wtedy wyjęła kartkę, którą wzięła z biblioteki na dole, pióro i atrament i napisała: *Jeżeli umrę, wszystkie moje rzeczy proszę oddać Grace Marks.* Podpisała się i powiedziała:

– Może niedługo umrę, ale ty będziesz żyła. – I spojrzała na mnie zimnym, pełnym urazy wzrokiem, jakim często patrzyła na innych, ale nigdy na mnie.

To mnie bardzo przstraszyło. Chwyciłam ją za rękę i zaczęłam błagać, żeby nie szła do tego lekarza, kimkolwiek on był. Odparła jednak, że musi, a ja mam przestać, odłożyć po cichu pióro i atrament na biurko w bibliotece i wracać do swoich obowiązków. Jutro wykradnie się po posiłku w połowie dnia, a ja mam mówić, że po prostu poszła do wychodka albo że jest w suszarni, albo cokolwiek innego. Potem mam się wysliznąć i dołączyć do niej, bo może mieć trudności z powrotem do domu.

Żadna z nas nie spała dobrze tej nocy. Nazajutrz Mary zrobiła tak, jak planowała, i udało jej się niezauważenie wymknąć z domu z pieniędzmi zasupłanymi w chusteczce. Wkrótce potem poszłam za nią i dogoniłam ją. Lekarz mieszkał w dużym domu, w dobrej dzielnicy. Najpierw przeliczył pieniądze. Był to potężny mężczyzna w czarnym surducie. Patrzył na nas bardzo surowo. Kazał mi zaczekać w pomywalni, po czym powiedział, że jeżeli się przed kimś wygamam, zaprzeczy, że mnie kiedykolwiek widział. Potem zdjął surdut, powiesił go na wieszaku i zaczął podwijać rękawy, jakby szykował się do walki.

Był, proszę pana, bardzo podobny do tego doktora mierzącego głowy, który mnie tak przstraszył, zanim pan przyszedł.

Mary poszła za nim z twarzą białą jak prześcieradło. Potem usłyszałam krzyk, płacz i po kilku chwilach lekarz wepchnął ją do pomywalni. Jej sukienka była cała wilgotna i oblepiała jej ciało jak mokry bandaż. Mary ledwie trzymała się na nogach. Objęłam ją i pomagając jej najlepiej jak potrafiłam, zabrałam z tego miejsca.

Kiedy doszliśmy do domu, była zgięta w pół i oburącz trzymała się za brzuch. Poprosiła mnie, żebym jej pomogła wejść na górę. Wyglądała na bardzo słabą. Ubrałam ją w nocną koszulę i położyłam do łóżka. Między nogi wsadziła sobie zmiętą halkę. Spytałam, co się stało, a ona powiedziała, że lekarz wsadził jej nóż i przeciął coś w środku. Ostrzegł, że będzie ból i krwawienie, które może potrwać kilka godzin, ale potem Mary poczuje się lepiej. Podała mu fałszywe nazwisko.

Zaczęło mi świtać w głowie, że lekarz wyciął z niej dziecko, co dla mnie było czymś okropnym, ale pomyślałam też, że inaczej byłyby dwa trupy, gdyż Mary z pewnością by się utopiła. Nie mogłam więc jej potępić.

Cierpiała straszliwie. Wieczorem rozgrzałam cegłę i zaniiosłam ją na górę. Nie pozwoliła jednak, żebym kogoś przyprowadziła. Powiedziałam, że będę spać na podłodze, bo tak będzie wygodniej. Oświadczyła, że jestem najlepszą przyjaciółką, jaką kiedykolwiek miała, i że cokolwiek by się stało, nigdy mnie nie zapomni. Owinęłam się szalem, pod głowę podłożyłam sobie zwinięty fartuch i położyłam się na podłodze. Było mi bardzo twardo, a z powodu jęków Mary początkowo nie mogłam usnąć. Po jakimś czasie jęki ucichły, usnęłam i obudziłam się dopiero o świcie. Wtedy zaś ujrzałam Mary martwą w łóżku, z oczami szeroko otwartymi i wpatrzonymi w sufit.

Dotknęłam jej, ale była zimna. Stałam przez chwilę otępiała ze strachu, lecz potem obróciłam się na pięcie, pobiegłam przez korytarz i obudziłam pokojówkę Agnes. Płacząc, padłam jej w ramiona, a ona spytała, co się stało. Nie mogłam wydusić z siebie ani słowa, tylko wzięłam ją za rękę i zaprowadziłam do naszego pokoju, do Mary. Agnes potrząsnęła ją za ramię i powiedziała:

– Na miłość boską, ona nie żyje.

– Och, Agnes, co ja teraz zrobię? – spytałam. – Nie wiedziałam, że ona umrze, a teraz cała wina spadnie na mnie, za to, że wcześniej nie powiedziałam, że jest chora. Kazała mi przysiąc, że nikomu nie powiem. – Szlochałam i załamywałam ręce.

Agnes podniosła kołdrę i zajrzała pod spód. Nocna koszula i halka Mary przesiąkły krwią, prześcieradło też było całe czerwone, i brązowe tam, gdzie krew zaschła. Agnes powiedziała, że to kiepska sprawa i kazała mi zostać, a sama poszła po panią Honey. Nasłuchiwałam jej kroków i miałam wrażenie, że nie było jej bardzo długo.

Usiadłam na krześle i spojrzałam na twarz Mary. Miała otwarte oczy i czułam, że na mnie patrzy. Wydawało mi się, że się poruszyła, więc spytałam:

– Mary, udajesz? – Bo ona często udawała, że nie żyje, chowała się za prześcieradłami, żeby mnie przestraszyć. Ona jednak nie udawała.

Usłyszałam kroki dwóch osób śpieszących korytarzem i przepelnił mnie lęk. Wstałam. Do pokoju weszła pani Honey. Nie wyglądała na zasmuconą, lecz na złą, a także pełną odrazy, jakby poczuła brzydki zapach. W pokoju rzeczywiście unosił się jakiś zapach: był to zapach mokrej słomy z siennika i słony zapach krwi. Podobnie pachnie u rzeźnika.

– To skandal i hańba – rzekła pani Honey. – Muszę iść powiedzieć pani Parkinson. Zaczekałyśmy, a kiedy pani Parkinson przyszła, powiedziała:

– Pod moim dachem! Co za fałszywa dziewucha! – I patrzyła prosto na mnie, chociaż mówiła o Mary. Potem spytała: – Dlaczego mnie o tym nie poinformowałaś, Grace?

A ja odparłam:

– Mary prosiła, żebym nikomu nie mówiła, psze pani. Mówiła, że rano poczuje się lepiej. Nie wiedziałam, że umrze! – I zaczęłam płakać.

Agnes, która była bardzo pobożna, powiedziała:

– Ceną grzechu jest śmierć.

– Bardzo źle postąpiłaś – stwierdziła pani Parkinson.

– To jeszcze dziecko – zauważyła Agnes. – Jest bardzo posłuszna, robi, co jej się każe.

Myślałam, że pani Parkinson zbeszta ją za wtrącanie się, ale nie zrobiła tego. Ujęła mnie delikatnie za ramię, spojrzała mi w oczy i spytała:

– Kim był ten mężczyzna? Powinno się wydać tego drania, żeby zapłacił za swoją zbrodnię. Pewnie to jakiś marynarz z portu. Oni mają nie większe sumienie niż wesz. Czy wiesz, kto to, Grace?

Odparłam, że Mary nie znała żadnych marynarzy. Spotykała się z dżentelmenem i byli zaręczeni. Tylko że on złamał obietnicę i nie chciał się z nią ożenić.

– Kim był ten dżentelmen? – spytała ostro pani Parkinson.

– Proszę, ja nic nie wiem. Powiedziała tylko, że wcale by się to pani nie spodobało, gdyby się pani dowiedziała.

Mary tego nie powiedziała, ale miałam własne podejrzenia.

Na te słowa pani Parkinson się zamyśliła i zaczęła chodzić po pokoju. Potem rzekła:

– Agnes i Grace, nie będziemy już o tym rozmawiać, bo z tego wyniknie jeszcze

więcej nieszczęścia, a nie ma co płakać nad rozlanym mlekiem. Z szacunku dla zmarłej nie wyjawimy, jaka była przyczyna jej śmierci. Powiemy, że dostała wysokiej gorączki. Tak będzie najlepiej dla wszystkich.

Spojrzała na nas bardzo surowo, a my dygnęłyśmy. Przez cały ten czas Mary leżała na łóżku, słuchając, jak zamierzamy opowiadać kłamstwa na jej temat, i pomyślałam: – Nie spodoba jej się to”.

Nie wspomniałam nic o lekarzu, a one nie pytały. Może nawet nie wzięły czegoś takiego pod uwagę. Pewnie myślały, że straciła dziecko, jak to często zdarza się kobietom. Panu pierwszemu powiedziałam o tym lekarzu, a jestem święcie przekonana, że to on ją zabił tym swoim nożem – on i tamten dżentelmen. Bo nie zawsze prawdziwym mordercą jest ten, kto zadaje cios. Mary umarła przez tego nieznanego dżentelmena, zupełnie jakby wziął nóż i zatopił go w jej ciele.

Pani Parkinson wyszła z pokoju, a po chwili wróciła pani Honey i powiedziała, że mamy zdjąć prześcieradło, nocną koszulę i halkę Mary i sprać z nich krew, a także umyć ciało i spalić siennik. W miejscu, gdzie przechowywało się kołdry, była zapasowa poszwa na siennik, którą miałyśmy wypchać słomą. Pani Honey spytała, czy Mary miała jakąś koszulę na zmianę, lecz ta była w praniu. Powiedziałam więc, że dam swoją. Zabroniła nam mówić komukolwiek o śmierci Mary, zanim doprowadzimy ją do porządku, przykryjemy kołdrą, zamkniemy jej oczy, uczeszymy i umyjemy. Potem wyszła z pokoju, a my zrobiłyśmy, co kazała. Z łatwością uniosłyśmy Mary, lecz miałyśmy trudności z przebraniem jej.

Agnes powiedziała:

– Za tym coś się kryje. Ciekawa jestem, kim był ten mężczyzna. – I spojrzała na mnie.

– Kimkolwiek jest – odparłam – na pewno ma się dobrze, właśnie je z apetytem śniadanie i nie więcej myśli o Mary, niż gdyby była kawałkiem mięsa wiszącym na haku u rzeźnika.

– To przekleństwo Ewy, które wszystkie musimy znosić – stwierdziła Agnes, a ja pomyślałam, że Mary by to wyśmiała. I w tej chwili usłyszałam jej głos – bardzo wyraźnie, tuż przy uchu: *Wpuść mnie*. Przestraszyłam się i spojrzałam na Mary, która leżała na podłodze, podczas gdy my słałyśmy łóżko. Nie było jednak widać, by coś powiedziała. Oczy miała wciąż otwarte i wpatrzone w sufit.

Pomyślałam z lękiem: „Nie otworzyłam okna”. Podbiegłam do okna i otworzyłam je na oścież, bo wydawało mi się, że się przesłyszałam i że Mary powiedziała: *Wypuść mnie*.

– Co ty wyprawiasz? – oburzyła się Agnes. – Zimno tu jak w psiarni.

– Niedobrze mi od tego zapachu – odparłam i Agnes zgodziła się, że przydałoby się wywietrzyć pokój. Miałam nadzieję, że teraz dusza Mary wyfrunie przez okno i przestanie mi szeptać do ucha. Zastanawiałam się jednak, czy nie jest za późno.

Wreszcie ze wszystkim się uporałyśmy. Zwinęłam razem prześcieradło i koszulę i zabrałam je do pralni. Nalałam pełną balię zimnej wody, bo krew najlepiej schodzi w zimnej wodzie, a gorąca ją utrwała. Na szczęście praczka była w kuchni, gdzie podgrzewała żelazka do prasowania i plotkowała z kucharką. Tarłam mocno i zeszło dużo

krwi, która zabarwiła wodę na czerwono. Spuściłam ją i znowu nalałam czystej. Wlałam nieco octu i zostawiłam rzeczy do namoczenia. Zęby mi szczękały – z zimna lub strachu – a gdy biegiem wracałam po schodach, kręciło mi się w głowie.

Agnes czekała w pokoju z Mary, która była już teraz porządnie ułożona, miała zamknięte oczy i ręce skrzyżowane na piersiach.

Powiedziałam Agnes, co zrobiłam, a ona wysłała mnie do pani Parkinson z wiadomością, że wszystko gotowe. Pobiegłam więc i wkrótce przyszły służące. Niektóre z nich płakały i miały smutne miny, jak należało, ale śmierć zawsze jest dziwnie podniecająca i widziałam, że krew szybciej krąży w ich żyłach niż w zwyczajne dni.

Agnes oznajmiła, że to była nagła gorączka, i jak na tak pobożną kobietę całkiem nieźle kłamała. Ja stałam u stóp Mary, milcząc. Jedna służąca powiedziała:

– Biedna Grace! Tak się obudzić rano i znaleźć ją obok martwą, zupełnie bez ostrzeżenia.

– Aż mnie ciarki przechodzą. Moje nerwy by tego nie wytrzymały – dodała inna.

Poczułam się, jakby tak rzeczywiście było. Z łatwością mogłam sobie wyobrazić, że budzę się rano, z Mary leżącą w łóżku obok mnie, dotykam jej, a ona się do mnie nie odzywa. Wyobraziłam sobie przerażenie i smutek, jakie bym poczuła, i w tej chwili padłam bez czucia na podłogę.

Podobno leżałam zemdlona przez dziesięć godzin i nikt nie mógł mnie obudzić, chociaż mnie szczypali i bili po twarzy, spryskiwali zimną wodą i podpalali piórka pod moim nosem. Ocknąwszy się, nie wiedziałam, gdzie jestem ani co się stało. Ciągle pytałam, dokąd poszła Grace. Kiedy mi powiedziano, że to ja jestem Grace, nie chciałam uwierzyć, zaczęłam krzyczeć i usiłowałam uciec z domu, bo twierdziłam, że Grace się zgubiła, skoczyła do Jeziora i muszę iść jej szukać. Później dowiedziałam się, że obawiano się o mój rozum, zmacony przez szok. Zresztą nic dziwnego.

Potem znowu zapadłam w głęboki sen. Kiedy się obudziłam, był już następny dzień i znowu wiedziałam, że jestem Grace i że Mary nie żyje. Przypomniała mi się ta noc, gdy rzucałyśmy przez ramię skórki od jabłka i skórka Mary przerwała się trzy razy. Wszystko się spełniło: Mary za nikogo nie wyszła za mąż i nigdy już nie wyjdzie.

Nie pamiętałam jednak niczego z tego okresu pomiędzy dwoma długimi snami, co mnie bardzo martwiło.

I tak skończył się na zawsze najszczęśliwszy okres w moim życiu.

VII

Wężowy plot

McDermott... był posepny i grubiański. Jego charakter nie zasługiwał na podziw... Był to bystry, młody mężczyzna, tak gibki, że mógłby jak wiewiórka przebiec po krętym ogrodzeniu albo jednym susem przeskoczyć przez bramę, zamiast ją otwierać lub przez nią przełazić...

Grace miała żywe usposobienie i dobre maniery i mogła stanowić dla Nancy przedmiot zazdrości... Wiele wskazuje na to, że nie była inspiratorką i siłą sprawczą tych straszliwych czynów, a jedynie nieszczęsną ofiarą całej tej potwornej sprawy. W osobowości tej dziewczyny z pewnością nie dopatrzymy się niczego, co mogłoby uosabiać wcielone zło, które próbował jej przypisać McDermott. Jego brak poszanowania dla prawdy był powszechnie znany...

William Harrison

Refleksje na temat tragedii w domu Kinneara,

artykuł dla „Newmarket Era”, 1908

Lecz gdybyś mnie zapomniał na chwilę,
A potem znów wspomniał, nie smuć się wcale,
Bo jeśli z mych myśli ciemność i żale
Pozostawiły osad okrutny,
To lepiej zapomnij, uśmiechnij się miły,
I nie pamiętaj, i nie bądź smutny! I.
Christina Rossetti

Pamiętaj, 1849

11 przeł. Krzysztof Zabłocki.

Simon bierze od pokojówki pani komendantowej kapelusz i laskę i wychodzi na słońce. Jest dla niego zbyt jasne, zbyt ostre. Czuje się, jakby przez długi czas siedział zamknięty w ciemnym pokoju, chociaż w szwalni wcale nie jest ciemno. To historia Grace jest taka mroczna. Simon ma wrażenie, jakby dopiero co wyszedł z rzeźni. Dlaczego ta opowieść o śmierci tak na niego podziałała? Oczywiście wiedział, że podobne rzeczy się zdarzają. Tacy lekarze naprawdę istnieją. Widział też wiele martwych kobiet, zupełnie martwych, które były dla niego jedynie przedmiotami zainteresowania naukowego. Nigdy jednak nie widział samego aktu umierania. Ta Mary Whitney nie miała jeszcze siedemnastu lat. Młoda dziewczyna. Jakież to żalosne! Chciałby umyć sobie ręce.

Bez wątplenia zaskoczył go ten obrót spraw. Musi przyznać, że słuchał tej opowieści z pewną osobistą przyjemnością – on także przeżył piękne chwile i zachował ich wspomnienia, które zawierają obrazy czystych prześcieradeł i radosnych wakacji oraz wesołych młodych służących – a tu, w samym środku tego wszystkiego, taka straszna niespodzianka. Grace utraciła pamięć – tylko na parę godzin i podczas normalnego ataku hysterii, lecz i tak może się to okazać znaczące. Jak do tej pory to jedyna rzecz, której nie pamięta. Świadczy o tym każdy guzik i ogarek, o którym wspomniała. Z drugiej jednak strony Simon ma niejasne wrażenie, że właśnie ta obfitość jej wspomnień może być czymś w rodzaju szaleństwa, sposobem odwrócenia uwagi od jakiegoś ukrytego, lecz zasadniczego faktu – jak barwne kwiaty zasadzone na grobie. Przypomina sobie, że jedynym świadkiem, który mógłby potwierdzić jej zeznania – gdyby, dajmy na to, składała je w sądzie – jest Mary Whitney, a ta jest teraz nieosiągalna.

Lewą stroną drogi ze spuszczoną głową idzie sama Grace w towarzystwie dwóch nieprzyjemnie wyglądających mężczyzn, którzy niewątpliwie są więziennymi strażnikami. Idą bardzo blisko niej, jak gdyby nie była morderczynią, lecz cennym skarbem, nad którym trzeba mieć pieczę. Nie podoba mu się, że tak się do niej przyciskają, ale oczywiście wpadliby w tarapaty, gdyby uciekła. Chociaż wie, że co wieczór Grace jest stąd zabierana i zamykana na noc w małej celi, dziś wydaje mu się to niewłaściwe. Całe popołudnie przegadali, jakby siedzieli w salonie, a teraz on jest wolny jak ptak i może robić, co chce, ona zaś musi zostać uwięziona za kratami. Zamknięta w ponurym więzieniu. Rozmyślnie ponurym, bo gdyby więzienie nie było ponure, to gdzież byłaby kara?

Nawet słowo „kara” go dzisiaj drażni. Simon nie może się pozbyć wspomnienia Mary Whitney leżącej na zakrwawionym prześcieradle.

Dziś został dłużej niż zwykle. Za pół godziny ma być u wielebnego Verringera na wczesnej kolacji. Zupełnie nie czuje się głodny. Postanawia pójść wzdłuż Jeziora. Wiatr go orzeźwi i może przywróci apetyt.

Dobrze, że nie został chirurgiem. Najsurowszy z jego nauczycieli w szpitalu Guya w Londynie, wybitny doktor Bransby Cooper, mawiał, że aby zostać dobrym chirurgiem – tak samo jak dobrym rzeźbiarzem – należy umieć zachować dystans wobec podmiotu.

Rzeźbiarz nie powinien się rozpraszać przemijającymi wdziękami swej modelki, lecz patrzeć na nią obiektywnie, jako na materiał czy glinę, z której ma być uformowane dzieło sztuki. I podobnie chirurg rzeźbi w ciele i powinien umieć je pokroić tak rozważnie i delikatnie, jakby rzeźbił kameę. Wymagana tu jest pewna ręka i bystre oko. Tym, którzy zbyt przejmują się cierpieniami pacjenta, niejednokroć może zadrzeć ręka. Chory potrzebuje nie współczucia, lecz biegłości.

„Wszystko pięknie – myśli Simon – ale mężczyźni i kobiety to nie posągi, nie są pozbawieni życia jak marmur, choć często po pełnym udręki okresie niedoli upodabniają się do niego na sali operacyjnej”. W szpitalu Guya szybko się przekonał, że nie lubi krwi.

Niemniej jednak dostał tam dobrą lekcję. Jak łatwo i jak często umierają ludzie! I jak przemyślnie dusza i ciało są ze sobą powiązane! Jeden fałszywy ruch noża i z człowieka robisz idiotę. Jeśli tak się dzieje, to dlaczego nie może być odwrotnie? Czy można pozszywać kawałki i złatać z nich geniusza? Jakież tajemnice pozostają nierozwiązane w systemie nerwowym, w tej płataninie materii i eteryczności, w sieci nitek, które biegną przez całe ciało, tworząc labirynt Ariadny, a wszystkie wiodą do mózgu, tej mrocznej jaskini, gdzie leżą potrzaskane ludzkie kości i czają się potwory...

„A także anioły – przypomina sobie. – Także anioły”.

W oddali widzi kobietę. Jest ubrana na czarno. Jej suknia przypomina miękkiej, falujący dzwon, a welon wydyma się do tyłu niczym czarny dym. Odwraca się, rzuca za siebie przelotne spojrzenie: to pani Humphrey, jego posępna gospodyni. Na szczęście oddala się; może rozmyślnie go unika. I dobrze, gdyż Simon nie jest w nastroju do rozmowy, a szczególnie nie ma ochoty na wdzięczność. Zastanawia się, dlaczego pani Humphrey wciąż ubiera się jak wdowa. Prawdopodobnie to pobożne życzenia. Do tej pory major nie dał znaku życia. Simon idzie wolno brzegiem Jeziora, wyobrażając sobie, co też major teraz robi – gra na wyścigach konnych, bawi w domu publicznym albo w gospodzie, jedno z trojga.

Potem bez żadnego związku przychodzi mu do głowy myśl, by zdjąć buty i pobrodzić w Jeziorze. Przypomina mu się nagle, jak będąc chłopcem, pluskał się w strumieniu za domem w towarzystwie niańki – robotnicy z fabryki, która została służącą, jak to się często wówczas zdarzało – ubrudził się, a matka zbesztła jego i służącą za to, że mu na to pozwoliła.

Jak miała na imię? Alice? A może to było później, kiedy już chodził do szkoły, nosił długie spodnie i podczas jednej z potajemnych eskapad na poddasze został przyłapany przez nią w jej pokoju? Głaskał czule jej bieliznę, a służąca rozgniewała się na niego, lecz oczywiście nie mogła okazać gniewu, bo nie chciała stracić posady. Zachowała się więc bardzo po kobiecemu – wybuchnęła płaczem. Objął ją, żeby ją pocieszyć, i skończyło się na całowaniu. Służącej spadł czepek i włosy spłynęły na plecy: długie ciemnoblonde włosy, zmysłowe, niezbyt czyste, pachnące zsiadłym mlekiem. Jej ręce były czerwone, gdyż właśnie obierała truskawki, i nimi też smakowały jej usta.

Potem na jego koszuli, w miejscu gdzie zaczęła rozpinąć guziki, zostały czerwone smugi. Wtedy po raz pierwszy całował kobietę i najpierw się zawstydził, a potem

przeraził. Nie wiedział, co zrobić potem. Po wszystkim pewnie się z niego śmiała.

Jakim niewinnym chłopcem był wtedy, jakim głuptasem. Uśmiecha się na to wspomnienie. Zanim mija pół godziny, czuje się o wiele lepiej.

Gospodyni wielebnego Verringera wita go pełnym dezaprobaty skinieniem głowy. Gdyby się uśmiechnęła, jej twarz pękłaby niczym skorupka jajka. Simon myśli, że musi istnieć szkoła brzydoty, dokąd wysyłają takie kobiety. Kobieta prowadzi go do biblioteki, gdzie na kominku płonie ogień, a na stoliku stoją przygotowane dwa kieliszki jakiejś nalewki. Prawdę mówiąc, wolałby mocną whisky, ale tej nie uświadczysz wśród abstynenckich metodystów.

Wielebny Verringer, który stał wśród swych oprawnych w skórę książek, robi krok w stronę Simona, żeby go powitać. Siadają i wypijają łyk nalewki, która smakuje wodorostami.

– Oczyszcza krew. Moja gospodyni robi ją sama według starego przepisu – mówi wielebny.

„Chyba bardzo starego – myśli Simon. – Jakiejś czarownicy”.

– Czy są jakieś postępy w... w naszym wspólnym projekcie? – pyta Verringer.

Simon wiedział, że to pytanie padnie, niemniej zacina się nieco przy odpowiedzi.

– Postępuję z najwyższą ostrożnością – mówi. – Niewątpliwie jest parę wątków, które warto prześledzić. Najpierw musiałem wzbudzić w niej zaufanie, co, jak sądzę, udało mi się. Potem skupiłem się na historii jej rodziny. Nasza pacjentka pamięta swoje życie przed przybyciem do domu pana Kinneara z wielką dokładnością i całą masą szczegółów, co świadczy o tym, że nie ma problemu z pamięcią. Dowiedziałem się o jej podróży do tego kraju, a także o pierwszym roku służby, który nie odznaczył się żadnymi nadzwyczajnymi wydarzeniami – z wyjątkiem jednego.

– Jakiego? – pyta wielebny Verringer, unosząc rzadkie brwi.

– Czy zna pan rodzinę Parkinsonów z Toronto?

– Chyba ich pamiętam z młodości. Zdaje się, że on miał na imię Alderman. Umarł parę lat temu, a jego żona wróciła do swego ojczystego kraju. Była Amerykanką – jak pan. Tutejsze zimy były dla niej zbyt mroźne.

– To fatalnie. Miałem nadzieję, że uda mi się z nimi porozmawiać, by ustalić pewne fakty. Grace najpierw pracowała u tej właśnie rodziny. Miała tam przyjaciółkę – służącą o nazwisku Mary Whitney – a jak pan sobie może przypomina, takie właśnie nazwisko przybrała, uciekając do Stanów Zjednoczonych ze swym... z Jamesem McDermottem, jeżeli to w ogóle była ucieczka, a nie wymuszona emigracja. W każdym razie ta młoda kobieta umarła w okolicznościach, które muszę określić jako nagłe. Kiedy nasza pacjentka siedziała w pokoju z ciałem, zdawało się jej, że słyszy, jak zmarła przyjaciółka do niej mówi. Oczywiście halucynacja słuchowa.

– Nie są one wcale tak rzadkie – stwierdza Verringer. – Ja sam czuwałem przy wielu łóżach śmierci i szczególnie wśród osób sentymentalnych i przesądnych uważa się za dyshonor nie usłyszeć głosu zmarłego. Jeszcze lepiej, jeżeli usłyszysz się chóry anielskie.

– Ton jego głosu jest suchy, może nawet ironiczny.

Simon jest nieco zdziwiony. Przecież obowiązkiem duchowieństwa jest zachęcanie do pobożnych zachowań.

– Następnie – ciągnie Simon – Grace zemdląca, po czym dostała ataku hysterii połączonej z czymś w rodzaju somnambulizmu i zapadła w długi, głęboki sen, po którym nic nie pamiętała.

– Ach tak – mówi Verringer, pochylając się do przodu. – A więc miewała już epizody amnezji!

– Nie możemy wyciągać pochopnych wniosków – stwierdza rozsądnie Simon. – W tej chwili jest moim jedynym źródłem informacji. – Przerzywa. Nie chce, by go posądzono o brak taktu. – Dla postawienia profesjonalnej diagnozy byłoby nadzwyczaj korzystne, gdybym mógł porozmawiać z tymi, którzy znali Grace w czasie, gdy zaszły tamte wypadki, i którzy potem mogli obserwować jej stan i zachowanie podczas pierwszych lat zamknięcia w więzieniu, a także w domu dla obłąkanych.

– Ja nie byłem przy tym obecny.

– Czytałem relację pani Moodie – ciągnie Simon. – Ma do powiedzenia wiele rzeczy, które mnie interesują. Według niej prawnik Kenneth MacKenzie odwiedził Grace w jakieś sześć czy siedem lat po jej uwięzieniu i usłyszał od niej, że nawiedza ją Nancy Montgomery – że jej przekrwione, błyszczące oczy wszędzie ją śledzą i pojawiają się w takich miejscach, jak kolana i talerz na zupe. Pani Moodie sama widziała Grace w domu dla obłąkanych – na oddziale dla agresywnych pacjentów, jak przypuszczam – i opisuje ją jako mamroczącą coś, szaloną kobietę, wrzeszczącą jak upiór i rzucającą się na wszystkie strony niczym poparzona małpa. Oczywiście napisała to sprawozdanie, zanim się dowiedziała, że za niecały rok Grace zostanie zwolniona z domu dla obłąkanych, jeśli nie jako zupełnie normalna, to wystarczająco normalna, by powrócić do więzienia.

– Na to nie trzeba być całkowicie normalnym – wtrąca Verringer ze śmiechem przypominającym skrzypienie zawiasów.

– Zastanawiałem się nad złożeniem wizyty pani Moodie – mówi Simon. – Potrzebuję jednak pańskiej rady. Nie jestem pewien, jak mam z nią rozmawiać, nie podważając prawdziwości tego, co powiedziała.

– Prawdziwości? – pyta ironicznie Verringer. Nie wygląda na zdziwionego.

– Istnieją rozbieżności, które nie ulegają kwestii. Na przykład, pani Moodie nie jest pewna co do położenia Richmond Hill, nieściśle podaje nazwiska i daty, wielu aktorów tej tragedii nazywa cudzymi imionami i nadaje panu Kinnearowi stopień wojskowy, którego ten nie posiadał.

– Może to stopień pośmiertny – mruczy Verringer.

Simon się uśmiecha.

– Mówi też o zbrodniarzach, którzy poćwiartowali ciało Nancy Montgomery, a potem ukryli je pod balią, co z pewnością nie jest prawdą. Gazety nie omieszkałyby wspomnieć o tak sensacyjnym szczególe. Obawiam się, że ta poczciwa kobieta nie ma pojęcia, jak trudno jest poćwiartować ciało. Przez to inne rzeczy tracą na wiarygodności. Na przykład motyw morderstwa – składa go na karb dzikiej zawiści Grace, która zazdrościła Nancy pana Kinneara, oraz zepsucia McDermotta, któremu Grace miała się ponoć odwdziżyć za jego rzeźnicze usługi.

– Był to wtedy bardzo rozpowszechniony pogląd.

– Bez wątpienia. Publika zawsze będzie wolała rozpustny melodramat od historii

zwykłej kradzieży.

– Pani Moodie publicznie stwierdziła, że przepada za Charlesem Dickensem, a zwłaszcza za *Oliverem Twistem*. Zdaje się, że w tej książce pojawia się podobna para oczu, również należąca do zmarłej o imieniu Nancy. Jak mam to ująć? Pani Moodie jest podatna na wpływy. Może pan przeczytać jej wiersz „Szalona”, jeśli jest pan miłośnikiem sir Waltera Scotta. Wiersz ten spełnia wszelkie wymagania – skaliste wybrzeże, księżyc, wzburzone morze, zdradzona dziewica śpiewająca obłąkaną pieśń i odziana w niezdrowo wilgotne ubranie oraz – o ile sobie dobrze przypominam – z rozpuszczonymi włosami przyozdobionymi okazami flory. Zdaje się, że na koniec rzuca się z malowniczego klifu, tak przemyślnie dla niej ustawionego. Niech pomyślę... – Zamykając oczy i wybijając rytm prawą ręką, zaczyna recytować:

Jej suknią wicher targał, a kwietniowy deszcz płochy
Lśnił niczym klejnot wśród kwiecica w czarnych lokach;
W sercu nocy nagła burza chłodem poraziła,
Pierś naga, kibić kruchą bezlitośnie zrosiła;
Oczy czarne ostrym błyskiem mą postać zganiły,
Rozum je opuścił, jak ślepia zjawy patrzyły,
Śpiew jej głośny, co wiatr zachrypty jął nieść,
Zabrział żalem w mych uszach jak żałobna pieśń.

A ten, co ją szaleństwu i wstydomi wystawił,
Co na hańbę naraził i honoru pozbawił –
Czy pomyślał w tej godzinie o sercu pękniętym,
Boleści zadanej, złamanym ślubie świętym?
I gdzież jest to dziecię, co gdy się rodziło,
Matkę w obłąd wtrąciło, duszy spokój zabiło?12

Znowu otwiera oczy.

– Ach, gdzież? – mówi.

– Zdumiewa mnie pan. Ma pan nadzwyczajną pamięć.

– Do pewnego rodzaju wierszy niestety tak. To od częstego śpiewania hymnów – mówi wielebny. – Sam Bóg umieścił w Bib-lii sporo poezji, co świadczy o jego aprobachie dla tej formy. Mimo to nie można kwestionować uczciwości pani Moodie. Jestem pewien, że mnie pan dobrze rozumie. Pani Moodie to kobieta pióra i jak jej podobne, a właściwie jak cała jej płeć, jest skłonna do...

– Upiększania – podpowiada Simon.

– Właśnie. Wszystko, co powiedziałem, jest oczywiście ściśle poufne. Chociaż w czasie powstania Moody byli torysami, to w porę dostrzegli swój błąd i teraz są lojalnymi reformistami; za co zresztą cierpią do dziś za sprawą pewnych złośliwych osób,

które są w mocy nękać ich procesami. Nie powiem złego słowa na tę damę, ale nie doradzałbym składania jej wizyty. Podobno wpadła w szpony spirytystów.

– Doprawdy?

– Tak słyszałem. Przez długi czas była sceptycznie nastawiona, a jej mąż nawrócił się pierwszy. Bez wątpienia znużyły ją samotne wieczory, podczas gdy on słuchał głosów upiorów i rozmawiał z duchami Goethego i Szekspira.

– Rozumiem, że pan tego nie pochwała.

– Duchowni mojego wyznania są ekskomunikowani za zajmowanie się tymi, moim zdaniem, grzesznymi sprawami. To prawda, że niektórzy członkowie naszej komisji biorą w tym udział, są wręcz fanatykami, lecz muszę ich znosić, dopóki to szaleństwo się nie skończy, a oni nie odzyskają rozumu. Jak powiedział pan Nathaniel Hawthorne, to przejściowa moda, a jeśli nie, to tym gorzej dla nas, gdyż duchy objawiające się przy wirujących stolikach to te, które nie dostały się do wiecznego świata i przyłgnęły do naszego niczym duchowy pył. Niemożliwe, żeby nam dobrze życzyły, a im mniej mamy im do powiedzenia, tym lepiej.

– Hawthorne? – Simon jest zdziwiony, że duchowny czyta Hawthorne'a. Wszak oskarżono go o sensualizm i – zwłaszcza po *Szkarłatnej literze* – o swobodę obyczajów.

– Trzeba się trzymać swojego stada. Ale wracając do Grace Marks i jej wcześniejszego zachowania, lepiej niech się pan skonsultuje z panem Kennethem McKenziem, który bronił jej na rozprawie i który, jak sędzę, ma głowę na karku. Jest obecnie współwłaścicielem firmy prawniczej w Toronto. Zrobił szybką karierę. Dam panu list polecający. Jestem pewien, że panu pomoże.

– Dziękuję.

– Cieszę się, że miałem okazję porozmawiać z panem na osobności, przed przyjściem pań. Słyszę, że nadchodzą.

– Panie?

– Żona komendanta i jej córka zaszczycają nas dziś swoją obecnością. Komendant niestety musiał wyjechać w interesach. Nie mówiłem panu? – Na jego bladych policzkach pojawiają się dwie ciemniejsze plamy. – Chodźmy je przywitać.

Przyszła tylko jedna córka. Marianne, wyjaśnia Simonowi jej matka, z powodu przeziębnienia musiała zostać w łóżku. Dla Simona oznacza to alarm; zna takie podstępny, knowania matek. Żona komendanta postanowiła, że Lydia powinna go ustrzelić bez przeszkody w postaci Marianne. Może powinien od razu ujawnić szczupłość swych dochodów, by ją ubiec. Lydia jednak to istny cukiereczek i Simon nie chce pozbawiać się takiej estetycznej przyjemności. Dopóki nie zostaną złożone żadne deklaracje, nikomu nie stanie się krzywda. Poza tym lubi, gdy patrzą na niego oczy tak świetliste jak jej.

Już nastąpiła oficjalna zmiana pory roku. Lydia zakwitła jak wiosna. Wokół niej rozpościerają się warstwy kwiatowych falban i spływają z jej ramion niczym przezroczyście skrzydła. Simon je swoją rybę – rozgotowaną, ale na tym kontynencie nikt nie potrafi porządnie przyrządzić ryby – i podziwia białe zarysy szyi Lydii oraz skrawek odsłoniętego biustu. Zupełnie jakby była wyrzeźbiona w bitej śmietanie. Mogłaby zamiast

tej ryby leżeć na talerzu. Słyszał opowieści o słynnej paryskiej kurtyzanie, która w ten sposób zaprezentowała się na bankiecie – to znaczy nago. Zabawia się myślami o rozbieraniu, a potem ubieraniu Lydii: powinna być przybrana kwiatami – w kolorze kości słoniowej i różu wnętrza muszli – oraz odrobiną cieplarnianych winogron i brzoskwiń.

Jej wyłupiastooka matka jest tak samo wyprężona jak zwykle. Przebiera w palcach koraliki na szyi i niemal od razu przechodzi do tematu wieczoru. Wtorkowe kółko gorąco pragnie, by doktor Jordan wygłosił odczyt. Nic zbyt oficjalnego – jedynie szczerą dyskusję wśród przyjaciół – ma nadzieję, że wkrótce również jego przyjaciół – którzy interesują się tymi samymi ważnymi kwestiami. Może mógłby powiedzieć parę słów na temat abolicji? Ich to tak bardzo zajmuje.

Simon mówi, że nie jest w tej kwestii ekspertem – w rzeczy samej, nie jest zbyt dobrze poinformowany, gdyż ostatnich parę lat spędził w Europie. Wielebny Verringer proponuje, by w takim razie doktor Jordan był łaskaw podzielić się z nimi ostatnimi teoriami dotyczącymi chorób nerwowych i obłąkania. Za to również byłoby mu szczerze zobowiązani, jako że jednym z ich najważniejszych projektów jest reforma publicznych domów dla obłąkanych.

– Doktor DuPont mówi, że byłby tym szczególnie zainteresowany – wyjaśnia żona komendanta. – Doktor Jerome DuPont, którego zdążył pan już poznać. On ma takie szerokie zainteresowania.

– Och, to by było fascynujące – mówi Lydia, patrząc na Simona spod długich ciemnych rzęs. – Mam nadzieję, że się pan zgodzi! – Tego wieczora nie odzywała się zbyt często, ale też nie miała okazji. Odmówiła tylko dokładki ryby, którą proponował jej wielebny Verringer. – Zawsze się zastanawiałam, jak to jest... oszaleć. Grace nie chce mi powiedzieć.

Simon wyobraża sobie siebie w jakimś zaciemnionym kąciaku z Lydią. Za kotarą z ciężkiego brokatu. Czy gdyby otoczył jej kibić ręką – delikatnie, żeby jej nie przestraszyć – westchnęłaby? Uległaby, odtrąciła go? A może i to, i to.

Po powrocie do swojego pokoju nalewa sobie dużą szklankę sherry z butelki, którą trzyma w kredensie. Przez cały wieczór nie miał w ustach kropli alkoholu – jedynym napojem podczas kolacji u Verringera była woda – a jednak kręci mu się w głowie, jakby coś wypił. Dlaczego zgodził się wygłosić odczyt na tym diabelskim kółku wtorkowym? Kim oni są dla niego i kim on dla nich? Co takiego może im powiedzieć, co by w ogóle zrozumieli, wzięwszy pod uwagę ich ignorancję? To Lydia, jej podziw, jej namowy. Ma wrażenie, jakby wpadł w zasadzkę w kwitnącym krzewie.

Jest zbyt zmęczony, żeby siedzieć do późna w nocy, czytać i pracować jak zwykle. Kładzie się i natychmiast zasypia. Ma sen, niespokojny sen. Znajduje się na ogrodzonym podwórzu, gdzie na sznurze łopocze pranie. Nikogo tam nie ma oprócz niego, co napawa go skrytą przyjemnością. Prześcieradła i płótna poruszają się na wietrze, jak gdyby były

w nie odziane niewidzialne, szerokie biodra. Gdy tak patrzy – chyba jest chłopcem, gdyż jest na tyle niski, że musi zadzierać głowę – ze sznura spływa biały muślinowy szal i faluje wdzięcznie w powietrzu niczym rozwijający się bandaż lub farba w wodzie. Simon biegnie, by go złapać, wybiega z podwórza na ulicę i znajduje się na polu. W sadzie. Materiał wplątał się w gałęzie drzewka pokrytego zielonymi jabłkami. Gdy próbuje go zdjąć, muślin opada mu na twarz i wtedy Simon widzi, że to wcale nie materiał, lecz włosy, długie, pachnące włosy niewidzialnej kobiety, które oplatają się wokół jego szyi. Szarpie się, ale włosy zaciskają się coraz mocniej. Ledwo może oddychać. Uczucie to jest bolesne i niemalże nieznośnie erotyczne. Budzi się gwałtownie.

12 przeł. Krzysztof Zabłocki.

Dzisiaj jestem w szwalni przed doktorem Jordanem. Nie ma sensu się zastanawiać, dlaczego się spóźnia, gdyż dżentelmeni mają własny czas, więc szyję dalej, podśpiewując sobie.

Wieczne skały w gęstej ciszy,
Dajcie schronić się w swej niszy,
Niechaj wasza krew i woda
Sprawi, bym znów była młoda.
Zmyją ze mnie grzech jak sadzę
I wyzwolą z jego władzy.

Lubię tę piosenkę, bo przypomina mi o skałach, wodzie i wybrzeżu, a myślenie o jakimś miejscu to prawie tak, jakby się tam było.

– Nie wiedziałem, że umiesz tak dobrze śpiewać – mówi doktor Jordan, wchodząc do pokoju. – Masz piękny głos. – Pod oczami ma ciemne kręgi i wygląda, jakby w nocy nie zmrużył oka.

– Dziękuję, proszę pana – odpowiadam. – Kiedyś miałam więcej okazji do śpiewania niż teraz.

Siada i wyjmuję notes, ołówek, a także pasternak, który kładzie na stole. Ja bym takiego nie wybrała. Ten ma pomarańczowy odcień, co oznacza, że jest stary.

– O, pasternak – mówię.

– Kojarzy ci się z czymś?

– No, „figa z makiem z pasternakiem”. I jeszcze to, że trudno go obrać.

– Zdaje się, że się go trzyma w piwnicy.

– O nie, proszę pana – odpowiadam. – Trzyma się go w dziurze w ziemi wymoszczonej trawą, bo jak przemarznie, jest o wiele lepszy.

Patrzy na mnie znużony i zastanawiam się, dlaczego nie spał w nocy. Może przez jakąś młodą damę, która zaprzęta jego myśli i nie odwzajemnia jego uczuć, a może nie odżywia się regularnie.

– W którym miejscu stanęliśmy? – pyta.

– Nie pamiętam. – To nie całkiem prawda, ale chcę się przekonać, czy rzeczywiście mnie słuchał, czy tylko udawał.

– Na śmierci Mary – mówi. – Twojej biednej przyjaciółki.

– Ach, tak. Skończyliśmy na Mary.

No cóż, proszę pana, przyczynę śmierci Mary zatuszowano, jak tylko się dało. Nie

wszyscy wierzyli, że umarła na nagłą gorączkę, ale nikt tego głośno nie mówił. Wobec tego, co napisała, nikt też nie przeczytał, że zostawiła mi swoje rzeczy, choć niektórzy unosili brwi, dziwiąc się, że to napisała, jakby zawczasu wiedziała, że umrze. Powiedziałam jednak, że bogaci ludzie sporządzają testamenty, więc dlaczego nie miałyby tego uczynić Mary. To wszystkim zamknęło usta. Nikt też nie pytał, skąd wzięła papier.

Jej skrzynię, która była w całkiem niezłym stanie, i najlepszą sukienkę sprzedałam domokrażcy Jeremiaszowi, który przyszedł tuż po jej śmierci. Sprzedałam mu też złoty pierścionek, który trzymała ukryty pod podłogą. Powiedziałam mu, że to na przyzwoity pochówek, a on dał więcej niż dobrą cenę. Twierdził, że widział śmierć wymalowaną na twarzy Mary, ale łatwo mówić coś po fakcie. Powiedział też, że bardzo mu przykro z powodu jej śmierci i że się będzie za nią modlił, ale nie wyobrażam sobie, co to mogła być za modlitwa, bo zważywszy wszystkie te jego sztuczki i wróżby wyglądał raczej na poganina. Ale przecież to nie ma znaczenia, jak kto się modli, bo Bóg rozróżnia tylko złą wolę i dobrą, a przynajmniej tak mi się wydaje.

W przygotowaniach do pogrzebu pomogła mi Agnes. Włożyłyśmy do trumny kwiaty z ogrodu pani Parkinson, poprosiwszy ją przedtem o zgodę, a ponieważ był czerwiec, nacięłyśmy róż na długich łodygach i peonii. Wybrałyśmy tylko białe kwiaty. Posypałam Mary płatkami kwiatów i wsunęłam do trumny igielniczkę, którą dla niej zrobiłam, ale ukradkiem, bo była czerwona i mogłoby to źle wyglądać. Ucięłam też na pamiątkę kosmyk jej włosów i związałam wstążką.

Została pochowana w swej najlepszej nocnej koszuli. W ogóle nie wyglądała na martwą, tylko na śpiącą. Ubrana cała na biało przypominała pannę młodą.

Trumna z sosnowych desek była bardzo skromna, bo część pieniędzy chciałam przeznaczyć na kamienny nagrobek. Starczyło mi tylko na wyrycie jej imienia. Chciałam umieścić na nim też jakiś wiersz, na przykład: „Chociaż Cię z ziemi wyrwały szpony śmierci, błędząc po Niebie, miej mnie w swej pamięci”, ale to przekraczało moje możliwości finansowe. Pochowano ją u metodystów na Adelaide Street, w kącie obok biedaków, ale jednak na cmentarzu, więc czułam, że zrobiłam dla niej wszystko, co mogłam. Na pogrzebie była obecna tylko Agnes i dwie inne służące, bo pewnie rozeszła się pogłoska, że Mary umarła w hańbie. Kiedy zaczęto zasypywać trumnę, a młody duchowny powiedział; „Prochem jesteś i w proch się obrócisz”, wybuchnęłam takim płaczem, jakby mi miało pęknąć serce. Myślałam też o mojej biednej matce, która nie miała porządnego pogrzebu i nie została zasypana ziemią, tylko rzucona do morza.

Bardzo trudno było mi uwierzyć, że Mary rzeczywiście umarła. Ciągłe mi się wydawało, że wejdzie do pokoju, a kiedy leżałam nocą w łóżku, czasem myślałam, że słyszę jej oddech lub śmiech tuż za drzwiami. Co niedziela kładłam kwiaty na jej grobie – nie z ogrodu pani Parkinson, gdyż te były przeznaczone tylko na specjalne okazje, lecz dzikie kwiaty, które zrywałam przy drodze lub nad brzegiem Jeziora i wszędzie tam, gdzie tylko rosły.

Wkrótce po śmierci Mary odeszłam od pani Parkinson. Nie chciałam tam zostać, gdyż od śmierci Mary pani Parkinson i pani Honey nie były do mnie zbyt przyjaźnie nastawione. Pewnie myślały, że pomagałam Mary spotykać się z tamym dżentelmenem

i podejrzewały, że znam jego nazwisko, i chociaż tak nie było, trudno jest położyć kres podejrzeniom. Kiedy powiedziałam, że chciałabym odejść, pani Parkinson nie protestowała, tylko zaprowadziła mnie do biblioteki i jeszcze raz bardzo poważnie spytała, czy znam tego mężczyznę; zaprzeczyłam, a wtedy ona kazała mi przysiąc na Biblię, że nawet jeżeli znam jego nazwisko, nigdy go nie wyjawię, i powiedziała, że tylko pod tym warunkiem da referencje. Nie podobało mi się, że mi nie wierzy, ale zrobiłam, co kazała. Wówczas pani Parkinson dała mi referencje i powiedziała mi, że nie może mi nic zarzucić, i podarowała mi dwa dolary na odchodne, co było bardzo hojnym gestem, a także zaproponowała posadę u pana Dixona, swojego kuzyna.

U Dixona zarabiałam więcej, bo byłam już przeskolona i miałam referencje. Brakowało wtedy ludzi na służbę, gdyż po powstaniu wielu wyjechało do Stanów i chociaż przez cały czas napływali nowi imigranci, ten brak nie został nadrobiony i na pomoc domową było duże zapotrzebowanie. Wiedziałam więc, że jeżeli mi się nie spodoba w jakimś miejscu, nie muszę tam zostawać.

U pana Dixona nie podobało mi się, bo czułam, że wiedzą tam zbyt wiele o historii z Mary i że dziwnie mnie traktują, więc po jakichś sześciu miesiącach wypowiedziałam służbę i przesłam do pana McManusa, gdzie jednak też mi praca nie odpowiadała, bo było tam tylko dwoje służących. Drugim służącym był mężczyzna, który ciągle mówił o końcu świata, płaczu i zgrzytaniu zębami, więc nie był dla mnie zbyt dobrym towarzystwem. Zostałam tam tylko trzy miesiące, po czym zatrudnił mnie pan Coates, u którego pracowałam przez kilka miesięcy po moich piętnastych urodzinach. Miał on drugą służącą, która była o mnie zazdrosna, gdyż pracowałam lepiej niż ona, więc kiedy nadarzyła się okazja, odeszłam do pana Haraghy, gdzie dostawałam taką samą pensję jak u pana Coatesa.

Przez jakiś czas było mi tam dobrze, ale wkrótce zaczęłam się czuć nieswojo, bo pan Haraghy próbował sobie ze mną śmiało poczynać, kiedy wynosiłam naczynia z jadalni. Chociaż pamiętałam radę Mary o kopnięciu między nogi, uważałam, że kopanie mojego pracodawcy nie byłoby rzeczą właściwą i mogłoby doprowadzić do odprawienia mnie bez referencji. Którejś nocy usłyszałam go za drzwiami mojego pokoju na poddaszu. Rozpoznałam go po astmatycznym kaszlu. Szamotał się z zasuwką. Zawsze zamykałam się na noc, ale wiedziałam, że zamek nie zamek, pan prędzej czy później znajdzie jakiś sposób, żeby się dostać do środka – w najgorszym razie po drabinie – więc nie mogłam usnąć. A snu bardzo potrzebowałam po całym dniu ciężkiej pracy. Jeżeli zaś ktoś cię zastanie z mężczyzną w twoim pokoju, to zawsze ty jesteś uznawana za winną. Jak mawiała Mary, są tacy panowie, którzy uważają, że powinnaś być do ich usług dwadzieścia cztery godziny na dobę, a twoje główne zajęcie ma polegać na leżeniu na plecach.

Myślę, że pani Haraghy coś podejrzewała. Pochodziła z dobrej rodziny, która podupadła w ciężkich czasach, i musiała pomóc swemu szczęściu wychodząc za męża. Pan Haraghy zrobił fortunę w branży rzeźniczej. Wątpię, czy po raz pierwszy zachowywał się w ten sposób, bo kiedy wymówiłam służbę, pani Haraghy nawet nie spytała o powód, tylko westchnęła i powiedziała, że jestem dobrą dziewczyną, i z miejsca wypisała mi referencje na najlepszym papierze.

Poszłam do pana Watsona. Trafiłabym lepiej, gdybym miała czas się rozejrzeć, ale czułam, że muszę się pośpieszyć, gdyż raz pan Haraghy przyszedł kaszląc i dysząc do pomywalni, gdzie skrobałam garnki, i mimo że byłam cała usmarowana i zatłuszczona, usiłował mnie obłapiać. Pan Watson był szewcem i bardzo potrzebował pomocy domowej, jako że miał żonę, troje dzieci i czwarte w drodze, a tylko jedną służącą, która nie wyrabiała się ze zmywaniem, choć nieźle gotowała. Zaproponował mi dwa dolary i pięćdziesiąt centów za miesiąc i dołożył parę butów. Bardzo potrzebowałam butów, bo rzeczy Mary nie pasowały na mnie, moje były już znoszone, nowe zaś dużo kosztowały.

Wkrótce poznałam Nancy Montgomery, gdy przyszła odwiedzić kucharkę pana Watsona, Sally, z którą wychowała się na wsi. Nancy przyjechała do Toronto, żeby zrobić zakupy na wyprzedaży u Clarksona. Pokazała nam bardzo ładny szkarłatny jedwab, który kupiła na zimową suknię – zastanawiałam się, jakaż to gospodyni mogła sobie zażyczyć tak drogi strój – parę rękawiczek i obrus z irlandzkiego płótna. Powiedziała, że lepiej kupować na wyprzedaży niż w sklepie, bo tak wychodzi taniej, a jej pan liczy się z każdym groszem. Nie przyjechała dyliżansem – podwiózł ją jej pan. Powiedziała, że tak jest o wiele wygodniej, bo nie jest się narażoną na zaczepki nieznajomych.

Nancy Montgomery była bardzo przystojną, ciemnowłosą dwudziestoczteroletnią dziewczyną. Miała piękne brązowe oczy i śmiała się i żartowała zupełnie jak Mary Whitney. Sprawiała wrażenie bardzo dobrej osoby. Usiadła w kuchni z filiżanką herbaty i zaczęła rozmawiać z Sally o starych czasach. Chodziły razem do szkoły, położonej na północ od miasta. Była to pierwsza szkoła w tym okręgu i w niedzielne poranki, kiedy dzieci nie pracowały, prowadził ją miejscowy pastor. Mieściła się w drewnianym domu, który bardziej przypominał stajnię, jak powiedziała Nancy. Szło się do niej przez las. Zawsze bały się niedźwiedzi, których wówczas było bardzo dużo. Któregoś dnia zobaczyły niedźwiedzia i Nancy z wrzaskiem uciekła i wdrapała się na drzewo. Sally powiedziała, że niedźwiedź był bardziej przerażony od Nancy, a Nancy stwierdziła, że to musiał być miś dżentelmen, który uciekał przed czymś niebezpiecznym, czego jeszcze dotąd nie widział, a co spostrzegł, kiedy włąziła na drzewo. Bardzo się z tego śmiały. Potem opowiedziały, jak chłopcy przewrócili wychodek na tyłach szkoły, w którym była jedna z dziewcząt, i jak się potem tego wstydzili. Sally powiedziała, że zawsze dostaje się nieśmiałym, a Nancy przyznała jej rację, ale dodała, że w życiu trzeba umieć się bronić. Pomyślałam, że to prawda.

Zbierając swoje rzeczy – a miała śliczną parasolkę, różową, choć nieco przybrudzoną – Nancy powiedziała mi, że jest gospodynią pana Thomasa Kinneara, Esq., który mieszka w Richmond Hill, jadąc na północ Yonge Street, za Gallow's Hill i Hogg's Hill. Powiedziała, że potrzebuje kogoś do pomocy, gdyż dom jest ogromny, a poprzednia służąca wyszła za mąż i odeszła. Pan Kinneare był niezonatym dżentelmenem z dobrej szkockiej rodziny, niezbyt wymagającym, więc miałabym mniej pracy i nie krytykowałaby mnie żadna pani. Czy jestem zainteresowana tą posadą?

Twierdziła, że brakuje jej kobiecego towarzystwa, gdyż farma pana Kinneara jest położona z dala od miasta. Nie lubi przebywać tam sama, bo ludzie źle patrzą na samotną kobietę pracującą u dżentelmena, a ja pomyślałam, że ma rację. Powiedziała, że pan Kinneare jest bardzo liberalny, co często okazuje. Gdybym przyjęła jej propozycję, dobrze

bym na tym wyszła i podwyższyłabym swoją pozycję społeczną. Spytała, ile obecnie zarabiam, i stwierdziła, że tam dostawałabym trzy dolary na miesiąc, co mi się wydało więcej niż uczciwe.

Nancy miała do załatwienia różne sprawy, więc musiała zostać w mieście przez tydzień i mogła poczekać na moją decyzję. Przez cały ten czas zastanawiałam się nad jej propozycją. Zniechęcała mnie myśl o zamieszkaniu na wsi, gdyż zdążyłam się przyzwyczaić do życia w Toronto – tyle mogłam tam zobaczyć, załatwiając sprawunki. Często odbywały się tam przedstawienia i jarmarki, choć trzeba było uważać w takich miejscach na złodziei, przychodzili wędrowni kaznodzieje, a na ulicy zawsze śpiewał jakiś chłopiec lub kobieta. Widziałam człowieka, który połykał ogień, świnię, która umiała liczyć, i niedźwiedzia w kagańcu, który tańczył – choć wyglądało to, jakby słaniał się na nogach – i którego ulicznicy szturchali patykami. Poza tym na wsi było błoto i brakowało chodników. Nie było tam też lamp gazowych ani wspaniałych sklepów, strzelistych kościołów, eleganckich powozów i nowych banków z kolumnami. Doszłam jednak do wniosku, że jeśli mi się tam nie spodoba, to zawsze będę mogła wrócić.

Kiedy zapytałam Sally o zdanie, odparła, że nie wie, czy to odpowiednia posada dla tak młodej dziewczyny. Kiedy spytałam, dlaczego tak sądzi, powiedziała, że Nancy zawsze była dla niej miła i nie chce jej obgadywać, ale z drugiej strony powinno się wykorzystywać okazje, że im mniej słów, tym szybsza złego naprawa, a ponieważ nie wie niczego na pewno, woli nie mówić nic. Uważa jednak, że spełniła swój obowiązek, mówiąc mi choć tyle, bo nie mam matki, która by mi doradziła. Nie miałam najmniejszego pojęcia, o co jej chodzi.

Spytałam, czy ludzie mówią źle o panu Kinnearze, ona zaś odparła, że nie słyszała właściwie nic takiego, co by można nazwać czymś złym.

Przypominało to zagadkę, której nie potrafiłam rozwiązać. Byłoby lepiej dla wszystkich, gdyby Sally wyrażała się jaśniej. Pensja jednak była wyższa niż te, które do tej pory dostawałam, co przeważało szalę i liczyło się bardziej niż nawet sama Nancy Montgomery. Bardzo mi przypominała Mary Whitney, czy raczej tak mi się wtedy wydawało, a ja byłam bardzo przygnębiona od śmierci przyjaciółki. Postanowiłam więc, że tam pójdę.

Nancy dała mi pieniądze na podróż i w ustalony dzień wcześniej rano wsiadłam do dyliżansu. Podróż była długa, gdyż Richmond Hill leżało szesnaście mil na północ od miasta. Początkowo droga była nie najgorsza, choć napotkaliśmy więcej niż jedno strome wzgórze, gdzie musieliśmy wysiąść i iść pieszo, bo konie by nas nie uciągnęły. Przy rowach rosło wiele kwiatów, stokrotek i innych, a nad nimi latały motyle. Okolica była bardzo ładna. Zastanawiałam się, czyby nie zebrać bukietu, ale po drodze na pewno by zwiądł.

Po jakimś czasie droga się pogorszyła, zaczęły się koleiny i kamienie, i tak nami trzęsło, że mało nie połamaliśmy sobie kości. Na pagórkach dusił nas kurz, w zagłębieniach leżało błoto, przykryte kłodami drewna. Usłyszałam, że kiedy pada, droga ta przypomina bagno, a w marcu, podczas wiosennych roztopów, w ogóle jest nieprzejezdna. Najlepszą porą roku była zima, kiedy błoto zamarza na kość i można skorzystać z sani. Istniało jednak ryzyko zamieci i zamarznięcia, gdyby sanie się przewróciły, a niekiedy zdarzały się zasypy śnieżne wysokości domu i wtedy jedynym ratunkiem była modlitwa i potężny łyk whisky. Wszystko to i jeszcze więcej opowiedział mi mężczyzna, który siedział ściśnięty koło mnie; mówił, że handluje sprzętem rolniczym i zbożem, i że doskonale zna tę drogę.

Niektóre z domów, które mijaliśmy, wyglądały okazale i pięknie, inne jednak były zwykłymi chatami z drewna, niskimi i biednie wyglądającymi. Ogrodzenia pól były tu inne, z kłoców ustawionych zygzakami albo z korzeni drzew wykopanych z ziemi, które wyglądały jak gigantyczne kłęby drewnianych włosów. Co jakiś czas napotykalismy skrzyżowanie z kilkoma stłoczonymi domami i gospodą, gdzie można było wymienić konie albo dać im odpocząć i zamówić szklaneczkę whisky. Kilku mężczyzn, których tam zobaczyłam, wypilo o wiele więcej niż jedną szklaneczkę; byli niechlujnie ubrani i impertynency. Paru podeszło do mojego dyliżansu i usiłowało zajrzeć mi pod czepek. Kiedy zatrzymaliśmy się w połowie dnia, sprzedawca sprzętu rolniczego spytał, czy chciałabym wejść z nim do gospody i napić się czegoś orzeźwiającego, ale ja odmówiłam, gdyż porządna kobieta nie powinna chodzić z nieznanym w takie miejsca. Miałam ze sobą chleb i ser, a wody mogłam się napić ze studni na podwórzu, i to mi wystarczało.

Na podróż włożyłam porządne letnie ubranie. Miałam słomkowy kapelusz ozdobiony niebieską wstążką ze skrzyni Mary, a pod spodem czepek, oraz bawełnianą sukienkę z bufiastymi rękawami, które wtedy wychodziły z mody, ale nie miałam czasu ich przerobić. Suknia była kiedyś w czerwone kropki, które w praniu odbarwiły się i zrobiły różowe. Dostałam ją jako część wynagrodzenia u Coatesów. Dwie halki – jedną rozdartą, ale starannie zacerowaną, a drugą za krótką, ale kto by to dostrzegł? Bawełnianą koszulę i używany gorset, które kupiłam od domokrażcy Jeremiasza, i białe bawełniane pończochy – pocerowane, ale jeszcze nadające się do noszenia. Parę butów od szewca pana Watsona, które nie były najlepszej jakości i cisnęły, gdyż najlepsze buty przywożono z Anglii. Letni szal z zielonego muślinu i chusteczkę od Mary, którą kiedyś dostała

od swojej matki – białą w małe niebieskie kwiatki, jaskry, złożoną w trójkąt i zawiązaną na szyi, żeby nie dostać piegów od słońca. Wielką pociechą było dla mnie to, że mogłam coś mieć po Mary. Nie miałam jednak rękawiczek. Nikt mi nigdy nie dał żadnych, a były dla mnie za drogie.

Moje zimowe ubranie, czerwona flanelowa halka i gruba suknia, wełniane pończochy i flanelowa koszula nocna, a także dwie bawełniane na lato, letnia suknia do pracy, chodaki, dwa czepki i fartuch oraz inne moje drobiazgi były zawinięte w szal mojej matki, związane w tobołek i umieszczone na dachu dyliżansu. Tobolek był mocno przywiązany, ale przez całą podróż byłam niespokojna, bo bałam się, że spadnie i zginie gdzieś na drodze, ciągle więc wykręcałam głowę do tyłu.

– Nigdy nie oglądaj się za siebie – powiedział sprzedawca sprzętu rolniczego.

– Dlaczego? – spytałam. Wiedziałam, że nie powinnam rozmawiać z nieznanym, ale trudno było tego uniknąć, siedząc tak blisko siebie.

– Dlatego, że przeszłość to przeszłość – odparł – a żal jest nadaremny. Co było, to było. Wie pani, co się przydarzyło żonie Lota. Zamieniła się w słup soli. Szkoda jej, taka dobra kobieta. Chociaż z odrobiną soli są lepsze. – Roześmiał się. Nie byłam pewna, co miał na myśli, ale podejrzewałam, że nic dobrego, i postanowiłam już z nim nie rozmawiać.

Komary bardzo nam dokuczały, zwłaszcza w błotnistych miejscach i na skraju lasu, bo choć część ziemi koło drogi została oczyszczona, wciąż stało tam dużo drzew, bardzo wysokich i ciemnych. Powietrze w lesie ma inny zapach: jest chłodne i wilgotne, pachnie mchem i starymi liśćmi. Nie ufałam lasom, bo było w nich dużo dzikich zwierząt, takich jak niedźwiedzie i wilki, pamiętałam też opowieść Nancy o niedźwiedziu.

Sprzedawca sprzętu rolniczego spytał:

– Bałaby się pani wejść do lasu, panienko?

A ja odparłam:

– Nie, ale nie weszłabym tam, gdybym nie musiała.

– Młode kobiety nie powinny same chodzić do lasu, nigdy nie wiadomo, co im się tam może przydarzyć. Niedawno znaleziono w lesie kobietę bez ubrania i z urwaną głową.

– Och, to na pewno niedźwiedzie – powiedziałam.

– Niedźwiedzie albo Czerwoni Indianie. Lasy są ich pełne. W każdej chwili mogą wyskoczyć i w try miga zedrzyć pani czepki razem ze skalpem. Wie pani, oni lubią obcinać kobietom włosy. Potem sprzedają je po dobrej cenie w Stanach. Pani z pewnością ma gęste włosy. – Przez cały ten czas tak się do mnie przyciskał, że wydawało mi się to nieprzyzwoite.

Wiedziałam, że kłamie, jeżeli nie na temat niedźwiedzi, to na pewno Indian, i tylko próbuje mnie nastraszyć. Powiedziałam więc zuchwale:

– Prędeż zawierzyłabym swoją głowę Indianom niż panu. – Na co on się roześmiał, choć mówiłam całkiem poważnie. Widziałam Indian w Toronto; czasami podchodzili pod kuchenne drzwi domu pani Parkinson z koskami i rybami do sprzedania. Zawsze mieli nieruchome twarze i trudno było odgadnąć, co sobie myślą, lecz kiedy im się kazało, odchodzili. Mimo wszystko ucieszyłam się, kiedy wyjechaliśmy z lasu, zobaczyliśmy

płoty, domy i suszące się pranie i poczuliśmy zapach płonącego drewna i dymu z palenisk.

Po jakimś czasie, kiedy mijaliśmy dom, z którego zostały tylko szerniałe fundamenty, handlarz wskazał na niego i powiedział, że to słynna gospoda Montgomery'ego; tam właśnie buntownik Mackenzie spotykał się ze swoją bandą i stamtąd rozpoczął swój marsz wzdłuż Yonge Street podczas powstania. Potem gospoda została spalona. Powiesili paru zdrajców, a tego drania Mackenzie powinni byli przywlec z powrotem ze Stanów, dokąd uciekł, zostawiając przyjaciół, którzy zawisli na stryczku przeznaczonym dla niego. Handlarz miał w kieszeni flaszkę, z której już zdążył solidnie pociągnąć, co poznałam po jego oddechu, a kiedy mężczyzna jest w takim stanie, lepiej go nie prowokować, więc zamilkłam.

Do Richmond Hill dotarliśmy późnym popołudniem. Miejsce to niezbyt przypominało miasto, bardziej wieś. Domy stały rzędem wzdłuż Yonge Street. Wsiadłam przy gospodzie, gdzie się umówiłam z Nancy, a woźnica zdjął z dachu mój tobolek. Handlarz również wysiadł i spytał, gdzie się zatrzymam, a ja odparłam, że ciekawość to pierwszy stopień do piekła. Na to ujął mnie pod rękę i powiedział, że muszę z nim pójść do gospody i napić się za stare czasy, skoro tak dobrze się poznaliśmy w dylizansie. Próbowałam się wyrwać, ale nie chciał mnie puścić i zaczął się robić coraz bardziej poufały. Próbował mnie objąć w talii. Paru mężczyzn, którzy beczynnie stali pod gospodą, zachęcało go do tego. Rozejrzałam się za Nancy, ale nigdzie jej nie zobaczyłam. Pomyślałam, że to musi robić fatalne wrażenie – taka szamotanina z pijanym mężczyzną pod gospodą.

Drzwi do gospody były otwarte i w tejże chwili pojawił się w nich domokrażca Jeremiasz z tobołem na plecach i długim kosturem. Bardzo się ucieszyłam na jego widok i zawołałam go. Spojrzał zdumiony i czym prędzej do mnie podszedł.

– To ty, Grace? – powiedział. – Nie spodziewałem się ciebie tutaj.

– Ani ja pana – odparłam i uśmiechnęłam się, choć byłam nieco wzburzona zachowaniem handlarza, który wciąż czepiał się mego ramienia.

– To twój znajomy? – spytał Jeremiasz.

– Nie – zaprzeczyłam.

– Ta dama nie życzy sobie pańskiego towarzystwa – powiedział Jeremiasz tonem eleganckiego dżentelmena, na co handlarz odparł, że żadna ze mnie dama, i dodał coś, co nie było komplementem, a także rzucił parę ostrych słów o matce Jeremiasza.

Jeremiasz ujął swój kostur i uderzył nim handlarza w rękę, a wtedy ten natychmiast mnie puścił. Potem Jeremiasz go popchnął i mężczyzna zatoczył się pod ścianę gospody i upadł na stertę końskiego łajna. Gapie zaczęli się z niego wyśmiewać, bo tego rodzaju ludzie zawsze wyśmiewają się z tych, którzy przegrywają.

– Masz tu gdzieś posadę? – spytał Jeremiasz, kiedy już mu podziękowałam. Przytaknęłam, a on powiedział, że przyjdzie kiedyś coś mi sprzedać, i wtedy nadszedł jakiś trzeci mężczyzna.

– Ty jesteś Grace Marks? – powiedział, lub coś w tym rodzaju. Nie przypominam

sobie dokładnie jego słów. Potwierdziłam, na co on powiedział, że nazywa się Thomas Kinnear, jest moim nowym pracodawcą i że po mnie przyjechał. Miał bryczkę zaprzężoną w jednego konia – potem dowiedziałam się, że ma na imię Charley. Był to gniady, bardzo piękny wałach z cudną grzywą i ogonem i wielkimi brązowymi oczami. Pokochałam go czule od pierwszego spojrzenia.

Pan Kinnear kazał stajennemu położyć mój tobołek na tyle bryczki – leżało tam już kilka pakunków – i powiedział:

– Jesteś tu zaledwie parę minut, a już zdążyłaś sobie zdobyć dwóch szarmanckich adoratorów. – Kiedy zaprzeczyłam, spytał: – Nie szarmanckich czy nie adoratorów? – Byłam zupełnie zdezorientowana i nie wiedziałam, co odpowiedzieć.

– Wsiadaj, Grace – rzekł potem.

– Och, mam usiąść z przodu? – spytałam.

– Nie możemy cię umieścić z tyłu jak bagaż – odparł i pomógł mi wsiąść. Zawstydziałam się, bo nie byłam przyzwyczajona do siedzenia koło dżentelmena, zwłaszcza takiego, który był moim pracodawcą, on jednak bez wahania usiadł koło mnie, cmoknął na konia i ruszyliśmy Yonge Street. Czułam się jak wielka dama. Pomyślałam, że każdy, kto wygląda teraz przez okno, będzie miał o czym plotkować. Jak się jednak później przekonałam, pan Kinnear nie zwracał uwagi na plotki i nie dbał o to, co ludzie o nim mówią. Miał własne pieniądze i nie ubiegał się o żaden urząd polityczny, więc mógł sobie pozwolić na ignorowanie takich spraw.

– Jak wyglądał? – pyta doktor Jordan.

– Nosił się jak dżentelmen, proszę pana. I miał wąsy.

– To wszystko? Nie przyjrzałaś mu się zbyt dokładnie!

– Nie chciałam się na niego gapić, a kiedy wsiadłam do bryczki, nie spojrzałam na niego ani razu. Z powodu czepka musiałabym odwrócić całą głowę. Pan chyba nigdy nie nosił czepka?

– Nie – mówi doktor Jordan i uśmiecha się tym swoim krzywym uśmiechem. – To pewnie niewygodne?

– Zgadza się, proszę pana. Widziałam jednak rękawiczki, kiedy ściągał cugle. Bładoróżowe, z miękkiej skórki i tak dopasowane, że nie było na nich ani jednej zmarszczki. Można by pomyśleć, że to jego własna skóra. Tym bardziej przykro mi się zrobiło, że ja nie mam rękawiczek, i szybko schowałam ręce pod fałdami szala.

– Pewnie jesteś bardzo zmęczona, Grace – powiedział, a kiedy przytaknęłam, dodał: – Jest bardzo ciepło. – Ja znowu przytaknęłam.

Pojechaliśmy dalej i muszę przyznać, że było to o wiele gorsze niż jazda rozklekotanym dyliżansem obok sprzedawcy narzędzi rolniczych. Nie wiem dlaczego, gdyż pan Kinnear był bardzo miły. Richmond Hill to niewielkie miasteczko i wkrótce dojechaliśmy na miejsce. Pan Kinnear mieszkał za rogatkami, ponad milę na północ od miasta.

Wjechaliśmy w sad i na kręty podjazd, który miał jakieś sto metrów i biegł między rzędami klonów średniej wysokości. Na końcu podjazdu stał dom z werandą i białymi kolumnami – duży, choć nie aż tak jak dom pani Parkinson.

Zza domu dochodziły odgłosy rąbania drewna. Na płocie siedział chłopiec – miał

może ze czternaście lat – a kiedy podjechaliśmy, zeskoczył i podbiegł, by przytrzymać konia. Miał rude, nieporządnie przystrzyżone włosy i piegi. Pan Kinneer powiedział:

– Jamie, to jest Grace Marks, która przyjechała aż z Toronto. Czekala na mnie w gospodzie.

Chłopak spojrzal na mnie i wyszczerzył zęby w uśmiechu, jakby uznał, że jest we mnie coś śmiesznego, ale naprawdę był tylko nieśmiały i niezdamy.

Przed werandą rosły kwiaty: białe peonie i różowe róże, które ścinała jakaś wdzięcznie ubrana dama w sukni z potrójną falbaną. Na ramieniu miała zawieszony koszyk, do którego je wkładała. Kiedy usłyszała chrzęst końskich kopyt na żwirze, wyprostowała się i osłoniła oczy ręką. Spozrzegłam, że nosi rękawiczki. Wtedy poznałam, że to Nancy Montgomery. Miała na głowie czepeczek tego samego koloru co suknia i wyglądała tak, jakby włożyła najlepsze ubranie po to tylko, by ściąć parę kwiatów. Pomachała w moją stronę, ale nie podeszła, i wtedy coś ścisnęło mnie za serce.

Wsiąść do bryczki było łatwiej, niż z niej wysiąść, gdyż pan Kinneer nie podał mi ręki, tylko zeskoczył, podbiegł do domu i pochylił się ku Nancy, zostawiając mnie samą w bryczce niczym worek kartofli. Wreszcie bez niczyjej pomocy jakoś się wygramoliłam. Zza domu wyszedł mężczyzna z siekierą. To pewnie on rąbał drewno. Przez ramię przewieszoną miał grubą kurtkę, a rękawy rozpiętej koszuli podwinięte. Na szyi miał czerwoną chustkę, a luźne spodnie wetknął w buty. Był ciemnowłosy, szczupły, choć niezbyt wysoki, i wyglądał na nie więcej niż dwadzieścia jeden lat. Nie odezwał się ani słowem, tylko spojrzal na mnie podejrzliwie i marszcząc nieco czoło, jakbym była jego wrogiem. Zdawało się, że w ogóle na mnie nie patrzy, tylko gdzieś poza mną.

Mały Jamie powiedział do niego:

– To jest Grace Marks.

Mężczyzna jednak nic na to nie odpowiedział. Potem Nancy zawołała:

– McDermott, wprowadź konia, jeśli łaska, i zanieś rzeczy Grace do jej pokoju. –

Na te słowa mężczyzna zaczerwienił się, jakby z gniewu, i kiwnął na mnie głową, bym za nim poszła.

Stałam tam przez chwilę, oślepiąca rażącym słońcem, patrząc na Nancy i pana Kinneara za peoniami. Otaczała ich złotawa poświata, jak gdyby spadł na nich z nieba złoty pył. Usłyszałam, że się śmieją. Byłam zgrzana, zmęczona, głodna i cała pokryta kurzem z drogi, a ona nie powitała mnie ani słowem.

Potem poszłam za koniem i bryczką za dom. Jamie, który szedł za mną, powiedział nieśmiało:

– Toronto jest takie duże. Nigdy tam nie byłem.

Ale ja odparłam tylko: „Dość duże”. Nie mogłam się zdobyć na obszerniejszą odpowiedź, bo akurat w tej chwili zrobiło mi się strasznie żal, że w ogóle stamtąd wyjechałam.

Kiedy zamykam oczy, widzę wyraźnie, jak na obrazie, każdy szczegół tego domu – werandę z kwiatami, okna i białe kolumny w oślepiającym słońcu – i mogłabym z zawiązanymi oczami przejść przez wszystkie pokoje, choć wtedy nie wywoływał on we mnie żadnych uczuć i marzyłam tylko o łyku wody. Dziwne, kiedy się pomyśli, że ze wszystkich jego mieszkańców pół roku później tylko ja pozostałam przy życiu.

Oczywiście poza Jamiem Walshem, ale on tam nie mieszkał.

McDermott pokazał mi mój pokój, który znajdował się za zimową kuchnią. Nie potrafił się przy tym zachować, powiedział tylko:

– Masz tu spać.

Kiedy rozpakowywałam swój tobołek, weszła Nancy – teraz cała w uśmiechach. Powiedziała, że bardzo się cieszy, że mnie widzi. Posadziła mnie przy stole w zimowej kuchni, gdzie było chłodniej niż w letniej, bo w piecu nie było napalone, i pokazała mi, gdzie mogę obmyć twarz i ręce, po czym dała mi szklaneczkę piwa i trochę wołowiny na zimno.

– Na pewno jesteś zmęczona po podróży – powiedziała. Usiadła ze mną, kiedy jadłam.

W uszach miała prześliczne kolczyki; od razu rozpoznałam, że są złote, i zdziwiłam się, że było ją na nie stać z pensji gospodyni.

Kiedy się odświeżyłam, oprowadziła mnie po domu i obejściu. Letnia kuchnia była zupełnie oddzielona od reszty domu, żeby się w niej nie nagrzewało, co wydało mi się bardzo rozsądnym rozwiązaniem, które powinno się wprowadzić wszędzie. Podłoga w obu kuchniach była wyłożona kamiennymi płytami i w każdej stał pokaźnej wielkości piec żelazny z płaskim fartuchem z przodu, służącym do utrzymywania temperatury gotowanych rzeczy, co było wówczas najnowszym wynalazkiem. Były tu też zlewy z rurą odprowadzającą wodę, spiżarka i chłodziarnia. Pompa znajdowała się na podwórzu pomiędzy kuchniami. Cieszyłam się, że nie jest to otwarta studnia, gdyż są one o wiele bardziej niebezpieczne: może tam coś wpaść, a poza tym zdarzają się w nich szczury.

Za letnią kuchnią mieściła się stajnia połączona z powozownią. Było tam wystarczająco dużo miejsca na dwa powozy, ale pan Kinneear trzymał tylko bryczkę. Przypuszczam, że prawdziwy powóz nie sprawdziłby się na tamtejszych drogach. W stajni były aż cztery boksy, lecz pan Kinneear miał tylko jedną krowę i dwa konie: Charleya i żrebaka, który w przyszłości miał zostać wierzchowcem. Zaprzęgownia znajdowała się za zimową kuchnią, co wydało mi się dziwne, a także niewygodne.

Nad stajnią było poddasze, gdzie spał McDermott. Nancy powiedziała, że jest tu dopiero od tygodnia i chociaż szybko spełnia polecenia pana Kinneeara, to sprawia wrażenie, jakby żywił do niej jakąś urazę, i niekiedy zachowuje się impertynencko. Odparłam, że może ma żal do całego świata, bo wobec mnie również nie jest zbyt miły. Nancy powiedziała, że jeśli chodzi o nią, to albo się poprawi, albo zostanie zwolniony, bo w jego stronach znalazłoby się wielu chętnych do pracy, takich jak choćby bezrobotni żołnierze.

Zawsze lubiłam zapach stajni. Poklepałam żrebaka po pysku, przywitałam się z Charleyem i krowami, bo przypuszczałam, że do moich obowiązków będzie należało dojenie, a chciałam być z nimi w dobrych stosunkach. McDermott kładł akurat słomę dla zwierząt. Poza mruknięciem nie wykrztusił z siebie ani słowa, tylko spojrzął spode łba na Nancy, a ja się zorientowałam, że nie darzy jej zbytnią sympatią. Kiedy wychodziłyśmy

ze stajni, Nancy powiedziała:

– Albo go ujarzmimy, albo droga wolna, a raczej rynsztok. – Po czym się roześmiała. Miałam nadzieję, że tego nie usłyszał.

Potem obejrzałyśmy kurnik i wybieg dla kur otoczony wierzbowym płotem, żeby kurczaki nie puciekały, choć nie na wiele by się zdał w razie napaści lisa albo łasicy, czy szopa, które kradną jajka. Następnie poszłyśmy do kuchennego ogrodu, który był bujny, lecz wymagał opielenia. Daleko, na końcu ścieżki, znajdował się wychodek.

Pan Kinneear miał dużo ziemi, pastwisko, które trzymał dla krowy i koni, niewielki sad przy Yonge Street oraz parę innych pól pośrodku wykarczowanych lasów. Nancy powiedziała, że dogląda ich ojciec Jamiego Walsh, który miał domek jakieś ćwierć mili stamtąd. Z miejsca, w którym stałyśmy, było widać jego dach i komin wystający spomiędzy drzew. Jamie był bystrym i dobrze zapowiadającym się chłopcem, który załatwiał dla pana Kinneeara różne sprawunki. Potrafił też grać na flecie, a raczej nazywał ten instrument fletem, bo bardziej przypominał on fujarkę. Nancy obiecała, że któregoś wieczora Jamie przyjdzie nam zagrać. Lubiła muzykę i sama uczyła się grać na pianinie. Zdziwiło mnie to, gdyż nie była to zwykła rzecz u gospodyni. Nic jednak nie powiedziałam.

Na podwórzu między dwiema kuchniami wisały trzy sznury do bielizny. Nie było tu osobnej pralni; miedziane naczynia, balia i tara doskonałej jakości stały w letniej kuchni koło pieca. Z zadowoleniem stwierdziłam, że nie robią tu własnego mydła, tylko używają kupnego, które łatwiej się mydli.

Nie trzymali też świni, z czego się również ucieszyłam, bo śwynie są na tyle sprytne, by uciec z kojca, a poza tym ich zapach jest nie do zniesienia. Były dwa koty, które mieszkały w stajni, gdzie łapały myszy i szczury, ale nie było psa, gdyż stary pies pana Kinneeara niedawno zdechł. Nancy powiedziała, że rażniej by się czuła z psem, który czekałby na obcych. Pan Kinneear szukał psa myśliwskiego. Nie był zbyt dobrym myśliwym, ale lubił czasami jesienią ustrzelić kaczkę czy dziką gęś, które były tu bardzo liczne, lecz Nancy nie smakowało ich żylaste mięso.

Wróciłyśmy do zimowej kuchni i poszłyśmy korytarzem prowadzącym do ogromnego wejściowego hallu, w którym stał kominek, na ścianach wisały jelenie rogi, ściany były wyłożone zieloną tapetą, a na podłodze leżał piękny turecki dywan. W tym hallu znajdowały się drzwi zapadowe do piwnicy i żeby się do nich dostać, trzeba było unieść róg dywanu. Uważałam, że to dość niezwykle miejsce jak na wejście do piwnicy, bardziej by się do tego nadawała kuchnia, pod nią jednak nie było piwnicy. Do piwnicy schodziło się po stromych schodach, a sama piwnica była podzielona ścianką na dwie części: po jednej stronie znajdowała się mlecznia, gdzie trzymano masło i sery, a po drugiej stronie przechowywano wino i piwo w beczkach, jabłka, marchew, buraki i ziemniaki w pudłach z piachem. Było tam okno, ale Nancy powiedziała, że zawsze lepiej wziąć świecę albo latarnię, bo na dole jest bardzo ciemno i można potknąć się na schodach i złamać sobie kark.

Wtedy nie zeszyłyśmy do piwnicy.

Za hallem znajdował się frontowy salon z własnym piecem i dwoma obrazami: na jednym była namalowana jakaś rodzina, pewnie przodkowie, gdyż mieli surowe miny i staroświeckie stroje, a na drugim wielki, tłusty byk z krótkimi nogami. Stało tam też pianino: nie fortepian, tylko zwykłe salonowe pianino, i okrągła lampa na najlepszy olej z wieloryba, przywieziona ze Stanów. Wtedy nie było jeszcze lamp kerosenowych. Za salonem mieściła się jadalnia, również z kominkiem, gdzie w zamkniętym kredensie stały srebrne świeczniki, elegancka porcelana i platery. Nad kominkiem wisiał obraz z martwymi bażantami, co wydało mi niestosowne w miejscu, gdzie się je. Ten pokój połączony był z salonem podwójnymi drzwiami, ale można było do niego wejść również przez pojedyncze drzwi z korytarza prowadzącego do kuchni, skąd przynoszono jedzenie. Po drugiej stronie korytarza znajdowała się biblioteka pana Kinneara, ale nie weszliśmy do niej, bo pan akurat czytał, a za nią mały gabinet, czy raczej pokoik z biurkiem, przy którym pisał listy i podpisywał umowy.

Z frontowego hallu prowadziły na górę wspaniałe schody z wypolerowaną balustradą. Weszliśmy po nich. Na piętrze była sypialnia pana Kinneara z ogromnym łóżem i przylegającą do niej ubieralnią z toaletką, owalnym lustrem i rzeźbioną szafą. W sypialni wisiał portret kobiety bez ubrania, która leżała na sofie odwrócona plecami i spoglądała przez ramię. Na głowie miała coś w rodzaju turbanu, a w ręku trzymała wachlarz ze strusich piór. Jak wiadomo, strusie pióra przynoszą nieszczęście. Były tylko na obrazie, ale ja bym ich nie trzymała w swoim domu. Znajdował się tam jeszcze jeden obraz, na którym również widniała naga kobieta biorąca kąpiel, nie miałam jednak okazji mu się przyjrzeć. Trochę mnie to zmierzwiło, że pan Kinneary ma w sypialni dwie nagie kobiety, gdyż u pani Parkinson wisiały głównie krajobrazy i kwiaty.

W głębi korytarza była sypialnia Nancy, niezbyt duża. W każdym pokoju leżał dywan. Te dywany powinno się wytrzeć i wyczyścić na lato, ale Nancy z braku pomocy nie zajęła się tym. Zdziwiłam się, że jej sypialnia jest na tym samym piętrze co sypialnia pana, ale nie było tu drugiego piętra ani poddasza, jak w domu pani Parkinson, który był o wiele większy. Znajdował się tu też pokój gościnny. Na końcu korytarza stała szafa, na takie rzeczy jak zimowe ubrania, i przeznaczony na pościel kredens z wieloma półkami. Obok pokoju Nancy był mały pokoik, który nazywała swoją szwalnią i w którym stał stół i krzesło.

Kiedy już obejrzałyśmy pomieszczenia na piętrze, zeszłyśmy na dół i omówiłyśmy moje obowiązki. Pomyślałam sobie, jak to dobrze, że jest lato, bo inaczej musiałabym wszędzie rozpalić ogień i wyczyścić wszystkie piece. Nancy powiedziała, że oczywiście nie muszę zaczynać już dzisiaj, tylko następnego dnia i że na pewno chciałabym odpocząć. Było tak w istocie i gdy tylko słońce zaszło, położyłam się spać.

– I potem przez dwa tygodnie wszystko toczyło się bardzo spokojnie – mówi doktor Jordan. Czyta na głos moje zeznanie.

– Tak, proszę pana. Mniej więcej.

– Co to znaczy „wszystko”? Jak się toczyło?

– Słucham, proszę pana?

– Co robiłaś codziennie?

– Och, to co zwykle – mówię. – Wykonywałam swoje obowiązki.

– Wybacz, ale na czym polegały te obowiązki?

Spoglądam na niego. Ma żółty krawat w białe kwadraciki. Nie żartuje sobie ze mnie. On naprawdę tego nie wie. Mężczyźni tacy jak on nie muszą po sobie sprzątać, a my musimy sprzątać nie tylko po sobie, ale i po nich. Pod tym względem są jak dzieci, nie muszą myśleć naprzód ani przejmować się konsekwencjami swojego postępowania. Ale to nie ich wina, po prostu tak ich wychowano.

Następnego dnia obudziłam się o świcie. W mojej maleńkiej sypialni było gorąco, bo zaczęło się już lato. Było też ciemno, bo na noc okiennice zamykano na wypadek intruzów. Okna też były pozamykane, żeby nie wlatywały komary i muchy. Pomyślałam, że muszę zdobyć kawałek muszliny i zasłonić nim okno, albo przynajmniej łóżko, i że porozmawiam o tym z Nancy. Z powodu upału spałam w samej koszuli.

Wstałam z łóżka i otworzyłam okno i okiennice, żeby wpuścić trochę światła, i odwróciłam na drugą stronę pościel, żeby ją przewietrzyć, a potem włożyłam suknię do pracy i fartuszek, upięłam włosy i założyłam czepeczek. Zamierzałam staranniej upiąć włosy później, kiedy będę mogła skorzystać z lustra w kuchni, gdyż w moim pokoju nie było lustra. Podwinęłam rękawy, wsunęłam na nogi trepy i otworzyłam zasuwkę u drzwi. Zawsze je zamykałam, bo gdyby ktoś chciał się włamać do domu, najpierw pojawiłyby się w moim pokoju.

Lubiłam wcześniej wstawać – w ten sposób mogłam trochę poudawać, że to mój własny dom. Pierwszą rzeczą, jaką zrobiłam, było opróżnienie nocnika do wiadra na nieczystości. Potem wyszłam z wiadrem przez drzwi kuchni zimowej, odnotowując w pamięci, że podłozie przydałoby się solidne szorowanie, gdyż Nancy to zaniedbała i nabierało się sporo błota. Powietrze na dworze było rześkie, na wschodzie malowała się różowa łuna, a znad pól unosiła się perłowoszara mgiełka. Gdzieś nieopodal śpiewał ptak – pomyślałam, że to pewnie strzyżyk – a w oddali krakały wrony. O brzasku wszystko wyglądało tak, jakby zaczynało się od nowa.

Konie musiały usłyszeć skrzypienie otwieranych drzwi, bo zarżały. Nie moim jednak obowiązkiem było nakarmienie ich czy wypuszczenie na pastwisko, choć zrobiłabym to z ochotą. Krowa również zamuczała; na pewno miała pełne wymiona, ale musiała zaczekać, bo nie mogłam zrobić wszystkiego naraz.

Poszłam ścieżką, minęłam kojec dla kur i kuchenny ogród oraz pokryte rosą chaszczki, odsuwając pajęczyny, które powstały w nocy. Nigdy nie zabiłabym pająka. Mary Whitney mówiła, że to przynosi pecha, i nie tylko ona tak twierdziła. Kiedy znajdowałam pająka w domu, brałam go na koniec szczotki i wynosiłam na zewnątrz, ale pewnie kilka niechcący zabiłam, bo i tak miałam pecha.

Doszłam do wygodki, opróżniłam wiadro i tak dalej.

– I tak dalej? – pyta doktor Jordan.

Spoglądałam na niego. Doprawdy, jeśli nie wie, co się robi w wychodku, to już nie ma dla niego żadnej nadziei.

– Zadarłam spódnice i usiadłam nad bzyczącymi muchami na tej samej desce, na której siadali wszyscy domownicy – pani, nie pani – wszyscy tak samą szczają i pachnie to tak samo, żadnymi tam różami, jak mawiała Mary Whitney. Do podarcia się był tam stary egzemplarz „Ladies’ Book” Godeya. Przed użyciem zawsze najpierw oglądałam

obrazki. Większość z nich przedstawiała najmodniejsze fasony, ale na niektórych były angielskie księżne i wyższe sfery z Nowego Jorku i tak dalej. Nigdy nie powinno się pozwalać, by zamieszczono twoją podobiznę w gazecie, bo nigdy nie wiadomo, jaki potem ktoś zrobi z niej użytek, kiedy już wymknie ci się spod kontroli.

Tego jednak nie powiedziałam doktorowi.

– I tak dalej – powiedziałam stanowczo, ponieważ tylko tyle mu się należy. To, że chce wszystko wiedzieć, nie znaczy jeszcze, że mam mu się opowiadać.

– Potem zniosłam wiadro na nieczystości do pompy na podwórzu – mówię – i zalałam pompę wodą z wiadra, które było do tego przeznaczone, gdyż najpierw trzeba wlać do pompy trochę wody, żeby cokolwiek z niej wydobyć, a Mary Whitney mawiała, że dokładnie tak samo mężczyźni myślą o prawieniu komplementów kobiecie, kiedy mają wobec niej nieczyste zamiary. Wypłukałam wiadro i obmyłam twarz, a potem nabrałam wody w ręce, żeby się napić. Woda u pana Kinneara była dobra, nie czuć jej było siarką. Słońce zaczęło już wschodzić i osuszać mgłę. Wiedziałam, że będzie piękny poranek.

Potem poszłam do letniej kuchni i zaczęłam rozpałać w piecu. Wygarnęłam popiół z poprzedniego dnia, żeby potem go wysypać w wychodku albo w kuchennym ogrodzie, co pomaga na ślimaki. Piec był nowy, ale miał swoje humory i rozpalony po raz pierwszy wyrzucił z siebie kłęby dymu, jak czarownica na stosie. Musiałam najpierw nasypać węgla i podpaliłam go starymi gazetami – pan Kinneare lubił czytać gazety i prenumerował kilka – i szczapami drewna. Ogień zakasłał, a kiedy dmuchnęłam przez drzwiczki, wreszcie zaczął buzować. Drewno na opał było w zbyt dużych kawałkach, więc musiałam je rozdrobnić pogrzebaczem. Pomyślałam, że później będę musiała porozmawiać o tym z Nancy, która pogada z McDermottem odpowiedzialnym za takie sprawy.

Potem wyszłam na podwórze, napompowałam wiadro wody, zniosłam je do kuchni, napełniłam czajnik i postawiłam go na piecu.

Następnie ze skrzynki w zimowej kuchni wzięłam dwie stare marchwie, włożyłam je do kieszeni i udałam się do obory z wiadrem na mleko. Marchewki były dla koni; dałam je im ukradkiem. To były tylko dwie stare marchwie, więc nikogo nie pytałam, czy mogę je wziąć. Nasłuchiwałam, czy McDermott nie przeciąga się na swoim poddaszu, ale nie usłyszałam nic: spał jak zabity albo już pracował.

Potem wydoiłam krowę. To była dobra krowa i nie opierała mi się. Zdarzają się bardzo złośliwe krowy, które potrafią cię wziąć na rogi albo porządnie kopnąć, ale ta nie była taka i kiedy przycisnęłam czoło do jej boku, stała spokojnie. Koty przyszły miaucząc, zwabione zapachem mleka, więc im trochę odlałam. Potem pożegnałam się z końmi, a Charley wsadził pysk do kieszeni mojego fartuszka. Doskonale wiedział, gdzie trzymam marchewki.

W drodze powrotnej usłyszałam jakiś dziwny dźwięk dochodzący z góry. Jakby ktoś wściekle walił dwoma młotami albo uderzał w drewniany bęben. Początkowo nie mogłam się rozeznać, co to takiego, ale kiedy się przysłuchałam, doszłam do wniosku, że to McDermott stepuje na gołych deskach poddasza. Nieźle mu to wychodziło, ale dlaczego tańczył sam, tak wcześnie rano? Może z czystej radości i przyływu zwierzęcej energii, chociaż nie wydawało mi się.

Zaniosłam mleko do letniej kuchni i część odlałam, do herbaty. Potem przykryłam wiadro z mlekiem, żeby muchy nie powpadały, i zostawiłam, żeby zrobiła się śmietanka. Zamierzałam później zrobić z niego masło – jeśli nie będzie burzy, bo masło nie wychodzi, kiedy trzaskają pioruny. Następnie przez jakiś czas sprzątałam swój pokój.

Trudno go było nazwać pokojem: nie było tam ani tapet, ani obrazów, czy choćby zasłon. Szybko zamiotłam go miotłą, wypłukałam nocnik i schowałam go pod łóżko. Znalazłam masę kotów – jak z całej owcy – widać było, że dawno tam nie sprzątano. Przetrzepałam siennik, wygładziłam prześcieradła, uklepałam poduszkę i zaciągnęłam kołdrę. Była to stara, podniszczona kołdra, choć pamiętała czasy dawnej świetności: „Daremny Trud”. Pomyślałam o kołdrach, które sama sobie zrobię, kiedy już zaoszczędzę wystarczająco dużo ze swoich zarobków, wyjdę za mąż i będę miała własny dom.

Posprzątanie pokoju dało mi dużą satysfakcję. Kiedy wejdę do niego pod koniec dnia, będzie schludny i czyściutki – zupełnie jakby wysprzątała go dla mnie służąca.

Potem wzięłam koszyk na jajka, pół wiadra wody i poszłam do kurnika. Na podwórzu James McDermott splukiwał swoją ciemną głowę pod pompą, ale chyba mnie usłyszał, bo wyprostował się i przez chwilę patrzył na mnie tym swoim zagubionym spojrzeniem, dzikim i szalonym, jak na wpół utopione dziecko – zupełnie jakby się bał, że ktoś go ściga. Kiedy jednak zobaczył kto to, pomachał do mnie wesoło, co było bardzo przyjaznym gestem z jego strony – jedynym, jaki mi dotąd okazał. Miałam obie ręce zajęte, więc tylko kiwnęłam głową.

Wylałam wodę dla kur i wypuściłam je z kurnika, a kiedy piły i walczyły o pierwszeństwo, weszłam do kurnika i zebrałam jajka – były duże, bo takie zwykle są o tej porze roku. Potem rozsypałam ziarno i odpadki z kuchni z poprzedniego dnia. Nie bardzo lubiłam kury; zawsze wolałam włochate zwierzęta od tych gdaczących, skrzeczących ptaków dziobiących w ziemi. Jeśli się jednak chce mieć jajka, trzeba jakoś wytrzymać ich obecność.

Kogut omiółł skrzydłami moje nogi, żeby mnie odgonić od swoich żon, ale go kopnęłam, niemal zrzucając przy tym trep. Mówią, że kury są szczęśliwe, mając koguta w swoim stadzie, ale jak dla mnie było o jednego za dużo. Powiedziałam mu: „Zachowuj się albo ci skręcę kark”, chociaż tak naprawdę nie potrafiłabym tego zrobić.

McDermott popatrywał na mnie przez płot z szerokim uśmiechem. Lepiej wyglądał, kiedy się uśmiechał. Musiałam mu to przyznać, chociaż był taki czarniawy i miał szelmowski grymas na twarzy. Ale może, proszę pana, tak mi się tylko wydaje z powodu tego, co się wydarzyło później.

– Do mnie mówisz? – spytał.

– Nie – zaprzeczyłam chłodno, mijając go. Wiedziałam, co ma na myśli, a to nie było nic oryginalnego. Nie chciałam narobić sobie kłopotów i uznałam, że najlepiej zachować pewien dystans.

Woda się zagotowała. Postawiłam na piecu garnek z owsianką, a potem zrobiłam herbatę i zostawiłam ją, żeby naciągnęła, po czym poszłam na podwórze, napompowałam jeszcze jedno wiadro wody, zaniosłam je do środka, postawiłam wielki miedziany gar z tyłu pieca i napełniłam go wodą, bo potrzebowałam dużo wrzątku do zmywania naczyń

i innych rzeczy.

Wtedy weszła Nancy w bawełnianej sukni w kratkę i w fartuszku – już nie tak elegancko ubrana jak poprzedniego popołudnia. Przywitała się ze mną, i ja również ją pozdrowiłam. Spytała, czy herbata gotowa, a ja przytaknęłam.

– Och, rano jestem ledwo żywa, dopóki nie napiję się herbaty – powiedziała, więc jej nalałam. – Pan Kinneear wypije herbatę na górze – oznajmiła, ale ja to już wiedziałam, gdyż poprzedniego wieczora ustawiła na tacy naczynia do herbaty, mały czajniczek, filiżankę i dzbanuszek – nie na srebrnej tacy z rodowym herbem, lecz na zwykłej drewnianej. Dodała też, że będzie chciał się napić jeszcze przed śniadaniem, kiedy zejdzie na dół – taki ma zwyczaj.

Wlałam trochę świeżego mleka do dzbanuszka, postawiłam cukierniczkę i wzięłam tacę.

– Ja ją zaniosę – powiedziała Nancy. Zdziwiłam się i powiedziałam, że u pani Parkinson gospodyni do głowy by nie przyszło, żeby nieść tacę z herbatą na górę, gdyż było to poniżej jej godności. Nancy przez chwilę na mnie popatrzyła i widziałam, że nie jest zadowolona. Powiedziała jednak, że oczywiście, zanoszą tacę na górę tylko wtedy, kiedy nie ma nikogo do pomocy, i że ostatnio się do tego przyzwyczaiła. Poszłam więc ja.

Drzwi do sypialni pana Kinneeara znajdowały się u szczytu schodów. Nie miałam gdzie postawić tacy, więc zapukałam, trzymając ją jedną ręką.

– Pańska herbata, proszę pana – powiedziałam. Ze środka dobiegło jakieś mamrotanie i weszłam. W pokoju było ciemno, więc postawiłam tacę na okrągłym stoliku przy łóżku, podeszłam do okna i nieco rozchyliłam zasłony. Były z ciemnobrązowego brokatu, jedwabiste w dotyku i z falbaną, ale moim zdaniem latem najlepiej jest mieć białe zasłony z bawełny lub muślinu, bo białe tak bardzo się nie nagzewają i nie wnoszą tyle ciepła do domu.

Nie widziałam pana Kinneeara, gdyż znajdował się w zaciemnionej części pokoju, z twarzą ukrytą w cieniu. Na jego łóżku nie leżała kołdra uszyta z kawałków, lecz ciemna kapa pasująca do zasłon. Była odrzucona, a on przykrył się samym tylko prześcieradłem. Jego głos wydobył się jakby spod niego.

– Dziękuję, Grace – powiedział. Zawsze chętnie wszystkim dziękował i zawsze był miły. Muszę przyznać, że wiedział, jak się odnosić do człowieka.

– Proszę bardzo – odparłam, i powiedziałam to najzupełniej szczerze. Nigdy nie narzekałam na służbę u niego i chociaż mi za nią płacił, czułam się tak, jakbym wykonywała ją za darmo. – Mamy dziś piękne jajka, proszę pana. Życzy pan je sobie na śniadanie?

– Tak – rzeki z wahaniem. – Dziękuję, Grace. Jestem pewien, że dobrze mi zrobią. Nie podobał mi się sposób, w jaki to powiedział, bo zabrzmiało to tak, jakby był chory. Nancy jednak nic mi o tym nie wspomniała.

Kiedy wróciłam na dół, powiedziałam Nancy, że pan Kinneear życzy sobie jajka na śniadanie. Ona odparła:

– Ja też mam ochotę na jajko. On lubi smażone z bekonem, ale ja nie mogę jeść jajecznicy, więc sobie ugotuję. Zjemy śniadanie razem w jadalni, bo pan lubi, jak mu się

dotrzymuje towarzystwa podczas śniadania.

Wydało mi się to nieco dziwne, chociaż już się z czymś takim spotkałam.

– Czy pan Kinnear jest chory? – spytałam.

Nancy zaśmiała się cicho.

– Czasami tak mu się wydaje – powiedziała. – Ale to wszystko jest w jego głowie.

Lubi, jak się go rozpieszcza.

Powiedziałam, że ciekawe, dlaczego się nie ożenił, taki przystojny mężczyzna. Wyjmowałam właśnie patelnię do smażenia jajek i było to tylko błahe pytanie, nie miałam na myśli nic poważnego, ale Nancy odparła gniewnym tonem, albo tak mi się przynajmniej wydawało:

– Niektórzy dżentelmeni nie kwapią się do małżeńskiego stanu. Lubią być sami i świetnie mogą się bez tego obyć.

– Pewnie i mogą – powiedziałam.

– Z pewnością mogą, jeżeli są wystarczająco bogaci. Jeśli sobie czegoś zażyczą, muszą tylko za to zapłacić. Nie robi im to różnicy.

Teraz opowiem, jak po raz pierwszy poróżniłam się z Nancy. Było to pierwszego dnia, kiedy sprzątałam właśnie pokój pana Kinneara i miałam na sobie fartuch, żeby nie zabrudzić pyłem z pieca białych prześcieradeł. Nancy kręciła się po pokoju i mówiła, gdzie mam co postawić, jak wetknąć rogi prześcieradła pod materac, przewietrzyć nocną koszulę pana, ułożyć na toalecie szczotki, jak często powinnam czyścić srebra, na których półkach należy układać koszule i prześcieradła, i w ogóle zachowywała się tak, jakbym nigdy przedtem nie wykonywała takich prac.

Potem pomyślałam sobie, że trudniej pracować dla kobiety, która sama przedtem była służącą, niż takiej, która nią nie była, bo te, które były służącymi, lubią robić wszystko po swojemu i znają różne sztuczki, na przykład wrzucenie kilku martwych much za łóżko albo wmielenie nieco piasku lub kurzu pod dywan, czego nikt by nie zauważył, gdyby dokładnie tych miejsc nie sprawdził. Nie żebym była flejtuchem, ale wszystkim nam zdarza się mieć urwanie głowy.

A kiedy mówiłam, że czegoś się nie robiło u pani Parkinson, odpowiadała ostro, że nic jej to nie obchodzi, bo teraz nie jestem u pani Parkinson. Nie lubiła, jak się jej przypominało, że kiedyś pracowałam w takim wielkim domu i dawałam sobie radę lepiej niż ona. Od tamtej pory jednak zaczęłam przypuszczać, że powodem wszystkich tych dąsów było to, że nie chciała mnie zostawiać samej w pokoju pana Kinneara na wypadek, gdyby tam wszedł.

Żeby ją trochę uspokoić, spytałam o obraz na ścianie – nie ten z wachlarzem ze strusich piór, tylko drugi, z młodą damą w kąpeli w ogrodzie – swoją drogą dziwne miejsce do zażywania kąpeli – z upiętymi włosami. Obok stała pokojówka z przygotowanym ręcznikiem, a zza krzaków podglądało ją kilku starców z brodami. Po strojach domyślałam się, że to starożytne czasy. Nancy powiedziała, że to sztych, pokolorowany ręcznie, będący kopią obrazu *Zuzanna i starcy*, co jest tematem z Biblii. Była dumna, że wie aż tyle.

Ja jednak zirytowałam się na nią za całą tę złośliwość i powiedziałam, że znam Biblię w tę i z powrotem – co nie było dalekie od prawdy – i że nie ma tam takiej opowieści. Nie może to więc być temat z Biblii.

Zaczęłyśmy się sprzeczać. Chciałam, żebyśmy to sprawdziły, lecz ona powiedziała, że nie jestem tu po to, żeby się kłócić o obrazy, tylko żeby posłać łóżko. W tej chwili do pokoju wszedł pan Kinnear. Chyba słyszał nas w korytarzu, bo wyglądał na rozbawionego.

– Dyskutujecie o teologii? – spytał. – Tak wcześnie rano? – Chciał, żebyśmy mu wszystko powtórzyły.

Nancy powiedziała, że nie ma sobie czym zawracać głowy, on jednak nalegał:

– Widzę, że Nancy ma przede mną jakieś tajemnice, ale ty musisz mi powiedzieć.

Spytałam, czy ten obraz to temat z Biblii, jak twierdziła Nancy. Odpowiedział ze śmiechem, że niezupełnie, gdyż to apokryf. Zdziwiona spytałam, cóż to takiego, a byłam pewna, że i Nancy wcześniej nie słyszała tego słowa. Ona jednak się nastroszyła, bo się pomyliła, i zrobiła nachmurzoną minę.

Pan Kinnear powiedział, że jestem bardzo dociekliwa jak na tak młodą osobę i że pewnie będzie miał najlepiej wyedukowaną służącą w Richmond Hill, że powinien mnie wystawić na pokaz i pobierać za mnie pieniądze, jak za tę świnię w Toronto, co umie liczyć. Potem wyjaśnił, że apokryf to księga, w której umieszczono wszystkie te opowieści z czasów biblijnych, które, jak uznano, nie powinny znajdować się w Biblii. Zdumiałam się na te słowa, bo zawsze myślałam, że Biblia została napisana przez Boga, zresztą nazywa się ją Słowem Bożym.

Uśmiechnął się i powiedział, że być może Bóg ją stworzył, ale to ludzie ją spisali, co stanowi pewną różnicę. To znaczy, że Bóg do nich przemówił i polecił, co mają robić.

Spytałam, czy słyszeli jego głos, a on przytaknął. Ucieszyłam się, że byli tacy, co go słyszeli, chociaż nic nie powiedziałam, w każdym razie głos, który ja kiedyś słyszałam, nie należał do Boga, lecz do Mary Whitney.

Spytał, czy znam historię Zuzanny, a ja zaprzeczyłam. Powiedział, że była to młoda dama, którą starcy niesprawiedliwie oskarżyli o zgrzeszenie z młodym mężczyzną, gdyż nie chciała popełnić tego samego grzechu z nimi. Została skazana na śmierć przez ukamienowanie. Na szczęście miała sprytnego prawnika, który udowodnił, że starcy kłamali, zmuszając ich do złożenia przeczających temu zeznań. Potem spytał, jaki moim zdaniem z tego morał. A ja odpowiedziałam, że morał jest taki, że nie powinno się kapać w ogrodzie. Pan się roześmiał i powiedział, że morał jest taki, że należy mieć dobrego prawnika. Powiedział też do Nancy: „Ta dziewczyna to żadna prostaczka”, z czego wywnioskowałam, że Nancy tak mu o mnie mówiła. Nancy rzuciła mi mordercze spojrzenie.

Potem powiedział, że znalazł wyprasowaną koszulę bez guzika, a było to bardzo denerwujące włożyć czystą koszulę i nie móc jej porządnie zapiąć, i czy mogłabym dopilnować, żeby to się więcej nie zdarzyło. Wziął złotą tabakierkę, po którą przyszedł do pokoju, i wyszedł.

Teraz Nancy była zła, bo tę koszulę na pewno wyprała i wyprasowała, jeszcze zanim tu przyjechałam, więc wymieniła wszystkie prace, które muszę wykonać, a była to

lista długa na kilometr, i wybiegła po schodach na podwórze, gdzie zaczęła besztać McDermotta za to, że nie wyczyścił jej rano butów.

Powiedziałam sobie w duchu, że nadchodzą problemy i że powinnam trzymać język na wodzy, gdyż Nancy nie lubiła, jak jej się wchodzi w drogę, a przede wszystkim nie chciała się narazić panu Kinnearowi.

Kiedy mnie wynajęła u Watsonów, myślałam, że będziemy jak siostry albo przynajmniej zostaniemy przyjaciółkami, skoro pracujemy razem – tak jak z Mary Whitney. Teraz jednak zrozumiałam, że tak nie będzie.

Byłam służącą już od trzech lat i dobrze wykonywałam swoją pracę. Nancy miała bardzo zmienne humory, niekiedy była wręcz dwulicowa, i nie wiedziałam, czego się po niej spodziewać. W jednej chwili wydawała mi polecenia rozkazującym tonem i wytykała usterki, a w następnej była moją najlepszą przyjaciółką, a przynajmniej tak udawała, obejmowała mnie, mówiąc, że wyglądam na zmęczoną, i proponowała filiżankę herbaty. Dużo trudniej jest pracować dla takiej osoby, tak samo jak wtedy, kiedy ciągle się dyga i mówi do niej „psze pani”, a ona nagle zmienia front, karci cię za to, że jesteś taka sztywna i oficjalna, chce ci się zwierzać i oczekuje tego samego w zamian. Z takimi nigdy nie dojdiesz do ładu.

Następnego dnia było ładnie i wiał lekki wietrzyk, więc zrobiłam pranie, bo zaczynało już brakować czystych rzeczy i był na to najwyższy czas. Przy tej pracy nieźle się zgrzałam, bo musiałam podtrzymywać ogień w piecu w letniej kuchni, a nie mogłam posortować i namoczyć rzeczy poprzedniego wieczora. Wolałam nie czekać, bo o tej porze roku pogoda bardzo szybko się zmieniała. Tarłam więc i szorowałam i wreszcie wszystko ładnie wywiesiłam: serwetki i białe chusteczki rozpostarałam na trawie, żeby wybielały. Były tam plamy od tabaki, atramentu i trawy na halkach Nancy – zastanawiałam się, skąd się wzięły, pewnie musiała upaść – i kilka plam po rosie na rzeczach, które leżały na samym spodzie stosu do prania, plamy po winie na obrusach, których na czas nie posypało się solą. Wiedziałam jednak, że wywabi je odrobina dobrego wybielacza z ługiem, czego się nauczyłam w pralni u pani Parkinson. Większość plam udało mi się usunąć, a miałam nadzieję, że słońce zrobi resztę.

Przez chwilę stałam, podziwiając swoją pracę, bo dużą przyjemność daje taki widok czystego prania, powiewającego na wietrze jak pororce albo żagle na statku, a odgłos, jaki wydaje, przypomina dźwięk klaszczących dłoni Niebiańskich Duchów, dobiegający jakby z oddali. Czasami, kiedy widziałam wysoko w górze białe chmury mknące za deszczem, myślałam sobie, że to anioły wieszają swoje pranie, sądziłam bowiem, że ktoś to musi robić, gdyż w Niebie wszystko musi być czyste i świeże. Były to jednak dziecinne rojenia, gdyż dzieci lubią opowiadać sobie niestworzone rzeczy, a ja sama byłam wtedy jeszcze prawie dzieckiem, choć uważałam się za dorosłą kobietę, która zarabia sama na siebie.

Kiedy tak stałam, zza domu wyszedł Jamie Walsh i spytał, czy czegoś nie trzeba załatwić. Powiedział bardzo nieśmiało, że Nancy i pan Kinneer wysłali go do miasteczka i z radością kupiłby coś dla mnie, gdybym tylko dała mu pieniądze. Choć tak nieporadny, starał się zachować grzeczność, nawet zdjął swój słomkowy kapelusz, który pewnie należał do jego ojca, bo był na niego za duży. Powiedziałam, że to bardzo uprzejmie z jego strony, ale w tej chwili właściwie niczego nie potrzebuję. Potem jednak przypomniałam sobie, że zabrakło wołowych pęcherzy, w których umieszczano barwniki, i że przydałoby mi się kilka do prania ciemnych kolorów. Poszłam z nim do Nancy, która miała dla niego listę sprawunków, zaś pan Kinnear miał do wysłania wiadomość do

jednego ze swoich znajomych, i Jamie odjechał.

Nancy kazała mu wrócić po południu i przynieść fujarkę, a po jego odjeździe powiedziała, że Jamie tak pięknie gra na fujarce, że z przyjemnością się tego słucha. Znowu była w dobrym nastroju i pomogła mi przygotować obiad na zimno: szynkę z piklami, a także sałatę z kuchennego ogrodu. Zjadła go w jadalni z panem Kinnearem, a ja musiałam dotrzymać towarzystwa McDermottowi.

Niezbyt przyjemnie jest patrzeć, jak ktoś je, a także go słuchać, zwłaszcza jeśli ten ktoś ma zwyczaj siorbać, ale McDermott nie był raczej skłonny do rozmowy, gdyż popadł w przygnębienie, więc zagadnęłam go, czy lubi tańczyć.

– Dlaczego o to pytasz? – spytał podejrzliwie, a nie chcąc się zdradzić, że słyszałam, jak tańczy, powiedziałam, że podobno jest dobrym tancerzem.

Odparł, że może tak, może nie, ale wyglądał na zadowolonego. Wzięłam się więc do roboty i zaczęłam go wypytywać o jego życie, zanim przyszedł do pracy u pana Kinneara.

– A kogo to obchodzi? – zdziwił się. Powiedziałam, że takie historie zawsze mnie interesowały, i wkrótce zaczął opowiadać.

Jego rodzina była dość porządna i pochodziła z Waterfard na południu Irlandii. Jego ojciec był ekonomem, on sam jednak był rozrabiaką i nigdy nie ugiąłby karku przed bogaczem. Ciągle pakował się w tarapaty, co zawsze napawało go dumą. Spytałam, czy miał matkę, a on odparł, że wszystko jedno – miał czy nie miał – bo uważała go za nicponia, a raz mu powiedziała, że pójdzie prosto do piekła. Jego głos jednak nie był tak twardy jak słowa.

W młodym wieku uciekł z domu i wstąpił do armii w Anglii, twierdząc, że jest o siedem lat starszy, niż był w istocie. Ciężko mu tam było, surowa dyscyplina, złe traktowanie, więc zdezerterował i zadekował się na statku płynącym do Ameryki, a kiedy go znaleziono, odpracował resztę podróży. Wylądował jednak we wschodniej Kanadzie, a nie w Stanach. Tam dostał pracę na łodziach, które kursowały po Rzece św. Wawrzyńca, a potem na łodziach pływających po Jeziorze, gdzie świetnie się spisywał, bo był silnym i bardzo wytrzymałym chłopcem i potrafił pracować bez przerwy, zupełnie jak silnik parowy. Na jakiś czas to mu wystarczyło, lecz wkrótce praca ta stała się dla niego zbyt monotonna, gdyż lubił urozmaicenie. Znowu zaciągnął się do wojska, do Lekkiej Piechoty Glengarry, która, jak się dowiedziałam od Mary Whitney, miała wśród farmerów fatalną reputację: podczas powstania spalili wiele domów, wyrzucili kobiety i dzieci na śnieg i zrobili im jeszcze coś gorszego, choć tego nigdy nie wydrukowano w gazetach. Była to więc banda nieokrzesanych żołdaków, grających w karty, żłopiących piwo i tak dalej, co dla niego stanowiło ideał męskości.

Powstanie upadło i znowu nie było nic do roboty. McDermott nie był regularnym żołnierzem, tylko osobistym służącym kapitana McDonalda. Wiódł łatwe życie, przyzwoicie zarabiał i bardzo się zmartwił, gdy ten oddział rozwiązano, a on sam został na łasce losu. Pojechał do Toronto i żył tam beczynnym z pieniędzy, które zaoszczędził. Potem jednak fundusze mu się rozeszły i wiedział, że będzie musiał się za czymś rozejrzeć. W poszukiwaniu posady wyruszył na północ Yonge Street i dotarł aż do Richmond Hill. W jednej gospodzie usłyszał, że pan Kinneare potrzebuje człowieka do

pomocy, i stawił się u niego. Zatrudniła go Nancy. Myślał, że będzie pracować dla samego pana i robić dla niego to, co robił dla kapitana McDonalda, ale z irytacją stwierdził, że pieczę nad nim przejęła kobieta, która nie dawała mu pyskować i ciągle o coś się czepiała.

Uwierzyłam we wszystko, co powiedział, a kiedy policzyłam sobie w głowie lata, wyszło mi, że musi mieć więcej niż dwadzieścia jeden, jak twierdził, chyba że kłamał. Kiedy potem usłyszałam od innych, włączając w to Jamiego Walsha, że McDermott ma reputację kłamcy i chwalipięty, wcale się nie zdziwiłam.

Potem pomyślałam, że za bardzo okazuję zainteresowanie jego historią, gdyż mógł je pomylić z zainteresowaniem jego osobą. Po kilku szklankach piwa zaczął robić do mnie cielejące oczy, spytał, czy mam ukochanego, bo taka ładna dziewczyna jak ja musi kogoś mieć. Powinnam była odpowiedzieć, że mój ukochany ma metr dziewięćdziesiąt i świetnie się boksuje, ale byłam zbyt młoda na to, by się tak odciąć, więc powiedziałam prawdę. Przyznałam się, że nie mam ukochanego, a ponadto wcale mnie to nie interesuje.

Odparł, że to wielka szkoda, ale zawsze jest ten pierwszy raz, tylko trzeba mnie trochę ujeździć, jak młodego konia, i wtedy będę taka jak inne, a on się do tego akuratnie nadaje. Bardzo mnie to rozgniewało, zerwałam się, zaczęłam z łoskotem zmywać naczynia i powiedziałam, że będę mu wdzięczna, jeśli zachowa takie obraźliwe uwagi dla siebie, bo ja nie jestem klaczą rozplodową. On na to odparł, że nie miał na myśli nic złego, że tylko się wygłupiał i chciał się przekonać, jaka ze mnie dziewczyna. Powiedziałam, że to moja sprawa, jaką jestem dziewczyną, i nic mu do tego, na co pomarkotniał, jakbym to ja go uraziła, wyszedł na podwórze i zaczął rąbać drewno.

Kiedy już pozmywałam naczynia, co musiałam zrobić bardzo starannie z uwagi na latające wszędzie muchy, które łąziły po czystych talerzach, jeśli się ich nie nakryło, i kiedy sprawdziłam, jak się suszy pranie, i spryskałam wodą serwetki, żeby lepiej wybielały, nadeszła pora, żeby zebrać śmietankę z mleka i zacząć robić masło.

Robiłam to na zewnątrz, w cieniu domu, by zaczerpnąć nieco świeżego powietrza. Maselnica była na nożny pedał, więc mogłam siedzieć na krześle i jednocześnie zajmować się robótkami ręcznymi. Niektórzy mają maselnice napędzane przez psa, który jest zamknięty w klatce i biega na sznurku, mając pod nogami rozżarzone węgle, mnie jednak wydawało się to okrutne. Kiedy tak siedziałam, czekając, aż się zrobi masło, i przyszywałam guzik do koszuli pana Kinneara, pan przeszedł koło mnie w drodze do stajni. Chciałam wstać, ale pokazał ręką, bym została na swoim miejscu, bo pewnie wołał lepsze masło od uprzejmości.

– Jak zwykle przy pracy, Grace? – powiedział, a ja odparłam:

– Mnie się zawsze robota w rękach pali.

On się na to roześmiał i powiedział:

– Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu, że mnie się robota w rękach nie pali.

Ja się spłoszyłam i odparłam:

– Och, nie, proszę pana, nie mam nic przeciwko temu.

Uśmiechnął się i powiedział, że młodej kobiecie do twarzy z rumieńcem.

Na to nie miałam żadnej odpowiedzi, więc zamilkłam, a on poszedł dalej. Wkrótce

pojawił się na Charleyu i pojechał drogą. Nancy wyszła, żeby zobaczyć, jak sobie radzę z masłem, a ja spytałam, dokąd pojechał pan Kinneear.

– Do Toronto – odparła. – Jeździ tam co czwartek, zostaje na noc, załatwia jakieś interesy w banku i sprawunki, ale najpierw idzie do pułkownika Bridgeforda, którego żona wyjechała z miasta z obiema córkami, więc może go spokojnie odwiedzić, bo kiedy jest obecna, nie ma tam wstępu.

Zdziwiło mnie to i spytałam dlaczego, a Nancy powiedziała, że pani Bridgeford jest przekonana, iż pan Kinneear ma zły wpływ na ludzi; ona uważa się za królową Francji i sądzi, że nikt nie jest godzien lizać jej sandałów. Roześmiała się. Nie zabrzmiało to jednak zbyt zabawnie.

– Dlaczego? Cóż takiego zrobił? – spytałam, ale w tej chwili poczułam, że masło zaczyna się już robić – wtedy jest takie uczucie gęstości – więc nie nalegałam na odpowiedź.

Nancy pomogła mi przy maśle, posoliłyśmy je, polałyśmy zimną wodą i przycisnęłyśmy świeżymi formami; na dwóch były godła Szkocji, a na trzeciej herb rodowy pana Kinneeara z mottem: Żyję nadzieją. Powiedziała, że gdyby starszy brat pana Kinneeara, który tak naprawdę jest tylko jego przyrodnim bratem, umarł w Szkocji, pan Kinneear pojechałby tam, wprowadził się do jego dużego domu i przejął ziemię, ale twierdziła, że on wcale na to nie liczy i że jest mu dobrze tak, jak jest. Zawsze tak mówi, kiedy się dobrze czuje. Bracia się nie kochali, co w takich wypadkach jest rzeczą normalną, i pewnie pan Kinneear wyjechał do kolonii, by go stracić z oczu.

Kiedy masło już było gotowe, zniosłyśmy je do piwnicy, do mleczarni, ale zostawiłyśmy trochę maślanki na górze, do biszkoptów. Nancy powiedziała, że nie przepada za tą piwnicą, bo zawsze w niej zalatuje ziemią, myszami i starymi warzywami, i że któregoś dnia przydałoby się ją porządnie przewietrzyć, gdyby dało się otworzyć okno. Wróciłyśmy na górę i kiedy pozmywałam garnki, usiadłyśmy na werandzie, cerując wspólnie jak dwie najlepsze na świecie przyjaciółki. Potem zauważyłam, że Nancy zawsze zachowywała się bardzo uprzejmie, kiedy pan był nieobecny, a stawała się nerwowa i kapryśna jak kot, kiedy wracał i kiedy przebywała z nim w jednym pokoju. Wtedy jednak nie byłam tego świadoma.

Kiedy tak siedziałyśmy, przebiegł McDermott, skacząc po ogrodzeniu zwinnie jak wiewiórka. Byłam zdumiona i spytałam, coż on takiego wyprawia. Nancy powiedziała:

– Och, mówi że to dla sportu, ale po prostu chce być podziwiany. Lepiej nie zwracać na niego uwagi.

Udawałam więc, że nie patrzę, ale ukradkiem podglądałam, a on doprawdy był bardzo gibki. Przebiegł jeszcze raz tam i z powrotem, zeskoczył na ziemię, po czym przeskoczył przez ogrodzenie, przytrzymując się tylko jedną ręką.

Udawałam więc, że nie patrzę, on udawał, że nikt go nie widzi, a to samo można zaobserwować, proszę pana, na przyjęciach, gdzie się spotykają damy z dżentelmenami. Dużo można spostrzec z ukosa, udaje się to zwłaszcza damom, które nie chcą, by je przyłapano, że się jawnie na coś gapią. Patrzą przez swoje woalki i spoza firanek, i znad

wachlarzy, i to dobrze, że mogą w ten sposób wszystko oglądać, gdyż inaczej nie zobaczyłyby nic. Jednak ci z nas, którzy nie muszą się uciekać do woalek i wachlarzy, widzą o wiele więcej.

Wkrótce potem pojawił się Jamie Walsh. Przyszedł przez pola i na życzenie Nancy przyniósł ze sobą fujarkę. Nancy powitała go ciepło i podziękowała za przyjście. Posłała mnie po kubek piwa dla Jamiego i kiedy go niosłam, do kuchni wszedł McDermott i powiedział, że też by się napił. Nie mogłam się powstrzymać i powiedziałam:

– Nie przypuszczałam, że jesteś taki zwinny, skaczesz jak małpa.

Nie wiedział, czy się cieszyć z komplementu, czy zezłościć za to, że porównałam go do małpy.

Powiedział, że kiedy kota nie ma, myszy harczą, i kiedy Kinnear jest w mieście, Nancy zawsze wydaje małe przyjęcie, i że pewnie mały Walsh już popiskuje na tej swojej fujareczce. Odparłam, że z przyjemnością go posłucham, a on powiedział, że dla niego to żadna przyjemność. Wtedy zwróciłam mu uwagę, że mógłby się lepiej zachowywać. Na te słowa chwycił mnie za rękę i spojrzał na mnie z przejęciem, mówiąc, że nie chciał mnie urazić, ale ponieważ tak długo przebywał w towarzystwie nieokrzesanych mężczyzn, których maniery nie należały do najlepszych, to czasami się zapomina i nie wie, jak się zwracać do kobiety. Ma nadzieję, że mu wybaczę i że zostaniemy przyjaciółmi. Powiedziałam, że bardzo chętnie się zaprzyjaźnię i z każdym, kto jest wobec mnie szczery, a co się tyczy wybaczenia, to co zostało powiedziane w Biblii? Z pewnością miałam nadzieję, że mu wybaczę, gdyż sama chciałam, żeby mi kiedyś wybaczone. Co powiedziałam bardzo spokojnie.

Potem zaniósłam piwo, trochę chleba i sera na werandę i usiadłam z Nancy i Jamiem Walshem. Słońce już zachodziło i zrobiło się za ciemno, żeby cerować. Był piękny, bezwietrzny wieczór, ptaki ćwierkały, a drzewa w sadzie nieopodal drogi zrobiły się złote w wieczornym świetle i takie same były ostatnie peonie rosnące przy werandzie, pnące róże i mlecze, które pachniały tak słodko. Powiało chłodem, kiedy Jamie usiadł i zagrał na fujarce – tak żałośnie, aż chciało się płakać. Po jakimś czasie zza domu wyszedł McDermott z zachmurzoną miną, jak oswojony wilk, oparł się o ścianę i również zaczął słuchać. I tak trwaliśmy w pewnej harmonii, a wieczór był taki piękny, że aż żal ścisnąć za serce, jak wtedy, kiedy trudno określić, czy ci smutno czy wesoło. Pomyślałam, że gdybym mogła mieć jakieś życzenie, to na pewno to, byśmy pozostali już tak na zawsze.

Słońca jednak nie da się zatrzymać na jego drodze – chyba tylko Bóg może to uczynić – a zrobił to tylko raz i nie powtórzy aż do końca świata. Tego wieczora zaszło jak zwykle, pozostawiając po sobie ciemnoczerwoną łunę na niebie. Przez parę chwil dom był od niej cały różowy. Potem z mroku wyleciały świetliki – to była ich pora roku – i zalśniły w niskich krzewach i trawie niczym gwiazdy prześwitujące przez chmury. Jamie Walsh złapał jednego w szklany słoik, przykrył go dłonią, więc mogłam przyjrzeć mu się z bliska. Połyskiwał zimnym zielonkawym światłem i pomyślałam, że gdybym mogła mieć na uszach dwa świetliki zamiast kolczyków, nic by mnie nie obchodziły złote kolczyki Nancy.

Mrok robił się coraz gęstszy, wyszedł zza krzaków i drzew i rozpostarł się ponad polami, a cienie się wydłużyły i połączyły. Pomyślałam, że wygląda to jak woda

rozlewająca się po ziemi i występująca powoli z morza. Popadłam w zadumę i przypominałam sobie czas, kiedy przekraczałam wielki ocean, kiedy niebo i morze miały ten sam kolor indygo i nie można ich było odróżnić. I wtedy w moje wspomnienia wkradła się góra lodowa, biała jak śnieg, i pomimo ciepłego wieczoru poczułam chłód.

Jamie Walsh powiedział, że musi już iść do domu, bo ojciec będzie go szukał, a ja sobie przypominałam, że nie wydoiłam krowy ani nie zamknęłam kur na noc, więc przy ostatnich promieniach słońca pośpieszyłam tam czym prędzej. Kiedy wróciłam do kuchni, Nancy zapaliła świecę. Spytałam ją, dlaczego jeszcze nie położyła się spać, a ona odparła, że boi się spać sama, kiedy pana nie ma w domu, i czybym z nią nie poszła spać na górę.

Przytaknęłam, ale spytałam, czego takiego się boi. Złodziei? A może Jamesa McDermotta? Oczywiście powiedziałam to żartem.

Ona odparła łobuzerskim tonem, że z jego spojrzenia wynika, że to raczej ja powinnam się go bać, chyba że szukam sobie nowego ukochanego. Powiedziałam, że bardziej się boję tego starego koguta w kurniku niż jego, a co się tyczy ukochanych, to nic mi po nich.

Roześmiała się i obie poszłyśmy na górę w świetnych nastrojach. Dopilnowałam jednak, żeby najpierw zamknąć drzwi na klucz.

VIII

Lis i gęs

Przez dwa tygodnie wszystko toczyło się bardzo spokojnie, tylko gospodyni kilka razy napomniała McDermotta za to, że nie wykonał dobrze swojej pracy i dała mu dwutygodniowe ostrzeżenie... Później często mi mówił, że jest zadowolony z tego, że odchodzi, bo nie chce już mieszkać w takiej kurwiarni, ale jeszcze jej pokaże, zanim odejdzie, i powiedział mi, że jest pewien, że pan Kinnear i Nancy sypiają ze sobą. Chciałam się o tym przekonać sama i potem rzeczywiście to się potwierdziło, gdyż widziałam, że w jej łóżku nikt nie spał – z wyjątkiem tych nocy, kiedy pana Kinneara nie było – a inaczej spali razem.

Zeznanie Grace Marks

„Star and Transcript”, Toronto, listopad 1843

Grace Marks była... bardzo ładną dziewczyną, która dobrze wykonywała swoją pracę, ale z natury była cicha i smutna. Trudno było się zorientować, kiedy jest zadowolona... Po całym dniu pracy często zostawaliśmy sami w kuchni, gdyż [gospodyni] zajmowała się wyłącznie panem. Grace była bardzo zazdrosna o to, że wyróżnia on gospodynię, której nienawidziła i wobec której często była bardzo niegrzeczna i zuchwała... „Dlaczego ona ma być lepsza od nas? – pytała. – Jest traktowana jak dama, je i pije to, co najlepsze. Nie jest lepszego urodzenia niż my ani też nie jest lepiej wykształcona...”.

Wygląd Grace przyciągnął moją uwagę i chociaż w tej dziewczynie było coś, co niezupełnie mi się podobało, to jestem bardzo rozwiązłym i rozpustnym człowiekiem, więc jeżeli kobieta jest młoda i ładna, mało mnie obchodzi jej charakter. Grace była posępna i wyniosła, i zachowywała się wobec mnie nieprzystępnie, ale po to, by zdobyć sobie jej sympatię, często wysłuchiwałem jej nieustannych narzekań.

James McDermott

opowiedziane Kennethowi McKenzie,

w wersji przytoczonej przez Susannę Moodie,

Life in the Clearings, 1853

Jednak zwęszyłem w tym pewną złośliwą sztuczkę,
Z którą – Bóg wie kiedy – już raz się gdzieś spotkałem,
W jakimś złym śnie może. Tutaj się bowiem kończył
Marsz naprzód tą drogą. I oto jednocześnie
Z myślą o odwrocie – jak wtedy – coś tu trzasło
Niby zamek bramy – i jesteśmy w pułapce!¹³
Robert Browning

Sir Roland pod Mroczną Wieżą stanął, 1855

13 tłum. Juliusz Żuławski, Robert Browning, *Poezje wybrane*, PIW, Warszawa 1969.

Dzisiaj obudziłam się przy przepięknym różowym wschodzie słońca; mgła opadła na pola jak biała miękka chmura muślinu, a różane zamglone słońce prześwitywało przez jej warstwy niczym lekko osmolona brzoskwinia.

Właściwie nie miałam pojęcia, jaki to wschód słońca. W więzieniu okna są tak wysoko, że nie można się przez nie wydostać, ale też nie da się przez nie nic zobaczyć – przynajmniej świata na zewnątrz. Oni tu nie chcą, żebyś przez nie wyglądała, nie chcą, żebyś patrzyła na horyzont i myślała, że któregoś dnia mogłabyś skryć się za nim, niczym żagiel odpływającego statku albo jeździec na koniu niknący za wzgórzem. Tak więc tego dnia zobaczyłam tylko zwykłe światło, światło bez kształtu, wpadające przez wysoko umieszczone i brudne okna, jakby nie za sprawą słońca, księżycy, lampy czy świecy. Zwyczajne pasmo dziennego światła, takie jak co dzień.

Zdjęłam swoją więzienną koszulę, która była bardzo szorstka i poszarzała. Nie powinnam mówić, że jest moja, bo nie mamy tu niczego na własność i wszystko dzielimy między sobą jak wcześni chrześcijanie, a koszula, którą nosiłaś przez dwa tygodnie, może oblekała twojego najgorszego wroga i była cerowana i prana przez ludzi, którym byś dobrze nie życzyła.

Kiedy ubierałam się i związywałam włosy, usłyszałam w głowie melodię, piosenkę, którą Jamie Walsh czasami grywał na swojej fujarce:

Kobziarza syn, spryciarz Tom,
Ukradł świnię i uciekł z nią,
A wszystkie piosnki, które znał,
Wzbijały się w niebo, kiedy grał.

Wiedziałam, że zapamiętałam ją źle i że naprawdę świnią została zjedzona, a Tom pobity i na ulicy rozległy się jęki, ale nie rozumiałam, dlaczego nie miałyby się skończyć lepiej. Dopóki nikomu nie zdradziłam swoich myśli, nie musiałam się przed nikim tłumaczyć, tak samo jak nikt nie mógł mi powiedzieć, że prawdziwy wschód słońca nie jest taki, jak to sobie wyobrażam, i że ma tylko barwę żółtawobiałą, jak śnięta ryba unosząca się na wodzie w porcie.

W domu dla obłąkanych przynajmniej widziało się lepiej to, co na zewnątrz – jeżeli nie byłaś zamknięta w ciemnym pokoju.

Przed śniadaniem była chłosta na podwórzu. Robią to przed śniadaniem, gdyż inaczej biczowani wyrzygaliby jedzenie i byłby bałagan i marnotrawstwo. Wychowawcy i strażnicy mówią, że lubią wykonywać to ćwiczenie o tej porze dnia, gdyż poprawia im apetyt. Była to tylko rutynowa chłosta, nic nadzwyczajnego – dwóch czy trzech mężczyzn – więc nawet nie kazano nam się przyglądać. Kobiet nie biczuje się tak często. Pierwszy

był młody, co dało się rozpoznać po jego wysokim krzyku. Dzięki praktyce potrafię określić takie rzeczy. Próbowalam nie słuchać i zamiast tego myślałam o świni skradzionej przez Toma i o tym, jak została zjedzona, ale w piosence nie było o tym mowy – czy zjadł ją Tom, czy ci, którzy go złapali. Niech „złodziej złapie złodzieja” – jak mawiała Mary Whitney. Zastanawiałam się, czy ta świnia była martwa. Chyba raczej nie. Pewnie miała zawiązany sznur wokół szyi albo kółko w nosie i tak musiała uciec z Tomem. Tak byłoby najrozsądniej, gdyż zaoszczędziłoby mu to dźwigania. W całej piosence ta biedna świnia w niczym nie zawiniła, a jednak ona jedyna umarła. Zauważyłam, że wiele piosenek ma takie niesprawiedliwe zakończenia.

Przy śniadaniu wszyscy milczeli, rozlegało się tylko chrupanie chleba i siorbanie herbaty, szuranie nogami i pociąganie nosem, a także monotony głos czytający Biblię. Dziś było o Jakubie i Ezawie i misce soczewicy, a także o kłamstwach, błogosławieństwie i pierworództwie, które zostało sprzedane, oraz o podstępach i podawaniu się za kogoś innego, którym Bóg nie miał nic przeciwko, a wręcz odwrotnie. Kiedy stary Izaak dotykał swego owłosionego syna, który wcale nie był jego synem, lecz ostrzyżonym kozłem, Annie Little dała mi kuksańca w udo pod stołem, gdzie nie było tego widać. Wiedziałam, o co jej chodziło – chciała, żebym krzyknęła i została ukarana albo żeby uznano, że mam kolejny napad szaleństwa, ale ja byłam na to przygotowana, spodziewałam się czegoś takiego.

Wczoraj w myjni, kiedy stałyśmy przy zlewie, szepnęła mi do ucha: „Pupilka doktora, zepsuta dziwka”, bo wieść się rozeszła i wszyscy wiedzieli o wizytach doktora Jordana, a niektórzy uważali, że poświęca mi się zbyt dużo uwagi i że przez to wbiję się w dumę. Jeśli tak tu się o kimś myśli, ten ktoś dostaje lanie, a nie byłoby to po raz pierwszy, bo zazdroszczą mi służby u komendantowej. Boją się jednak działać zbyt otwarcie, myśląc, że mam plecy. Jeśli chodzi o małe zazdrości, nie ma drugiego takiego miejsca jak więzienie. Widziałam, jak więźniarki się biły, prawie że mordowały, o kawałek sera.

Ja jednak wolałam się nie skarżyć nadzorczyń. Nie tylko dlatego, że takie historie przyjmuje z odrazą i woli spokojne życie, ale również dlatego, że by mi nie uwierzyła albo powiedziała, że nie wierzy, bo, jak twierdzi naczelnik, słowo skazańca nie jest wystarczającym dowodem, a poza tym Annie Little z pewnością zemściłaby się na mnie w jakiś inny sposób. Musiałam znosić wszystko cierpliwie jako część kary, chyba że był jakiś sposób na to, żeby niezauważenie dopaść wroga. Ciągnięcie za włosy było niewskazane, gdyż wrzask oprawianej ściągnałby strażniczki, a obie strony zostałyby ukarane za zakłócenie spokoju. Wysypywanie ziemi z rękawa do jedzenia, jak jakiś magik, nie wywoływało większego zamieszania i dawało dużo satysfakcji. Ale Annie Little siedziała ze mną w domu dla obłąkanych, bo popełniła zabójstwo. Kłodą drewna uderzyła i zamordowała stajennego. Mówiono, że cierpi na nerwowe podniecenie, i została tu odesłana w tym samym czasie co ja, ale nie powinna była, bo mi się wydaje, że ona ma nie po kolei w głowie, więc tym razem postanowiłam jej wybaczyć – chyba że zrobi coś gorszego. A uszczypnięcie mnie wyraźnie ją uspokoiło.

Potem nadchodził czas na strażników i wyjście za bramę.

– Ach, Grace, idziesz na spacer ze swoimi dwoma ukochanymi, jakaś ty szczęśliwa.

– O nie, to my mamy szczęście, mając przy sobie taki smaczny kąsek – mówi jeden z nich.

– Co ty na to, Grace – dodaje drugi – gdybyśmy skręcili gdzieś w boczną uliczkę, zaszyli się w stajni i legli na sianie? Nie zajęłoby to dużo czasu, gdybyś była spokojna, a szybko byśmy się uporali, gdybyś nam pomogła.

– A po co w ogóle się kłaść – mówi pierwszy. – Oprzeć ją o ścianę, zadrzeć halkę i zrobić szybki numerek na stojąco, dopóki ci nogi nie wysiądą. Grace, szepnij choć słówko, a jesteśmy cali twoi, i po co wybierać jednego, skoro obaj są gotowi? Cały czas gotowi. Daj rękę i sama sprawdź.

– Nie policzymy ci ani pensa – mówi drugi. – Czego się nie robi w imię starej przyjaźni?

– Nie jesteście moimi przyjaciółmi – odpowiadam. – Mówicie po świńsku i urodziliście się w rynsztoku, i w nim też zemrzecie.

– Och – mówi pierwszy. – To lubię, trochę ognia w kobitce, podobno takie są rude.

– Zależy, gdzie jest. Ogień na czubku drzewa jest do niczego – dodaje drugi. – Musi być na kominku, żeby nas rozgrzać. Wiecie, dlaczego Bóg dał kobietom spódnice? Po to, by je im zadzierać na głowę i wiązać u góry. W ten sposób nie mogą się wydzierać. Nie cierpię, jak mi jakaś dziwka się drze, kobiety powinny się rodzić bez ust. Jedyne, co im potrzebne, jest pod brzuchem.

– Jak wam nie wstyd – mówię, kiedy okrążamy kałużę i przechodzimy przez ulicę.

– Jak wam nie wstyd tak mówić, wasza matka też była kobietą, tak mi się przynajmniej wydaje.

– Kij jej w oko. To stara kurwiająca się wiedźma, lubiła tylko, jak mój tyłek był cały w bliznach. Pewnie teraz smaży się w piekle. Szkoda, że nie ja ją tam wysłałem, tylko jakiś pijany marynarz, któremu usiłowała zwędzić portfel i który dał jej w łeb butelką.

– No – wtrąca drugi. – Moja matka za to była istnym aniołem, uważała się za świętą i nigdy nie pozwoliła mi o tym zapomnieć. Nie wiem, co gorsze.

– Ja to jestem filozof – mówi pierwszy. – Lubię umiar, żeby nie było ani za dużo, ani za mało ciała, a najlepiej nie marnować darów bożych. A co się tyczy ciebie, Grace, to jesteś na tyle dojrzała, by cię zerwać. Po co masz wisieć na drzewie nietknięta, i tak spadniesz i zgnijesz.

– Święte słowa – mówi drugi. – Mleko nie powinno kwaśnieć, słodki orzech trzeba rozłupać, dopóki jeszcze jest dobry, a nie ma nic gorszego niż stary spróchniały orzech. Już mi ślinka na ciebie leci. Uczciwy człowiek przemieniłby się dla ciebie w kanibala. Chciałbym cię chwycić mocno zębami, uszczknąć nieco szyneczki, nawet by ci nic nie ubyło, masz jej i tak za dużo.

– Racja – dodaje pierwszy. – Patrz, ma kibić jak wierzba, ale na dole jest trochę ciała. To wszystko przez tę więzienną kuchnię, wypasła się na śmietance. Toż to kąsek godny papieskiego stołu. – I zabrał się do podszczypywania mnie tą ręką, którą miał ukrytą w fałdach mojej sukni.

– Proszę sobie nie pozwalać – mówię, odsuwając się.

– Ja tam uważam, że ludziom powinno się pozwalać na wszystko – mówi ten pierwszy. – W głębi serca jestem republikaninem i nie widzę pożytku z królowej Anglii poza tym, do czego stworzyła ją matka natura: ma całkiem niezły biuścik i chętnie bym go pościskał, gdyby mi na to pozwoliła. Byłby to dla niej komplement, bo ona w ogóle nie ma brody, całkiem jak kaczką. Ja wam mówię: nikt nie jest lepszy od drugiego i wszystko powinno się dzielić po równo, bez żadnych przywilejów. Jak dasz jednemu z nas, to i pozostali muszą dostać swoją działkę, jak prawdziwi demokraci: no bo dla czego temu małemu łotrowi McDermottowi wolno było radować się tym, czego odmawia się lepszym od niego?

– Jasne – przytakuje drugi. – Jemu pewnie na dużo pozwalałaś. Musiałaś się niezłe bawić, kiedy sobie używał przez całą noc w gospodzie w Lewiston do ostatniej kropli potu, robiąc tylko krótkie przerwy, żeby się obmyć. Podobno chłop był z niego na schwał, miał rękę do wszystkiego, potrafił niezłe machać toporem i wspinać się po linie jak małpa.

– Słusznie prawisz – mówi pierwszy. – Ale w końcu spryciarz próbował się wspiąć aż do nieba i dał takiego susa w powietrze, że został tam aż przez dwie godziny. I za nic nie chciał zejść, choćby nie wiadomo jak go wołali, trzeba go było zdejmować. Tańczył tam na górze, podrygując z córką producenta liny rześko jak kogut z ledwo co ukręconym łbem. Cóż to był za piękny widok!

– A potem podobno też był cały sztywny – mówi drugi. – Ale to właśnie najbardziej podoba się damom.

I zaczęli się zaśmiewać, myśląc, że opowiedzieli najlepszy dowcip na świecie, ale to było z ich strony okrutne, śmiać się z kogoś, kto umarł. A to oznacza także pecha, gdyż zmarli nie lubią, jak się z nich śmieje. Byłam pewna, że mają jakiś sposób obrony i że w odpowiednim czasie poradzą sobie ze strażnikami z tego czy innego świata.

Ten rano spędziłam cerując koronki panny Lydii, które rozdarła na przyjęciu. Nieostrożnie obchodziła się ze swoimi ubraniami i powinno jej się powiedzieć, że takie piękne stroje nie rosną na drzewach. Była to delikatna praca i męcząca dla oczu, ale w końcu ją wykonałam.

Doktor Jordan przyszedł jak zwykle po południu, wyglądał na zmęczonego i zatroskanego. Nie przyniósł ze sobą żadnych warzyw, o które mógłby mnie wypytywać, co mnie trochę zaskoczyło, gdyż przyzwyczaiałam się już do tej części popołudnia i zawsze z przyjemnością zastanawiałam się, co przyniesie następnym razem i co będzie chciał o tym usłyszeć.

– Nie przyniósł pan dziś żadnej rzeczy, proszę pana – powiedziałam.

– Rzeczy, Grace?

– No, żadnego ziemniaka czy marchewki. Albo cebuli – dodałam. – Albo buraka.

– Tak, Grace, dzisiaj zamierzam wypróbować nowy plan.

– Jaki, proszę pana?

– Postanowiłem cię spytać, co chciałabyś, żebym przyniósł.

– No cóż, proszę pana, to rzeczywiście zupełnie inny plan. Muszę go sobie przemyśleć.

Powiedział, że oczywiście, proszę bardzo, a tymczasem – czy miewam jakieś sny? Wyglądał na zagubionego, jakby nie wiedział, co począć, więc podejrzewałam, że chyba nie najlepiej mu się wiedzie, ale nie mogłam powiedzieć, że nic sobie nie przypominam. Przyznałam, że rzeczywiście miałam sen. Spytał, o czym, nieco się ożywiając i bazgrząc ołówkiem. Powiedziałam, że śniły mi się kwiaty, a on to zapisał skwapliwie i spytał, jakie kwiaty. Powiedziałam, że czerwone, bardzo duże, o lśniących liściach jak peonie. Nie dodałam jednak, że były zrobione z materiału ani kiedy je ostatnio widziałam, nie powiedziałam też, że w ogóle nie były snem.

– Gdzie rosły?

– Tutaj.

– Tu, w tym pokoju? – spytał z przestachem.

– Nie – powiedziałam. – Rosły na podwórzu, gdzie chodzimy na spacer. – I to też zapisał.

A przynajmniej tak mi się wydawało. Nie jestem pewna, bo nigdy nie widzę, co pisze. Czasami sobie wyobrażam, że to, co pisze, w ogóle nie wychodzi z moich ust, bo nie za bardzo rozumie, o czym mówię, chociaż staram się ujmować wszystko tak jasno, jak tylko potrafię. Zupełnie jakby był głuchy i jeszcze nie nauczył się czytać z ust. Innym razem jednak najwyraźniej rozumie całkiem dobrze, chociaż, jak większość dżentelmenów, wolałby, żeby to, co mówię, znaczyło coś więcej.

Kiedy skończył pisać, powiedziałam:

– Myślałam o tym, co chciałabym, żeby mi pan przyniósł następnym razem, proszę pana.

– I co wymyśliłaś, Grace?

– Rzodkiewkę.

– Rzodkiewkę – odparł. – Czerwoną? Dlaczego wybrałaś właśnie rzodkiewkę? – I zmarszczył czoło, jakby to była sprawa wymagająca poważnego przemyślenia.

– Cóż, proszę pana, inne rzeczy, które mi pan przynosił, nie nadawały się do jedzenia, bo większość z nich musiałabym najpierw ugotować – poza jabłkiem, które przyniósł pan pierwszego dnia, co było bardzo miłe. Ale pomyślałam, że gdyby przyniósł pan rzodkiewkę, mogłabym ją zjeść bez przygotowania. Teraz jest sezon na rzodkiewki. W więzieniu trudno dostać coś świeżego do jedzenia, a nawet jeśli się je w kuchni tego domu, rzadko dostaje się warzywa z ogrodu, gdyż są przeznaczone dla rodziny. Więc byłby to pyszny poczęstunek i byłabym bardzo wdzięczna, gdyby przyniósł pan ze sobą nieco soli.

Wydał z siebie westchnienie, po czym powiedział:

– Czy u pana Kinneara nie było rzodkiewek?

– O, tak, proszę pana, były, ale zanim tam przyjechałam, już przerosły. Rzodkiewki najlepiej zbierać wczesnym latem, bo gdy robi się gorąco, miękną, robaczywieją i parcieją.

Nie zapisał tego.

Kiedy zbierał się do wyjścia, powiedział:

– Dziękuję, że opowiedziałaś mi swój sen, Grace. Może potem opowiesz mi jeszcze jakiś?

– Może tak, proszę pana.

– Będę się starał je zapamiętać.

– Jeśli to panu pomoże, proszę pana. Ma pan pewnie dużo problemów? – Czułam dla niego współczucie, wyglądał, jakby był nie w sosie.

– Dlaczego uważasz, że mam problemy, Grace?

– Ci, którzy sami je mają, są na nie wyczuleni, proszę pana.

Powiedział, że to bardzo miło z mojej strony, zawahał się przez chwilę, jakby chciał powiedzieć coś jeszcze, ale się rozmyślił i kiwnął głową na pożegnanie. Zawsze żegna się takim lekkim skinieniem głowy, kiedy wychodzi.

Nie skończyłam swojej robótki z kołdrą na dzisiaj, gdyż doktor siedział dłużej niż zwykle. Po chwili weszła panna Lydia.

– Doktor Jordan już wyszedł? – spytała.

Przytaknęłam. Miała na sobie nową suknię, którą pomagałam uszyć, w maleńkie białe ptaszki i kwiatki na fiołkowym tle, bardzo twarzową, ze spódnicą jak połówka dyni. Pomyślałam sobie, że pewnie liczyła na większą publiczność niż tylko ja sama.

Usiadła na krześle naprzeciwko mnie, tam gdzie zawsze siadał doktor Jordan, i zaczęła przebierać w koszyku do cerowania.

– Nie mogę znaleźć napastrka, chyba go tu gdzieś kładłam – powiedziała, a potem dodała: – Och, zapomniał o nożyczkach. Nie powinien ich zostawiać w zasięgu twojej ręki.

– Tak bardzo się tym nie przejmujemy – odparłam. – Wie, że nie zrobię mu krzywdy.

Siedziała przez jakiś czas z koszykiem na kolanach.

– Wiesz, że masz wielbiciela, Grace?

– O, któż to taki? – spytałam, myśląc, że to pewnie stajenny albo jakiś młodzieniec, który usłyszał moją historię i uznał ją za romantyczną.

– Doktor Jerome DuPont – odparła. – Mieszka teraz u pani Quennell. Mówi, że miałaś niezwykle życie i jest tobą bardzo zainteresowany.

– Nie znam tego pana. Pewnie wyczytał o mnie gdzieś w gazetach, jest w podróży i uznaje mnie za obiekt godny obejrzenia – powiedziałam dosyć ostro, gdyż wydawało mi się, że panienka Lydia sobie ze mnie kpi. Lubi pożartować i czasami z tym przesadza.

– To poważny dżentelmen – powiedziała. – Studiuje neurohipnotyzm.

– A cóż to takiego?

– Och, to coś jak mesmeryzm, ale bardziej naukowe. To ma związek z nerwami. Ale musiał cię poznać, a przynajmniej zobaczyć, bo twierdzi, że jesteś wciąż całkiem ładna. Może minął cię na ulicy, kiedy rano tu do nas idziesz.

– Może – powiedziałam, myśląc, jakie robię z siebie widowisko, kiedy idę w asyście dwóch zbirów szczerzących zęby.

– Ma takie ciemne oczy, wbijają się w ciebie, jakby mógł cię przejrzeć na wylot. Nie jestem pewna, czy go lubię. Oczywiście jest stary. Ma tyle lat co mama i cała reszta. Pewnie przychodzi na te ich wirujące stoliki i seanse. Nie wierzę w to, doktor Jordan też nie.

– Powiedział tak? – spytałam. – W takim razie to rozsądny człowiek. Takimi

rzeczami nie wolno się zajmować.

– Rozsądny człowiek, jak to zimno brzmi – powiedziała wzdychając. – Człowiek rozsądny to raczej pasuje do bankiera. Grace, on rozmawia z tobą częściej niż z kimkolwiek z nas. Jakim naprawdę jest człowiekiem?

– To dżentelmen.

– Tyle to i ja wiem – ucięła. – Ale jaki on jest?

– To Amerykanin – powiedziałam, co oczywiście też wiedziała. Potem nieco zmięklam i dodałam: – Wygląda na porządnego młodego człowieka.

– Och, nie chciałabym, by był zbyt porządny. Wielebny Verringer jest zbyt porządny.

Prywatnie się z tym zgadzam, ale wielebny Verringer próbuje uzyskać dla mnie ułaskawienie, więc mówię:

– Wielebny Verringer to osoba duchowna, a od takich osób się wymaga, by były porządne.

– Myślę, że doktor Jordan jest bardzo ironiczny. Czy jest taki również wobec ciebie, Grace?

– Nie przypuszczam, by taki był, panienko.

Znowu westchnęła i powiedziała:

– W jeden z najbliższych czwartków zamierza odwiedzić mamę. Zwykle na nie nie uczęszczam, bo są nużące, choć mama mówi, że powinnam bardziej interesować się poważnymi sprawami dotyczącymi dobra społeczeństwa, a wielebny Verringer mówi to samo, ale tym razem pójdę, bo jestem pewna, że doktor Jordan będzie niezwykle zajmująco opowiadał o domach dla obłąkanych. Chociaż wolałabym, żeby mnie zaprosił na herbatę do swojego pokoju. Z mamą i Marianne oczywiście, bo zawsze muszę mieć przyzwoitkę.

– Dla młodej panienki to rozsądne.

– Grace, czasami zachowujesz się jak stara matrona. A zresztą nie jestem już młodą panienką, skończyłam dziewiętnaście lat. Dla ciebie to pewnie nic, ty pewnie robiłaś różne rzeczy, ale ja nigdy dotąd nie byłam na herbacie w pokoju mężczyzny.

– Nie ma sensu czegoś robić tylko dlatego, że panienka tego do tej pory nie robiła. Ale pani matka z pewnością pójdzie, a to już wystarczy.

Wstała i przesunęła ręką po stole do szycia.

– Tak – powiedziała – to wystarczy. – Sprawiała wrażenie zniechęconej tą myślą.

– Pomożesz mi uszyć nową sukienkę? Na kółko czwartkowe. Chciałabym zrobić dobre wrażenie.

Powiedziałam, że z radością jej pomogę, a ona odparła, że wielki ze mnie skarb i że ma nadzieję, że mnie nigdy nie wypuszczą z więzienia, bo kto by jej wtedy pomagał szyć suknie. To, zdaje się, miał być komplement.

Nie podobało mi się jednak jej błędne spojrzenie i opadająca nuta w głosie. Pomyślałam, że szykują się kłopoty, jak to zwykle bywa, kiedy jedno kocha, a drugie nie.

Następnego dnia doktor Jordan przynosi mi obiecaną rzodkiewkę. Jest umyta, ma odcięte liście i jest świeżutka i krucha – nie taka gąbczasta jak te, które już trochę poleżą. Zapomniał o soli, ale to przemilczałam, bo, jak powiadają, darowanemu koniowi nie patrzy się w zęby. Zjadłam rzodkiewkę od razu. Wpadłam w nawyk szybkiego jedzenia w więzieniu, bo inaczej ktoś mógłby mi je zabrać – więc teraz napawam się jej ostrym smakiem, który przypomina pieprzny zapach nasturcji. Pytam, skąd ją wziął, a on odpowiada, że z targu, chociaż na pewno z małego kuchennego ogrodu za domem, gdzie mieszka, bo rzodkiewki właśnie dopiero zaczęły wschodzić. Zazdroszczę mu tego.

– Dziękuję z całego serca, proszę pana – mówię. – Ta rzodkiewka jest jak ambrozja. – Zaskoczyło go chyba, że użyłam takiego określenia, ale nie pamięta, że czytałam poezje sir Waltera Scotta.

Ponieważ pamiętał o rzodkiewce, od razu zabieram się do opowiadania i staram się uczynić moją opowieść jak najbardziej interesującą i bogatą w szczegóły. Zawsze wierzyłam, że dobro odplaca się dobrem.

Skończyliśmy na tym, proszę pana, że pan Kinnear pojechał do Toronto, przyszedł Jamie Walsh i grał na fujarce, był piękny zachód słońca, a potem poszłam spać z Nancy, bo ona bała się złodziei. Nie liczyła na McDermotta, który zresztą nie spał w domu, a może uważała, że stanąby po stronie rabusiów, a nie przeciwko nim. Tego mi nie powiedziała.

Weszliśmy po schodach ze świecami. Sypialnia Nancy, jak już powiedziałam, znajdowała się na tyłach domu i była o wiele większa i ładniejsza od mojej, choć nie miała oddzielnej ubieralni, jak sypialnia pana Kinneara. Stało tam jednak wygodne łóżko z piękną kołdrą w jasnoróżowe i błękitne kropki na niebieskim tle. Był to wzór „Połamane Schody”. Miała też szafę, gdzie trzymała suknie. Dziwiłam się, że zdołała zaoszczędzić tyle pieniędzy na suknie, ale powiedziała, że pan Kinnear potrafi być bardzo hojny, kiedy go coś najdzie. Miała też toaletkę rzeźbioną w róże i lilie w pąkach i szkatułkę z drzewa sandałowego z kolczykami i broszką, a także słoiki kremów i różnych maści. Przez pójściem spać smarowała sobie twarz jak jakiś but. Miała buteleczkę wody różanej i pozwoliła mi się nią skropić (pachniała cudownie) – tego wieczora Nancy była wobec mnie bardzo przyjazna – i słoik z pomadą, której wtarła sobie nieco we włosy, mówiąc, że nada im połysku. Poprosiła mnie, żebym jej wyszczotkowała włosy – zupełnie jak pokojówka – co zrobiłam z przyjemnością. Miała piękne, długie włosy, ciemnobrązowe i faliste.

– Och, Grace – powiedziała. – Jakie to wspaniałe uczucie. Masz taki delikatny dotyk.

Byłam rozradowana. Przypomniałam sobie jednak Mary Whitney i to, jak mi szczotkowała włosy. Nie myślałam o niej od dawna.

– Dobrałyśmy się jak dwa ziarna w korcu maku – powiedziała bardzo przyjaźnie, kiedy leżałyśmy już w łóżku. Kiedy jednak zdmuchiwała świecę, westchnęła i nie było to westchnięcie szczęśliwej kobiety, lecz takiej, która usiłuje jakoś przetrwać.

Pan Kinnear wrócił w sobotę rano. Miał wrócić w piątek, ale zatrzymały go interesy w Toronto, a przynajmniej tak twierdził. W drodze powrotnej wstąpił do gospody nieopodal rogatek. Nancy nie była z tego zbyt zadowolona, gdyż miejsce to nie cieszyło się dobrą reputacją i podobno przyciągało kobiety lekkich obyczajów, jak mi powiedziała w kuchni.

Odparłam, że dżentelmen może przestawać w takich miejscach bez uszczerbku dla swojej reputacji, próbując ją tym uspokoić. Była bardzo zdenerwowana, bo pan Kinnear spotkał w drodze powrotnej dwóch znajomych, pułkownika Bridgeforda i kapitana Boyda, których zaprosił na obiad. Tego dnia miał przyjść rzeźnik Jefferson, ale jeszcze się nie pojawił i w domu nie było świeżego mięsa.

– Och, Grace – powiedziała Nancy. – Będziemy musiały zabić kurczaka. Wyjdź i poproś o to McDermotta.

Odparłam, że potrzebne nam będą dwa kurczaki, bo na obiedzie będzie sześć osób razem z paniami, ale ona się zdenerwowała i powiedziała, że nie będzie żadnych pań, bo żony tych dżentelmenów nigdy nie zniżą się do tego, by przekroczyć próg tego domu, i że ona sama nie zje z nimi obiadu, bo oni tylko piją, palą i opowiadają o swoich bohaterskich czynach z czasów powstania, a potem do późna w nocy grają w karty, co bardzo szkodzi zdrowiu pana, bo potem kaszle – jak zwykle, gdy odwiedzają go ci panowie. Kiedy jej to pasowało, przypisywała mu słabą kondycję.

Wysłałam po McDermotta, ale nigdzie go nie mogłam znaleźć. Wołałam, weszłam nawet po drabinie na poddasze nad stajnią, gdzie spał. Nigdzie go nie było, ale nie mógł uciec, gdyż jego rzeczy zostały, a zresztą nie odszedłby bez zapłaty. Kiedy zeszałam na dół, spotkałam Jamiego Walsha, który spojrzał na mnie podejrzliwie, sądząc, że odwiedzałam McDermotta, ale kiedy spytałam, gdzie ten może się podziewać, Jamie uśmiechnął się do mnie, znowu przyjaźnie nastawiony, i powiedział, że nie wie, ale może poszedł do Harveya, prostaka, który mieszkał po drugiej stronie drogi w budzie skleconej z desek, z kobietą, która nie była jego żoną. Znał ją z widzenia, nazywała się Hannah Upton, wyglądała groźnie i zazwyczaj wszyscy jej unikali. Harvey jednak był znajomym McDermotta – trudno powiedzieć, że przyjacielem – i obaj często razem pili. Jamie dodał, że nie ma żadnych sprawunków do załatwienia.

Wróciłam do kuchni i powiedziałam, że McDermotta nie można nigdzie znaleźć, a Nancy stwierdziła, że ma już dość jego lenistwa, że zawsze gdzieś łązi, kiedy jest potrzebny, i że będę sama musiała zabić kurczaka.

– O nie, nie zrobię tego – zaprotestowałam. – Nigdy przedtem tego nie robiłam i nawet nie wiem jak. Mam zresztą wstręt do krwi, ale mogę oskubać zabitego ptaka.

Odparła, że bym nie była głupią gąską, to łatwe, bierze się topór i uderza nim kurczaka w głowę, a potem trzeba jednym ciachnięciem przerąbać mu kark. Nie mogłam znieść myśli o tym i zaczęłam płakać, a ona – przykro mi to powiedzieć, bo nieładnie jest

mówić źle o chorych i zmarłych – potrząsnęła mną, dała mi w twarz i wypchnęła mnie z kuchni na podwórze, mówiąc, żebym nie wracała bez martwego kurczaka, i to szybko, bo mamy mało czasu na przygotowania. Pan Kinneear lubi mieć posiłek na czas.

Poszłam do kurnika i złapałam tłustego, młodego białego kurczaka, przez cały czas płacząc, wetknęłam go sobie bezpiecznie pod ramię i poszłam do pieńka, ocierając łzy fartuszkami. Nie miałam pojęcia, jak mogłabym zrobić coś takiego. Jamie Walsh poszedł za mną i spytał mnie uprzejmie, co się stało, a ja poprosiłam, żeby był tak dobry i zabił za mnie tego kurczaka. On na to odparł, że nie ma nic prostszego i że robi to z radością, skoro ja mam takie miękkie serce. Wziął ode mnie ptaka i odciął mu głowę; kurczak przez chwilę biegał bez głowy, a potem legł na ziemi, kopiąc nóżkami w powietrze. Był to bardzo żałosny widok. Potem razem go oskubaliśmy, siedząc bok przy boku na sztachecie ogrodzenia i wyrzucając pióra w powietrze. Podziękowałam mu za pomoc i powiedziałam, że nie mogę mu nic za to dać, ale zapamiętam to sobie na przyszłość. Uśmiechnął się nieśmiało i odparł, że zawsze z ochotą mi pomoże, kiedy tylko będę tego potrzebowała.

Nancy wyszła pod koniec tej sceny i stanęła w kuchennych drzwiach, osłaniając oczy od słońca i czekając niecierpliwie na ptaka, żeby zacząć go przyrządzać. Oczyściłam go tak szybko, jak tylko mogłam, i wstrzymując oddech, żeby nie wdychać smrodu, wyjęłam jelita, gdyby ich potrzebowała do sosu, umyłam go pod pompą i zaniiosłam do kuchni. Kiedy go faszerowałyśmy, powiedziała:

– Widzę że podbijasz serca.

Kiedy spytałam, co ma na myśli, wyjaśniła, że Jamie Walsh ma na twarzy wypisaną szczenięcą miłość. Zawsze był jej ado-ratorem, lecz teraz stał się moim. Widziałam, że straciwszy zimną krew, usiłowała na nowo się ze mną zaprzyjaźnić, więc się roześmiałam i powiedziałam, że to nie najlepsza partia dla mnie, tylko chłopiec o włosach rudych jak marchewka i piegowaty jak kacze jajo, choć wysoki jak na swój wiek. A ona powiedziała:

– No cóż, poczwarka zawsze zamienia się w motyla.

Wydało mi się to bardzo tajemnicze, ale nie spytałam, co przez to rozumie, bo nie chciałam, żeby mnie uznała za ignorantkę.

Rozpaliliśmy w piecu w letniej kuchni, żeby upiec kurczaka, a resztę zrobiliśmy w zimowej kuchni. Do kurczaka dodałyśmy sałatkę z cebuli i marchewki ze śmietaną, na deser były truskawki z domową śmietanką, a potem ser, który też zrobiliśmy same. Pan Kinneear trzymał w piwniczce wino, trochę w beczkach i trochę w butelkach, i Nancy wysłała mnie na dół po pięć butelek. Sama nigdy nie lubiła tam chodzić; powiedziała, że tam jest za dużo pajaków.

W samym środku naszej krzątaniny wpadł James McDermott, a kiedy Nancy go spytała, gdzie się podziewał, odparł, że ponieważ skończył poranne prace, to nic jej do tego, a jeśli już koniecznie musi wiedzieć, to załatwił specjalne sprawunki dla pana Kinneeara, które ten mu powierzył jeszcze przed wyjazdem do Toronto. Nancy powiedziała, że to sprawdzi i że McDermott nie ma prawa zniknąć ot tak sobie, kiedy jest najbardziej potrzebny. On na to odparł, że skąd miał o tym wiedzieć, przecież nie potrafi przewidywać przyszłości i że gdyby potrafił, mniej by przebywał w tym domu. Ponieważ jednak Nancy była w tej chwili zajęta, powiedziała, że porozmawia z nim później, a teraz

niech się zajmie koniem pana Kinneara, którego po długiej drodze trzeba oporządzić, jeżeli uważa, że jest to zajęcie godne jego królewskiego pochodzenia. No i McDermott poszedł do stajni ze skwaszoną miną.

Pułkownik Bridgeford i kapitan Boyd przyjechali zgodnie z zapowiedzią i zachowywali się tak, jak przewidywała Nancy: z jadalni dochodziły donośne głosy i śmiechy. Nancy kazała mi podać do stołu. Nie chciała tego zrobić sama, tylko usiadła w kuchni z kieliszkiem wina i mnie też naląła. Pomyślałam, że żywi jakąś urazę do tych dżentelmenów. Powiedziała, że według niej kapitan Boyd nie jest prawdziwym kapitanem, bo tacy jak on przybierali takie tytuły tylko dlatego, że podczas powstania mieli konia między nogami. Spytałam o pana Kinneara, bo niektórzy w okolicy również nazywali go kapitanem, a ona odparła, że nic o tym nie wie, bo nigdy nie pozował na wojskowego, na swojej wizytówce miał napisane tylko zwykłe „pan”. Gdyby jednak był kapitanem, na pewno stanąłby po stronie rządu. A to była kolejna rzecz, którą mu miała za złe.

Naląła sobie drugi kieliszek wina i powiedziała, że pan -Kinneare niekiedy jej dokuczają z powodu jej nazwiska i nazywa ją małą wściekłą buntowniczką, bo Nancy nosiła nazwisko Montgomery – tak samo jak John Montgomery, właściciel gospody, w której spotykali się rebelianci i która teraz zamieniła się w ruinę. Kiedyś chwalił się, że podczas gdy jego wrogowie będą smażyć się w piekle, on znowu będzie miał gospodę przy Yonge Street, co potem, proszę pana, okazało się prawdą, wtedy jednak przebywał jeszcze w Stanach Zjednoczonych po zuchwałej ucieczce z więzienia w Kingston. Tak więc było to możliwe.

Nancy naląła sobie trzeci kieliszek wina i powiedziała, że ostatnio zaczęła tyć i co ona teraz robi, i położyła głowę na splecionych ramionach. Nadszedł jednak czas, żeby zanieść kawę, więc nie mogłam jej spytać, skąd ta nagła melancholia. W jadalni wszyscy byli weseli, wypili pięć butelek i domagali się jeszcze. Kapitan Boyd spytał, gdzie mnie pan Kinneare znalazł i czy tam więcej takich rośnie na drzewach, a jeśli tak, to czy są już dojrzałe. Pułkownik Bridgeford dopytywał się, co pan Kinneare zrobił z Nancy, czy jest zamknięta gdzieś w kuchni z resztą jego haremu, a kapitan Boyd dodał, że powinnam uważać na swoje śliczne niebieskie oczy, bo mi je kiedyś Nancy wydrapie, jeśli stary Tom będzie tak na mnie łypał. Tylko żartowali, ale miałam nadzieję, że Nancy tego nie słyszy.

W niedzielę rano Nancy powiedziała, że powinnam z nią pójść do kościoła. Odparłam, że nie mam odpowiedniej sukienki, choć była to tylko wymówka – nie bardzo chciałam tam iść, między nieznanymi, którzy na pewno by się na mnie gapili. Ona jednak powiedziała, że pożycz mi swoją suknię, choć zadbała o to, by to nie była jedna z jej lepszych sukienek, nie tak ładna jak ta, którą sama włożyła. Pożyczyła mi też czepeczek i powiedziała, że wyglądam bardzo porządnie. Dała mi również rękawiczki, które jednak na mnie nie pasowały, gdyż Nancy miała duże dłonie. Założyłyśmy też lekkie szale z wzorzystego jedwabiu.

Pan Kinneare leczył ból głowy i powiedział, że nie pójdzie – zresztą nigdy nie był zbyt religijny – ale dodał, że McDermott może nas odwiedzić bryczką i przywieźć

z powrotem. Zrozumiałe, że nie będzie uczestniczył we mszy, ponieważ jest katolikiem, a kościół był prezbiteriański. Był to jedyny kościół w tej okolicy i wielu ludzi innej wiary do niego chodziło, gdyż lepsze było to niż nic. W miasteczku znajdował się też tylko jeden cmentarz, więc kościół miał monopol zarówno na żywych, jak i na zmarłych.

Wsiadliśmy do bryczki. Dzień był piękny, powietrze przejrzyste, ptaki śpiewały i poczułam w sobie taki spokój, jaki pasował do tego dnia. Kiedy szliśmy do kościoła, Nancy wzięła mnie pod rękę – sądziłam, że z przyjaźni. Odwróciło się parę głów, ale chyba dlatego, że byłam tu nowa. Znajdowali się tu różni ludzie: ubodzy farmerzy i ich żony, służący, handlarze z miasteczka, a także tacy, którzy, sądząc po ich strojach i miejscach w pierwszych rzędach, uważali się za szlachtę albo prawie szlachtę. Usiadliśmy w ławce z tyłu, co było dla nas rzeczą właściwą.

Ksiądz wyglądał jak czapla, z zagiętym nosem i długą, kościstą szyją oraz z kępką włosów sterczących na czubku głowy. Kazanie dotyczyło Łaski Bożej i tego, jak możemy zostać zbawieni dzięki niej samej, a nie dzięki wysiłkom z naszej strony czy dobrym uczynkom. To nie oznaczało, że mamy ustawać w naszych wysiłkach czy przestać robić dobre uczynki: nie możemy jednak na nie liczyć czy być pewni, że zostaniemy zbawieni tylko w uznaniu naszego trudu i dobrych uczynków, gdyż Łaska Boża jest wielką tajemnicą, a tych, którzy ją otrzymują, zna tylko sam Bóg. Chociaż Pismo Święte mówi, że po owocach ich poznacie, owoce te oznaczają owoce duchowe, widoczne tylko dla samego Boga, i chociaż musimy i powinniśmy modlić się o Łaskę Bożą, nie powinniśmy tak nadymać się z próżności, wierząc, że nasze modlitwy przyniosą jakiś efekt, gdyż żołnierz strzela, Pan Bóg kule nosi i nie do nas, maluczkich, grzesznych i śmiertelnych dusz, należy określanie biegu wypadków. Pierwsi będą ostatnimi, a ostatni będą pierwszymi, a ci, którzy grzali się w ciepłe ziemskiego ognia, ku swemu zdziwieniu i oburzeniu będą się piekli na o wiele gorętszym palenisku. Pośród nas błąka się wiele żywych trupów – jasnych na zewnątrz, lecz spróchniałych i zgniłych od środka. Powinniśmy się obawiać pani siedzącej przy bramie swego domu, przed którą przestrzega nas Przypowieść dziewiąta, ta, która mówi, że kradziona woda jest przyjemna, a chleb wzięty skrycie jest smaczny, gdyż jak głosi Pismo Święte, tam bawią zmarli, jej zaproszeni – w głębinach piekła, a przede wszystkim winniśmy wystrzegać się samozadowolenia, jak Głupie Panny, i nie pozwalać, aby nasze lampki zgasły, bo nikt nie zna dnia ani godziny i musimy czekać w strachu i z drżeniem.

Mówił tak przez jakiś czas, a ja złapałam się na tym, że oglądam czepki obecnych pań, tyle, ile mogłam zobaczyć, siedząc z tyłu, i kwiaty na ich szalach. Pomyślałam sobie, że jeżeli nie można zyskać Łaski Bożej przez modlitwę ani w żaden inny sposób i nie można się przekonać, czy się ją dostało, to równie dobrze można sobie wszystko darować, bo to, czy będziesz zbawiony czy potępiony, nie zależy od ciebie. Nie ma co płakać nad rozlanym mlekiem, skoro nawet nie wiesz, czy mleko jest rozlane, bo wie to tylko Bóg, więc Bóg, jeśli to konieczne, może je posprzątać. Od myślenia o takich rzeczach zachciało mi się spać, a pastor miał taki monotony głos. Już prawie drzemałam, kiedy wszyscy wstali, śpiewając „Pójdź ze mną” – niezbyt dobrze, ale przynajmniej była to muzyka, która zawsze jest pocieszeniem.

Nikt nie pozdrowił nas zbyt ciepło, kiedy wychodziłyśmy z kościoła; wszyscy nas

unikali, choć niektórzy z tych biedniejszych skinęli do nas głową, a kiedy szłyśmy, za nami rozlegały się szepty, co wydało mi się dziwne, bo mimo iż ja tu byłam obca, Nancy wszyscy chyba zdążyli już poznać. Szlachta czy ci, którzy się za nią uważali, udawali, że jej nie zauważają, ale nie zasługiwała na takie traktowanie ze strony farmerów i ich żon i innych służących. Nancy trzymała głowę wysoko i nie rozglądała się na boki. Pomyślałam, że to zimni i zarozumiali ludzie i na pewno nie są dobrymi sąsiadami. To obłudnicy, myślą, że kościół to klatka, w której można zamknąć Boga, żeby nie włóczył się po ziemi w ciągu tygodnia, wtrącając się w ich sprawy i zaglądając w głębinę, mrok i hipokryzję ich serc oraz stwierdzając brak prawdziwej dobroci. Wierzą, że może im zawracać głowę tylko w niedzielę, kiedy mają na sobie najlepsze ubranie i przybierają świątobliwe miny, myją do czysta ręce i wkładają rękawiczki i wszystko mają z góry przygotowane.

Ale Bóg jest wszędzie i nie można go uwięzić w klatce tak jak człowieka.

Nancy podziękowała mi, że poszłam z nią do kościoła, i powiedziała, że cieszyło ją moje towarzystwo. Chciała jednak, żebym tego samego dnia oddała jej suknię i czepek, bo bała się, że mogę je zabrudzić.

Pod koniec tego samego tygodnia McDermott przyszedł do kuchni na obiad. Miał smutną minę. Nancy właśnie mu wypowiedziała i miał się wynieść do końca miesiąca. Powiedział, że się z tego cieszy, bo nie lubi, jak mu rozkazuje kobieta, a kiedy poskarżył się panu Kinnearowi, ten stwierdził tylko, że Nancy jest tu gospodynią i dostaje pieniądze za nadzorowanie wszystkich prac i że McDermott powinien spełniać jej polecenia, gdyż on nie może zaprzętać sobie głowy drobiazgami. Było więc nie najlepiej, a nawet gorzej, wzięwszy pod uwagę, jaką Nancy była kobietą. Nie zamierzał więc dłużej mieszkać w takiej kurwiarni.

Byłam tym zaszokowana i pomyślałam, że McDermott tylko tak gada, że przesadza i kłamie. Spytałam go z oburzeniem, co miał na myśli. A on na to, czy ja nie wiem, że Nancy bezwstydnie sypia z panem Kinnearem i potajemnie żyje z nim jak żona z mężem, chociaż wcale nie mają ślubu. Żadna to tajemnica, bo wiedzą o tym wszyscy w okolicy. Bardzo się zdziwiłam i wyraziłam swoje zdumienie, a McDermott odparł, że jestem idiotką i chociaż ciągle mówię, że pani Parkinson to, pani Parkinson tamto i że obnoszę się jak miastowa, wcale nie jestem taka pojętna, jak mi się wydaje, i ledwo dostrzegam nos przed swoją twarzą, bo kurewstwo Nancy od razu zauważyłby każdy oprócz takiej prostaczki jak ja. Powszechnie wiadomo, że Nancy, kiedy pracowała u Wrightów, miała dziecko z pewnym młodym łobuzem, który uciekł i ją zostawił. Dziecko umarło. Pan Kinnear jednak ją zatrudnił i przyjął do siebie, czego nie zrobiłby żaden szanowany mężczyzna, gdyż od samego początku było jasne, co sobie obmyślił, bo jak już koń wyszedł ze stajni, nie ma sensu zamykać drzwi, a gdy kobieta już raz położyła się na plecach jak żółw, pokazując swój brzuch, trudno jej będzie się odwrócić.

Chociaż nadal protestowałam, w końcu zrozumiałam, że McDermott mówi prawdę, i w mgnieniu oka pojęłam znaczenie tych odwróconych głów przed kościołem, szeptów i innych drobiazków, na które wcześniej nie zwracałam uwagi, a także to, skąd miała

wszystkie te piękne suknie i złote kolczyki, które – można by powiedzieć – były zapłatą za grzech; pojęłam nawet ostrzeżenie Sally, kucharki pani Watson, które mi dała, zanim mnie tu zatrudniono. Od tej pory miałam już oczy i uszy otwarte i chodziłam po domu jak szpieg. Przekonałam się, że Nancy nigdy nie spała w swoim łóżku, kiedy pan Kinneear był w domu. Wstydziałam się, że tak się dałam nabrać, że byłam taka ślepa i głupia.

Z przykrością muszę powiedzieć, że po tym incydencie straciłam cały szacunek, jaki kiedyś miałam dla Nancy jako osoby starszej ode mnie i gospodyni domu. Zaczęłam się jej odszczekiwać i dochodziło do kłótni z podniesionymi głosami, a z jej strony – z jednym czy dwoma uderzeniami w twarz, miała bowiem gwałtowny temperament i szybką rękę. Ja jej jednak nie oddawałam, a gdybym trzymała język za zębami, rzadziej dzwoniłoby mi w uszach, więc część winy biorę na siebie.

Wyglądało na to, że pan Kinneear nie zauważał naszych swarów. Wręcz przeciwnie – stał się dla mnie jeszcze miłszy i często przystawał koło mnie, kiedy wykonywałam jakąś pracę, pytał, jak mi idzie, a ja zawsze mówiłam: „Bardzo dobrze, proszę pana”, bo taki dżentelmen niczego bardziej nie chciałby się pozbyć niż niezadowolonej służącej – płacą ci za uśmiech i lepiej o tym pamiętać. Mówił, że jestem dobrą dziewczyną i bystrą pracownicą. Raz, kiedy dźwigałam po schodach wiadro z wodą do jego kąpielni, spytał, dlaczego nie robi tego McDermott, bo przecież wiadro jest dla mnie za ciężkie. Powiedziałam, że to należy do moich obowiązków, a wtedy on chciał wziąć ode mnie wiadro i sam je zanieść i położył swoją rękę na mojej. „Och, nie, proszę pana – powiedziałam – nie mogę na to pozwolić”, a on się roześmiał i odparł, że to od niego zależy, co wolno, a czego nie, bo on jest panem w tym domu, czyż nie tak? Na to musiałam przytaknąć. Kiedy tak staliśmy blisko siebie na schodach, z jego ręką na mojej, w hallu pojawiła się Nancy i nas zobaczyła. To z pewnością nie poprawiło jej nastawienia do mnie.

Często myślałam, że wszystko szłoby lepiej, gdyby na tyłach domu znajdowały się osobne schody dla służby, jak to zwykle bywa, ale tu ich nie było. A to oznaczało, że wszyscy musieliśmy żyć zbyt blisko siebie, co nie było najlepszym rozwiązaniem, gdyż w takim domu nie można się roześmiać czy zakasać, żeby ktoś tego nie usłyszał – zwłaszcza z parteru.

Co się tyczy McDermotta, z dnia na dzień stawał się coraz bardziej zadumany i mściwy. Powiedział, że Nancy zaplanowała jego odejście przed końcem miesiąca, żeby mu nie zapłacić, ale on na to nie pozwoli. Jeżeli tak traktuje jego, to wkrótce zacznie w ten sposób traktować i mnie; mówił, że powinniśmy się zjednoczyć i zacząć się domagać naszych praw. Kiedy pana Kinneeara nie było, a Nancy poszła odwiedzić swych znajomych u Wrightów – gdyż tylko oni spośród wszystkich sąsiadów byli do niej przyjaźnie nastawieni – coraz częściej zaczął sięgać po whisky pana, którą kupowano na beczki, więc było jej pod dostatkiem i nikt nie potrafiłby rozpoznać, że trochę ubyło. Mawiał, że nienawidzi wszystkich Anglików, i chociaż Kinneear był Szkotem z nizin, też go do nich zaliczał – to sami złodzieje, kurwy i grabieżcy ziemi. Zarówno pan Kinneear, jak i Nancy zasługiwali na to, żeby ich walnąć w łeb i wrzucić do piwnicy, a on szczególnie się do tego nadawał.

Myślałam jednak, że tylko tak gada, gdyż zawsze się przechwalał i zapowiadał, co to on nie zrobi. Mój ojciec, kiedy był pijany, w ten sam sposób wygrażał matce, ale nigdy

niczego nie zrobił. W takich chwilach najlepiej było kiwać głową, zgadzać się z nim i nie zwracać na nic uwagi.

Doktor Jordan spogląda znad swoich notatek.

– Więc początkowo mu nie wierzyłaś? – pyta.

– Wcale, proszę pana. Pan by też nie wierzył, gdyby go posłuchał. Brałam to wszystko za czcze pogrózki.

– Przed powieszeniem McDermott powiedział, że to ty go do tego nakłoniłaś. Twierdził, że zamierzałaś zamordować pana Kinneara i Nancy, wlewając im truciznę do owsianki, i że ciągle go ponaglałaś, żeby ci pomógł, czego bardzo bogobojnie odmawiał.

– Kto panu naopowiadał takich kłamstw?

– Tak jest napisane w zeznaniu McDermotta – mówi doktor Jordan.

Wiem to doskonale, gdyż sama je czytałam w albumie żony komendanta.

– To, że coś jest napisane, nie oznacza jeszcze, że to święta prawda, proszę pana.

Śmieje się szczekliwie i mówi, że mam rację.

– Ale tak poza tym, Grace, co ty o tym myślisz?

– Uważam, że to najgłupsza rzecz, jaką kiedykolwiek słyszałam, proszę pana.

– Dlaczego tak sądzisz?

Pozwalam sobie na uśmiech.

– Gdybym chciała wlać truciznę do owsianki, to do czego potrzebna by mi była jego pomoc? Zrobiłabym to sama i otruła jeszcze i jego na dokładkę. Nie potrzeba dużo siły, żeby unieść łyżeczkę.

– Mówisz o tym bardzo spokojnie, Grace – stwierdza doktor Jordan. – Skoro to nieprawda, to jak myślisz, dlaczego tak o tobie powiedział?

– Pewnie chciał na mnie zwalić całą winę – mówię powoli. – A może chciał, żebym mu dotrzymała towarzystwa w podróży. Droga do śmierci jest bardzo samotna i długa, nawet jeśli prowadzi prosto w dół po sznurze z szubienicy. To ciemna droga, nie oświetla jej żaden księżyc.

– Wygląda na to, że dużo o niej wiesz, Grace, jak na osobę, która nią nie szła – mówi z tym swoim nierównym uśmiechem.

– Byłam na niej tylko w snach, lecz przyjrzałam się jej dobrze w ciągu wielu nocy. Mnie też skazano na powieszenie i myślałam, że to zrobią, a wywinęłam się tylko dzięki szczęściu oraz talentowi pana MacKenzie, który wskazał na mój bardzo młody wiek. Kiedy się myśli, że wkrótce samemu wkroczy się na tę drogę, trzeba się z tym oswoić.

– To prawda – odpowiada poważnym głosem.

– Nie winię biednego Jamesa McDermotta – mówię. – Nie za takie zamysły. Nigdy nie winałabym kogoś za to, że czuje się samotny.

W następną środę wypadały moje urodziny. Ponieważ stosunki między mną i Nancy ochłodziły się, nie oczekiwałam, że będzie o nich pamiętać, choć dobrze znała datę, bo kiedy mnie zatrudniano, przyznałam się jej, ile mam lat i że niedługo skończę

szesnaście. Jednak ku mojemu zdziwieniu rano przyszła do kuchni w bardzo przyjaznym nastroju, życzyła mi wszystkiego najlepszego, wyszła przed dom i zerwała parę kwiatów, po czym włożyła je do szklanki i zniosła do mojego pokoju. Byłam tak wdzięczna za dobroć, którą mi wówczas już tak rzadko okazywała, że prawie się rozplakałam.

Powiedziała, że mogę sobie wziąć wolne popołudnie, gdyż są moje urodziny. Gorąco jej podziękowałam. Powiedziałam jednak, że nie wiem, co ze sobą zrobić, bo nie mam w okolicy żadnych znajomych, których mogłabym odwiedzić, i nie było tam żadnych prawdziwych sklepów i nic do oglądania, i że może po prostu zostanę w domu, poszyję albo wyczyszczę srebra. Ona na to odparła, że jeśli chcę, mogę się wybrać na spacer do wsi albo pospacerować po okolicy i że mogę pożyczyć od niej słomkowy kapelusz.

Później jednak się dowiedziałam, że pan Kinnear zamierzał całe popołudnie spędzić w domu, i podejrzewałam, że Nancy chciała się mnie pozbyć, żeby móc zostać z nim sam na sam, nie kłopotząc się o to, czy nagle nie wejdę na górę albo czy pan nie przyjdzie do kuchni i zalegnie tam na jakiś czas, wypytując mnie o wszystko, jak to zwykł ostatnio robić.

A jednak, kiedy podałam obiad panu Kinnearowi i Nancy, na który składała się pieczeń wołowa i sałata, ponieważ pogoda była ładna, a ja już zjadłam swój obiad z McDermottem w zimowej kuchni, pozmywałam naczynia, umyłam ręce i twarz, zdjęłam fartuch i go odwiesiłam, włożyłam słomkowy kapelusz Nancy, a na szyję biało-niebieską chusteczkę dla ochrony przed słońcem. McDermott, który jeszcze siedział przy stole, spytał, dokąd idę. Odparłam, że są moje urodziny i Nancy pozwoliła mi pójść na spacer. zaproponował, że pójdzie ze mną, gdyż na drogach aż roi się od włóczęgów i bandytów, i że potrzebuję ochrony. Już miałam na końcu języka, że jeden z nich właśnie siedzi ze mną w kuchni, ale ponieważ McDermott zrobił wysiłek, żeby zachować się kulturalnie, powstrzymałam się, podziękowałam mu za uprzejmość i powiedziałam, że nie jest to konieczne.

Wówczas on odparł, że i tak pójdzie, bo jestem młoda i płocha i nie wiem, co dla mnie dobre, a ja na to, że to nie jego urodziny i że ma swoje obowiązki. Powiedział: „Do diabła z urodzinami” i że on sam nie widzi powodu, żeby coś takiego świętować, bo nie jest wdzięczny matce za to, że go urodziła, i nawet gdyby to były jego urodziny, Nancy i tak nie dałaby mu wolnego. Dodał, że nie ma mi tego za złe, bo o to nie prosiłam i nie domagałam się specjalnych względów. Czym prędzej wyszłam z kuchni.

Nie miałam pojęcia, dokąd iść. Nie chciałam iść do głównej części wsi, gdzie nikogo nie znałam. Nagle uświadomiłam sobie, jaka jestem samotna, gdyż nie miałam żadnych przyjaciół oprócz Nancy, jeżeli ją w ogóle można nazwać przyjaciółką – jednego dnia się ze mną przyjaźniła, a drugiego obracała się przeciwko mnie, jak chorągiewka na wietrze – no i może jeszcze Jamiego Walsha, ale on był tylko chłopakiem. Był też Charley, koń, który choć umiał słuchać i pocieszyć, nie nadawał się zbytnio, gdy potrzebowałam rady.

Nie wiedziałam, gdzie jest moja rodzina – to tak samo, jakbym w ogóle jej nie miała. Nie żebym chciała znowu zobaczyć ojca, ale ucieszyłyby mnie wiadomości od dzieci. Miałam jeszcze ciotkę Pauline i mogłabym napisać do niej list, gdyby mnie

było stać na znaczek, gdyż wszystko to działo się jeszcze przed reformami i opłaty pocztowe były bardzo wysokie. Patrząc na to chłodnym okiem, rzeczywiście byłam sama jak palec i nie miałam przed sobą żadnych perspektyw oprócz ciężkiej pracy, a zawsze była to taka sama praca od świtu do zmierzchu i zawsze dyrygowała mną jakaś pani.

Z takimi myślami szybkim krokiem poszłam podjazdem, wiedząc, że McDermott może mnie obserwować. I rzeczywiście – kiedy się raz obejrzałam, stał oparty o kuchenne drzwi. Gdybym się ociągała, mógłby to wziąć za zaproszenie do przyłączenia się. Kiedy jednak doszłam do sadu, uznałam, że jestem już poza zasięgiem jego wzroku, i zwolniłam. Przeważnie trzymam uczucia na wodzy, ale w urodzinach jest coś przygnębiającego, zwłaszcza jeśli się je spędza w samotności. Weszłam do sadu i usiadłam, opierając się o wielki pień, który został po wykarczowanym lesie. Ptaki śpiewały, ale ja sobie pomyślałam, że i one są mi obce, bo nawet nie znam ich nazw. I to mi się wydało najsmutniejsze ze wszystkiego. Łzy zaczęły mi płynąć po policzkach. Nie otarłam ich, tylko szlochałam przez parę minut.

Potem powiedziałam sobie: „Czego nie można uleczyć, to trzeba znieść”, i spojrzałam na białe stokrotki, na fioletowe kule mleczki, które pachniały tak słodko i które obsiadły pomarańczowe motyle, podniosłam wzrok na gałęzie jabłoni nade mną, gdzie już rosły małe zielone jabłuszka, i na widoczne pomiędzy koronami drzew skrawki błękitnego nieba i próbowałam jakoś się pocieszyć myślą, że tylko dobry Bóg, któremu nasze dobro leży na sercu, mógł stworzyć tyle piękna i że brzemię, które dźwigam, to z pewnością próba, próba mojej siły i wiary – jak to było z wczesnymi chrześcijanami, Hiobem i męczennikami. Ale jak już wspomniałam, myśli o Bogu zawsze mnie usypiają, więc usnęłam.

To dziwne, ale niezależnie od tego, jak głęboko śpię, zawsze czuję przez sen, kiedy ktoś jest blisko albo mnie obserwuje. To tak, jakby jakaś część mnie w ogóle nie spała i miała lekko otwarte jedno oko. Kiedy byłam młodsza, wierzyłam, że to mój Anioł Stróż. Ale może wzięło się to z wczesnego dzieciństwa, kiedy ranne wstawanie było sposobem na uniknięcie wrzasków ojca i jego ostrych słów. Obudziło mnie szarpnięcie za ramię, czy też za włosy. W każdym razie śniło mi się, że z lasu wyszedł niedźwiedź i zaczął mi się przyglądać. Obudziłam się przestraszona i zobaczyłam człowieka stojącego w milczeniu koło mnie. Słońce świeciło mi prosto w twarz, więc początkowo nie mogłam go rozpoznać. Krzyknęłam cicho i chciałam uciekać. Potem jednak zobaczyłam, że to nie żaden obcy człowiek, tylko Jamie Walsh, pozostałam więc na miejscu.

– Och, Jamie, przestraszyłeś mnie – powiedziałam.

– Nie chciałem – odparł i usiadł koło mnie pod drzewem. Potem powiedział: – Co ty tu robisz w samym środku dnia? Nancy nie będzie się na ciebie gniewać? – Był bowiem bardzo ciekawskim chłopcem i ciągle zadawał pytania.

Powiedziałam mu o swoich urodzinach i o tym, że Nancy podarowała mi całe popołudnie. Złożył mi najlepsze życzenia, po czym rzekł:

– Widziałem, jak płakałaś.

– Szpiegowałeś mnie? – spytałam.

Wyjaśnił, że często przychodzi do sadu, kiedy pan Kinneer nie widzi. Późnym latem pan Kinneer często staje na werandzie z lunetą i sprawdza, czy okoliczni chłopcy

nie kradną mu jabłek, ale teraz jabłka i gruszki były jeszcze niedojrzałe.

– Dlaczego jesteś smutna, Grace? – spytał.

Czułam, że znowu się rozplączę, więc powiedziałam tylko:

– Nie mam tu żadnych przyjaciół.

– Ja jestem twoim przyjacielem – odparł, a po chwili spytał: – Masz chłopca, Grace?

Odparłam, że nie mam.

– Ja bym chciał być twoim chłopcem. A za parę lat, kiedy będę starszy i zaoszczędzę trochę grosza, pobierzemy się.

Nie mogłam się nie uśmiechnąć na te słowa. Powiedziałam żartobliwie:

– Ale przecież ty jesteś zakochany w Nancy.

– Nie – odparł. – Chociaż bardzo ją lubię. No i co ty na to?

– Ależ Jamie, jestem od ciebie dużo starsza – drażniłam się z nim. Nie mogłam bowiem uwierzyć, że mówi poważnie.

– Nieco ponad rok. Rok to nic.

– Ale i tak jesteś jeszcze chłopcem.

– Jestem wyższy od ciebie – stwierdził, co było prawdą. Nie wiem, dlaczego piętnasto-, szesnastoletnią dziewczynę uważa się za kobietę, a chłopaka w tym wieku jeszcze za dziecko. Tego jednak nie powiedziałam, widząc, że to jego czuły punkt. Podziękowałam mu z wielką powagą za propozycję i obiecałam, że się zastanowię, gdyż nie chciałam zranić jego uczuć.

– Ponieważ są twoje urodziny – powiedział – coś ci zagram.

– Wyjął fujarkę i zagrał „Mały żołnierz poszedł na wojnę”, bardzo ładnie i z uczuciem, choć nieco piskliwie na wysokich nutach. Potem zagrał jakąś inną, miłą piosenkę. Wiedziałam, że muszą to być nowe melodie, które dopiero ćwiczy. Był z nich bardzo dumny. Pochwaliłam go, mówiąc, że bardzo mi się podobało.

Potem powiedział, że dla uczczenia tego dnia zrobi mi wianek ze stokrotek. Oboje zabraliśmy się do plecenia wianków i zajęliśmy się tym jak małe dzieci. Od czasów Mary Whitney chyba nigdy tak się dobrze nie bawiłam. Kiedy skończyliśmy, Jamie bardzo uroczyście założył mi jeden wianek na kapelusz, a drugi, jako naszyjnik, na szyję i powiedział, że jestem Majową Królową. Ja na to odparłam, że powinnam być Lipcową Królową, bo był lipiec, i oboje wybuchliśmy śmiechem. Spytał, czy może mnie pocałować w policzek, a ja powiedziałam, że tak, ale tylko w jeden. Pocałował mnie. Powiedziałam mu, że jednak uprzyjemnił mi urodziny, bo przy nim zapomniałam o wszystkich swoich kłopotach. Uśmiechnął się na to.

Czas jednak płynął nieubłaganie i popołudnie już się skończyło. Kiedy wracałam podjazdem, zobaczyłam stojącego na werandzie pana Kinneara, który obserwował mnie przez lunetę. Kiedy podeszłam do tylnych drzwi, obszedł dom dookoła i powiedział:

– Dzień dobry, Grace.

Odzwajemniłam powitanie, a on dodał:

– Kto był z tobą w sadzie? I co tam robiliście?

Usłyszałam w jego głosie, jakie snuje podejrzenia, odparłam więc, że to tylko mały Jamie Walsh i że z okazji moich urodzin robiliśmy wianki ze stokrotek. Przyjął moją

odpowieź, choć nie był z niej zadowolony. A kiedy poszłam do kuchni, żeby zabrać się do robienia kolacji, Nancy spytała:

– A co to za zwiędły kwiatek masz we włosach? Wygląda strasznie głupio.

Jeden mi się zaplątał we włosy, kiedy zdejmowałam naszyjnik.

Te dwa incydenty odebrały niewinność temu dniu.

Zabrałam się do szykowania kolacji, a kiedy McDermott przyszedł później z naręczem drewna na opał, powiedział ironicznie:

– A więc kotłowałaś się w trawie i całowałaś chłopca na posyłki. Powinien za to porządnie oberwać. Zrobiłbym to sam, gdyby nie był takim dzieckiem. To jasne, że wolisz chłopców od mężczyzn, taka już z ciebie złodziejka dzieci.

A ja odparłam:

– Nic takiego nie robiłam. – On mi jednak nie uwierzył.

Miałam wrażenie, że to moje popołudnie wcale nie należało do mnie i nie było niczym osobistym. Wszyscy je śledzili – z panem Kinnearem włącznie, a nie spodziewałam się, że upadnie aż tak nisko – zupełnie jakby ustawili się w kolejce przed drzwiami mojego pokoju i podglądali przez dziurkę od klucza, co mnie bardzo zasmuciło, a także rozgniewało.

Parę dni minęło bez żadnych szczególnych wydarzeń. Byłam u pana Kinneara już prawie dwa tygodnie, ale wydawało mi się, że o wiele dłużej, gdyż czas mi się dłużył jak wówczas, proszę pana, kiedy człowiek nie jest szczęśliwy. Pan Kinneary pojechał konno chyba do Thornhill, a Nancy poszła odwiedzić swą przyjaciółkę u pani Wright. Jamie Walsh ostatnio się nie pojawiał w domu i zastanawiałam się, czy McDermott mu zagroził, by trzymał się z daleka.

Nie wiem, gdzie podziewał się McDermott. Pewnie spał w stodole. Nie byłam z nim w dobrych układach od tamtego ranka, kiedy powiedział, jakie mam piękne oczy, w sam raz, żeby kokietować chłopców, którzy jeszcze mają mleczne zęby, a ja mu odparłam, żeby mówił do siebie, bo jego słowa podobają się tylko jemu samemu. Wtedy on powiedział, że mam język jak żmija, a ja na to, że jeżeli nie chce, żeby ktoś mu się odszczekiwał, to niech pójdzie do obory i pokocha się z krową – jak by to powiedziała Mary Whitney.

Byłam w kuchennym ogrodzie, zrywając świeży groszek i dusząc w sobie gniew – gdyż nadal byłam zła za te wszystkie podejrzenia i kpiny, jak również złośliwe docinki McDermotta – kiedy usłyszałam melodyjne gwizdanie i zobaczyłam człowieka idącego podjazdem z bagażem na plecach i kosturem w ręce.

Był to domokrażca Jeremiasz. Tak się ucieszyłam, że widzę twarz z lepszych czasów, że wyrzuciłam groszek z fartuszką na ziemię, zamachałam do niego i pobiegłam mu na spotkanie. Był bowiem starym przyjacielem, a przynajmniej za takiego go wtedy uważałam. W nowym miejscu znajomi szybko stają się przyjaciółmi.

– No, Grace – powiedział – mówiłem ci, że przyjdę.

– Bardzo się cieszę, że cię widzę, Jeremiaszu.

Podeszłam z nim do tylnych drzwi domu i spytałam:

– Co masz dziś ze sobą? – Zawsze bowiem uwielbiałam zaglądać do jego tobołka, nawet jeżeli na większość rzeczy nie było mnie stać.

– Nie zaprosisz mnie do kuchni, Grace? – spytał. – Słońce tu bardzo praży. – A ja przypomniałam sobie, że tak właśnie się robiło u pani Parkinson, więc go zaprosiłam. Kiedy już znalazł się w środku, posadziłam go przy kuchennym stole, przyniosłam trochę piwa ze spiżarki i filiżankę zimnej wody, a potem ukroiłam mu pajdę chleba i kawałek sera. Skakałam koło niego, gdyż czułam, że to mój gość i że powinnam okazać gościnność. Sobie też nalałam piwa, żeby mu dotrzymać towarzystwa.

– Twoje zdrowie, Grace – powiedział. Podziękowałam mu i odwzajemniłam toast.

– Jesteś tu szczęśliwa? – spytał.

– To piękny dom – powiedziałam. – Są tu obrazy i pianino. – Nie lubiłam o nikim mówić źle, a zwłaszcza o moim panu i pani.

– Ale w spokojnym i odległym miejscu – powiedział, patrząc na mnie swymi jasnymi, błyszczącymi oczami. Miał oczy jak jagody i zachowywał się tak, jakby wiedział więcej niż inni i byłam pewna, że usiłował zajrzeć w mój umysł – choć w bardzo delikatny

sposób. Wierzę bowiem, że żywił dla mnie szacunek.

– Jest tu spokojnie – przytaknęłam. – Ale pan Kinnear to liberalny pan.

– I o pańskim smaku – powiedział, rzucając mi przenikliwe spojrzenie. – Ludzie z sąsiedztwa mówią, że poluje na służące, zwłaszcza te blisko swego domu. Mam nadzieję, że nie skończysz jak Mary Whitney.

Przestraszyłam się, bo pomyślałam sobie, że przecież tylko ja wiem o romansie Mary i o tym, kim był ów dżentelmen, a nigdy nikomu o tym nie wspominałam.

– Skąd wiesz? – spytałam.

Przyłożył palec do nosa, gest oznaczający milczenie i mądrość, i powiedział:

– Przyszłość jest ukryta w teraźniejszości, dla tych, którzy umieją ją odczytać. – A ponieważ wiedział już tak wiele, otworzyłam się przed nim i opowiedziałam mu wszystko, co mówiłam panu, proszę pana – nawet to, że usłyszałam głos Mary i zemdlałam, i że biegałam po domu, niczego potem nie pamiętając. Nie wspomniałam tylko o lekarzu, bo czułam, że Mary nie życzyłaby sobie, żebym o tym mówiła. Wierzę jednak, że Jeremiasz wszystkiego się domyślił, gdyż umiał odczytywać ludzkie myśli – nawet te niewypowiedziane.

– To smutna historia – powiedział, kiedy skończyłam. – Co zaś się tyczy ciebie, Grace, grosik do garnka, a zbierze się miarka. Wiesz, że Nancy nie tak dawno temu była służącą w tym domu i wykonywała wszystkie trudne i brudne prace, które teraz ty wykonujesz.

To było powiedziane bez ogródek i spuściłam wzrok.

Nie wiedziałam o tym.

– Kiedy człowiek wpadnie w jakiś nawyk, trudno mu go zwalczyć – powiedział. – Staje się jak pies, który zdziczał. Kiedy raz zasmakuje owcy, musi zabijać dalej.

– Dużo podróżowałaś? – spytałam, gdyż nie podobało mi się całe to gadanie o zabijaniu.

– Tak, ciągle jestem w drodze. Ostatnio byłem w Stanach, gdzie mogę tanio kupować towary i drożej sprzedawać je tutaj. Tak my, domokrażcy, zarabiamy na chleb. Trzeba nam zapłacić za zdarte podeszwy.

– I jak tam jest? Niektórzy mówią, że lepiej.

– Pod wieloma względami jest tak samo jak tutaj. Wszędzie są lotry i zbóje, tylko używają innego języka, żeby się wybielić. Różnica jest taka, że tam głoszą frazesy o demokracji, a tu trąbią na okrągło o porządku społecznym i lojalności wobec królowej, podczas gdy biedacy pozostają biedakami i tam, i tu. Kiedy jednak przekraczasz granicę, to tak, jakbyś przefrunął w powietrzu, nawet o tym nie wiesz, bo drzewa po obu stronach są takie same. I to właśnie pomiędzy drzewami zazwyczaj idę, do tego nocą, gdyż płacenie cła byłoby dla mnie wielką niedogodnością, a poza tym wzrosłaby cena dla takich klientek jak ty – powiedział z uśmiechem.

– Ale nie łamiesz prawa? A co się stanie, jeżeli cię złapią?

– Prawo jest po to, by je łamać, a te prawa nie ja ustanowiłem, tylko władze dla własnej korzyści. Nikogo jednak nie krzywdzę. Człowiek, który ma w sobie ducha, lubi wyzwania i lubi przechytrzać innych, co zaś się tyczy złapania mnie, to ze mnie stary wyjadacz, zbyt długo jestem w tym fachu. Mam też szczęście, co można wyczytać z mojej

dłoni. – I pokazał mi przecinające się linie na prawej dłoni, a także na lewej, i powiedział, że jest chroniony zarówno przez tych, którzy śnią, jak i tych, co są na jawie, gdyż lewa ręka jest ręką snów. Spojrzałam na własne dłonie, ale nie znalazłam takich krzyży.

– Szczyście może się skończyć – powiedziałam. – Mam nadzieję, że będziesz na siebie uważać.

– Cóż to, Grace, czyżbyś martwiła się o moje bezpieczeństwo? – spytał z uśmiechem, a ja spuściłam wzrok. Potem dodał poważniej: – Rzeczywiście myślałem o rzuceniu tej roboty, bo teraz jest o wiele większa konkurencja niż kiedyś, a ponieważ drogi są lepsze, dużo osób jeździ do miasta na zakupy, zamiast zostać w domu i kupować ode mnie.

Rozczarowałam się, słysząc, że mógłby porzucić swoje zajęcie, bo to by oznaczało, że już by nie przychodził ze swoim tobołkiem.

– Ale co wtedy byś robił? – spytałam.

– Mógłbym jeździć na jarmarki i zostać połykaczem ognia albo uzdrowicielem, zając się mesmeryzmem i magnetyzmem, bo z tego są zawsze pieniądze. W młodości miałem współniczkę, która się na tym znała, a takie rzeczy robi się przeważnie we dwójkę. Ja robiłem passy¹⁴ i zbierałem od nich pieniądze, a ona nakładała na głowę muślinowy welon, wpadała w trans i mówiła im głuchym głosem o ich problemach – oczywiście za opłatą. To niemal całkowicie bezpieczne, bo skoro oni sami nie potrafią zajrzeć we własne wnętrza, to kto może stwierdzić, czy masz rację czy nie? Ale ta kobieta wkrótce się tym znudziła, a może miała dość mnie, i popłynęła statkiem w dół Missisipi. Mógłbym też zostać kaznodzieją. Za granicą jest na to duże zapotrzebowanie, o wiele większe niż tutaj, zwłaszcza latem, kiedy naucza się na świeżym powietrzu albo w namiotach. Ludzie uwielbiają dostawać ataków i padać na ziemię, mówić dziwnymi językami i być zbawionymi raz na rok – albo częściej, jeśli to tylko możliwe – za co okazują wielką wdzięczność w gotówce. To obiecujące zajęcie i jeśli wykonuje się je umiejętnie, opłaca się o wiele bardziej niż to.

– Nie wiedziałam, że jesteś wierzący – powiedziałam.

– Bo też nie jestem, ale o ile wiem, to nie jest wymagane. Wielu kaznodziei wierzy w Boga nie bardziej niż w byle kamień.

Powiedziałam, że nie godzi się tak mówić, ale on się tylko roześmiał.

– Co w tym złego, dopóki ludzie tego chcą? – rzeki. – Bezbożny kaznodzieja z dobrymi manierami i silnym głosem nawróci o wiele więcej osób niż jakiś głupiec ze smutną miną i bezwładną ręką, choćby nie wiem jak był wierzący. – Przybrał uroczystą pozę i powiedział: – Silni w wierze wiedzą, że w rękach Boga nawet kruche naczynie można należycie spożytkować.

– Widzę, że już przestudiowałeś ten temat – powiedziałam, gdyż wysławiał się zupełnie jak prawdziwy kaznodzieja, a on się znowu roześmiał. Potem jednak spoważniał i pochylił się nad stołem.

– Myślę, że powinnaś odejść ze mną, Grace. Nie podoba mi się tutaj.

– Odejść? Jak to?

– Ze mną będziesz bezpieczniejsza niż tu.

Aż zadrżałam, bo czułam to samo, chociaż do tej pory sobie tego nie

uświadamiałam.

– Ale co miałabym robić? – spytałam.

– Podróżowałabyś ze mną i zostałabyś uzdrowicielką. Nauczyłbym cię wszystkiego i pokazał, co mówić i jak wprawiać się w trans. Wiem z twojej dłoni, że masz do tego talent, a gdybyś rozpuściła włosy, wyglądałabyś odpowiednio. Obiecuję, że w ten sposób zarobisz więcej w dwa dni, niż szorując tu podłogi przez dwa miesiące. Oczywiście musiałabyś przybrać inne imię: francuskie albo jakieś inne zagraniczne, gdyż ludzie po tej stronie oceanu nie uwierzyliby, że dziewczyna o zwykłym imieniu Grace ma tajemne moce. Nieznane jest dla nich zawsze cudowniejsze i bardziej przekonujące niż znane.

– A czyby to nie było oszustwo? – spytałam.

– Nie większe niż teatr. Jeżeli ludzie chcą w coś wierzyć, pragną tego i z tego powodu czują się lepiej, to czyż oszustwem jest pomaganie im umocnić się w swej wierze dzięki czemuś tak nieistotnemu jak imię? Czyż nie jest to raczej dobroczynność i ludzka życzliwość? – Kiedy w ten sposób ujął sprawy, spojrzałam na to innym okiem.

Powiedziałam, że nowe imię to dla mnie żaden problem, gdyż nie jestem zbyt przywiązana do swojego, bo nadał mi je ojciec. Jeremiasz uśmiechnął się i powiedział:

– W takim razie uściśnijmy sobie dłonie.

Nie będę ukrywać, proszę pana, że pomysł ten wydał mi się niezwykle kuszący, gdyż Jeremiasz był przystojnym mężczyzną z tymi swoimi białymi zębami i ciemnymi oczami, a przypomniałam sobie, że mam poślubić człowieka, którego imię zaczyna się na „J”. Pomyślałam też o pieniądzach i ubraniu, które mogłabym za nie kupić, a może nawet o złotych kolczykach. Zobaczyłabym tyle nowych miejsc i miast i nie wykonywałabym ciągle tej samej ciężkiej pracy. Potem jednak przypomniałam sobie, co się przydarzyło Mary Whitney, i chociaż Jeremiasz wyglądał na dobrego człowieka, to pozory mogą mylić. A co, jeżeli sprawy przybiorą zły obrót i zostanę sama w jakimś obcym miejscu?

– Pobierzemy się? – spytałam.

– A czy jest taka potrzeba? – odpowiedział. – Z małżeństwa nigdy nie wynika nic dobrego, bo jeżeli dwoje chce być razem, to i tak będzie, a jeżeli nie, to drugie ucieknie i po wszystkim.

To mnie przeraziło.

– Chyba lepiej tu zostanę – powiedziałam. – Zresztą i tak jestem za młoda na małżeństwo.

– Zastanów się jeszcze, Grace. Dobrze ci życzę i chcę ci pomóc. I mówię uczciwie, że tutaj otaczają cię same niebezpieczeństwa.

W tym momencie do kuchni wszedł McDermott. Domyśliłam się, że podsłuchiwał, bo wyglądał na bardzo rozgniewanego. Spytał Jeremiasza, kim, do diabła, jest i co, do diabła, tutaj robi.

Wyjaśniłam, że to domokrażca, którego znam ze starych czasów. McDermott spojrzał na tobolek – który był teraz otwarty, bo Jeremiasz otworzył go, kiedy rozmawialiśmy – i powiedział, że wszystko w porządku, ale pan Kinneer bardzo by się rozgniewał, gdyby zobaczył, że marnuję dobre piwo i ser na jakiegoś przybłądę. Powiedział tak nie dlatego, że rzeczywiście bał się reakcji pana, lecz po to, żeby obrazić

Jeremiasza.

Odparłam, że pan Kinneare jest bardzo hojny i nie odmówiłby uczciwemu człowiekowi zimnego napoju w gorący dzień. Na to McDermott jeszcze bardziej się rozżłościł, bo nie lubił, kiedy chwaliłam pana Kinneara.

Jeremiasz, żeby nas pogodzić, powiedział, że ma do sprzedania parę koszul, które – choć używane – są doskonałej jakości i może je sprzedać. Pasowałyby akurat na McDermotta. I chociaż McDermott zaczął zrzędzić, Jeremiasz wyjął je i rozłożył na stole. Wiedziałam, że McDermott potrzebuje nowych koszul, gdyż jedną rozdarł, a drugą zniszczył, pozwalając, by leżała w kurzu i błocie, tak że cała zbutwiała. Widziałam, że się zainteresował, i po cichu przyniosłam Jeremiaszowi jeszcze jeden kubek piwa.

Koszule miały wyhaftowane inicjały H.C. i Jeremiasz powiedział, że należały do żołnierza, dzielnego wojaka, ale nie martwego, bo noszenie rzeczy po zmarłych przynosi pecha. Podał cenę za wszystkie cztery. McDermott powiedział, że stać go tylko na trzy, i zaproponował niższą cenę, i tak się targowali, aż Jeremiasz się zgodził, mówiąc, że da mu cztery koszule za cenę trzech, ale ani pensa mniej, że to rozbój w biały dzień i że jak tak dalej pójdzie, to wkrótce zbankrutuje. McDermott był z siebie bardzo zadowolony, że zrobił taki świetny interes. W spojrzeniu Jeremiasza widziałam jednak, że pozwalał McDermottowi tak myśleć, choć sam dobrze na tym wyszedł.

Były to, proszę pana, te same koszule, wokół których zrobiło się tyle zamieszania na procesie, dlatego że najpierw McDermott twierdził, że kupił je od domokrażcy, a potem zmienił zeznania i powiedział, że od żołnierza. W pewnym sensie obie te wersje były prawdziwe, a według mnie zmienił zdanie dlatego, że nie chciał, by Jeremiasz świadczył przeciwko niemu w sądzie, bo wiedział, że to mój przyjaciel i że będzie chciał mi pomóc. Poza tym gazety nie mogły się połapać w liczbie koszul. Były jednak cztery, a nie trzy, jak twierdzono, gdyż dwie znajdowały się w torbie podróżnej McDermotta, jedną znaleziono zakrwawioną za kuchennymi drzwiami – w tę ubrany był McDermott, kiedy prznosił ciało pana Kinneara – a czwartą miał na sobie sam pan Kinneare, bo założył mu ją McDermott. Więc wychodzi cztery, a nie trzy.

Odprowadziłam Jeremiasza kawalek podjazdem, podczas gdy McDermott z marsową miną obserwował nas z wejścia do kuchni, ale nic sobie nie robiłam z tego, co myśli, bo przecież nie byłam jego własnością. Kiedy przyszedł czas się pożegnać, Jeremiasz spojrzał na mnie bardzo poważnie i powiedział, że wkrótce wróci po odpowiedź i ma nadzieję, że zarówno dla mojego, jak i jego dobra będzie to „tak”. Podziękowałam mu za życzenia. Już sama świadomość, że w każdej chwili mogę odejść, sprawiła, że poczułam się bezpieczniejsza i szczęśliwsza.

Kiedy wróciłam do domu, McDermott powiedział, że dobrze, że Jeremiasz już sobie poszedł, bo wcale mu się nie podobał – miał jakiś taki zagraniczny wygląd i przyszedł, węsząc za mną jak pies za suką. Nic na to nie odparłam, gdyż uwaga McDermotta wydała mi się bardzo ordynarna i byłam zdumiona gwałtownością jego wypowiedzi. Poprosiłam go, żeby z łaski swojej wyniósł się z kuchni, bo muszę zająć się kolacją.

Wtedy właśnie przypomniałam sobie o groszku, który upuściłam w ogrodzie, i poszłam po niego.

14 Passy – ruchy rąk hipnotyzera (przyp. tłum.).

Parę dni później złożył nam wizytę lekarz. Nazywał się doktor Reid i był starszym dżentelmenem, a przynajmniej na takiego wyglądał, bo trudno określić wiek lekarzy. Zawsze mają takie poważne miny i noszą ze sobą tyle chorób w swych skórzanych kuferkach, gdzie trzymają noże, przez co przedwcześnie się starzeją. I tak samo jak z wronami: kiedy widzisz, że zleciały się dwie czy trzy, wiadomo, że gdzieś w pobliżu czai się śmierć, a one o niej rozmawiają. Między sobą ustalają, którą część rozdziobią i wyrwą, i podobnie jest z lekarzami.

Nie mam na myśli pana, bo pan nie ma skórzanej torby ani noży.

Kiedy zobaczyłam doktora nadjeżdżającego swym powozikiem, poczułam, jak mi serce bije boleśnie w piersiach i pomyślałam, że zaraz zemdleję, a jednak tak się nie stało, gdyż byłam na dole sama i musiałam się stawić na każde wezwanie. Nancy by mi nie pomogła: leżała u siebie na górze.

Dzień wcześniej pomagałam jej dopasować nową suknię, którą sobie szyła, spędziłam więc godzinę klęcząc na podłodze z ustami pełnymi szpilek, podczas gdy ona obracała się i przeglądała w lustrze. Zauważyła, że robi się zbyt pulchna, a ja powiedziałam, że to dobrze mieć trochę ciała, a nie samą skórę i kości, i że obecnie młode damy głodzą się zgodnie z wymogami mody, która nakazywała bladość i chorowitość, a gorsety sznurową sobie tak ciasno, że od tego mdleją. Mary Whitney mówiła, że żaden mężczyzna nie chciałby mieć szkieletu, że każdy lubi, jak jest co złapać: z przodu i z tyłu, a im większa dupa, tym lepiej. Nie powtórzyłam jednak tego Nancy. Nowa suknia była jasnokremowa w pączki kwiatów, z podniesionym stanem, a spódnica miała naszyte trzy falbany. Powiedziałam, że bardzo jej w niej do twarzy.

Nancy skrzywiła się i odparła, że talia robi się jej za gruba i że jak tak dalej pójdzie, będzie musiała sobie sprawić nowy gorset, bo wkrótce zacznie wyglądać jak tłusta handlarka ryb.

Ugryzłam się w język i nie powiedziałam, że nie doszłoby do tego, gdyby ciągle nie wtykała palca do masła. Przed śniadaniem pożerała pół bochenka chleba, smarując go grubo masłem i dżemem śliwkowym. A dzień wcześniej widziałam, jak jadła kawał słoniny odkrojonej z szynki w spiżarni.

Poprosiła mnie, żebym nieco ciasniej zasznurowała jej gorset, ale kiedy to robiłam, stwierdziła, że źle się czuje. Nic dziwnego, wzięwszy pod uwagę, co jadła, choć równie dobrze mógł to sprawić ciasny gorset. Mówiła, że tego ranka miała zawroty głowy, i to prawie bez żadnego śniadania i przed sznurowaniem gorsetu. Zaczęłam się więc zastanawiać, co się dzieje, i pomyślałam, że może tego lekarza wezwano do Nancy.

Kiedy go zobaczyłam, stałam na podwórzu, nabierając kolejne wiadro wody do prania, gdyż się wypogodziło, powietrze było czyste i rześkie, słońce zaś mocno przygrzewało, więc był dobry dzień na suszenie. Pan Kinnear wyszedł, żeby przywitać

się z doktorem, który przywiązał swego konia do ogrodzenia, po czym obaj weszli do domu. Dokończyłam to, co robiłam, i wkrótce pranie wisiało na sznurze. Uprałam białą bieliznę – koszule, nocne koszule i halki – wszystko z wyjątkiem pościeli. Przez cały czas zastanawiałam się, jaki interes mógł mieć doktor do pana Kinneara.

Poszli do gabinetu pana Kinneara i zamknęli za sobą drzwi. Po chwili zastanowienia weszłam cicho do przylegającej biblioteki, żeby odkurzyć książki, ale zza ściany nie usłyszałam nic oprócz cichego pomruku.

Wyobrażałam sobie najrozmaitsze rzeczy, na przykład, że pan Kinneare pluje krwią i niedługo wyda ostatnie tchnienie, kiedy więc usłyszałam odgłos otwierających się drzwi do gabinetu, szybko przeszłam przez jadalnię do frontowego salonu. Pan Kinneare odprowadził doktora Reida do wyjścia, a doktor powiedział, że z pewnością będą się cieszyć towarzystwem pana Kinneara jeszcze przez wiele lat i że pan Kinneare czyta zbyt wiele medycznych czasopism, a potem nabija sobie głowę różnymi pomysłami. Nic mu nie dolega, musi tylko zdrowo i regularnie się odżywiać, a dla dobra wątroby byłoby lepiej, żeby nie pił. Na te słowa odetchnęłam z ulgą, ale od razu przyszło mi do głowy, że takie rzeczy może mówić lekarz umierającemu, żeby mu zaoszczędzić zmartwienia.

Wyjrzałam ostrożnie z salonu przez boczne okno. Doktor Reid poszedł do swojego powozu, a po chwili zobaczyłam Nancy, która – owinięta szalem i z na wpół rozpuszczonymi włosami – coś do niego mówiła. Musiała się wyśliznąć z domu tak cicho, że jej nie usłyszałam, co oznaczało, że nie chciała też, by ją usłyszał pan Kinneare. Pomyślałam sobie, że może próbuje się dowiedzieć, co dolega panu Kinneare, ale zaraz przyszło mi do głowy, że radzi się w sprawie swej nagłej choroby.

Doktor Reid odjechał, a Nancy skręciła w stronę domu. Usłyszałam, że pan Kinneare woła ją z biblioteki, ale ponieważ była jeszcze na dworze i mogła nie chcieć, by się wydało, co robiła, poszłam do niego sama. Pan nie wyglądał gorzej niż zwykle. Czytał egzemplarz „Lanceta”, który wziął z ogromnej sterty pism leżących na półce. Niekiedy, sprząając pokój, zaglądałam do nich, ale nie mogłam się w tym połapać poza tym, że pisano tam o pewnych funkcjach cielesnych, o których nie powinno się pisać w gazetach – nawet pod tymi wymyślnymi nazwami.

– No, Grace – powiedział pan Kinneare. – A gdzie twoja pani?

Wyjaśniłam, że źle się czuje i się położyła, ale jeżeli trzeba mu coś przynieść, to chętnie zrobię to sama. Powiedział, że chciałby kawy, jeśli mi to nie sprawi kłopotu. Odparłam, że nie, ale może to trochę potrwać, gdyż muszę od nowa rozpaść w piecu. Poprosił, żebym mu ją przyniosła, kiedy będzie gotowa, i jak zwykle mi podziękował.

Przeszłam przez podwórze do letniej kuchni. Była tam Nancy. Siedziała przy stole, wyglądała na zmęczoną, twarz miała smutną i bardzo bladą. Powiedziałam, że mam nadzieję, że czuje się lepiej, a ona przytaknęła i spytała mnie, co robiłam, podczas gdy ja rozpałam ogień, który już prawie całkiem wygasł. Powiedziałam, że pan Kinneare poprosił o kawę i że mam mu ją zanieść.

– Ależ to zawsze ja mu zanoszę kawę – powiedziała Nancy. – Dlaczego poprosił ciebie?

Odparłam, że na pewno dlatego, że jej nie było w pobliżu, i że chciałam tylko zaoszczędzić jej wysiłku, wiedząc, że jest chora.

– Ja ją zaniosę – powiedziała. – I, Grace, chciałabym, żebyś dziś po południu wyszorowała podłogę. Jest bardzo brudna, a ja mam dość mieszkania w takim chlewie.

Nie sądzę, by brudna podłoga miała z tym coś wspólnego. Nancy po prostu mnie ukarała za to, że poszłam do gabinetu pana Kinneara, co było bardzo niesprawiedliwe, bo ja tylko próbowałam jej pomóc.

Chociaż dzień zaczął się tak ładnie, po południu zrobiło się bardzo duszno i nieprzyjemnie. Nie wiał nawet najłżejszy wietrzyk, powietrze było wilgotne, a niebo pokryło się żółtawoszarymi chmurami, za którymi płonęło jak rozżarzony metal. Wyglądało to przerażająco. Podczas takiej pogody trudno oddychać. Mimo to po południu usiadłam na zewnątrz z robótką, żeby złapać trochę powietrza i dać odpocząć nogom, gdyż przez większą część dnia albo stałam, albo klęczałam, szorując kamienną podłogę w letniej kuchni. Rzeczywiście przydało jej się umycie, ale wolałabym to zrobić podczas chłodniejszej pogody, a nie wtedy, gdy powietrze było tak gorące, że można by w nim ugotować jajko. Proszę mi wybaczyć to wyrażenie, ale pot łał się ze mnie jak woda z kaczki. Martwiłam się o mięso w spiżarni. Na miejscu Nancy nigdy bym nie zamówiła tyle mięsa w taki upał; byłam pewna, że się zepsuje, co byłoby wielkim marnotrawstwem. Powinno się je zanieść do chłodnej piwnicy. Wiedziałam jednak, że nie ma sensu niczego jej sugerować, bo tylko by mi się odszczeknęła.

Podłoga była brudna jak w stajni. Zastanawiałam się, kiedy ją ostatnio porządnie wyszorowano. Oczywiście najpierw ją zamiotłam, a teraz myłam, klęcząc na kolanach, pod które podłożyłam stare szmaty, bo kamienie były takie twarde, bez butów i pończoch, z rękawami podwiniętymi nad łokcie i ze spódnicą i halką zadartą wysoko i zatkniętą za pasek fartucha, żeby oszczędzić ubranie, co, proszę pana, wie każdy, kto kiedykolwiek szorował podłogę. Miałam dobrą, szorstką szczotkę do szorowania i starą szmatę do wycierania i zaczęłam pracę od końca kuchni, posuwając się ku drzwiom.

Za plecami usłyszałam, że ktoś wszedł do kuchni. Zostawiłam drzwi otwarte, żeby wpuścić trochę powietrza i żeby podłoga szybciej wyschła. Pomyślałam, że to na pewno McDermott.

– Nie łaż mi po czystej podłodze zabłoconymi buciorami – powiedziałam, nie przerywając szorowania.

Nie odezwał się, ale też nie odszedł. Stał dalej w przejściu i przyszło mi do głowy, że pewnie gapi się na moje gołe nogi i – proszę mi wybaczyć – tyłek, który poruszał się tam i z powrotem, jak u psa machającego ogonem.

– Nie masz nic lepszego do roboty? – spytałam. – Nie płacą ci za to, żebyś stał i się gapił. – Odwróciłam się i spojrzałam przez ramię. To nie był McDermott, tylko pan Kinneary, z uśmiechem na twarzy, jakby uznał to za dobry żart. Podźwignęłam się, jedną ręką obciągając spódnicę, a w drugiej trzymając szczotkę. Brudna woda kapała mi na suknię.

– Och, przepraszam pana – powiedziałam, ale pomyślałam sobie: „Dlaczego nie przyznał się, kim jest?”

– Nie szkodzi – odparł i w tejże chwili do kuchni weszła Nancy z twarzą białą jak

kreda i pozieleniałą skórą, ale spojrzeniem ostrym jak brzytwa.

– Co się dzieje? Co ty tu robisz? – spytała mnie, choć miała na myśli jego.

– Szoruję podłogę, jak mi pani kazała – odparłam. „A jej się wydaje, że co – tańczy?” – pomyślałam.

– Odszczekujesz się – powiedziała Nancy. – Mam dość twojej arogancji.

A ja przecież wcale się nie odszczekiwałam, tylko po prostu odpowiedziałam na jej pytanie.

– Ja tylko chciałem drugą filiżankę kawy – powiedział pan Kinnear przepraszającym tonem.

– Zrobię ją – rzekła Nancy. – Grace, możesz iść.

– Dokąd mam iść, psze pani? – spytałam. – Umyłam tylko pół podłogi.

– Dokąd chcesz, tylko wynoś się stąd – rozkazała mi Nancy. Była na mnie bardzo zła. – I, na miłość boską, upnij włosy. Wyglądasz jak zdzira.

– Będę w bibliotece – powiedział pan Kinnear i wyszedł.

Nancy zaczęła dźgać ogień w piecu.

– Zamknij gębę – powiedziała. – Bo ci mucha wpadnie. A jeżeli wiesz, co dla ciebie dobre, to na przyszłość też miej ją zamkniętą.

Miałam ochotę rzucić w nią szczotką i na dokładkę wiadrem z brudną wodą. Wyobraziłam sobie, jak stoi, ociekając wodą jak topielec.

Ale potem od razu zrozumiałam, co jej jest. Zbyt często się z tym stykałam wcześniej. Dziwne potrawy o dziwnych porach, mdłości, zielone zabarwienie wokół ust i to, że spulchniała jak rodzynek w wodzie, jej drażliwość i wybuchy gniewu. Była przy nadziei. Wpadła w tarapaty.

Stałam tak, gapiąc się na nią, jakby mnie ktoś kopnął w brzuch. „Och, nie – pomyślałam. – Och, nie, nie”. Czułam, że serce wali mi jak młot. To niemożliwe.

Tego wieczora pan Kinnear był w domu i zjadł kolację z Nancy w jadalni. Obserwowałam jego twarz, szukając jakichś oznak tego, iż jest świadom stanu Nancy, ale nie, on o niczym nie wiedział. Zastanawiałam się, co zrobi, kiedy się dowie. Wyrzuci ją do rynsztoka. Ożeni się z nią. Nie miałam pojęcia, a oba te wyjścia nie dawały mi spokoju. Nie życzyłam Nancy źle i nie chciałam, żeby ją wyrzuciono na drogę jak padlinę dla włóczących się kundli, ale z drugiej strony byłoby to niesprawiedliwe, gdyby skończyła jako poważana dama z obrączką na palcu i dużym majątkiem. To nie byłoby w porządku. Mary Whitney zrobiła to samo co ona i musiała umrzeć. Dlaczego jedna ma być nagrodzona, a druga ukarana za ten sam grzech?

Kiedy poszli do salonu, jak zwykle zebrałam naczynia ze stołu. Do tego czasu zrobiło się gorąco jak w piecu, szare chmury przesłaniały słońce, które jeszcze nie zachodziło. Nie wiał najłżejszy wietrzyk, powietrze stało nieruchomo jak w grobie, tylko falowało rozgrzane na horyzoncie. Rozlegały się też ciche pomruki nadchodzącej burzy. W taką pogodę słycać bicie własnego serca. Zupełnie jakbyś się chował i czekał, aż ktoś cię znajdzie, a nie wiesz, kto to będzie. Zapaliłam świecę, żeby widzieć, co jem. Kolację zjadłam z McDermottem. Była tylko wołowina na zimno, bo nie mogłam się zmusić do

ugotowania czegokolwiek. Zjedliśmy w zimowej kuchni, potem wypiliśmy trochę piwa i zjedliśmy nieco chleba, który był jeszcze świeży i bardzo dobry, oraz parę plasterków sera. Następnie pozmywałam po kolacji, wytarłam naczynia i ustawiłam je w kredensie.

McDermott czyścił buty. Przez całą kolację był naburmuszony i pytał, dlaczego nie możemy zjeść jak ludzie – na przykład steków z młodą fasolką, jak inni, a ja odpowiedziałam, że fasolka nie rośnie na drzewach i że powinien wiedzieć, kto tu ma pierwszeństwo, gdyż wystarczyło jej tylko dla dwojga. A poza tym byłam służącą pana Kinneara, a nie jego. Powiedział, że gdybym była jego służącą, to nie utrzymałabym się długo, bo taka ze mnie dzika wiedźma i jedynym lekarstwem na mnie jest pas.

Słyszałam głos Nancy dobiegający z salonu i domyśliłam się, że czyta na głos. Lubiła to robić, gdyż uważała to za bardzo eleganckie, ale zawsze udawała, że to pan Kinneare od niej tego żąda. Mieli otwarte okno, chociaż w ten sposób mogły wlecieć ćmy, dlatego mogłam ją słyszeć.

Zapaliłam drugą świecę i powiedziałam McDermottowi, że idę spać, na co tylko coś odburknął, wziął swoją świecę i wyszedł. Wtedy otworzyłam drzwi na korytarz i wyrzłam. Światło z lampy padało przez uchylone drzwi do salonu, malując plamę na podłodze, a głos Nancy słyszeć było również i tu.

Szybko przeszłam przez korytarz, zostawiwszy świecę na stole w kuchni, i stanęłam, opierając się o ścianę. Chciałam tylko posłuchać czytania Nancy. Była to *Pani Jeziora*, którą Mary Whitney i ja kiedyś czytałyśmy razem. Smutno mi się zrobiło na to wspomnienie. Nancy czytała dość dobrze, choć powoli, i niekiedy zacinała się na jakimś słowie.

Biedna obłąkana kobieta została zastrzelona przez pomyłkę i umierając, wypowiadała parę zdań. Pomyślałam, że to bardzo melancholijny fragment, ale pan Kinneare się nie zgodził, mówiąc, że to dziwne, że w takim romantycznym miejscu jak Szkocja nie można zrobić kroku, żeby się nie natknąć na obłąkane, które zawsze wyskakują przed kule i strzały nieprzeznaczone dla nich, co przynajmniej ma tę zaletę, że kładzie kres ich cierpieniom. Albo ciągle rzucają się do oceanu – w takiej ilości, że wkrótce wody powinny być pełne ciał topielców, stwarzając poważne zagrożenie dla statków. Nancy na to powiedziała, że on nie potrafi się wczuć, a pan zaprzeczył, mówiąc, że ogólnie wiadomo, że sir Walter Scott umieścił tyle trupów w swych książkach specjalnie dla pań, gdyż one uwielbiają krew i nie ma dla nich nic rozkoszniejszego niż rozkładające się ciało.

Nancy powiedziała wesoło, że ma być cicho i zachowywać się grzecznie, bo inaczej będzie musiała go ukarać i zamiast czytać, zacznie grać na pianinie. Pan Kinneare się roześmiał i odparł, że zniesie każdą torturę, tylko nie to. Rozległo się ciche klepięcie i szelest ubrania i doszłam do wniosku, że Nancy siedzi mu na kolanach. Przez jakiś czas było cicho, aż wreszcie pan spytał Nancy, czy połknęła język i dlaczego jest taka zamyślona.

Pochyliłam się do przodu, bo pomyślałam, że teraz na pewno poinformuje go o swoim stanie i dowiem się, jak się rzeczy ułożą, ale nie zrobiła tego. Wyznała natomiast, że martwi się o służących.

Pan chciał wiedzieć, o kogo, a Nancy powiedziała, że o oboje. On się roześmiał

i powiedział, że przecież w domu jest troje służących, a nie dwoje, bo ona też jest służącą. Nancy odparła, że to bardzo miło z jego strony, że jej o tym przypomniał, a teraz musi go opuścić, bo ma pracę w kuchni. Znowu rozległ się jakiś szelest i odgłosy zmagania się, jakby Nancy usiłowała wstać. Pan ponownie się zaśmiał i poprosił, żeby została, że to rozkaz jej pana, a Nancy odparła gorzko, że chyba jej za to płacą. Potem on ją zaczął uspokajać i spytał, czemu jest niezadowolona ze służących. Powiedział, że najważniejsze, że praca jest wykonana, a dopóki jego buty są czyste, niespecjalnie go obchodzi, kto je czyści, gdyż on dobrze płaci i wymaga solidnej pracy za swoje pieniądze.

– Tak – powiedziała Nancy. – Praca jest wykonana, ale tylko w wypadku McDermotta, bo stoję nad nim z batem, ale kiedy go karzę za lenistwo, odszczekuje mi się, więc musiałam mu wypowiedzieć.

Pan Kinnear powiedział, że to rzeczywiście podły drań i że nigdy go nie lubił. Potem spytał:

– A co z Grace?

A ja nadstawiłam uszu, żeby lepiej usłyszeć, co powie Nancy.

Powiedziała, że szybko i porządnie wykonuję swoją pracę, ale ostatnio stałam się bardzo kłótniwa i zastanawia się, czyby mi nie wypowiedzieć. Kiedy to usłyszałam, zrobiło mi się gorąco. Potem dodała, że jest we mnie coś takiego, co w niej wzbudza niepokój, i zastanawia się, czy ze mną wszystko w porządku, gdyż parę razy słyszała, jak mówię głośno do siebie.

Pan się roześmiał i powiedział, że to nic takiego – on sam często mówi do siebie, gdyż jest najlepszym rozmówcą, jakiego zna – a ja niewątpliwie jestem ładną dziewczyną, mam pewną naturalną ogładę i bardzo czysty grecki profil i gdyby mnie odpowiednio ubrać, kazać trzymać głowę wysoko i buzię na kłódkę, mogłabym uchodzić za damę.

Nancy powiedziała, że ma nadzieję, że nie będzie mi prawil takich komplementów, bo to by mi przewróciło w głowie, co z pewnością mi nie posłuży. Potem dodała, że nigdy nie słyszała z jego ust tak dobrego zdania o sobie, on coś na to odpowiedział, ale nie dosłyszałam co, znowu zapadła cisza i coś zaszeleściło. Potem pan Kinnear powiedział, że czas spać. Szybko więc wróciłam do kuchni i usiadłam przy stole, bo Nancy dałaby mi nieźle popalić, gdyby mnie przyłapała na podsłuchiwanie.

Ale potem znowu podsłuchiwałam, kiedy już poszli na górę, i usłyszałam, jak pan Kinnear mówi:

– Wiem, że się chowasz, wychodź natychmiast, ty okropna dziewucho, zrób, jak ci każę, bo jak cię złapię, to...

Nancy się roześmiała, a potem cicho krzyknęła.

Burza coraz bardziej się zbliżała. Nigdy nie lubiłam grzmotów. Kiedy się położyłam, zamknęłam okiennice, żeby nie wpadł jakiś piorun, a potem naciągnęłam kołdrę na głowę, chociaż było bardzo gorąco. Myślałam, że w ogóle nie usnę. A jednak usnęłam. Obudził mnie straszliwy huk, jakby przyszedł koniec świata. Szalała dzika burza z rykiem i odgłosami werbli. Trzęsłam się w łóżku, modląc się, żeby się skończyła, i zamykając oczy za każdym razem, kiedy przez szpary w okiennicach wpadał błysk pioruna. Deszcz lał jak z cebra i cały dom trzeszczał w szwach jak zgrzytające zęby. Byłam pewna, że lada chwila burza rozłupie nas na pół jak statek na morzu i zatoniemy

w ziemi. I wtedy, tuż przy uchu, usłyszałam szept: „To niemożliwe”. Przeraziłam się okropnie i straciłam przytomność.

Potem miałam bardzo dziwny sen. Śniło mi się, że znowu jest cicho i że wyszłam z łóżka w nocnej koszuli i boso poszłam do kuchni zimowej, a stamtąd na podwórze. Chmury się rozwiały i księżyc świecił jasno, a liście na drzewach wyglądały jak srebrne piórka. Powietrze było chłodniejsze i delikatne jak aksamit. Cykały świerszcze. Poczułam zapach mokrego ogrodu i ostrą woń kurnika, słyszałam, jak Charley cicho zarżał w stajni, co oznaczało, że ktoś jest w pobliżu. Stałam tak na podwórzu koło pompy, a światło księżycy spływało na mnie jak woda. Nie mogłam się poruszyć.

Potem od tyłu objęły mnie czyjeś ręce i zaczęły mnie pieścić. Były to ręce mężczyzny. Czułam jego usta na mojej szyi i policzku, całował mnie namiętnie i całym ciałem przyciskał się do moich pleców. To było jak dziecięca zabawa w ślepego, kiedy trzeba zgadnąć, kto za tobą jest, a nie można się obejrzeć i zobaczyć. Poczułam zapach kurzu z drogi i skóry, więc pomyślałam, że to domokrażca Jeremiasz. Potem jednak zapach ten zmienił się w zapach końskiego łajna i pomyślałam, że to McDermott. Nie mogłam jednak wykonać żadnego ruchu, żeby go odepchnąć. Potem zapach zmienił się w woń tytoniu i mydła do golenia pana Kinneara, a ja wcale się nie zdziwiłam, bo właściwie spodziewałam się po nim czegoś takiego. Podczas gdy usta tego nieznanego mężczyzny błędziły po mojej szyi, czułam, jak jego oddech porusza moimi włosami. A potem zrozumiałam, że to żaden z nich trzech, lecz ktoś inny, ktoś, kogo dobrze znałam od dzieciństwa, ale o kim już dawno zapomniałam i nie po raz pierwszy znalazłam się z nim w takich okolicznościach. Czułam, jak ogarnia mnie ciepło i senność i chęć poddania się, gdyż tak byłoby dużo łatwiej, niż się opierać.

Wtedy jednak usłyszałam parskanie konia, a nie był to Charley ani żaden z naszych koni, tylko jakiś zupełnie inny koń. Ogarnął mnie wielki strach, moje ciało zrobiło się całkiem zimne i stałam jak sparaliżowana. Wiedziałam bowiem, że ten koń nie jest ziemski, lecz że to biały koń, który nadjedzie w Dniu Pomsty, jego jeźdźcem jest Śmierć, i to właśnie Śmierć stoi za mną, obejmując mnie mocno ramionami jak żelaznymi sztabami, a jej bezwargie usta całują mnie miłośnie. Oprócz przerażenia czułam jednak również jakąś dziwną tęsknotę.

W tej chwili weszło słońce – nie po trochu, jak na jawie, proszę pana, ale od razu – i rozblęsnęło wielkim światłem. Gdyby było dźwiękiem, byłby to dźwięk wielu trąb. Ręce, które mnie obejmowały, się rozplęnęły. Byłam oszołomiona tym blaskiem, ale podniosłam wzrok i zobaczyłam, że w drzewach przy domu, a także w sadzie, gromadzi się wiele ptaków, ogromnych ptaków białych jak śnieg. Był to złowieszczy i przerażający widok, gdyż wyglądały tak, jakby szykowały się do lotu i zniszczenia czegoś, i przez to przypominały zbierające się wrony, tylko że te były białe. Kiedy zaczęłam widzieć wyraźniej, okazało się, że to wcale nie ptaki. Miały ludzką postać i były tymi aniołami, których szaty są skąpane we krwi, jak to jest powiedziane pod koniec Biblii. Siedziały, osądzając w milczeniu dom pana Kinneara. Zobaczyłam, że nie mają głów.

We śnie z przerażenia straciłam przytomność, a kiedy ją odzyskałam, byłam

we własnym łóżku, w moim małym pokoiku, z kołdrą podciągniętą pod same uszy. Kiedy jednak wstałam – bo już świtało – odkryłam, że dół mojej koszuli jest mokry, a na stopach mam ziemię i trawę. Pomyślałam, że pewnie chodziłam we śnie, nieświadoma tego, co robię, jak to mi się zdarzyło raz wcześniej, tego dnia, kiedy umarła Mary Whitney. Serce stanęło mi na chwilę.

Zaczęłam się ubierać jak zwykle, przysięgając sobie, że zachowam ten sen dla siebie, bo komuż mogłam zaufać w tym domu? Gdybym powiedziała, że to ostrzeżenie, tylko by się ze mnie śmiali. Kiedy jednak wyszłam, żeby napompować pierwsze wiadro wody, zobaczyłam, że całe pranie, które rozwiesiłam poprzedniego dnia, wisiało na drzewach. Musiała je zerwać burza w nocy. Zapomniałam je wnieść do domu, co było do mnie niepodobne, zwłaszcza że było to białe pranie, przy którym bardzo się napracowałam, usiłując zmyć plamy. Uznałam, że to kolejny zły omen. Nocne koszule i halki, które utkwily na drzewach, rzeczywiście wyglądały jak bezgłowe anioły. Było to zupełnie tak, jakby nasze własne ubrania zebrały się, by nas osądzić.

Nie mogłam się otrząsnąć z uczucia, że nad domem ciąży klątwa i że niektórzy domownicy umrą. Gdybym wtedy miała jakąś szansę, podjęłabym ryzyko i odeszła z domokrążcą Jeremiaszem.

I rzeczywiście chciałam biec za nim i lepiej bym zrobiła, gdybym pobiegła, ale nie wiedziałam, dokąd poszedł.

Doktor Jordan pisze skwapliwie, jakby nie mógł za mną nadążyć. Nigdy przedtem nie widziałam go tak ożywionego. Serce mi się raduje, że mogę nareszcie kogoś uszczęśliwić, i myślę sobie: „Ciekawe, co on z tego wszystkiego zrozumie?”.

IX

Serca i żołądki

Wieczorem przyszedł James Walsh i przyniósł ze sobą fujarkę. Nancy powiedziała, że możemy się trochę rozerwać, bo pan Kinnear jest poza domem. Odezwała się do McDermotta:

– Często chwaliłeś się, jak umiesz tańczyć.

On jednak tego wieczora był nachmurzony i powiedział, że nie będzie tańczył. Około dziesiątej poszliśmy spać. Tej nocy spałam z Nancy. Zanim poszłyśmy spać, McDermott powiedział, że postanowił ją zabić tej nocy, siekierą, kiedy Nancy będzie w łóżku. Ostrzegłam go, żeby tego nie robił tej nocy, bo może uderzyć mnie zamiast niej.

– Do diabła z nią – odparł. – W takim razie zabiję ją z samego rana.

W sobotę rano wstałam wcześniej, a kiedy weszłam do kuchni, McDermott czyścił buty. Ogień w piecu był rozpalony. Spytał mnie, gdzie jest Nancy, a ja odparłam, że się ubiera, i spytałam, czy zamierza ją zabić tego ranka. Przytaknął. Powiedziałam:

– McDermott, na miłość boską, nie zabijaj jej w jej pokoju, cała podłoga będzie we krwi.

– No, dobra – odparł. – Ale uderzę ją siekierą, jak tylko wyjdzie.

Zeznanie Grace Marks

„Star and Transcript”, Toronto, listopad 1843

Piwnica ta przedstawiała okropny widok... [Nancy] Montgomery nie była martwa, jak myślałam. Cios ją tylko ogłuszył. Częściowo odzyskała świadomość i uklękła na jedno kolano, kiedy schodziliśmy po drabinie ze światłem. Nie wiem, czy nas widziała, bo oczy pewnie zalewała jej krew płynąca po twarzy, ale na pewno nas usłyszała i podniosła złączone ręce, jakby błagała o litość.

Odwróciłem się do Grace. Wyraz jej posiniałej z wściekłości twarzy był jeszcze bardziej przerażający niż tej nieszczęsnej kobiety. Nie wydała żadnego okrzyku, tylko przyłożyła ręce do głowy i powiedziała:

– Bóg mnie za to przeklął.

– W takim razie nie masz się czego bać – rzekłem. – Daj mi chusteczkę z szyi.

Oddała ją bez słowa. Rzuciłem się na ciało gospodyni i przyciskając kolano do jej piersi, zawiązałem chustkę na jej gardle w pojedynczy węzeł, dając jeden koniec Grace, żeby pottrzymała, podczas gdy ja ciągnąłem dość mocno za drugi, żeby dokończyć swoją straszliwą robotę. Oczy dosłownie wyszły jej z głowy, wydała z siebie jeden jęk i było po wszystkim. Potem pociąłem jej ciało na cztery kawałki i nakryłem ogromną balią.

James McDermott

opowiedziane Kennethowi MacKenzie,

w wersji przytoczonej przez Susannę Moodie,

Life in the Clearings, 1853

...śmierć pięknej kobiety stanowi niewątpliwie najbardziej poetycki temat na świecie...

Edgar Allan Poe

Filozofia kompozycji, 1846

Letni upał przyszedł bez ostrzeżenia. Jednego dnia była jeszcze chłodna wiosna, zaczynał deszcz i mroźne białe chmury wisiały nad lodowatym błękitem jeziora, a potem nagle przekwitły żonkile, a tulipany ukazały swe wnętrza, jakby ziewając, po czym zaczęły ronić płatki. Z tylnych podwórek i rynsztoków wydobywa się odór ścieków, a nad głową każdego przechodnia unosi się mgielka komarów. W południe powietrze drży jak opary nad rozgrzaną patelnią, a Jezioro łśni. Jego brzegi lekko pachną rozkładającymi się rybami i żabim skrzekiem. Nocą lampa Simona jest oblegana przez ćmy, które furkocą wokół niego, a dotyk ich miękkich skrzydełek przypomina muśnięcie jedwabistych ust.

Simon jest oszołomiony tą zmianą. Przywykły w Europie do tego, że pory roku zmieniają się bardziej stopniowo, już zapomniał o tych gwałtownych przejściach. Ubranie ciąży mu jak futro, skóra zawsze wydaje się wilgotna. Ma wrażenie, że cuchnie jak tłuszcz bekonu i skwaśniałe mleko, a może to jego sypialnia wydziela taki zapach. Już od dawna nie była sprządana, a pościel niezmienniana. Pani Humphrey jak dotąd nie znalazła żadnej odpowiedniej służącej do wszystkiego, chociaż co rano napomyka o swych wysiłkach w tym kierunku. Według niej Dora, która odeszła, rozsiewa plotki po całym mieście – a przynajmniej wśród potencjalnych służących – o tym, że pani Humphrey jej nie płaciła i niedługo pójdzie z torbami, bo nie ma pieniędzy, a także o tym, że major przepadł bez wieści, co jest jeszcze bardziej hańbiące. Więc oczywiście – mówi Simonowi – żadna służąca nie zamierza nająć się do takiego domu. I uśmiecha się ponuro.

Sama robi śniadania, które jedzą razem przy jej stole – ona wyszła z tą propozycją, a on na to przystał, gdyż noszenie tacy na górę byłoby dla niej upokarzające. Dziś Simon słucha jej z niespokojnym roztargnieniem, bawiąc się wystygłą grzanką i jajkiem, które ostatnio je smażył. W jajecznicy przynajmniej nie ma żadnych niespodzianek.

Stać ją tylko na śniadanie. Często ulega załamaniu nerwowemu i cierpi na bóle głowy wywołane reakcją na szok – tak mu się przynajmniej wydaje – a po południu nieodmiennie kładzie się na łóżku z mokrą szmatką na czole, która wydziela ostry zapach kamfory. Simon nie może pozwolić zagłodzić się jej na śmierć, więc chociaż posiłki je zazwyczaj w paskudnej gospodzie, od czasu do czasu stara się karmić swoją gospodynię.

Wczoraj na targu kupił kurczaka od jakiejś rozżalonej starej baby, ale dopiero w domu odkrył, że kurczak jest wprawdzie oskubany, lecz nie został wypatroszony. Uznał, że nie podoła temu zajęciu – nigdy przedtem nie patroszył kurczaka – i myślał o tym, żeby się pozbyć ptasiego trupa. Spacer nad Jeziorem, zamach ręką... Potem jednak przypomniał sobie, że to tylko sekcja zwłok, a kroił o wiele gorsze ciała niż kurczaki, i kiedy wziął skalpel do ręki – w skórzanej torbie miał wszystkie narzędzia ze swego poprzedniego fachu – znowu poczuł się pewnie i udało mu się zrobić zgrabne nacięcie. Potem było gorzej, ale zdołał przebrnąć, wstrzymując oddech. Pokroił kurczaka na kawałki i usmażył. Pani Humphrey przyszła do stołu, mówiąc, że czuje się nieco lepiej, i jak na delikatną osobę zjadła całkiem sporo, kiedy jednak przyszło do zmywania, znowu opadła z sił i Simon musiał zrobić wszystko sam.

Kuchnia jest jeszcze bardziej zapuszczona niż wtedy, gdy wszedł do niej po raz pierwszy. Pod piecem zebrały się koty, w kątach pająki, a obok zlewu – okruszki chleba. Do spiżarni zaś wprowadziła się rodzina chrząszczy. To zatrważające, jak szybko można popaść w nędzę. Niezwłocznie trzeba coś z tym zrobić, potrzebny jest jakiś niewolnik albo lokaj. Oprócz brudu istnieje też kwestia pozorów. Simon nie może mieszkać sam w tym domu ze swą gospodynią: zwłaszcza taką, którą opuścił mąż. Jeżeli się to rozniesie i ludzie zaczną gadać – choćby nie wiadomo jak ich gadanie było bezpodstawne – może ucierpieć jego reputacja i kariera zawodowa. Wielebny Verringer powiedział jasno, że wrogowie reformatorów wykorzystają wszystkie środki, choćby najbardziej niktzemne, żeby zdyskredytować swoich przeciwników, i w razie skandalu Simon szybko pożegna się z posadą.

Mógłby przynajmniej zrobić coś z tym domem, gdyby starczyło mu silnej woli. Przyciśnięty do muru, mógłby zamieść podłogę i schody i odkurzyć meble we własnych pokojach, ale i tak nie zdołałby usunąć odoru niemej katastrofy, powolnego rozkładu, którym tchnie z wiszących bezwładnie zasłon i który gromadzi się w poduszkach i meblach. Nadejście letniego upału jeszcze pogorszyło sytuację. Simon z nostalgią przypomina sobie stukot śmietniczki Dory. Poczłł nowy szacunek dla Dor tego świata, ale chociaż pragnie, aby takie problemy domowe rozwiązały się same, nie ma pojęcia, jak to można osiągnąć. Raz czy dwa przyszło mu do głowy, żeby poprosić o radę Grace Marks – jak się zatrudnia pokojówkę, jak się patroszy kurczaka – ale się rozmyślił. Powinien zachować w jej oczach wizerunek wszechwiedzącego autorytetu.

Pani Humphrey znowu mówi, a tematem monologu jest jej wdzięczność dla Simona. Czeką, aż Simon będzie miał pełne usta, potem zaczyna. Jego wzrok błądzi po jej postaci – błądy owal twarzy, surowo przyczesane i bezkrwiste włosy, opięta w czarny jedwab talia, rąbek białej koronki. Pod tą sztywną suknią muszą być piersi – skrępowane i ukształtowane gorsetem – lecz z miękkiego ciała, z sutkami. Simon łapie się na tym, że próbuje odgadnąć, jakiego są koloru – w świetle dziennym i sztucznym – i jak duże. Sutki różowe i małe, jak ryjki zwierząt – królików lub myszy; czy prawie czerwone, jak dojrzewające porzeczki, a może łuskowate i brązowe, jak czapeczki żółędzi. Jego wyobraźnia, jak sam zauważa, zapuszcza się w dzikie tereny i dotyka spraw niepokojących lub wstydlivych. W rzeczywistości ta kobieta go nie pociąga: takie obrazy pojawiają się niechciane. Czuje pulsowanie w oczach – jeszcze nie ból głowy, tylko tępy ucisk. Zastanawia się, czy nie ma lekkiej gorączki. Tego ranka sprawdzał w lustrze, czy nie ma obłożonego języka. Obłożony język wygląda jak gotowana cielęcina: jest szarawobiały i pokryty nalotem.

Życie, jakie wie dzie, nie jest zdrowe. Jego matka ma rację: powinien się ożenić. Ożenić się lub spłonąć, jak powiedział święty Paweł; lub też poszukać zwykłych rozwiązań. W Kingston, jak wszędzie, są domy o złej reputacji, on jednak nie może z nich skorzystać jak w Londynie czy w Paryżu. To miasto jest zbyt małe, a on jest zbyt znany, jego pozycja zbyt niepewna, żona komendanta zbyt nabożna, wrogowie reformy zbyt wszechobecni. Nie warto ryzykować, a poza tym te domy są przygnębiające, przygnębiająco pretensjonalne, ze swymi nostalgicznie wyściełanymi meblami reprezentują prowincjonalne wyobrażenie pokusy. Zbyt dużo brokatu i frędzli. Ale też

użytkitarne – zgodnie z wyznawaną na północy Ameryki zasadą fabrycznego miasteczka, gdzie chodzi o to, by mieć szybki przerób i zapewniać jak największe szczęście jak największej liczbie klientów – choćby to szczęście miało być ponure i nędznej jakości. Brudne halki, ciała dziwek blade jak niewypieczone ciasto i wysmarowane brudnymi paluchami marynarzy, a z rzadka obłąpane przez któregoś z przejeżdżających przez to miasto rządowych urzędników, wstydliwie i incognito.

Musi unikać tych miejsc. Takie doświadczenia wysysają energię umysłową.

– Czy pan jest chory, doktorze Jordan? – niepokoi się pani Humphrey, podając mu drugą filiżankę herbaty, którą naląła mu bez pytania. Jej oczy są nieruchome, zielone, morskie, a źrenice małe i czarne. Simon budzi się, przestraszony. Czyżby zasnął?

– Przyciskał pan rękę do czoła. Boli pana głowa?

Pani Humphrey ma w zwyczaju materializować się za jego drzwiami, kiedy Simon usiłuje pracować, i pyta, czy mu czegoś nie brak. Lgnie do niego, jest niemal czuła, lecz ma w sobie coś służalczego – zupełnie jakby czekała na klapsa, kopniaka, uderzenie otwartą dłońią – co, jak sama fatalistycznie przewiduje, nastąpi wcześniej czy później. Ale nie od niego, na pewno nie od niego – protestuje Simon w duchu. Ma łagodne usposobienie, nigdy nie zdarza mu się wybuchnąć czy zastosować przemoc. O majorze nie ma żadnych wieści. Simon wyobraża ją sobie bosą, kruchą jak muszla, bezbronną i związaną – skąd mu się to wzięło? – kawałkiem zwykłego sznurka. Jak paczka. Jeżeli jego podprogowa świadomość musi sobie folgować w tak egzotycznych pozycjach, to powinna przynajmniej podsunąć srebrny łańcuch...

Pije herbatę. Smakuje błotem, korzeniami sitowia. Ostatnio miał problemy z przewodem pokarmowym i zaordynował sobie laudanum; na szczęście ma go spory zapas. Podejrzewa, że gdzieś w tym domu stoi woda, może jego sporadyczne kopanie w ogrodzie naruszyło studnię? Jego plany zaprowadzenia kuchennego ogródka spełzły na niczym, chociaż przekopał się przez imponującą górę błota. Po całych dniach mocowania się z cieniami z dziwną ulgą zatapia ręce w czymś realnym – takim jak ziemia. Na to jednak robi się zbyt gorąco.

– Muszę już iść – mówi, wstaje, odsuwa krzesło i ociera usta, chociaż właściwie przed południem nie ma żadnego spotkania. Nie ma sensu zostawać w pokoju i usiłować pracować. Zasnąłby przy biurku, choć czujnie, jak drzemiący kot wyczulony na kroki na schodach.

Wychodzi i spaceruje bez celu. Jego ciało wydaje mu się niematerialne jak pęcherzyk powietrza, pozbawione własnej woli. Idzie nad Jezioro, mruży oczy od blasku porannego słońca, mijając siedzących tu i tam samotnych rybaków, którzy rzucają przynętę w letnie, leniwe fale.

Kiedy jest z Grace, czuje się trochę lepiej i dalej może się łądzić poczuciem celu. Grace przynajmniej reprezentuje pewien cel lub osiągnięcie. Ale dzisiaj, słuchając jej cichego, szczerego głosu – przypominającego głos nianki recytującej ulubioną bajkę – niemalże zasypia. Budzi go dopiero dźwięk jego własnego pióra spadającego na podłogę. Przez chwilę wydaje mu się, że ogłuchł albo dostał małego wylewu: widzi, jak jej usta się

poruszają, ale nie rozumie słów. Jest to jednakże tylko sztuczka świadomości, gdyż pamięta – skupiwszy się na tym – wszystko, co powiedziała.

Na stole między nimi leży mała, pozbawiona ducha rzepa, którą do tej pory oboje ignorowali.

Musi zebrać swe intelektualne siły. Nie może sobie teraz pozwolić na apatię, letarg, na zgubienie nitki, za którą podążał przez ostatnie tygodnie, gdyż wreszcie zbliżają się do głównej części opowieści Grace. Zbliżają się do tajemnicy, do pustego miejsca, wkraczają w lasy amnezji, gdzie rzeczy utraciły swe nazwy. Innymi słowy, odtwarzają (dzień po dniu, godzina po godzinie) wydarzenia, które nastąpiły tuż przed morderstwem. Teraz wszystko, co mówi Grace, może okazać się kluczem – każdy gest, każde drgnięcie twarzy. Ona wie, ona wie. Może nie wie, że wie, ale ta wiedza jest pogrzebana głęboko w niej.

Problem polega na tym, że im więcej sobie przypomina, im więcej opowiada, tym większe Simon ma trudności. Nie może nadażyć. Zupełnie jakby wysysała z niego energię – używając swych mentalnych sił, by zmaterializować postacie w swej opowieści – tak jak to podobno czynią media w transie. Oczywiście to jest bzdura. Simon nie może się oddawać takim chorym fantazjom. A jednak mówiła coś o mężczyźnie w nocy: czyżby mu to umknęło? O jednym z nich: McDermott, Kinnear. W notesie zapisał słowo „szepł” i podkreślił je trzy razy. O czym chciał sobie przypomnieć?

Najdroższy Synu!

Jestem zaniepokojona, że od tak dawna nie mam od Ciebie żadnych wiadomości. Może jesteś chory? Tam, gdzie są mgły, tam muszą być i infekcje, a rozumiem, że sytuacja w Kingston, przy tak wielu bagnach w okolicy, jest nie najlepsza. Trzeba bardzo uważać na siebie w mieście garnizonowym, gdyż żołnierze i marynarze wiodą bardzo grzeszne życie. Mam nadzieję, że podczas tych upałów jak najwięcej czasu spędzasz w domu i nie wychodzisz na słońce.

Pani Henry’owa Cartwright kupiła domową maszynę do szycia dla swych służących, a panna Faith Cartwright tak się nią zaciekawiła, że sama ją wypróbowała i w krótkim czasie nauczyła się szyć halki. Wczoraj mi przyniosła jedną, żebym mogła podziwiać ścieg, gdyż wie, że interesują mnie współczesne wynalazki. Maszyna działa całkiem nieźle, choć trzeba w niej wiele poprawić – nitka płącze się często i trzeba ją przecinać albo rozplątywać – ale takie urządzenia nigdy na początku nie są doskonałe. Pani Cartwright mówi, że jej mąż jest zdania, że udziały w spółce, która produkuje te maszyny, wkrótce staną się najlepszą inwestycją. To bardzo czuły i rozsądny ojciec, który poświęca wiele uwagi przyszłości swej córki jedynaczki.

Nie będę Cię jednak zanudzać mówieniem o pieniądzach, gdyż wiem, że Tobie wydaje się to nużące. Jednakże, Synu, to one zaopatrują spiżarnię i zapewniają środki na te drobne przyjemności, które odróżniają zwykłą egzystencję od wygodnego życia i, jak mawiał Twój drogi ojciec, nie rosną na drzewach...

Czas nie biegnie swym niezmiennym rytmem: robi jakieś dziwne skoki. Teraz zbyt

szybko nastał wieczór. Simon siedzi przy biurku przed otwartym notesem i gapi się tępo w ciemniejący kwadrat okna. Zachód słońca już wyblakł, pozostawiając po sobie fioletową smugę. Powietrze na zewnątrz aż wibruje od wizgania owadów i rechotu żab. Simon ma wrażenie, że całe jego ciało jest napęczniałe – jak drewno na deszczu. Z trawnika unosi się zapach usychających bzów – zapach spalenizny, jak przypieczonej słońcem skóry. Jutro jest wtorek, dzień, kiedy musi stawić się w saloniku żony komendanta, jak to obiecał. Co jej powie? Musi zrobić kilka notatek, ułożyć sobie jakąś spójną mowę. Ale to nie ma sensu; nie wymyśli nic sensownego, nie dzisiaj. Nie może myśleć.

Ćmy tłuką się o lampę. Simon odkłada kwestię wtorkowego spotkania i wraca do niedokończonego listu.

Droga Mamo!

Jestem zdrów. Dziękuję za przysłanie mi haftowanej pochewki na zegarek, którą zrobiła dla Ciebie panna Cartwright. Dziwię się, że zechciałaś się z nią rozstać, chociaż zawsze mówiłaś, że jest za duża na Twój zegarek. To prawdziwe cacko. Myślę, że już niedługo skończę swoją pracę tutaj...

Kłamstwa i wykręty z jego strony, a z jej – intrygi i sidła. Co go obchodzi panna Faith Cartwright i jej niekończące się, diabelskie robótki? W każdym liście matka przysyła mu wieści o nowej robótce na drutach, o ściegach i mozolnym szydełkowaniu. Cały dom Cartwrightów – każdy stół, krzesło, lampa, a nawet fortepian – musi być już pokryty akrami chwaścików i frędzli, wełnianymi kwiatami ociążale kwitnącymi w każdym jego zakamarku. Czy jego matka naprawdę wierzy, że może go oczarować taką wizją – małżeństwem z Faith Cartwright i uwięzieniem w fotelu przy kominku, zamrożeniem w jakimś stuporze, podczas gdy jego droga żona stopniowo będzie go owijać kolorowymi jedwabnymi nićmi jak kokonem lub jak muchę, która zaplątała się w pajęczą sieć?

Mnie kartkę i rzuca ją na podłogę. Napisze drugi list.

Drogi Edwardzie!

Mam nadzieję, że jesteś zdrowy. Ja nadal przebywam w Kingston, gdzie wciąż...

Ale co wciąż? Co on tutaj właściwie robi? Nie może podtrzymać tego wesołego tonu, w jakim zwykle do niego pisze. Co może napisać Edwardowi, jakim trofeum może się pochwalić? Jakim tropem? Ma puste ręce; nic nie odkrył. Podróżował na oślep, nawet nie wiadomo, czy do przodu, nie dowiedziawszy się niczego poza tym, że niczego się jeszcze nie dowiedział, może z wyjątkiem rozmiaru własnej ignorancji – jak ci, którzy bezowocnie szukali źródeł Nilu. Podobnie jak oni, musi brać pod uwagę możliwość

porażki. Pozbawione nadziei depesze nabazgrane na kawałku kory, wysyłane z pożerającej go dżungli. *Cierpię na malarię. Ukąsił mnie wąż. Wyślijcie lekarstwa. Mapy są błędne.* Nie ma do przekazania nic pozytywnego.

Rano poczuje się lepiej. Weźmie się w garść. Kiedy będzie chłodniej. Na razie pójdzie spać. W uszach dźwięczy mu brzęczenie owadów. Wilgotne powietrze osiada na jego twarzy jak dłoń. Na chwilę odzyskuje świadomość – co miał sobie przypomnieć? – po czym znowu zapada w nicość.

Nagle budzi się z przestraczem. W pokoju jest światło: w drzwiach widać świecę, a za nią połyskującą postać. To jego gospodyni w białej koszuli nocnej i otulona jasnym szalem. W świetle świecy jej długie włosy wyglądają jak siwe.

Simon naciąga na siebie kołdrę. Nie włożył piżamy.

– Co się stało? – pyta. Chyba zabrzmiało to gniewnie, ale tak naprawdę jest przestraszony. Oczywiście nie jej się boi, ale co, u licha, ona robi w jego sypialni? Na przyszłość musi pamiętać, żeby zamykać drzwi na klucz.

– Przepraszam, że pana niepokoję, doktorze – mówi gospodyni – ale usłyszałam jakiś hałas. Jakby ktoś usiłował się włamać przez okno. Przestraszyłam się.

W jej głosie nie ma drżenia. Ta kobieta ma bardzo silne nerwy. Simon mówi, że za chwilę zejdzie na dół i sprawdzi zamki i okiennice. Prosi, żeby poczekała we frontowym pokoju. Szamocze się ze szlafrokiem, który natychmiast przykleja się do jego wilgotnej skóry, i w ciemnościach idzie do drzwi.

„To trzeba przerwać – mówi sobie w duchu. – Tak dalej być nie może”. Ale nic takiego się nie dzieje, więc nie ma czego przerywać.

Jest środek nocy, ale czas wciąż idzie naprzód, a także biegnie dokoła, jak słońce i księżyc na stojącym zegarze w salonie. Wkrótce nastanie świt. Nie mogę mu zapobiec, pojawia się na nowo każdego dnia, jak w zegarku. Był przedwczoraj i jeszcze dzień wcześniej i nadszedł dzisiaj. Sobota. Dzień przełomowy. Dzień, w którym przychodzi rzeźnik.

Co powinnam powiedzieć doktorowi Jordanowi o tym dniu? Bo jesteśmy już prawie na miejscu. Pamiętam, co powiedziałam, kiedy mnie aresztowano, i co mi kazał mówić mój adwokat, pan MacKenzie, i to, czego nie powiedziałam nawet jemu, i to, co powiedziałam na rozprawie i jakiś czas później, a nie zawsze mówiłam to samo. I co powiedziałam według McDermotta, i co inni kazali mi mówić, gdyż zawsze znajdują się tacy, którzy włożą ci w usta własne słowa – są jak ci magicy na jarmarkach, co potrafią naśladować czyjś głos, a ty jesteś po prostu ich drewnianą lalką. Tak też było na rozprawie. Przesłuchiowano mnie tak, jak się przesłuchuje wszystkich świadków, lecz równie dobrze mogłabym być zrobiona z materiału i wypchana, z głową z porcelany. Zamknięto mnie w tej lalce i nie mogłam wydobyć z niej swego prawdziwego głosu.

Powiedziałam, że pamiętam pewne rzeczy, które zrobiłam. Ale oni mówili, że zrobiłam coś jeszcze, czego w ogóle nie pamiętałam.

Czy powiedział: „Widziałem cię na dworze w nocy w nocnej koszuli, w świetle księżycy”? Czy spytał: „Kogo szukałaś? Czy to był mężczyzna”? Czy powiedział: „Dobrze płacę, ale żądam za to porządnej roboty”. Czy powiedział: „Nie martw się, nic nie powiem twojej pani, to będzie nasza tajemnica”? Czy powiedział: „Jesteś dobrą dziewczyną”?

Może tak powiedział. A może spałam.

Czy ona powiedziała: „Nie myśl sobie, że nie wiem, co kombinujesz”? Czy powiedziała: „Zapłacę ci w sobotę, a potem się stąd wynoś. Dosyć tego dobrego”?

Tak. Tak właśnie powiedziała.

Czy potem skuliłam się za kuchennymi drzwiami, płacząc? Czy on wziął mnie w ramiona? Czy mu na to pozwoliłam? Czy spytał: „Grace, dlaczego płaczesz”? Czy powiedziałam: „Chciałabym, żeby ona umarła”?

Och, nie. Tego z pewnością nie powiedziałam. A przynajmniej nie na głos. I naprawdę nie chciałam, żeby umarła. Chciałam tylko, żeby poszła sobie, a dokładnie tego samego ona życzyła mi.

Czy go odepchnęłam? Czy powiedział: „Wkrótce zaczniesz lepiej o mnie myśleć, już ja się o to postaram”? Czy powiedział: „Wyjawię ci tajemnicę, jeśli obiecasz ją zachować. A jeżeli nie, twoje życie nie będzie warte funta kłaków”?

Możliwe, że tak było.

Usiłuję sobie przypomnieć, jak wyglądał pan Kinnear, żebym mogła o nim

opowiedzieć doktorowi Jordanowi. Zawsze był dla mnie miły, a przynajmniej tak powiem. Ale dobrze nie pamiętam. Prawda jest taka, że wbrew wszystkiemu, co kiedyś o nim myślałam, teraz jego obraz wyblakł. Blakł rok po roku, jak suknia prana na okrągło, i co teraz z niego zostało? Niewyraźny wzór. Guzik czy dwa. Czasami głos, ale bez oczu, ust. Jak naprawdę wyglądał, kiedy żył? Nikt o tym nie napisał, nawet w gazetach. Powiedzieli wszystko o McDermocie i o mnie, o naszym wyglądzie, ale ani słowem nie wspomnieli o panu Kinnearze, bo morderca jest ważniejszy od zamordowanego, przyciąga większą uwagę. A teraz go nie ma. Przypominam sobie, jak spał z twarzą ukrytą pod zmiętą kołdrą, kiedy rano przynosiłam mu herbatę. Tutaj, w ciemności, widzę inne rzeczy, ale jego nie mogę zobaczyć.

Wyliczam w pamięci jego rzeczy: złota tabakierka, luneta, kieszonkowy kompas, scyzoryk, złoty zegarek, srebrne łyżeczki, które polerowałam, świeczniki z rodzowym herbem. Żyję nadzieją. Kamizelka w szkocką kratę. Nie wiem, gdzie się wszystkie podziały.

Leżę na wąskim i twardym łóżku, na sienniku obleczonym szorstkim płótnem, które tu nazywają pokrowcem. Siennik jest wypchany suchą słomą, która trzaska jak ogień, kiedy się przewracam na drugi bok, i szepcze do mnie „ćśś, ćśś”. W tym pokoju jest ciemno jak w kopalni i gorąco jak w piecu. Jeśli się spojrzy szeroko otwartymi oczami w ciemność, po jakimś czasie z pewnością coś się zobaczy. Mam nadzieję, że to nie będą kwiaty. O tej porze roku już kwitną, czerwone kwiaty, błyszczące czerwone peonie, jak jedwab, jak plamy farby. Ich ziemią jest pustka, pusta przestrzeń i cisza. Szepczę: „Powiedz coś do mnie”, bo wolę już rozmawiać, niż patrzeć na ten ogród, który powoli rozrasta się w ciszy, a czerwone jedwabne płatki ściekają po ścianie.

Chyba śpię.

Jestem w tylnym korytarzu, znajduję drogę, przesuwając ręce wzdłuż ściany. Prawie nie widzę tapety; kiedyś była zielona. Schody prowadzące w górę, jest poręcz. Drzwi do sypialni są uchylone i wszystko słyszę. Bose stopy na dywanie w czerwone kwiaty. Wiem, że się chowasz, wychodź natychmiast, bo jak cię złapię, to kto wie, co z tobą zrobię.

Stoję zupełnie nieruchomo za drzwiami. Słyszę bicie własnego serca. Och, nie, och, nie, och, nie.

Idę, idę do ciebie. Nigdy mnie nie słuchasz, nigdy nie robisz, co ci każę, ty okropna dziewucho. Teraz zostaniesz ukarana.

To nie moja wina. Co mam teraz zrobić, dokąd się zwrócić?

Musisz otworzyć drzwi i okno, musisz mnie wpuścić.

Och, spójrz, spójrz na te rozsypane płatki, coś ty narobiła?

Chyba śpię.

Jestem na zewnątrz i jest noc. Są drzewa, ścieżka i ogrodzenie, sierp księżycy i moje bose stopy na kamieniach. Ale kiedy podchodzę do frontu domu, słońce właśnie zachodzi i białe kolumny są różowe, a białe peonie ogniście czerwone w przygasającym świetle. Moje ręce są bez czucia, nie czuję końców palców. Z ziemi, i wszędzie wokół, unosi się zapach świeżego mięsa, chociaż powiedziałam rzeźnikowi, że nie chcemy mięsa.

Na wewnętrznej stronie dłoni mam wypisane nieszczęście. Chyba się z nim urodziłam. Noszę je wszędzie ze sobą. Kiedy mnie dotknął, pech przeszedł na niego.

Chyba śpię.

Budzi mnie pianie koguta i już wiem, gdzie jestem. Jestem w salonie. Jestem w spiżarni. Jestem w piwnicy. Jestem w mojej celi, pod szorstkim więziennym kocem, który sama obrębiłam. Wszystko, czego tutaj używamy, robimy same, więc ja zrobiłam to łóżko i teraz leżę na nim.

Jest rano i czas wstawać. Dzisiaj muszę kontynuować swoją opowieść. Albo to opowieść musi kontynuować mnie, ciągnąć mnie za sobą aż do samego końca, szlochającą, głuchą, jednooką i szczelnie zamkniętą, chociaż przywieram do ścian, krzyczę, płaczę i błagam Boga, żeby mnie wypuścił.

Kiedy jesteś w połowie opowieści, to nie jest żadna opowieść, tylko chaos: ryk, ślepotą, potłuczone szkło i porąbane drewno: jak dom w samym oku cyklonu albo statek zmiądzony przez góry lodowe lub zmyty przez sztorm, a nikt na pokładzie nie może nic zrobić. Dopiero potem robi się z tego historia. Kiedy ją opowiadasz – sobie lub komuś innemu.

Simon bierze od żony komendanta filiżankę herbaty. Nie przepada za herbatą, ale uważa za obowiązek towarzyski pić ją w tym kraju, tak samo jak udawać rozbawienie, słysząc kolejny dowcip o bostońskiej „herbatce”.

Jego niedyspozycja chyba minęła. Dziś czuje się lepiej, choć jest nieco senny. Dał sobie jakoś radę z prelekcją dla wtorkowej grupy i ma wrażenie, że dość dobrze wypadł. Zaczął od apelu o reformę domów dla obłąkanych, z których wiele pozostaje w żalosnym stanie z zeszłego wieku. To zostało dobrze przyjęte. Potem uczynił parę uwag na temat intelektualnego zamieszania na tym polu nauki oraz na temat rywalizujących ze sobą trendów w psychiatrii.

Najpierw wziął się za szkołę materialistów. Jej wyznawcy utrzymują, iż zaburzenia umysłowe są pochodzenia organicznego – wywołane, na przykład uszkodzeniem nerwów i mózgu lub chorobami dziedzicznymi, takimi jak epilepsja. Ich przyczyną mogą być również rozmaite choroby, włączając te przenoszone drogą płciową – tu nieco uogólnił, biorąc pod uwagę obecność dam, ale wszyscy zrozumieli, co miał na myśli. Następnie opisał podejście szkoły mentalistów, którzy wierzą, że przyczyn chorób umysłowych nie da się tak łatwo ustalić. Na przykład, jak zmierzyć efekty szoku? Jak zdiagnozować amnezję bez żadnych widocznych objawów fizycznych albo niewytłumaczalne i radykalne zmiany w osobowości? Jaka – zadał im pytanie – rolę odgrywa Wola, a jaka Dusza? Tu pani Quennell pochyliła się do przodu po to tylko, by z powrotem się odchylić, kiedy powiedział, że nie wie.

Następnie przeszedł do wielu nowych odkryć – na przykład terapia bromem dla epileptyków doktora Laycocka, która powinna położyć kres wielu błędnym wierzeniom i przesądom; wykorzystanie leków zarówno do wywoływania, jak i eliminowania halucynacji różnego rodzaju. Te pionierskie prace wciąż postępują naprzód. Tutaj chciałby wspomnieć odważnego doktora Charcota z Paryża, który ostatnio poświęcił się badaniom nad histerią i snami jako kluczem do diagnozy oraz ich powiązaniem z amnezją, do których to badań Simon ma nadzieję wnieść swój skromny wkład. Wszystkie te teorie są na wczesnym etapie rozwoju, ale wkrótce wiele będzie można się po nich spodziewać. Jak to ujął wybitny francuski filozof i naukowiec Maine de Biran, istnieje wewnętrzny Nowy Świat i aby go odkryć, należy „zagłębić się w podziemne jaskinie duszy”.

W podsumowaniu stwierdził, że wiek dziewiętnasty będzie tym dla studiów nad umysłem, czym wiek osiemnasty był dla studiów nad materią – będzie to wiek oświecenia. Jest dumny, że może uczestniczyć w tym postępie nauki, jakkolwiek w bardzo skromny sposób.

Żeby tylko nie było tak cholernie gorąco i wilgotno. Zanim dotarł do końca swojej mowy, był już cały mokry i poczuł bagnisty zapach unoszący się z jego rąk. To pewnie od kopania w ziemi; dziś rano, jeszcze zanim zrobił się upał, znowu naszła go chęć do pracy w ogrodzie.

Grupa wtorkowa uprzejmie zaklaskała, a wielbny Verringer mu podziękował. Powiedział, że doktorowi Jordanowi należy pogratulować interesujących uwag, jakimi ich dzisiaj zaszczycił. Dał im wiele do myślenia. Wszechświat to zaiste tajemnicze miejsce, ale Bóg obdarował człowieka umysłem, by lepiej mógł zrozumieć, które z tych tajemnic jest w stanie pojąć. Dał tym samym do zrozumienia, że są takie, których pojąć się nie da. To zadowoliło chyba wszystkich.

Potem każdy indywidualnie dziękował Simonowi. Pani Quennell powiedziała, że mówił z wielkim przejęciem, co wywołało w nim lekkie poczucie winy, gdyż jego głównym celem było jak najszybsze skończenie mowy. Lydia, niezwykle ponętna w swej świeżej i szeleszczącej letniej sukni, wprost nie znajdowała słów uznania i była tak pełna podziwu, jak tylko każdy mężczyzna mógłby sobie wymarzyć, Simon jednak nie mógł pozbyć się wrażenia, że tak naprawdę nie rozumiała ani słowa z tego, co powiedział.

– Wielce intrygujące – mówi Jerome DuPont, uwiesiwszy się łokcia Simona. – Zauważyłem, że nie wspomniał pan ani słowem o prostytutce, która – obok pijaństwa – jest z pewnością jedną z najgorszych chorób nękających obecnie nasze społeczeństwo.

– Nie chciałem o tym mówić – odpowiada Simon – wzięwszy pod uwagę towarzystwo.

– Oczywiście. Interesowałaby mnie pańska opinia na temat poglądów wyznawanych przez pewnych naszych europejskich kolegów, głoszących, że pociąg do tego jest pewną formą szaleństwa. Wiąże je z histerią i neurastenią.

– Jestem tego świadom – mówi Simon, uśmiechając się. W studenckich czasach wyklócał się, że jeżeli kobieta nie ma innego wyjścia, jak tylko głód, prostytutka czy rzucenie się z mostu do rzeki, wówczas prostytutka, która okazała najsilniejszy instynkt przetrwania, powinna zostać uznana za osobę silniejszą i normalniejszą niż jej wrażliwsze, lecz już nieżyjące siostry. Zwracał uwagę, że nie działa to w obie strony: jeżeli kobieta zostaje uwiedziona i porzucona, powinna zgodnie z oczekiwaniem popaść w obłąd, ale jeżeli przetrwa, i to ona z kolei zacznie uwodzić, uważana jest za szaloną od samego początku. Twierdził, że to dla niego wątpliwy sposób rozumowania, co – w zależności od słuchaczy – przynosiło mu reputację albo cynika, albo purytańskiego hipokryty.

– Ja sam – mówi doktor DuPont – zaliczam prostytutkę do tej samej klasy, co manie mordercze i religijne. Wszystkie można uznać za impuls do działania na scenie, który wymknął się spod kontroli. Takie rzeczy można zaobserwować w teatrze, wśród aktorów, którzy twierdzą, że stają się postacią, którą grają. Zwłaszcza śpiewaczki operowe są do tego skłonne. Znany jest przypadek pewnej Łucji, która rzeczywiście zabiła swego kochanka.

– To interesująca możliwość.

– Pan nie chce się deklorować – mówi doktor DuPont, spoglądając na Simona swymi ciemnymi lśnącymi oczami – ale chyba pan przyzna, że kobiety generalnie mają słabszą konstytucję nerwową i w konsekwencji są bardziej podatne na sugestie?

– Być może. Niewątpliwie to szeroko rozpowszechniony pogląd.

– Dzięki temu łatwiej je, na przykład zahipnotyzować.

„Ach – myśli Simon. – Każdy dosiada swojego konika. Teraz przyszła jego kolej”.

– A jak tam pańska piękna pacjentka, jeśli wolno mi ją tak nazywać? Robi pan jakieś postępy?

– Jeszcze nic definitywnego. Jest kilka tropów, którymi chciałbym pójść.

– Byłbym zaszczycony, gdyby pozwolił mi pan wypróbować moją własną metodę. Coś w rodzaju eksperymentu, demonstracji, jeśli pan woli.

– Jestem teraz w kluczowym punkcie – mówi Simon. Nie chciałby wydać się niegrzeczny, ale woli, żeby ten człowiek się nie wtrącał. Grace to jego terytorium. Musi przeganiać kłusowników. – To by ją mogło zdenerwować i zniweczyć wiele tygodni starannych przygotowań.

– Jak pan sobie życzy – mówi doktor DuPont. – Spodziewam się tu zostać jeszcze co najmniej miesiąc. Z radością bym panu pomógł.

– Zdaje się, że zatrzymał się pan u pani Quennell.

– Tak, to bardzo hojna gospodyni. Ale, jak wiele osób w dzisiejszych czasach, znajduje się pod dużym wpływem spirytystów. To system całkowicie pozbawiony podłoża, zapewniam pana. Ale osoby pogrążone w smutku są takie podatne na wpływy.

Simon powstrzymuje się od stwierdzenia, że on nie potrzebuje żadnych zapewnień.

– Był pan na jakimś jej... wieczorze, czy też seansie?

– Raz czy dwa. W końcu jestem gościem, a iluzje związane ze spirytyzmem są dla badacza bardzo interesujące. Pani Quennell jest jednak daleka od zamknięcia się na naukę, a nawet jest gotowa założyć fundusz badawczy.

– Ach, tak?

– Chciałaby, żebym zrobił sesję neurohipnozy z panną Marks – mówi śmiało doktor DuPont. – W imieniu komisji. Nie miałby pan nic przeciwko temu?

„Do diabła z nimi wszystkimi – myśli Simon. – Chyba się niecierpliwia, uważają, że zajmuje mi to zbyt dużo czasu. Ale jeżeli będą się za bardzo wtrącać, wszystko zniszczą. Dlaczego nie mogą mnie zostawić w spokoju?”.

Dzisiaj jest wtorkowe spotkanie i doktor Jordan ma na nim wygłosić mowę, więc nie mogę się z nim zobaczyć po południu, bo musi się przygotować. Żona komendanta spytała nadzorczynię, czy nie mogłabym poświęcić jej trochę więcej czasu, gdyż brakuje im rąk do pracy. Miałabym przygotować poczęstunek dla gości, jak to już często robiłam. Oczywiście była to prośba tylko w formie, gdyż nadzorczydni musiała się zgodzić. Potem miałam zjeść kolację w kuchni jak prawdziwa służąca, gdyż po moim powrocie do więzienia już dawno byłoby po kolacji. Cieszyłam się na to, bo przypominało mi to dawne czasy, kiedy mogłam chodzić, gdzie chciałam, i moje dni były bardziej urozmaicone.

Wiedziałam jednakże, że spotkam się z lekceważeniem, wrogimi spojrzeniami i złośliwymi uwagami na temat mojego charakteru. Nie od Clarrie, która zawsze była moją przyjaciółką, chociaż nigdy tego nie powiedziała, i nie od kucharki, która już się do mnie przyzwyczaiła. Ale jedna z pokojówek z piętra nie cierpi mnie, bo jestem w tym domu dłużej niż ona, znam jego zwyczaje i cieszę się zaufaniem panienki Lydii i panienki

Marianne, a ona nie. Ciągłe robi aluzje do morderstw, duszenia albo innych takich strasznych rzeczy. Jest też Dora, która przychodzi do pomocy w pralni, ale nie na stałe i płacą jej tylko od godziny. To postawna kobieta o silnych rękach, przydatnych do dźwigania ciężkich koszy z mokrą pościelą. Nie można jej jednak zaufać, bo ciągle opowiada historie o swojej poprzedniej pani i panu, którzy jej nigdy nie płacili tyle, ile się należało, a poza tym prowadzili się skandalicznie. Pan był takim pijakiem, że całkiem zidiociał i więcej niż raz podbił oko swojej żonie.

Ale chociaż tak na nich wygadywała, zgodziła się tam wrócić i z powrotem zostać służącą do wszystkiego, a kiedy kucharka spytała, dlaczego to robi, skoro ci ludzie mają taką fatalną reputację, mrugnęła okiem i powiedziała, że pieniądze są bardzo wymowne i że młody lekarz, który tam wynajmuje pokój, wypłacił jej pensję za ubiegłe miesiące i niemal na kolanach błagał, żeby wróciła, bo nie może znaleźć nikogo na jej miejsce. A to człowiek, który lubi spokój, ciszę i porządek i jest skłonny za to zapłacić, bo jego gospodyni nie może, gdyż mąż od niej uciekł, jest więc teraz słomianą wdową, i do tego ubogą. Dora powiedziała, że już nie będzie spełniać jej poleceń, bo zawsze była złośliwą i humorzystą panią, tylko te, które jej wyda doktor Jordan, bo kto płaci, ten wymaga.

Nie żeby było z niego coś dobrego, mówi Dora, ma w sobie coś z truciciela, jak większość lekarzy, którzy trzymają wszystkie te fiołki, mikstury i pigułki, i Dora codziennie dziękuje Bogu, że nie jest bogatą starszą panią pod jego opieką, bo pewnie długo by nie pożyła. Doktor ma też dziwny zwyczaj dłubania w ogrodzie, chociaż jest już za późno, by cokolwiek posadzić, on jednak przekopał prawie całe podwórko, a potem to ona musi zamiatać błoto, którego naniósł do domu, szorować jego brudne koszule i grzać mu wodę na kąpiel.

Ze zdumieniem uświadomiłam sobie, że ten doktor Jordan, o którym mówiła Dora, to mój doktor Jordan. Zaciekawilo mnie to, bo nie wiedziałam tych wszystkich rzeczy o jego gospodyni. Spytałam więc Dorę, jaka to kobieta, a ona powiedziała: „Chuda jak patyk i blada jak trup”. Ma długie włosy, tak żółte, że prawie białe, ale pomimo tego i jej wielkopańskich manier musi być z niej niezłe ziółko, chociaż Dora nie ma jeszcze na to dowodu. Pani Humphrey ma dziki błysk w oku i nerwowe usposobienie, a to zawsze oznacza ciepłą robotę za zamkniętymi drzwiami. Doktor Jordan powinien uważać na siebie, bo jeżeli Dora kiedykolwiek widziała determinację, żeby zedrzeć spodnie z mężczyzny, to właśnie u pani Humphrey. Teraz jadają śniadania razem, co jej się wydaje nienaturalne. Pomyślałam, że to bardzo ordynarne – przynajmniej ta część o spodniach.

I myślę sobie: „Skoro ona tak się wyraża o tych, dla których pracuje, to co mówi o tobie, Grace?”. Przylapuję ją na tym, jak na mnie łypie tymi swoimi różowymi oczkami i wymyśla, jaką sensacyjną historię opowie swym znajomym: jak to piła herbatę ze znaną morderczynią, która zgodnie z prawem już dawno temu powinna była zostać powieszona i pocięta na plasterki przez lekarzy, tak jak rzeźnicy rozbierają mięso, a to, co by ze mnie zostało, należałoby zawiązać w tobołek jak pudding z mąki i łożu i wrzucić do jakiegoś haniebnego grobu, na którym rosłyby tylko osty i pokrzywy.

Ale ja chcę zachować pokój, więc nic nie mówię. Gdybym bowiem wdała się z nią w awanturę, wiadomo, na kogo zrzuciliby całą winę.

Kazano nam nasłuchiwać końca spotkania, który miały zasignalizować brawa i podziękowania dla doktora Jordana za jego niezwykle interesujące uwagi. To będzie dla nas sygnał, żeby wnieść poczęstunek. W tym celu jedna z pokojówek miała stać i nasłuchiwać pod drzwiami do salonu. Po chwili zeszła na dół i powiedziała, że podziękowania już zostały złożone, więc policzyliśmy do dwudziestu i posłałyśmy na górę pierwszy dzbanek herbaty i pierwszą tacę z ciasteczkami. Ja zostałam na dole, gdzie kroiłam ciasto i układałam je na okrągłej paterze. Żona komendanta zażyczyła sobie, żeby na środku położyć jedną czy dwie róże. Wyglądało to bardzo ładnie. Potem dostałam wiadomość, że sama mam przynieść ten talerz, co wydało mi się dziwne, ale przyczesalam włosy i zaniiosłam ciasto na górę do salonu, nie spodziewając się niczego złego.

Wśród gości była pani Quennell z włosami jak puszek do pudru i w różowym muślinie, na który była za stara, oraz żona komendanta ubrana na szaro, wielbny Verringer, jak zwykle patrzący karcącym wzrokiem, doktor Jordan, nieco oklapły, jakby bardzo go zmęczyła ta mowa, i panienska Lydia w sukni, którą pomogłam jej uszyć, śliczna jak obrazek.

Ale ujrzałam jeszcze kogoś, kto patrzył prosto na mnie z uśmiechem: domokrażcę Jeremiasza! Przyciął włosy i brodę, ubrany był jak dżentelmen w pięknie skrojony garnitur w piaskowym kolorze, a w kieszonce kamizelki miał złoty zegarek z dewizką. Trzymał filiżankę w bardzo elegancki sposób – jak wtedy, kiedy naśladował wielkich panów w kuchni pani Parkinson. Mimo wszystko rozpoznałabym go wszędzie.

Byłam tak zaskoczona, że cicho krzyknęłam, a potem zamarłam z otwartą buzią i o mało co nie upuściłam patery. Parę kawałków ciasta rzeczywiście zsunęło się na podłogę. Jeremiasz odstawił filiżankę i przyłożył palec wskazujący do nosa, jakby się drapał – czego chyba nikt nie zauważył, bo wszyscy patrzyli na mnie – gestem tym nakazując mi milczenie, gdyż inaczej bym go zdemaskowała.

Nic więc nie powiedziałam, tylko przeprosiłam za upuszczenie ciasta. Postawiłam paterę na bocznym stoliku i uklękłam, żeby pozbierać pokruszone ciasto do fartuszka. Ale żona komendanta powiedziała:

– Zostaw to na razie, Grace. Chciałabym cię komuś przedstawić. – Wzięła mnie pod rękę i poprowadziła. – To doktor Jerome DuPont – rzekła. – Jest wybitnym lekarzem.

Jeremiasz skłonił głowę i powiedział:

– Witam, panno Marks.

Nadal byłam zupełnie zdezorientowana, ale zdołałam się opanować.

– Ona często boi się nieznajomych – wyjaśniła mu żona komendanta, po czym zwróciła się do mnie: – Doktor DuPont jest naszym przyjacielem. Nie robi ci krzywdy.

Na te słowa nieomal wybuchnęłam śmiechem, ale zamiast tego powiedziałam: „Tak, psze pani”, i spuściłam wzrok na podłogę. Chyba się obawiała powtórki tego, co się stało, kiedy przyszedł ten lekarz, który mierzył głowy, i kiedy tak bardzo krzyczałam. Nie musiała jednak się martwić.

– Muszę spojrzeć jej w oczy – powiedział Jeremiasz. – Często wtedy się okazuje, czy procedura w ogóle da jakieś wyniki. – Uniósł moją głowę i spojrzeliśmy sobie prosto w oczy. – Doskonale – rzekł bardzo poważnie i spokojnie jak prawdziwy lekarz.

Musiałam go za to podziwiać. – Grace, czy byłaś kiedykolwiek hipnotyzowana? – spytał. Trzymał mnie za brodę parę chwil, żeby mnie uspokoić i dać czas na opanowanie się.

– Oczywiście, że nie, proszę pana – odparłam z pewnym oburzeniem. – Nawet nie wiem, co to takiego.

– To czysto naukowa metoda – powiedział. – Byłabyś skłonna się jej poddać? To by pomogło twoim przyjaciółom i komisji. – Ścisnął mnie lekko za brodę i szybko zamrugnął na znak, żebym się zgodziła.

– Zrobię wszystko, co mogę, proszę pana, jeżeli pan sobie tego życzy.

– Dobrze, dobrze – powiedział pompatycznie jak prawdziwy lekarz. – Ale żeby się udało, musisz mi zaufać. Myślisz, że możesz, Grace?

Wielebny Verringer, panienska Lydia, pani Quennell i żona komendanta patrzyli na mnie zachęcająco.

– Spróbuję, proszę pana – odparłam.

Wtedy podszedł do nas doktor Jordan i powiedział, że dla mnie to za dużo wrażeń jak na jeden dzień i że trzeba dbać o moje nerwy, które są bardzo delikatne.

– Oczywiście, oczywiście – rzekł Jeremiasz, ale wyglądał na zadowolonego z siebie. I chociaż mam dużo szacunku dla doktora Jordana, gdyż zawsze był dla mnie bardzo dobry, to pomyślałam, że przy Jeremiaszu wygląda jak mała myszka, jak człowiek, któremu na jarmarku zwędzono portfel, a on jeszcze o tym nie wie.

Chciało mi się śmiać z radości, gdyż Jeremiasz zrobił wspaniałą sztuczkę: zupełnie jakby wyjął mi zza ucha pieniądze albo udawał, że połknął widelec. Tak samo jak kiedyś robił takie sztuczki na oczach wszystkich i nikt nie potrafił go zdemaskować, tak i teraz na ich oczach zawarł ze mną pakt i nikt się nie zorientował.

Potem jednak przypomniałam sobie, że kiedyś podróżował jako mesmerysta, uzdrawiał na jarmarkach, więc naprawdę znał się na takich rzeczach i rzeczywiście mógł mnie wprowadzić w trans. To mnie nieco otrzeźwiło i dało mi do myślenia.

– Nie interesuje mnie kwestia twojej winy czy niewinności – mówi Simon. – Jestem lekarzem, nie sędzią. Po prostu chciałbym się dowiedzieć, co pamiętasz.

Wreszcie dotarli do morderstw. Simon przejrzał wszystkie dokumenty, jakie miał do dyspozycji – protokoły z rozprawy, opinie gazet, zeznania, nawet wersję pani Moodie. Jest w pełni przygotowany, a także spięty: jego dzisiejsze zachowanie zadecyduje o tym, czy Grace wreszcie się otworzy, ukazując nagromadzone skarby, czy też się przestraszy, schowa i zamknie w sobie jak ostryga.

Dzisiaj nie przyniósł ze sobą warzywa, tylko srebrny świecznik od wielebnego Verringera, podobny do tych – ma nadzieję – których używano w domu pana Kinneara i które ukraść McDermott. Jeszcze go nie pokazał, świecznik nadal spoczywa w wiklinowym koszyku – koszu na zakupy pożyczonym od Dory – który postawił przy swoim krześle. Simon nie jest do końca pewien, co zamierza z nim zrobić.

Grace nie przerywa cerowania. Nie podnosi wzroku.

– Nikogo to przedtem nie obchodziło, proszę pana – mówi. – Twierdzili, że kłamię, ciągle chcieli wiedzieć więcej. Poza adwokatem, panem Kennethem MacKenzie. Ale jestem pewna, że nawet on mi nie wierzył.

– Ja ci wierzę – zapewnia Simon. Zdaje sobie sprawę, że to ogromne przedsięwzięcie.

Grace lekko zaciska usta, marszczy brwi, nie odzywa się.

– Pan Kinneare wyjechał do miasta we czwartek, prawda? – pyta Simon.

– Tak, proszę pana.

– O trzeciej? Konno?

– Dokładnie o trzeciej. Miał wrócić w sobotę. Byłam właśnie na dworze i skrapiałam wodą lniane chusteczki rozłożone na trawie. McDermott przyprowadził konia. Pan Kinneare miał pojechać na Charleyu, gdyż bryczkę oddano do wsi do pomalowania.

– Powiedział ci coś wtedy?

– Powiedział: „Oto twój ukochany, Grace. Chodź i pocałuj go na pożegnanie”.

– To znaczy McDermotta? Ale przecież on nigdzie nie jechał – dziwi się Simon.

Grace podnosi na niego oczy i patrzy pustym wzrokiem niemal z pogardą.

– Miał na myśli konia. Wiedział, że bardzo lubię Charleya.

– I co zrobiłaś?

– Podeszłam i pogłaskałam Charleya po nosie. Nancy obserwowała nas z drzwi zimowej kuchni, słyszała, co powiedział pan Kinneare, i nie spodobało jej się to. Ani McDermottowi. Ale pan Kinneare nie miał nic złego na myśli. Po prostu lubił się drażnić.

Simon robi głęboki wdech.

– Czy pan Kinneare kiedykolwiek czynił ci nieprzyzwoite awanse, Grace?

Znowu na niego spogląda – tym razem z lekkim uśmiechem.

– Nie wiem, co pan rozumie przez nieprzyzwoite, proszę pana. Nigdy nie odzywał

się do mnie ordynarnie.

– Czy cię dotykał? Pozwalał sobie?

– Tylko na to, co zwykle.

– To znaczy co? – Simon jest zmieszany. Nie wie, jak ująć to, co ma na myśli, żeby nie być zbyt dosłownym. Grace ma w sobie sporą dozę pruderii.

– To, co można robić ze służącymi. Był dosyć dobrym panem – mówi Grace ze ściągniętymi ustami. – I liberalnym, kiedy miał na to ochotę.

Simona zaczyna opanowywać niecierpliwość. Co ona ma na myśli? Czy mówi, że płacił jej za usługi?

– Wkładał ci ręce pod ubranie? Kładłaś się przed nim?

Grace wstaje.

– Już wystarczająco dużo się nasłuchałam takiego gadania. Nie muszę tu zostawać. Jest pan taki sam jak ci z domu dla obłąkanych i jak strażnicy z więzienia, jak doktor Bannerling i jego sprośne myśli!

Simon przeprosza ją.

– Usiądź, proszę – mówi, kiedy Grace nieco się uspokaja. – Wróćmy do tych wydarzeń. Pan Kinnear wyjechał o trzeciej we czwartek. Co się stało potem?

– Nancy powiedziała, że pojutrze oboje mamy się wynosić i że nam zapłaci. Powiedziała, że umówiła się tak z panem Kinnearem.

– Uwierzyłaś jej?

– Co się tyczy McDermotta, to tak, ale nie, jeśli chodzi o mnie.

– O ciebie?

– Bała się, że pan Kinnear polubi mnie bardziej niż ją. Jak już powiedziałam, proszę pana, była przy nadziei, a z mężczyznami często tak bywa: zamieniają kobietę w tym stanie na inną, która w tym stanie nie jest, tak jak to robią krowy i konie. Gdyby jej się to przydarzyło, znalazłaby się ze swoim bachorem na ulicy. To było jasne, że chciała się mnie pozbyć, zanim pan Kinnear wróci. Nie wierzę, że cokolwiek o tym wiedział.

– Co wtedy zrobiłaś?

– Rozpłakałam się. W kuchni. Nie chciałam wyjeżdżać i nie miałam dokąd pójść. To stało się tak nagle, że nie zdążyłam sobie poszukać nowej posady. Bałam się też, że Nancy w końcu mi nie zapłaci i odeśle bez referencji, a co bym wtedy zrobiła? McDermott obawiał się tego samego.

– A potem? – pyta Simon, kiedy Grace milknie.

– Wtedy McDermott powiedział mi, że ma pewien sekret, a ja obiecałam, że nikomu nie powiem, a pan wie, że jak coś przysięgnę, to dotrzymuję tajemnicy. Wtedy on powiedział, że zamierza zabić Nancy siekierą i jeszcze ją udusić, zastrzelić pana Kinneara, kiedy ten wróci, i zabrać wszystkie kosztowności. Ja miałam mu pomóc i wyjechać z nim, bo inaczej cała wina spadłaby na mnie. Gdybym nie była taka przygnębiona, wyśmiałabym go, ale nie zrobiłam tego i prawdę mówiąc, oboje wypiliśmy szklaneczkę czy dwie whisky pana Kinneara. Nie widzieliśmy powodu, dlaczego nie mielibyśmy się nią uraczyć, skoro i tak nas wyrzucają. Nancy była wtedy u Wrightów, więc mieliśmy wolną rękę.

– Uwierzyłaś, że McDermott zrobi to, co powiedział?

– Niezupełnie, proszę pana. Z jednej strony myślałam, że tylko się przechwała, jaki to z niego wspaniały mężczyzna i czego to nie potrafiłby zrobić, co mu się często zdarzało, kiedy był pijany. Tak samo było z moim ojcem. Ale z drugiej strony wyglądało na to, że mówi poważnie, i bałam się go. Miałam silne uczucie, że tak jest przeznaczone i choćbym nie wiadomo co robiła, nie da się tego uniknąć.

– Nikogo nie ostrzegłaś? Nawet Nancy, kiedy wróciła od znajomych?

– Dlaczego miałyby mi uwierzyć? Zabrzmiałoby to głupio, gdybym to powiedziała głośno. Pomyślałaby, że się na niej mszczę, bo kazała mi odejść, albo że pokłóciłam się z McDermottem i chcę mu się odplącić. Miałyby jedynie moje słowo, a on mógłby wszystkiemu zaprzeczyć i powiedzieć, że jestem tylko głupią, rozhisteryzowaną dziewczyną. A jednocześnie, jeżeli McDermott mówił poważnie, to mógł zabić nas obie, a nie chciałam być zabita. Mogłam tylko próbować go powstrzymać do powrotu pana Kinneara. Początkowo mówił, że zrobi to jeszcze tej samej nocy, ale mu to wyperswadowałam.

– Jak ci się to udało?

– Powiedziałam, że jeżeli zabije Nancy we czwartek, to przez półtora dnia będziemy musieli tłumaczyć każdemu, kto by tu przyszedł, dlaczego jej nie ma, a jeżeli odłoży to na później, to mniej będzie podejrzeń.

– Rozumiem. Bardzo rozsądnie.

– Proszę się ze mnie nie naigrawać – mówi Grace z godnością. – Opowiadanie o tym jest dla mnie bardzo męczące, biorąc pod uwagę, jakie rzeczy muszę sobie przypominać.

Simon mówi, że nie miał na myśli niczego złego. Wydaje mu się, że dużo czasu spędza na przeprasaniu jej.

– A co się stało potem? – pyta, starając się, by to zabrzmiało uprzejmie, nie nazbyt nachalnie.

– Potem Nancy wróciła od znajomych i była bardzo wesoła. Zawsze się tak zachowywała: po wybuchu złości udawała, że nic się nie stało i że jesteśmy najlepszymi przyjaciółkami – przynajmniej kiedy nie było pana Kinneara. Więc zachowywała się tak, jakby wcale nie kazała nam się wynosić, i wszystko było po staremu. Zjedliśmy kolację razem w kuchni: szynkę na zimno i sałatkę ziemniaczaną ze szczypiorkiem z ogrodu. Nancy śmiała się i trajkotała. McDermott siedział pośepny i milczący, ale to nie było nic nowego. Potem Nancy i ja poszłyśmy razem spać – jak zwykle, kiedy pan Kinnear wyjeżdżał, gdyż ona bała się włamywaczy. Nancy nic nie podejrzewała. Ja jednak dopilnowałam, żeby drzwi do sypialni były zamknięte na klucz.

– Dlaczego?

– Jak już mówiłam, zawsze zamykałam drzwi na noc, a poza tym bałam się, że McDermott będzie łaził w nocy po domu z siekierą. Chciał zabić Nancy we śnie. Powiedziałam mu, żeby tego nie robił, bo przez pomyłkę może uderzyć mnie, ale trudno go było przekonać. Powiedział, że nie chce, żeby na niego patrzyła, kiedy będzie to robił.

– Mogę to zrozumieć – mówi sucho Simon. – I co się stało potem?

– Och, zaczął się piątek, proszę pana. Nancy była bardzo wesoła i beztroska i w ogóle nas nie karciała, a przynajmniej mniej niż zwykle, a nawet McDermott był mniej

ponury, bo powiedziałam mu, że jeżeli będzie chodził z taką miną, to Nancy zacznie go podejrzewać o jakieś złe zamiary.

Po południu na zaproszenie Nancy przyszedł Jamie Walsh z fujarką. Powiedziała, że skoro pana nie ma, to możemy sobie zrobić przyjęcie, żeby to uczcić. Nie jestem pewna, co mieliśmy do uczczenia, ale jeżeli Nancy wpadała w dobry nastrój, to była pełna życia, lubiła pośpiewać i potańczyć. Zjedliśmy doskonałą kolację: pieczonego kurczaka na zimno i piwo, a potem Nancy poprosiła Jamiego, żeby nam zagrał, on zaś spytał mnie, czy życzę sobie jakąś specjalną melodię. Był wobec mnie bardzo uprzejmy, co się nie spodobało McDermottowi, który mu powiedział, żeby przestał robić do mnie cielece oczy, bo mu się od tego wszystko przewraca w żołądku, na co biedny Jamie spłonął ognistym rumieńcem. Nancy powiedziała, żeby mu nie dokuczał, i spytała, czy nie pamięta, jak sam był młodym chłopcem, a Jamiego zapewniła, że wyrośnie na przystojnego mężczyznę – o wiele przystojniejszego niż McDermott ze swą ponurą miną. McDermott rzucił jej spojrzenie pełne nienawiści, którego ona nie dostrzegła. Potem wysłała mnie do piwnicy po więcej whisky, gdyż opróżniliśmy już wszystkie karafki, które były na górze.

Śmiałyśmy się i śpiewaliśmy, a przynajmniej Nancy śmiała się i śpiewała, a ja dołączyłam do niej. Zaśpiewałyśmy „Różę z Tralee” i przypomniała mi się Mary Whitney. Zapragnęłam, żeby była tu z nami, bo ona wiedziałaby, co robić, i pomogłaby mi wybrnąć z kłopotów. McDermott nie śpiewał, bo ogarnął go ponury nastrój. Nie chciał też tańczyć, choć Nancy go zachęcała, mówiąc, że teraz ma okazję udowodnić, jakim jest dobrym tancerzem. Chciała, żebyśmy się rozstali po przyjacielsku.

Po jakimś czasie przyjęcie zaczęło przygasać. Jamie powiedział, że zmęczył się graniem, a Nancy stwierdziła, że czas spać. McDermott zaproponował, że odprowadzi Jamiego do domu przez pola. Przypuszczam, że po to, by się upewnić, że Jamie poszedł na dobre. Ale zanim McDermott wrócił, Nancy i ja już byliśmy na górze, w pokoju pana Kinneara, a drzwi zamknęłyśmy na klucz.

– W pokoju pana Kinneara?

– To był pomysł Nancy. Powiedziała, że jego łóżko jest większe i chłodniejsze podczas upału, a ja mam zwyczaj kopać we śnie. W każdym razie pan Kinneare tego nie zauważy, bo to my ścielimy łóżka, a nie on, a nawet gdyby to odkrył, nie przejąłby się, a nawet spodobałby mu się pomysł dwóch służących, które śpią razem w jego łóżku. Wypiła parę szklaneczek whisky i zachowywała się buńczucznie.

W końcu ostrzegłam Nancy, proszę pana. Kiedy szcztokowała włosy, powiedziałam:

– McDermott chce cię zabić.

Nancy się roześmiała i odparła:

– No, ja myślę. Ja też miałabym ochotę go zabić. Nie kochamy się za bardzo.

– Mówił poważnie – powiedziałam.

– On nigdy nie mówi poważnie – odparła lekkim tonem. – Ciągle tylko się przechwala, ale to puste gadanie.

Wtedy zrozumiałam, że nie mogę zrobić nic, żeby ją uratować.

Zasnęła natychmiast. Usiadłam, żeby wyszcztokować włosy w świetle świecy, a z obrazu patrzyła na mnie naga kobieta, która kąpała się na dworze, i ta druga ze strusimi

piórami. Obie uśmiechały się do mnie niepokojąco.

Tej nocy we śnie pojawiła mi się Mary Whitney. Nie po raz pierwszy; przychodziła już wcześniej, ale nigdy nic nie mówiła. Śmiała się, pochylona nad balią, obierała jabłko albo chowała się za prześcieradłem na strychu, co często robiła, zanim wpadła w kłopoty. Kiedy śniła mi się w ten sposób, budziłam się z ulgą, jakby wciąż żyła i była szczęśliwa.

Ale tamto to były obrazy z przeszłości. Tym razem była ze mną w sypialni pana Kinneara. Stała koło łóżka w nocnej koszuli i z rozpuszczonymi włosami – tak jak ją pochowano. Po lewej stronie jej ciała widziałam serce, wyraźne i czerwone pod białą sukni. Potem jednak zobaczyłam, że to wcale nie serce, tylko czerwona saszetka na igły, którą zrobiłam dla niej na Gwiazdkę i którą potem schowałam w jej trumnie pod kwiatami i rozsypanymi płatkami. Ucieszyłam się, że jeszcze ją ma i że nie zapomniała o mnie.

W rękę trzymała szklany kubek, w którym był uwięziony świetlik połyskujący zimnym zielonkawym ogniem. Była bardzo blada, ale spojrzała na mnie i się uśmiechnęła, a potem zdjęła rękę z kubka i świetlik wyleciał do pokoju. Wiedziałam, że to jej dusza, która szuka wyjścia, ale okno było zamknięte. Nie widziałam, dokąd poleciała. Wtedy obudziłam się, a łzy smutku płynęły mi po twarzy, gdyż raz jeszcze utraciłam Mary.

Leżałam tak w ciemnościach, słuchając oddechu Nancy, a w głowie słyszałam własne serce bijące mozolnie, jakby szło długą i męczącą drogą, którą musiałam podążać sama, czy tego chciałam, czy nie, i nawet nie było wiadomo, czy dotrę do jej końca. Bałam się znowu usnąć, bo nie chciałam, żeby mi się przyśnił drugi taki sen, a mój lęk nie był bezpodstawny, gdyż rzeczywiście tak się stało.

W tym drugim śnie znajdowałam się w miejscu, którego nigdy wcześniej nie widziałam. Otaczały mnie wysokie kamienne ściany, szare i zimne jak mury we wsi, w której się urodziłam, po drugiej stronie oceanu. Na ziemi leżał szary żwir, z którego wyrastały peonie. Miały dopiero pąki, małe i twarde jak niedojrzałe jabłka, lecz po chwili się otworzyły i pojawiły się ogromne ciemnoczerwone kwiaty z płatkami lśniącymi jak z satyny. Potem wybuchły na wietrze i opadły na ziemię.

Poza tym, że były czerwone, wyglądały zupełnie tak samo jak peonie z frontowego ogrodu tego pierwszego dnia, kiedy przyjechałam do pana Kinneara i Nancy je właśnie ścinała. Zobaczyłam ją we śnie, tak samo jak wtedy, w jasnej sukience w różowe pączki róż, ze spódnicą z potrójną falbaną i w słomkowym kapeluszu, który skrywał jej twarz. Trzymała płaski kosz, do którego wkładała kwiaty. W pewnej chwili odwróciła się i przyłożyła rękę do gardła, jakby się przestraszyła.

Potem znowu znalazłam się na kamiennym podwórzu. Szłam, a noski moich butów wylaniały się spod rąbka mojej spódnicy, która była w niebiesko-białe pasy. Nigdy przedtem nie miałam takiej spódnicy i na jej widok poczułam wielki ciężar i osamotnienie. Peonie jednak dalej wyrastały ze żwiru, a wiedziałam, że nie powinno ich tam być. Wyciągnęłam rękę, żeby ich dotknąć. Były suche i zrozumiałam, że są zrobione z materiału.

Potem przed sobą ujrzałam Nancy klęczącą na kolanach, z włosami zakrywającymi twarz i krwią zalewającą jej oczy. Na szyi miała moją białą bawełnianą chusteczkę w niebieskie kwiatki, jaskry. Wyciągała do mnie ręce w błagalnym geście. W uszach miała maleńkie złote kolczyki, których jej kiedyś zazdrościłam. Chciałam podbiec i jej pomóc, ale nie mogłam. Moje stopy posuwały się tym samym równomiernym krokiem, jakby nie należały do mnie. Kiedy znalazłam się tuż przy niej, uśmiechnęła się. Tylko ustami, bo oczy miała zakryte włosami i krwią, a potem stała się kolorowymi plamami, rozsypała się jak biało-czerwone płatki z materiału na kamieniach.

Nagle zrobiło się ciemno i zobaczyłam człowieka ze świecą, który blokował dostęp do schodów prowadzących na górę, i otoczyły mnie ściany piwnicy. Wiedziałam, że nigdy się stamtąd nie wydostanę.

– Śniło ci się to przed tymi wydarzeniami? – pyta Simon. Pisze gorączkowo.

– Tak, proszę pana. I wiele razy potem. – Grace zniża głos do szeptu. – Dlatego mnie oddali.

– Oddali?

– Do domu dla obłąkanych, proszę pana. Z powodu złych snów. – Odkłada na bok robótkę i patrzy na swoje ręce.

– Tylko z powodu snów? – pyta łagodnie Simon.

– Powiedzieli, że to wcale nie są sny. Mówili, że to jawa. Ale nie chcę już o tym mówić.

W sobotę rano obudziłam się o świcie. W kurniku piał kogut. Miał chrapliwy i terkoczący głos wrony – zupełnie jakby na jego gardle już się zacisnęła czyjaś dłoń. Pomyślałam sobie: „Wiesz, że niedługo pójdziesz do garnka. Niedługo będzie z ciebie mięso”. I chociaż miałam na myśli koguta, to nie zaprzeczę, że myślałam również o Nancy. To brzmi zimno, i tak chyba było. Czułam lekkość i dystans, jak gdybym nie była obecna, tylko po prostu tkwiła w swoim ciele.

Wiem, że mówię o dziwnych rzeczach, proszę pana, ale nie kłamię i nie próbuję ich ukryć, co mogłabym zrobić z łatwością, gdyż nigdy dotąd nikomu o tym nie mówiłam. Chcę opowiedzieć o wszystkim, co mi się przydarzyło, a wtedy miałam właśnie takie myśli.

Nancy jeszcze spała, więc starałam się jej nie przeszkadzać. Czułam, że im dłużej zostanie w łóżku, tym dłużej nie jest narażona na nic złego. Kiedy ostrożnie wyczołgiwałam się z łóżka pana Kinneara, zajęczała i przewróciła się na drugi bok, a ja pomyślałam, że pewnie miała zły sen.

Poprzedniej nocy włożyłam nocną koszulę we własnym pokoju koło kuchni zimowej, zanim weszłam na górę ze świecą, więc teraz musiałam zejść i się ubrać. Wszystko było niby takie same, a jednak inne, a kiedy poszłam umyć twarz i się uczesać, odbicie mojej twarzy w lustrze nad kuchennym zlewem wcale nie przypominało mojej twarzy. Była okrąglejsza i bledsza, z dwojgiem wielkich przestraszonych oczu. Nie chciałam na nią patrzeć.

Poszłam do kuchni i otworzyłam okiennice. Szklanki i talerze z poprzedniego dnia jeszcze stały na stole i wyglądały na bardzo samotne i opuszczone, jakby na wszystkich, którzy z nich jedli i pili, spadło jakieś straszne i niespodziewane nieszczęście, a ja natrafiłam na nie wiele lat później. Zrobiło mi się strasznie smutno. Zebrałam naczynia i zaniiosłam je do spiżarni.

Kiedy wróciłam, w kuchni płonęło jakieś dziwne światło, jakby wszystko przykrywała warstewka srebra, podobna do szronu, tylko gładsza – jak woda ciekąca cienkim strumyczkiem po płaskich kamieniach. Wtedy oczy mi się otworzyły i zrozumiałam, że to Bóg wszedł do naszego domu i że to srebro pokrywające Niebo. Bóg przyszedł, gdyż Bóg jest wszędzie, nie można go powstrzymać, on jest częścią wszystkiego, więc jeżeli zbuduje się mur lub cztery ściany, pozamyka drzwi i okna, on przez nie przejdzie, jakby to było powietrze.

Spytałam: „Czego tutaj chcesz?”, ale on nie odpowiedział, tylko nadal był srebrem, więc poszłam wydoić krowę, gdyż jedyną rzeczą, jaką można zrobić, mając do czynienia z Bogiem, jest robienie tego, co zawsze, bo jego nie można ani powstrzymać, ani poznać jego zamiarów. Bóg mówi: „Zrób to” albo „Zrób tamto”, ale nigdy nie mówi dlaczego.

Kiedy wracałam ze skopkiem mleka, zobaczyłam w kuchni McDermotta. Czyścił buty.

– Gdzie Nancy? – spytał.

– Ubiera się – powiedziałam. – Zamierzasz ją zabić dziś rano?

– Tak – odparł. – Do diabła z nią. Wezmę siekierę i walnę ją w łeb.

Położyłam rękę na jego ramieniu i spojrzałam mu w twarz.

– Na pewno tego nie zrobisz, nie mógłbyś zrobić czegoś tak potwornego – powiedziałam, ale on mnie nie zrozumiał, myślał, że się z niego wyśmiewam. Myślał, że nazywam go tchórzem.

– Za chwilę zobaczysz, co potrafię zrobić – odparł ze złością.

– Och, na miłość boską, nie zabijaj jej w pokoju – powiedziałam. – Zabrudzisz krwią całą podłogę. – Mówiłam głupoty, ale to właśnie mi przyszło do głowy, a jak pan wie, proszę pana, do moich obowiązków należało mycie podłóg w tym domu, a w pokoju Nancy leżał dywan. Nigdy nie próbowałam usunąć krwi z dywanu, ale ścierałam ją z innych rzeczy, a to nie lada zadanie.

McDermott spojrzał na mnie ironicznie, jakbym była jakimś półgłówkiem – i rzeczywiście chyba takie sprawiałam wrażenie. Potem wyszedł przed dom i wziął siekierę z pieńka do rąbania drewna.

Nie wiedziałam, co robić. Poszłam do ogrodu, żeby narwać trochę szczypiorku, bo Nancy zażyczyła sobie na śniadanie omlet. Na sałacie ślimaki robiły swą koronkową robotę. Uklękałam i zaczęłam się im przyglądać, ich oczkom na maleńkich czułkach. Sięgnęłam ręką po szczypiorek, a ta ręka zupełnie jakby nie należała do mnie, tylko była łupiną albo skórą, w której rośnie inna ręka.

Spróbowałam się pomodlić, ale nie przychodziły mi do głowy żadne słowa – pewnie dlatego, że źle życzyłam Nancy. Naprawdę życzyłam jej śmierci. Ale dlaczego potrzebowałam modlitwy, kiedy Bóg był tuż obok, unosząc się nad nami jak Anioł Śmierci nad Egipcjanami? Czułam jego zimny oddech, w sercu słyszałam trzepotanie jego ciemnych skrzydeł. „Bóg jest wszędzie – pomyślałam. – Więc Bóg jest w kuchni, w Nancy i w McDermocie, a także w siekierze”. Potem usłyszałam jakiś głuchy dźwięk dobiegający ze środka, jakby zamykały się ciężkie drzwi, i od tamtej pory nic nie pamiętam.

– Nawet piwnicy? – pyta Simon. – Nie pamiętasz, jak McDermott ciągnął Nancy za włosy do wjazdu i zrzucił ją po schodach? Tak było w twoim zeznaniu.

Grace obejmuje głowę rękami.

– Chcieli, żebym to właśnie powiedziała. Pan MacKenzie twierdził, że muszę tak powiedzieć, żeby uratować własne życie. – Drży. – Powiedział, że to nie kłamstwo, że tak na pewno się stało, czy to pamiętam, czy nie.

– Dałaś Jamesowi McDermottowi chusteczkę z szyi? – Simon mówi bardziej jak prawnik z sali sądowej, czego nie chce.

– Tę, którą uduszono biedną Nancy? Była moja, wiem o tym. Ale nie pamiętam, bym ją mu dawała.

– Ani tego, że byłaś w piwnicy? – pyta Simon. – Ani tego, że pomogłaś mu ją zabić? Ani tego, że chciałaś ukraść jej kolczyki, jak twierdził McDermott?

Grace na chwilę zakrywa oczy dłonią.

– Cały ten okres jest dla mnie ciemnością, proszę pana – mówi. – W każdym razie nie zabrałam jej żadnych kolczyków. Nie powiem, że nie myślałam o nich później, kiedy

się pakowaliśmy, ale pomyśleć o czymś to nie to samo, co zrobić. Gdyby sądono nas za nasze myśli, wszyscy zostalibyśmy powieszani.

Simon musi jej przyznać rację. Próbuje innego podejścia.

– Rzeźnik Jefferson zeznał, że rozmawiał z tobą tamtego dnia rano.

– Wiem, że tak było, proszę pana, ale nie pamiętam tego.

– Powiedział, że był zdziwiony, gdyż zwykle to nie ty u niego zamawiałaś, lecz Nancy, a jeszcze bardziej się zdziwił, kiedy powiedziałaś, że na najbliższy tydzień nie potrzebujecie świeżego mięsa. Wydało mu się to szczególnie osobliwe.

– Gdybym była przy zdrowych zmysłach i miała głowę na karku, jak zwykle zamówiłabym mięso. Byłoby to wtedy mniej podejrzane.

Simon musi się zgodzić.

– Jaka jest następna rzecz, którą pamiętasz?

– Znalazłam się przed domem, proszę pana, tam gdzie rosły kwiaty. Miałam zawroty i ból głowy. Pomyślałam, że powinnam otworzyć okno, ale to była głupia myśl, bo przecież już znajdowałam się na zewnątrz. Musiało być około trzeciej. Pan Kinnear wjechał na podjazd swą bryczką pomalowaną na żółto i zielono. Zza domu wyszedł McDermott i oboje pomogliśmy panu wnieść bagaże. McDermott rzucił mi spojrzenie pełne groźby. Pan Kinnear wszedł do domu; wiedziałam, że szuka Nancy. Do głowy przyszła mi myśl: „Nie znajdziesz jej tam. Będziesz musiał poszukać niżej. To już trup”. Bardzo się przestraszyłam.

Potem McDermott powiedział:

– Wiem, że się wygadasz, a jeżeli to zrobisz, to twoje życie nie jest warte funta kłaków.

Byłam zdumiona.

– Co ty zrobiłaś? – spytałam.

– Dobrze wiesz – odparł ze śmiechem. Nie wiedziałam, ale podejrzewałam najgorsze. Potem wymusił na mnie obietnicę, że pomogę mu zabić pana Kinneara, na co się zgodziłam, gdyż widziałam w jego spojrzeniu, że inaczej zabije również mnie. Zaprowadził konia i bryczkę do stajni.

Poszłam do kuchni, żeby jak gdyby nigdy nic zająć się swoją robotą. Wszedł pan Kinnear i spytał:

– Gdzie Nancy?

Odparłam, że pojechała dylizanssem do miasta. Powiedział, że to dziwne, gdyż mijał go po drodze i nie widział jej. Spytałam, czy chciałby coś zjeść, a on przytaknął i spytał, czy Jefferson przyszedł ze świeżym mięsem. Zaprzeczyłam. Zdziwił się, a potem zażyczył sobie herbatę, tosty i jajka.

Przygotowałam mu jedzenie. Zaniósłam je do jadalni, gdzie siedział czekając i czytał pismo, które przywiózł sobie z miasta. Był to najnowszy numer „Godey’s Ladies’ Book”, magazynu, w którym biedna Nancy lubiła oglądać modę, i chociaż pan Kinnear udawał, że to tylko kobiece fatałaszki, często sam do niego zaglądał, kiedy Nancy nie było w pobliżu, gdyż prócz fasonów sukni były tam też i inne rzeczy. Lubił oglądać nowe kroje bielizny i czytać artykuły o tym, jak powinna się zachowywać dama. Często, przynosząc kawę, przyłapywałam go na tym, że chichocze, czytając ten magazyn.

Wróciłam do kuchni, gdzie zastałam McDermotta.

– Chyba pójdę i go teraz zabiję – powiedział.

– Na miłość boską, McDermott, jeszcze za wcześnie! – wykrzyknęłam. – Poczekaj, aż się ściemni.

Potem pan Kinnear poszedł na górę i zdrzemnął się w ubraniu, więc McDermott musiał poczekać – czy chciał, czy nie. Nawet on nie mógł się zdobyć na zastrzelenie śpiącego człowieka. McDermott nie odstępował mnie na krok przez całe popołudnie, uczeplił się jak rzep psiego ogona, był bowiem pewien, że ucieknę i się wygadam. Miał przy sobie broń i bawił się nią. Była to stara dwururka, z której pan Kinnear strzelał do kaczek, ale nie była naładowana śrutem. McDermott powiedział, że wsadził do niej dwie ołowiane kule – jedną znalazł, a drugą zrobił z kawałka ołowiu. Miał też proch od swojego przyjaciela Johna Harveya, chociaż Hannah Upton, ta suka o zaciętej twarzy, z którą mieszkał, nie chciała się na to zgodzić. On jednak i tak go wziął. Był bardzo podekscytowany i zdenerwowany, ale także przechwalał się i był dumny ze swej odwagi. Sporo przeklinał, ale ze strachu nie oponowałam.

Około siódmej pan Kinnear zszedł na dół i wypił herbatę; wyglądał, jakby bardzo niepokoił się o Nancy.

– Zrobię to teraz – powiedział McDermott. – Idź tam i poproś go do kuchni. Zastrzelę go na kamiennej podłodze.

Ja jednak odmówiłam.

Powiedział, że w takim razie zrobi to sam. Zwabił go, mówiąc, że coś jest nie tak z jego nowym siodłem, że jest całe pocięte.

Nie chciałam mieć z tym nic wspólnego. Zabrałam tacę z herbatą i zaniiosłam przez podwórze do zimowej kuchni, gdzie paliło się w piecu, gdyż chciałam tam pozmywać. Kiedy stawiałam tacę, usłyszałam wystrzał z dubeltówki.

Pobiegłam do frontowej kuchni i zobaczyłam pana Kinneara martwego na podłodze i stojącego nad nim McDermotta. Strzelba także leżała na podłodze. Chciałam wybiec, ale McDermott zaczął krzyczeć i przeklinać, i kazał mi otworzyć drzwi do hallu. Odmówiłam, a wtedy on powiedział: „Zrobisz to”. Więc otworzyłam te drzwi, a McDermott zawlókł ciało do hallu i zrzucił po schodach do piwnicy.

Byłam tak przerażona, że wybiegłam na trawnik, okrążyłam pompę i pobiegłam do kuchni na tyłach domu. Potem McDermott wyszedł z frontowej kuchni ze strzelbą i wypalił do mnie, a ja padłam bez zmysłów na ziemię. To wszystko, co pamiętam, proszę pana, aż do późnego wieczora.

– Jamie Walsh zeznał, że przyszedł na podwórze koło ósmej, czyli musiało to być zaraz po tym, jak zemdląłeś. Powiedział, że McDermott jeszcze miał broń w ręku i twierdził, że strzelał do ptaków.

– Wiem, proszę pana.

– Zeznał, że stałeś koło pompy i powiedziałaś mu, że pan Kinnear jeszcze nie wrócił, a Nancy poszła do Wrightów.

– Tego sobie nie przypominam, proszę pana.

– Twierdził, że czułaś się dobrze i miałaś dobry nastrój. Podobno byłaś lepiej ubrana niż zwykle i miałaś na sobie białe pończochy. Podejrzewał, że należą do Nancy.

– Byłam na sali sądowej, proszę pana. Słyszałam, jak to mówił, ale te pończochy należały do mnie. Ale do tamtej pory on już zapomniał o sentymencie do mnie i pragnął tylko mnie zniszczyć, posłać na stryczek. Nic nie poradzę na to, co mówią inni ludzie.

Mówiła tonem tak obojętnym, że Simon poczuł dla niej współczucie. Miał ochotę wziąć ją w ramiona, ukoić, pogłaskać po włosach.

– No cóż, Grace. Chyba jesteś zmęczona. Wrócimy do tego jutro.

– Tak, proszę pana. Mam nadzieję, że będę miała siłę.

– Prędzej czy później dotrzemy do samego dna.

– Mam nadzieję, proszę pana – mówi słabo. – Poczulałabym ogromną ulgę, gdybym wreszcie poznała prawdę.

Liście na drzewach już przybierają sierpniowy wygląd – są matowe, zakurzone i wiotkie – choć jeszcze nie ma sierpnia. Simon wraca powoli w popołudniowym skwarze. Niesie ze sobą srebrny świecznik, nie myślał o tym, żeby go użyć. Cięży mu na ramieniu; właściwie obie jego ręce są dziwnie napięte, jakby ciągnął za sobą ciężką linę. Czego się spodziewał? Oczywiście brakujących wspomnień: tych paru najistotniejszych godzin. No cóż, nie doczekał się ich.

Przypomina sobie pewien wieczór sprzed wielu lat, kiedy jeszcze studiował na Harvardzie. Pojechał na wycieczkę do Nowego Jorku z ojcem, który wówczas był jeszcze bogaty. Obejrzelili operę. Była to *Lunatycka* Belliniego: prosta, cnotliwa wiejska dziewczyna, Amina, zapada w sen w sypialni księcia, dokąd weszła nieświadomie. Jej narzeczony i wieśniacy okrzykują ją kurwą, pomimo protestów księcia, które są oparte na jego wiedzy naukowej. Kiedy jednak wszyscy widzą, że Amina we śnie przechodzi przez niebezpieczny most, który zarywa się pod nią, i wpada do wartkiego strumienia, jej niewinność zostaje udowodniona ponad wszelką wątpliwość i Amina po przebudzeniu znów może zaznać szczęścia.

Parabola o duszy, jak to ujął jego nauczyciel łaciny: *Amina* to anagram słowa *anima*. Ale dlaczego, Simon sam zadał sobie pytanie, dusza ta została ukazana jako nieświadoma? I, co jeszcze bardziej intrygujące: kiedy Amina spała, to kto sprawiał, że chodziła? To pytanie, które w jego odczuciu zawiera dużo groźniejsze implikacje.

Czy Grace była nieświadoma w tym czasie, czy też była w pełni świadoma, jak zeznał Jamie Walsh? Na ile może uwierzyć w jej opowieść? Czy to prawdziwy przypadek amnezji, rodzaj somnambulizmu, czy też jest on ofiarą przebiegłego oszustwa? Wystrzega się arbitralności: dlaczego Grace miałyby przedstawiać tylko czystą, całkowitą i nieskażoną prawdę? Każdy na jej miejscu selekcjonowałby i poprzestawiał fakty, żeby wywrzeć pozytywne wrażenie. Na jej korzyść przemawia to, że duża część tego, co mu powiedziała, zgadza się z opublikowanymi zeznaniami, ale czy to rzeczywiście przemawia na jej korzyść? Być może zgodność jest tu zbyt duża. Simon zastanawia się, czy studiowała ten sam tekst, z którego on korzystał, aby go lepiej przekonać.

Trudność polega na tym, że on chce być przekonany. Chce, by Grace stała się jego Aminą. Chce, by się wybroniła.

Powtarza sobie w duchu, że musi być ostrożny. Musi patrzeć na wszystko z dystansu. Obiektywnie rzecz biorąc, wszystko to, co się między nimi wydarzyło – pomimo jej widocznego niepokoju związanego z morderstwami i pozornej uległości – było walką woli. Nie odmówiła opowiadania – była od tego daleka. Powiedziała mu dużo, ale tylko to, co chciała. On zaś chciałby usłyszeć to, czego ona nie chce powiedzieć, czego może nawet woli nie wiedzieć. Świadomość winy lub niewinności – obie te rzeczy można ukryć. On jednak z niej to wydobędzie. Zarzucił haczyk w jej usta, ale czy zdoła go wyciągnąć? Z otchłani, na światło dzienne. Z głębokiego niebieskiego morza.

Zastanawia się, dlaczego myśli w tak drastycznych kategoriach. Przecież dobrze jej życzy. Myśli o tym jak o wybawieniu, z pewnością tak jest.

Ale czy ona tak myśli? Jeżeli ma coś do ukrycia, to może będzie chciała pozostać

w wodzie, w ciemnościach, w swoim żywiole. Może się bać, że inaczej nie będzie mogła oddychać.

Simon mówi sobie, że musi przestać zachowywać się tak dwulicowo i ekstremalnie. Równie dobrze Grace może rzeczywiście mieć amnezję. Albo wręcz przeciwnie. Może po prostu jest winna.

Oczywiście może być obłąkana i posiadać zdumiewająco zwodniczą wiarygodność doświadczonego szaleńca. Niektóre z jej wspomnień, zwłaszcza te z dnia morderstwa, sugerowałyby religijny fanatyzm. Jednakże te same wspomnienia można łatwo zinterpretować jako naiwne przesady i lęki prostej duszy. On zaś chce pewności – a tej ona mu nie daje.

Może to jego metody zawodzą. Jego technika sugestii z pewnością nie daje rezultatów; warzywa okazały się porażką. Może zachowywał się zbyt niezobowiązująco, zbyt uprzejmie, może właściwą rzeczą byłoby użycie jakiegoś bardziej drastycznego środka. Może powinien zachęcić Jerome'a DuPonta do jego neurohipnotycznego eksperymentu, zostać jego świadkiem, a nawet wybrać pytania. Nie ufa tej metodzie. A jednak może się wyłonić coś nowego, może zostanie odkryte coś, czego jemu do tej pory nie udało się odkryć. Warto przynajmniej spróbować.

Dociera do domu i szuka w kieszeni klucza, ale drzwi otwiera mu Dora. Patrzy na nią z niechęcią: kobieta, która tak przypomina świnię, a przy tej pogodzie poci się obficie, nie powinna się pokazywać ludziom. To karykatura własnej płci. Postąpił instrumentalnie, sprowadzając ją tu z powrotem – praktycznie ją przekupił – co jednak nie znaczy, że lubi ją choć trochę bardziej niż kiedykolwiek. Ani ona jego – sądząc po zjadliwym spojrzeniu czerwonych oczek.

– Ona chce się z panem zobaczyć – mówi Dora, wskazując głową na tył domu. Jej maniery nie mogłyby być bardziej demokratyczne.

Pani Humphrey mocno się sprzeciwiała powrotowi Dory i teraz ledwie może z nią wytrzymać w jednym pokoju, co nie jest wcale dziwne. Simon jednak zaznaczył, że nie może egzystować bez czystości i porządku, że ktoś musi pracować w tym domu, a ponieważ w danej chwili nie ma nikogo innego, musi to robić Dora. Powiedział, że dopóki będzie się jej płacić, będzie posłuszna, choć nie należy się spodziewać grzeczności – co okazało się trafnym przypuszczeniem.

– Gdzie ona jest? – pyta Simon. Nie powinien mówić „ona” – to brzmi zbyt osobiście. „Pani Humphrey” byłoby odpowiedniejsze.

– Pewnie leży na kanapie – mówi Dora pogardliwym tonem. – Jak zwykle.

Kiedy jednak Simon wchodzi do salonu – wciąż osobliwie pozbawionego mebli, choć niektóre z nich pojawiły się na nowo w tajemniczy sposób – pani Humphrey stoi przy kominku, jedną ręką wdzięcznie opierając się o obramowanie. Ręką z koronkową chusteczką. Pachnie fiołkami.

– Doktorze Jordan – mówi, zmieniając pozę. – Pomyślałam, że może zechciałby pan zjeść dziś ze mną kolację w ramach skromnej rekompensaty za wszystkie starania, które uczynił pan z mego powodu. Nie chciałabym się okazać niewdzięczna. Dora

przygotowała trochę kurczaka na zimno. – Wymawia każde słowo starannie, jakby nauczyła się tej wypowiedzi na pamięć.

Simon odmawia tak grzecznie, jak tylko potrafi. Dziękuje bardzo, ale ten wieczór ma zajęty. Jest to niemal prawdą: prawie przyjął zaproszenie panny Lydii, która zaproponowała, żeby przyłączył się do grupy młodych ludzi wybierających się na wycieczkę łodziami po zatoce portowej.

Pani Humphrey przyjmuje jego odmowę z wdzięcznym uśmiechem i mówi, że mogą zjeść wspólnie kolację następnym razem. Uderza go coś w sposobie, w jaki utrzymuje postawę – oraz w powolnym i przemyślanym doborze słów. Czyżby piła? Jej oczy są nieruchome, a ręce lekko drżą.

Na górze otwiera swój skórzany kuferek. Wszystko wydaje się w porządku. Trzy butelki laudanum są na miejscu: żadna nie jest niepełna. Odkorkowuje je: jedna pachnie czystą wodą. Buszowała w jego zapasach, Bóg jeden wie, od jak dawna. Popołudniowe bóle głowy nagle zyskują inne znaczenie. Powinien był wiedzieć: mając takiego męża, musiała sobie poszukać jakiejś pomocy. Kiedy ma pieniądze, niewątpliwie kupuje ten lek, ale ostatnio brakuje jej gotówki, a on był nieostrożny. Powinien był zamykać swój pokój, ale teraz na to za późno.

Oczywiście nie może jej tego wypomnieć. To bardzo kapryśna kobieta. Oskarżenie o kradzież byłoby nie tylko brutalne, ale i wulgarne. A jednak został nabrany.

Simon jedzie na przejażdżkę łodziami. Noc jest ciepła i spokojna, świeci księżyc. Wypija trochę szampana – jest go tylko odrobina – i siada w tej samej łodzi co Lydia, flirtuje z nią beztrąsko. Ona przynajmniej jest normalna i zdrowa, a także ładna. Może powinien się jej oświadczyć. Uważa, że przyjęłaby jego oświadczenia. Odwozi ją do domu, żeby przypodobać się matce, i oddaje bezpiecznie w jej ręce – niech teraz one dwie zajmą się kwestią, jak go uszczęśliwić.

Byłby to jeden ze sposobów na ustalenie swego losu albo rozprawienie się ze sobą. Ale nie robi tego; nie jest aż tak leniwy ani zmęczony. Jeszcze nie.

X

Pani Jeziora

Potem zaczęliśmy pakować wszystkie wartościowe rzeczy, jakie udało nam się znaleźć. Zeszliśmy oboje do piwnicy. Pan Kin-near leżał na plecach w piwniczce na wino. Ja trzymałam świecę. McDermott wyjął mu z kieszeni klucze i trochę pieniędzy. Nic nie mówiliśmy o Nancy. Nie widziałam jej, ale wiedziałam, że jest w piwnicy. Około jedenastej McDermott zaprzął konia. Zapakowaliśmy pudła do bryczki i ruszyliśmy w stronę Toronto. Powiedział, że pojedziemy do Stanów i tam się ze mną ożeni. Zgodziłam się z nim jechać. Przyjechaliśmy do Toronto, do hotelu City, około piątej rano. Obudziliśmy właściciela i zjedliśmy śniadanie. Otworzyłam skrzynię Nancy i włożyłam na siebie parę jej rzeczy. Wyruszyliśmy statkiem o ósmej i przyплыliśmy do Lewiston około trzeciej. Poszliśmy do gospody. Wieczorem zjedliśmy kolację przy wspólnym stole, po czym poszłam do swojego pokoju, a McDermott do swojego. Zanim położyłam się spać, powiedziałam McDermottowi, że zostanę w Lewiston i nie pojedę dalej, na co on odparł, że mnie do tego zmusi. Około piątej rano przyszedł pan Kingsmill, pomocnik szeryfa, zaarrestował nas i zabrał do Toronto.

Zeznanie Grace Marks

„Star and Transcript”, Toronto, listopad 1843

Spotyka, tak chciała Opatrzność,
Pannę mu przeznaczoną; dłonie utajone
Odsłonią przed nim piękno
Dla innych nieodgadnione.

Przy niej jego zasługi wzrastają,
By dorównać obietnicy w jej oczach;
Za radosnym jej krokiem aniołowie zdążają,
Śpiewając rajskie arie... 15
Coventry Patmore

Anioł w domu, 1854

15 przeł. Krzysztof Zabłocki.

McDermott powiedział mi później, że kiedy wystrzelił do mnie, a ja zemdlałam, napompował wody do wiadra i wylał ją na mnie, a potem dał mi miętę do picia. Natychmiast odzyskałam zmysły i czułam się świeża i całkiem radosna. Rozpaliłam ogień i przygotowałam mu kolację składającą się z jajek na szynce i herbaty oraz szklaneczki whisky dla uspokojenia. Zjedliśmy razem w przyjacielskim nastroju, stuknęliśmy się kieliszkami i wypiliśmy za powodzenie naszego przedsięwzięcia. Ja jednak nic z tego nie pamiętam. Nie mogłam zachowywać się tak beztrosko, kiedy pan Kinnear leżał martwy w piwnicy, że już nie wspomnę o Nancy, która chyba też nie żyła, chociaż nie byłam pewna, co się z nią stało. Ale McDermott umiał świetnie kłamać.

Musiałam leżeć nieprzytomna przez długi czas, bo gdy się obudziłam, robiło się już ciemno. Leżałam na plecach na łóżku we własnej sypialni. Czepek spadł mi z głowy, a włosy miałam potargane, rozpuszczone na ramiona i wilgotne. Mokra też była górna część mojej sukni – pewnie od wody, którą James na mnie wylał; tak więc przynajmniej częściowo mówił prawdę. Leżałam tak na łóżku, usiłując sobie przypomnieć, co się stało, bo nie pamiętałam, jak się znalazłam w swoim pokoju. James musiał mnie przynieść, gdyż drzwi były otwarte na oścież, a gdybym weszła tu sama, na pewno bym je zamknęła.

Chciałam wstać i zamknąć drzwi, ale bolała mnie głowa, a w pokoju było gorąco i duszno, więc znowu zapadłam w sen, podczas którego musiałam się niespokojnie rzucać, bo kiedy się obudziłam, pościel była zmięta, a kołdra leżała na podłodze. Tym razem obudziłam się gwałtownie i usiadłam wyprostowana. Pomimo upału pokrywał mnie zimny pot. Powodem było to, że w pokoju stał jakiś mężczyzna, który mi się przyglądał. Był to James McDermott. Pomyślałam, że po zamordowaniu innych przyszedł mnie udusić. Z przerażenia zaschło mi w ustach i nie mogłam wydusić z siebie ani słowa.

On jednak łagodnie spytał, czy lepiej się czuję po odpoczynku, a ja odzyskałam głos i przytaknęłam. Wiedziałałam, że błędem byłoby okazanie strachu i utrata panowania nad sobą, gdyż wtedy pomyślałby, że nie może mi zaufać, bo nie potrafię zachować zimnej krwi. Bałby się, że się załamie i w obecności innych zacznę płakać lub krzyczeć i wszystko powiem, a gdyby tak pomyślał, skończyłby ze mną bez mrugnięcia okiem, żeby nie mieć żadnych świadków.

Potem usiadł na skraju łóżka i powiedział, że czas, żebym spełniła swoją obietnicę, a kiedy spytałam, jaką obietnicę, odparł, że doskonale wiem, bo przyrzekłam mu siebie w zamian za zabicie Nancy.

Nie mogłam sobie przypomnieć, bym mówiła coś takiego, ale ponieważ teraz byłam pewna, że oszalał, pomyślałam, że przekreślił jakieś słowa, które rzeczywiście powiedziałam, coś zupełnie niewinnego, co mógłby powiedzieć każdy: na przykład, że chciałabym, żeby Nancy nie żyła i że oddałabym za to wszystko. Nancy przecież niekiedy była dla mnie bardzo przykra. Ale służący zawsze tak mówią za plecami swoich państwa, bo jeśli nie można im powiedzieć czegoś prosto w oczy, trzeba w inny sposób wyładować swoje uczucia.

McDermott jednak przeinaczył moją wypowiedź tak, że znaczyła co innego, niż miałam na myśli, i teraz żądał, bym dotrzymała słowa, którego mu nie dałam. Mówił zupełnie poważnie; jedną rękę położył mi na ramieniu i popchnął na łóżko, a drugą zadarł spódnicę. Po jego oddechu czułam, że dobrał się do whisky pana Kinneara i nieźle sobie popił.

Wiedziałam, że jedyną szansą na ratunek jest rozbawienie go.

– Oj nie – powiedziałam, śmiejąc się. – Nie w tym łóżku. Jest za wąskie i nie będzie nam w nim wygodnie. Połóżmy się gdzie indziej.

Ku mojemu zdziwieniu uznał, że to dobry pomysł, i powiedział, że z wielką przyjemnością położy się w łóżku pana Kinneara, gdzie Nancy tak często się kurwiła. Pomyślałam, że kiedy raz mu się oddam, uzna i mnie za kurwę, moje życie stanie się dla niego niewiele warte i któregoś dnia weźmie siekierę, zabije mnie i wrzuci do piwnicy, bo często mówił, że kurwa nadaje się tylko do tego, żeby sobie o nią wytrzeć brudne buty i skopać jej plugawe cielsko. Postanowiłam więc zwlekać tak długo, jak tylko się da.

Zapaliliśmy świecę, która była w kuchni, i weszliśmy po schodach, a potem poszliśmy do pokoju pana Kinneara, w którym panował idealny porządek. Łóżko było schludnie zasłane; zrobiłam to sama tego dnia rano. McDermott odrzucił kołdrę i pociągnął mnie na łóżko.

– Bogacze nie mają w poduszkach słomy, tylko gęsie pierze. – powiedział. – Nic dziwnego, że Nancy lubiła spędzać tyle czasu w tym łóżku. – Przez chwilę wyglądał na oszołomionego, lecz nie tym, co zrobił, tylko wspaniałością łoża, na którym leżał. Wkrótce jednak zaczął mnie całować. – No, mała, już czas – powiedział i jął rozpinać mi sukienkę. Przypomniałam sobie, że zapłatą za grzech jest śmierć, i zrobiło mi się słabo, wiedziałam jednak, że jeżeli zemdleję, to równie dobrze mogłabym być martwa.

Wybuchnęłam płaczem i powiedziałam:

– Nie, nie mogę, nie tutaj, nie w łóżku po trupie. To nie w porządku, kiedy on leży w piwnicy zupełnie sztywny. – Zaczęłam szlochać i zanosić się płaczem.

McDermott bardzo się rozzłościł i powiedział, żebym natychmiast przestała, bo inaczej da mi w twarz, lecz nie zrobił tego. Moje słowa nieco ostudziły jego zapał, jak to piszą w książkach. Albo, jak by powiedziała Mary Whitney, w tej chwili pan Kinneary z nich dwóch był sztywniejszy.

Ściągnął mnie z łóżka i powlókł za rękę korytarzem, a ja dalej zawodziłam i jęczałam, ile sił.

– Jeżeli nie podoba ci się to łóżko – powiedział – to zrobimy to na łóżku Nancy, bo z ciebie taka sama kurwa jak z niej.

Widziałam, na co się zanoszą, i pomyślałam, że nadeszła moja ostatnia godzina. Tylko czekałam, aż mnie przewróci i zaciągnie tam za włosy.

Z łoskotem otworzył drzwi i wepchnął mnie do pokoju, w którym panował wielki nieporządek, gdyż go nie posprzątałam, bo nie było ani czasu, ani potrzeby. Kiedy jednak odrzucił kołdrę, zobaczyłam, że prześcieradło jest całe zakrwawione i że leży na nim książka, również cała zalana ciemną krwią. Wrzasnęłam z przerażenia, a McDermott zatrzymał się i powiedział:

– Zapomniałem o tym.

Spytałam go, co to, na miłość boską, jest i co ta książka tu robi. Odparł, że to magazyn, który czytał pan Kinnear. Zabrał go ze sobą do kuchni, gdzie został zastrzelony. Padając na ziemię, przycisnął ręce do piersi, wciąż trzymając w nich magazyn, na który polały się pierwsze strugi krwi. McDermott rzucił potem gazetę na łóżko Nancy, żeby nie leżała na widoku, a także dlatego, że tam było jej miejsce, gdyż pan Kinnear przywiózł ją z miasta dla Nancy. Poza tym Nancy miała na rękach jego krew, bo gdyby nie była taką cholerną wywłoką, wszystko byłoby inaczej i pan Kinnear nie musiałby umrzeć. Tak więc był to znak. I wtedy McDermott się przeżegnał, co widziałam u niego po raz pierwszy i ostatni, gdyż taki był z niego papista.

Pomyślałam, że zwariował jak mysz w rui, jak mawiała Mary Whitney. Widok tej książki tak go otrzeźwił, że wszystkie grzeszne myśli wyparowały mu z głowy. Przybliżyłam świecę i odwróciłam dwoma palcami kartkę. Rzeczywiście był to egzemplarz „Godey’s Ladies’ Book”, który pan Kinnear z taką przyjemnością czytał wcześniej tego dnia. Na to wspomnienie z żalości mało nie wybuchnęłam płaczem.

Ponieważ trudno było określić, jak długo utrzyma się obecny nastrój McDermotta, powiedziałam:

– To ich zmyli, kiedy ją tu znajdą, nie domyślą się, jak tu trafiła.

On przytaknął i dodał:

– Nieźle sobie nałamię głowę. – I roześmiał się jakoś tak nieszczerze.

– Lepiej się pośpieszmy, bo ktoś może przyjść, kiedy tu jesteśmy – powiedziałam.

– Musimy jak najszybciej spakować rzeczy. Będziemy musieli jechać nocą, bo jeżeli ktoś nas zobaczy na drodze w bryczce pana Kinneara, domyśli się, że coś jest nie tak. Po ciemku nie tak prędko dotrzemy do Toronto, a Charley będzie zmęczony, bo dzisiaj już był w podróży.

McDermott zgodził się jak ktoś na wpół śpiący. Zabraliśmy się więc do przeszukiwania domu i pakowania rzeczy. Nie chciałam brać zbyt wiele, tylko najlżejsze i najcenniejsze rzeczy, na przykład złotą tabakierkę pana Kinneara, lunetę, kieszonkowy kompas, złoty scyzoryk i pieniądze, ale McDermott powiedział, że nie ma różnicy między pensm a funtem i że mogą go powiesić równie dobrze za jagnię, jak i za owcę, więc w końcu splądrowaliśmy cały dom i zabraliśmy srebrne patery, świeczniki, łyżki i widelce – nawet te z rodowym herbem, bo McDermott stwierdził, że zawsze można je przetopić.

Zajrzałam do skrzyni Nancy, obejrzałam jej sukienki i pomyślałam, że nie ma sensu, żeby się zmarnowały, bo biednej Nancy już i tak się nie przydadzą. Wzięłam więc skrzynię i wszystko, co w niej było, a także zimowe ubranie Nancy, ale zostawiłam sukienkę, którą szyła, gdyż była niedokończona, a słyszałam, że zmarli przychodzą, żeby dokończyć to, czego nie zdążyli. Nie chciałam, żeby Nancy mnie za to ścigała, bo wtedy byłam już prawie pewna, że nie żyje.

Przed wyjściem posprzątałam w domu, zmyłam naczynia po kolacji, posłałam łóżko pana Kinneara i zarzuciłam narzutę na łóżko Nancy, ale zostawiłam w nim książkę, bo nie chciałam mieć na dłoniach krwi pana Kinneara. Opróżniłam nocnik, uznawszy, że byłoby nieładnie go tak zostawić, gdyż oznaczałoby to brak szacunku. W tym czasie McDermott zaprzągnął Charleya i załadował skrzynie do bryczki. W pewnej chwili jednak

zobaczyłam, jak siedzi na schodach przed domem i pustym wzrokiem patrzy w przestrzeń. Powiedziałam więc, żeby wziął się w garść i był mężczyzną. Ostatnią bowiem rzeczą, jakiej sobie życzyłam, było utknięcie w tym domu z nim – zwłaszcza że zupełnie postradał zmysły. Kiedy go upomniałam, żeby był mężczyzną, dało to rezultat, bo się otrząsnął, wstał i powiedział, że mam rację.

Na koniec zdjęłam ubranie, które nosiłam tego dnia, i włożyłam jedną z sukni Nancy, jasną w kwiatki na białym tle – tę samą, którą miała na sobie tego dnia, kiedy przyjechałam do domu pana Kinneara. Włożyłam też jej halkę z koronkowym wykończeniem i własną czystą halkę oraz letnie buty Nancy z jasnej skórki, które tak często podziwiałam, chociaż na mnie nie pasowały. Wzięłam też jej porządny słomkowy kapelusz i lekki kaszmirowy szal, choć uznałam, że nie będę musiała go wkładać, bo noc była ciepła. Skropiłam się za uszami i na nadgarstkach wodą różaną z buteleczki na jej toalecie. Jej zapach był dla mnie pewnym pocieszeniem.

Potem nałożyłam czysty fartuszek, roznieciłam ogień w piecu w letniej kuchni, w którym było jeszcze trochę żaru, i spaliłam swoje ubranie. Nie chciałam go już nosić, bo przypominałoby mi o rzeczach, o których chciałam zapomnieć. Może była to tylko moja wyobraźnia, ale poczułam zapach jakby przypalającego się mięsa; miałam wrażenie, że to pali się moja własna splugawiona i wyklęta skóra.

W tym czasie wszedł McDermott, powiedział, że jest gotowy, i spytał, dlaczego marnuję czas. Odparłam, że nie mogę znaleźć swojej dużej białej chustki, tej w niebieskie kwiatki, i że chciałam ją sobie zawiązać na szyi dla ochrony przed słońcem, kiedy następnego dnia będziemy na promie przepływać przez Jezioro. McDermott na to się roześmiał, niby ze zdumieniem, i powiedział, że chustka jest w piwnicy i chroni szyję Nancy przed słońcem, co powinnam pamiętać, bo przecież sama ją zawiązałam i zacisnęłam węzeł. Byłam wstrząśnięta, ale nie chciałam mu się sprzeciwiać, gdyż niebezpiecznie jest klócić się z szaleńcem. Powiedziałam więc, że zapomniałam.

Kiedy wyruszyliśmy, dochodziła jedenasta w nocy. Była to piękna noc, wiał lekki wietrzyk, który nas chłodził, i komary nie dokuczały zbyt. Był półksiężyc, ale nie pamiętałam, czy go przybywało, czy ubywało. Kiedy jechaliśmy podjazdem między rzędami klonów, a potem przez sad, obejrzałam się za siebie i ujrzałam dom, tak spokojny i zalany światłem księżyca, jakby lekko promieniał. Pomyślałam sobie: „Kto by przypuszczał, co się w nim znajduje”. Westchnęłam i przygotowałam się do długiej podróży.

Jechaliśmy dość wolno, bo choć Charley znał drogę, to wiedział też, że nie powozi nim jego pan i że coś jest nie tak. Kilka razy przystawał i nie mogliśmy ruszyć, dopóki McDermott nie użył bata. Kiedy jednak przejechaliśmy parę mil i minęliśmy już miejsca, które dobrze znał, przestał się opierać. I tak pojechaliśmy przez ciche i srebrzyste pola, mijając ogrodzenia ciągnące się niczym ciemny warkocz wzdłuż drogi. Nietoperze furkotały nam nad głową, a koło nas przepływały zbite plamy lasu. Raz drogę przecięła nam sowa, blada i miękka niczym ćma.

Początkowo bałam się, że spotkamy kogoś znajomego i że będzie się dopytywał,

dokąd jedziemy tak ukradkiem, ale w pobliżu nie było żywej duszy. James zrobił się śmielszy i poweselał i zaczął opowiadać, co będziemy robić, kiedy dotrzemy do Stanów, jak sprzedamy rzeczy, kupimy małą farmę i staniemy się niezależni. A jeżeli początkowo nie będziemy mieli wystarczająco dużo pieniędzy, najmiemy się jako służący i zaoszczędzimy z zarobków. Ja nie powiedziałam ani tak, ani nie, bo nie zamierzałam z nim zostać dłużej niż minutę, kiedy już będziemy bezpieczni po drugiej stronie Jeziora i wśród ludzi.

Po jakimś czasie zamilkł i słychać było tylko stukot kopyt Charleya na drodze i szum lekkiego wiatru. Pomyślałam, że mogłabym zeskoczyć z bryczki i uciec do lasu, ale wiedziałam, że nie dotarłabym daleko, a nawet jeżeli, to zjadłyby mnie niedźwiedzie i wilki. Pomyślałam sobie: „Jadę przez ciemną dolinę”, jak jest to powiedziane w jednym z psalmów. Usiłowałam nie lękać się zła, ale było to bardzo trudne, bo zło było ze mną w bryczce, unosiło się jak mgła. Spróbowałam więc pomyśleć o czymś innym. Spojrzałam na niebo, które było bezchmurne i usiane gwiazdami. Wydawało się bliskie na wyciągnięcie ręki i tak delikatne, że mogłabym włożyć w nie rękę, jak w pajęczynę skropioną rosą.

Potem jednak zaczęło się marszczyć jak kozuch na zsiadłym mleku, ale było twardsze, bardziej kruche i jakby pokryte kamieniami, niczym ciemna plaża albo czarna jedwabna krepa. Potem stało się tylko cienką powierzchnią, jak papier. Za nim zaś znajdował się zimny mrok – nie było to Niebo ani nawet Piekło, lecz sama tylko pustka. Było to bardziej przerażające niż wszystko, co mogłabym sobie wyobrazić, i zaczęłam się cicho modlić do Boga, żeby mi odpuścił moje grzechy, ale co, jeżeli nie było Boga, który mógłby mi wybaczyć? Potem przyszło mi do głowy, że w tej zewnętrznej ciemności, gdzie jest tylko płacz i zgrzytanie zębów, Boga nie ma. Kiedy tylko o tym pomyślałam, niebo znowu się zamknęło, jak woda, kiedy się do niej wrzuci kamień, i znowu było gładkie, nieprzerwane i pełne gwiazd.

Przez cały ten czas księżyc się zniżał, a nasza bryczka posuwała się coraz dalej. Stopniowo ogarniała mnie senność. Nocne powietrze było chłodne, więc otuliłam się kaszmirowym szalem i chyba się zdrzemnęłam z głową na ramieniu McDermotta, gdyż ostatnią rzeczą, jaką pamiętam, był dotyk jego ręki czule przykrywającej mnie szalem.

Następną rzeczą, jaką pamiętam, jest to, że leżałam na plecach na ziemi, w chaszczach na poboczu. Przygniatał mnie jakiś ciężar, a pod moją halkę wędrowała czyjaś ręka. Zaczęłam się wyrwać i krzyczeć. Ręka przesunęła się na moje usta i usłyszałam nabrzmiały złością głos Jamesa: co ja sobie wyobrażam, dlaczego podnoszę taki hałas, czy chcę, żeby nas nakryli? Ucichłam, a on zdjął rękę z moich ust. Powiedziałam, żeby mnie puścił i pozwolił mi wstać.

Bardzo się rozgniewał, twierdził, że kazałam mu zatrzymać bryczkę, żebym mogła wysiąść i załatwić się przy drodze, i nie dalej jak dwie minuty temu sama rozłożyłam szal i zapraszałam go do siebie jak napalona suka, którą w istocie byłam, i mówiłam, że teraz spełnię swoją obietnicę.

Wiedziałam, że nie zrobiłam niczego takiego, gdyż mocno spałam, i powiedziałam

mu o tym. On zaś odparł, że nie da z siebie robić głupca, że jestem przeklętą dziwką i demonem i że piekło jest dla mnie za dobre, bo go omotałam i doprowadziłam do tego, że zaprzedał swoją duszę. Zaczęłam płakać, czując, że nie zasługuję na takie ostre słowa. Powiedział, że tym razem nie pomogą krokodyle łązy, bo ma już ich po dziurki w nosie, i zaczął znowu zdzierać ze mnie sukienkę, przytrzymując mnie za włosy. Ugryzłam go mocno w ucho.

Ryknął na cały głos i pomyślałam, że mnie zabije na miejscu. On jednak mnie puścił, wstał i pomógł mi się podnieść. Powiedział, że mimo wszystko dobra ze mnie dziewczyna, że zaczeka do ślubu, bo tak będzie lepiej i bardziej właściwie, i że tylko chciał mnie poddać próbie. Potem stwierdził, że mam dobre, mocne zęby, bo ucho mu krwawiło, co, zdaje się, sprawiało mu przyjemność.

Bardzo mnie to zdziwiło, ale nic nie powiedziałam, gdyż nadal tkwiłam z nim sama na pustej drodze, a przed nami było jeszcze wiele mil podróży.

Tak więc jechaliśmy przez całą noc i wreszcie niebo się rozjaśniło. Dotarliśmy do Toronto nieco po piątej rano. McDermott powiedział, że pójdziemy do hotelu City, obudzimy obsługę i każemy sobie zrobić śniadanie, bo był głodny jak wilk. Odrzekłam, że nie jest to dobry plan i że powinniśmy poczekać, aż pojawi się więcej ludzi, bo inaczej będziemy rzucać się w oczy i zostaniemy zapamiętani. Wtedy on spytał, dlaczego zawsze muszę się z nim spierać, że potrafię doprowadzić człowieka do szewskiej pasji, że ma w kieszeni pieniądze i jeżeli chce, może sobie zamówić śniadanie i za nie zapłacić, bo go na to stać.

Pomyślałam sobie, jakie to dziwne, że gdy tylko człowiek ma parę groszy, choćby nie wiadomo, jak je zdobył, od razu mu się wydaje, że ma prawo do wszystkiego, wszystko może kupić i uważa się za władcę świata.

Zrobiliśmy, jak powiedział – teraz uważam, że nie tyle dla samego śniadania, ile dlatego, że chciał mi pokazać, kto tu jest panem. Zjedliśmy jajka na bekonie. Ze zdziwieniem patrzyłam, jak się puszył, pysznił i rozstawiał po kątach służących, narzekając, że jajka są niedosmażone. Przełknęłam zaledwie dwa kęsy. Cała aż drżałam, widząc zainteresowanie, jakie na sobie skupiał.

Okazało się, że najbliższy prom odpływa do Stanów dopiero o ósmej i że będziemy musieli poczekać w Toronto jeszcze ze dwie godziny. Wiedziałam, że to bardzo niebezpieczne, bo w mieście na pewno ktoś poznał bryczkę i konia pana Kinneara, który tam często przyjeżdżał. Powiedziałam więc McDermottowi, żeby zostawił bryczkę w najmniej widocznym miejscu, na małej, bocznej uliczce, chociaż on chciał się nią przejechać i pochwalić. Później jednak okazało się, że pomimo mojej ostrożności bryczka została zauważona.

Dopiero kiedy wzeszło słońce, przyjrzałam się w jego świetle McDermottowi i zobaczyłam, że ma na sobie buty pana Kinneara. Spytałam, czy zdjął je z ciała, które leżało w piwnicy, a on potwierdził i dodał, że koszula też jest pana Kinneara; wziął ją z szafy w ubieralni, bo była o wiele lepszej jakości niż te, które miał do tej pory. Wpadł też na pomysł, żeby zdjąć koszulę z ciała, ale była cała zakrwawiona, więc ją rzucił za drzwiami. Przerażona spytałam, jak mógł zrobić coś takiego, a on się zdziwił, o co mi chodzi, skoro ja sama włożyłam suknię i czepek Nancy. Odparłam, że to nie to samo, z czym się nie zgodził. Powiedziałam, że ja przynajmniej nie zdjęłam butów z trupa. On na to, że nie ma żadnej różnicy, a zresztą nie chciał zostawić nagiego ciała, więc włożył panu Kinnearrowi własną koszulę.

Spytałam, którą, a on powiedział, że tę, którą kupił od domokrażcy. Zmartwiona powiedziałam:

– Teraz oskarżą Jeremiasza, bo na pewno wszystko wyśledzą. Byłoby mi przykro z tego powodu, bo Jeremiasz jest moim przyjacielem.

McDermott stwierdził, że jego zdaniem zbyt bliskim przyjacielem, a ja spytałam, co przez to rozumie. Odparł, że nie podobało mu się, jak Jeremiasz na mnie patrzył i że

jego żonie nie wolno będzie się zadawać z żadnymi żydowskimi handlarzami, plotkować z nimi w kuchennych drzwiach i flirtować, a jeżeli to zrobi, to on podbije jej oko i walnie w łeb.

Zaczynało mnie to złościć. Już miałam powiedzieć, że Jeremiasz nie jest Żydem, a nawet jeżeli tak, to wolałabym raczej wyjść za niego niż za McDermotta. Wiedziałam jednak, że jeśli się pokłócimy, to nie wyniknie z tego nic dobrego, zwłaszcza jeśli dojdzie do krzyku i bicia. Ugryzłam się więc w język, gdyż zamierzałam bezpiecznie dotrzeć do Stanów, a potem wymknąć się McDermottowi i mieć go z głowy raz na zawsze.

Powiedziałam mu, żeby zmienił ubranie i że ja zrobię to samo, bo jeżeli jacyś ludzie zaczną o nas wypytywać, to tak łatwo nas nie wyśledzą. Sądziłam, że nie stanie się tak przynajmniej do poniedziałku, wiedzieliśmy bowiem, że pan Kinnear zaprosił paru znajomych na kolację w sobotę. Zmieniłam więc suknię w hotelu City, a James włożył letnią marynarkę pana Kinneara. Z ironicznym uśmiechem uznał, że wyglądam bardzo elegancko, zupełnie jak dama, z tą różową parasolką i całą resztą.

Potem poszedł się ogolić. W tym czasie mogłam pobiec po pomoc, ale wielokrotnie mi powtarzał, że musimy trzymać się razem, bo inaczej zawiśniemy osobno¹⁶, i chociaż czułam się niewinna, wiedziałam, że okoliczności świadczą przeciwko mnie. I nawet gdyby jego miano powiesić, a mnie nie, i chociaż nie życzyłam już sobie jego towarzystwa i bałam się go, to nadal nie chciałam go zdradzić. W zdradzie jest coś nikczemnego. Czułam, jak jego serce bije tuż koło mojego, i choć tego nie chciałam, było to serce człowieka, a ja nie zamierzałam się przyczynić do tego, by ucichło na zawsze – chyba żebym była do tego zmuszona. Pomyślałam też, że w Biblii jest napisane: „Do mnie należy pomsta, Ja wymierzę zapłatę – mówi Pan”¹⁷. Uważałam, że nie powinnam w tak poważnych sprawach wyręczać Boga, więc zostałam, dopóki nie wrócił.

O ósmej znaleźliśmy się na pokładzie parowca „Transit” razem z bryczką i Charleyem, skrzyniami i całą resztą. Kiedy wypłynęliśmy z portu, poczułam wielką ulgę. Dzień był piękny, wiał lekki wietrzyk, a słońce iskrzyło się na błękitnych falach. James miał świetny nastrój i był z siebie bardzo dumny. Bałam się, że jeżeli stracę go z oczu, zacznę się pysznić i paradować w nowym ubraniu i świecidełkach pana Kinneara, on jednak wolał mieć mnie na oku, na wypadek gdybym chciała komuś powiedzieć, co zrobił. Uczepił się mnie jak pijawka.

Z powodu Charleya byliśmy na dolnym pokładzie, gdyż nie chciałam go zostawiać samego. Był bardzo zdenerwowany; podejrzewałam, że pewnie nigdy przedtem nie płynął statkiem. Hałas silnika i koła łopatkowego musiał go przerażać. Zostałam więc z nim i karmiłam go krakersami, które uwielbiał z powodu soli. Dziewczyna i koń zawsze przyciągają uwagę młodych ludzi, którzy zalecają się, udając, że interesują się koniem. Wkrótce tak się stało i musiałam odpowiadać na mnóstwo pytań.

James kazał mi mówić, że jesteśmy rodzeństwem i opuściliśmy rodzinę, z którą się skłóciliśmy, więc przybrałam imię Mary Whitney i mówiłam, że James to David Whitney i że płyniemy do Rochester. Młodzieńcy nie widzieli powodu, dla którego nie mieliby ze mną romansować, skoro James był tylko moim bratem. Uważałam, że powinnam

reagować z humorem na ich zaczepki – choć to później obróciło się przeciwko mnie na rozprawie – widziałam jednak, że James patrzy na mnie krzywym okiem. A ja tylko próbowałam rozwiązać ich i jego podejrzenia, a pod maską szczęścia byłam bardzo przygnębiona.

Zatrzymaliśmy się w Niagarze, ale nie koło wodospadu, więc nie mogłam go sobie obejrzeć. James zszedł na ląd i zmusił mnie, żebym poszła z nim do gospody. Zamówił sobie befsztyk. Ja nie zjadłam nic, bo przez cały czas byłam zdenerwowana. Nic się jednak nie stało, więc popłynęliśmy dalej.

Jakiś młodzieniec wskazał nam w oddali inny parowiec i powiedział, że to „Pani Jeziora”, statek Stanów Zjednoczonych, który do niedawna uważany był za najszybszy na Jeziorze, ale właśnie przegrał wyścig ze statkiem Royal Mail Standard, „Zaćmienie”, który go wyprzedził o cztery i pół minuty. Spytałam, czy jest z tego powodu dumny, a on odrzekł, że nie, bo postawił dolara na „Panią”. Wszyscy obecni się rozśmiali.

Wtedy nagle stało się dla mnie jasne coś, nad czym się kiedyś zastanawiałam. Jest taki wzór kołdry, który się nazywa „Pani Jeziora”, co, jak mi się wydawało, pochodzi od tytułu wiersza, ale nigdy nie mogłam doszukać się w tym wzorze żadnej pani ani żadnego jeziora. Teraz jednak zrozumiałam, że nazwa statku pochodzi od tytułu wiersza, a kołdra została tak nazwana po statku, bo ma okrągłe wzory, co pewnie jest symbolem obracającego się koła z łopatkami. Pomyślałam też, że wszystko, co się dzieje, ma swój sens i swój wzór, gdy się nad tym głębiej zastanowić, i tak też musiało być z ostatnimi wydarzeniami, które wtedy wydawały mi się całkiem pozbawione sensu. Odkrycie przyczyny, dla której kołdra ma taki właśnie wzór, było dla mnie lekcją, żeby zachować wiarę.

Potem przypomniało mi się, jak Mary Whitney czytała ze mną ten wiersz i jak omijałyśmy nudne opisy zalotów i przechodziłyśmy do bardziej podniecających scen, na przykład walk. Najlepiej jednak pamiętałam fragment, w którym tę biedną kobietę porwał z kościoła w dzień jej ślubu pewien szlachcic, bo taką miał zachciankę, od czego wpadła w obłęd i wędrowała potem po łąkach, zbierając dzikie kwiaty i śpiewając sama do siebie. Pomyślałam sobie, że ja też zostałam porwana, chociaż nie w dzień mojego ślubu, i obawiałam się, że mogę skończyć tak jak ona.

Tymczasem dopłynęliśmy do Lewiston. James wbrew moim radom próbował sprzedać konia z bryczką na pokładzie, ale podał zbyt niską cenę, co wzbudziło podejrzenia. A ponieważ wystawił je na sprzedaż, celnik w Lewiston nałożył na nie cło i zarekwirował, bo nie mieliśmy pieniędzy, żeby zapłacić. James początkowo był wściekły, ale wkrótce machnął na to ręką, uznawszy, że nie ma to większego znaczenia, i oznajmił, że sprzedamy jakieś inne rzeczy, a następnego dnia wrócimy, żeby odebrać konia i bryczkę. Byłam tym zaniepokojona, bo to oznaczało, że będziemy musieli tam spędzić jeszcze jedną noc, i chociaż byliśmy w Stanach Zjednoczonych, za granicą, gdzie powinniśmy się czuć bezpieczni, to jednak granica nigdy nie powstrzymywała łapaczy niewolników ze Stanów od ścigania zbiegłych niewolników, których uważali za swoją własność, więc to bynajmniej nie przynosiło ulgi.

Próbowałam wymóc na nim obietnicę, że nie sprzeda Charleya, bo z bryczką mógł sobie robić, co tylko chciał, ale powiedział: „Do diabła z tym koniem”. Myślę, że był

o niego zazdrosny, bo tak go lubiłam.

Okolice w Stanach Zjednoczonych niewiele różniły się od wiejskich terenów, skąd przyjechaliśmy, a jednak było to zupełnie inne miejsce: choćby dlatego, że inna była flaga. Przypomniałam sobie, co mi Jeremiasz mówił o granicach i o tym, jak łatwo je przekraczać. Ten dzień, kiedy mi to powiedział w kuchni pana Kinneara, wydawał mi się teraz bardzo odległy, jakby z innego życia, choć w rzeczywistości wydarzyło się to zaledwie przed tygodniem.

Poszliśmy do najbliższej gospody, która wcale nie była żadnym hotelem, jak to napisano w wierszu o mnie, tylko tanią knajpą na nabrzeżu. Tam James wkrótce wyłopał mnóstwo piwa i brandy, potem zjedliśmy kolację, po czym znowu zaczął pić. Kiedy zaś nadszedł czas położyć się spać, chciał, żebyśmy udawali małżeństwo i wzięli wspólny pokój, gdyż – jak powiedział – wyniosłoby nas to o wiele taniej. Ja jednak w lot pojęłam, do czego zmierza i odparłam, że skoro na statku udawaliśmy rodzeństwo, to teraz nie możemy tego zmieniać – na wypadek gdyby ktoś ze statku nas zapamiętał. Dostał więc pokój do spółki z innym mężczyzną, a ja dostałam osobny.

Mimo to próbował się wdrzeć do mojego pokoju, mówiąc, że i tak wkrótce się pobierzemy. Oświadczyłam, że już bym wolała wyjść za samego Diabła, a on powiedział, że i tak zmusi mnie do spełnienia obietnicy. Zagroziłam, że będę krzyczeć, a to zupełnie co innego w gospodzie pełnej ludzi niż w domu, gdzie są tylko dwa trupy. Kazał mi się zamknąć i zaczął mnie wyzywać od kurew i wywłok, ja zaś odparłam, że mógłby wymyślić coś nowego, bo te słowa już mi się szczerze znudziły. Wszedł rozwścieczony.

Postanowiłam, że wstanę bardzo wcześnie, ubiorę się i wykradnę, gdybym bowiem została w jakiś sposób zmuszona go poślubić, to oznaczałoby mój koniec, bo skoro teraz był wobec mnie podejrzliwy, to później stałby się jeszcze bardziej. A jeśli bym mnie wywiózł na jakąś odludną farmę w obcym miejscu, gdzie nikogo bym nie znała, to nie dałabym za swoje życie złamanego grosza, bo prędzej, niż mi się wydaje, rozwaliliby mi łeb, zakopał sześć stóp pod ziemią gdzieś w kuchennym ogrodzie i wyrosłyby na mnie ziemniaki i marchew.

Na szczęście drzwi miały zasuwkę, więc je zamknęłam. Potem zdjęłam ubranie, oprócz koszuli, i złożyłam je starannie na krześle, jak to robiłam w pokoiku u pani Parkinson, gdzie mieszkaliśmy z Mary. Zdmuchnęłam świecę, wsunęłam się pod kołdrę, która, o dziwo, była czysta, i zamknęłam oczy.

Pod powiekami zobaczyłam poruszającą się wodę, niebieskie, roziskrzane światłem fale na Jeziorze, które przepłynęliśmy – tylko że te były o wiele większe i ciemniejsze – jak przetaczające się wzgórze. Były to fale oceanu, przez który podróżowałam przed trzema laty, choć zdawało mi się, że od tamtej pory minął cały wiek. Zaczęłam się zastanawiać, co się ze mną stanie, i pocieszałam się myślą, że za sto lat będę już spoczywać w spokoju, we własnym grobie. Pomyślałam, że gdybym prędzej umarła, byłoby o wiele mniej kłopotów.

A fale się poruszały. Na nich pojawiał się na chwilę biały ślad statku, który natychmiast wygładzała woda. Miałam wrażenie, że to znikają odciski moich stóp, które

jako dziecko zrobiłam na plażach i ścieżkach kraju, który opuściłam, i te, które zrobiłam po tej stronie oceanu, odkąd tu przyjechałam. Wszystkie moje ślady znikają i zacierają się, jakby ich nigdy nie było, jak znika śnieg z polerowanego srebra albo rowek wyżłobiony dłonią w suchym piasku.

Na krawędzi snu zdążyłam jeszcze pomyśleć: „To zupełnie tak, jakbym nigdy nie istniała, bo nie pozostał po mnie żaden ślad. A w ten sposób nie można mnie odnaleźć”.

To prawie tak samo, jakbym była niewinna.

I wtedy usnęłam.

16 ...*we must hang together or we would hang separately* – nieprzetłumaczalna gra słów: *hang* – trzymać się, wisieć (przyp. tłum.).

17 Św. Paweł, List do Rzymian, 12, 19.

Oto co mi się przyśniło, kiedy leżałam pod prawie czystą kołdrą w gospodzie w Lewiston.

Szłam długim, krętym podjazdem do domu pana Kinneara, mijając rzędy klonów, które rosły po obu stronach. Widziałam wszystko po raz pierwszy, choć wiedziałam też, że już tu kiedyś byłam – jak to często zdarza się w snach. Pomyślałam: „Ciekawe, kto mieszka w tym domu?”.

Potem zorientowałam się, że nie jestem sama. Za mną, po lewej stronie, szedł pan Kinneare, najwyraźniej po to, by nie stało mi się nic złego. Nagle w oknie salonu zapaliła się lampa i zrozumiałam, że w domu jest Nancy, która czeka, aby mnie powitać po powrocie z podróży – wracałam bowiem z podróży, byłam tego pewna, po długiej nieobecności. Poczułam się bardzo szczęśliwa, że znowu ją zobaczę – zdrową i roześmianą jak przedtem.

Dom wydał mi się bardzo piękny, cały biały, z kolumnami na froncie. Przy werandzie kwitły białe peonie połyskując w mroku, a w oknie płonęło światło lampy.

Bardzo pragnęłam tam być, choć we śnie już tam byłam. Czułam ogromną tęsknotę za tym domem, gdyż był to mój prawdziwy dom. Kiedy to poczułam, światło przygasło i w domu zrobiło się ciemno. Zobaczyłam, że wszędzie latają świetliki; znad pól unosił się zapach mleczy, a ciepłe, wilgotne powietrze letniego wieczoru miękko i łagodnie ocierało się o moje policzki. Poczułam w swojej dłoni czyjaś dłoń.

I wtedy właśnie rozległo się pukanie do drzwi.

XI

Spadające belki

Dziewczyna ta, zamiast zdradzać objawy zaniepokojenia i nieczystego sumienia, wydaje się zupełnie spokojna. Oczy ma wypoczęte i jasne, jakby mocno spała niezakłóconym snem. Niepokoi się jedynie o to, by jej przysłano ubrania i skrzynię. Tych pierwszych nigdy nie miała zbyt wiele – obecnie nosi suknię zamordowanej, a skrzynia, o którą prosi, należała do tej samej nieszczęsnej ofiary.

„Chronicle and Gazette”

Kingston, 12 sierpnia 1843

Ale choć okazałam skruchę za swą niegodziwość, roniąc gorzkie łzy, Bogu spodobało się, bym już nigdy nie zaznała ani chwili spokoju. Odkąd pomogłam McDermottowi udusić [Nancy] Montgomery, widok jej straszliwej twarzy i tych potwornych, przekrwionych oczu nie opuszcza mnie ani na moment. Przeszywają mnie nienawistnym spojrzeniem w dzień i w noc, a kiedy w rozpaczy zamykam oczy, widzę, jak zaglądamy w mą duszę – nie można ich zasłonić... w nocy – w ciszy i samotności mojej celi te pałające oczy oświetlają me więzienie niczym światło dzienne. Nie, nie dzienne – lśnią przerażającym, oślepiającym blaskiem, który nie przypomina niczego na tym świecie...

Grace Marks

opowiedziane Kennethowi MacKenzie,

w wersji przytoczonej przez Susannę Moodie,

Life in the Clearings, 1853

Nie była to miłość, choć jej pyszna uroda doprowadzała go do szaleństwa, ani też zgroza, nawet gdy wyobrażał sobie jej ducha przesiąkniętego tą samą zgubną esencją, która zdawała się przenikać jej fizyczną postać, lecz jakiś dziki owoc miłości i zgrozy zrodzony z tych dwojga rodziców, który płonął jak jedno i drżał jak drugie... Błogosławione niechaj będą wszystkie proste uczucia – czy to mroczne, czy jasne! To śmiertelna mieszanina ich dwojga wznieca oślepiający płomień piekielnych otchłani.

Nathaniel Hawthorne

Córka Rappacciniego, 1844

Do doktora Simona Jordana, zamieszkałego u majora C.D. Humphreya, Lower Union Street,

Kingston, Kanada Zachodnia;

od pani Williamowej P. Jordan, Laburnum House,

Loomisville, Massachusetts, Stany Zjednoczone Ameryki.

3 sierpnia 1859

Najdroższy Synu!

Jestem wielce zaniepokojona tym, że od tak dawna nie dostałam od Ciebie listu. Napisz choć parę słów, bym wiedziała, że nie dotknęło Cię żadne nieszczęście. W tych strasznych czasach, kiedy w pobliżu czai się zgubna wojna, matka pragnie mieć nadzieję, że jej najbliżsi, z których tylko Ty mi pozostałeś, są cali i zdrowi. Może byłoby najlepiej, gdybyś został w tym kraju, by uniknąć tego, co nieuchronne, ale podpowiada mi to tylko słabe matczyne serce, gdyż nie mogę z czystym sumieniem popierać tchórzostwa, kiedy tyle innych matek z pewnością jest gotowych stawić czoło temu, co im zgotował Los.

Tak bardzo pragnę choć raz jeszcze ujrzeć Twą twarz, mój drogi Synu. Lekki kaszel, który mnie trapił od dnia Twoich narodzin, ostatnio przybrał na sile, a wieczorami staje się dość gwałtowny. Codziennie denerwuję się na myśl, że jesteś tak daleko od nas, gdyż boję się, że mogłabym nagle odejść, w samym środku nocy, nie powiedziawszy Ci ostatnich słów na pożegnanie i nie dawszy matczynego błogosławieństwa. Oby nie doszło do wojny, na co wszyscy musimy mieć nadzieję! Gorąco się modlę, byś się ustatkował i zamieszkał we własnym domu jeszcze przed tą nieuchronną datą. Nie chcę jednak, by moje wątpliwości, obawy i kaprysy odrywały Cię od studiów, badań i Twoich szaleńców oraz wszystkiego, co robisz, a co z pewnością jest bardzo ważne.

Mam nadzieję, że się zdrowo odżywasz i dbasz o siebie. Nie ma większego błogosławieństwa niż silny organizm, a jeżeli ktoś go nie odziedziczył, tym bardziej powinien o niego dbać. Pani Cartwright jest bardzo wdzięczna losowi, że jej córka nie przechorowała ani jednego dnia w swoim życiu i jest silna jak koń. Zdrowy umysł w zdrowym ciele jest najlepszym spadkiem, jaki można zostawić swoim dzieciom, spadkiem, którego Twoja biedna matka nie mogła zapewnić swemu najdroższemu chłopcu, choć bardzo tego pragnęła. Musimy jednak być zadowoleni ze swego losu, który przeznaczyła dla nas Opatrzność.

Moje wierne Maureen i Samantha przesyłają Ci wyrazy szacunku i miłości i proszą

o pamięć. Samantha mówi, że jej konfitury truskawkowe, za którymi tak przepadałeś w dzieciństwie, są równie dobre jak niegdyś, więc powinieneś czym prędzej ich spróbować, zanim „przekroczy rzekę”, jak to ujmuje. Zaś moja biedna Maureen, która wkrótce będzie równie niesprawna, jak Twoja matka, mówi, że przy każdym kąsie myśli o Tobie i wspomina szczęśliwsze czasy. Obie z wielką niecierpliwością wyglądają Cię, co czyni również

Twoja zawsze kochająca i oddana
Matka

Simon jest znowu na górze, na poddaszu, gdzie mieszkają pokojówki. Wyczuwa, że czekają za zamkniętymi drzwiami; ich oczy błyszczą w półmroku. Nasłuchują, ale nie wydają żadnego dźwięku. Jego ciężkie szkolne buty stukają głucho na deskach. Z pewnością powinien tu być jakiś dywan albo wykładzina. Pewnie go słyszą w całym domu.

Otwiera pierwsze z brzegu drzwi z nadzieją, że znajdzie za nimi Alice. A może miała na imię Effie? Ale oto znowu jest w szpitalu Guya. Czuje jego zapach, niemal smak – ten intensywny, ciężki zapach wilgotnych murów, wilgotnej wełny, cuchnącego oddechu i zakażonego ludzkiego ciała. To zapach próby i dezaprobaty: Simon ma zostać przeegzaminowany. Przed nim stoi przykryty prześcieradłem stół. Simon ma wykonać sekcję zwłok, chociaż jest tu tylko studentem, jeszcze go tego nie nauczono, nie ma pojęcia, jak to się robi. W pokoju jest pusto, ale wie, że obserwują go ci, którzy mają go osądzić.

Pod prześcieradłem leży kobieta; widać to po zarysach ciała. Simon ma nadzieję, że nie jest zbyt stara, bo to byłoby jeszcze gorsze. Biedaczka zmarła na jakąś nieznaną chorobę. Nikt nie wie, skąd oni biorą te trupy, a przynajmniej nikt nie jest tego pewien. Studencki żart mówi, że wykopują je z grobów przy świetle księżyca – albo czekają na rezurekcję.

Krok po kroku zbliża się do stołu. Czy instrumenty są gotowe? Tak, jest też lichtarz, ale Simon nie ma na sobie butów, a jego stopy są mokre. Musi zedrzyć prześcieradło, a potem jej skórę – warstwa po warstwie – kimkolwiek ona jest. Rozkroić gumiate ciało, otworzyć je, wypatroszyć jak rybę. Simon trzęsie się z przerażenia. Trup będzie zimny, sztywny. Trzymają je w lodzie.

Ale pod prześcieradłem jest jeszcze jedno, a pod nim kolejne. Wygląda jak muślinowa zasłona. Pod nim leży czarny woal, a potem – czy to możliwe? – halka. Gdzieś pod spodem musi być kobieta; Simon gorączkowo jej szuka. Ale nie – ostatnia warstwa to prześcieradło na łóżku, a pod nim już tylko samo łóżko. Łóżko i kształt kogoś, kto na nim leżał. Jest jeszcze ciepłe.

Tragicznie oblewa egzamin, a tym samym nie sprawdza się publicznie, ale teraz już go to nie obchodzi. Zupełnie jakby dostał wyrok w zawieszeniu. Teraz wszystko będzie dobrze, zajmą się nim. Za drzwiami, tymi samymi, przez które wszedł, jest zielony trawnik, a za nim płynie strumień. Dźwięk płynącej wody jest bardzo kojący. Simon szybko wciąga powietrze, czuje zapach truskawek i dotyk czyjejś ręki na swym ramieniu.

Budzi się, albo śni mu się, że się budzi. Wie, że nadal śpi, bo nad nim w ciemności pochyla się Grace Marks, jej rozpuszczone włosy muskają mu twarz. Nie jest zdziwiony, nie pyta, jak jej się udało wydostać z więziennej celi. Pociąga ją na siebie – Grace ma na sobie tylko nocną koszulę – przewraca na plecy i wchodzi w nią z jękiem pożądania i bez żadnych ceregieli, gdyż w snach wszystko jest dozwolone. Kręgosłup wygina mu się jak ryba na haczyku. Simon z trudem łapie powietrze.

Dopiero wtedy uświadamia sobie, że wcale nie śni, że ta kobieta nie jest ze snu. Jest tu naprawdę, cieleśnie, leży nieruchomo koło niego w nagle zbyt spokojnym łóżku, z rękami wyciągniętymi wzdłuż ciała jak u drewnianej lalki. Ale to nie Grace Marks. Nie sposób teraz nie rozpoznać jej kościstości, ptasiej klatki piersiowej, zapachu przypalonego płótna, kamfory i fiołków, opiumowego smaku ust. To jego szczupła gospodyni, której imienia nawet nie zna. Kiedy w nią wszedł, nie wydała żadnego dźwięku, ani protestu, ani rozkoszy. Czy ona w ogóle oddycha?

Lękliwie całuje ją znowu, potem jeszcze raz, leciutko. To zamiast zmierzenia pulsu. Szuka żyły na szyi. Pulsuje. Jej skóra jest ciepła, nieco lepka, jak syrop. Włosy za uszami pachną pszczelim woskiem.

A więc nie jest martwa.

„Och, nie – myśli Simon. – I co teraz? Co ja zrobiłem?”.

Doktor Jordan wyjechał do Toronto. Nie wiem, ile czasu go nie będzie, mam nadzieję, że niezbyt długo, bo zdążyłam już się do niego przyzwyczaić i boję się, że kiedy wyjedzie na dobre, a to nastąpi prędzej czy później, w moim sercu zapanuje pełna smutku pustka.

Co mam mu powiedzieć, kiedy wróci? Będzie chciał się dowiedzieć o aresztowaniu, procesie i o tym, co mówiono. Trochę mi się to wszystko pomieszało, ale zdołam coś dla niego wygrzebać z pamięci, jakieś skrawki materiału, że tak powiem, jak wtedy, gdy się grzebie w torbie ze szmatami, szukając czegoś dla ożywienia koloru.

Mogłabym powiedzieć tak:

Cóż, proszę pana, najpierw aresztowali mnie, a potem Jamesa. Spał jeszcze, a kiedy go obudzili, od razu starał się zrzucić całą winę na Nancy.

– Kiedy ją znajdziecie, sami się przekonacie – powiedział. – To wszystko jej wina.

Pomyślałam, że to głupota z jego strony, bo chociaż jeszcze jej nie znaleźli, to wkrótce powinni – chociażby po zapachu. I rzeczywiście tak się stało, następnego dnia. James próbował udawać, że nie wie, gdzie ona jest, a nawet, że nie żyje, ale powinien był ugryźć się w język.

Kiedy nas aresztowali, było jeszcze wcześniej rano. Z wielkim pośpiechem wyprowadzili nas z gospody w Lewiston. Pewnie się bali, że tutejsi bywalcy mogliby ich zatrzymać i ściągnąć tłum, który by nas uwolnił, gdyby McDermott zaczął krzyczeć, że jest rewolucjonistą albo republikaninem, czy coś w tym rodzaju, że ma swoje prawa i precz z Brytyjczykami. Wtedy bowiem ludzie wciąż jeszcze gorąco popierali pana Williama Lyona Mackenzie i powstanie, a w Stanach byli tacy, którzy chcieli najechać na Kanadę. Ludzie, którzy nas aresztowali, nie mieli żadnej realnej władzy. McDermott był jednak za bardzo wystraszony, żeby zaprotestować, a może stracił przytomność umysłu. Kiedy nas zawieźli na posterunek graniczny, powiedzieli, że jesteśmy poszukiwani w związku z podejrzeniem o morderstwo, i pozwolono nam jechać dalej, nie robiąc trudności.

Byłam bardzo przygnębiona, gdy płynęliśmy z powrotem przez Jezioro, chociaż pogoda była bardzo ładna, a fale niezbyt wielkie. Pocieszałam się jednak myślą, że sprawiedliwość nie pozwoli, żeby mnie powieszono za coś, czego nie zrobiłam, i że muszę tylko powiedzieć, jak było naprawdę – na tyle, na ile pamiętam. Co zaś się tyczy szans McDermotta, to nie oceniałam ich zbyt wysoko. Cały czas wszystkiemu zaprzeczał, twierdząc, że mamy przy sobie rzeczy pana Kinneara tylko dlatego, że Nancy nie chciała nam zapłacić za pracę, więc musieliśmy zapłacić sobie sami. Mówił, że pana Kinneara pewnie zabił jakiś włóczęga i że w okolicy kręcił się jakiś podejrzany mężczyzna, który twierdził, że jest domokrażcą i sprzedał mu parę koszul. Powinni więc ścigać jego, a nie takiego uczciwego człowieka jak on, którego jedynym przestępstwem było to, że pragnął

lepszego życia poprzez ciężką pracę na emigracji. Niewątpliwie potrafił kłamać, ale niezbyt dobrze. Nie uwierzono mu, więc równie dobrze mógłby w ogóle nie otwierać ust. Pomyślałam, że postępuje podle, próbując zrzucić winę na mojego starego przyjaciela Jeremiasza, który – o ile wiem – nigdy w życiu nie zrobiłby czegoś takiego.

Osadzono nas w więzieniu w Toronto i zamknięto w celach, jak zwierzęta w klatce, ale na tyle daleko od siebie, żebyśmy nie mogli rozmawiać. Potem przesłuchiwali nas pojedynczo. Zadawali mi mnóstwo pytań. Byłam przestraszona i nie za bardzo wiedziałam, co powinnam mówić. Wtedy jeszcze nie miałam obrońcy, gdyż pan MacKenzie zajął się sprawą dopiero później. Poprosiłam o moją skrzynię, nad którą tak się rozwodzili w gazetach, szydząc ze mnie, ponieważ mówiłam o niej, jakby była moja, a nie miałam własnych ubrań, o których mogłabym tak mówić, ale chociaż skrzynia i ubrania faktycznie należały do Nancy, to teraz już nie były jej, bo zmarli nie potrzebują takich rzeczy.

Zarzucili mi również to, że początkowo byłam spokojna i w dobrym nastroju, że miałam wypoczęte i jasne oczy, co wzięli za przebiegłość, ale gdybym szlochała i płakała, powiedzieliby, że to dowodzi mojej winy – bo już postanowili, że jestem winna, a kiedy ludzie raz wbiją sobie do głowy, że popełniłeś przestępstwo, to potem wszystko, co zrobisz, tylko to potwierdza. Myślę, że za każdym razem, kiedy wytarłabym nos, opisaliby to w gazetach i opatrzyli złośliwym komentarzem, używając górnolotnych określeń. Wtedy to nazwali mnie kochanką McDermotta, a także jego współniczką. Napisali też, że z pewnością pomagałam udusić Nancy, bo jedna osoba nie dałaby rady. Dziennikarze lubią wierzyć w najgorsze; dzięki temu mogą sprzedać więcej gazet, jak mi kiedyś powiedział jeden z nich, gdyż nawet zacni i szanowani ludzie uwielbiają czytać o złych postępkach innych.

Potem, proszę pana, było przesłuchanie, które odbyło się tuż po tym, jak nas przywieźli z powrotem do kraju. Miało ono ustalić, jak zginęła Nancy i pan Kinnear – czy to był wypadek, czy też morderstwo – i w tym celu musiałam być przesłuchana w sądzie. Teraz byłam już śmiertelnie przerażona, gdyż czułam, że wszyscy są do mnie wrogo nastawieni. Strażnicy w Toronto, którzy przynosili mi jedzenie, robili sobie okrutne żarty i mówili, że mają nadzieję, że kiedy mnie powieszą, szubienica będzie wysoka, bo chcieliby sobie obejrzeć moje kostki. Jeden z nich próbował się do mnie przystawiać i powiedział, że powinnam póki czas skorzystać z okazji, bo tam, dokąd pójdę, nie znajdę sobie takiego wspaniałego kochanka jak on. Kazałam mu zatrzymać swoje brudne myśli dla siebie i wtedy doszłoby do czegoś jeszcze gorszego, gdyby nie to, że przyszedł drugi strażnik i powiedział, że jeszcze nie zostałam osądzona i skazana, więc jeżeli ceni sobie swoją posadę, to powinien trzymać się z dala ode mnie. Co też uczynił.

Opowiem o tym doktorowi Jordanowi, bo on lubi słuchać o takich rzeczach i zawsze je zapisuje.

Cóż, proszę pana, będę mówić dalej – nadszedł dzień przesłuchania. Zadbałam o to,

żeby wyglądać czysto i schludnie, bo pamiętałam, jak bardzo liczył się wygląd, kiedy się ubiegałam o nową posadę. Zawsze wtedy sprawdzali mi mankiety, żeby się przekonać, czy się myję. W gazetach napisali, że byłam przyzwoicie ubrana.

Przesłuchanie odbyło się w miejskim ratuszu, w obecności wielu urzędników, a wszyscy gapili się na mnie, marszcząc brwi. W sali zgromadził się ogromny tłum, a ludzie z prasy przepychali się, żeby zająć jak najlepsze miejsca i dobrze mnie słyszeć i widzieć. Wiele razy byli napominani za zakłócanie porządku. Nie mam pojęcia, w jaki sposób tyle ludzi weszło do sali, która aż pękała w szwach, a wciąż nowi próbowali wepchnąć się do środka.

Usiłowałam opanować drżenie i stawić czoło temu, co mnie czekało, z taką odwagą, na jaką było mnie stać, która, prawdę mówiąc, w tym czasie nie była już zbyt wielka. Był tam też McDermott, pewny siebie jak zwykle. Widziałam go wtedy po raz pierwszy, odkąd nas zaaresztowali. Gazety pisały, że „okazywał zawziętość i zuchowaty upór”; zdaje się, że tak to ujęli. Ale on zawsze tak się zachowywał, nawet przy śniadaniu.

Zaczęli od wypytywania mnie o morderstwa i zapędzili w ślepy zaułek, bo wie pan, proszę pana, nie pamiętałam dobrze wydarzeń tego strasznego dnia. Miałam wrażenie, że w ogóle w nich nie uczestniczyłam i że przez większość czasu leżałam nieprzytomna. Wiedziałam jednak, że jeżeli tak powiem, to mnie wyśmieją, gdyż rzeźnik Jefferson zeznał, że mnie widział i rozmawiał ze mną, a ja mu powiedziałam, że nie potrzebujemy świeżego mięsa, z czego zrobili potem żart o ciałach w piwnicy, w tym wierszu o powieszeniu McDermotta. Uznałam, że to bardzo ordynarne, pospolite i pozbawione szacunku tak wyszydzać śmiertelną walkę bliźniego.

Powiedziałam więc, że po raz ostatni widziałam Nancy w porze obiadu, kiedy wyjrzałam przez kuchenne drzwi i zobaczyłam, jak zbiera do kurnika młode kaczki. Potem McDermott mi powiedział, że Nancy weszła do domu, a kiedy odparłam, że jej tam nie ma, burknął, że bym pilnowała własnego nosa. Potem stwierdził, że poszła do pani Wright. Powiedziałam im, że nabrałam podejrzeń i kilka razy pytałam o nią McDermotta, kiedy jechaliśmy do Stanów, na co on mówił, że z Nancy wszystko w porządku. Nie wiedziałam o jej śmierci, dopóki nie znaleziono Nancy w poniedziałek rano.

Potem zeznałam, że słyszałam strzał i zobaczyłam ciało pana Kinneara na podłodze. Zaczęłam rzucać się i krzyczeć, i wtedy McDermott wystrzelił do mnie, a ja zemdlalam i upadłam. To pamiętałam. I rzeczywiście – znaleźli kulę ze strzelby we framudze drzwi letniej kuchni, co udowodniło, że nie kłamałam.

Termin rozprawy wyznaczono dopiero w listopadzie, więc trzy długie miesiące spędziłam w więzieniu w Toronto, które było gorsze od tego więzienia, gdyż byłam tam sama w celi i przychodziło do mnie mnóstwo ludzi – pod takim czy innym pretekstem, a naprawdę po to, żeby się na mnie pogapić. Byłam wtedy w żalonym stanie.

Na zewnątrz zmieniały się pory roku, ale ja widziałam tylko zmianę w świetle, które wpadało przez małe, zakratowane okienko, umieszczone zbyt wysoko, bym mogła przez nie wyjrzeć; czułam też przynoszone przez powietrze zapachy, których mi brakowało. W sierpniu był to zapach świeżo skoszonego siana, potem zapach

dojrzewających winogron i brzoskwiń, we wrześniu zapach jabłek, a w październiku zapach opadłych liści i pierwsza zapowiedź mrozu. Nie miałam nic do roboty poza siedzeniem w celi i martwieniem się, co się stanie i czy rzeczywiście mnie powieszają, jak powtarzali mi co dzień strażnicy. Muszę przyznać, że radowało mnie każde słowo o śmierci i zagładzie, które padało z ich ust. Nie wiem, czy pan to zauważył, ale są tacy ludzie, którym sprawia przyjemność nieszczęście bliźniego, zwłaszcza takiego, który popełnił grzech, co dodaje smaku. Ale któż z nas nie zgrzeszył? – jak powiada Biblia. Ja bym się wstydziła tak się cieszyć z cierpienia innych.

W październiku przydzielili mi adwokata, którym był pan MacKenzie. Nie był zbyt przystojny i miał nos jak butelka. Uważałam, że jest zbyt młody i niedoświadczony, gdyż była to jego pierwsza sprawa. Niekiedy, jak na mój gust, zachowywał się zbyt poufale, gdy życzył sobie, żeby nas zamykano samych w mojej celi, i usiłował mnie pocieszyć, często klepiąc po ręce. Mimo wszystko cieszyłam się, że ktoś do mnie przychodzi, wstawia się za mną i próbuje przedstawić sprawy w jak najlepszym świetle, więc nic nie mówiłam, tylko się uśmiechałam i okazywałam wdzięczność. Chciał, żebym opowiedziała swą historię w możliwie spójny sposób, ale często mnie oskarżał o to, że mówię chaotycznie, i złościł się na mnie. W końcu powiedział, że powinnam opowiadać tę historię nie tak, jak ją pamiętam, bo nikt by nic z tego nie zrozumiał, ale tak, by trzymała się kupy i brzmiała wiarygodnie. Miałam pominąć te chwile, których nie pamiętałam, a zwłaszcza pominąć fakt, że ich nie pamiętam, i mówić to, co mogło prawdopodobnie się zdarzyć, a nie to, co byłam w stanie sobie przypomnieć. I tak też próbowałam zrobić.

Spędzałam dużo czasu w samotności i całymi godzinami rozmyślałam o moim przyszłym losie: o tym, jak to by było, gdybym została powieszona, jak długa i samotna jest droga śmierci, którą musiałabym odbyć, i co mnie czeka na jej końcu. Modliłam się do Boga, ale nie dostałam żadnej odpowiedzi. Pocieszałam się myślą, że to jego milczenie musi coś oznaczać. Próbowałam sobie przemyśleć wszystkie swoje złe uczynki, by wzbudzić w sobie skruchę. Myślałam o tym, że wybrałam gorsze prześcieradło dla matki i że nie czuwałam przy Mary Whitney, kiedy umierała. A kiedy mnie będą grzebać, być może wcale nie zostaną owinięta w prześcieradło, tylko pokrojona na kawałki, jak to podobno robią doktorzy z wisielcami. I tego obawiałam się najbardziej.

Potem próbowałam się pocieszyć, przypominając sobie różne chwile z przeszłości. Przypominałam sobie Mary Whitney, jak planowała swoje małżeństwo i życie na farmie, jak nic z tego nie wyszło i jak umarła w boleściach, a potem ostatni dzień października, jak obierałyśmy jabłka i jak powiedziała, że trzykrotnie przekroczę wodę, a potem wyjdę za mężczyznę, którego imię zaczyna się na „J”. Wszystko to teraz wydawało mi się dziecinną zabawą i już przestałam w to wierzyć. „Och, Mary – myślałam. – Tak bardzo chciałabym być teraz z tobą w zimnym pokoiku u pani Parkinson, w którym stała poobijana miska i tylko jedno krzesło, a nie tutaj, w tej ciemnej celi, z groźbą śmierci wiszącą nade mną”. Chwilami wydawało mi się, że czuję lekką ulgę, a raz usłyszałam jej śmiech. Ale często człowiek tylko sobie wyobraża takie rzeczy, kiedy długo przebywa w samotności.

W tym czasie po raz pierwszy zaczęły rosnąć czerwone peonie.

Kiedy ostatnio widziałam się z doktorem Jordanem, spytał, czy przypominam sobie panią Susanę Moodie, która kiedyś odwiedziła mnie w więzieniu. Było to przed siedmioma laty, krótko przed tym, jak mnie umieścili w domu dla obłąkanych. Powiedziałam, że ją pamiętam. Spytał, co o niej myślę, a ja odparłam, że wyglądała jak żuk.

– Jak żuk? – spytał doktor Jordan. Widziałam, że jest zdumiony.

– Tak, jak żuk, proszę pana. Okrągły, tłusty i czarny, pomykający szybko i z czarnymi błyszczącymi oczami. Nie chciałam jej obrazić, proszę pana – dodałam, gdyż zaśmiał się tym swoim urywanym śmiechem. – Po prostu moim zdaniem tak wyglądała.

– A czy pamiętasz, jak cię odwiedziła, krótko potem, w domu dla obłąkanych?

– Niezbyt dobrze, proszę pana – powiedziałam. – Ale miałam tam wielu gości.

– Mówiła, że wrzeszczałaś i rzucałaś się na wszystkie strony. Zamknięto cię na oddziale dla agresywnych pacjentów.

– Możliwe, proszę pana. Nie przypominam sobie, żebym zachowywała się agresywnie wobec innych, jeżeli oni wcześniej nie zachowali się tak wobec mnie.

– Zdaje się, że również śpiewałaś.

– Lubię śpiewać – odparłam krótko, gdyż nie podobały mi się jego pytania. – Piękny hymn albo ballada bardzo podnoszą na duchu.

– Czy powiedziałaś Kennethowi MacKenzie, że cię wszędzie śledzą oczy Nancy Montgomery?

– Czytałam, co o tym napisała pani Moodie. Nie chcę nikogo nazywać kłamcą, ale pan MacKenzie przeinaczył moje słowa.

– A jak było naprawdę?

– Powiedziałam, że były to czerwone plamy, proszę pana. To prawda. Wyglądały jak czerwone plamy.

– A potem?

– A potem, kiedy mnie przycisnął do muru, powiedziałam, co mi przypominały. Ale nie twierdziłam, że były to oczy.

– Tak? Mów dalej – rzekł doktor Jordan, usiłując zachować spokój. Pochylił się do przodu, jakby spodziewał się, że mu wyjawię jakąś wielką tajemnicę. Ale to nie była żadna tajemnica. Wyjaśniłabym mu to wcześniej, gdyby mnie spytał.

– Nie powiedziałam, że to były oczy, tylko peonie, proszę pana. Ale pan MacKenzie zawsze wolał słuchać własnego głosu. To chyba nie jest normalne, kiedy człowiekowi się wydaje, że go śledzą czyjeś oczy. A już na pewno nie jest normalne, biorąc pod uwagę okoliczności, jeśli pan wie, o co mi chodzi, proszę pana. Domyślałam się, że dlatego właśnie pan MacKenzie się przesłyszał i dlatego pani Moodie tak napisała. Chcieli, żeby wszystko było jak należy. Ale to były peonie. Czerwone. Na pewno się nie mylę.

– Rozumiem – powiedział doktor Jordan. Mimo to wyglądał na tak samo zdziwionego jak zwykle.

Następnie chciał się dowiedzieć o procesie. Zaczął się trzeciego listopada. Do sali sądowej wepchnęło się tyle ludzi, że aż się zapadła podłoga. Kiedy mnie umieszczono na ławie oskarżonych, początkowo musiałam stać, ale potem przyniesiono mi krzesło. W sali było bardzo duszno i rozlegał się szmer głosów, jak bzyczenie pszczoł. Zeznawało wiele osób: niektórzy na moją korzyść, zaświadczać, że nigdy przedtem nie łamałam prawa, że byłam dobrą pracownicą i miałam dobry charakter, a inni świadczyli przeciwko mnie – tych było więcej. Szukałam wzrokiem domokrażcy Jeremiasza, ale nie było go tam. On przynajmniej zrozumiałby moje położenie i próbowałby mi pomóc wybrnąć z tego wszystkiego, gdyż zawsze twierdził, że łączy nas braterstwo dusz. Tak w każdym razie wierzyłam.

Przyprowadzili Jamiego Walsha. Miałam nadzieję, że okaże mi trochę współczucia, on jednak spojrział na mnie z takim potępieniem i pełnym żalości gniewem, że zrozumiałam, jakie ma do mnie nastawienie. Czuł się zdradzony, bo uciekłam z McDermottem, i z anioła, którym byłam w jego oczach i którego mógł idealizować i czcić, przekształciłam się w demona, więc ze wszystkich sił chciał mnie zniszczyć. Serce we mnie zamarło, gdyż ze wszystkich osób, które znałam w Richmond Hill, na niego liczyłam najbardziej. Wyglądał tak młodo i świeżo, tak nieskażenie i niewinnie, że serce przeszył mi ból, bo ceniłam jego dobre zdanie o mnie i było mi żal je utracić.

Wstał, by zeznawać, i złożył przysięgę. Sposób, w jaki przysięgał na Biblię, bardzo uroczyście, ale gniewnym głosem, nie wróżył mi nic dobrego. Opowiedział o przyjęciu w wieczór poprzedzający tragedię, o tym, jak grał na fujarce, jak McDermott nie chciał tańczyć, a potem odprowadził go pół drogi do domu. Mówił, że Nancy żyła, kiedy od nas wychodził, i że poszła do siebie na górę. Potem powiedział, że przyszedł następnego dnia po południu i zobaczył McDermotta z dwururką, z której jak twierdził, strzelał do ptaków. Zeznał, że stałam przy pompie z założonymi rękami i miałam na sobie białe bawełniane pończochy. Kiedy mnie spytał, gdzie jest Nancy, roześmiałam się przekornie, mówiąc, że on zawsze chce o wszystkim wiedzieć i że Nancy wybrała się do Wrightów, gdzie ktoś się rozchorował, i że przyszedł po nią jakiś mężczyzna.

Nic z tego nie pamiętam, proszę pana, ale Jamie Walsh złożył zeznanie w sposób jasny i prosty, więc trudno mu było nie uwierzyć.

Potem jednak zawładnęły nim emocje, wskazał na mnie i powiedział:

– Ona ma na sobie suknię Nancy, a wstążki pod czepkiem też należą do Nancy, a także pelerynka i parasolka.

Na te słowa podniósł się na sali wielki krzyk, zupełnie jakby nastąpił dzień Sądu Ostatecznego. Wiedziałam już, że zostałam potępiona.

Kiedy przyszła moja kolej, powiedziałam to, co pan Mac-Kenzie kazał mi mówić. Miałam zamęt w głowie, usiłując sobie przypomnieć właściwe odpowiedzi. Naciskano mnie, bym powiedziała, dlaczego nie ostrzegłam Nancy i pana Kinneara, kiedy się dowiedziałam o zamiarach Jamesa McDermotta. Pan MacKenzie odrzekł, że zrobiłam to z lęku o własne życie, i pomimo swojego wielkiego nosa był bardzo elokwentny. Powiedział, że byłam zaledwie dzieckiem, do tego pozbawionym matki, biedną sierotą zdaną na siebie, której nie miał kto wychować, że od wczesnej młodości musiałam ciężko pracować na chleb, że byłam nieświadoma i niewykształcona, niepiśmienna i niewiele

mądrzejsza od półgłówka, bardzo uległa i podatna na wpływy i łatwo było mną kierować.

Ale wbrew wszystkiemu, co powiedział, sprawy przybrały zły obrót. Przysięgli orzekli, że jestem winna morderstwa, jako pomocnik działający przed dokonaniem przestępstwa, jak również usuwający jego ślady, a sędzia wydał na mnie wyrok śmierci. Kazano mi wstać na czas ogłoszenia wyroku, a kiedy usłyszałam: „Śmierć”, zemdlałam i upadłam na barierkę zrobioną z ostrych kołków, ogradzającą ławę oskarżonych. Jedno z ostrzy wbiło mi się w pierś, tuż koło serca.

Mogłabym pokazać mu bliznę.

Simon postanowił pojechać porannym pociągiem do Toronto. Podróżuje drugą klasą; ostatnio wydał dużo pieniędzy i czuje, że powinien oszczędzać.

Niecierpliwie wyczekuje spotkania z Kennethem McKenzie. Dzięki niemu może odkryć jakieś szczegóły, coś, o czym Grace nie wspomniała – czy to dlatego, że mogło to ją ukazać w złym świetle, czy też dlatego, że po prostu o tym zapomniała. Umysł – rozmyśla Simon – jest jak dom – myśli, których właściciel nie chce ujawnić lub te wywołujące bolesne wspomnienia, usuwane są z pamięci i wynoszone na strych albo do piwnicy. W zapominaniu, tak samo jak w sprzedaży uszkodzonych mebli, niewątpliwie istnieje element woli.

Wola Grace jest bardzo kobieca – Grace może zaprzeczać faktom lub je odrzucać o wiele łatwiej, niż potrafi je uznać czy zaakceptować. Gdzieś wewnątrz – Simon widział, choć tylko przez chwilę, to świadome, a nawet przebiegłe spojrzenie kątem oka – Grace wie, że coś przed nim ukrywa. Kiedy tak szyje, na pozór spokojna jak Madonna z marmuru, jednocześnie napiera na niego, wykorzystując całą swą bierną, choć nieustępliwą siłę. Więzienie nie tylko zamyka wewnątrz swych mieszkańców, ale też trzyma wszystkich innych z daleka od niego. Najpotężniejszym więzieniem Grace jest jej własna psychika.

Niekiedy ma ochotę uderzyć ją w twarz. To pragnienie jest niemal przemożne. Wtedy jednak ona złapałaby go w pułapkę i miałyby powód, żeby mu się opierać. Posłałaby mu spojrzenie zranionej łani, jakie wszystkie kobiety mają w zanadrzu na taką okazję. Rozplakałaby się.

A jednak Simon nie ma wrażenia, że Grace nie lubi tych rozmów. Wręcz przeciwnie – wyczekuje ich, a nawet się z nich cieszy – tak jak ktoś mógłby cieszyć się jakąś grą, w której zwycięża – myśli posępnie Simon. Emocją, którą wyraża wobec niego najbardziej otwarcie, choć powściągliwie, jest wdzięczność.

Zaczyna nienawidzić wdzięczności kobiet. To zupełnie tak, jakby łąsiły się do ciebie króliki albo ktoś polał cię syropem, którego nie sposób zmyć. Oblepia cię całego i stawia w niekorzystnej sytuacji. Za każdym razem, kiedy jakaś kobieta okazuje mu wdzięczność, Simon czuje się, jakby brał zimną kąpiel. Ich wdzięczność nie jest prawdziwa; w rzeczywistości bowiem uważają, że to on powinien być im wdzięczny. W skrytości pogardzają nim. Ze wstydem i czymś w rodzaju odrazy do samego siebie przypomina sobie dziecinną protekcyjność, jaką okazywał, płacąc jakiejś nieszczęsnej ulicznicy – błagalne spojrzenie jej oczu, podczas gdy jego rozpierało poczucie wielkości i hojności – zupełnie jakby to on miał wyświadczyć jej przysługę, a nie ona jemu. Jakąż pogardę musiały skrywać pod swoimi podziękowaniami i uśmiechami!

Rozlega się gwizd; szary dym bucha za oknem. Po lewej stronie, za płaskimi polami, znajduje się płaska równina, usiana dołkami jak cynowy dzban. Tu i ówdzie drewniana chatka, pranie łopoczące na sznurach, gruba matka, która niewątpliwie przeklina dym, a przy torach gromadka gapiących się dzieci. Świeżo ścięte drzewa, potem

stare pieńki, dymiące ognisko. Co jakiś czas większy dom z czerwonej cegły albo oszalowany na biało. Silnik dudni jak żelazne serce, drzewa nieubłaganie mkną na zachód.

Z dala od Kingston, z dala od pani Humphrey. Od Rachel, jak ją teraz zaczął nazywać. Im więcej mil go dzieli od Rachel Humphrey, tym lżej mu na sercu. Za bardzo się zaangażował w tę sprawę. Brnie do przodu – na myśl przychodzą mu ruchome piaski – ale nie wie, jak się z tego wyplątać, jeszcze nie. Kochanka – bo tym się stała, i to prędzej, niżby mógł przypuścić! – to jeszcze gorzej niż żona. Odpowiedzialność jest większa, a sytuacja bardziej skomplikowana.

Za pierwszym razem był to wypadek: został zaatakowany we śnie. Natura wzięła górę, zachodząc go zniemacka, gdy leżał otumaniony, pozbawiony dziennej zbroi. Jego własne sny obróciły się przeciwko niemu. To samo twierdzi o sobie Rachel: mówi, że chodziła we śnie. Wydawało jej się, że jest na dworze, w świetle słońca, i zbiera kwiaty, ale w jakiś dziwny sposób znalazła się w jego pokoju, w jego ramionach, a potem było już za późno, zatraciła się. „Zatracić się” to zwrot, którego często używa. Zawsze miała wrażliwą naturę i nawet jako dziecko często ulegała somnambulizmowi. Na noc zamykano ją w jej pokoju, by nie spacerowała w świetle księżyca. Ani przez chwilę nie uwierzył w tę jej opowieść, lecz przypuszcza, że dla takiej dystygowanej damy z jej klasy to jedyny sposób na zachowanie twarzy. Simon nawet nie śmie przypuszczać, co naprawdę chodziło jej wtedy po głowie i o czym myśli teraz.

Od tamtej pory niemal co noc przychodzi do jego pokoju w nocnej koszuli i zarzuconym na nią peniuarze z falbankami. Wstążki przy szyi rozwiązane, guziki rozpięte. Przynosi ze sobą jedną jedyną świecę: w mroku wygląda młodo. Jej zielone oczy błyszczą, długie włosy opadają na ramiona niczym lśniący woal.

A jeżeli Simon zostaje do późna poza domem, spacerując nad rzeką w chłodnym powietrzu, na co ostatnio coraz częściej ma ochotę, pani Humphrey czeka do jego powrotu. Jego pierwszą reakcją jest znudzenie: trzeba odbyć rytualny taniec, a ten go nuży. Spotkanie rozpoczyna się od łez, drżenia i oporu: pani Humphrey szlocha, czyni sobie wyrzuty, mówi, że jest kobietą zrujnowaną, zhańbioną i potępioną duszą. Nigdy przedtem nie była niczyją kochanką, nigdy nie upadła tak nisko, nie oddała się takiej rozpuszcie. Jeżeli jej mąż to odkryje, co się z nią stanie? Wina zawsze spada na kobietę.

Simon przez jakiś czas pozwala jej na to, potem ją pociesza i bardzo niejasnymi słowami zapewnia, że wszystko będzie dobrze. Mówi, że po tym, co się nieodwracalnie stało, wcale nie zmienił o niej zdania. Potem dodaje, że nikt nie musi o tym wiedzieć, pod warunkiem że zachowają dyskrecję. Muszą bardzo uważać, żeby nigdy się nie zdradzić słowem czy spojrzeniem – zwłaszcza przed Dorą, bo Rachel z pewnością wie, jak plotkują służące – co jest niezbędnym środkiem ostrożności, zapewniającym bezpieczeństwo nie tylko jej, ale również jemu. Już sobie wyobraża, co by na to powiedział wielebny Verringer.

Pani Humphrey wybucha jeszcze większym płaczem na myśl o tym, że ktoś mógłby to odkryć; aż cała dygocze z poniżenia. Simon przypuszcza, że ostatnio nie bierze już laudanum, a przynajmniej nie aż tak dużo – inaczej tak by się nie rozklejała. Jej

zachowanie nie byłoby tak naganne, gdyby była wdową – mówi. Gdyby major nie żył, nie złamałaby ślubów małżeńskich, ale w takiej sytuacji... Simon tłumaczy jej, że major traktował ją haniebnie, że to łotr, kawał drania, pies, i zasługuje z jej strony na jeszcze coś gorszego. Zachowuje przezorność: nie zaproponował małżeństwa, na wypadek gdyby major nieoczekiwanie i przypadkowo spadł z urwiska i złamał kark. W głębi ducha życzy mu długiego i zdrowego życia.

Ociera pani Humphrey oczy jej własną chusteczką – zawsze czystą, świeżo wyprasowaną, pachnącą fiołkami i poręcznie wetkniętą za mankiet. Pani Humphrey otacza go ramionami, przyciska mocno do siebie. Simon czuje jej piersi, biodra, całe ciało. Ona ma zdumiewająco wąską talię. Jej usta muskają mu szyję. Potem, skonsternowana własnym zachowaniem, odsuwa się z nimfowatą nieśmiałością i odrywa od niego z zamiarem ucieczki, on jednak już nie jest znudzony.

Rachel nie przypomina żadnej kobiety, którą do tej pory spotkał. Przede wszystkim jest to kobieta godna szacunku – pierwsza, jaką miał, a ta cecha u kobiety, jak już zdążył odkryć, poważnie komplikuje sprawy. Kobiety godne szacunku z natury są seksualnie zimne, nie mają perwersyjnych żądz i neurastenicznych tęsknot, które popychają ich zwyrodniałe siostry ku prostytutce – tak przynajmniej twierdzi nauka. Jego własne badania doprowadziły go do wniosku, że prostytutki bardziej kierują się ubóstwem niż zepsuciem, lecz mimo to muszą zachowywać się tak, jak sobie życzą ich klienci. Kurwa musi udawać pożądanie, a potem rozkosz – czy je czuje, czy też nie. Za to udawanie jej płacą. Tania kurwa jest tania nie dlatego, że jest brzydka lub stara, ale dlatego, że jest złą aktorką.

Jednak z Rachel wszystko jest dokładnie na odwrót. Ona udaje odrazę – jej rola to opór, on zaś ma go przełamać. Chce być uwiedziona, a potem wzięta wbrew własnej woli. W chwili szczytowania – któremu usiłuje nadać pozory bólu – zawsze mówi „nie”.

Ponadto, na przemian wzbraniając się i błagalnie przywierając do niego, daje mu do zrozumienia, że oddaje mu swoje ciało w formie zapłaty – co jest mu winna za pieniądze, które na nią wydał, jak w jakimś przejaskrawionym melodramacie przedstawiającym złych bankierów i cnotliwe, acz pozbawione grosza dziewice. Inna jej gra polega na tym, że udaje uwięzioną, zdaną na jego łaskę, jak w tych obscenicznych powieściach dostępnych na obskurnych straganach Paryża, opisujących sułtanów podkreślających węża i drżące ze strachu niewolnice. Srebrzyste draperie, skute łańcuchem kostki. Piersi jak arbuzy. Oczy gazeli. Fakt, że takie opisy są banalne, nie odbiera im ich siły.

Jakie idiotyzmy wygadywał podczas tych rozpustnych nocy? Ledwie pamięta. Słowa namiętności i gorącej miłości, wyznania, że nie może się jej oprzeć, w co – o dziwo – właściwie w takich chwilach wierzy. W ciągu dnia Rachel jest dla niego ciężarem, zawalidrogą i chciałby się jej pozbyć, ale w nocy to zupełnie inna osoba – podobnie jak on. On także mówi „nie”, mając na myśli „tak”. Ma na myśli coś więcej, chciałby posunąć się dalej, głębiej. Miałby ochotę zrobić w niej nacięcie – takie niewielkie – by posmakować jej krwi, co w mroku sypialni wydaje się normalnym pragnieniem. Popycha go jakieś niekontrolowane pożądanie, ale poza tym, w takich chwilach, kiedy prześcieradła przewalają się niczym fale, a on rzuca się, tarza i sapie, jakaś część niego stoi obok z założonymi rękami, całkowicie ubrana, i obserwuje to wszystko ze spokojem,

z czystej ciekawości. Jak daleko się posunie? Jak głęboko zabrnije?

Pociąg wjeżdża na stację w Toronto i Simon usiłuje pozbyć się tych myśli. Na peronie wynajmuje powóz i każe woźnicy jechać do wybranego hotelu. Nie najlepszego – nie chce niepotrzebnie wyrzucać pieniędzy – ale też nie do jakiejś nory, bo nie ma ochoty być pogryziony przez pchły ani okradziony. Kiedy przejeżdżają przez ulice – gorące i zakurzone, zatłoczone różnymi pojazdami, prywatnymi powozami i dorożkami – rozgląda się z zainteresowaniem. Wszystko jest tu nowe i tętniące życiem, jaskrawe i ruchliwe, wulgarnie i tchnące samozadowoleniem, przesiąknięte zapachem świeżej farby i świeżych pieniędzy. W bardzo krótkim czasie powstały tu fortuny, a jeszcze więcej powstaje. Są tu zwykłe sklepy i centra handlowe oraz zdumiewająca liczba banków. Jednakże żadna z jadłodajni nie wygląda zbyt obiecująco. Ludzie na chodnikach robią wrażenie dość zamożnych, nie ma hord obdartych żebraków, brudnych dzieci i oddziałów niechlujnie lub wyzywająco ubranych prostytutek, które szpecą obraz tyłu europejskich miast. A jednak Simon dla przekory wolałby być w Londynie lub Paryżu. Tam byłby anonimowy i nie miałby żadnych zobowiązań. Żadnych więzów, żadnych związków. Mógłby całkowicie się zatracić.

XII

Świątynia Salomona

Spojrzałem na nią ze zdumieniem. „Dobry Boże! – pomyślałem. – Czyż to może być kobieta? Ładna i z pozoru łagodna – a przy tym jeszcze dziewczyna! Jakież ona musi mieć serce!”. Równie silnie kusiło mnie, by jej powiedzieć, że jest diabłem i że nie chcę mieć do czynienia z czymś tak okropnym, ale wyglądała tak uroczo, że uległem tej pokusie...

James McDermott

opowiedziane Kennethowi MacKenzie,

w wersji przytoczonej przez Susannę Moodie,

Life in the Clearings, 1853

...albowiem losem kobiety

Jest być cierpliwą i cichą, czekać jak niemy duch,

Aż czyjeś pytanie złamie zakłęcie ciszy.

Przeto wewnętrzne życie tak wielu cierpiących kobiet

Jest mroczne, ciche i głębokie, niczym podziemna rzeka

Płynąca przez jaskinie ciemności...

Henry Wadsworth Longfellow

Miles Standish w zalotach, 1858

Kancelaria adwokacka Bradleya, Portera i MacKenziego mieści się w nowym i nieco pretensjonalnym budynku z czerwonej cegły na King Street West. W jednym z biur mizerny młodzieniec o bezbarwnych włosach siedzi przy wysokim biurku, skrobiąc piórem ze stalówką. Kiedy Simon wchodzi, urzędnik podskakuje, strzepując z pióra krople atramentu, niczym pies otrząsający się z wody.

– Pan MacKenzie oczekuje pana – mówi. Nazwisko „Mac-Kenzie” wymawia z należyty szacunkiem, jakby je umieścił w cudzysłowie. „Jest taki młody – myśli Simon. – To na pewno jego pierwsza posada”. Urzędnik prowadzi Simona przez wyłożony dywanem korytarz i puka do dębowych drzwi.

Kenneth MacKenzie jest w swoim sanktuarium. Otoczył się wypolerowanymi półkami na książki, drogo oprawionymi tomami dzieł prawniczych i trzema obrazami przedstawiającymi wyścigi konne. Na jego biurku stoi ozdobny kałamarz przywodzący na myśl bizantyjski przepych. MacKenzie wygląda inaczej, niż się tego spodziewał Simon: nie jest to heroiczny wyzwoliciel Perseusz ani Rycerz Czerwonego Krzyża. Jest niski, w kształcie gruszki, o wąskich ramionach i brzuszku wydymającym się spod kamizelki w szkocką kratę, ma dziobaty i bulwiasty nos, a za srebrnymi okularami dwoje małych, lecz spostrzegawczych oczu. Wstaje z krzesła i z uśmiechem wyciąga rękę. Jego przednie zęby przypominają siekacze borsuka. Simon próbuje sobie wyobrazić, jak ten mężczyzna musiał wyglądać szesnaście lat temu, kiedy był jeszcze młody – młodszy niż on sam teraz – ale nie udaje mu się to. Kenneth MacKenzie musiał wyglądać na człowieka w średnim wieku, nawet gdy miał pięć lat.

Oto więc człowiek, który kiedyś ocalił życie Grace Marks wbrew poważnym przeciwnościom – niezbitym dowodom, rozwścieczonej opinii publicznej i jej własnym chaotycznym i niespójnym zeznaniom. Simon jest ciekaw, jak MacKenzie tego dokonał.

– Doktorze Jordan, miło mi pana poznać.

– To bardzo uprzejmie z pana strony, że zechciał mi pan poświęcić nieco czasu – mówi Simon.

– Drobnostka. Dostałem list od wielebnego Verringera. Bardzo dobrze się o panu wyraża i opowiedział mi co nieco o pańskich badaniach. Cieszę się, że mogę coś zrobić dla nauki. Jak pan z pewnością słyszał, my, prawnicy, zawsze chętnie się popisujemy. Ale zanim przejdziemy do sprawy... – Wyjmuje karafkę, cygara. Sherry jest wyborna. Panu MacKenzie dobrze się powodzi.

– Chyba nie jest pan krewnym tego słynnego buntownika? – zagaja Simon.

– Nie, chociaż raczej wolałbym nim być. To już nie jest taka hańba jak kiedyś, już dawno mu wybaczone i teraz uważa się go za ojca reform. Wtedy jednak opinia publiczna była przeciwko niemu i samo to mogło założyć stryczek na szyję Grace Marks.

– Jak to?

– Gdyby pan przejrzał stare numery gazet, zauważyłby pan, że ci, którzy popierali pana Mackenzie i jego sprawę, jako jedyni wypowiedzieli się na korzyść Grace Marks.

Wszyscy inni byli za powieszeniem jej, także William Lyon Mackenzie, a pozostali, jak się zdaje, żywili republikańskie sentymenty.

– Ależ jej sprawa nie miała z tym żadnego związku!

– Absolutnie żadnego. W takich kwestiach nie musi być związku. Pan Kinnear był z przekonania konserwatystą, a William Lyon Mackenzie brał stronę ubogich Szkotów, Irlandczyków i generalnie imigrantów. Może mi pan uwierzyć, że na procesie dałem z siebie wszystko. Była to moja pierwsza sprawa, wie pan, mój debiut w tym fachu, dopiero co zostałem przyjęty w poczet adwokatów. Wiedziałem, że albo to będzie mój koniec, albo rozpocznę karierę, i rzeczywiście bardzo mi ona pomogła.

– W jaki sposób dostał pan tę sprawę?

– Mój drogi, po prostu mi ją przydzielono. To była śliska sprawa. Nikt jej nie chciał. Firma wzięła ją *pro bono* – oczywiście żadne z oskarżonych nie miało pieniędzy – a ponieważ ja byłem najmłodszy, dostała się mnie. I to w ostatniej chwili, miałem zaledwie miesiąc na przygotowanie się. „No, młodzieńcze – powiedział stary Bradley. – Wszyscy wiedzą, że ją przegrasz, bo nikt nie ma wątpliwości co do ich winy, ale liczyć się będzie styl, w jakim ją przegrasz. Można przegrywać z wdziękiem i bez wdzięku. Przegraj najbardziej elegancko, jak tylko potrafisz. Wszyscy będziemy trzymać za ciebie kciuki”. Stary myślał, że mi wyświadcza przysługę, i być może rzeczywiście tak było.

– Zdaje się, że bronił pan ich obojga.

– Tak. Kiedy teraz o tym myślę, było to niewłaściwe, gdyż okazało się, że ich interesy są ze sobą w konflikcie. W tym procesie wiele rzeczy było niewłaściwych, ale znajomość prawa była wtedy o wiele słabsza. – MacKenzie marszczy brwi nad swoim cygarem, które zgasło. Simona uderza fakt, że temu biedakowi właściwie nie smakują cygara, ale uważa, że powinien je palić, bo to pasuje do obrazów z wyścigami konnymi.

– A więc poznał pan naszą Milczącą Damę? – pyta MacKenzie.

– Tak ją nazywacie? Owszem. Spędziłem z nią dużo czasu, próbując ustalić...

– Czy jest niewinna?

– Czy jest szalona. A raczej była, w czasie kiedy zostały popełnione te morderstwa. Sądzę, że to by w pewnym sensie oznaczało niewinność.

– Życzę powodzenia. To coś, czego mi zawsze brakowało.

– Twierdzi, że nie pamięta tych wydarzeń, a przynajmniej zbrodni dokonanej na tej Montgomery.

– Mój drogi, zdumiałby się pan, jak częste wśród elementu przestępczego są takie luki w pamięci. Bardzo niewielu spośród nich pamięta, że w ogóle zrobiło coś złego. Zatlukają człowieka na śmierć, pokroją go na kawałki, a potem będą twierdzić, że tylko lekko go stuknęli butelką po głowie. Zapominanie w takich przypadkach jest o wiele wygodniejsze niż pamiętanie.

– Amnezja Grace wygląda na prawdziwą, a przynajmniej tak uważam na podstawie mojego wcześniejszego doświadczenia klinicznego. Z drugiej strony, choć zdaje się ona nie pamiętać samego morderstwa, to ma urywkowe wspomnienia dotyczące towarzyszących mu szczegółów – na przykład, co wtedy prała, i takie rzeczy, jak wyścig statków przed ich ucieczką przez Jezioro. Pamięta nawet ich nazwy.

– Jak pan to sprawdził? Pewnie w gazetach? – pyta Mac-Kenzie. – Nie przyszło

panu do głowy, że mogła zaczerpnąć tę wiedzę z tego samego źródła? Przestępcy mogliby czytać o sobie w nieskończoność, gdyby dano im tę szansę. Pod tym względem są tak samo próżni jak pisarze. Kiedy McDermott zapewniał, że Grace pomagała mu w duszeniu, to równie dobrze mógł wziąć ten pomysł z wychodzącej w Kingston „Chronicle and Gazette”, która jeszcze przed dochodzeniem uznała to za fakt. Twierdzili, że do zawiązania takiego węzła na szyi denatki bez wątpienia potrzebne były dwie osoby. Bzdura. Na podstawie takiego węzła nie można określić, czy zawiązała go jedna osoba, dwie czy dwadzieścia. Oczywiście poruszyłem tę kwestię na procesie.

– Teraz zmienia pan front i staje się rzecznikiem drugiej strony.

– Trzeba zawsze pamiętać o obu stronach: tylko w ten sposób można przewidzieć ruchy przeciwnika. Moja pamięć w tym przypadku nie musiała się zbytnio wysilać. Ale zrobiłem, co w mojej mocy: człowiek może bardzo się starać, jak to gdzieś zauważył Walter Scott. Na sali sądowej było tłoczno jak w piekle i pomimo listopadowej pogody równie gorąco, a powietrze cuchnęło. Mimo to niektórych świadków przesłuchiwałem przez ponad trzy godziny. Muszę przyznać, że potrzeba do tego dużo energii, ale wtedy byłem młodszy.

– O ile pamiętam, zaczął pan od tego, że aresztowanie było bezprawne.

– Tak. Marks i McDermotta zatrzymano na amerykańskiej ziemi, bez nakazu aresztowania. Wygłosiłem wspaniałą mowę o naruszeniu międzypaństwowych granic, *habeas corpus* i tym podobne, ale główny sędzia Robinson nie uznał moich argumentów.

Potem usiłowałem wykazać, że pan Kinneary był kimś w rodzaju czarnej owcy i niezbyt dobrze się prowadził, co niewątpliwie było prawdą. Był też hipochondrykiem. Żadna z tych rzeczy nie miała związku z jego śmiercią, ale wyłaziłem ze skóry, zwłaszcza mówiąc o obyczajach, bo faktem jest, że tych czworo skakało z jednego łóżka do drugiego, jak we francuskiej farsie, i trudno było nadażyć za tym, kto gdzie śpi.

Następnie przystąpiłem do zniszczenia reputacji tej nieszczęsnej Montgomery. Nie miałem wyrzutów sumienia, mieszając ją z błotem, gdyż tej biedaczce nie mogło to już zaszkodzić. Wie pan, że wcześniej miała dziecko – które umarło, dzięki litości położnej, jak przypuszczam – a podczas autopsji odkryto, że była w ciąży. Mimo że ojcem bez wątpienia był Kinneary, dołożyłem starań, żeby nakreślić obraz jakiegoś mrocznego Romea, który z zazdrości udusił tę nieszczęsną kobietę. Jednakże, choć bardzo się starałem, królik nie chciał wyskoczyć z kapelusza.

– Może nie było żadnego królika – mówi Simon.

– Bardzo słusznie. Moją następną sztuczką było hokus-pokus z koszulami. Kto miał na sobie jaką koszulę, kiedy i dlaczego? McDermott został złapany w jednej z koszul Kinneara – i co z tego? Ustaliłem fakt, że Nancy miała zwyczaj sprzedawać stare ubrania swego pana służącym – za zgodą właściciela lub bez niej, więc McDermott całkiem uczciwie mógł nabyć swą koszulę Nessosa. Niestety, ciało Kinneara było prostacko obleczone w jedną z koszul McDermotta, co stało się wielką przeszkodą. Robiłem, co mogłem, aby ją ominąć, ale prokurator powalił mnie jednym celnym ciosem.

Potem rzuciłem cień podejrzenia na domokrażcę, do którego mogła doprowadzić zakrwawiona koszula rzucona za drzwiami, bo próbował on wtrzyąć te same towary także gdzie indziej. To jednak również na nic się nie zdało, gdyż istniało zeznanie, że

domokrażca sprzedał tę właśnie koszulę McDermottowi – a raczej całe naręczce koszul – a potem okazał się tak nieusłużny, że rozpląnął się w powietrzu. Z jakiegoś powodu nie chciał pokazać się na rozprawie i nadstawić karku.

– Tchórz – skwitował Simon.

– Właśnie – powiedział ze śmiechem MacKenzie. – Co zaś się tyczy Grace, to muszę powiedzieć, że nie pomogła mi za bardzo. Nie mogłem przekonać tej idiotki, by nie wkładała na siebie najlepszych ubrań zamordowanej, na co ze zgrozą patrzyła prasa i publiczność, chociaż gdybym był sprytny, przedstawiłbym ten fakt jako dowód niewinności i czystego sumienia albo, jeszcze lepiej, szaleństwa. Wtedy jednak nie okazałem się na tyle przebiegły.

Ponadto Grace zaplątała się w zeznaniach. W chwili aresztowania mówiła, że nie wie, gdzie jest Nancy, a potem, podczas śledztwa, powiedziała, że podejrzewa, że Nancy nie żyje i leży w piwnicy, chociaż nie widziała, by ją tam wnoszono. Jednakże na rozprawie i w swym domniemanym zeznaniu – tym, które w skróconej wersji wraz z komentarzem opublikowano w „Star” – stwierdziła, że widziała, jak McDermott włókł Nancy za włosy po schodach, ale nigdy nie posunęła się tak daleko, by się przyznać, że ją udusiła.

– Jednak przyznała się panu do tego później.

– Naprawdę? Nie przypominam sobie...

– W więzieniu. Powiedziała panu, że prześladowają ją przekrwione oczy Nancy. W każdym razie tak twierdzi pani Moodie.

MacKenzie wierci się niespokojnie na swoim krześle i spuszcza wzrok.

– Grace niewątpliwie miała zmażony umysł – mówi. – Była rozkojarzona i przygnębiona.

– Ale te oczy?

– Pani Moodie, dla której żywię ogromny szacunek, ma cokolwiek konwencjonalną wyobraźnię i tendencję do przesady. Wkłada w usta swych bohaterów wzniosłe słowa, których oni sami nigdy by nie wypowiedzieli. McDermott to był skończony łotr – nawet ja, który go broniłem, z trudem zdobyłem się na to, by powiedzieć o nim choć parę dobrych słów – a Grace to niemal dziecko, i do tego niewykształcone. Co zaś się tyczy oczu, to umysł sam często podsuwa takie obrazy. Widzi się to codziennie w sądzie podczas przesłuchiwanie świadków.

– Tak więc nie było żadnych oczu?

MacKenzie znowu się niespokojnie wierci.

– Nie mógłbym przysiąc – mówi. – Grace nie powiedziała nic takiego, co w sądzie można by uznać za formalne zeznanie, choć przyznała, że żałuje, że Nancy nie żyje. Ale to każdy mógłby powiedzieć.

– Rzeczywiście – zgadza się Simon. Teraz podejrzewa, że te oczy nie były wytworem wyobraźni pani Moodie, i zastanawia się, co jeszcze z jej opisu mogło być owocem wybujalego stylu MacKenziego jako gawędziarza. – Mamy jednak również oświadczenie McDermotta, które złożył tuż przed powieszeniem.

– Tak, tak. Ostatnie słowa skazańca zawsze trafiają do gazet.

– Ciekawe, dlaczego tak długo z tym zwlekał?

– Aż do ostatniej chwili miał nadzieję na ułaskawienie, ponieważ otrzymała je Grace. Uważał, że na równi ponoszą winę i że powinni dostać taki sam wyrok. Nie mógł jej jednak oskarżyć, nie zaciskając sznura na własnej szyi, gdyż musiałby się wtedy przyznać do posłużenia się siekierą i tak dalej.

– Podczas gdy Grace mogłaby go oskarżyć o to, że usiłuje część winy zrzucić na nią.

– Właśnie. Nie cofnęła się przed tym, kiedy nadeszła odpowiednia chwila. *Sauve qui peut!* Ta kobieta ma nerwy ze stali. Gdyby była mężczyzną, mogłaby zostać dobrym prawnikiem.

– Ale McDermott nie uzyskał zawieszenia wyroku.

– Oczywiście, że nie! Szaleństwem z jego strony było tego oczekiwać. Uważał, że to również jest wina Grace – i jak przeczytałem, chciał potem zostać pomszczony.

– To całkiem zrozumiałe. O ile dobrze pamiętam, twierdził, że Grace zesłała z nim do piwnicy i udusiła Nancy własną chusteczką.

– Cóż, chusteczkę rzeczywiście znaleziono. Ale reszta nie stanowi poważnego dowodu. Ten mężczyzna opowiedział już kilka różnych historii i był na dodatek notorycznym kłamcą.

– A jednak – mówi Simon – stanę się na chwilę adwokatem diabła i powiem, że nawet jeśli ktoś jest znany z oszustwa, nie oznacza to wcale, że człowiek ten zawsze kłamie.

– W rzeczy samej – przyznaje MacKenzie. – Widzę, że fascynująca Grace wodzi pana za nos.

– Niezupełnie. Choć muszę przyznać, że jestem zdezorientowany. W tym, co mówi, jest ziarno prawdy; zachowuje się otwarcie i szczerze, a jednak nie mogę pozbyć się podejrzenia, że – choć nie mogę jej na tym przyłapać – okłamuje mnie.

– Okłamuje – mówi MacKenzie. – To z pewnością dobitne określenie. Pyta pan, czy ona pana okłamuje? Ujmę to w ten sposób: czy Szeherazada kłamała? Nie we własnym pojęciu; historii, które opowiadała, nigdy nie powinno się oceniać w kategoriach Prawdy i Kłamstwa. Należą do innego wymiaru. Być może Grace Marks po prostu opowiada panu to, co potrzebuje opowiedzieć, po to, by osiągnąć pożądany cel.

– Którym jest...

– Zabawianie sułtana. Utrzymanie zainteresowania. Odwlekanie pańskiego wyjazdu i zatrzymanie pana w jej pokoju tak długo, jak to tylko możliwe.

– A jakież, na miłość boską, miałyby to sens? Zabawiając mnie, nie wydostanie się z więzienia.

– Nie sądzę, by właśnie tego oczekiwała. Ale czyż nie jest to oczywiste? To biedne stworzenie zakochało się w panu. Kawaler, dość młody i nieobdarzony źle przez naturę, robi wrażenie na kimś, kto od długiego czasu przebywa w odosobnieniu i jest pozbawiony męskiego towarzystwa. Niewątpliwie jest pan obiektem jej marzeń.

– Z pewnością nie – zaprzecza Simon, rumieniąc się wbrew własnej woli. Jeżeli Grace jest w nim zakochana, to doskonale strzeże swój sekret.

– Ależ mówię panu, że jest to oczywiste! Sam tego doświadczyłem, lub czegoś bardzo podobnego, gdyż musiałem z nią spędzić wiele godzin w jej więziennej celi

w Toronto, gdzie opowiadała mi swoją historię, rozwlekając ją, jak tylko się da. Była mną zauroczona i nie chciała stracić mnie z oczu. Te cielejące oczy i rozmarzone spojrzenia! Gdybym tylko położył rękę na jej ręce, rzuciłaby się w moje objęcia.

Simon czuje niesmak. Cóż za zarozumiały krasnal w tej dobrze skrojonej kamizelce i z bulwiastym nosem!

– Doprawdy! – mówi Simon, usiłując pohamować gniew.

– Och, tak! Wie pan, ona myślała, że zostanie powieszona. Strach to niezwykle afrodyzjak. Radzę go panu kiedyś użyć. My, prawnicy, często jesteśmy obsadzani w roli świętego Jerzego, przynajmniej chwilowo. Znaleźć dziewicę przykutą łańcuchami do skały, być niemalże pożartym przez smoka, ocalić jej życie, a potem posiąść ją samemu. Tak to zwykle bywa z dziewczynami, nie uważa pan? Nie powiem, że mnie nie kusilo. Była wtedy bardzo młoda i wrażliwa, choć więzienne życie niewątpliwie ją zahartowało.

Simon kaszle, by ukryć swój gniew. Jak mógł nie zauważyć, że ten mężczyzna przypomina starego, zepsutego rozpustnika? Prowincjonalnego satyra. Wyrachowanego lubieżnika.

– Ja nigdy nie odniosłem takiego wrażenia – mówi. Do tej pory uważał, że to on snuł marzenia, ale teraz zaczyna w to wątpić. Co Grace naprawdę o nim myślała, szyjąc i opowiadając?

– Miałem wielkie szczęście, no i oczywiście Grace też, że zabójstwo pana Kinneara znalazło się na wokandzie przed tym drugim. Dla każdego było oczywiste, że Grace nie mogła pomóc zastrzelić Kinneara. Została osądzona nie jako główny sprawca zbrodni, lecz jako pomocnik i można było jej udowodnić tylko to, że wiedziała wcześniej o morderczych zamiarach McDermotta i go nie wydała oraz że nie poinformowała nikogo o jego postępkach. Nawet główny sędzia zalecał ułaskawienie i z pomocą kilku petycji domagających się darowania jej życia mogłem ją ocalić. W tym czasie został ogłoszony wyrok skazujący ich oboje na śmierć, sprawa została zamknięta, ponieważ uważano, że nie ma potrzeby wdawać się w szczegóły drugiej sprawy, więc Grace nigdy nie została osądzona za morderstwo Nancy Montgomery.

– A gdyby była osądzona? – pyta Simon.

– Nie zdołałbym jej wybronić. Opinia publiczna byłaby dla mnie za silna. Grace zostałaby powieszona.

– Ale pańskim zdaniem była niewinna.

– Wręcz przeciwnie – mówi MacKenzie. Sący sherry, delikatnie oblizuje usta i uśmiecha się sentymentalnie. – Nie. Moim zdaniem była winna.

Co doktor Jordan robi i kiedy wróci? Chyba jednak zgadłam, co robi. Rozmawia z mieszkańcami Toronto, usiłując odkryć, czy jestem winna, ale w ten sposób się tego nie dowie. Jeszcze nie rozumie, że wina bierze się nie z tego, co zrobiłeś, ale z tego, co inni zrobili tobie.

Ma na imię Simon. Ciekawe, dlaczego matka go tak nazwała – a może ojciec? Mój ojciec nigdy nie zawracał sobie głowy nadawaniem nam imion, to należało do matki i ciotki Pauline. Oczywiście jest apostoł Szymon Piotr, którego nasz Pan uczynił rybakiem wszystkich ludzi. Ale jest też Szymon głupek. Spotyka piekarza, który idzie na targ, i mówi do niego: „Daj mi spróbować twego towaru, choć nie mam ani grosza”. McDermott też był taki; myślał, że może brać wszystko, nie płacąc, i taki sam jest doktor Jordan. Nie żebym mu współczuła. Zawsze był chudy i mam wrażenie, że jeszcze bardziej chudnie. Chyba zżera go jakiś smutek.

Moje imię mogło się wziąć z hymnu. Matka nigdy mi tego nie powiedziała, ale nie mówiła wielu rzeczy.

Cudowna Łasko! Jakże słodki Twój ton,
Co ocalił nieszczęsną jak ja!
Mnie, zgubioną odnalazł Twój dzwon,
Wzrok mi dałaś, bym odeszła od zła¹⁸.

Mam nadzieję, że zostałam nazwana na cześć tego hymnu. Chciałabym, żeby ktoś mnie odnalazł. Chciałabym widzieć. Albo żeby mnie widziano. Ciekawe, czy w oczach Boga to to samo. Jak jest powiedziane w Biblii: „Teraz widzimy jakby w zwierciadle, niejasno; wtedy zaś zobaczymy twarzą w twarz”¹⁹.

Jeżeli ma być spotkanie „twarzą w twarz”, to muszą być dwie twarze.

Dziś był dzień kąpieli. Chodziły słuchy, że będą nas kąpać nago w grupach, zamiast po dwie w koszulkach, jak do tej pory – podobno tak jest oszczędniej, bo traci się mniej czasu i zużywa mniej wody, ja jednak uważam, że to nieprzyzwoity pomysł, i jeżeli będą chcieli go zrealizować, poskarżę się władzom. A może jednak nie, bo oni w ten sposób wystawiają nas na próbę i powinnam się jej poddać bez skargi, jak w większości innych sytuacji. Kąpiele już są wystarczająco nieprzyjemne, kamienna podłoga jest śliska od brudnego, starego mydła, które przypomina galaretę, i zawsze obserwuje nas wychowawczynie, co może i nie jest takie złe, bo inaczej wszystko byłoby zachłapanie. Zimą marznie się na kość, ale teraz, w letnim upale, kiedy jestem jeszcze brudniejsza i o wiele bardziej spocona po pracy w kuchni, nie mam nic przeciwko zimnej wodzie,

która jest odświeżająca.

Po kąpieli spędziłam czas na zwykłym szyciu. W więzieniu brakuje męskich uniformów, bo przyjmuje się coraz więcej przestępców, zwłaszcza teraz, latem, kiedy w ludziach burzy się krew i stają się mściwi. Władze więzienne wykorzystują więc każdą parę rąk, również moją. Mają zamówienia, które muszą zrealizować w określonym terminie, zupełnie jak w fabryce.

Koło mnie na ławce siedziała Annie Little. Pochyliła się do mnie i spytała szeptem:

– Grace, Grace, czy on jest przystojny, ten twój lekarz? Wyciągnie cię z więzienia? Zakochałaś się w nim? Pewnie tak.

– Nie gadaj głupot – odpowiedziałam. – Nigdy nie byłam w nikim zakochana i nie mam zamiaru zaczynać teraz. Mam dożywocie i nie czas na to ani miejsce.

Annie ma trzydzieści pięć lat, jest więc ode mnie starsza, ale poza tym, że ma nie po kolei w głowie, to nigdy nie dorosła. W więzieniu to się zdarza. Niektórzy tutaj ciągle są w tym samym wieku – tym, w jakim byli, kiedy się tu dostali.

– Nie zadzieraj nosa – powiedziała, dźgając mnie łokciem. – Na pewno miałabyś ochotę na coś sztywnego w ciasnym miejscu. Tego nigdy za wiele. A ty jesteś taka szczwana, że jeżeli tylko będziesz chciała, to znajdziesz na to i czas, i miejsce. Bertha Flood zrobiła to ze swoim strażnikiem w szopie na narzędzia, tylko że ją przydybali, ale ciebie nigdy by nie złapali, bo ty jesteś taka twarda, że mogłabyś zamordować własną babcię w jej łóżku i nawet by ci powieka nie drgnęła. – I parsknęła śmiechem.

Obawiam się, że wiodła bardzo nieprzyzwoite życie.

– Cicho tam! – krzyknęła wychowawczyni na dyżurze. – Albo zapiszę wasze nazwiska. – Znowu stały się bardziej surowe, gdyż przyszła nowa nadzorczyńni. Jeżeli uzbierasz za dużo minusów, obcinają ci włosy.

Po posiłku w południe odesłano mnie do domu komendanta. Znowu była tam Dora, bo umówiła się z gospodynią doktora Jordana, że może do nas przychodzić w te dni, kiedy odbywa się wielkie pranie. Jak zwykle miała do opowiedzenia wiele plotek, powiedziała, że gdyby wyjawiała połowę tego, co wie, to utarłaby komuś nosa, bo są takie, co to snują się po domu, blade jak trup, opięte w czarne jedwabie i z koronkową chusteczką w rękę, a po południu mają napady migreny, bo tak niby przystoi damom. Inni niech sobie myślą, co chcą, ale jej nikt oczu nie zamydli. Powiedziała, że odkąd doktor Jordan wyjechał, jej pani całymi godzinami chodzi po pokoju i wygląda przez okno albo siedzi jak sparaliżowana. Nic dziwnego; pewnie się boi, że od niej uciekł, jak to zrobił ten poprzedni. A wtedy kto by płacił za wszystkie jej zachcianki, za całą tę bieganinę i skakanie koło niej?

Clarrie przeważnie ignoruje to, co Dora ma do powiedzenia. Nie interesują jej plotki o ludziach z wyższych klas. Nic, tylko pali swoją fajkę i mruczy „Hmm”. Ale dzisiaj powiedziała, że nic jej nie obchodzą ich kaprysy. Równie dobrze można by się przyglądać kurom i kogutom dziobiącym się na podwórzu, a Bóg stworzył ludzi z wyższych klas po to, by brudzili bieliznę, którą trzeba potem prać, bo ona nie widzi żadnego innego z nich pożytku. Wtedy Dora powiedziała:

– No, muszę przyznać, że ci moi odwalają kawał dobrej roboty. Brudzą bieliznę tak szybko, że ledwo mogę nadażyć z praniem. W dodatku razem zajmują się jej brudzeniem.

Na te słowa zimny dreszcz przeszedł mi po plecach, ale nie spytałam, co miała na myśli. Nie chciałam, by mówiła cokolwiek złego o doktorze Jordanie, gdyż ogólnie rzecz biorąc, zawsze był dla mnie bardzo miły, a poza tym stanowi ciekawą odmianę w moim monotonnym życiu.

Kiedy wróci doktor Jordan, mam zostać zahipnotyzowana. To zostało już postanowione. Jeremiasz, czy też raczej doktor DuPont, jak go teraz powinnam nazywać, ma mnie wprowadzić w trans, a pozostali będą obserwować i słuchać. Żona komendanta wszystko mi wyjaśniła i powiedziała, że nie mam się czego bać, będę wśród przyjaciół, którzy mi dobrze życzą, i będę musiała tylko siedzieć na krześle i usnąć, kiedy mi każe doktor DuPont. Kiedy już zasnę, zaczną mi zadawać pytania. Mają nadzieję, że w ten sposób wrócą mi pamięć.

Odparłam, że wcale nie jestem pewna, czy chcę sobie coś przypominać, choć oczywiście zrobię, jak sobie życzą. Ona na to powiedziała, że cieszy się, że jestem tak chętna do współpracy, że bardzo we mnie wierzy i jest pewna, że zostanie udowodniona moja niewinność.

Po wieczornym posiłku nadzorczyńni dała nam robótkę na drutach, którą miałyśmy zabrać do swoich cel i kończyć w wolnym czasie, gdyż brakowało im pończoch. Latem jest widno do późna, więc nie trzeba dla nas marnować świec.

Tak więc teraz robię na drutach. Jestem w tym szybka, mogę pracować bez patrzenia, jeżeli jest to zwykła pończocha i nic wymyślnego. Robiąc na drutach, myślę sobie: co bym umieściła w albumie pamiątkowym, gdybym taki miała? Kawalek frędzli z szala mojej matki. Kłębek czerwonej wełny z kwiecistych mitenek, które zrobiła dla mnie Mary Whitney. Skrawek jedwabiu z pięknego szala Nancy. Kościany guzik od Jeremiasza. Stokrotkę z wianka, który upłócił dla mnie Jamie Walsh.

Nic od McDermotta, gdyż nie chcę go pamiętać.

Ale jaki powinien być album pamiątkowy? Czy powinien zawierać tylko dobre wspomnienia z naszego życia, czy też wszystko? Wiele osób wkleja do niego rysunki różnych scen i wydarzeń, których same nie widziały – na przykład wizerunki książąt i wodospadu Niagara, co moim zdaniem jest czymś w rodzaju oszustwa. Czy ja bym tak zrobiła? Czy też byłabym wierna swemu życiu?

Kawalek szorstkiej bawełny z mojej więziennej nocnej koszuli. Skrawek zakrwawionej halki. Strzępek chusteczki, białej w niebieskie kwiatki. Jaskry.

18 przeł. Krzysztof Zabłocki. W języku angielskim słowo *grace* znaczy „łaska”.

19 Św. Paweł, Pierwszy list do Koryntian, 13,12.

Następnego ranka, tuż po wschodzie słońca, Simon wyrusza do Richmond Hill na koniu, którego wynajął w przedsiębiorstwie wynajmu koni za hotelem. Jak wszystkie konie przyzwyczajone do wielu obcych jeźdźców, stworzenie to jest uparte, nieczułe na wędzidło i dwukrotnie próbuje nim uderzyć o ogrodzenie. Potem się uspokaja i z trudem wdaje się w cwał, urozmaicony żwawym, nierównym truchtem. Choć zakurzona i miejscami usiana koleinami, droga jest lepsza, niż Simon się spodziewał. Po kilku postojach w przydrożnych gospodach dla wypoczynku i zaczerpnięcia wody dociera do Richmond Hill krótko po południu.

To jeszcze nie całkiem jest miasto. Znajduje się tu sklep, kowal i kilka rozrzuconych domów. Gospoda to pewnie ta sama, którą pamięta Grace. Simon wchodzi do niej, zamawia pieczeń wieprzową i piwo i dopytuje się o położenie dawnego domu pana Kinneara. Właściciel gospody nie okazuje zdziwienia: Simon z pewnością nie jest pierwszą osobą, która zadaje to pytanie. Gospodarz mówi, że w czasie, gdy zdarzyły się te zbrodnie, był oblegany przez ciekawskich i od tej pory płynie tam strumień turystów. Miasto ma już dość tego rozgłosu: jego zdaniem zmarli powinni zaznać spokoju. Ale ludzie lubią oglądać tragedie; to nieprzyzwoite. Można by pomyśleć, że lepiej trzymać się od nieszczęścia z daleka – ale nie, oni chcą w nim uczestniczyć. Niektórzy posuwają się aż do zabierania stamtąd różnych rzeczy – żwiru z podjazdu, kwiatów z rabatek. Dżentelmena, który teraz jest właścicielem domu, już tak bardzo nie niepokoją, bo przyjeżdża coraz mniej ludzi. Mimo to nie życzy on sobie częściej ciekawości.

Simon zapewnia, że jego ciekawość bynajmniej nie jest czcza. Jest lekarzem i bada Grace. Ale to strata czasu, mówi gospodarz, gdyż Grace jest winna.

– Była bardzo ładna – dodaje, dumny z tego, że ją znał. – Miała słodką buzię. Nigdy nie było wiadomo, co knuje pod tą miną świętoszki.

– Zdaje się, że wtedy miała dopiero piętnaście lat – mówi Simon.

– Ale wyglądała na osiemnaście. Szkoda, że w tak młodym wieku zesłała na złą drogę. – Dodaje, że pan Kinnear był porządnym człowiekiem, chociaż miał swobodne obyczaje, a większość ludzi lubiła Nancy Montgomery, mimo że żyła w grzechu. Znał też McDermotta. Silny był z niego chłop i mógłby wyjść na ludzi, gdyby nie Grace. – To ona go do tego doprowadziła i założyła mu stryczek na szyję. – Mówi, że kobietom zawsze wszystko uchodzi na sucho.

Simon pyta o Jamiego Walsha, ten jednak wyjechał. Niektórzy powiadają, że do miasta, inni, że do Stanów. Kiedy dom Kinneara został sprzedany, Walshowie musieli się przenieść. Prawdę mówiąc, w okolicy pozostało niewiele osób, które wtedy tam mieszkały. Od tamtej pory ciągle coś sprzedawano i kupowano, przyjeżdżali nowi ludzie, wyjeżdżali starzy. Wszędzie dobrze, gdzie nas nie ma.

Simon jedzie na północ i z pewnym trudem odnajduje posiadłość Kinneara. Nie

zamierzał podchodzić pod dom – chciał go tylko obejrzeć z oddali – ale sad, który był jeszcze młody za czasów Grace, teraz wyrósł, częściowo zasłaniając widok. Simon znajduje się w połowie podjazdu i zanim zdaje sobie z tego sprawę, już przywiązuje konia do ogrodzenia między dwiema kuchniami i staje przed frontowymi drzwiami.

Dom jest mniejszy i bardziej obskurny, niż to sobie wyobrażał. Gankowi z kolumnami przydałaby się nowa warstwa farby, a krzaki róż zdziczały i widać na nich zaledwie kilka zarobaczonych kwiatów. Simon zastanawia się, jaki może być pożytek z samego przyglądania się, to znaczy poza dreszczykiem sensacji czy zaspokojeniem niezdrowej ciekawości? To zupełnie tak, jakby oglądał pole po bitwie: nie widać tu nic prócz tego, co może stworzyć wyobraźnia. Takie konfrontacje z rzeczywistością zawsze są pewnym rozczarowaniem.

Mimo to puka do frontowych drzwi, a po chwili jeszcze raz. Nikt nie otwiera. Już ma odejść, kiedy drzwi się uchylają. Stoi w nich chuda kobieta o smutnej twarzy, jeszcze nie stara, ale już starzejąca się, skromnie ubrana w ciemną suknię i fartuszek. Simona ogarnia wrażenie, że tak wyglądałaby Nancy, gdyby żyła.

– Chce pan obejrzeć dom – mówi kobieta. To nie jest pytanie. – Pana nie ma, ale dostałam polecenie, żeby pana oprowadzić.

Simon jest zdumiony: skąd wiedzieli, że przyjeżdża? Może jednak – wbrew temu, co powiedział mu właściciel gospody – mają wielu gości? Czyżby to miejsce stało się ponurym muzeum?

Gospodyni – gdyż nią właśnie musi być ta kobieta – odsuwa się na bok, żeby Simon mógł wejść do frontowego hallu.

– Pewnie interesuje pana studnia – mówi. – Wszyscy się nią interesują.

– Studnia? – pyta Simon. Nic nie słyszał o studni. Może jego wizyta tutaj mimo wszystko się opłaci, może wyjdą na jaw jakieś świeże szczegóły tej sprawy, o których do tej pory nikt nie wspomniał. – A cóż to za studnia?

Kobieta rzuca mu dziwne spojrzenie.

– To kryta studnia, proszę pana, z nową pompą. Na pewno chciałby ją pan obejrzeć, skoro chce pan kupić ten dom.

– Ależ ja wcale nie zamierzam go kupować – mówi Simon, zdezorientowany. – Jest na sprzedaż?

– A po co miałabym go panu pokazywać? Oczywiście, że jest na sprzedaż – i to nie po raz pierwszy. Ci, co tu mieszkają, nigdy nie czuli się w nim zbyt dobrze. Nie żeby tu były jakieś duchy czy coś w tym rodzaju, choć pewnie mogłyby być – nie lubię schodzić do piwnicy – ale przyciąga gapiów.

Spogląda na niego surowo. Skoro nie zamierza kupić domu, to co tu robi? Simon nie chce być kolejnym gapiem.

– Jestem lekarzem – wyjaśnia.

– Aha – mówi gospodyni, kiwając głową, jakby to wszystko tłumaczyło. – A więc chce pan obejrzeć dom? Wielu lekarzy chce go oglądać. Nawet więcej niż prawników. No, skoro już pan tu jest, to też może go pan obejrzeć. Tu jest salon, gdzie, jak słyszałam, za czasów pana Kinneara stało pianino, na którym grała ta panna Nancy Montgomery. Podobno śpiewała jak słowik. Była bardzo muzykalna. – Uśmiecha się do Simona, po raz

pierwszy.

Obchód domu trwa długo. Simon ogląda jadalnię, bibliotekę, zimową kuchnię, letnią kuchnię, stajnię i poddasze – „Tu spał ten drań McDermott” – sypialnie na piętrze – „Bóg jeden wie, co tu się wyprawiało” – i pokój Grace. Oczywiście meble zostały zmienione. Są teraz bardziej liche, prawie graty. Simon na próżno usiłuje sobie wyobrazić, jak ten pokój musiał wyglądać wtedy.

Niczym rasowy sprzedawca zachwalający swoje towary, gospodyni zachowuje piwnicę na koniec. Zapala świecę i schodzi pierwsza, ostrzegając Simona, by uważał na śliskie stopnie. Światło jest słabe, kąty pokryte pajęczynami. Pachnie ziemią, wilgocią i przechowywanymi warzywami.

– Tu go znalezione – mówi gospodyni z wyraźną przyjemnością. – A ona była ukryta za tą ścianą. Nie wiem jednak, po co zadali sobie trud, żeby ją schować. Zbrodnia zawsze wyjdzie na jaw – i ta też wyszła. Szkoda, że nie powiesili tej Grace. Nie tylko ja tak myślę.

– Jestem tego pewien – mówi Simon. Zobaczył już wystarczająco dużo i chciałby opuścić to miejsce. Przy drzwiach daje jej monetę – wydaje mu się to właściwe – gospodyni zaś kiwa głową i chowa ją do kieszeni.

– Może pan też obejrzeć groby, na cmentarzu w mieście – mówi. – Nie ma na nich nazwisk, ale na pewno je pan znajdzie. Tylko one są ogrodzone.

Simon jej dziękuje. Ma wrażenie, że wykrada się z jakiegoś nieprzyzwoitego pokazu. Czyżby stał się podglądaczem? Najwyraźniej zdecydowanym na wszystko, ponieważ kieruje się prosto ku prezbiteriańskiemu kościołowi, który łatwo znaleźć, gdyż jest najwyższą budowlą w zasięgu wzroku.

Za kościołem znajduje się cmentarz, zadbane i zielony, a pochowani na nim zmarli są pod ścisłą kontrolą. Nie ma tu żadnych chwastów, nieświeżych wieńców, żadnego nieporządku, jak w barokowych nekropoliach Europy. Żadnych aniołów, męki Pańskiej, żadnych tego rodzaju bzdur. Niebo według prezbiterian musi przypominać bankową instytucję, gdzie każda dusza jest uwiązana, przypisana do swego miejsca i umieszczona we właściwej przegródce.

Groby, których szuka, nietrudno rozpoznać. Każdy jest ogrodzony płotkiem: z pewnością po to, by trzymać ich lokatorów na uwięzi, gdyż zamordowani znani są z tego, że lubią spacerować. Wygląda na to, że nawet prezbiterianie nie wyzbyli się przesądów.

Płot wokół grobu Thomasa Kinneara jest pomalowany na biało, zaś Nancy Montgomery jest czarny, co zapewne odzwierciedla opinię miasta na jej temat: ofiara zbrodni czy nie, za życia nie prowadziła się najlepiej. Nie pochowano ich w tym samym grobie – nie ma potrzeby wywoływać skandalu. Co dziwne, grób Nancy został umieszczony u stóp grobu Kinneara, po prawej stronie, i w efekcie przypomina narzutę na łóżko. Ogromny krzak róży pokrywa niemal cały jej grób – stara ballada z gazety w takim razie okazała się prorocza – lecz na grobie Thomasa Kinneara nie rośnie winorośl. Simon zrywa różę z grobu Nancy, z niejasnym zamiarem ofiarowania jej Grace, potem jednak się rozmyśla.

Spędza noc w nieprzyjemnej gospodzie w połowie drogi do Toronto. Szyby w oknach są tak oblepione brudem, że ledwo przez nie widać, a koce cuchną stęchlizną. Bezpośrednio pod jego pokojem grupka pijaków o ochrypłych głosach hula do późnej nocy. Oto uroki podróży na prowincji. Simon zastawia drzwi krzesłem, by zapobiec niepożądanym odwiedzinom.

Rano wstaje wcześniej i ogląda ukąszenia rozmaitych owadów, które nękały go nocą. Zanurza głowę w miednicy z odrobiną letniej wody przyniesionej przez pokojówkę, która pracuje również w szpizarni na dole. Woda pachnie cebulą.

Po śniadaniu złożonym z plastra przedpotopowej szynki i jajka o niepewnym wieku wyrusza w drogę. Po drodze spotyka niewiele osób; mija powóz, drwala rąbiącego spróchniałe drzewo na polu i robotnika sikającego do rowu. Wstęgi mgły unoszą się tu i tam nad polami, rozwiewając się jak sen w porannym świetle. Powietrze jest zamglone, przydrożne chwasty nasączone rosą. Koń skubie je, przejeżdżając obok. Simon powściąga go bez przekonania, po czym puszcza go klusem. Czuje się wolny, odległy od wszelkich celów i wysiłków.

Zanim wsiądzie do popołudniowego pociągu, ma do załatwienia jeszcze jedną sprawę. Chce odwiedzić grób Mary Whitney. Chce się upewnić, czy rzeczywiście istniała.

Grace wspomniała o kościele metodystów na Adelaide Street. Simon sprawdza to w swoich notatkach. Na cmentarzu wypolerowany granit zastępuje marmur, napisy są coraz bardziej lakoniczne: przepych opiera się na rozmiarze i solidności, a nie na ozdobach. Metodyści chcą, by ich pomniki były monumentalne, przypominające budowle, nie do pomylenia, podobnie jak grube czarne linie pod rozliczonymi rachunkami w księgach jego ojca: *Zapłacone w całości*.

Chodzi między grobami, odczytując nazwiska – Biggowie i Stewartowie, Fluke'owie i Chamberowie, Cookowie i Randolphowie, Stalworthy'owie. Wreszcie znajduje go, gdzieś w rogu: mały szary nagrobek. Wygląda na starszy niż te dziesięćnaście lat, które minęło. *Mary Whitney* – nazwisko i nic więcej. Ale Grace przecież powiedziała, że było ją stać na wyrycie samego tylko nazwiska.

Uczucie pewności rozbłyska w nim niczym płomień – jej historia jest więc prawdziwa – ale równie szybko gaśnie. Co warte są takie fizyczne dowody? Magik wyjmuje monetę z kapelusza, a ponieważ jest to prawdziwa moneta i prawdziwy kapelusz, widownia wierzy, że także iluzja jest prawdą. Ale kamień jest tylko kamieniem. Nie ma na nim żadnych dat, a *Mary Whitney*, która została pod nim pogrzebana, może nie mieć żadnego związku z *Grace Marks*. To może być po prostu nazwisko, nazwisko na nagrobku, które *Grace* tu zobaczyła i wykorzystała w swojej historii. Być może to jakaś staruszka, czyjaś żona albo niemowlę czy ktokolwiek inny.

Niczego nie udowodniono. Ale też nie obalono żadnych zarzutów.

W drodze powrotnej do Kingston Simon podróżuje pierwszą klasą. Pociąg jest niemal pełny i warto zapłacić za to, żeby uniknąć ścisunku. Jadąc na wschód, oddala się od Toronto, Richmond Hill, jego farm i łąk, i nagle łapie się na tym, że snuje rozważania,

jak by to było – mieszkać tam, na tej zielonej i spokojnej wsi, na przykład w domu Thomasa Kinneara, z Grace jako gospodynią. Nie tylko gospodynią, lecz również zamkniętą w domu, potajemną kochanką. Trzymałby ją w ukryciu, pod zmienionym nazwiskiem.

Byłoby to leniwe, wygodne życie, pełne drobnych przyjemności. Wyobraża sobie, jak Grace siedziałaby w fotelu w salonie i szyla, a światło lampy padałoby z boku na jej twarz. Ale dlaczego miałaby być tylko jego kochanką? Przychodzi mu do głowy, że Grace Marks to jedyna spośród znanych mu kobiet, z którą mógłby się ożenić. To niespodziewany pomysł, ale skoro się pojawił, Simon zaczyna go rozważać. Myśli z pewną zjadliwą ironią, że Grace jest również jedyną kobietą, która spełniłaby wszystkie lub niemal wszystkie wymagania, o jakich aluzyjnie wspomina mu matka. Na przykład, nie jest bogata, ale ma urodę pozbawioną frywolności, jest domatorką, lecz nie nudną, ma proste, acz dobre maniery, jest rozważna. Umie także doskonale szyć i bez wątpienia potrafiłaby prześcignąć pannę Faith Cartwright. Pod tym względem jego matka nie miałaby się na co użalać.

Są też jego własne wymagania. W Grace drzemie gdzieś namiętność, jest tego pewien, choć trzeba by jej dobrze poszukać. Poza tym byłaby mu wdzięczna, choć niechętnie. Wdzięczność sama w sobie nie oczarowuje go, lecz podoba mu się idea niechęci.

Ale jest też James McDermott. Czy Grace mówiła o nim prawdę? Czy rzeczywiście tak go nie lubiła i tak się go bała, jak twierdzi? Z pewnością jej dotykał, ale do jakiego stopnia i na ile ona sama na to przyzwalała? Takie epizody wyglądają zupełnie inaczej we wspomnieniach niż na gorąco. Nikt nie wie tego lepiej niż on sam, więc dlaczego u kobiety miałoby to wyglądać inaczej? W takich sytuacjach człowiek sam się okłamuje, usprawiedliwia się, próbuje się ze wszystkiego wywinąć. A co, gdyby któregoś wieczora, w salonie oświetlonym płomieniem lampy, wyjawiałaby mu więcej, niż życzyłby sobie wiedzieć?

Ale on chce wiedzieć.

To oczywiście szaleństwo, perwersyjna fantazja, poślubić kobietę podejrzaną o morderstwo. Ale co, gdyby poznał ją przed tymi zbrodniami? Rozważa tę myśl i po chwili ją odrzuca. Grace na pewno byłaby inną osobą niż ta kobieta, którą Simon zna teraz. Byłaby młodą, ledwie uformowaną dziewczyną: bez wyrazu, łagodną i pozbawioną smaku. Płaskim krajobrazem.

Morderczyni, morderczyni – szepcze do siebie. To ułuda, niemalże sam zapach. Cieplarniane gardenie. Trupio blade, lecz także tajemnicze. Wyobraża sobie, jak wdycha ich zapach, tuląc do siebie Grace, przyciskając usta do jej ust. *Morderczyni*. Zawiesza to słowo na jej szyi niczym tabliczkę z ceną.

XIII

Puszka Pandory

Mój mąż skonstruował bardzo pomysłowy spirytoskop... Nigdy nie chciałam kłaść rąk na tej tablicy, która poruszała się pod wpływem duchów i podawała po jednej literze wiadomości i imiona. Ale raz, gdy byłam sama, położyłam na niej ręce i spytałam: „Czy to duch poruszył moją dłoń?” a tablica przekręciła się i odpowiedziała: „Tak”...

Być może pomyślisz, jak i mnie się to często zdarzało, że to wszystko skutek działania mojego własnego umysłu, a skoro tak, to mój umysł musi być o wiele mądrzejszy niż ja sama, jeżeli potrafi litera po literze pisać całe strony o spójnej, często zawiłej treści, ja zaś nic o tym nie wiem, ponieważ dopiero gdy pan Moodie potem wszystko mi odczytuje, po ustaniu komunikacji, dowiaduję się, o czym pisałam. Moja siostra, pani Traill, jest bardzo silnym medium i dostaje przekazy w obcych językach. Jej duchy często są aroganckie i wyzywają ją bardzo brzydko... Tylko nie pomyśl sobie, że jestem szalona albo opętana przez złe duchy. Życzyłabym tobie opętania przez tak cudowne szaleństwo.

Susanna Moodie

z listu do Richarda Bentleyya, 1858

Przed oczami przemyka cień,
Nie ty, lecz taki jak ty.
Chryste, gdybyż najkrótszy dzień
Być z wami, dusze ongiś kochane,
Żebyście nam wyznały,
Co robicie, gdzieście się schowały²⁰.
Lord Alfred Tennyson

Maud, 1855

Poczułam Łupnięcie w Umyśle –
Jak gdyby pękł mi Mózg –
Chciałam go zaszyć – Ścieg za Ściegiem
Lecz nie sprawiłam, by się zrosł.
Emily Dickinson

ok. 1860

20 przeł. Krzysztof Zabłocki.

Czekają w bibliotece domu pani Quennell, wszyscy na krzesłach o prostych oparciach i dyskretnie odwróceniu w stronę drzwi, które są lekko uchylone. Zasłony, zrobione z kasztanowego pluszu, z czarną obwódką i frędzlami, które przypominają Simonowi episkopalne pogrzeby, są zaciągnięte. Zapalono lampę z abażurem. Stoi ona pośrodku prostokątnego dębowego stołu. Siedzą wokół niego w oczekiwaniu, milczący, szacowni i rozważni, niczym przysięgli przed rozprawą.

Pani Quennell jest jednak rozluźniona, ręce złożyła spokojnie na podolku. Spodziewa się cudów, ale na pewno nie będzie nimi zaskoczona – cokolwiek miałyby się wydarzyć. Sprawia wrażenie zawodowego przewodnika, któremu, powiedzmy, wodospad Niagara już spowszedniał, ale który ma nadzieję zamiast tego napawać się okrzykami zachwytu odwiedzających to miejsce neofitów. Twarz żony komendanta nosi wyraz uduchowionej nabożności, z domieszką rezygnacji, zaś wielebny Verringer spogląda zarówno życzliwie, jak i potępiająco. Wokół jego oczu pojawia się błysk, jak gdyby nosił okulary, choć tak nie jest. Lydia, która siedzi po lewej stronie Simona, jest ubrana w jakąś suknię ze zwiewnej, fiołkowo-różowej, błyszczącej materii, wyciętą tak głęboko, że ukazuje jej czarujące obojczyki. Pachnie wilgotnym aromatem konwalii. Nerwowo mnie chusteczkę, ale kiedy jej wzrok spotyka wzrok Simona, uśmiecha się.

Simon zaś wyczuwa, że na jego twarzy maluje się sceptyczny i niezbyt przyjemny, ironiczny uśmiech – ale to tylko maska, gdyż tak naprawdę czuje zapal niczym uczeń podczas karnawału. Nie wierzy w nic, spodziewa się oszustwa i pragnie odkryć, na czym ono polega, ale jednocześnie chciałby przeżyć zdumienie. Wie, że to niebezpieczny stan umysłu: musi zachować obiektywność.

Rozlega się pukanie do drzwi, które otwierają się szerzej. Wchodzi doktor Jerome DuPont, prowadząc Grace za rękę. Nie ma na głowie czepeczka, a jej kręcone rudawe włosy lśnią w świetle lampy. Pod szyją ma biały kołnierzyk, którego do tej pory Simon nigdy nie widział, i wygląda zdumiewająco młodo. Idzie lękliwie, jakby była ślepa, lecz oczy ma szeroko otwarte; wpatruje się w DuPonta z bojaźnią, nieśmiałością i cichym błaganiem, które – jak Simon sobie zdaje teraz sprawę – jest nadaremne.

– Widzę, że wszyscy już są – mówi doktor DuPont. – Ciesz się mnie państwa zainteresowaniem i, mam nadzieję, zaufanie. Lampę trzeba zdjąć ze stołu. Pani Quennell, czy zechciałaby pani to zrobić? I proszę ją trochę przygasić. I zamknąć drzwi.

Pani Quennell wstaje i w milczeniu przestawia lampę na biureczko w rogu. Wielebny Verringer zamyka dokładnie drzwi.

– Grace usiądzie tutaj – mówi doktor DuPont. Sadza ją tyłem do zasłon. – Czy ci wygodnie? Dobrze. Nie bój się, nikt tu nie chce cię skrzywdzić. Wy tłumaczyłem jej, że ma tylko mnie słuchać, a potem zasnąć. Rozumiesz, Grace?

Grace kiwa głową. Siedzi sztywno, z zaciśniętymi ustami, jej źrenice wydają się wielkie w przyćmionym świetle. Zaciska dłonie na poręczach krzesła. Simon widywał takie zachowania na oddziałach szpitali – zachowania pacjentów cierpiących ból lub

oczekujących na operację. Zwierzęcy strach.

– To w pełni naukowa procedura – mówi doktor DuPont, zwracając się bardziej do reszty zgromadzonych niż do Grace. – Proszę odpędzić od siebie wszelkie myśli o mesmeryzmie i innych tego typu szalbierstwach. System Braida jest absolutnie logiczny i niezawodny, a jego wiarygodność została ponad wszelką wątpliwość udowodniona przez europejskich ekspertów. Polega on na świadomym rozluźnieniu nerwów, tak by można było pacjenta wprowadzić w neurohipnotyczny sen. Ten sam efekt można zaobserwować u ryb gładzonych po płetwie grzbietowej, a nawet u kotów, choć u organizmów wyższych rezultaty są oczywiście bardziej złożone. Proszę państwa o powstrzymanie się od nagłych ruchów i głośnych dźwięków, gdyż to może spowodować wstrząs u pacjentki, a nawet wyrządzić jej krzywdę. Proszę, byście państwo zachowali absolutne milczenie, dopóki Grace będzie spała, potem zaś będzie można rozmawiać półgłosem.

Grace wpatruje się w zamknięte drzwi, jak gdyby zastanawiała się nad ucieczką. Jej nerwy są tak napięte, że Simon niemal czuje ich wibracje, są jak naciągnięta lina. Nigdy nie widział jej tak przerażonej. Co DuPont z nią zrobił albo co jej powiedział, zanim ją tu przyprowadził? Może ją nastraszył? A jednak, gdy mówi do niej, Grace patrzy na niego z ufnością. W każdym razie to nie jego się boi.

DuPont przygasza światło. Powietrze w pokoju zdaje się gęstnieć od ledwie widocznego dymu. Twarz Grace jest teraz pogrążona w mroku, błyszczą tylko jej oczy.

DuPont zaczyna swą procedurę. Najpierw sugeruje Grace ociężałość, senność, potem mówi, że jej kończyny unoszą się, płyną w powietrzu, że zanurza się coraz głębiej i głębiej, jak gdyby tonęła w wodzie. Jego głos jest kojąco monotony. Powieki Grace opadają; oddycha głęboko i równomiernie.

– Śpisz, Grace? – pyta ją DuPont.

– Tak – odpowiada Grace powoli i słabo, ale wyraźnie.

– Słyszysz mnie?

– Tak.

– Czy słyszysz tylko mnie? Dobrze. Kiedy się obudzisz, nie będziesz nic pamiętała. A teraz zaśnij jeszcze głębiej. – Robi pauzę. – Podnieś, proszę, prawą rękę.

Ręka powoli podnosi się, jak ciągnięta na sznurku, aż wreszcie wyprostowuje się.

– Twoja ręka – mówi DuPont – to żelazna sztaba. Nikt nie może jej zgiać. – Rozgląda się po zgromadzonych. – Czy ktoś chciałby spróbować? – Simona kusi, żeby to zrobić, ale postanawia nie ryzykować. W tej chwili nie chce ani dać się przekonać, ani rozczarować. – Nie? – pyta DuPont. – W takim razie ja spróbuję.

– Kładzie obie dłonie na wyciągniętej ręce Grace i pochyła się. – Używam całej swojej siły – mówi. Ręka się nie zgina. – Dobrze. Możesz ją opuścić.

– Ona ma otwarte oczy – mówi Lydia z przestraszeniem. I rzeczywiście między powiekami przeświecają dwa białe półksiężycy.

– To normalne – odpowiada DuPont. – Ale nie ma żadnego znaczenia. W tym stanie pacjentka potrafi rozpoznawać pewne przedmioty nawet z zamkniętymi oczami. To osobliwość systemu nerwowego, która musi dotyczyć działania jakiegoś zmysłu jeszcze niepoznanego przez człowieka. Ale idźmy dalej.

Pochyla się nad Grace, jakby słuchał bicia jej serca. Potem z jakiejś ukrytej kieszeni wyjmując kawałek materiału – zwykły skrawek jasnoszarego woalu – i rzuca go jej delikatnie na głowę, gdzie materia przez chwilę faluje, po czym uspokaja się. Teraz widać tylko głowę i niewyraźne kontury twarzy. Skojarzenie z całunem nasuwa się samo.

„To zbyt teatralne, zbyt tandetne – myśli Simon. – Trąci małomiasteczkowymi odczytami sprzed piętnastu lat, których publiczność składała się z naiwnych sprzedawców i małomównych farmerów oraz ich flejowatych żon, a przemawiali do nich elokwentni szarlatani, którzy żyli z transcendentalnych bzdur i stawiali im medyczne diagnozy, by mieć pretekst do огоłocenia ich kieszeni”. Chciałby to wszystko wykpić, lecz na jego karku pojawia się gęsia skórka.

– Ona wygląda tak... tak dziwnie – szepcze Lydia.

– Jestże nadzieja na odpowiedź czy wyrównanie krzywd? Za zasłoną, za zasłoną – mówi Verringer takim tonem, jakby cytował czyjeś słowa. Simon nie wie, czy wielebny usiłuje żartować.

– Słucham? – pyta żona komendanta. – Ach, tak, zacny pan Tennyson.

– To pomaga w koncentracji – mówi cicho doktor DuPont. – Wewnętrzny wgląd wyostrza się, gdy ukryty jest przed światem. A teraz, doktorze Jordan, możemy zacząć bezpieczną podróż w przeszłość. O co mam ją zapytać?

Simon zastanawia się, od czego zacząć.

– Proszę ją spytać o dom Kinneara.

– Którą część? – pyta DuPont. – Musimy być konkretni.

– O werandę – odpowiada Simon, który uważa, że należy zacząć łagodnie.

– Grace – mówi DuPont. – Jesteś na werandzie w domu pana Kinneara. Co tam widzisz?

– Widzę kwiaty – odpowiada Grace. Jej głos jest ciężki i jakby stłumiony. – Jest zachód słońca. Jestem taka szczęśliwa. Chcę tu zostać.

– Proszę ją poprosić – mówi Simon – żeby wstała i weszła do domu. Niech podejdzie do drzwi zapadowych we frontowym hallu, które prowadzą do piwnicy.

– Grace – mówi DuPont. – Musisz...

Nagle rozlega się głośne pojedyncze stuknięcie, niemal jak mały wybuch. Dobiega od stołu czy od drzwi? Lydia wydaje cichy okrzyk i chwyta Simona za rękę. Niegrzecznie byłoby ją odsunąć, więc nie robi tego, zwłaszcza że Lydia drży jak liść.

– Ćśś – szepcze przenikliwie pani Quennell. – Mamy gościa!

– William! – krzyczy cicho żona komendanta. – Wiem, że to moje dziecko! Moje maleństwo!

– Bardzo państwa proszę – mówi z irytacją DuPont. – To nie seans!

Grace niespokojnie porusza się pod zasłoną z woalu. Żona komendanta chlipie w chusteczkę. Simon zerka przez ramię na wielebego. W tym półmroku trudno rozpoznać wyraz jego twarzy: zdaje się, że to bolesny uśmiech, jak u dziecka, które cierpi na gazy.

– Boję się – mówi Lydia. – Zapalcie światło!

– Jeszcze nie – szepcze Simon. Klepie ją po ręce.

Rozlegają się jeszcze trzy głośne stuknięcia, jakby ktoś pukał do drzwi,

natarczywie domagając się otworzenia.

– To karygodne – mówi DuPont. – Proszę kazać im odejść.

– Spróbuję – odpowiada pani Quennell. – Ale właśnie jest czwartek, a one zawsze przychodzą we czwartki. – Pochyla głowę i klaszcze w dłonie. Po chwili rozlega się cała seria cichych uderzeń, jakby ktoś wrzucił garść żwiru do rynny. – Już – mówi. – Myślę, że już po wszystkim.

„Pewnie ma jakiegoś współnika – myśli Simon. – Pomocnika albo jakiś przyrząd za drzwiami czy pod stołem. W końcu to jej dom. Kto wie, jak obmyśliła tę sztuczkę?”. Ale pod stołem nie ma nic oprócz ich stóp. Więc jak to działa? Siedząc tu, czuje się absurdalnie, jak naiwniak, ofiara oszustwa. Teraz jednak nie może wyjść.

– Dziękuję – mówi doktor DuPont. – Panie doktorze, przepraszam za tę przerwę. Idźmy dalej.

Simon jest coraz bardziej świadomy dłoni Lydii w swojej dłoni. To mała i bardzo ciepła rączka. Prawdę mówiąc, w całym pokoju jest nieprzyjemnie ciasno. Chciałby się uwolnić, ale Lydia trzyma go w żelaznym uścisku. Simon ma nadzieję, że nikt tego nie widzi. Ręka mu drętwieje; Simon zakłada nogę na nogę. Na-gle staje mu przed oczami obraz nóg Rachel Humphrey, w samych tylko pończochach, i jego rąk na nich, przytrzymujących ją, podczas gdy ona się szamocze. Wyrwa się z rozmysłem, obserwując go spod rzęs na wpół zamkniętych oczu, by sprawdzić, jakie to wywiera na nim wrażenie. Wije się niczym giętki węgorz. Błaga niczym branka. Jest śliska, jej skórę pokrywa pot, który miesza się z jego potem, wilgotne włosy opadają jej na twarz, na jego usta, co noc. Jest uwięziona. Jej skóra, tam gdzie ją polizał, lśni niczym satyna. Tak dalej być nie może.

– Proszę ją spytać – mówi – czy kiedykolwiek miała romans z Jamesem McDermottem. – Nie zamierzał zadawać tego pytania; z pewnością nie na początku i nie tak bezpośrednio. Ale czyż – teraz to widzi – nie jest to coś, co chciałby wiedzieć najbardziej?

DuPont zniżonym głosem powtarza pytanie Grace. Następuje milczenie, po czym Grace wybucha śmiechem. A może to śmieje się ktoś inny: ten głos nie należy do Grace.

– Romans, panie doktorze? Co pan ma na myśli? – Głos jest cienki, drżący, ale w pełni świadomy, czujny. – Doprawdy, panie doktorze, jakież z pana hipokryta! Chce pan wiedzieć, czy się z nim całowałam, czy z nim spałam? Czy byłam jego kochanką! O to chodzi?

– Tak – mówi Simon. Jest wstrząśnięty, ale nie może tego okazać. Spodziewał się serii monosylab, zwykłych „tak” lub „nie”, siłą z niej wydartych, z jej letargu i ośpienia; serii wymuszonych i sennych odpowiedzi na jego stanowcze pytania. Na pewno nie takiej zjadliwej ironii. Ten głos nie może należeć do Grace, ale w takim razie, do kogo należy?

– Czy zrobiłam to, co pan miałby ochotę zrobić z tą małą dziwką, która uczepiła się pańskiej dłoni? – Następuje suchy śmiech.

Lydia z trudem wciąga powietrze i cofa dłoń, jak gdyby ręka Simona parzyła. Grace znowu się śmieje.

– Chciałby pan to wiedzieć, więc powiem panu. Tak, spotykałam się z nim na dworze, w koszuli nocnej, przy świetle księżyca. Przytulałam się do niego, pozwalałam

się całować i dotykać – wszędzie panie doktorze, wszędzie tam, gdzie pan chciałby mnie dotykać, bo wiem, o czym pan myśli, siedząc ze mną w tej dusznej szwalni. Ale to wszystko, doktorze. Pozwalałam mu tylko na tyle. Trzymałam go na sznurku, tak samo jak pana Kinneara. Obaj tańczyli, jak im zagrałam!

– Niech pan ją spyta, dlaczego – mówi Simon. Nie rozumie, co się dzieje, ale to może być dla niego ostatnia okazja, żeby zrozumiał. Musi zachować zdrowy rozsądek i jasną linię postępowania. Jego głos, gdy się odzywa, brzmi w jego uszach jak skrzek.

– Sapałam w ten sposób – mówi Grace. Wydaje z siebie erotyczny jęk. – Wiłam się i skręcałam, a wtedy mówił, że zrobi dla mnie wszystko. – Chichocze. – Ale dlaczego? Och, panie doktorze, pan zawsze pyta, dlaczego. Wtyka pan nos w nie swoje sprawy, i to nie tylko własny nos. Jakiż pan ciekawski! Ciekawość to pierwszy stopień do piekła, panie doktorze. Powinien pan uważać na tę małą myszkę koło pana – i na jej futrzaną norkę!

Ku zdziwieniu Simona wielbny Verringer chichocze, a może kaszle.

– To skandal – oburza się żona komendanta. – Nie będę tu dłużej siedziała i słuchała tych świństw! Lydio, idziemy! – Podnosi się; jej spódnica szeleści.

– Proszę – mówi DuPont. – Proszę wytrzymać. Skromność musi ustąpić miejsca dobru nauki.

Simonowi zdaje się, że cała ta sytuacja wymyka się spod kontroli. Musi przejąć inicjatywę, albo przynajmniej spróbować to zrobić; musi powstrzymać Grace od czytania w jego myślach. Słyszał o umiejętności jasnowidzenia osób poddanych hipnozie, ale nigdy dotąd w to nie wierzył.

– Proszę ją spytać – mówi surowo – czy była w piwnicy w domu pana Kinneara w sobotę 23 lipca 1843 roku.

– Piwnica – mówi DuPont. – Musisz sobie wyobrazić piwnicę, Grace. Cofnij się w czasie, w przestrzeni...

– Tak – odpowiada Grace swym nowym, wysokim głosem. – Idę korytarzem, podnoszę klapę drzwi, schodzę do piwnicy. Beczki, whisky, warzywa w skrzyniach z piachem. Tam, na podłodze. Tak, byłam w piwnicy.

– Proszę ją spytać, czy widziała tam Nancy.

– Tak, widziałam ją. – Pauza. – Tak jak widzę pana, doktorze. Zza woalu. I słyszę pana.

Doktor DuPont wygląda na zdziwionego.

– To nietypowe – mruczy – ale znane są takie przypadki.

– Czy żyła? – pyta Simon. – Czy jeszcze żyła, kiedy ją widziałas?

Głos chichocze.

– Była częściowo żywa. Albo częściowo martwa. Trzeba ją było... – przenikliwy chichot – ...uwolnić od cierpienia.

Wielbny Verringer gwałtownie wciąga powietrze. Simon czuje, jak mu wali serce.

– Czy pomogłaś ją udusić? – pyta.

– To moja chusteczka ją udusiła. – Znowu chichot. – Był na niej taki ładny wzorek!

– Okropność – mruczy Verringer. Pewnie myśli o tych wszystkich modlitwach za jej duszę, o atramencie i papierze, jaki poświęcił na jej rzecz. Listy, petycje i wiara.

– Szkoda mi było stracić tę chusteczkę; miałam ją tak długo. Należała do mojej

matki. Powinnam była ją zdjąć z szyi Nancy, ale James mi nie pozwolił, nie pozwolił też, żebym wzięła jej kolczyki. Była na nich krew, ale dałoby się ją zmyć.

– Zabiłaś ją – mówi Lydia, ciężko oddychając. – Zawsze tak myślałam. – W jej głosie słyhać nutę podziwu.

– To chusteczka ją zabiła. Ręce tylko ją trzymały – mówi głos. – Ona musiała umrzeć. Zapłatą za grzech jest śmierć. A ten dzentelmen też wreszcie umarł. Żeby było sprawiedliwie.

– Och, Grace – jęczy żona komendanta. – Miałam o tobie lepsze mniemanie! Oszukiwałaś nas przez tyle lat!

Głos jest pełen radości.

– Przestań opowiadać bzdury – mówi. – Sami siebie oszukiwaliście! Ja nie jestem Grace! Grace nic o tym nie wiedziała!

Nikt w pokoju się nie odzywa. Głos jest teraz buczący, jak cicha muzyka, jak pszczoła.

– Wieczne skały w gęstej ciszy,

Dajcie schować się w swej niszy!

Niechaj wasza krew i woda...

– Ty nie jesteś Grace – mówi Simon. Pomimo ciepła w pokoju czuje zimno na całym ciele. – Jeżeli nie jesteś nią, to kim jesteś?

– W gęstej ciszy...

Dajcie schować się w...

– Musisz odpowiedzieć – mówi DuPont. – Rozkazuję ci!

Rozlega się kolejna seria stuknięć, ciężkich, rytmicznych, jakby ktoś tańczył w sabotach. Potem szept:

– Nie możesz rozkazywać. Musisz zgadnąć!

– Wiem, że jesteś duchem – mówi pani Quennell. – One potrafią przemawiać ustami osoby w transie. Wykorzystują nasze materialne organy. Ten mówi ustami Grace. Ale one niekiedy kłamią.

– Ja nie kłamię! – protestuje głos. – Ja jestem ponad kłamstwo! Już nie muszę kłamać!

– Nie zawsze można im wierzyć – stwierdza pani Quennell, jakby mówiła o dziecku albo służącej. – To może być James McDermott, który tu przybył, by zniszczyć reputację Grace. By ją oskarżyć. Był to ostatni akt w jego życiu, a ci, którzy umierają z pragnieniem zemsty, często pozostają uwięzieni na ziemi.

– Proszę, pani Quennell – mówi doktor DuPont. – To żaden duch. Jesteśmy świadkami naturalnego zjawiska. – W jego głosie słyhać rozpacz.

– Nie jestem Jamesem – mówi głos – ty stara oszustko!

– W takim razie Nancy – mówi pani Quennell, która najwyraźniej nie czuje się dotknięta tą obelgą. – One często są aroganckie – wyjaśnia. – Wyzywają nas. Niektóre są wściekłe – te uwiązane na ziemi, które nie mogą znieść tego, że umarły.

– Nie jestem Nancy, ty idiotko! Nancy nic nie może powiedzieć, nie powiedziałyby ani słowa z taką szyją. Kiedyś ta szyja była taka ładna! Ale Nancy już się nie gniewa, nie żywi urazy, Nancy jest moją przyjaciółką. Ona teraz rozumie, chce się ze mną wszystkim

dzielić. No, dalej, doktorze – mówi głos, teraz przymilnie. – Przecież lubi pan zagadki. Zna pan odpowiedź. Powiedziałam panu, że to była moja chusteczka, ta, którą zostawiłam Grace, kiedy, kiedy... – Znowu zaczyna śpiewać: – „Och, gdym prawdę dojrzał w jej jasnych oczętach, pokochałem Mary...”.

– Nie Mary – mówi Simon. – Nie Mary Whitney.

Rozlega się ostre klaśnięcie, które zdaje się pochodzić z sufitu.

– To ja kazałam Jamesowi to zrobić. Namówiłam go. Byłam tam cały czas!

– Tam? – pyta DuPont.

– Tutaj! Z Grace, gdzie jestem teraz. Na podłodze było tak zimno i leżałam zupełnie sama; potrzebowałam ciepła. Ale Grace nie wie, ona nigdy nie wiedziała! – Głos już nie szydzi. – Mało brakowało, a by ją powiesili, ale to byłoby niesłuszne. Ona nic nie wiedziała! Ja tylko na jakiś czas pożyczyłam od niej powłokę.

– Powłokę? – pyta Simon.

– Jej ziemską powłokę. Cieleśne ubranie. Zapomniała otworzyć okno, więc nie mogłam się wydostać! Ale nie chciałabym, żeby jej się stała krzywda. Nie możecie jej o tym powiedzieć! – Głosik jest teraz błagalny.

– Dlaczego? – pyta Simon.

– Pan wie, dlaczego, doktorze Jordan. Chce ją pan znowu zobaczyć w domu dla obłąkanych? Początkowo podobało mi się tam, mogłam mówić na głos. Mogłam się śmiać. Mogłam opowiadać, co się stało. Ale nikt mnie nie słuchał. – Następuje ciche szlochanie. – Nikt mnie nie słyszał.

– Grace – mówi Simon. – Przestań robić sztuczki!

– Nie jestem Grace – mówi głos, bardziej niepewnie.

– Czy to rzeczywiście ty? – pyta go Simon. – Mówisz prawdę? Nie bój się.

– Widzi pan? – zawodzi głos. – Jest pan taki sam, nie chce mnie pan słuchać, nie wierzy mi pan, chce pan wszystko po swojemu, nie słyszy mnie pan... – Głos odpływa i zapada cisza.

– Odeszła – mówi pani Quennell. – Zawsze wiadomo, kiedy odchodzą do swojego wymiaru. Czuje się to w powietrzu, to jak wyładowanie elektryczne.

Przez dłuższą chwilę nikt się nie odzywa. Potem doktor DuPont robi ruch.

– Grace – mówi, pochylając się nad nią. – Grace Marks, czy mnie słyszysz? – Kładzie rękę na jej ramieniu.

Znowu następuje długa chwila ciszy, podczas której wszyscy słyszą oddech Grace, teraz nierówny, jakby w niespokojnym śnie.

– Tak – odzywa się wreszcie swym zwykłym głosem.

– Teraz cię obudzę – mówi DuPont. Delikatnie zdejmuje woal z jej głowy i odkłada go na bok. Twarz Grace jest nieruchoma i gładka. – Unosisz się do góry, coraz wyżej. Wynurzasz się z głębin. Nie będziesz nic pamiętała. Kiedy pstryknę palcami, obudzisz się. – Podchodzi do lampy, rozjaśnia ją, potem wraca do Grace i przysuwa rękę do jej głowy. Strzela palcami.

Grace porusza się, otwiera oczy, rozgląda się ze zdziwieniem i uśmiecha. To spokojny uśmiech, już nie spięty i bojaźliwy. Uśmiech grzecznego dziecka.

– Chyba usnęłam – mówi.

– Czy pamiętasz coś? – pyta z ożywieniem doktor DuPont. – Coś, co się tu wydarzyło?

– Nie – odpowiada Grace. – Spałam. Ale chyba coś mi się śniło. Śniła mi się moja matka. Unosiła się na wodzie. Była spokojna.

Simon oddycha z ulgą. Doktor DuPont najwyraźniej także. Bierze Grace za rękę i pomaga jej wstać z krzesła.

– Może ci się trochę kręcić w głowie – mówi do niej łagodnie. – To się często zdarza. Pani Quennell, czy może pani ją odprowadzić do sypialni, żeby mogła się położyć?

Pani Quennell wychodzi z pokoju, trzymając Grace pod rękę, jakby była kaleką. Ale Grace idzie teraz lekkim krokiem i wygląda niemal na szczęśliwą.

Panowie zostają w bibliotece. Simon cieszy się, że siedzi. W tej chwili o niczym innym tak nie marzy, jak o szklaneczce dobrej, mocnej brandy dla uspokojenia nerwów, ale w obecnym towarzystwie nie ma na to szans. Kręci mu się w głowie i zastanawia się, czy nie wraca jego dawna gorączka.

– Panowie – zaczyna DuPont. – Jestem zdezorientowany. Nigdy wcześniej nie doświadczyłem czegoś takiego. Rezultaty przechodzą moje oczekiwania. Pacjent z reguły pozostaje pod kontrolą prowadzącego. – Wygląda na wstrząśniętego.

– Dwieście lat temu nikt nie czułby się zdezorientowany – mówi wielebny Verringer. – Uznano by to za czysty przypadek opętania. Stwierdzono by, że Mary Whitney zawładnęła ciałem Grace Marks, a zatem jest odpowiedzialna za nakłanianie do zbrodni i pomoc w uduszeniu Nancy Montgomery. Zalecono by egzorcyzmy.

– Ale mamy wiek dziewiętnasty – odzywa się Simon. – Może to być choroba neurologiczna. – Chciałby powiedzieć „musi”, ale woli nie sprzeciwiać się zbyt ostro Verringerowi. Poza tym jest zupełnie skołowany i niepewny swego intelektualnego podłoża.

– Zdarzały się takie przypadki – mówi DuPont. – Już w 1816 roku pojawiła się niejaka Mary Reynolds z Nowego Jorku, której dziwaczne zmiany osobowości opisał doktor S.L. Mitchill, także z Nowego Jorku. Czy zna pan ten przypadek, doktorze Jordan? Nie? Od tamtej pory Wakley z „The Lancet” nieraz szeroko omawiał to zjawisko. Nazywa je *podwójną świadomością*, choć z naciskiem odrzuca możliwość dotarcia do tak zwanej wtórnej osobowości za pomocą neurohipnotyzmu, gdyż istnieją zbyt duże szanse na to, że pacjent będzie się znajdował pod wpływem prowadzącego. Zawsze był zagorzałym przeciwnikiem mesmeryzmu i podobnych mu praktyk. Pod tym względem jest konserwatystą.

– Przypominam sobie, że Puysegeur opisuje coś w tym rodzaju – mówi Simon. – Może to być przypadek tak zwanego *dédoublement*, kiedy to pacjent, będąc w transie somnambulicznym, objawia zupełnie inną osobowość niż na jawie, a te dwie połowy nic nie wiedzą o sobie nawzajem.

– Panowie, trudno dać temu wiarę – wtrąca Verringer. – Ale dziwniejsze rzeczy się zdarzały.

– Natura niekiedy obdarza ciało dwiema głowami – mówi DuPont. – Dlaczego więc w mózgu nie miałyby istnieć dwie osoby? Możliwe są przypadki nie tylko występujących na przemian stanów świadomości, jak twierdzi Puysegeur, ale i dwóch osobowości, które mogą współistnieć w tym samym ciele, a jednak mieć zupełnie różne wspomnienia i być dwiema oddzielnymi istotami. To znaczy, jeżeli przyjmiemy – co jest sprawą dyskusyjną – że jesteśmy tym, co pamiętamy.

– Być może – dodaje Simon – jesteśmy również, co ważniejsze, tym, co zapominamy.

– Jeżeli ma pan rację – mówi wielebny Verringer – to co się dzieje z duszą? Nie

możemy przecież być zwykłymi zlepkami przypadkowych rzeczy! To przerażająca myśl, która – jeśli to prawda – wystawiłaby na pośmiewisko wszelkie zasady odpowiedzialności moralnej, a także samą moralność, tak jak ją obecnie definiujemy.

– Ten drugi głos, do kogokolwiek należał, zdumiewał swą agresywnością – zauważa Simon.

– Ale nie bez pewnej logiki – stwierdza oschle Verringer – i nie bez umiejętności widzenia w ciemności.

Simon przypomina sobie ciepłą dłoń Lydii i czuje, że się czerwieni. W tej chwili żałuje, że Verringer nie leży na dnie morza.

– Skoro dwie osoby, to dlaczego nie dwie dusze? – ciągnie DuPont. – To znaczy, jeżeli w ogóle musimy mieszać do tego duszę. Albo trzy dusze i osoby, jak już przy tym jesteśmy. Weźmy pod uwagę Trójcę Świętą.

– Doktorze Jordan – mówi wielebny Verringer, ignorując to teologiczne wyzwanie. – Co pan o tym napisze w swoim raporcie? Wydarzenia dzisiejszego wieczora z medycznego punktu widzenia z pewnością odbiegają od normy.

– Będę musiał bardzo starannie rozważyć swoje stanowisko – mówi Simon. – Choć widzą panowie, że jeżeli przyjmujemy przesłanki doktora DuPonta, Grace zostaje uwolniona od winy.

– Uznanie takiej możliwości wymagałoby pewnego przeskoku w wierze – mówi Verringer. – Takiego, że sam będę się modlił o to, by umocnić się w niej, zawsze bowiem wierzyłem, że Grace jest niewinna, a raczej miałem taką nadzieję, choć muszę przyznać, że wciąż jestem cokolwiek wstrząśnięty. Ale jeżeli mieliśmy do czynienia ze zjawiskiem naturalnym, to kimże jesteśmy, by je kwestionować? Podłożem wszelkich zjawisk jest Bóg, a on musi mieć swoje powody, jakkolwiek dziwne muszą się one wydawać naszym śmiertelnym oczom.

Simon wraca do domu sam. Noc jest jasna i ciepła, księżyc niemal w pełni, otoczony nimbem mgły. Powietrze pachnie skoszoną trawą i końskim nawozem z lekką domieszką psiej sierści.

Przez cały wieczór zdołał zachować pozorną samokontrolę, ale teraz ma wrażenie, że jego mózg jest jak pieczony kasztan albo płonące zwierzę. W jego wnętrzu pobrzmiwa ciche wycie; czuje jakieś chaotyczne i gorączkowe ruchy, szarpaninę, rzucanie się na wszystkie strony. Co się wydarzyło w bibliotece? Czy Grace rzeczywiście była w transie, czy też udawała i śmiała się w kułak? Wie, co widział i co słyszał, ale być może pokazano mu iluzję, której nie może w żaden sposób podważyć.

Simon zdaje sobie sprawę, że jeżeli opíše w swoim raporcie to, czego był świadkiem, i jeżeli jego raport zostanie włączony do jakiejś petycji na rzecz Grace Marks, natychmiast ukróci to wszelkie szanse na sukces. Takie petycje czytają ministrowie sprawiedliwości i im podobni; to twardogłowi, praktyczni ludzie, którzy wymagają solidnych dowodów. Jeżeli raport zostanie podany do wiadomości publicznej i szeroko rozpowszechniony, Simon stanie się przedmiotem drwin, zwłaszcza wśród osobistości ze środowiska medycznego. To by oznaczało koniec jego planów związanych z domem

dla obłąkanych – bo kto zechciałby subsydiować tę instytucję, wiedząc, że ma być ona prowadzona przez jakiegoś pomyleńca, który wierzy w mistyczne głosy?

Nie może napisać takiego raportu, jakiego sobie życzy Verringer, nie popełniając wiarołomstwa. Najbezpieczniej byłoby nic nie napisać, ale Verringer nie da mu się tak łatwo uwolnić z haczyka. Faktem jednak jest, że Simon nie może niczego stwierdzić z całą pewnością i zarazem powiedzieć prawdy, gdyż ta prawda go zwodzi. A może raczej to Grace go zwodzi? Wyślizguje mu się, wciąż jest poza jego zasięgiem, odwracając głowę, by się przekonać, czy wciąż za nią nadaża.

Odsuwa od siebie myśli o niej i zwraca je ku Rachel. Ona jest przynajmniej kimś, kogo może się trzymać. Nie wymknie mu się z rąk.

Dom jest pogrążony w mroku; Rachel pewnie już śpi. Simon nie chce jej spotkać, tego wieczora jej nie pożąda – wręcz przeciwnie, myśl o niej, o jej napiętym ciele w kolorze kości, o zapachu kamfory i zwiędłych fiołków, przepęlnia go lekką odrazą. Wie jednak, że wszystko się zmieni, gdy tylko przekroczy próg. Będzie się skradał na paluszkach po schodach, usiłując jej uniknąć. Potem nagle się odwróci, skieruje swe kroki do jej pokoju i raptownie ją obudzi. Dziś ją uderzy, o co go już błagała. Nigdy wcześniej tego nie robił, to dla niego nowość. Chce ją ukarać za swe uzależnienie od niej. Chce, by płakała – ale niezbyt głośno, bo inaczej usłyszy ich Dora, która wywoła skandal. To zdumiewające, że nie słyszała ich wcześniej, gdyż zaczęli się zachowywać coraz bardziej nierozważnie.

Wie, że repertuar już prawie się wyczerpał – tego, co mu może zaoferować Rachel – że wszystko zmierza ku końcowi. Ale co się wydarzy przed tym końcem? A sam koniec – jaki przybierze kształt? Musi być jakieś zakończenie, jakiś finał. Simon nie może myśleć. Być może dzisiaj powinien się pohamować.

Otwiera drzwi swoim kluczem, tak cicho, jak tylko może. Ona jest tam, w środku, czeka na niego w hallu, w mroku, w swym peniuarze z falbankami, który blade lśni w świetle księżyca. Otacza go ramionami i przyciąga do siebie. Jej ciało drży. Simon ma ochotę uderzeniem odrzucić ją od siebie, bo zasnuwa ona jego twarz pajęczyną, czy też warstewką oblepiającej galarety. Zamiast tego całuje ją. Jej twarz jest mokra; Rachel płakała. Płacze i teraz.

– Cśś – mruczy Simon, głaszcząc ją po włosach. – Cśś, Rachel. – Tego właśnie oczekiwał od Grace – drżenia i lgnięcia. Często to sobie wyobrażał, choć teraz wydaje mu się to podejrzanie teatralne. Sceny te zawsze były umiejętnie oświetlone, gesty – również jego – omdlewające, pełne wdzięku i rozkosznego drżenia, jak w scenach śmierci w balecie. Rzewna udręka jest daleko mniej pociągająca, gdy musi się z nią realnie zmierzyć z bliska, fizycznie. Łzawiące oko łani to zupełnie co innego niż ciekący nos. Simon szuka chusteczki.

– On wraca – mówi Rachel przenikliwym szeptem. – Dostałam od niego list. – Przez chwilę Simon nie ma pojęcia, o czym ona mówi. Ale oczywiście chodzi o majora. Simon w wyobraźni już go posłał na dno rozpusty, po czym zapomniał o nim.

– Och, co z nami będzie? – wzdycha Rachel. Melodramatyczność sposobu

ekspresji nie umniejsza emocji – przynajmniej dla niej.

– Kiedy? – szepcze Simon.

– Napisał do mnie list – szloch Rachel. – Mówi, że muszę mu wybaczyć. Zapewnia, że się zmienił – chce zacząć nowe życie – tak zawsze mówił. Teraz muszę cię stracić – to nie do zniesienia! – Jej ramiona się trzęsą, ręce obejmują go konwulsyjnie.

– Kiedy przyjeżdża? – pyta Simon. Często wyobrażał sobie tę scenę z przyjemnym dreszczykiem strachu – on w objęciach Rachel, major pojawiający się w drzwiach, wściekły i z obnażoną szablą. Teraz obraz ten powraca ze świeżą wyrazistością.

– Za dwa dni – odpowiada Rachel zdławionym głosem. – Pojutrze wieczorem. Pociągiem.

– Chodź – mówi Simon. Prowadzi ją korytarzem do sypialni. Teraz, kiedy już wie, że ucieczka od niej jest nie tylko możliwa, ale i konieczna, czuje do Rachel wielkie pożądanie. Rachel zapala świecę; zna jego upodobania. Zostało im niewiele godzin; grozi im odkrycie. Panika i strach podobno przyspieszają bicie serca i zwiększają żądzę. Simon zapisuje w pamięci – *to prawda* – gdyż być może po raz ostatni popycha ją na łóżko i ciężko opada na nią, grzebiąc w zwojach jej sukni.

– Nie opuszczaj mnie – jęczy Rachel. – Nie zostawiaj mnie samej z nim! Nie wiesz, co on mi zrobi! – Tym razem jej spazmy są prawdziwe. – Nienawidzę go! Oby umarł!

– Cśś – szepcze Simon. – Dora może usłyszeć. – Niemal ma nadzieję, że usłyszy. W tej chwili czuje wielką potrzebę posiadania widowni. Wokół łóżka ustawia cienisty zastęp obserwatorów: nie tylko majora, ale i wielebnego Verringera, Jerome’a DuPonta i Lydię. A ponad wszystko, Grace Marks. Chce, by była zazdrosna.

Rachel nieruchomieje. Jej zielone oczy się otwierają i spoglądają prosto w oczy Simona.

– On nie musi wracać – mówi. Jej tęczołki są ogromne, a źrenice maleńkie jak szpileczki. Czyżby znowu brała laudanum? – Może mieć wypadek. Jeżeli nikt go nie zobaczy. Może mieć wypadek w domu. Mógłbyś go pogrzebać w ogrodzie. – Nie jest to bynajmniej improwizacja; musiała obmyślić plan. – Nie moglibyśmy tu zostać, bo ktoś mógłby go znaleźć. Pojechalibyśmy do Stanów. Pociągiem! Wtedy bylibyśmy razem. Nigdy by nas nie znaleźli!

Simon kładzie dłoń na jej ustach, by ją uciszyć. Rachel myśli, że to oznacza jego zgodę.

– Och, Simon – wzdycha. – Wiedziałałam, że nigdy mnie nie opuścisz! Kocham cię ponad życie! – Pokrywa jego twarz pocałunkami; jej ruchy stają się epileptyczne.

To kolejny z jej scenariuszy wzbudzania żądz, przede wszystkim w samej sobie. Po krótkiej chwili Simon, odpoczywając koło niej, usiłuje sobie wyobrazić, co ona sobie uroiła. To zupełnie jak trzeciorzędna opowieść grozy: pijany major zataczający się na schodach, sam, w mroku, a potem wchodzący do frontowego hallu. Jest tam Rachel: major ją uderza, a potem rzuca się na nią, wystraszoną, z pijacką żądzą. Rachel krzyczy i błaga o zmiłowanie, on zaś śmieje się jak diabeł. Ale pomoc nadchodzi: następuje ostry cios łopatą w głowę, zadany od tyłu. Major pada z głuchym łoskotem i zostaje wywleczony za nogi przez korytarz do kuchni, gdzie czeka skórzana torba Simona. Szybkie przecięcie żyły szyjnej chirurgicznym nożem, krew tryska do kubła na

nieczystości, i już po wszystkim. Trochę kopania przy świetle księżycy i major zostaje zagrzebany w dole na kapustę. Rachel w twarzowym szalu ściska przygaszoną latarnię i przysięga, że już na zawsze będzie należała do niego po tym, co się odważył zrobić dla jej dobra.

Ale jest też Dora, która obserwuje ich z kuchennych drzwi. Nie można pozwolić jej uciec. Simon ściga ją po domu i dopada w spiżarni, gdzie zaszlachtowuje ją jak świnie. Rachel drży i mdleje, ale wkrótce bierze się w garść jak prawdziwa bohaterka i przychodzi mu z pomocą. Dla Dory trzeba wykopać kolejny grób, po czym następuje orgiastyczna scena na kuchennej podłodze.

To tyle, jeśli chodzi o burleskę o północy. A co potem? Potem zostanie mordercą, zaś Rachel jedynym świadkiem zbrodni. Będzie jej poślubiony, przykuty do niej, stopiony z nią, czego Rachel zapewne pragnie. Nigdy już nie będzie wolny. Ale tej części na pewno nie zdołała sobie wyobrazić: kiedy już bezpiecznie dotrą do Stanów, Rachel stanie się osobą bez nazwiska, nieznaną kobietą, taką, jakie często znajduje się w kanałach lub innych zbiornikach wodnych. *Nieznana kobieta znaleziona w kanale*. Kto by go podejrzewał?

Jakiej metody użyje? W łóżku, w chwili szału, gdy jej włosy oplatają jego szyję, wystarczy jedynie lekki nacisk.

Rano o wszystkim zapomniała. Simon znowu odwraca się do niej, układa ją wygodnie. Głaszcze jej szyję.

Budzą go promienie słońca. Nadal leży koło niej, w jej łóżku. Zapomniał wrócić do siebie ostatniej nocy – i nic dziwnego: był wyczerpany. W kuchni słyszy Dorę, szcękającą i stukającą garnkami. Rachel leży na boku, oparta na jednej ręce. Obserwuje go. Jest naga, ale owinęła się prześcieradłem. Na ramieniu ma siniak. Simon nie przypomina sobie, by go zrobił.

Simon siada na łóżku.

– Muszę iść – szepcze. – Dora nas usłyszy.

– Nic mnie to nie obchodzi – odpowiada Rachel.

– Ale twoja reputacja...

– To nie ma znaczenia – mówi Rachel. – Będziemy tu jeszcze tylko dwa dni. –

Mówi praktycznym tonem. Uważa, że wszystko jest załatwione, jak sprawa służbowa. Przychodzi mu do głowy – dlaczego dopiero teraz? – że Rachel może być obłąkana albo na skraju szaleństwa, czy też, w najlepszym razie, moralnie zepsuta.

Simon zakrada się na górę po schodach, niosąc w ręku buty i surdut, jak niesforny student wracający z hulanki. Czuje dreszcze. To, co on postrzegał jako zwykłą grę, ona wzięła za rzeczywistość. Rachel naprawdę wierzy, że on, Simon, zabije jej męża z miłości do niej. Co zrobi, kiedy jej odmówi? Kręci mu się w głowie, podłoga pod stopami wydaje się nierealna, jakby miała się rozpuścić.

Przed śniadaniem szuka jej. Rachel siedzi w salonie, na kanapie. Wstaje i wita go namiętnym pocałunkiem. Simon odrywa się od niej i mówi, że jest chory. To nawrót malarycznej gorączki, której się nabawił w Paryżu. Jeżeli mają zrealizować swoje zamiary

– ujmuje to w ten sposób, by ją rozbroić – będzie musiał natychmiast zażyć właściwe lekarstwo, inaczej nie odpowiada za konsekwencje.

Rachel dotyka jego czoła, które przezornie zwilżył gąbką. Jest przestraszona, stosownie do sytuacji, ale jednocześnie w jej głosie pobrzmiwa uniesienie: jest gotowa się nim opiekować, przybrać kolejną rolę. Simon rozumie, co Rachel ma na myśli: zrobi mu bulion i galaretkę, zapakuje w koce, pieczołowicie owinie każdą część jego ciała, która wystaje. Simon będzie osłabiony i bezradny, całkowicie pod jej kontrolą: taki jest jej cel. Musi się przed nią ratować, póki jeszcze jest na to czas.

Całuje ją w koniuszki palców. Mówi czule, że Rachel musi mu pomóc. Jego życie zależy od niej. Wcisną jej do ręki liścik do żony komendanta: prosi w nim o nazwisko jakiegoś lekarza, gdyż tutaj żadnego nie zna. Kiedy Rachel dostanie to nazwisko, musi natychmiast pobiec do lekarza i zdobyć lekarstwo. Daje jej receptę wypisaną niewyraźnym pismem i pieniądze. Mówi, że Dora nie może iść, bo na pewno nie będzie się śpieszyła. Czas jest tu bardzo ważny: leczenie trzeba zacząć natychmiast. Rachel kiwa głową ze zrozumieniem: mówi żarliwie, że zrobi wszystko.

Białolica i drżąca, ale z zaciśniętymi ustami, zakłada czepek i pośpiesznie wychodzi. Kiedy tylko Simon traci ją z oczu, osusza twarz i zaczyna się pakować. Posyła Dorę po wynajęty powóz, przekupując ją hojną łapówką. Czeka na jej powrót, pisze do Rachel list, w którym żegna się z nią grzecznie i usprawiedliwia swój wyjazd troską o zdrowie matki. Nie zwraca się do niej „Rachel”. Do koperty wkłada kilka banknotów, ale nie dołącza żadnych czułych słów. Jest człowiekiem światowym i nie da się w ten sposób złapać w pułapkę ani szantażować. Nie grozi mu żadne powództwo o niedotrzymanie obietnicy małżeństwa, gdyby umarł jej mąż. Być może sama go zabije; jest do tego więcej niż zdolna.

Zastanawia się, czy napisać również list do Lydii, ale się rozmyśla. Dobrze, że nigdy jej nie złożył żadnego formalnego przyrzeczenia.

Przyjeżdża powóz, który bardziej przypomina zwykłą furmankę. Simon wnosi do niego dwie walizy. „Na dworzec” – mówi. Kiedy już znajdzie się w bezpiecznej odległości, napisze do Verringera, obiecując jakiś raport, żeby zyskać nieco czasu. Może w końcu uda mu się coś napisać – coś, co go nie całkiem zdyskredytuje. Ale przede wszystkim musi już mieć za sobą ten tragiczny epizod. Po krótkiej wizycie u matki i uporządkowaniu swoich finansów pojedzie do Europy. Jeśli matka go wspomocze – a na pewno to zrobi – bo jego ledwo na to stać.

Bezpiecznie czuje się dopiero w pociągu, przy szczelnie zamkniętych drzwiach do przedziału. Obecność konduktora w mundurze jest dla niego uspokajająca. Już sam porządek pewnego rodzaju przynosi ulgę.

Kiedy już znajdzie się w Europie, z powrotem podejmie swoje badania. Będzie studiował dominujące obecnie szkoły myśli, ale nic do nich nie doda, jeszcze nie. Dotarł na próg świadomości i spojrzał ponad nim, czy też raczej pod niego. Mógł tam wpaść. Mógł się pogрузić. Mógł utonąć.

Może lepiej porzucić wszelkie teorie i skoncentrować się na metodach i środkach. Po powrocie do Ameryki ruszy się z miejsca. Zacznie wygłaszać wykłady, przyciągnie sponsorów. Zbuduje wzorcowy dom dla obłąkanych, z dobrze utrzymaną ziemią,

najlepszymi urządzeniami sanitarnymi i systemem odprowadzania ścieków. Amerykanie ponad wszystko przedkładają komfort, choćby pozorny, w każdej instytucji. Dom dla obłąkanych, z wielkimi, wygodnymi pokojami, pomieszczeniami do hydroterapii i wieloma urządzeniami mechanicznymi, może dobrze prosperować. Muszą tam być kółeczka, które obracając się, będą furkotać, muszą być przewody, które podłącza się do czaszki. Aparaty do mierzenia. W swym prospekcie zawrze słowo „elektryczny”. Przede wszystkim zaś pacjenci muszą być czysti i posłuszni – tu pomogą lekarstwa – a ich krewni pełni podziwu i zadowoleni. Tak jak w szkołach dla dzieci – należy wywierać wrażenie nie na wychowankach, lecz na tych, którzy płacą rachunki.

Wszystko to będzie oparte na kompromisie. Ale teraz Simon – zupełnie nagle, jak się wydaje – osiągnął do tego odpowiedni wiek.

Pociąg rusza ze stacji. Pojawia się chmura czarnego dymu i rozbrzmiewa długie, żalosne wycie, które podąża za nim po torze niczym zbłąkany duch.

Dopiero w połowie drogi do Cornwall pozwala sobie na rozmyślenia o Grace. Czy pomyśli, że ją opuścił? Może stracił w nią wiarę? Jeżeli rzeczywiście nie jest świadoma wydarzeń ostatniego wieczora, to ma prawo tak myśleć. Będzie zdumiona jego zachowaniem, tak jak on był zdumiony jej.

Jeszcze nie może wiedzieć, że wyjechał z miasta. Wyobraża ją sobie, jak siedzi na tym samym krześle co zawsze i szyje kołdrę. Może śpiewa. Czeka na odgłos jego kroków w korytarzu.

Na zewnątrz zaczyna mżyć. Po jakimś czasie ruch pociągu usypia go; Simon opiera się o ścianę. Grace idzie do niego po szerokim trawniku zalany słońcem, cała ubrana na biało, niosąc naręczce czerwonych kwiatów. Są tak wyraźne, że Simon widzi na nich krople rosy. Grace ma rozpuszczone włosy, jest boso i się uśmiecha. Potem Simon spostrzega, że Grace idzie nie po trawie, lecz po wodzie, a kiedy chce ją objąć, rozplywa się jak mgła.

Budzi się. Jest nadal w pociągu; za oknem kłębi się szary dym. Simon przyciska usta do szyby.

XIV

Litera X

1 kwietnia 1863. Skazana Grace Marks została uznana winną podwójnego, czy też – rzecz by można – biblijnego morderstwa. Jej zuchwalstwo nie świadczy o tym, iż jest osobą wrażliwą, a domaganie się wdzięczności przekonująco dowodzi jej fatalnych skłonności.

1 sierpnia 1863. Ta nieszczęsna kobieta stała się niebezpiecznym stworzeniem i bardzo się obawiam, że jeszcze nam pokaże, do czego jest zdolna. Niestety, pomagają jej pewne osoby. Nie śmiałyby tak kłamać, gdyby nie ci ludzie, którzy ją ochraniają.

Dziennik Naczelnika

Więzienie okręgowe w Kingston,

Kanada Zachodnia, 1863

...ze względu na jej wzorowe zachowanie w ciągu całego trzydziestoletniego okresu uwięzienia, którego ostatnią część spędziła jako zaufany domownik w rezydencji komendanta, oraz na to, że tak wielu wpływowych obywateli Kingston uważało, iż zasługuje ona na ulaskawienie, wszyscy skłaniali się ku przekonaniu, że można żywić poważne wątpliwości co do tego, iż jest ona wcieleniem diabła w kobiecej skórze, jak to usiłował wmówić opinii publicznej McDermott.

William Harrison

„Refleksje na temat tragedii w domu Kinneara”,

artykuł dla „Newmarket Era”, 1908

Moje listy! Ten martwy papier, niemy, biały!

A każda kartka zda się drżąca, żywa

W mych dygocących dłoniach, gdy sznurek rozrywam...21

Elizabeth Barret Browning

Sonety portugalskie, 1850

21 tłum. Ludmiła Marjańska, E.B. Browning, *Poezje wybrane*, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 1987.

50

Do pani C.D. Humphrey;

od doktora Simona Jordana,

Kingston, Kanada Zachodnia.

15 sierpnia 1859

Szanowna Pani Humphrey!

Piszę w pośpiechu, gdyż zostałem pilnie wezwany do domu z powodu sprawy rodzinnej, co jest nakazem chwili, na który natychmiast muszę zareagować. Moja droga matka nagle podupała na zdrowiu i jest obecnie w obliczu śmierci. Modłę się tylko, bym zdążył na czas i mógł być przy niej w jej ostatniej chwili.

Przykro mi, że nie mogłem zostać, by osobiście się z Panią pożegnać i podziękować za okazaną mi uprzejmość, w czasie gdy wynajmowałem u Pani pokój, ale jestem pewien, że przy Pani dobroci i wrażliwości zrozumie Pani konieczność mego nagłego wyjazdu. Nie wiem, jak długo mnie nie będzie i czy kiedykolwiek uda mi się wrócić do Kingston. Jeżeli moja matka odejdzie, będę musiał się zająć sprawami rodzinnymi, jeśli zaś zostało jej jeszcze nieco czasu, moje miejsce jest przy niej. Kobieta, która tyle poświęciła dla swego syna, z pewnością zasługuje na równie wielkie poświęcenie z jego strony.

Mój powrót do Pani miasta w przyszłości jest wysoce nieprawdopodobny, ale na zawsze zachowam wspomnienia mego pobytu w Kingston – wspomnienia, w których odgrywa Pani ogromną rolę. Wie Pani, jak bardzo podziwiam Pani odwagę w obliczu przeciwności losu i jak Panią szanuję. Mam też nadzieję, że znajdzie Pani w swoim sercu podobne uczucia dla

Szczerze oddanego

Simona Jordana

PS W załączonej kopercie zostawiłem Pani pewną sumkę, która – mam nadzieję – wyrówna rachunki, które zostały nam do rozliczenia.

PPS Mam nadzieję, że Pani mąż wkrótce szczęśliwie do Pani wróci.

Od pani Williamowej P. Jordan, Laburnum House,

Loomisville, Massachusetts, Stany Zjednoczone Ameryki;

do pani C.D. Humphrey, Lower Union Street,

Kingston, Kanada Zachodnia.

29 września 1859

Szanowna Pani Humphrey!

Pozwalam sobie odesłać siedem listów zaadresowanych przez Panią do mojego drogiego syna, które nagromadziły się tu podczas jego nieobecności. Zostały niechcący otworzone przez służącą, co tłumaczy pojawienie się mojej pieczęci na miejscu Pani pieczęci.

Mój syn obecnie odbywa podróż po prywatnych domach dla obłąkanych i klinikach w Europie, gdzie przeprowadza badania niezbędne do pracy, w którą jest zaangażowany – pracy o ogromnym znaczeniu, która ulży ludzkiemu cierpieniu i której nie można przerywać z mniej znaczących powodów, choć mogą się one wydawać nagłace dla tych, którzy nie rozumieją ważkości jego misji. Ponieważ syn jest w nieustannej podróży, nie mogłam mu przesłać Pani listów, które zwracam teraz, przypuszczając, że życzyłaby sobie Pani znać powód braku odpowiedzi z jego strony. Pragnę jednak zauważyć, że brak odpowiedzi jest sam w sobie odpowiedzią.

Syn wspomniał, że może Pani usiłować odnowić znajomość z nim, i chociaż bardzo dyskretnie się o niej wyrażał, nie jestem aż tak niedołączna czy odcięta od świata, by nie móc czytać między wierszami. Jeśli zechce Pani przyjąć szczerą, lecz życzliwą radę od starej kobiety, to pragnę zauważyć, że w stałych związkach między osobami przeciwnej płci różnice w wieku i majątku zawsze okazują się szkodliwe, a jeszcze bardziej szkodliwe są rozbieżności w poglądach na moralność. Nierozważne i beztroskie prowadzenie się jest zrozumiałe u kobiety w takim położeniu, w jakim Pani się znalazła – w pełni sobie zdaję sprawę z tego, jak bardzo nieprzyjemne musi być, kiedy się nie wie, gdzie przebywa mąż – ale musi być Pani świadoma, że w wypadku zgonu takiego męża żaden mężczyzna z zasadami nie pojmie za żonę kobiety, która przedwcześnie uznała, iż znalazła się w takim położeniu. Mężczyźni, z natury rzeczy i z wyroku Opatrzności, mogą sobie pozwolić na pewną swobodę, lecz wierność ślubom małżeńskim jest podstawowym wymogiem stawianym kobietom.

We wczesnym okresie mojego wdowieństwa wielką pociechę mej skołatanej głowie przynosiło codzienne czytanie Biblii, także niemęczące robótki ręczne pomagają

zająć czymś myśli. Poza tymi lekarstwami być może ma Pani jakąś szacowną znajomą, która mogłaby Panią pocieszyć w strapieniu, nie wypytując o jego przyczyny. Nie zawsze odpowiada prawdzie to, w co wierzą ludzie z towarzystwa, lecz nie dotyczy to reputacji kobiety. Warto więc przedsięwziąć wszelkie kroki, by zachować tę reputację, nie ujawniając niepotrzebnie swego nieszczęścia poza granicami kraju, gdzie może się stać przedmiotem złośliwych plotek; mądrze jest też unikać wyrażania swych uczuć w listach, które powierza się poczcie publicznej i mogą wpaść w ręce osoby, która wiedzona ciekawością, może je przeczytać bez wiedzy nadawcy.

Pani Humphrey, proszę przyjąć pogląd, jaki wyraziłam w tym liście, jako dowód szczerzej troski o Pani przyszłą pomyślność, której życzy Pani

Szczerze oddana

(Pani) Constance Jordan

Od Grace Marks, więzienie okręgowe, Kingston,

Kanada Zachodnia;

do doktora Simona Jordana.

19 grudnia 1859

Szanowny Panie Doktorze!

Piszę do Pana z pomocą Clarrie, która zawsze była mi przyjaciółką i zdobyła dla mnie ten papier i w odpowiednim czasie wysłała list w zamian za moją pomoc przy koronkach i wywabianiu plam. Problem polega na tym, że nie wiem, dokąd go wysłać, gdyż nie wiem, gdzie Pan przebywa. Ale jeżeli się dowiem, wtedy go wyślę. Mam nadzieję, że zdoła Pan odczytać moje pismo, gdyż nie piszę zbyt często. Każdego dnia mogę poświęcić pisaniu jedynie krótką chwilę.

Kiedy usłyszałam, że wyjechał Pan tak szybko, bardzo się zmartwiłam, bo myślałam, że się Pan rozchorował. Nie mogłam zrozumieć, dlaczego wyjechał Pan bez pożegnania, po tylu wspólnych rozmowach. Zemdlałam w hallu na górze, a pokojówka wpadła w panikę i wylała na mnie wodę z wazonu, razem z kwiatami, z wazonem, ze wszystkim, co szybko wróciło mi przytomność, chociaż wazon się rozbił. Myślałam, że dostałam jakiegoś ataku i znowu wpadnę w obłąd, ale wcale tak się nie stało. Szybko zapanowałam nad sobą, a zemdlałam z szoku po usłyszeniu o Pańskim nagłym wyjeździe. Miałam też palpacje serca, które często mnie nękają. Poza tym wazon nabił mi guza na

czole. To zdumiewające, ile krwi może popłynąć z nawet płytkiej rany na głowie.

Byłam nieszczęśliwa, że Pan wyjechał, bo bardzo lubiłam nasze rozmowy. Powiedziano mi, że miał Pan napisać list do rządu z prośbą o uwolnienie mnie, i bałam się, że już Pan nigdy tego nie zrobi. Nic tak nie odbiera otuchy jak rozbudzone, a potem rozwiane nadzieje, to jeszcze gorsze niż całkowity brak nadziei od samego początku.

Mam szczerą nadzieję, że będzie Pan mógł napisać ten list ze wstawiennictwem za mnie, za co byłabym bardzo wdzięczna. Ufam też, że jest Pan w dobrym zdrowiu.

Grace Marks

Od doktora Simona Jordana,

zamieszkałego u doktora Binswanger,

Bellevue, Kreutzlinger, Szwajcaria;

do doktora Edwarda Murchiego, Dorchester,

Massachusetts, Stany Zjednoczone Ameryki.

12 stycznia 1860

Mój drogi Edwardzie!

Wybacz, że tak długo do Ciebie nie pisałem i nie powiadomiłem Cię o zmianie mojego adresu. Prawda jest taka, że moje sprawy nieco się zagmatwały i wydźwignięcie się zajęło mi nieco czasu. Jak zauważył Burns: „Najsprytniejsze intrygi myszy i ludzi często biorą w łeb”, i byłem zmuszony uciekać z Kingston, gdyż znalazłem się w skomplikowanej sytuacji, która szybko mogła się okazać destruktywna zarówno dla mnie, jak i dla moich perspektyw na przyszłość. Może któregoś dnia opowiem Ci nad szklaneczką sherry całą tę historię, choć teraz wspominam ją bardziej jako męczący sen.

Wśród jej elementów znajduje się fakt, że moje badania nad Grace Marks przybrały w końcu tak dziwny obrót, że sam nie potrafię rozstrzygnąć, czy była to jawa, czy też sen. Kiedy pomyślę, z jakimi nadziejami zabierałem się do tego przedsięwzięcia – zdecydowany dokonać wielkich odkryć, które zadziwią cały świat – niemal wpadam w rozpacz. A jednak czy rzeczywiście były to wielkie nadzieje, czy też jedynie ambicja? Z tego korzystnego dla obserwacji miejsca nie jestem tego całkiem pewien, ale jeżeli było to tylko to drugie, to być może dostałem godną zapłatę, bo niewykluczone, że porwałem się z motyką na słońce lub podjąłem bezowocny pościg za cieniem i wysiłek ten

doprowadził mnie niemal do utraty zmysłów. Jak mój imiennik apostoł, zarzuciłem sieci na głęboką wodę, choć w przeciwieństwie do niego mogłem wyłowić syrenę – ni to rybę, ni człowieka – której pieśń jest słodka, lecz niebezpieczna.

Nie wiem, czy uznać się za naiwną ofiarę, czy – co gorsza – za głupca, który okłamywał sam siebie, ale nawet te wątpliwości mogą być iluzją i być może miałem do czynienia z kobietą tak czystą i niewinną, że mój przyćmiony umysł nie potrafił tego rozpoznać. Muszę wyznać – ale tylko Tobie – że przez tę sprawę niemalże osiągnąłem stan nerwowego wyczerpania. Nie wiedzieć – chwytac się aluzji i symboli, znaków i zwodniczych szeptów – jest czymś równie strasznym, co być nawiedzonym. Niekiedy w nocy jej twarz przepływa przede mną w mroku jak jakiś piękny i ulotny miraż...

Wybacz mi tę chorą gadaninę. Mam przeczucie, że jeszcze dokonam jakiegoś wielkiego odkrycia – gdybym tylko widział jasno drogę przed sobą. Tymczasem jednak błędę w ciemności, prowadzony jedynie przez ogniki na bagnach.

Przechodząc do bardziej optymistycznych spraw: tutejsza klinika jest bardzo przejrzyste i sprawnie prowadzona i podejmuje wiele rodzajów terapii, z terapią wodną włącznie. Mogłaby stanowić wzór dla mojego własnego projektu, gdyby ten kiedykolwiek miał dojrzeć. Doktor Binswanger jest bardzo gościnnie i umożliwił mi dostęp do paru spośród najbardziej interesujących przypadków. Ku mojej uldze, nie ma tu uznanych morderczyń, a jedynie osoby, które zacny doktor Workman z Toronto określa mianem „niewinnych szaleńców”, a także pacjenci cierpiący na zaburzenia nerwowe, nałogowi pijacy i syfilitycy, choć oczywiście wśród bogaczy nie znajduje się tych samych schorzeń, co wśród biedaków.

Z wielką radością dowiedziałem się, że wkrótce uraczysz świat miniaturową kopią samego siebie – za pośrednictwem Twojej zacnej małżonki, której przekaz ode mnie, proszę, wyrazi szacunku. Jakiż spokój musi przynosić ułożone życie rodzinne oraz godna zaufania i solidna żona, która umie je zapewnić! Spokój jest doprawdy niedoceniany przez mężczyzn – oprócz tych, którym go brakuje. Zazdroszczę Ci!

Co zaś się tyczy mnie, obawiam się, że jestem skazany na samotną tułaczkę po ziemi, jak jeden z tych mrocznych i posępnych wyrzutek Byrona, choć bardzo by mnie podniosło na duchu, mój drogi towarzyszu, gdybym jeszcze choć raz mógł uścisnąć Twą dłoń prawdziwego przyjaciela. Szansa taka może się wkrótce nadarzyć, gdyż rozumiem, że nie ma perspektyw na pokojowe rozwiązanie obecnych różnic między Północą a Południem, a Południowe Stany poważnie rozważają secesję. W razie wybuchu działań wojennych mój obowiązek wobec kraju będzie rzeczą jasną. Jak w swym bujnie kwiecistym stylu ujmuje to Tennyson, nadszedł czas, by zerwać „krwawy kwiat wojny”. Wziąwszy pod uwagę mój obecny zamęt w głowie, wielką dla mnie ulgą będzie wypełnić jakieś postawione mi zadanie, bez względu na to, jak godna ubolewania miałyby być ku temu okazja.

Twój strapiony i zmęczony, lecz szczerze Ci oddany przyjaciel
Simon

Od Grace Marks, więzienie okręgowe, Kingston;

do rąk Signora Geralda Pontiego, mistrza neurohipnotyzmu, czytania w myślach i brzuchomówcy, w Prince of Wales Theatre, Queen Street, Toronto, Kanada Zachodnia.

25 września 1861

Drogi Jeremiaszu!

Widziałam plakat z Twoim przedstawieniem, który Dora powiesiła na ścianie pralni, żeby ją nieco ożywić. Od razu Cię rozpoznałam, choć masz teraz inne nazwisko i zapuściłeś wielką brodę. Jeden z wielbicieli panny Marianne widział Twój występ w Kingston i powiedział, że Przeszłość Przepowiedziana w Ognistych Listach to pierwszorzędny numer, wart ceny biletu, gdyż podczas tego pokazu zemdlały dwie kobiety. Podobno miałeś jaskraworudą brodę. Pewnie ją ufarbowałeś, albo jest sztuczna.

Nie próbowałam się skontaktować z Tobą, kiedy byłeś w Kingston, bo gdyby to się wydało, mogłyby wynikać z tego kłopoty. Dowiedziałam się jednak, gdzie będą następne przedstawienia, i dlatego wysyłam ten list do teatru w Toronto, w nadziei, że do Ciebie dotrze. Musi to być nowy teatr, bo nie było nic o tej nazwie w czasie, kiedy tam ostatnio byłam, ale od tamtej pory minęło dwadzieścia lat, choć mnie się wydaje, że co najmniej sto.

Tak bardzo chciałabym Cię znowu zobaczyć i pogadać o starych czasach, jak w kuchni pani Parkinson, gdzie tak dobrze się bawiliśmy, zanim umarła Mary Whitney, a mnie przydarzył się zły los! Ale żeby się tu dostać, musiałbyś bardziej się przebrać, gdyż w takim zamknięciu jak tutaj ruda broda mogłaby się okazać niewystarczająca. Gdyby odkryli, kim jesteś, pomyśleliby, że ich nabrałeś, ponieważ to różnica, czy coś się robi na scenie czy w bibliotece, nawet jeśli to jest ta sama rzecz, i na pewno chcieliby się dowiedzieć, dlaczego już nie jesteś doktorem Jerome'em DuPontem. Przypuszczam jednak, że to obecne zajęcie bardziej się oplaca.

Od czasu seansu ludzie traktują mnie lepiej i z większym szacunkiem, chociaż może tylko dlatego, że bardziej się mnie boją. Niekiedy trudno to rozróżnić. Nie chcą mi powiedzieć, co się wtedy wydarzyło, gdyż są zdania, że to mogłoby mi zmącić rozum, co z pewnością by się nie stało. I chociaż dalej zajmuję się domem, sprzątam pokoje i jak przedtem podaję herbatę, nie miało to żadnego wpływu na sprawę mojego uwolnienia.

Często się zastanawiam, dlaczego doktor Jordan wyjechał tak nagle, zaraz potem, ale ponieważ sam też wkrótce wyjechałeś, domyślałam się, że nie znasz odpowiedzi. Panna Lydia była wstrząśnięta wyjazdem doktora Jordana i przez tydzień nie chciała schodzić na kolację, którą zanoszono jej do pokoju. Leżała w łóżku jak chora, co mi bardzo utrudniało sprzątanie jej pokoju. Była bardzo blada, pod oczami miała ciemne kręgi i zachowywała się jak królowa z tragedii. Ale młodym damom pozwala się na takie fochy.

Potem częściej niż dotąd zaczęła chodzić z młodymi dżentelmenami na bale, a zwłaszcza z pewnym kapitanem. Wkrótce wśród wojskowych zyskała reputację wesołej panienki i zaczęły się kłótnie z matką. Kiedy minął kolejny miesiąc, ogłoszono jej zaręczyny z wielebnym Verringerem, co było wielką niespodzianką, bo zawsze za jego plecami stroiła sobie z niego żarty i mówiła, że przypomina jej żabę.

Datę ślubu wyznaczono w wielkim pośpiechu, więc byłam zajęta szyciem od rana do nocy. Podróżna suknia panny Lydii, z niebieskiego jedwabiu, miała guziki obszyte materiałem i spódnicę z dwiema warstwami. Myślałam, że oślepnę, kiedy ją obrębiałam. W podróż poślubną pojechali nad wodospad Niagara, który podobno pozostawia niezapomniane wrażenia. Ja widziałam go tylko na rysunku. Kiedy wrócili, panna Lydia była zupełnie inną osobą, bardzo uległą i bladą i już nie tak wesołą. Niedobrze jest wychodzić za mężczyznę, którego się nie kocha, ale wiele dziewcząt tak robi i wkrótce się do tego przyzwyczajają. Inni żenią się z miłości i poniewczasie żałują, jak to się mówi.

Kiedyś wydawało mi się, że panna Lydia ma słabość do doktora Jordana, ale nie byłiby ze sobą szczęśliwi, gdyż ona nie rozumiała jego zainteresowania szaleńcami, jego dziwactw i dziwacznych pytań, jakie zadawał na temat warzyw. Dobrze się więc stało.

Co zaś się tyczy pomocy, jaką mi obiecał doktor Jordan, to już nic więcej nie słyszałam ani o niej, ani o nim, poza tym, że poszedł na wojnę, czego się dowiedziałam od wielebnego Verringera. Nie wiem jednak, czy żyje, czy też zginął. Poza tym chodziły plotki o nim i jego gospodyni, która była w pewnym sensie wdową. Po jego wyjeździe widywano ją nad Jeziorem, ubraną w czarną suknię i płaszcz i w czarnej woalce powiewającej na wietrze. Błąkała się bez celu i niektórzy myśleli, że zamierza rzucić się do wody. Dużo się o tym mówiło, zwłaszcza w kuchni i pralni; wiele się dowiedzieliśmy od Dory, która kiedyś u niej służyła. Nie dałbyś wiary temu, co opowiadała o dwójce tak poważanych osób. W nocy rozlegały się w sypialni krzyki, jęki i działały się przerażające rzeczy, zupełnie jak w nawiedzonym domu, a prześcieradła co rano były tak zmięte, że Dora aż się rumieniła na ten widok. Mówiła, że to prawdziwy cud, że jej nie zamordował i nie pogrzebał gdzieś na podwórzu, gdyż widziała przygotowaną łopatę i wykopany dół, od czego krew jej się ścięła w żyłach. Mówiła, że doktor Jordan należy do tych mężczyzn, którzy rujnują jedną kobietę za drugą, potem je mordują, żeby się ich pozbyć, a kiedy spoglądał na jakąś wdowę, w oczach miał przerażający błysk, jak u tygrysa – zupełnie jakby miał się na nią rzucić i zatopić zęby w jej ciele. Tak samo było z Dorą. Kto wie, czy nie stałaby się kolejną ofiarą jego dzikich żądz? W kuchni zawsze miała chętną do słuchania widownię, bo wiele osób lubi takie straszliwe opowieści, a muszę przyznać, że Dora umiała opowiadać. Myślę jednak, że przesadziła.

W tym czasie żona komendanta wezwała mnie do salonu i bardzo poważnie spytała, czy doktor Jordan robił mi jakieś nieprzyzwoite propozycje, ja zaś zaprzeczyłam, a poza tym drzwi do szwalni zawsze były otwarte. Wtedy stwierdziła, że dała się zwieść co do jego charakteru i że wykarmiła żmiję na piersi własnej rodziny. Potem powiedziała, że ta nieszczęsna dama w czerni z pewnością była przez niego napastowana pod nieobecność służącej, ale mam tego nikomu nie powtarzać, bo więcej by to przyniosło szkody niż pożytku. Chociaż ta dama była zamężna, a jej mąż traktował ją haniebnie i większy skandal byłby w wypadku młodej dziewczyny, to jednak doktor Jordan

zachował się wielce niewłaściwie i Bogu trzeba dziękować, że sprawy nie zaszły tak daleko i panna Lydia nigdy się z nim nie zaręczyła.

Nie żebym wierzyła, że taka myśl powstała w jego głowie, nie wierzę też we wszystko, co się mówi przeciwko niemu, gdyż wiem, jak to jest, kiedy opowiadają o tobie kłamstwa, a ty się nie możesz bronić. A wdowom zawsze figle w głowie – chyba że są na to już za stare.

Ale to wszystko same plotki. A ja bym chciała Cię spytać o co innego, czy rzeczywiście zobaczyłeś przyszłość, kiedy zajrzałeś w moją dłoń i powiedziałeś, że pięć guzików przyniesie mi szczęście, co wzięłam za dobrą wróżbę? Czy tylko próbowałeś mnie pocieszyć? Bardzo bym to chciała wiedzieć, bo czasami czas tak się wlecze, że ledwo mogę to znieść. Boję się, że wpadnę w czarną rozpacz nad swoim zmarnowanym życiem, zwłaszcza że nadal do końca nie wiem, jak to się mogło stać. Wielebny Verringer często się ze mną modli, czy też raczej powinnam powiedzieć, że to on się modli, a ja słucham. Nic to jednak nie daje, tylko mnie męczy. Wielebny mówi, że wyśle kolejną petycję, ale obawiam się, że nie będzie z niej większego pożytku niż ze wszystkich pozostałych, więc nie powinien marnować papieru.

Drugą rzeczą, o jaką chciałam Cię spytać, jest, dlaczego chciałeś mi pomóc? Czy może próbowałeś przechytrzyć innych, tak jak to było z przemytem, którym się swego czasu zajmowałeś, czy też robiłeś to ze współczucia i dobroci? Kiedyś powiedziałeś, że jesteśmy ulepieni z tej samej gliny. Od tamtej pory często się nad tym zastanawiałam.

Mam nadzieję, że ten list do Ciebie dotrze, a jeśli tak, to nie wiem, jak będziesz mógł mi odpisać, gdyż na pewno otworzyliby każdy list, jaki by do mnie przyszedł. Myślę jednak, że wysłałeś mi wiadomość, gdyż parę miesięcy temu dostałam kościany guzik zaadresowany do mnie, choć bez żadnego podpisu. Nadzorczyńni spytała mnie: „Grace, po co ktoś miałby ci przysyłać tylko jeden guzik?”. Odparłam, że nie wiem. Ale to był taki sam guzik jak ten, który mi dałeś w kuchni u pani Parkinson, i czułam, że to Ty mi go przysłałeś, by dać znać, że o mnie całkiem nie zapomniłeś. Może mówił też jeszcze o czymś innym, bo przecież guziki służą do spinania rzeczy albo do otwierania. Może chciałeś mi powiedzieć, żebym milczała o pewnych rzeczach, o których oboje wiemy. Doktor Jordan uważał, że nawet całkiem zwyczajne przedmioty mogą mieć jakieś znaczenie albo przywołują wspomnienia rzeczy zapomnianych. Może tylko chciałeś mi o sobie przypomnieć, co doprawdy nie było konieczne, gdyż nigdy nie zapomniałam ani o Tobie, ani o Twojej dobroci i nigdy nie zapomnę.

Mam nadzieję, że jesteś zdrowy, drogi Jeremiaszu, i że Twoje pokazy magii odnoszą wielkie sukcesy.

Twoja stara przyjaciółka

Grace Marks

Od pani Williamowej P. Jordan, Laburnum House,

Loomisville, Massachusetts, Stany Zjednoczone Ameryki;

do pani C.D. Humphrey, Lower Union Street,

Kingston, Kanada Zachodnia.

15 maja 1862

Szanowna Pani Humphrey!

Dziś rano nadszedł Pani list do mojego syna. Ostatnio otwieram jego pocztę z powodów, które pokrótce wytłumaczę. Najpierw jednak pozwolę sobie zauważyć, że wolałabym, aby wyrażała się Pani w bardziej powściągliwy sposób. Groźba zrobienia sobie krzywdy poprzez rzucenie się z mostu lub innej wysokiej budowli mogłaby poważnie zaciążyć na psychice wrażliwego i uczuciowego młodzieńca, ale na szczęście tak się nie stanie, gdyż ma on bardziej doświadczoną matkę.

W każdym razie muszę rozwiać Pani nadzieje na rozmowę z nim. Po wybuchu tej straszliwej wojny syn przyłączył się do armii Unii, by walczyć o swój kraj jako chirurg wojskowy, i został bezzwłocznie wysłany do szpitala polowego blisko frontu. Usługi pocztowe zostały niestety przerwane, a oddziały dzięki kolei żelaznej bardzo szybko się przemieszczają, więc od kilku miesięcy nie miałam od niego żadnych wiadomości, co było do niego niepodobne, gdyż zawsze chętnie i regularnie odpisywał na listy. Obawiałam się najgorszego.

Tymczasem zrobiłam, co mogłam, w swoim ograniczonym zakresie. Ta nieszczęsna wojna zabiła i okaleczyła już tak wielu, codziennie widzieliśmy jej rezultaty, a mimo to do naszych zaimprovizowanych szpitali przywożono coraz więcej mężczyzn i chłopców, którzy zostali ranni, oślepieni lub którzy postradali zmysły od zakaźnych gorączek, a każdy z nich jest czyimś ukochanym synem. Panie z naszego miasta z wielkim zaangażowaniem odwiedzały ich i zapewniały najlepsze warunki, na jakie tylko było nas stać. Ja sama, mimo złego stanu zdrowia, pomagałam im ze wszystkich sił, gdyż mogłam tylko mieć nadzieję, że jeżeli mój drogi syn leży gdzieś chory i cierpiący, to inna matka robi to samo dla niego.

Wreszcie jakiś żołnierz, który wrócił do naszego miasta na rekonwalescencję, powtórzył pogłoskę, jakoby mój drogi syn został ranny w głowę odłamkiem skały i kiedy ostatnio go widziano, tkwił na granicy dwóch światów. Oczywiście niemal umarłam ze zmartwienia i poruszyłam niebo i ziemię, by odkryć miejsce jego pobytu, aż w końcu – ku mej radości – powrócił do nas, żywy, lecz podupały zarówno na zdrowiu, jak i na duchu. W wyniku odniesionej rany częściowo stracił pamięć; bo chociaż pamiętał swą kochającą matkę i wydarzenia z dzieciństwa, świeższe wydarzenia zostały całkowicie wymazane z jego pamięci, a wśród nich zainteresowanie domami dla obłąkanych i okres

spędzony w Kingston, w tym również związek, jaki go kiedykolwiek łączył bądź nie łączył z Panią.

Mówię Pani o tym, by ujrzała Pani sprawy w szerszej – i, co muszę dodać, mniej egoistycznej – perspektywie. Przejścia osobiste doprawdy wydają się mało znaczące w porównaniu z doniosłymi momentami historii, które – jak powinniśmy wierzyć – służyć będą większemu dobru.

Tymczasem muszę Pani pogratulować z powodu faktu, że Pani mąż został w końcu odnaleziony, choć współczuję, że odbyło się to w tak tragicznych okolicznościach. Odkrycie, że współmałżonek zmarł na skutek przewlekłego upojenia alkoholowego i będącego jego następstwem delirium, z pewnością nie należy do przyjemności. Cieszę się, że nie do końca wyczerpał swe zasoby, i, co się tyczy spraw praktycznych, doradzałabym Pani godną zaufania rentę dożywotnią lub – co mnie samej bardzo się przydało w ciężkich chwilach – skromną inwestycję w akcje kolei żelaznej, jeżeli znajdzie Pani jakąś solidną spółkę, lub też w produkcję maszyn do szycia, które niewątpliwie w przyszłości okażą się wielkim sukcesem.

Plan działań, który proponuje Pani memu synowi, nie jest ani pożądanym, ani wykonalnym, nawet gdyby był on w stanie w nim uczestniczyć. Mój syn nie składał Pani żadnych obietnic ani nie ma wobec Pani jakichkolwiek innych zobowiązań. To, co mogła sobie Pani na ten temat wyobrażać, nie musi zgadzać się z rzeczywistością. Moim obowiązkiem jest również poinformowanie Pani, że przed wyjazdem na front syn zaręczył się z panną Faith Cartwright, młodą damą z dobrej rodziny i o nienagannej moralności, a jedyną przeszkodą w zawarciu małżeństwa był jego własny honor, który nie pozwolił mu poprosić pannę Cartwright, by związała się z mężczyzną, którego życie miało być wkrótce narażone na niebezpieczeństwo. Pomimo jego nieszczęsnego stanu panna Cartwright zdecydowana jest uszanować życzenie obu rodzin, a także usłuchać swego serca, i obecnie pomaga mi pielęgnować go z lojalnym oddaniem.

Syn nie przypomina sobie jeszcze jej osoby, wciąż twierdzi, że nazywa się ona Grace – co wydaje się zrozumiałą pomyłką z uwagi na zbieżność pojęć²². My jednak nie ustajemy w naszych wysiłkach i co dzień pokazujemy mu różne domowe przedmioty, tak mu niegdyś drogie, prowadzimy go na spacer w urocze zakątki i mamy coraz większą nadzieję, że wkrótce wróci mu cała pamięć – przynajmniej na tyle, na ile to konieczne, i że niedługo będzie mógł spełniać swe mężowskie obowiązki. Największą troską panny Cartwright – jak i wszystkich, którzy bezinteresownie kochają mego syna – jest modlitwa za jego powrót do zdrowia i odzyskanie pełni władz umysłowych.

Kończąc, pozwolę sobie dodać, że ufam, iż Pani przyszłość będzie szczęśliwsza niż do tej pory i że zmierzch Pani życia przyniesie ze sobą pogodę ducha, którą próżne i burzliwe namiętności młodości tak często niestety uniemożliwiają.

Szczerze oddana,

(Pani) Constance P. Jordan

PS Wszelkie listy od Pani będą niszczone bez czytania.

Od wielebnego Enocha Verringera,

*prezesa Komisji na rzecz Ułaskawienia Grace Marks, kościół metodystów
na Sydenham Street,*

Kingston, Ontario, Kanada;

do doktora Samuela Bannerlinga, The Maples,

Front Street, Toronto, Ontario, Dominium Kanady.

Kingston, 15 października 1867

Szanowny Doktorze Bannerling!

Ośmielam się do Pana pisać w imieniu Komisji, której jestem prezesem i której szlachetna misja z pewnością nie jest Panu nieznaną. Wiem, że gdy prawie piętnaście lat temu Grace Marks przebywała w domu dla obłąkanych w Toronto, zgłosiła się do Pana – jako do jej medycznego opiekuna – kilku przedstawicieli różnych komisji, powołanych z zamiarem przedłożenia rządowi petycji na rzecz tej nieszczęsnej, a dla niektórych niesłusznie skazanej, kobiety, w nadziei, że dołączy Pan do rzeczonych petycji swe nazwisko. Jestem pewien, że ma Pan tę świadomość, iż taki dodatek zaważyłby znacząco na opinii władz rządowych, które skłonne są szanować orzeczenia lekarskie takie jak Pańskie.

Nasza Komisja składa się z pewnej liczby pań, wśród których znajduje się moja droga żona, dżentelmenów cieszących się poważaniem w społeczeństwie oraz z duchownych trzech wyznań, włączając w to więziennego kapelana, których nazwiska znajdzie Pan pod petycją. Podobne petycje w przeszłości nie dawały żadnych rezultatów, lecz Komisja spodziewa się, a także ma nadzieję, że w obliczu ostatnich przemian politycznych, zwłaszcza z chwilą powołania w pełni reprezentatywnego parlamentu pod przewodnictwem Johna A. Macdonalda, ta spotka się z przychylnym przyjęciem, którego odmówiono jej poprzedniczkom.

Ponadto naszym atutem jest nowoczesna nauka oraz postępy na polu badań nad chorobami mózgu i zaburzeniami umysłowymi – postępy, które z pewnością świadczą na korzyść Grace Marks. Kilka lat temu nasza Komisja zatrudniła specjalistę w dziedzinie chorób nerwowych, doktora Simona Jordana, który miał bardzo dobre rekomendacje. Spędził on w tym mieście parę miesięcy, przeprowadzając dokładne badania Grace Marks

i skupiając szczególną uwagę na lukach w jej wspomnieniach związanych z morderstwami. Usiłując przywrócić jej pamięć, doktor Jordan poddał ją seansowi neurohipnozy, który przeprowadził utalentowany praktyk tej nauki – nauki, która na długo odeszła w cień, a teraz zdaje się wracać do łask zarówno jako metoda diagnostyczna, jak i lecznicza, choć jest ona bardziej popularna we Francji niż na tej półkuli.

W rezultacie tej sesji i jej zdumiewających wyników doktor Jordan wyraził opinię, że utrata pamięci przez Grace Marks była prawdziwa, a nie udawana – że tamtego fatalnego dnia cierpiała ona wskutek historycznej niemocy spowodowanej strachem, co w rezultacie przybrało formę autohipnotycznego somnambulizmu, który jeszcze przed dwudziestoma pięcioma laty nie był dobrze zbadany, lecz od tamtej pory nastąpił w tym zakresie znaczny postęp. Fakt ten wyjaśnia jej późniejszą amnezję. Podczas transu neurohipnotycznego, którego świadkami było kilku członków naszej Komisji, Grace Marks nie tylko w pełni odzyskała pamięć tych minionych wydarzeń, ale również przejawiała somnambuliczną podwójną świadomość o odrębnej wtórnej osobowości, zdolnej do działania bez wiedzy pierwszej. Taki wniosek wysnuł doktor Jordan w obliczu dowodu, że kobieta znana nam jako „Grace Marks” nie była świadoma w czasie, kiedy została popełniona zbrodnia na Nancy Montgomery, a zatem nie była odpowiedzialna za swe czyny – wspomnienia dotyczące tych czynów zachowała jedynie jej wtórna i ukryta osobowość. Doktor Jordan był ponadto zdania, że to drugie „ja” dawało silne dowody swego istnienia w czasie wystąpienia u niej zaburzeń umysłowych w roku 1852, jeśli naoczne świadectwo pani Moodie i innych może być tu pewną wskazówką.

Miałem nadzieję przedstawić Panu pisemny raport, a nasza Komisja z roku na rok odkładała przedłożenie swojej petycji, oczekując nań. Doktor Jordan zamierzał przygotować taki raport, lecz musiał nagle wyjechać z powodu choroby w rodzinie, po czym wezwały go pilne sprawy na kontynencie; następnie zaś wybuch wojny domowej, na której służył jako chirurg wojskowy, stał się poważną przeszkodą w jego wysiłkach. Został ranny w trakcie działań wojennych i chociaż dzięki Opatrzności Bożej już powraca do zdrowia, to jednak nie odzyskał sił na tyle, by dokończyć swe zadanie. Nie mam żadnych wątpliwości, że w innej sytuacji dołożyłby wszelkich starań, by nam pomóc.

Ja sam byłem obecny na wspomnianej sesji neurohipnotycznej, podobnie jak dama, która potem zgodziła się zostać mą żoną. Oboje byliśmy pod ogromnym wrażeniem tego, co tam zobaczyliśmy i usłyszeliśmy. Wzruszam się do łez na myśl, jak bardzo ta nieszczęsna kobieta została pokrzywdzona z powodu braku naukowego zrozumienia. Dusza ludzka to wielka i budząca lęk tajemnica, której głębię dopiero teraz zaczynamy sondować. Jak powiedział święty Paweł: „Teraz widzimy jakby w zwierciadle, niejasno; wtedy zaś zobaczymy twarzą w twarz”²³. Można się tylko domyślać zamiarów naszego Stwórcy, gdy kształtował naturę ludzką na wzór tak zawilego i istic gordyjskiego węzła.

Cokolwiek jednak myśli Pan o zawodowej opinii doktora Jordana – a jestem w pełni świadom, że takie wnioski mogą być trudne do przyjęcia, zwłaszcza dla osoby niezaznajomionej z metodą neurohipnotyzmu oraz nieobecnej podczas wydarzeń, do których nawiązuję – to Grace Marks z pewnością spędziła już w więzieniu wystarczająco dużo lat, by odpokutować za przestępstwo, które popełniła. Cierpiała niewypowiedziane męki umysłu, a także ciała, i gorzko żałowała za swój udział w tej ciężkiej zbrodni – czy

była go świadoma, czy też nie. Nie jest już młoda, a i jej zdrowie ucierpiało. Gdyby wyszła na wolność, z pewnością można by coś uczynić dla jej doczesnego, jak również duchowego dobra, a ponadto miałyby szansę przemyślenia swej przeszłości i przygotowania się do przyszłego życia.

Czy nadal z uporem będzie Pan odmawiał dołączenia swego nazwiska do petycji na rzecz jej uwolnienia, zamykając w ten sposób bramy raję przed skruszoną grzesznicą? Z pewnością nie!

Proszę Pana – błagam raz jeszcze – o wsparcie naszych godnych pochwały wysiłków.

Szczerze oddany,

Enoch Verringer, doktor teologii

Od doktora Samuela Bannerlinga,

The Maples, Front Street, Toronto;

do wielbnego Enocha Verringera,

kościół metodystów na Sydenham Street,

Kingston, Ontario. Dominium Kanady.

1 listopada 1867

Szanowny Panie!

Potwierdzam otrzymanie Pańskiego listu z 10 października z opisem Pańskich przemyśleń odnośnie Grace Marks. Zawiodłem się na doktorze Jordanie. W swej korespondencji do niego otwarcie przestrzegałem go przed tą podstępna kobietą. Mówią, że nie ma większego głupca od starego głupca, ja jednak twierdzę, że nie ma większego głupca od młodego głupca, i jestem zdumiony, że osoba z lekarskim dyplomem dała się namówić na uczestnictwo w tak bezczelnej szarlatanerii i skandalicznej błazenadzie jak trans neurohipnotyczny, od którego większym kretyństwem jest tylko spirytyzm, ruch sufrażystek i podobne bzdury. Ten nic nie wart „neurohipnotyzm”, choć ozdobiony nową terminologią, to nic innego, jak mesmeryzm czy magnetyzm zwierzęcy, tyle że pod inną nazwą. Te chore brednie już dawno temu zostały zdyskredytowane jako zwyczajny pretekst służący ludziom o przodkach wątpliwego pochodzenia i lubieżnych naturach do

tego, by mogli zdobyć władzę nad młodymi kobietami, zadając im impertynenckie i obraźliwe pytania oraz każąc im dopuszczać się nieskromnych czynów bez ich zgody.

Obawiam się więc, że Pański doktor Jordan jest albo dziecinnie naiwny, albo też sam należy do tych drani, i gdyby stworzył swój samozwańczy „raport”, nie byłby on wart nawet papieru, na którym został napisany. Podejrzewam, że rana, o której Pan wspomniał, została mu zadana nie na wojnie, lecz przed nią i że powstała ona wskutek mocnego ciosu w głowę, co jedynie może tłumaczyć taki idiotyzm. Jeżeli doktor Jordan nadal będzie trzymał się tych bzdurnych poglądów, wkrótce skończy w prywatnym domu dla obłąkanych, który – o ile dobrze pamiętam – tak pragnął kiedyś stworzyć.

Przeczytałem tak zwane zeznanie pani Moodie, a także inne jej bazgroły, które wrzuciłem do pieca, gdzie jest ich miejsce i gdzie przynajmniej wzniecą nieco ognia, co w innej sytuacji z pewnością by się im nie udało. Tak samo jak reszta osób jej pokroju, pani Moodie ma skłonność do egzaltacji oraz do wymyślania wygodnych jej bajek. Chcąc się dowiedzieć prawdy, równie dobrze można by polegać na relacji „naocznego świadka” w postaci gęsi.

Co zaś się tyczy bram rajów, o których Pan pisał, to nie mam nad nimi żadnej kontroli i jeżeli Grace Marks jest warta przez nie przejść, to niewątpliwie zostanie wpuszczona bez jakiegokolwiek interwencji z mojej strony. Ale z pewnością nigdy nie pomogę otworzyć przed nią bram więzienia. Dokładnie zbadałem jej przypadek i znam jej charakter i usposobienie lepiej niż Pan. To stworzenie pozbawione zasad moralnych oraz z silną skłonnością do mordu. Nie można bezpiecznie obdarzyć jej normalnymi przywilejami społecznymi, a jeśli zostanie jej zwrócona wolność, wówczas istnieją szanse, że prędzej czy później będzie zagrożone życie większej liczby osób.

Na zakończenie pozwolę sobie zauważyć, że nie przystoi Panu, jako duchownemu, okraszać swoje wywody aluzjami do „nowoczesnej nauki”. Niepełna wiedza to niebezpieczna rzecz, jak stwierdził kiedyś Alexander Pope. Niech się Pan zajmie opieką nad sumieniami i wygłaszaniem budujących kazań dla poprawy życia publicznego oraz osobistej moralności, czego tak potrzebuje nasz kraj, i niech Pan pozostawi umysły degeneratów fachowcom, którzy się na nich znają. A ponad wszystko, niech Pan w przyszłości zaniecha nękania innych tymi natrętnymi i absurdalnymi apelami.

Pański najpokorniejszy i posłuszny sługa,

(doktor) Samuel Bannerling

22 (ang.) *Grace* – łaska; *Faith* – wiara (przyp. tłum.).

23 Patrz – str. 363.

XV

Rajska jabłoń

Jednak upór w końcu został nagrodzony. Do rządu płynęła jedna petycja za drugą i bez wątpienia wywierano nań naciski także z innych stron. Ta niemal jedyna w swoim rodzaju morderczyni otrzymała ułaskawienie i została przewieziona do Nowego Jorku, gdzie zmieniła nazwisko i wkrótce wyszła za mąż. Wbrew wszelkim pogłoskom nadal żyje. Nie wiadomo, czy jej apetyt na zbrodnię wzmochnił się w tym czasie, gdyż prawdopodobnie ukrywa swą tożsamość pod więcej niż jednym nazwiskiem.

Autor nieznany

Historia Toronto i hrabstwa York w stanie Ontario, 1885

Piątek, 2 sierpnia 1872. Między dwunastą a drugą odwiedziłem ratusz, by spotkać się z ministrem sprawiedliwości w sprawie Grace Marks, której ułaskawienie otrzymałem dziś rano. Na życzenie sir Johna ja i jedna z moich córek mieliśmy towarzyszyć tej kobiecie w podróży do domu, który jej zapewniono w Nowym Jorku.

Wtorek, 7 sierpnia 1872. Zbadałem i zwolniłem Grace Marks, ułaskawioną po uwięzieniu w tym zakładzie przez dwadzieścia osiem lat i dziesięć miesięcy. O pierwszej po południu wyruszyłem z nią i moją córką do Nowego Jorku, na polecenie ministra sprawiedliwości...

Notatki z dziennika Naczelnika

Więzienie okręgowe w Kingston,

Ontario, Dominium Kanady.

Taki już jest ten nasz Ziemi Raj,
Wybaczcie mi, pojmijcie to najprościej,
Gdy chcecie sadzić cienisty gaj
Na wyspie szczęśliwej, wśród stalowych fal
Miotających serca ludzkości...24
William Morris

Ziemi Raj, 1868

Niedoskonałość jest naszym rajem.
Wallace Stevens

Wiersze naszego klimatu, 1938

24 przeł. Krzysztof Zabłocki.

Często zastanawiałam się, czy do pana napisać i poinformować o moim szczęściu; w głowie ułożyłam sobie wiele listów. Kiedy już będę wiedziała, jak to ująć, wezmę pióro do ręki i dostanie pan ode mnie wiadomości, jeżeli nadal jest pan wśród żywych. Jeśli zaś nie, to i tak dowie się pan o wszystkim.

Może słyszał pan o moim ułaskawieniu, a może nie. Nie pisali nic o tym w gazetach, co nie jest dziwne, gdyż zanim mnie zwolniono, moja historia już tak się przeżyła, że nikt by o tym nie chciał czytać. Kiedy się o tym dowiedziałam, byłam pewna, że mimo wszystko wysłał pan list do rządu, bo w końcu razem ze wszystkimi petycjami dało to rezultat, choć muszę powiedzieć, że długo to trwało i nikt nie wspomniał o pańskim liście, a tylko mówiono, że to była powszechna amnestia.

Po raz pierwszy usłyszałam o ułaskawieniu od najstarszej córki naczelnika, która ma na imię Janet. Tego naczelnika nigdy pan nie widział, gdyż od czasu pańskiego wyjazdu zaszło wiele zmian: między innymi pojawił się nowy naczelnik, a także dwóch czy trzech nowych komendantów i tak wielu nowych strażników, wychowawczyń i nadzorczyń, że ledwie mogłam za tym nadążyć. Siedziałam w szwalni, gdzie popołudniami odbywaliśmy nasze rozmowy, i cerowałam pończochy – gdyż tak jak przedtem służyłam w tym samym domu, z tym że u nowego komendanta – kiedy weszła Janet. Zawsze była dla mnie miła i często się uśmiechała – w przeciwieństwie do niektórych – i chociaż nigdy nie należała do piękności, udało jej się zaręczyć z poważanym młodym farmerem, czego jej z głębi serca gratulowałam. Są tacy mężczyźni – zwłaszcza ci prości – którzy wolą, by ich żona była zwyczajna, a nie ładna, ponieważ takie są bardziej pracowite i mniej narzekają, a także jest mniejsza szansa na to, że uciekną z innym mężczyzną, bo jakiemu mężczyźnie chciałoby się je wykradać?

Tego dnia Janet wpadła do pokoju i wyglądała na bardzo podnieconą.

– Grace – powiedziała. – Mam dla ciebie niezwykłą wiadomość.

Nawet nie przerwałam szycia, bo kiedy mi ktoś mówił, że ma niezwykłą wiadomość, to zawsze dotyczyła ona kogoś innego. Oczywiście byłam gotowa jej wysłuchać, ale nie na tyle, by popsuć ścieg, jeśli rozumie pan, co mam na myśli.

– Och, tak? – spytałam.

– Przyszło twoje ułaskawienie – powiedziała. – Od sir Johna Macdonalda i ministra sprawiedliwości w Ottawie. Czyż to nie cudowne? – Klasnęła w dłonie i w tej chwili wyglądała jak dziecko, aczkolwiek duże i brzydkie, które ogląda piękny prezent. Należała do tych, którzy nigdy nie wierzyli w moją winę, gdyż zawsze miała miękkie serce i sentymentalną naturę.

Na te słowa odłożyłam szycie. Natychmiast zrobiło mi się bardzo zimno, jakbym miała zemdleć, co mi się już dawno nie zdarzyło, to znaczy odkąd pan wyjechał.

– Czy to możliwe? – spytałam. Gdyby to był ktoś inny, pomyślałabym, że okrutnie sobie ze mnie żartuje, ale Janet nigdy nie stroi sobie żartów.

– Tak – odparła. – To najprawdziwsza prawda. Zostałaś ułaskawiona! Tak się

cieszę!

Widziałam, że oczekuje ode mnie łez radości, więc uroniłam parę.

Tej nocy, chociaż jej ojciec naczelnik jeszcze nie miał w ręku tego dokumentu, a tylko list z zawiadomieniem, zostałam przeniesiona ze swojej więziennej celi do wolnej sypialni w domu naczelnika. Stało się to za sprawą Janet, poczciwej duszy, i przy pomocy jej matki, gdyż moje ułaskawienie rzeczywiście było niezwykłym wydarzeniem w monotonii więzienia, a ludzie lubią uczestniczyć w takich wydarzeniach, by móc potem rozmawiać o nich ze swoimi przyjaciółmi. Narobiono więc wokół mnie wielkiego zamieszania.

Zdmuchnęłam świecę i położyłam się na wspianym łożku w jednej z bawełnianych koszul nocnych Janet, zamiast w swej szorstkiej poźółkłej koszuli więziennej, i spjrzałam w ciemny sufit nad sobą. Wierciłam się i przewracałam z boku na bok, ale jakoś nie mogłam się wygodnie ułożyć. Pewnie dlatego, że wygoda to coś, do czego trzeba się przyzwyczaić, ja zaś byłam przyzwyczajona do wąskiej więziennej pryczy, a nie do dużej sypialni z czystą pościelą. Pokój był tak ogromny, że niemal przerażający, więc naciągnęłam kołdrę na głowę, żeby było ciemniej. Wtedy poczułam, jakby twarz mi się rozplýwała i zmieniała w inną, i przypomniałam sobie moją biedną matkę w całunie, kiedy spuszczali ją do morza, i o tym, jak myślałam, że już się zmieniła w tym prześcieradle i stała się inną kobietą, i że teraz to samo dzieje się ze mną. Oczywiście ja nie umierałam, ale czułam się podobnie.

Następnego dnia przy śniadaniu cała rodzina naczelnika uśmiechała się do mnie promiennie i z wilgotnymi oczami, jakbym była jakimś rzadkim i cennym okazem, niczym dziecko wyłowione z rzeki. Naczelnik powiedział, że powinniśmy podziękować za uratowaną owieczkę, a wszyscy żarliwie odpowiedzieli „Amen”.

„No więc tak – pomyślałam. – Zostałam uratowana i teraz muszę się zachowywać jak ktoś ocalony”. Więc próbowałam. Bardzo dziwnie mi się robiło na myśl, że w oczach ludzi już nie będę uznaną morderczynią, lecz kobietą niesłusznie oskarżoną i niesprawiedliwie uwięzioną, a przynajmniej za długo, oraz obiektem wzbudzającym bardziej współczucie niż zgrozę i strach. Parę dni mi zajęło przyzwyczajenie się do tej myśli, a prawdę mówiąc, wciąż jeszcze do niej nie przywykłam. Musiałabym zmienić wyraz twarzy, ale przypuszczam, że to stanie się łatwiejsze z czasem.

Oczywiście dla tych, którzy nie znają mojej historii, nie będę nikim szczególnym.

Tego dnia po śniadaniu byłam dziwnie przygnębiona. Janet to zauważyła i spytała o powód, a ja odparłam, że spędziłam w więzieniu prawie dwadzieścia dziewięć lat, nie mam żadnych przyjaciół ani rodziny, więc dokąd mam pójść i co robić? Nie mam pieniędzy ani nie potrafię ich zarobić, brakuje mi porządnych ubrań i prawdopodobnie nie dostanę posady w okolicy, gdyż moja historia jest zbyt dobrze znana – gdyż pomimo ułaskawienia żadna pani domu w porządnej rodzinie nie przyjmie mnie do siebie, bojąc się o bezpieczeństwo swych bliskich. Zresztą tak samo postąpiłabym na ich miejscu.

Nie powiedziałam: „Jestem też za stara, żeby pójść na ulicę”, bo nie chciałam jej zgorszyć, jako że jest dobrze wychowaną panną i w dodatku metodystką. Muszę jednak panu wyznać, że myśl taka przysłała mi do głowy. Jakie jednak miałabym szanse – w moim wieku i przy takiej konkurencji? Dostałabym co najwyżej pensa od jakiegoś najbardziej pijanego marynarza, gdzieś w bocznej uliczce, i w ciągu roku zmarłabym na wstydliwą chorobę, a tego nawet nie chciałam sobie wyobrazić.

Tak więc teraz, zamiast uznać ułaskawienie za przepustkę do wolności, ujrzałam je jako wyrok śmierci. Czekano mnie wygnanie na ulicę, samotność i brak przyjaciół, głód i zamarznięcie na śmierć gdzieś pod mostem i cały dobytek w postaci jedynej sukieneczyny na grzbiecie – tej, w której trafiłam do więzienia – a może nawet i nie tej, bo nie miałam pojęcia, co się z nią do tej pory mogło stać i czy już dawno temu nie została sprzedana albo oddana.

– Och, nie, droga Grace – powiedziała Janet. – O wszystkim pomyśleliśmy. Nie chciałam ci mówić wszystkiego od razu, bo baliśmy się, że wstrząs spowodowany radością po takim nieszczęściu może okazać się dla ciebie zbyt wielki. Czasami tak bywa. Masz zapewniony dobry dom w Stanach Zjednoczonych, a kiedy już się tam znajdziesz, możesz zostawić za sobą całą tę smutną przeszłość, bo nikt nie musi się o niej dowiedzieć. Rozpoczniesz nowe życie.

Nie użyła dokładnie tych słów, ale taki był ich sens.

– Ale w co ja się ubiorę? – powiedziałam, nadal zrozpaczona. Może rzeczywiście nie byłam przy zdrowych zmysłach, gdyż normalna osoba najpierw spytałaby o ten dom – gdzie jest i co ona ma tam robić. Później myślałam o tym, jak Janet to ujęła: „dobry dom” – tak się mówi o miejscu dla psa lub konia, które są za stare, żeby pracować, a nie chce się ich trzymać u siebie albo zabić.

– I o tym pomyślałam – powiedziała Janet. Była naprawdę bardzo życzliwym stworzeniem. – Zajrzałam do magazynu i jakimś cudem skrzynia, którą ze sobą przyniosłaś, nadal tam była, opatrzona kartką z twoim nazwiskiem. Pewnie z powodu wszystkich tych petycji, które wniesiono w twojej sprawie po procesie. Początkowo trzymali twoje rzeczy, ponieważ myśleli, że wkrótce zostaniesz zwolniona, a potem pewnie o nich zapomnieli. Każę przynieść skrzynię do twojego pokoju i otworzymy ją, dobrze?

Trochę mnie to pocieszyło, chociaż miałam pewne obawy. I słusznie, bo kiedy otworzyliśmy skrzynię, okazało się, że w środku załęgły się mole i zjadły wszystkie wełniane rzeczy, gruby zimowy szal mojej matki i parę innych ubrań, które bardzo wyblakły i cuchnęły stęchlizną od długiego zamknięcia w wilgotnym miejscu. Nici gdzieś tam całkiem przegniły i można było włożyć rękę w dziury po szwach. Ubrania muszą być dobrze wietrzone raz na jakiś czas, a te od bardzo dawna nie miały świeżego powietrza.

Wszystko wyjęliśmy i rozłożyliśmy, żeby zobaczyć, co się da uratować. Były tam suknie Nancy, niegdyś takie ładne, a teraz prawie całkiem zniszczone, i rzeczy, które miałam po Mary Whitney. Dawno temu tak je sobie ceniłam, a teraz wyglądały tandetnie i niemodnie. Była tam sukienka, którą uszyła u pani Parkinson, z kościanymi guzikami od Jeremiasza, ale nic się nie dało z niej uratować oprócz guzików. Znalazłam pukiel

włosów Mary związany nicią i zawinięty w chusteczkę, ale nawet do niego dobrały się mole, które zjedzą i włosy, jeśli nie ma nic lepszego.

Uczucia, które wtedy przeżywałam, były silne i bolesne. Wydawało mi się, że w pokoju się ściemniło i niemal zobaczyłam Nancy i Mary przybierające ludzkie kształty wewnątrz swych ubrań. Nie było to przyjemne wrażenie, bo w tym czasie z pewnością same już były w stanie rozkładu. Poczułam taką słabość, że musiałam usiąść i poprosić o szklankę wody i otwarcie okna.

Janet sama była wstrząśnięta. Była zbyt młoda, żeby wiedzieć, jakie są rezultaty zamknięcia w skrzyni przez dwadzieścia dziewięć lat, choć usiłowała zachować się najlepiej, jak potrafiła. Powiedziała, że te suknie i tak już wyszły z mody i że nie można dopuścić do tego, żebym wkroczyła w nowe życie, wyglądając jak strach na wróble. Stwierdziła jednak, że niektóre rzeczy jeszcze nadają się do użytku – na przykład czerwona flanelowa halka i część bielizny, którą można wyprać w occie, żeby pozbyć się zapachu stęchlizny, a potem wysuszyć na słońcu, a wtedy będą białe jak nowe. Niezupełnie to się udało, bo kiedy już to zrobiliśmy, rzeczywiście nieco się rozjaśniły, ale daleko im było do białości.

Powiedziała, że inne rzeczy będziemy musiały zdobyć same. Orzekła, że potrzebna mi nowa garderoba. Nie wiem, jak tego dokonała – podejrzewam, że wyblagała suknię od matki, pochodziła po znajomych i zebrała parę ubrań, a poza tym, o ile wiem, komendant dał trochę pieniędzy na pończochy i buty – ale w końcu zgromadziła pewną ilość odzieży. Stwierdziłam, że kolory są o wiele jaskrawsze niż kiedyś – na przykład zielony drukowany perkal albo błękitne sukno w karmazynowe pasy. Używano teraz nowych barwników. W tych kolorach nie było mi za bardzo do twarzy, ale żebracy nie mogą wymagać, jak się o tym wielokrotnie przekonałam.

Usiadłyśmy i dopasowałyśmy suknie do mojej figury. Przypominałyśmy wtedy matkę z córką, pracujące nad wyprawą panny młodej. Było bardzo miło i przytulnie i po jakimś czasie całkiem się rozpogodziłam. Żałowałam tylko krynolin, które wyszły z mody i teraz zastąpiły je druciane turniury i wielkie ogony z materiału zebrane z tyłu, z krezami i frędzlami, które przywodziły mi na myśl kanapę. Nigdy już nie włożę krynoliny. Ale przecież nie można mieć wszystkiego.

Czepki także już wyszły z mody. Teraz nosiło się kapelusze zawiązane pod brodą, zupełnie płaskie i z przodu wywinięte do góry, jak statek żeglujący po głowie. Z tyłu zaś, niczym fala, płynął woal. Janet zdobyła jeden taki kapelusz dla mnie, a kiedy go włożyłam po raz pierwszy i spojrzałam w lustro, poczułam się dziwnie. Kapelusz nie zdołał przykryć moich siwiejących włosów, choć Janet przysięgała, że wyglądam o dziesięć lat młodziej, niż mam w rzeczywistości, prawie jak dziewczyna. To prawda, że zachowałam szczupłą figurę i większość zębów. Powiedziała, że wyglądam jak prawdziwa dama, co jest całkiem możliwe, gdyż teraz strój służącej nie różni się zbyt od stroju damy, tak jak kiedyś. Świetnie się bawiliśmy, ozdabiając kapelusze kwiatami z jedwabiu i wstążkami, choć kilka razy wybuchnęłam płaczem – tak byłam przejęta. Zmiana losu – czy to na lepsze czy na gorsze – zawsze wywołuje taką reakcję, jak pan sam z pewnością zauważył.

Kiedy palcowałyśmy i składałyśmy moje nowe ubrania, oddarłam parę kawałków

materiału z sukien, które kiedyś nosiłam, a które teraz miały zostać wyrzucone. Spytałam, czy mogłabym dostać taką nocną koszulę, do jakiej przywykłam w więzieniu, na pamiątkę, a Janet odparła, że to dziwna pamiątka, ale spełniła moją prośbę. Wie pan, musiałam mieć ze sobą coś własnego.

Kiedy byłam już gotowa, serdecznie podziękowałam Janet. Nadal bałam się tego, co mnie czeka, ale przynajmniej teraz wyglądałam jak normalna osoba, na którą nikt się nie będzie gapił, a to bardzo ważne. Janet dała mi parę prawie nowych letnich rękawiczek; nie wiem, gdzie je zdobyła. Potem zaczęła płakać, a kiedy spytałam o powód, odparła, że to dlatego, że wszystko się dobrze skończyło – zupełnie jak w książce. Ciekawe, jakież to książki czytała.

Siódmy sierpnia 1872 roku był dniem mojego wyjazdu i nie zapomnę go do końca życia.

Po śniadaniu z rodziną naczelnika, podczas którego ze zdenerwowania ledwie zdołałam cokolwiek przełknąć, włożyłam zieloną suknię podróżną, słomkowy kapelusz i rękawiczki od Janet. Moja skrzynia była już spakowana; nie była to ta skrzynia, którą zabrałam Nancy, gdyż za bardzo cuchnęła stęchlizną, lecz inna, którą dostałam od władz więzienia, skórzana i niezbyt zniszczona. Pewnie kiedyś należała do jakiejś nieszczęsnej duszyczki, która tam umarła, ale daleka byłam od zagłądania w zęby darowanemu koniowi.

Zaprowadzono mnie do naczelnika. Była to czysta formalność; nie miał mi zbyt wiele do powiedzenia, poza tym, że gratuluje mi zwolnienia. Na specjalne życzenie sir Johna Macdonalda on i Janet mieli mi towarzyszyć do mojego nowego domu, gdyż musiałam tam dotrzeć bezpiecznie, a wiadomo było, że po tak długim zamknięciu nie jestem przyzwyczajona do nowoczesnych środków transportu. Poza tym po drogach włączyło się wielu niebezpiecznych ludzi, zdemobilizowanych żołnierzy z wojny domowej, kalek i innych osób pozbawionych środków do życia, którzy mogli stanowić dla mnie zagrożenie. Tak więc bardzo się cieszyłam z towarzystwa.

Po raz ostatni przeszłam przez bramę więzienia, gdy zegar wybił południe, co zabrzmiało w mojej głowie niczym tysiące dzwonów. Aż do tej chwili nie bardzo ufałam swoim zmysłom. Ubierając się na podróż, czułam się zupełnie otępiała, a wszystko wokół mnie wydawało się płaskie i pozbawione koloru. Teraz jednak nabrało życia. Słońce świeciło i każdy kamień w murze wydawał mi się przezroczysty jak szkło i rozświetlony jak lampa. Czułam się, jakbym wkraczała z piekła do raju. Myślę, że te dwa miejsca są o wiele bliżej siebie, niż to się wydaje większości ludzi.

Za bramą rósł kasztan; każdy jego liść wyglądał jak otoczony ogniem. Na drzewie siedziały trzy białe gołębie, które lśniły niczym aniołowie na Zielone Świątki. Wtedy zrozumiałam, że naprawdę jestem wolna. Kiedyś w chwilach postrzegania wielkiej jasności lub ciemności zdarzało mi się zemdleć, ale tego dnia poprosiłam Janet o sole trzeźwiące, pozostałam więc przytomna, choć musiałam się wspierać na jej ramieniu.

Chciałam się obrócić i spojrzeć za siebie, ale przypomniała mi się żona Lota, więc się powstrzymałam. Obejrzenie się za siebie oznaczałoby również, że żałuję wyjazdu i pragnę wrócić, a jak pan sobie może wyobrazić, nie było to prawdą. Zdziwi się pan jednak, jeśli powiem, że rzeczywiście czułam coś w rodzaju żalu. Bo chociaż więzienie nie było zbyt przytulnym miejscem, to jednak stanowiło dla mnie jedyny dom, jaki znałam od prawie trzydziestu lat – a to długi okres, dłuższy, niż wiele osób spędza na tej ziemi, i mimo że miejsce to było ponure i oznaczało smutek i karę, to przynajmniej dobrze je znałam. Przejście od czegoś znajomego – choćby znieawidzonego – do tego, co

nieznane, zawsze wymaga przystosowania się i wydaje mi się, że dlatego właśnie tylu ludzi boi się śmierci.

Po tej chwili znowu znalazłam się w normalnym świetle, choć wciąż czułam lekkie zawroty głowy. Dzień był upalny i wilgotny – taka jest pogoda w sierpniu nad Jeziorem – ale od wody wiał lekki wietrzyk, więc nie było zbyt duszno. Na niebie wisiało parę chmur, lecz nie takich, które zapowiadają deszcz czy burzę. Janet miała parasolkę, którą trzymała nad naszymi głowami. Parasolka była jedną z rzeczy, których mi brakowało, gdyż ta z różowego jedwabiu, należąca kiedyś do Nancy, zupełnie przegniła.

Pojechaliśmy na dworzec kolejowy bryczką powożoną przez służącego naczelnika. Pociąg miał odjechać dopiero o pierwszej trzydzieści, ja jednak denerwowałam się, że się spóźnimy, i kiedy już się tam znaleźliśmy, nie mogłam spokojnie usiedzieć w poczekalni dla pań, tylko musiałam chodzić tam i z powrotem po peronie, taka byłam poruszona. Wreszcie pociąg wjechał na stację – ogromny, lśniący, żelazny potwór, buchający parą. Nigdy jeszcze z bliska nie widziałam pociągu i chociaż Janet zapewniała mnie, że nie jest niebezpieczny, musiała mi pomóc wejść po stopniach.

Pociąg jechał tylko do Cornwall, ale chociaż nasza podróż trwała dość krótko, miałam wrażenie, że jej nie przeżyję. Hałas był tak wielki, a ruch tak szybki, że myślałam, że ogłuchnę. Z lokomotywy buchał czarny dym. Gwizd pociągu niemal doprowadził mnie do szaleństwa, ale wzięłam się w garść i nie krzyknęłam.

Poczułam się lepiej, kiedy wysiedliśmy na stacji w Cornwall i pojechaliśmy stamtąd dwukółką na przystań, gdzie wsiedliśmy na statek płynący na drugi brzeg Jeziora, ponieważ ta forma podróży była mi bardziej znana, a poza tym mogłam złapać nieco świeżego powietrza. Odblask promieni słonecznych na falach początkowo sprawił mnie w zdumienie, które minęło, kiedy przestałam na nie patrzeć. Mogliśmy coś przekąsić, bo naczelnik zabrał ze sobą koszyk z jedzeniem. Zjadłam trochę kurczaka na zimno i wypłam odrobinę letniej herbaty. Zająłam się oglądaniem strojów pań na pokładzie, które były bardzo urozmaicone i kolorowe. Przy siadaniu i wstawaniu miałam pewne problemy z turniurą, gdyż wymaga to praktyki, i niestety chyba nie grzeszyłam wdziękiem. Czułam się, jakbym miała drugi tyłek doczepiony do prawdziwego, a oba ciągnęły się za mną niczym cynowe wiadro przywiązane do świni, ale oczywiście nie powiedziałabym Janet nic tak ordynarnego.

Na drugiej stronie Jeziora przeszliśmy przez urząd celny Stanów Zjednoczonych, gdzie naczelnik powiedział, że nie mamy nic do oclenia. Potem wsiedliśmy do drugiego pociągu; cieszyłam się, że jest z nami naczelnik, bo nie wiedziałabym, co począć z tragarzami i bagażem. Kiedy już siedzieliśmy w tym nowym pociągu, który hałasował mniej niż poprzedni, spytałam Janet o cel mojej podróży. Jechaliśmy do Ithaca w stanie Nowy Jork – tyle mi powiedziano – ale co tam się ze mną stanie? Jaki będzie ten mój nowy dom i czy będę w nim służącą, a jeśli tak, to co wiedzą o mnie jego gospodarze? Widzi pan, nie chciałam nikogo okłamywać ani ukrywać prawdy o swojej przeszłości.

Janet powiedziała, że czeka mnie tam niespodzianka, ale to tajemnica, więc nie może nic wyjawić prócz tego, że to będzie miła niespodzianka – a przynajmniej taką miała

nadzieję. Zdradziła tylko tyle, że dotyczy ona pewnego mężczyzny, dżentelmena, ale ponieważ wyrażała się tak o każdym osobniku w spodniach zajmującym wyższą pozycję od kelnera, więc niczego nie mogłam się domyślić.

Kiedy spytałam o tego dżentelmena, odparła, że nie może mi powiedzieć nic więcej poza tym, że to mój stary znajomy, a przynajmniej tak jej dano do zrozumienia. Stała się nieskora do rozmowy i nie zdołałam wydusić z niej ani słowa.

Zaczęłam sobie przypominać wszystkich mężczyzn, których znałam. Nie było ich zbyt wielu, jako że nie miałam okazji do zawierania znajomości, a ci dwaj, których znałam najlepiej, choć nie najdłużej – pan Kinnear i James McDermott – już nie żyli. Był jeszcze domokrażca Jeremiasz, ale nie sądziłam, że mógłby sprawić sobie porządny dom, gdyż nigdy nie był typem domatora. Byli jeszcze moi poprzedni pracodawcy, na przykład pan Coates i pan Haraghy, ale ci z pewnością albo już nie żyli, albo byli w bardzo podeszłym wieku. Do głowy przyszedł mi jeszcze tylko pan. Muszę przyznać, że taka myśl przemknęła mi przez głowę.

Tak więc z niepokojem, ale i ciekawością wyszłam wreszcie na peron w Ithaca. Tłum ludzi witał przybyłych, a wszyscy przekrzykiwali się nawzajem. Tragarze uwijali się jak w ukropie, dźwigali walizy i skrzynie albo wozili je na wózkach, aż niebezpiecznie było tam stać. Trzymałam się kurczowo Janet, podczas gdy naczelnik zajął się bagażami, po czym zaprowadził nas na plac po drugiej stronie budynku stacji, z dala od pociągów, i tam zaczął się rozglądać. Zmarszczył brwi, nie znalazłszy tego, czego się spodziewał, co chwila zerkał na zegarek i zegar dworcowy. Wreszcie zajął do listu, który wyjął z kieszeni, a mnie aż serce zamarło. On jednak podniósł wzrok, uśmiechnął się i powiedział: „Oto i on” – i rzeczywiście, zobaczyłam jakiegoś mężczyznę spieszącego w naszą stronę.

Był ponadprzeciętnego wzrostu, dość otyły, ale jednocześnie o pociągłej sylwetce – to znaczy miał długie ręce i nogi, lecz nieco zaokrąglony tułów. Miał rude włosy i długą rdzawą brodę, a ubrany był w czarny surdut, taki odświętny, jakie noszą teraz mężczyźni, jeśli w ogóle dbają o ziemskie dobra, białą koszulę i ciemny krawat, a w ręku trzymał cylinder, który dzierzył przed sobą jak tarczę. Nigdy wcześniej go nie widziałam, ale gdy tylko do nas podszedł, rzucił mi przenikliwe spojrzenie, po czym padł przede mną na kolana. Chwycił mnie za rękę i powiedział:

– Grace, Grace, czy kiedykolwiek mi przebaczysz? – Prawie to wykrzyczał, jakby ćwiczył tę kwestię przez długi czas.

Zaczęłam się wrywać, sądząc, że to jakiś szaleniec, ale kiedy zwróciłam się do Janet o pomoc, ta stała zalana łzami ze wzruszenia, a naczelnik cały aż promieniał, jakby tylko na to czekał. Okazało się, że tylko ja nie wiem, o co chodzi.

Mężczyzna puścił moją dłoń i wstał.

– Ona mnie nie poznaje – powiedział ze smutkiem. – Grace, nie poznajesz mnie? Ja bym cię zawsze poznał.

Spojrzałam na niego i w jego twarzy rzeczywiście było coś znajomego, ale wciąż nie mogłam go sobie przypomnieć. Wtedy powiedział:

– Jestem Jamie Walsh. – I w tej chwili go rozpoznałam.

Potem pojechaliśmy do nowego hotelu koło dworca, gdzie naczelnik załatwił dla

nas zakwaterowanie, i nieco się wspólnie pożywiliśmy. Jak pan może sobie wyobrazić, nastąpiło wiele wyjaśnień, gdyż Jamiego Walsha po raz ostatni widziałam na swoim procesie, kiedy jego zeznanie spowodowało taką zmianę nastawienia do mnie sędziego i ławy przysięgłych z tego powodu, że nosiłam ubrania zamordowanej.

Pan Walsh – gdyż tak go odtąd będę nazywać – wyznał, że sądził wtedy, że jestem winna, choć nie chciał tak myśleć, bo zawsze mnie lubił, co rzeczywiście było prawdą. Kiedy wydorósł i zaczął rozmyślać o tej sprawie, doszedł do przeciwnego wniosku i dręczyło go poczucie winy, że przyczynił się do skazania mnie. W tym czasie był jednak tylko młodym chłopakiem i dał się zagadać prawnikom, oni zaś kazali mu mówić rzeczy, których konsekwencje zrozumiał dopiero później. Zaczęłam go pocieszać, mówiąc, że to się mogło przytrafić każdemu.

Po śmierci pana Kinneara on i jego ojciec zostali zmuszeni do opuszczenia jego posiadłości, gdyż nowi właściciele nie znaleźli dla nich żadnego zajęcia. Przyjął więc posadę w Toronto, którą zdobył dzięki temu, że podczas procesu zrobił wrażenie bystrego i energicznego młodzieńca, o czym pisali w gazetach. Można więc powiedzieć, że dzięki mnie rozpoczął nowe życie. Przez wiele lat oszczędzał, po czym wyjechał do Stanów, uznawszy, iż tam ma większe szanse na dorobienie się – tam pieniądze, a nie pochodzenie określały człowieka i nikt nie zadawał zbędnych pytań. Pracował na kolei, wyjeżdżał na zachód, przez cały czas oszczędzając, i wreszcie dorobił się własnej farmy i dwóch koni. Prawie od razu wspomniał o koniach, wiedząc, jak bardzo kiedyś lubiłam Charleya.

Ożenił się, lecz teraz był bezdzietnym wdowcem. Nigdy nie przestało go dręczyć to, co przez niego się ze mną stało; wysłał parę listów do więzienia, by się dowiedzieć, co się ze mną dzieje, ale nie napisał bezpośrednio do mnie, nie chcąc mnie denerwować. W ten sposób dowiedział się o moim ułaskawieniu i załatwił wszystko z naczelnikiem.

Koniec końcem zaczął mnie błagać o wybaczenie, co też z ochotą uczyniłam. Nie mogłam żywić do niego urazy i powiedziałam, że niewątpliwie i tak zostałabym wtrącona do więzienia, nawet gdyby nie wspomniał o sukniach Nancy. Kiedy już z tym skończyliśmy, ścisnął moją dłoń i poprosił, bym za niego wyszła. Powiedział, że chociaż nie jest milionerem, może mi zapewnić porządny dom i wszystko, czego mi potrzeba, gdyż ma trochę pieniędzy odłożonych w banku.

Zaczęłam udawać, że się ociągam, chociaż prawda była taka, że nie miałam innego wyboru, a poza tym po tylu jego zabiegach okazałabym się bardzo niewdzięczna, odmawiając. Powiedziałam, że nie chcę, by się ze mną żenił jedynie z obowiązku i poczucia winy, on zaś odparł, że nie takie są jego motywy, i stwierdził, że zawsze żywił do mnie bardzo ciepłe uczucia i że prawie się nie zmieniłam od tamtych czasów – nadal byłam przystojna, jak to ujął. A mnie się przypomniały stokrotki z sadu pana Kinneara i wiedziałam, że Jamie pomyślał o tym samym.

Najtrudniejsze było dla mnie uznanie go za dorosłego mężczyznę, gdyż znałam go tylko jako niezdarnego chłopaczka, który grał na fujarce w noc poprzedzającą śmierć Nancy i który siedział na płocie tego pierwszego dnia, kiedy przyjechałam do domu pana Kinneara.

Wreszcie powiedziałam „tak”. Jamie miał już przygotowany pierścionek, który trzymał w pudełeczku w kieszeni kamizelki. Był tak przejęty, że upuścił go dwukrotnie

na stół, zanim udało mu się nałożyć mi go na palec, ale najpierw musiałam zdjąć rękawiczkę.

Przygotowania do ślubu odbyły się tak szybko, jak to tylko było możliwe, a tymczasem zostaliśmy w hotelu, gdzie co rano przynoszono nam do pokoju gorącą wodę. Dla przyzwoitości została ze mną Janet. Za wszystko zapłacił pan Walsh. Ceremonia zaślubin była skromna. Przypomniałam sobie, jak wiele lat temu ciotka Pauline mówiła, że na pewno wyjdę za gorszego od siebie i zaczęłam się zastanawiać, co by sobie teraz pomyślała. Janet, która była moją druhną, cały czas płakała.

Broda pana Walsha była bardzo długa i ruda, ale przyrzekłam sobie, że to się z czasem zmieni.

Minęło już prawie trzydzieści lat od dnia, kiedy miałam niespełna szesnaście lat i po raz pierwszy stanęłam na długim podjeździe prowadzącym do domu pana Kinneara. Był wtedy czerwiec – tak samo jak teraz. Siedzę na własnej werandzie we własnym bujanym fotelu; jest późne popołudnie, a widok przede mną tak spokojny, że pomyśleć by można, że to obraz. Przed domem kwitną róże – odmiany Lady Hamilton – są bardzo piękne, choć lubią je mszyce. Podobno najlepiej posypywać je arsenikiem, ale ja wolę nie trzymać takiej rzeczy w domu.

Kwitną też ostatnie peonie, różowobiałe i obfite w pąki. Nie znam ich nazwy, bo to nie ja je zasadziłam. Ich woń przypomina mi zapach mydła, którego pan Kinneare używał do golenia. Front naszego domu wychodzi na południowy zachód; promienie słoneczne są ciepłe i złociste, ale ja siedzę w cieniu, gdyż słońce szkodzi cerze. W takie dni myślę sobie: „Jestem w niebie”, choć nigdy nie sądziłam, że się tam znajdę.

Jestem żoną pana Walsha już prawie od roku i chociaż nie jest tak, jak to sobie wyobraża większość młodych dziewcząt, to może i lepiej, bo oboje przynajmniej wiemy, na co się zdecydowaliśmy. Kiedy ludzie pobierają się młodo, z wiekiem często się zmieniają, a ponieważ my już jesteśmy dojrzałymi, czeka nas mniej rozczarowań. Starszy człowiek ma już uformowany charakter i mniejszą skłonność do picia i innych nałogów, bo gdyby ją kiedykolwiek miał, to do tego czasu na pewno by mu już przeszła – takie jest w każdym razie moje zdanie i mam nadzieję, że tym razem okaże się słuszne. Namówiłam pana Walsha, by przystrzygł brodę i palił fajkę tylko na zewnątrz, a z czasem może obie te rzeczy – i broda, i fajka – zupełnie znikną, choć lepiej nie zrzedzić i nie naciskać na mężczyznę, bo od tego robi się tylko jeszcze bardziej uparty. Pan Walsh nie żuje tytoniu i nie spluwa nim, jak inni, a ja jak zwykle jestem wdzięczna za te drobne błogosławieństwa.

Nasz dom to zwykły wiejski domek, biały z zielonymi okiennicami, ale nam to wystarcza. Jest tu frontowy hall z wieszakami na palta w zimie, ale używamy głównie drzwi kuchennych i schodów ze zwykłą poręczą. U ich szczytu stoi cedrowa komoda, gdzie przechowuje się kołdry i koce. Na górze są cztery małe pokoiki – dziecinny, główna sypialnia, pokój dla gości, chociaż ani się ich nie spodziewamy, ani sobie żadnych nie życzymy, i ostatni – na razie pusty. W dwóch umeblowanych sypialniach są umywalki i owalne plecione dywaniki, bo wolę je od ciężkich dywanów, które trudno znieść na dół i trzepać na wiosnę, co na starość byłoby dla mnie jeszcze większym problemem.

Nad każdym łóżkiem wisi kilimek wyszyty ścięciem krzyżowym mojej własnej roboty, w najlepszym pokoju stoi wazon z kwiatami, a w naszym patera na owoce. Kołdra w najlepszym pokoju to „Koło Fortuny”, a w naszym – „Drewniana Chatka”. Kupiłam je na wyprzedży od ludzi, którzy zbankrutowali i wyruszyli na zachód. Współczułam tej kobiecie, więc zapłaciłam więcej, niż powinnam. Musiałam zająć się wieloma rzeczami, by nasz dom był przytulny, gdyż pan Walsh po śmierci pierwszej żony nabrał kawalerskich nawyków, a niektóre z nich nie należały do przyjemnych. Znalazłam tam

wielkie pajęczyny, a pod łózkami kłęby kotów. Trzeba też było wyszorować podłogę i wszystko umyć.

Letnie zasłony w obu sypialniach są białe. Lubię białe zasłony.

Na dole mamy główny salon z piecem i kuchnię ze spiżarnią i przechowalnią bielizny stołowej oraz pompę, która w zimie jest wielką zaletą. Jest też jadalnia, ale niezbyt często przyjmujemy w niej gości. Jemy przeważnie przy kuchennym stole, gdzie są dwie lampy naftowe, które dają bardzo przyjemne światło. Stołu w jadalni używam do szycia, bo można się na nim wygodnie rozłożyć przy robieniu wykrojów. Teraz mam maszynę do szycia napędzaną ręcznie. To istny cud i bardzo się z niej cieszę, bo oszczędza mi huk roboty, zwłaszcza przy zwykłym szyciu, jak szycie zasłon i obrębianie prześcieradeł. Nadal jednak wolę szycie ręczne, chociaż wzrok mam już nie ten co kiedyś.

Poza tym, co opisałam, mamy inne zwykłe rzeczy – ogródek kuchenny, gdzie uprawiam zioła, kapustę i warzywa, a wiosną groszek; kury i kaczki, krowę i stodołę, bryczkę i dwa konie – Charleya i Neli, które dają mi dużo radości i dotrzymują towarzystwa, kiedy pana Walsha nie ma w domu. Charley za ciężko pracuje, bo to koń do orania. Podobno wkrótce mają się pojawić maszyny, które będą wykonywały takie prace, a wtedy biedny Charley będzie wreszcie mógł się spokojnie popasać. Nigdy nie sprzedałabym go na klej czy na karmę dla psów, jak to robią niektórzy.

Zatrudniłszy człowieka, który pomaga nam na farmie, lecz nie mieszka z nami. Pan Walsh chciał też zatrudnić dziewczynę, ale powiedziałam, że wolę sama wykonywać wszystkie prace domowe. Nie chciałabym tu mieć służącej, bo te zawsze wtykają nos w nie swoje sprawy i podsłuchują pod drzwiami, a poza tym wolę sama coś zrobić, niż potem poprawiać po innych.

Nasz kot ma na imię Tabby, jest takiego koloru jak większość kotów i świetnie łapie myszy, a nasz pies wabi się Rex, jest seterem i chociaż niezbyt rozgarnięty, to bardzo serdeczny i ma sierść w prześlicznym kolorze rudawego brązu, jak wypolerowany kasztan. Nie są to zbyt oryginalne imiona, ale nie chcemy mieć w okolicy reputacji oryginałów. Chodzimy do miejscowego kościoła metodystów. Nasz pastor jest pełen wigoru i lubi czasami postraszyć w niedzielę ogniem piekielnym, choć nie sądzę, by miał jakiegokolwiek pojęcie o tym, jak naprawdę wygląda piekło – nie większe niż kongregacja. To dobrzy ludzie, choć nieco ograniczeni. Doszliśmy do wniosku, że lepiej nie odsłaniać zbyt wiele naszej przeszłości, ani przed nimi, ani przed kimkolwiek innym, bo to by tylko prowadziło do wścibstwa, plotek i fałszywych pomówień. Mówimy wszystkim, że pan Walsh to mój ukochany z dzieciństwa, że wyszłam za innego, ale ostatnio owdowiałam. Kiedy zaś zmarła żona pana Walsh, postanowiliśmy odnowić kontakt i wzięliśmy ślub. Taką wersję wszyscy z łatwością akceptują, gdyż jest bardzo romantyczna i nikomu nie robi krzywdy.

Nasz kościółek jest maleńki i staroświecki, ale Ithaca to całkiem nowoczesne miasto i mieszka tam sporo spirytystów. Przyjeżdża tu wiele słynnych mediów i zatrzymuje się w najlepszych domach. Ja się w takie sprawy nie mieszam, bo nigdy nie wiadomo, co może z tego wyniknąć, a gdybym chciała się skontaktować ze zmarłymi, mogę to równie dobrze zrobić sama. Poza tym podejrzewam, że dużo w tym oszustwa i sztuczek.

W kwietniu widziałam afisz z portretem jednego z nich i chociaż rysunek był bardzo ciemny, pomyślałam, że to musi być domokrażca Jeremiasz – i rzeczywiście to był on, gdyż któregoś dnia, kiedy pan Walsh i ja pojechaliśmy do miasta na zakupy, zobaczyłam go na ulicy. Był ubrany bardziej elegancko niż kiedykolwiek, znowu miał czarne włosy i brodę przyciętą na wojskową modłę, co musi budzić zaufanie, i teraz nazywa się Gerald Bridges. Doskonale udaje człowieka obytego i światowego, choć pochłoniętego wyższymi prawdami. On mnie też zauważył i rozpoznał; z szacunkiem uchylił kapelusza, ale bardzo lekko, żeby nikt tego nie spostrzegł, i mrugnął do mnie. Pomachałam do niego ręką w rękawiczce, bo teraz do miasta zawsze wkładam rękawiczki. Pan Walsh niczego nie zauważył – i całe szczęście, bo by się zaniepokoił.

Nie chcę, by ktokolwiek tutaj znał moje prawdziwe nazwisko, ale wiem, że Jeremiasz dotrzyma tajemnicy, tak samo jak ja nie wydam jego. Przypomniałam sobie te czasy, kiedy mogłam z nim uciec, zostać cyganką i uzdrowiaczką, co mnie wtedy bardzo kusilo. Gdyby tak się stało, mój los byłby zupełnie inny. Ale Bóg jeden wie, czy wyszłoby mi to na dobre, a tak już nigdy nie będę musiała uciekać.

Pan Walsh i ja w zasadzie żyjemy zgodnie i dobrze się między nami układa. Jest jednak coś, co mnie trapi, proszę pana: nie mam żadnej bliskiej znajomej, której mogłabym zaufać, więc mówię o wszystkim panu, bo wiem, że pan zatrzyma to dla siebie.

No i tak to jest. Pan Walsh niekiedy robi się smutny; bierze mnie za rękę, spogląda na mnie ze łzami w oczach i mówi: „Pomyśleć tylko, jakich cierpień ci przysporzyłem”.

Mówię mu, że nie przysporzył mi żadnych cierpień – to inni mi ich przysporzyli, a poza tym po prostu miałam pecha i niesprawiedliwie mnie osądzono – on jednak uważa, że to on był sprawcą mojego nieszczęścia i myślę, że przyznałby się nawet do spowodowania śmierci mojej matki, gdyby znalazł na to jakiś sposób. Lubi też wyobrażać sobie cierpienie i czasami muszę mu opowiadać historie innych kobiet z więzienia czy z domu dla obłąkanych w Toronto. Im bardziej wodnista – w mojej opowieści – była zupa, im bardziej spleśniały ser i im bardziej ordynarne i grubiańskie zachowanie strażników, tym większą ma przyjemność ze słuchania. Chłonie moje opowieści jak dziecko słuchające bajki, jakby to było coś cudownego, po czym błaga mnie o jeszcze. Kiedy mówię o odmrożeniach i dygotaniu z zimna nocą pod cienkim kocem, o chłóście, kiedy się na coś skarżyło, aż drży z podniecenia, a jeśli dodaję do tego nieprzyzwoite zachowanie doktora Bannerlinga wobec mnie, lodowate kąpiele nago w prześcieradle i przetrzymywanie w kaftanie bezpieczeństwa w ciemnym pokoju, niemal wpada w ekstazę. Jednakże jego ulubionym fragmentem historii jest ta część, kiedy biedny James McDermott ciągał mnie po całym domu pana Kinneara, szukając łóżka zdatnego do jego niecnych celów, podczas gdy Nancy i pan Kinneare leżeli martwi w piwnicy, a ja niemal traciłam zmysły z przerażenia. Obwinia się wtedy, że nie przybył mi na ratunek.

Ja bym raczej woląла zapomnieć o tym okresie mojego życia, niż roztrząsać to w nieskończoność w taki cierpiętniczy sposób. To prawda, że lubiłam te czasy, kiedy przychodził pan do mnie w odwiedziny, gdyż wizyty te bardzo urozmaicały dni, które były podobne jeden do drugiego. Teraz, kiedy o tym pomyślę, dochodzę do wniosku, że

słuchał pan o moich cierpieniach i niedoli z równym zapalem co pan Walsh – i nie tylko to – pan je również spisywał. Niekiedy tracił pan zainteresowanie – wtedy błędził pan wzrokiem po pokoju, ale za każdym razem bardzo się cieszyłam, kiedy udało mi się powiedzieć coś, co pana zafrapowało. Wtedy rumienił się pan i promieniał jak słońce na zegarze w salonie, a gdyby miał pan uszy jak pies, z pewnością stanęłyby wyprostowane, oczy by panu załśniły i wystawiłby pan język, jakby pan znalazł kuropatwę w krzakach. Dzięki temu miałam wrażenie, że do czegoś się jeszcze przydaję, choć nigdy nie mogłam zrozumieć, o co panu w tym wszystkim chodzi.

Kiedy już opowiem panu Walshowi kilka historii o moim cierpieniu i męce, zawsze potem chwyta mnie w ramiona, głaszcze po włosach i zaczyna rozpinać mi koszulę – gdyż to się dzieje przeważnie w nocy – i pyta:

– Czy mi kiedykolwiek wybacysz?

Na początku bardzo mnie to złościło, ale nic nie mówiłam. Prawda jest taka, że niewiele osób rozumie, co to znaczy wybaczenie. To nie winowajcom należy wybaczyć, lecz ich ofiarom, gdyż to one są przyczyną wszystkich kłopotów. Gdyby były silniejsze, ostrożniejsze i bardziej przewidujące i gdyby przestały pchać się w tarapaty, o ileż smutku mniej byłoby na świecie!

Przez wiele lat chowałam w sercu gniew do Mary Whitney, a zwłaszcza do Nancy Montgomery – za to, że pozwoliły sobie na taką śmierć i zostawiły mnie z całym ciężarem winy. Przez długi czas nie znajdowałam w sobie przebaczenia dla nich. Byłoby o wiele lepiej, gdyby to pan Walsh mi wybaczył, zamiast tak się upierać i wykręcać kota ogonem. Może z czasem zobaczy sprawy w innym, prawdziwym świetle.

Kiedy z tym zaczął, powiedziałam, że nie mam mu co wybaczać i że nie powinien sobie tym zaprzętać głowy, ale nie takiej odpowiedzi się spodziewał. Nalegał, bym mu wybaczyła, bo to mu nie daje spokoju, a kimże ja jestem, by mu odmawiać tak prostej rzeczy?

Tak więc teraz, za każdym razem, gdy mnie o to prosi, mówię, że mu wybaczam. Kładę dłonie na jego głowie, jak to opisują w książkach, podnoszę oczy i staram się wyglądać uroczyście, a potem go całuję, trochę pochlipując. Następnego dnia pan Walsh na powrót staje się sobą – gra na fujarce, jakby był znowu chłopcem, ja mam piętnaście lat i siedzimy w sadzie pana Kinneara, plotąc wianki ze stokrotek.

Nie czuję się jednak z tym zbyt dobrze, gdyż mam świadomość, że wybacząc mu, kłamie. Nie jest to moje pierwsze kłamstwo, ale, jak mawiała Mary Whitney, niewinne kłamstewka, takie jakich używają aniołowie, to niewielka cena za spokój.

Ostatnio często myślę o Mary Whitney i o tym dniu, gdy rzucałyśmy za siebie skórki od jabłek. Wróżba w końcu się spełniła. Tak jak powiedziała Mary, wyszłam za mężczyznę, którego imię zaczyna się na „J” i, jak również powiedziała, najpierw trzykrotnie musiałam przekroczyć wodę – dwa razy na statku do Lewiston, tam i z powrotem, a potem jeszcze raz w drodze tutaj.

Czasami śni mi się, że znowu jestem w swoim pokoiku u pana Kinneara, jeszcze zanim zdarzyła się cała ta straszliwa tragedia. Czuję się tam tak bezpiecznie, nie wiedząc, co ma się stać. A niekiedy śnię, że jestem nadal w więzieniu i że po przebudzeniu zobaczę, że znowu jestem zamknięta w swojej celi, trzęsąc się z zimna na słomianym sienniku

w mroźny zimowy poranek przy wtórze śmiechu strażników, dobiegającego zza okna.

Ale naprawdę jestem tutaj, we własnym domu, i siedzę w fotelu na werandzie. Otwieram i zamykam oczy, szczypię się, ale to nie sen.

Jest jeszcze jedna rzecz, o której nikomu nie mówiłam.

Kiedy mnie wypuszczono z więzienia, właśnie skończyłam czterdzieści pięć lat, a za niespełna miesiąc będę miała czterdzieści sześć, więc myślałam, że już nie będę mogła mieć dzieci. Ale chyba że się mylę – moja kobieca niedyspozycja spóźnia się już trzy miesiące. Może to tylko przez te zmiany w życiu? Trudno w to uwierzyć, ale skoro już raz przydarzył mi się cud, to dlaczego nie miałby się zdarzyć po raz drugi? O takich rzeczach mówi się w Biblii; być może Bóg postanowił wynagrodzić mi choć trochę wszystko to, przez co przeszłam w młodości. Ale równie dobrze może to być guz – taki jaki zabił moją biedną matkę, bo choć mam wrażenie ciężkości, to nie nękają mnie poranne wymioty. Dziwnie mi się robi na myśl, że noszę w sobie albo życie, albo śmierć. Mogłabym się z łatwością tego dowiedzieć, radząc się lekarza, ale podchodzę do tego z największą niechęcią, więc rozstrzygnąć musi czas.

Kiedy tak siedzę popołudniami na werandzie, szyję kołdrę. Chociaż w swoim życiu uszyłam ich już wiele, ta jest pierwszą, którą robię dla siebie. To „Rajska Jabłoń”, chociaż według własnych upodobań zmieniałam nieco wzór.

Wiele myślałam o panu i o pańskim jabłku oraz o zagadce, którą mi pan zadał, kiedy się spotkaliśmy pierwszy raz. Wtedy nie rozumiałam pana, ale domyślałam się, że próbował mnie pan czegoś nauczyć, i teraz chyba już ją rozwiązałam. Tak jak ja to widzę, Biblia została wymyślona przez Boga, ale spisana przez ludzi i jak we wszystkim, co piszą ludzie – na przykład w gazetach – główny wątek udało się uchwycić, ale pewne szczegóły nie są zgodne z prawdą.

Wzór tej kołdry nazywa się „Rajska Jabłoń” i ten, kto ją tak nazwał, pewnie uważał, że wie lepiej, gdyż Biblia nie mówi nic o jabłoni, lecz o dwóch innych drzewach: drzewie życia i drzewie poznania dobra i zła. Mnie się jednak wydaje, że było tylko jedno drzewo i że owoc życia i owoc dobra i zła to to samo. Gdyby go pan zjadł, umarłby pan, ale gdyby nie zjadł, umarłby także, chociaż gdyby go pan spróbował, umarłby pan mądrzejszy.

Bardziej mi to pasuje do życia.

Mówię o tym tylko panu, gdyż wiem, że takie myślenie nie znalazłoby uznania.

Na mojej „Rajskiej Jabłoni” zamierzam umieścić splątane węże, więc dla innych będą wyglądać jak winorośl albo zwyczajny wzorek. Oczy będą miały malutkie, więc ja w nich jednak widzieć będę węże, bo bez węży brakowałoby głównego elementu tej historii. Inni, którzy wykorzystują ten wzór, robią kilka drzew – cztery lub więcej – ułożonych w kwadracie lub kole – ale ja zrobię tylko jedno ogromne drzewo na białym tle. Sama Jabłoń będzie się składała z trójkątów – ciemnych zamiast liści i jaśniejszych zamiast owoców. Liście będą fioletowe, a owoce czerwone. Teraz jest wiele żywych kolorów, bo pojawiły się chemiczne barwniki, więc myślę, że wyjdzie mi to bardzo ładnie.

Ale trzy kwadraty na mojej jabłoni będą inne. Jeden będzie biały i zrobiony z halki, która należała do Mary Whitney; drugi będzie przyblakły i żółtawy, z więziennej koszuli, którą wyblagałam na pamiątkę, odchodząc stamtąd, a trzeci zrobię z kawałka jasnej bawełny w różowo-białe kwiatki, odciętego z sukni Nancy, w którą była ubrana tego pierwszego dnia, gdy przyjechałam do domu pana Kinneara, i którą miałam na sobie na statku do Lewiston, kiedy uciekałam.

Każdy z nich otoczę ścięciem gałązkowym, żeby wtopiły się we wzór.

W ten sposób wszystkie będziemy razem.

Posłowie

Grace i Grace jest powieścią opartą na faktach. Jej główna bohaterka, Grace Marks, która w wieku lat szesnastu została skazana za morderstwo, była jedną z najślynniejszych postaci kobiecych w Kanadzie w latach czterdziestych dziewiętnastego wieku.

Morderstwo Kinneara i Montgomery, dokonane 23 lipca 1843 roku, wywołało szeroki oddźwięk nie tylko w gazetach kanadyjskich, ale również amerykańskich i brytyjskich. Szczegóły sprawy były sensacyjne: Grace Marks była wyjątkowo ładna, a także bardzo młoda; gospodyni Thomasa Kinneara, Nancy Montgomery, urodziła wcześniej nieślubne dziecko i była kochanką swego chlebodawcy; co więcej, sekcja zwłok wykazała, że w chwili śmierci była w ciąży. Grace i drugi służący w tym domu, James McDermott, uciekli do Stanów Zjednoczonych, a prasa uznała ich za parę kochanków. Połączenie seksu, przemocy i godnej ubolewania niesubordynacji klas niższych stanowiły wielką atrakcję dla ówczesnych dziennikarzy.

Proces odbył się na początku listopada. Osądzono jedynie zbrodnię dokonaną na Kinnearze: ponieważ oboje oskarżeni zostali skazani na śmierć, proces w sprawie śmierci Montgomery uznano za zbędny. McDermott został powieszony na oczach ogromnego tłumu 21 listopada, natomiast zdania na temat Grace od samego początku były podzielone i dzięki wysiłkom jej adwokata, Kennetha MacKenziego, oraz grupy szanowanych obywateli, którzy wnieśli petycję na rzecz jej uniewinnienia, podkreślając młody wiek Grace, jej słabość jako kobiety oraz domniemaną niepoczytalność – jej wyrok został zmieniony na dożywocie. 19 listopada 1843 roku została osadzona w więzieniu okręgowym w Kingston.

Do końca wieku dziewiętnastego wiele o niej pisano i wciąż wzbudzała skrajne uczucia. Postawy wobec niej odzwierciedlały ówczesne poglądy na temat dwoistości natury kobiecej: czy Grace była diabłem w ciele kobiety i kusicielką, inspiratorką zbrodni i prawdziwą morderczynią Nancy Montgomery, czy też zastraszoną, niewinną ofiarą, zmuszoną do milczenia przez McDermotta, który groził jej śmiercią? Sprawę jeszcze bardziej zagmatwało to, że Grace podała trzy różne wersje zbrodni popełnionej na Montgomery, a James McDermott dwie.

Z historią Grace Marks pierwszy raz zetknęłam się w książce Susanny Moodie *Life in the Clearings* (1853). Moodie była już wówczas znana jako autorka *Roughing It in the Bush*, opisu surowego życia pionierów w ówczesnej Górnej Kanadzie, czyli dzisiejszym Ontario. Druga część tej książki, *Life in the Clearings*, miała ukazać bardziej cywilizowaną stronę „Kanady Zachodniej” i zawierała pełne podziwu opisy więzienia okręgowego w Kingston i domu dla obłąkanych w Toronto. Takie publiczne instytucje zwiedzano wówczas jak ogrody zoologiczne. W obu Moodie poprosiła o pokazanie jej miejscowej atrakcji – Grace Marks.

Opowieść o zbrodni przedstawiona przez Moodie pochodzi z drugiej ręki. Opisuje ona w niej Grace jako główną sprawczynię mordu, zakochaną w Thomasie Kinnearze i zazdrosną o Nancy Montgomery, która wykorzystała do tego celu McDermotta, obiecując mu w zamian swe ciało. McDermott jest natomiast ukazany jako ogłupiony

przedmiot manipulacji. Moodie nie może oprzeć się nastrojowi literackiego melodramatu, a pociąganie Nancy to nie tylko czysty wymysł, ale i motyw żywcem wzięty z powieści Harrisona Ainswortha, poczytnego w owym czasie autora horrorów. Ewidentny jest też wpływ *Olivera Twista* Dickensa – ulubionego pisarza Moodie – w opowieści o przekrwionych oczach, które miały nawiedzać Grace Marks.

Krótko po spotkaniu z Grace w więzieniu Susanna Moodie odwiedziła ją w domu dla obłąkanych w Toronto, gdzie Grace była trzymana na oddziale dla agresywnych pacjentów. Obserwacje Moodie są ogólnie rzecz biorąc wiarygodne, więc gdy opisuje wrzeszczącą, rzucającą się na wszystkie strony Grace, to niewątpliwie jest to prawda. Jednakże wkrótce po opublikowaniu książki Moodie – i tuż po objęciu przez Josepha Workmana stanowiska dyrektora tej instytucji – Grace uznano za na tyle normalną, by ją z powrotem odesłać do więzienia, gdzie, jak wykazują raporty, pojawiło się podejrzenie, że w okresie swojej tam nieobecności zaszła w ciążę. Alarm okazał się fałszywy, ale kto w domu dla obłąkanych mógł być przypuszczalnym sprawcą? Mężczyzn i kobiety trzymano na osobnych oddziałach, jedynymi zaś mężczyznami, którzy mieli łatwy dostęp do pacjentek, byli lekarze.

Przez następne dwa dziesięciolecia Grace od czasu do czasu pojawia się w raportach więziennych. Z pewnością była piśmienna, gdyż w dzienniku naczelnika odnotowano, że pisała listy. Zrobiła wielkie wrażenie na wielu poważanych obywatelach – a wśród nich duchownych – którzy niezmordowanie słali petycję za petycją z prośbą o jej uwolnienie, próbując pozyskać opinię medycznych autorytetów na poparcie swego stanowiska. Dwóch autorów stwierdza, że przez wiele lat była godną zaufania służącą w domu „komendanta” – prawdopodobnie komendanta więzienia – chociaż niekompletne raporty więzienne nic o tym nie wspominają. Jednakże w tych czasach w Ameryce Północnej zatrudnianie więźniów do pracy dziennej stanowiło zwyczaj.

W 1872 roku Grace Marks wreszcie została ułaskawiona. Z raportów wynika, że w towarzystwie naczelnika i jego córki pojechała do Nowego Jorku, gdzie „zapewniono jej dom”. Późniejsi autorzy twierdzą, że wyszła tam za mąż, chociaż nie istnieje na to żaden dowód. Po tej dacie wszelki ślad się urywa. Niejasne pozostaje, czy rzeczywiście była kochanką McDermotta i współsprawczynią zbrodni dokonanej na Nancy Montgomery; czy naprawdę była „obłąkana”, czy też tylko taką udawała – jak to czyniło wielu więźniów – by zapewnić sobie lepsze warunki odbywania kary. Prawdziwa natura historycznej Grace Marks pozostaje zagadką.

Thomas Kinnear prawdopodobnie pochodził ze szkockiej rodziny z Kinloch koło Cupar w hrabstwie Fife, w nizinnej części kraju, i był młodszym przyrodnym bratem spadkobiercy majątku, ale – co dziwne – wydanie *Burke's Peerage* z końca dziewiętnastego wieku podaje, że zmarł mniej więcej w tym samym czasie, gdy pojawił się w zachodniej Kanadzie. Dom Kinneara w Richmond Hill aż do końca wieku był obiektem zainteresowania turystów. Opis wizyty Simona Jordana w tym domu oparty jest na relacji jednego z nich. Groby Thomasa Kinneara i Nancy Montgomery znajdują się na cmentarzu prezbiteriańskim w Richmond Hill, ale na nagrobkach nie ma ich nazwisk.

William Harrison w 1908 roku napisał, że drewniane ogrodzenie wokół nich zostało zdjęte w czasie, gdy usuwano wszystkie drewniane oznaczenia. Krzak róży rosnący na grobie Nancy również zniknął.

Parę innych uwag: szczegóły dotyczące życia w więzieniu i domu dla obłąkanych zostały zaczerpnięte z dostępnych źródeł. Większość słów w liście doktora Workmana jest autentyczna. „Doktor Bannerling” wygłasza opinie; które przypisano doktorowi Workmanowi po jego śmierci, lecz których prawdopodobnie nie podzielał.

Rezydencja Parkinsonów bardzo przypomina z opisu Dundurn Castle w Hamilton w prowincji Ontario. Lot Street w Toronto była wcześniejszą nazwą części Queen Street. Historia gospodarcza Loomisville oraz traktowanie dziewcząt z fabryki w pewnym stopniu odzwierciedla sytuację w Lowell w Massachusetts. Los Mary Whitney przypomina jeden z przypadków odnotowanych w kartotece doktora Langstaffa z Richmond Hill. Portrety Grace Marks i Jamesa McDermotta na stronie dziesiątej pochodzą z ich procesu i zostały opublikowane w wydawanej w Toronto „Star and Transcript”.

Spirytystyczne szaleństwo w Ameryce Północnej rozpoczęło się w stanie Górnym Nowy Jork pod koniec lat czterdziestych dziewiętnastego wieku, wraz ze „stukającymi” seansami sióstr Fox, które pochodziły z Belleville – gdzie Susanna Moodie wówczas mieszkała i gdzie „nawróciła się” na spirytyzm. Choć ruch ten szybko przyciągnął wielu szarlatanów, gwałtownie rozprzestrzenił się i osiągnął szczyt popularności pod koniec lat pięćdziesiątych, przybierając na sile zwłaszcza w stanie Nowy Jork i na obszarze Kingston–Belleville. Spirytyzm był quasi-religią tamtego okresu, w której kobietom przyznano pewną władzę – choć wątpliwej jakości, ponieważ uważano, że są one jedynie przekąźnikami woli duchów.

Mesmeryzm został zdyskredytowany jako poważna procedura naukowa na początku tego wieku, ale był szeroko praktykowany przez podejrzanych sztukmistrzów w latach czterdziestych ubiegłego stulecia. Podobnie jak „neurohipnotyzm” Jamesa Braida, który obalił ideę „fluidu magnetycznego”, tak mesmeryzm na nowo zyskał uznanie i z początkiem lat pięćdziesiątych zdobył sobie zwolenników wśród lekarzy europejskich, choć nie został szeroko zaakceptowany jako technika psychiatryczna, za jaką go uznano dopiero w ostatnich dziesięcioleciach wieku dziewiętnastego.

Lata pięćdziesiąte dziewiętnastego wieku cechował gwałtowny rozwój nowych teorii na temat chorób umysłowych, czemu towarzyszyło powstawanie klinik i domów dla obłąkanych – zarówno publicznych, jak i prywatnych. Atmosfera ciekawości i podniecenia otaczała takie zjawiska, jak pamięć i amnezja, somnambulizm, „histeria”, stany transowe, „choroby nerwowe” oraz znaczenie snów. Tematy te zajmowały i naukowców, i pisarzy. Medyczne zainteresowanie snami było tak wielkie, że nawet wiejski lekarz, jak doktor James Langstaff, spisywał sny swoich pacjentów. Zjawisko „rozdwojenia osobowości” albo *dédoublement*, opisywano już na początku wieku. W latach czterdziestych prowadzono na jego temat poważne dysputy, ale dużo większą popularność zyskało podczas ostatnich trzech dekad wieku dziewiętnastego. Próbowalam oprzeć spekulacje doktora Simona Jordana na ówczesnych poglądach na ten temat.

Wydarzenia historyczne oczywiście zostały przeze mnie zbeletryzowane (jak to

uczyniło wielu interpretatorów tej sprawy, twierdząc, że opisują fakty historyczne). Nie zmieniałam żadnych znanych faktów, choć relacje pisemne są tak rozbieżne, że niewiele faktów można uznać za niezaprzeczalnie „znane”. Czy Grace doiła krowę, czy też zapędzała kury do kurnika, kiedy Nancy została ugodzona siekierą? Dlaczego Kinnear po śmierci miał na sobie koszulę McDermotta i skąd McDermott ją wziął – kupił od domokrażcy czy dostał od znajomego z wojska? Skąd się wzięła na łóżku Nancy zakrwawiona książka, czy też gazeta? Który z Kennethów MacKenzie był tym właściwym adwokatem? Kiedy miałam wątpliwości, próbowałam wybrać najbardziej prawdopodobną wersję spośród wszystkich dostępnych. W miejscach, gdzie istnieją jedynie pewne domysły i luki, dopuściłam do głosu własną wyobraźnię.

Margaret Atwood

Podziękowania

Chciałabym serdecznie podziękować następującym archiwistom i bibliotekarzom, którzy pomogli mi w odnalezieniu niektórych brakujących fragmentów tej historii. Bez ich profesjonalnej ekspertyzy ta książka nie mogłaby powstać.

Dave St. Onge, kustosz i archiwista, Correctional Service of Canada Museum, Kingston, Ontario; Mary Lloyd, bibliotekarka w dziale lokalna historia i genealogia, biblioteka publiczna Richmond Hill, Richmond Hill, Ontario; Karen Bergsteinsson, archiwistka w bibliotece wydawnictw naukowo-informacyjnych, Archiwum Ontario, Toronto; Heather J. Macmillan, archiwistka, Wydział Archiwów Rządowych, Państwowe Archiwa Kanady, Ottawa; Betty Jo Moore, archiwistka, Archiwa nt. Historii Kanadyjskiej Psychiatrii i Zdrowia Psychicznego, Queen Street Mental Health Centre, Toronto; Ann-Marie Langlois i Gabrielle Earnshaw, archiwistki, Archiwa Towarzystwa Prawnego Górnej Kanady, Osgoode Hall, Toronto; Karen Teeple, główna archiwistka, i Glenda Williams, recepcjonistka, Archiwum Miasta Toronto; Ken Wilson z Archiwum Kościoła Unitariańskiego, Victoria University, Toronto; i Neli Semple, która pisze historię metodyzmu w Kanadzie.

Chciałabym także podziękować Aileen Christianson z Uniwersytetu w Edynburgu i Ali Lumsden, które pomogły mi wytropić źródła pochodzenia Thomasa Kinneara.

Poza materiałami z archiwów, które wymieniłam, przejrzałam również gazety z tamtych czasów, a zwłaszcza „Star and Transcript” (Toronto), „Chronicle and Gazette” (Kingston), „The Caledonian Mercury” (Edynburg, Szkocja), „The Times” (Londyn, Anglia), „British Colonist” (Toronto), „The Examiner” (Toronto), „Toronto Mirror” i „The Rochester Democrat”.

Wiele książek służyło mi pomocą, ale przede wszystkim: *Life in the Clearings* (1853, drugie wydanie – Macmillan, 1959) i *Letters of a Lifetime*, pod red. Ballstadta, Hopkinsa i Petermana, University of Toronto Press, 1985; rozdział IV autora anonimowego w *History of Toronto and County of York, Ontario*, tom 1, Toronto: C. Blackett Robinson, 1885; *Beeton's Book of Household Management*, 1859–61, drugie wydanie – Chancellor Press, 1994; Jacalyn Duffin, *Langstaff: A Nineteenth-Century Medical Life*, University of Toronto Press, 1993; Ruth McKendry, *Quilts and Other Bed Coverings in the Canadian Tradition*, Key Porter Books, 1979; Mary Conway, *300 Years of Canadian -Quilts*, Griffin House, 1976; Marilyn L. Walker, *Ontario's Heritage Quilts*, Stoddart, 1992; Osborne i Swainson, *Kingston: Building on the Past*, Butternut Press, 1988; K.B. Brett, *Women's Costume in Early Ontario*, Royal Ontario Museum/University of Toronto, 1966; *Essays in the History of Canadian Medicine*, pod red. Mitchinsona i McGinnisa, McClelland & Stewart, 1988; Jeanne Minhinnick, *A Home in Upper Canada*, Clarke, Irwin, 1970; Marion Macrae i Anthony Adamson, *The Ancestral Roof* Clarke, Irwin, 1963; *The City and the Asylum*, Museum of Mental Health Services,

Toronto, 1993; Henri F. Ellenberg, *The Discovery of the Unconscious*, Harper Collins, 1970; Ian Hacking, *Rewriting the Soul*, Princeton University Press, 1995; Adam Crabtree, *From Mesmer to Freud: Magnetic Sleep and the Roots of Psychological Healing*, Yale University Press, 1993; i Ruth Brandon, *The Passion for the Occult in the Nineteenth and Twentieth Centuries*, Knopf, 1983.

Historia zbrodni popełnionej na Kinnearze i Montgomery została do tej pory dwukrotnie opisana w literaturze: w powieści Ronalda Hambletona *A Master Killing* (1978), w której mowa jest głównie o pościgu za podejrzanymi, oraz w sztuce telewizyjnej Margaret Atwood, *The Servant Girl* (1974, reżyseria George Jonas), która była oparta wyłącznie na wersji Moodie i nie może być uznawana za wersję ostateczną.

Wreszcie chciałabym podziękować mojemu głównemu researcherowi, Ruth Atwood, a także Erice Heron, która skopiowała wzory kołder; mojej nieocenionej asystentce, Sarah Cooper; Ramsay Cook, Eleanor Cook i Rosalie Abella, które przeczytały maszynopis i poczyniły cenne uwagi; moim agentkom, Phoebe Larmore i Vivienne Schuster, oraz wydawcom, Ellen Seligman, Nan A. Talese i Liz Calder; Marly Rusoff, Becky Shaw, Jeanette Kong, Tani Charzewski i Heather Sangster; Jayowi Macphersonowi i Jerome'owi H. Buckleyowi, którzy nauczyli mnie cenić dziewiętnastowieczną literaturę; Michaelowi Bradleyowi, Alison Parker, Arthurowi Gelgootowi, Gene'owi Goldbergowi i Bobowi Clarkowi; doktorowi George'owi Poulakakisowi, Johnowi i Christianowi O'Keeffe, Josephowi Wetmore'owi, Black Creek Pioneer Village i Annex Books; oraz Rose Tornato.